



Evelyn Anthony

POD ŚWIATŁO

Pisany.pl / Siles

Evelyn Anthony

POD ŚWIATŁO

przełożyła
Zofia Dąbrowska

Prószyński i S-ka
Warszawa 1996

Tytuł oryginału angielskiego:
„Exposure”

Copyright © 1993 by Anthony Enterprises Limited

Projekt okładki:
Jerzy Matuszewski

Fotografia na okładce:
A.G.E. / EAST NEWS, Warszawa

Opracowanie graficzne serii:
Barbara Wójcik

Redaktor prowadzący serię:
Jan Koźbiel

Opracowanie merytoryczne:
Teresa Walczak

Opracowanie techniczne:
Elżbieta Babińska

Skład komputerowy:
Damian Hejduk

Korekta:
Jadwiga Przeczek

ISBN 83-7180-192-0

Seria „Skorpion”
Wydanie I

Wydawca:
Prószyński i S-ka
02-569 Warszawa, ul. Różana 34

Druk i oprawa:
Rzeszowskie Zakłady Graficzne
35-025 Rzeszów, ul. płk. L. Lisa-Kuli 19

*Mojej bardzo drogiej
przyjaciółce Annie Cleland,
z miłością*

Rozdział 1

Julii Hamilton udało się zmylić śledzących ją ludzi. Zarezerwowała miejsce na poranny lot na Jersey pod fałszywym nazwiskiem i pojechała na Heathrow metrem. Najważniejsze było zgranie w czasie wszystkich formalności. Musiała dotrzeć na lotnisko w ostatnim momencie, przejść przez odprawę i jak najszybciej znaleźć się w hali odlotów.

Kiedy już będzie w powietrzu, zgubią jej trop. To, że w czasie lotu samolot zachowywał się niczym samochód na wyboistej drodze, nie zdenerwowało Julii. Nigdy nie cierpiała na chorobę lokomocyjną i uwielbiała latać.

Niebo było szare od ciężkich chmur i deszczu. Gdy samolot schodził do lądowania, za oknem zobaczyła promienie słoneczne przebijające się poprzez wyrwę w ławicy obłoków. Ziemia była zielona, a morskie fale, gnane porywistym wiatrem, rozbryzgiwały się o nadbrzeżne skały.

Janey czekała na Julię na lotnisku.

Wprowadzenie w pole kuzynów, miłych i prostolinijnych ludzi, okazało się niezwykle łatwe. Powiedziała im, że chciałyby parę dni wypocząć, a oni serdecznie zaprosili ją w gościnę. Julia nie miała wyrzutów sumienia. Ten drobny podstęp był niczym w porównaniu z wagą informacji, które zamierzała zdobyć. Na wyspie mieszkał Richard Watson i - Julia przybyła tu, żeby go odnaleźć. Była przekonana, że ma on w swoich rękach pewne brakujące części układanki. Układanki, której treść zawierała się w dwóch słowach: zdrada i śmierć.

Przedstawienie jej Watsonowi nie nastęrczyło żadnych trudności. Janey Peterson pałała chęcią popisania się przed przyjaciółmi sławną

osobą z rodziny. Julia Hamilton była przecież wielką gwiazdą londyńskiej prasy z Fleet Street, autorką głośnej książki o zabójstwie dwojga dzieci w małym walijskim miasteczku, a obecnie szefową nowego działu publicystycznego w „Sunday Heraldzie”. Był on szumnie zapowiadany od pewnego czasu, miał nosić nazwę „Pod światło”. Wszyscy - Janey zapewniała entuzjastycznie - umierają z ciekawości, żeby ją poznać.

Nie wyłączając ich przyjaciela Richarda Watsona. Jedna rozmowa telefoniczna i zaprosił ich na kolację. W ten oto sposób Julia znalazła się przy stole po prawej stronie Watsona jako gość honorowy. Tego wieczoru towarzystwo liczyło sześć osób. Poza Watsonem i Julią byli David i Janey Petersonowie oraz jacyś Thomasowie. On, dobroduszny, o tubalnym głosie; ona drobna, mówiąca prawie szeptem i - jak Julia zauważyła w czasie powitalnych drinków przed kolacją - złośliwa jak osa.

Julia spostrzegła, że Richard Watson baczenie się jej przygląda. Takie zainteresowanie było ceną, jaką płaciła za swą pozycję zawodową. Przywykła do kosztów popularności. Potrafiła poradzić sobie z mężczyznami, którzy z tego powodu stawali się napastliwi, oraz z kobietami zazdrosnymi o jej sukcesy i urodę. Nosiła jednak zbyt dużo blizn w sercu, żeby popadać w próżność.

- My wszyscy jesteśmy pani wielbicielemi - oznajmił Bob Thomas. - Musi nam pani zdradzić, co przygotowujecie do „Pod światło”. Chodzą plotki, że tropi pani pewnego polityka, czy to prawda?

- Nigdy nie należy słuchać plotek - odparła grzeczenie. - Niestety, będzie pan musiał poczekać na ukazanie się publikacji. - Obdarzyła go czarującym uśmiechem. On również się uśmiechnął.

- No, cóż, zawsze trzeba próbować. A więc co panią sprowadza na naszą wyspę? Gorący ślad soczystego skandalu?

- Nie. - Julia potrząsnęła przecząco głową. - Chciałam odpocząć przed świętami Bożego Narodzenia i spędzam przemiłe chwile z Davidem i Janey. Wypoczywam i daję się rozpieszczać. - Skierowała uśmiech w stronę kuzynów. Byli tak życzliwi i gościnni. I naprawdę z niej dumni. Zupełnie inni niż bezwzględni, zachłanni ludzie z jej zawodowego świata. Fiona, niepozorna, ale złośliwa, żona Boba Thomasa, pochyliła się ku Julii i zapytała:

- To pani napisała parę lat temu książkę o zamordowaniu dwóch małych dziewczynek, prawda? Nie pamiętam tytułu, ale była o wiele lepsza od książki Trumana Capote'a... Też nie mogę przypomnieć sobie tytułu...

- „Z zimną krwią” - podsunęła Julia.

- To prawda! - huknął Thomas. - Uważam, że dokonała pani wspaniałej, znakomitej analizy tej sprawy.

- Dziękuję - odparła Julia. - Miło mi, że podobała się panu moja książka.

- No - zaszemrała jego żona. - Biorąc pod uwagę temat, nie mogłabym powiedzieć, że mi się podobała. Naprawdę przerażająca. Zajmowanie się taką straszną zbrodnią musiało być okropne. Nie dręczyło to pani? Była pani bardzo młoda.

- Tak - odrzekła Julia. - Delikatnie mówiąc dręczyło mnie to. Jednak uznałam, że wnikliwe opisanie wydarzeń i ich genezy pozwoli mi się od tego uwolnić.

Do rozmowy włączył się gospodarz.

- Przyszaj, że nie czytałem twojej książki - powiedział. - Reportaże na ten temat były wystarczająco przygnębiające, choć rzeczywiście świetne. Czy potem podjęłaś się napisania jakiejś innej książki?

- Nie, nie miałam czasu. W końcu nawet wydawca przestał mnie namawiać. Jestem dziennikarką, to mój zawód i pasja. Książka była rodzajem katharsis. Sądzę, że drugiej nie napiszę.

- Zazdroszczę pani - odezwał się Bob Thomas. - Nie umiałbym niczego napisać, nawet gdyby od tego miało zależeć moje życie.

- Zbyt długo już rozmawiamy na mój temat. - Julia zwróciła się do Richarda Watsona. - Proszę, powiedz coś o sobie. Jak to się stało, że tu zamieszkałeś?

Janey mówiła jej, że Watson nie jest zbyt majątny, choć żyje dostatnio. Zajmował jakąś wysoką funkcję w przemyśle, zanim przeszedł na emeryturę. Wdowiec, raczej zamknięty w sobie, ale przez wszystkich lubiany. Mieszka w fantastycznym domu, który jest częścią przeszłości Jersey. Uroczy gospodarz. Julia na pewno go polubi. Często rozmawiał z nimi o jej artykułach w „Sunday Heraldzie”. Twierdził, że właściwie głównie dla nich kupuje tę gazetę.

- No, cóż - odchylił się do tyłu i spojrzał na nią. Był przystojnym mężczyzną, miał niezwykle niebieskie oczy o ciepłym, lecz przenikliwym spojrzeniu. - Moja żona zmarła, a ja przeszedłem na wcześniejszą emeryturę. Nie mieliśmy dzieci i nie pozostał nikt, o kogo miałbym się troszczyć. Często przyjeżdżaliśmy tu na wakacje, nawiązaliśmy przyjaźnie, więc postanowiłem zamieszkać na wyspie. Zapewniam cię, że w dzisiejszych czasach mogą sobie na to pozwolić nie tylko milionerzy, w przeciwnym wypadku mnie by tu nie było. Decydujący był widok tego domu wystawionego na sprzedaż.

- O tak - z jego lewej strony rozległ się szept Fiony Thomas,

która wychyliła się przed niego, żeby Julia mogła ją usłyszeć. - Opowiedz pannie Hamilton tę całą historię.

Julia zwróciła się do niej.

- Proszę mówić mi po imieniu. Jestem Julia.

Fiona uśmiechnęła się i wyprostowała na krześle.

- Julio... - wyszeptła - jak to miło z twojej strony...

- Ten dom jest raczej dziwaczny. Mnie jednak zupełnie za uroczyło jego położenie i widok, jaki się stąd roztacza. Kiedy pierwszy raz zobaczyłem tę posiadłość, była całkiem zaniedbana. Zapuszczony ogród sprawiał w deszczu wręcz ponure wrażenie. To mnie zaintrygowało, choć muszę przyznać, że jeszcze bardziej pociągała mnie cena tej nieruchomości. Należała do pewnej pani Hunter w czasach, których ty, droga Julio, nie możesz pamiętać. Poślubiła kolejno bogatych mężczyzn, a ostatni z nich okazał się najzamożniejszy. Była bardzo piękną kobietą i najwidoczniej lubiła wesołe życie. W końcu jednak zaczęła pić jak smok i stała się nie do zniesienia. Tutejsze kolorowe pisma wręcz ją uwielbiały. Zawsze robiła lub mówiła coś skandalicznego, czym zapewniała sobie stałe miejsce na łamach lokalnych gazet.

- Pamiętam takie powiedzenie - wtrąciła Janey. - „Norki są zbyt podniecające, żeby na nich siedzieć”. Czy to nie jej?

Watson roześmiał się.

- Oczywiście. Miała samochód, w którym nawet klamki i popielniczki były pozłacane, a siedzenia wyłożone skórą lamparta. Gdyby żyła w dzisiejszych czasach, obrońcy zwierząt by ją zlinczowali. To o norkach powiedziała, kiedy dziennikarze zapytali ją, dlaczego wybrała skórę lamparta. Ten nagłówek z lokalnej prasy obiegł cały świat. Naprawdę wiedziała, jak stać się przedmiotem zainteresowania.

- Rzeczywiście - przyznała Julia - skoro zdobywała się na takie złote myśli. Dobre, podoba mi się. „Norki są zbyt podniecające, żeby na nich siedzieć”. - Zaśmiała się. - I co się z nią stało?

- Wszystko skończyło się smutno - odparł Watson. - Mieli wielki jacht, chyba nazywał się „Paradiso”; jej błęśnięcia doprowadziły do tego, że męża wyrzucono z zarządu rodzinnego biznesu i spędzali życie krążąc po morzu od jednego kraju do drugiego, żeby uniknąć płacenia podatków. Korzystała z tego domu tylko jako z *pied-à-terre*, gdy tu cumowali. Ciągłe w nim rośmieniała. Kiedy go kupowałem, w salonie miała urządzonej prywatną salę kinową - ekran, projektory, wszystko tu zostawili. Najprawdopodobniej pewnego dnia ją to znudziło albo pokłóciła się z władzami Jersey. Wciąż, niestety, klóciła się

z ludźmi po pijanemu. Po prostu wyjechali; nie zadali sobie nawet trudu, żeby wystawić dom na sprzedaż. Zrobił to dopiero wykonawca testamentu po jej śmierci. I ja ten dom kupiłem.

- Zmieniłeś go w cudowne miejsce, Dick - ktoś się odezwał. - A twój ogród! I jakie pomysłowe oświetlenie w nocy.

- Tu najpiękniejsze są wschody i zachody słońca - wyznał gospodarz. - Co nie znaczy, że wstaję przed świtem. Ale dla mnie to wielka radość, że wszystko urządziłem po swojemu. Miała na imię Sheila. Sheila Hunter. Szkoda, że doprowadziła się do takiego żalowanego stanu.

- Muszę zapoznać się z jej życiorysem - powiedziała Julia. - Wydaje się interesujący.

- To małe piwo w porównaniu ze skandalami, o których teraz się pisze. - Thomas zagrzmiał radośnie. - Nie zasługiwałaby na wzmiankę w „Sun”, prawda?

- Mogłabyś mieć temat do nowej książki - zasugerowała jego żona. - Chyba nie opracowano jej biografii. Oczywiście, dopóki żyła, nikt by się nie odważył. Była pierwsza do wszczynania procesów. Nosiła słynne czarne perły. Stały się potem bardzo modne.

Julia patrzyła, jak Richard napełnia jej kieliszek. Potrawy i wino były starannie dobrane, stół pięknie udekorowany świecami i kwiatami. Ich gospodarz niewątpliwie miał dobry smak i styl. Polubiła go. Czuli, że i on ją polubił. Nie dopuszczała do siebie poczucia winy, mimo że przyszła do tego domu pod fałszywym pretekstem, by wykorzystać człowieka, który ją gościł.

Tak jak już wykorzystwała swych miłych kuzynów, Janey i Davida Petersonów, którzy serdecznie ją przyjęli na rzekomy wypoczynek. Przysłuchiwała się prowadzonej rozmowie.

- Istotę starości można by sprowadzić do tego, że coraz częściej rozmawia się o dawno minionych czasach - mówił Richard. - Coraz częściej zauważam u siebie takie skłonności. Spędziłem kilka wieczorów w Londynie z moim siostrzeńcem, radcą prawnym, poznałeś go Janey, przyjechał tu w zeszłym roku pożegłować...

- Tak, pamiętam, uroczy młody człowiek - żywo przytaknęła Janey.

- Nie za bardzo - uśmiechnął się Watson. - Jest raczej nadęty i dość zarozumiały. No, ale to krewny, więc utrzymuję z nim kontakty. Zabrał mnie na kolację do swego wytwornego klubu - wspaniałe jedzenie, o wiele lepsze niż w restauracjach - a ja mu opowiadałem o latach spędzonych w obozie jenieckim. A przecież nie myślałem o tym, a tym bardziej nie mówiłem od wielu lat. Tymczasem zalałem go

wprost potokiem opowieści o tym, jak dostałem się do niewoli i o trzech latach spędzonych w obozie jenieckim w Niemczech. Nagle zauważyłem, że śmiertelnie zanudzam tego biedaka. Wtedy szybko zmieniłem temat.

- Młodzi myślą, że zjedli wszystkie rozumy - zareagował dość gwałtownie Bob Thomas.

- A czy my tak nie uważaliśmy? - spytał Richard łagodnym tonem. - Odkąd ukończyłem osiemnaście lat, nie wysłuchałem uważnie jednego słowa, które ojciec do mnie mówił. I wiecie, smutne było to, że kiedy wróciłem do domu z obozu jenieckiego, w ogóle nie potrafiłem się z nim porozumieć. Oczywiście, rodzice byli uszczęśliwieni, że znowu jestem z nimi, matka się popłakała i pobiegła parzyć herbatę, a ojciec objął mnie ramieniem i czym prędzej pognął na górę z moim wojskowym workiem. Po prostu nie wiedział, co powiedzieć.

Julia uznała, że nadszedł właściwy moment.

- Czy przykro to odczułeś? Próby dostosowania się na nowo do dawnego życia musiały być niezmiernie trudne.

- Nie było mi łatwo - przyznał. - Wróciłem do domu jako obcy człowiek. I ja to czułem, i oni. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo wpłynęła na mnie utrata wolności. Nie potrafiłem rozstrzygnąć żadnej kwestii. Odzwyczaiałem się od podejmowania decyzji. Jeżeli ktoś mi powiedział, jakie mam rano włożyć skarpetki, uległe to robiłem.

- Jak długo trwał taki stan? - spytała Julia w obawie, że mógłby zmienić temat.

- Parę lat. Imałem się różnych zajęć, ale nigdzie nie mogłem za-grzać miejsca. To się nagminnie przydarzało byłym jeńcom wojennym. Wreszcie podjąłem praktykę w koncernie chemicznym ICI i ta praca mnie zainteresowała. A właściwie zaabsorbowała. Od tego czasu wszystko poszło już dobrze.

Julia zaczerpnęła głęboko powietrza. Teraz.

- Czytałam twoją książkę - zaczęła. - Dał mi ją przyjaciel, zupełnie zwariowany na punkcie drugiej wojny światowej. Uważam, że jest bardzo ciekawa. Czy pisałeś ją w obozie jenieckim?

- Tak - odparł Watson. - Było tam tak przeraźliwie nudno, panowała deprymująca atmosfera, diabelnie marzliśmy w zimie... A poza tym stale doskwierał nam głód. Większość jeńców spędzała czas na planowaniu ucieczki lub na grze w szachy czy w brydża. Ja spisywałem swe błahe wspomnienia. Trudno mi uwierzyć, że uznałaś je za ciekawe, lecz przyznaję, to mi pochlebia. - Uśmiechnął się do niej.

- Książka? - ryknął Bob. - Co to znaczy, Dick? Trzymałeś ją przed nami w tajemnicy?

- Napisałem ją wiele lat temu; na długo przed przybyciem tu, na wyspę - usprawiedliwił się Richard Watson. - Wydałem własnym sumptem w bardzo małym nakładzie. Nie wiedziałem, że jakieś egzemplarze jeszcze gdzieś krążą. Chyba chodziło mi tylko o to, żeby całą tę historię zrzucić z serca.

- Ukryty talent. - Bob ponownie włączył się do rozmowy. - Niech pani, Julio, lepiej się strzeże, bo może mieć w Dicku rywala. Chciałbym tę książkę kiedyś przeczytać. Założę się, że zamelinowałeś gdzieś egzemplarz tego wiekopomnego dzieła. Ja spędziłem w wojsku najlepsze chwile mego życia. Często żałowałem, że nie poświęciłem się wojskowej karierze zawodowej. Byłem za młody, żeby wziąć udział w ostatniej wojnie, ale służba zasadnicza dała mi wiele satysfakcji. - Rozejrzał się w oczekiwaniu na wyrazy uznania.

- A ty, Richardzie - spytała Julia cichym głosem - czy masz podobne zdanie o armii? Nie wynikało to z twojej książki.

Spojrzał na nią, po czym raptownie odwrócił wzrok.

- Nienawidziłem wojska - odparł. - Nienawidziłem wszystkiego, co się z nim wiązało. I nie byłem dobrym żołnierzem. Myśl, że mógłbym kogoś zabić, wprost mnie przerażała. Nie miałem w sobie żądzę krwi.

- A zabiłeś kogoś?

Zawahał się na moment, po czym odpowiedział:

- Nie. Ale uratowałem pewnemu człowiekowi życie.

Julia pojechała na kolację do Richarda Watsona pożyczonym od Janey małym fordem. Chciała koniecznie poznać gospodarza przed przybyciem pozostałych gości.

Janey narzekała, że muszą wracać dwoma samochodami.

- Szkoda, że tak bałaś się spóźnić. Moglibyśmy jechać razem i urządzić sobie uroczę *post mortem* wieczoru.

- Znając ciebie i tak nas to czeka, gdy tylko przekroczymy próg domu - odciął się mąż. - Wiesz Julio, ją naprawdę bardziej bawi plotkowanie na temat przyjęcia niż ono samo. Muszę cię ostrzec, zapowiadają się długie obrady, jeżeli jej ulegniesz. Janey, lepiej ty prowadź.

- No myślę - zachichotała Janey. - Po tej ilości brandy, którą wypiliśmy.

Julia włączyła silnik i ruszyła za ich samochodem. Przez cały czas miała przed sobą jego tylne światła. Od morza wiał mroźny wiatr. Julia otworzyła okno i wdychała przesycone solą powietrze. Nie mogła w to uwierzyć. Ciągle rozpamiętywała historię, którą Richard

Watson opowiedział tak barwnie i plastycznie. Dopóki nie skończył, nikt nie przerwał mu nawet jednym słowem. Dopiero potem, jakby opadło ogromne napięcie, wszyscy zaczęli ratować się rozmową o głupstwach i żartami.

Julia nie pamiętała, żeby kiedyś czas się jej bardziej dłużył niż podczas ostatniej godziny tego przyjęcia. Podano kawę, po czym panie opuściły jadalnię, a Richard podjął panów porto i cygarami. Julia знаła dotąd tylko jednego człowieka, który praktykował jeszcze ten przestarzały obyczaj rozdzielania gości według płci. William Western. Ale on z nikim się nie liczył, do czego się przyznawał. Był także szefem Julii... Pamiętała jeden sobotni wieczór, spędzony w jego rezydencji w Hampshire. Mężczyzna, który jej wtedy towarzyszył, wyznał potem, że najweselsza część wieczoru zaczęła się, gdy ona już odeszła od stołu. Mimo jego usiłowań, nie zamieniła z nim więcej słowa.

Wreszcie panowie przyłączyli się do pań w wielkim salonie, z którego okien roztaczał się bajeczny widok na morze. Wszyscy się przemieszali i okazało się, że sąsiadem Julii jest jej kuzyn David. Podano likiery dla „dziewcząt”, jak nazwał panie swym donośnym głosem Bob Thomas. Julia nie chciała już więcej pić.

- Jak miło - odezwał się David. Usadowiwszy się wygodnie w fotelu, kołysał pękaty kieliszek napełniony do połowy brandy. - Przynajmniej mam okazję z tobą porozmawiać. Moja ukochana żona zawłaszczyła sobie ciebie od chwili twego przyjazdu. Powiedz, jak się miewają Hugh i May? Musimy do nich wpaść, kiedy przyjedziemy do Anglii następnym razem.

Julia zapewniła, że jej rodzice czują się dobrze i z radością będą ich gościć.

- A teraz opowiedz coś o swojej pracy - wypytywał ją dalej. - Jak to jest, kiedy się pracuje dla Westerna?

Julia opanowała zniecierpliwienie, choć nie mogła się doczekać powrotu do domu, żeby wreszcie zatelefonować do Londynu.

- Przeważnie nie do wytrzymania - odparła. - On ma nieznośny charakter. To bardzo wymagający i bezlitośnie bezwzględny człowiek. Poza tym jest geniuszem, jeżeli może to być jakimś usprawiedliwieniem. Według mnie raczej nie. Tylko nie pytaj, czy go lubię, dobrze?

- Teraz już nie muszę. Ale mimo to uwielbiasz zażarte współzawodnictwo, prawda, Julio? I pomyśl, jaki sukces odniosłaś. Dotarłaś na sam szczyt, świetnie zarabiasz. Jesteś osobą publiczną. A najbardziej podoba mi się w tobie to, że po tym wszystkim nie

przewróciło ci się w głowie. Jesteś tak samo przemiła jak zawsze. - Poklepał ją po kolanie. Julia uznała, że nadużył nieco brandy Richarda Watsona.

- Nie ma powodu, bym stała się zarozumiała - stwierdziła. - Po prostu los mi sprzyjał, Davidzie. Zaczęło się od tego, że Western mnie wyłowił. Gdyby nie to, nadal harowałabym w prowincjonalnej gazecie i nie czekałoby mnie nic poza redagowaniem działu dla kobiet. Davidzie...

- Słucham? - spytał z uśmiechem. - Aaa, jesteś zniecierpliwiona, bo masz mnie dosyć. Przepraszam, zaraz dopuszczę do ciebie Boba. Tylko uważaj, żeby ci bębenki w uszach nie popękały. To bardzo miły facet, ale ma głos jak piekielna syrena alarmowa...

- Nie - przerwała szybko - nie o to chodzi. Zrobiło się późno.

- Wolałabyś już wracać do domu? Jesteś zmęczona? - Przyjrzał się jej uważnie.

- Nie, nie jestem zmęczona. Powinnam do kogoś zatelefonować...

- Och, rozumiem. Janey mówiła, że masz teraz kogoś zupełnie wyjątkowego. To prawda?

- Tak - potwierdziła skwapliwie. - Już prawie dochodzi pierwsza. Obiecałam, że do niego zadzwonię. Nie chciałabym telefonować zbyt późno, on zawsze wstaje skoro świt.

- Dobrze. - Zgasił cygaro i wstał. - Dick - zwrócił się do gospodarza. - Już wystarczająco nas napoiłeś i nakarmiłeś. Mam jutro rano umówioną wizytę, więc powinniśmy czym prędzej ruszać do domu.

- Dzięki, Davidzie - szepnęła Julia, kierując się do Richarda Watsona, żeby się z nim pożegnać.

Kiedy wrócili do domu, Julia nie miała ochoty na wieczorną kawę w kuchni. Janey jednak nalegała. Poszli więc za nią, a ona zabrała się do rozkładania kubków i nastawiania czajnika.

- Dobrze się bawiłaś? - spytała Julię. - Interesujący człowiek, prawda? I co to za niezwykła historia, chyba prawdziwa. Jak myślisz, kochanie? - zwróciła się do męża.

Julia rzuciła kuzynowi błagalne spojrzenie.

- Myślę, że z całą pewnością była prawdziwa - odparł. - Lecz prawdą jest również to, że Julia chce jeszcze zatelefonować do mężczyzny swego życia, natomiast ty i ja powinniśmy iść do łóżka. Wyłącz czajnik i chodźmy. Dobranoc, Julio. Nie zapomnij zgasić światła, jak będziesz szła na górę. Ja naprawdę mam wcześniej rano mnóstwo pracy. Powodzenia.

Julia odczekała, aż weszli na piętro. Wyszła na korytarz i słuchała,

czy już zamknęły się za nimi drzwi sypialni. Potem poszła do bawialni i też zamknęła za sobą drzwi. Podniosła słuchawkę i nakręciła londyński numer. Ben nie powinien jeszcze spać. Wiedziała, że późno się kładzie, bo długo wieczorami czyta i ogląda nocny program w telewizji. Nie było nikogo, kto by zrzędził i naganiał go do łóżka.

Czekała na połączenie.

Odebrał telefon już po trzech sygnałach.

- Ben - powiedziała. - Ben, to ja. Dobrze... tak, czuję się dobrze...
- Znowu jej przerwał, więc wpadła mu w słowo. - Posłuchaj mnie, proszę. To się zdarzyło zupełnie niespodziewanie. właśnie dzisiaj wieczorem. Na kolacji... Tak. Tak... Ben - odetchnęła głęboko - to nie do wiary, ale chyba znaleźliśmy naszego człowieka.

Następnego dnia rano o wpół do jedenastej zatelefonował Ben, tak jak uzgodnili. Chociaż wcześniej planowała zostać u Petersonów jeszcze dwa dni, musiała wracać do Londynu.

- Dzwonili z pracy - powiedziała do Janey. - Muszę wcześniej wracać. Ogromnie mi przykro, było mi u was bardzo dobrze.

Kuzynka odwiozła ją na lotnisko.

- Będzie mi ciebie brakowało. Zrobiłaś furorę w naszym towarzystwie, musisz tu znowu przyjechać.

- Na pewno, obiecuję - odparła Julia. - I dziękuję za urocze wakacje. - Ucałowała ją i weszła do hali odlotów.

Co za niewiarygodny zbieg okoliczności. Przez cały czas krótkiego lotu jej myśli błądziły wokół tej sprawy. Kiedy już straciła nadzieję, szczęście się do niej uśmiechnęło.

Kolacja na Jersey z emerytowanym biznesmenem zaowocowała uzyskaniem wskazówki brakującej do rozwiązania zagadki. Wskazówki tak starannie ukrytej, że wszelkie ślady, które odkryli w Niemczech i podczas spotkania w małym miasteczku w hrabstwie Sussex, prowadziły donikąd. Stare przysłowie powiada, że bitwa została przegrana, gdyż zabrakło jednego bagnetu. Ona ten bagnet znalazła.

Tyle zależy od drobiazgow, od szybkiej oceny sytuacji, od decyzji podjętej bez zastanawiania się nad konsekwencjami. A wszystko zaczęło się od pewnego zaproszenia i raczej nierealnych marzeń.

List był podpisany przez sekretarkę lorda Westerna i nadszedł z koncernu prasowego Western International Newspapers. Lord zapraszał ją do swej posiadłości w hrabstwie Hampshire. Pragnął przeprowadzić z nią wstępną rozmowę, gdyż istniała możliwość, że otrzyma u niego pracę. Julia myślała, że to jakiś żart, dopóki nie nakręciła podanego w liście numeru. Nie, to nie był koleżeński dow-

cip. To się działo naprawdę. Miała przyjechać na kolację, zostać na noc i wyjechać po śniadaniu. Strój wieczorowy - zaznaczył pełen werwy głos.

Ona - ten głos - wysła jej mapę wskazującą, jak można tam dojechać. Julia natomiast powinna odpisać bezpośrednio lady Western. O mały włos, a wpadłaby w panikę i zrezygnowała z tej wizyty. Jej ojciec był radcą prawnym w małym mieście, rodzina należała do średnio zamożnych. Życie członków Izby Lordów posiadających wiejskie rezydencje i wysyłających zaproszenia na jedną noc było jej zupełnie obce. Od pięciu lat pisywała w prowincjonalnych gazetach, zaczynając od wydawanego przez oddział Krajowego Związku Dziennikarzy małego tygodnika, aż doszła do stanowiska młodszego reportera w „Yorkshire Post”. Kiedy naczelny redaktor działu wiadomości chciał ugościć swój zespół, zabierał ich do miejscowego pubu.

Czuła się bardzo onieśmielona. Jej stary renault wyglądał jak zmaltretowany żuk, gdy skręcił w szeroki podjazd i zatrzymał się przed fasadą dworu Hollowood Park.

Lokaj wziął od niej torbę podróżną i zaprowadził ją do holu.

Na jej spotkanie wyszła kobieta. Julia nigdy nie zapomni chwili, w której po raz pierwszy ujrzała Evelyn Western. Była to bowiem dama niezwykle piękna, jej twarz, mimo siwych włosów i podeszłego wieku, zachowała nadal pełnię urody.

Bardzo wysoka i wyprostowana jak trzcina podeszła do Julii i z uśmiechem uściśniła jej dłoń.

- Panno Hamilton, bardzo się cieszę, że pani przyjechała. Jestem Evelyn Western. Może zechciałaby się pani czegoś napić, zanim pójdzie pani się przebrać. - Nie czekała na odpowiedź. - Oczywiście, napije się pani po tak długiej podróży. Proszę ze mną, przybyła pani jako pierwsza. Podziwiam punktualnych ludzi. Ja pod tym względem jestem zupełnie beznadziejna.

Julia była zbyt zdenerwowana, by z uwagą przyglądać się wnętrzu. Zauważyła tylko, że pokój, do którego weszły, był wyłożony boazerią, a na ścianach wisiały piękne obrazy.

Poprosiła o kieliszek sherry, choć zupełnie nie miała na nią ochoty. Evelyn usiadła koło gościa.

- Jest pani bardzo młoda - stwierdziła. - Dwadzieścia sześć lat?
- Dwadzieścia siedem - odpowiedziała Julia.
- Mój mąż wierzy w młode talenty. Miał na panią oko od pewnego czasu, wiedziała pani o tym?
- Nie. Kiedy przyszedł list na temat pracy w „Sunday Heraldzie”,

po prostu nie mogłam w to uwierzyć. Jakby miało się spełnić moje skryte marzenie.

- Ładnie to pani ujęła. Powtórzę Williamowi. On czytuje dobre, prowincjonalne gazety. Zawsze czyha na nowych ludzi ze świeżymi pomysłami. Dość dawno panią dostrzegł. Pamiętam, jak powiedział mi kiedyś rano: Wiesz, Evie, jest pewna dziewczyna, Julia Hamilton. Z „Yorkshire Post”. Podobają mi się jej artykuły. Może któregoś dnia będzie pisać dla nas.

Julia nie wiedziała, co powiedzieć. Upiła łyk sherry. Po chwili Evelyn odezwała się znowu.

- Mówię to dlatego, żeby się pani nie bała mego męża. Będzie panią przypalał na różnie, bezlitośnie o wszystko wypytywał, żeby stwierdzić, jaka pani naprawdę jest, ale proszę nie dać się zastraszyć, a wszystko będzie dobrze. On wie, że miałam zamiar panią ostrzec, gdyż zawsze to robię, kiedy ktoś po raz pierwszy tu przyjeżdża. Niektórym młodym ludziom to się nie podoba, lecz czuję, że pani nie ma mi tego za złe.

- Ani trochę, lady Western. Jestem pani bardzo wdzięczna. Jadąc tu byłam tak zdenerwowana, że prawie chciałam zawrócić do domu. Nie zapomnę pani słów. Dziękuję.

- Nie ma za co. A teraz powinna pani już pójść na górę i przebrać się. Baker panią zaprowadzi. I do zobaczenia.

Gdy usiłowała zrelacjonować rodzicom, co się później działo, musiała poprzestać na ogólnikach. Matka, ciekawa szczegółów, chciała wiedzieć, jaka była sypialnia, lecz Julia nie potrafiła jej opisać. Pełno tam było perkali, wszystko w jasnych kolorach i piękna łazienka z ogromną, okrągłą wanną. Nie skorzystała z niej przed kolacją, gdyż za bardzo się bała, że mogłaby się spóźnić.

Dopiero później, gdy już było po wszystkim i wróciła na górę, położyła się w wannie i podczas kąpieli rozpamiętywała miniony wieczór. Na kolacji było dwanaście osób: trzy małżeństwa, jakaś młoda kobieta, dwóch mężczyzn, ona i Westernowie. Evelyn przedstawiła ją pozostałym gościom, po czym poprowadziła do męża.

Julia знаła jego twarz ze zdjęć prasowych, ale wstrząsnęło ją odkrycie, jakiej jest drobnej postury. Stojąca koło niego żona wyglądała przy nim jak elegancka żyrafa. Julia mierzyła trochę powyżej metra pięćdziesięciu - nigdy nie zadała sobie trudu, żeby dokładnie sprawdzić - a była z Williamem Westernem równego wzrostu. Miał szpakowate włosy i gładką, świeżą cerę, a oczy jasnoszare jak grudki lodu.

Powitał ją tymi samymi słowami co żona.

- Bardzo się cieszę, że pani przyjechała. Będę się do ciebie zwracał po imieniu. Miałaś dobrą podróż? Mam nadzieję, że wskazówki były jasne.

- Całkowicie, dziękuję lordzie Western. To bardzo miło z pana strony, że mnie pan zaprosił. Co za wspaniały dom... - Uwaga ta nie była tylko grzecznym komplementem. Nigdy nie widziała bardziej okazałego salonu, nawet w albumie o wielkich rezydencjach. Sztukateria odznaczała się wyjątkowym pięknem, wysoko u sufitu wisiał masywny kandelabr z zapalonymi świecami. Obrazy... Julia studiowała jako jeden z fakultatywnych przedmiotów historię sztuki, nie miała więc trudności z rozpoznaniem dzieł wielkich angielskich portrecistów - począwszy od imponującego grupowego portretu pędzla van Dycka, po uroczą, utrzymaną w pogodnym nastroju scenę zabawy dwojga dzieci ze spanielem Raeburna.

Western podążył za jej wzrokiem.

- Lubisz malarstwo? - spytał i gdy skinęła głową, nie czekając na odpowiedź, przepytywał ją dalej. - Znasz się na tym co nieco?

- Trochę - odparła. Jego sposób bycia był okropnie peszący. Zadawał pytania i nie dawał czasu na wyjaśnienie.

- Aa, studiowałaś historię sztuki, pamiętam - powiedział.

Była zdumiona, że znał takie szczegóły z jej życia.

- Uważam, że w tym fachu moim obowiązkiem jest dokładnie wybadać każdego, komu chcę zaproponować pracę. Mnóstwo ludzi potrafi pisać niezłe kawałki do gazety. Ale bez inteligencji i intuicji nikt nie zostanie dobrym reporterem. W czasie kolacji będziesz siedziała koło Leo Derwenta. O, tam. To ten młody człowiek z lisią twarzą, bardzo pewny siebie. Polityk. Przyjrzyj mu się, opowiesz mi po kolacji, co o nim sądzisz. - Po tych słowach odszedł.

Poczuła, że na twarz występują jej wypieki. Był taki apodyktyczny i niegrzeczny. Zostawił ją samą w pokoju pełnym obcych ludzi. Ale jego żona powiedziała, że ma się go nie bać.

Nie, do licha, pomyślała, nie dam się zastraszyć. Nie będzie mnie tak grubiańsko traktował tylko dlatego, że może dać mi pracę. Dopiła szampana i ruszyła prosto w kierunku mężczyzny, który istotnie miał twarz chyrego lisa.

- Chyba będziemy siedzieć koło siebie - powiedziała. - Byliśmy sobie przedstawieni, ale mnie nigdy nie udaje się dosłyszeć nazwiska. Julia Hamilton - obdarzyła go swym najbardziej czarującym uśmiechem.

Derwent nigdy o niej nie słyszał. Ani jej nazwisko, ani twarz nie były zarejestrowane w jego komputerowej pamięci, zaprogramowanej

na ludzi, których warto sobie zjednywać. Ale miała taką ładną buzię i płomiennie rude włosy, okalające twarz jak aureola, a do tego duże czarne oczy. Nietypowe.

Bardzo seksowna dziewczyna, pomyślał. Zastanawiał się, czy ten cholerny, przebiegły kurdupel Western nie podsuwa mu smacznego kąska. Miał swoje sposoby, gdy chciał trzymać polityka w kieszeni. Niewątpliwie znał jego słabość do seksownych dziewczyn, które mają upodobanie do pewnych gier towarzyskich. Leo przesunął wzrokiem po sukni Julii i rzekł z wytwornym akcentem:

- Ależ ze mnie szczęściarz. Leo Derwent. Pani kieliszek jest pusty, podobnie jak mój. Zobaczmy, czy uda się nam zwrócić uwagę Crichtona Wspaniałego.

Nie byłoby trudno skwitować, że to pretensjonalny facet o płytkim umyśle. Julia jednak wyczuwała, że pod tym pozornym, z trudem przyswojonym polorem i nienaturalnym sposobem bycia czai się drapieżnik tak samo bezwzględny jak zwierzę, do którego był podobny.

W czasie kolacji całkowicie Julię zmonopolizował. Rozwodził się nad swymi osiągnięciami, które miały jej zaimponować.

- Przepraszam najmocniej - powiedziała w końcu szeptem - ale chyba powinnam odezwać się do mego sąsiada po lewej. Doprawdy, nie chciałabym być niegrzeczna, mówił pan tak interesująco.

W ten sposób mu umknęła, pozostawiając go w niepewności, czy zrobiła mu afront, czy też знаła jakieś towarzyskie zwyczaje na eleganckich przyjęciach, z którymi nie był obyty.

Jadalnia była tak samo okazała jak salon. Stół został zastawiony starymi srebrami, podano znakomite potrawy i wina. Kiedy kolacja dobiegła końca, Evelyn Western wstała.

- Wypijemy kawę w salonie. Proszę, Billy, nie marudźcie tu zbyt długo.

Po kwadransie zwróciła się do Julii.

- Nie znoszę, gdy tak godzinami przesiadują w jadalni. Dlaczego my mamy czekać, kręcąc młynka palcami, aż oni skończą swoje porto. A, wreszcie są. Niech pani usiądzie koło Williama. Tam, na sofie. I proszę pamiętać - zniżyła głos - niech pani nie da mu się terroryzować. - Lekko dotknęła ramienia Julii. - On panią polubił. Zawsze potrafię to po nim poznać.

Western obrócił na Julię szare oczy.

- Smakowała ci kolacja?

- Była znakomita - odparła Julia.

- Uwielbiam jeść - oznajmił. - To jedna z wielkich życiowych

przyjemności. Nie cierpię kobiet, które się odchudzają. Moja żona nigdy nie musiała stosować żadnej diety, zawsze była szczupłą. Zauważyłem, że ty miałaś apetyt.

Odetchnęła głęboko. Ten człowiek staje na głowie, żeby ją wprawić w zakłopotanie. Ale jeśli się rozplacze, on ją zlekceważy.

- Umierałam z głodu - stwierdziła. - Nie jadłam lunchu.

Ku jej zdziwieniu roześmiał się.

- Ani ja. Nie miałem czasu. Widziałem, że dobrze sobie radzi łaś z Leo. Co o nim myślisz? - Tak jak poprzednio nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej. - Zdolny gość. Doszedł do wszystkiego o własnych siłach. Pewnego dnia mógłby zostać premierem, tyle że nie za mojego życia.

- A ja - rzekła Julia chłodno - mam nadzieję, że tak się nie stanie. Nie kupiłabym od niego nowego samochodu, nie mówiąc już o używanym.

- Rozumiem - powiedział. - Nie boisz się wypowiadać własnego zdania, prawda? To dobrze. I masz rację. On jest pozbawionym skrupułów łajdakiem i pewnego dnia ktoś go przyłapie na gorącym uczynku. Pisałaś kiedyś szkice biograficzne?

- Nie tego rodzaju, jakie pan publikuje, lordzie Western. Gazety, w których pracowałam, oczekiwały ode mnie sympatycznych i przychylnych relacji o miejscowych osobistościach. Sylwetka dyrektora zarządu szpitala, radny Bloggs w domu z rodziną. Tego typu rzeczy.

- Aha. Chciałbym, żebyś mi napisała coś o Leo Derwencie - oznajmił. - Nie do publikacji. Zanim zaczniesz się biegać, trzeba się nauczyć chodzić. Chcę po prostu, żebyś mi pokazała swoje umiejętności. Przyślij mi to do biura przed środą. Zaczyniesz pracować pod kierownictwem Harrisa. Od dziesięciu lat kieruje działem wiadomości i jest bardzo dobrym fachowcem, ale świeża krew wzbudza w nim zazdrość. Nie potraktuje cię poważnie, według niego kobiety dziennikarki nadają się tylko do pisania o modzie i filmie, więc rób, co ci każe, słodko się uśmiechaj i bądź cierpliwa. Jesteś cierpliwa? Założę się, że nie - z takimi włosami. Nie szkodzi, będziesz musiała się nauczyć.

- Spróbuję - obiecała. - Czy mogę coś powiedzieć?

- Za chwilę, jeszcze nie skończyłem. Nie jesteś cierpliwa, prawda? - Znowu się roześmiał. - Wczuj się w gazetę i nie przejmuj się chłopcami, im tylko jedno w głowie. Myślę, że jesteś do tego przyzwyczajona. A jak pod tym względem wyglądają twoje sprawy, masz goś na stałe? Nie wstydz się, lubię wiedzieć wszystko o moich

protegowanych. Jesteś protegowana. Myślę, że rokujesz nadzieje.

- Dziękuję panu - odpowiedziała Julia. - Nie wstydzę się. Uważam tylko, że nie miał pan prawa zadać mi takiego pytania, to wszystko.

- Mam wszelkie prawa - odrzekł stanowczo - i musisz się z tym pogodzić. No a teraz, co chcesz powiedzieć?

Zamilkł. Patrzyli na siebie. Jego spojrzenie było twarde i zimne, była wściekła, że ją tak paraliżuje. Zebrała się na odwagę i nie odwróciła oczu.

- Chciałam jedynie powiedzieć, że to jest okazja, jaka zdarza się raz w życiu i dziękuję, że pan mi ją stworzył. Nie zawiodę pana.

Wtedy zrobił coś, co ją zdumiało. Poklepał ją po ramieniu.

- Jestem tego pewien. I nie popełnij błędu, Julio, bo jeżeli ci się przydarzy, zostaniesz zwolniona. A teraz muszę już iść. Moja żona wygląda na znudzoną, więc pójdę ją wybawić.

Wstał i odszedł, nie oglądając się na nią. Jedna z pań przeszła przez pokój i usiadła obok Julii. To była żona jej drugiego sąsiada przy kolacji. Mniej więcej czterdziestoletnia, pięknie ubrana, bez jednej zmarszczki na idealnie gładkiej twarzy.

- Słyszałam, że ma pani pracować dla Williama. To wspaniała perspektywa!

- Tak - odpowiedziała Julia. - Z pewnością. O ile dotrzymam mu kroku.

Jak to było dawno, pomyślała zapinając pas. Właśnie zaczęli schodzić do ładowania.

Pięć lat minęło od chwili, gdy naiwna, prowincjonalna dziennikarka przyjechała, żeby stanąć twarzą w twarz z wielkim człowiekiem, i wyjechała z niezłomnym postanowieniem wykazania, ile jest warta. Teraz już знаła jego technikę. Lubił przemawiać ludziom do ambicji, a jeżeli nie udało im się dorosnąć do wyznaczonego zadania, stawali się dla niego bezużyteczni. Dobrze pamiętała, jak przez dwie noce siedziała nad szkicem biograficznym Leo Derwenta, obłożona różnymi publikacjami, zawierającymi potrzebne informacje, na czele z opracowaniami Hansarda o brytyjskim parlamencie. Pisała i przepisywała na nowo. Western nawet nie potwierdził odbioru jej artykułu. Płakała w ubikacji, przekonana, że nie została przyjęta, a w tydzień później nadszedł list polecający jej zgłosić się do Harrisa.

Powoli oswajała się z codziennym tokiem zajęć w redakcji i dokładała starań, by ułożyć sobie współpracę z szefem działu wiadomości.

Pierwszego dnia, kiedy mu się przedstawiła, była tak zdenerwo-

wana, że lekko się jąkała. Mężczyzna przesunął na czoło okulary w grubej, rogowej oprawie i spojrzał na nią bez zainteresowania.

- Pan Harris? Jestem Julia Hamilton - powiedziała. - Ja... ee... Przyszedłam, gdyż mam zacząć...

Nie zamierzał jej pomagać. Miał nieco powyżej czterdziestu lat, włosy przyprószone siwizną i zachowywał się niezbyt przyjaźnie.

- Tak, wiem. Tam jest pani miejsce. Zorientuje się pani, jakie tu panują zwyczaje. Davis da pani coś do roboty. - Zsunął okulary z powrotem na nos i wrócił do czytania wydruków. Julia nie wiedziała, iż uniósł wzrok i obserwował ją, gdy szła w stronę rzędu stanowisk pracy przed ekranami monitorów, aby znaleźć miejsce, które jej wskazał.

Zobaczył Davisa, zajmującego sąsiedni fotel, uśmiechniętego i gotowego spieszyć jej z pomocą. Davis będzie dla niej miły; zawsze był miły dla kobiet, nie przepuszczał sekretarkom ani paniąkom na posyłki, a nawet sprzątaczkom, jeśli były dostatecznie ponętne. Harris zastanawiał się, jak ta śliczna rudowłosa dziewczyna, zaczerwieniona po uszy z emocji, obroni się przed natarczywością Davisa. W gruncie rzeczy było mu to obojętne. Nie jego zmartwienie. Stary lubił podrzucać mu kogoś od czasu do czasu. Jak wszystkim tyranom sprawiało mu przyjemność zaskakiwanie niespodziankami. Sprowadził tu już wielu młodych, zdolnych, kombinujących tylko, jak wysadzić z siodła Bena Harrisa. Lecz on wszystkich się pozbył. Tym bardziej nie zagrażała mu ta dziewczyna. Pierwsza dziewczyna, którą Western mu wepchnął. Ben przypuszczał, że coś się za tym kryje. Albo jakiś kaprys, albo złośliwy zamysł skłonił Westerna do wyróżnienia właśnie jej i złożenia na łono Harrisa.

Ona się tu nie utrzyma. Nie sądził, by musiał utrudniać jej życie, choć gotów był to robić. Dziewczyna nauczy się czegoś w redakcji wiadomości, a jeżeli jest ambitna i rozsądna, zajmie się tematyką kobiecą i wtedy będzie miała przed sobą przyszłość.

Droga Bena Harrisa do tej redakcji wiodła przez prowincję. Już w wieku kilkunastu lat pracował w gazetach i tygodnikach, najpierw jako goniec, potem jako praktykant na usługach wszystkich dziennikarzy. Ale miał talent; potrafił pisać, umiał wydobyć z tematu nieoczekiwane, nowe podteksty. Był pracowity i piął się coraz wyżej, aż wreszcie został redaktorem prowadzącym w dziale wiadomości liczącej się gazety, wychodzącej w środkowej Anglii. Wtedy dostał propozycję przeniesienia się do Londynu, do Mekki konserwnu Westerna. Miał już wówczas żonę i dwoje dzieci.

Żona Harrisa nie chciała się przenosić. Lubiła swój dom w Birmin-

gham, miała tam przyjaciół, dzieciom dobrze szło w szkole. Kiedy przenieśli się do Londynu, małżeństwo zaczęło się rozpadać. Teraz już od wielu lat byli rozwiedzeni. Ben Harris bez reszty poświęcił się pracy. Czasami, gdy wypił za dużo, mawiał, że zamiast matczynego mleka ssał farbę drukarską. Jako człowiek szorstki w obejściu nie miał przyjaciół, jedynie kolegów w pracy, potencjalnych rywali. Jedynym mottem, w które wierzył było: „Pilnuj własnego tyłka”. Nie będzie go musiał strzec przed panną J. Hamilton.

Po trzech miesiącach polecił Davisowi, żeby dał jej do opracowania kilka mało ważnych reportaży. Zauważył, że odprawiła umizgującego się do niej kolegę i to tak umiejętnie, iż nie zrobiła sobie z niego wroga. Reszta nie posuwała się wobec niej dalej niż do propozycji drinka w pubie po pracy. Julia zyskała tym szacunek Harris, co niechętnie przyznawał nawet przed sobą. Jego zastępca znęcał się nad każdym jej tekstem - skracał je niemilosiernie. Większość jej opracowań szła pod ostrza mielarki i nigdy nie była wykorzystana. Ben Harris czekał, kiedy Julia zacznie mieć pretensje. Inni na jej miejscu już by się poskarżyli, nie jemu, on nie miał czasu na poświęcanie uwagi swemu zespołowi w tak błahych sprawach, ale z pewnością usłyszałby o tym. Wiedział o wszystkim, co się działo w redakcji.

Jednak Julia Hamilton, czyli panna Jot, jak ją nazywał nie bacząc na pełne brzmienie jej imienia, milcząco zabierała się do następnego zadania. Zaczął dostrzegać w niej profesjonalistkę, była spokojna, pełna poświęcenia i łatwa we współpracy. Pewnego dnia poprosił ją, żeby dała mu do przeczytania swój tekst. Relacjonowała w nim protest rodziców w związku z niebezpieczną drogą w pobliżu szkoły. Krótka notatka, umieszczona na samym dole strony, nie zasługująca nawet na to, żeby ją zilustrować zdjęciem. To tylko grupa ludzi demonstrująca z transparentami... Zwykła sprawa, nuda... Przeczytał ten tekst. Zawołał swego zastępcę, który kaleczenie artykułów Julii traktował jako nieodłączną część obowiązków zawodowych.

- To jest dobre - powiedział mu Ben Harris. - Przystań się nad tym pastwić. Nie powtarzaj jej, że ją pochwaliłem.

Obserwował, jak coraz bardziej rozwijała swe umiejętności. Okazało się, że miała smykałkę do tej roboty. Trudny okres wtajemniczenia w arkana zawodu zniosła z godnością i odwagą. Była lubiana przez wszystkich pracowników; przyjęli ją do zespołu jako koleżankę. Przestali się zakładać, kto pierwszy się z nią prześpi. To niewiarygodne, uświadomił sobie Harris, ale ona stała się jedną z nich. Ukazywały się jej artykuły - teraz często ze zdjęciami, chodziła do

pubu po pracy i nie wymagała od nikogo żadnych względów tylko dlatego, że była kobietą. Pewnego dnia poprosił ją do siebie.

Nabyte doświadczenie spowodowało, że stała się pewna siebie. Byli ze sobą po imieniu, gdyż kiedyś warknął na nią:

- Daj już spokój z tym panem Harrisem, na litość boską. Nie jestem jakimś cholernym nadzorcą w domu towarowym!

- Jak ci się wiedzie, panno Jot? - zapytał.

Julia zauważyła, że nigdy się nie uśmiechał. Nawet jak mówił coś przyjemnego, miał groźną minę.

- Świetnie, dziękuję. W ostatnich dniach dałam do druku sporo materiałów. Mam nadzieję, że będziesz zadowolony.

- Dowiedziałabyś się, gdybym nie był - odrzekł. Odłożył na stół okulary o grubych soczewkach. - Nie sądziłem, że tu przetrwasz - dodał oschłym głosem.

- Wiem - odparła spokojnie. - To właśnie podsycalo mój upór.

Rzucił jej krótkie spojrzenie, po czym powiedział zrzędlawie:

- Dobrze sobie radzisz. Tylko nie próbuj biegać, zanim nie nauczysz się chodzić. To wszystko. Taka jest zasada.

- Nie ma mowy - uśmiechnęła się. - Ty byś mi na to nie pozwolił.

- Oczywiście - przytaknął. - No, a teraz jestem zajęty, nawet jeżeli ty nie masz nic do roboty.

Julia pracowała w redakcji już dziewięć miesięcy, kiedy Western zdetonował swą bombę zegarową. Nadeszła wiadomość, która dla prasy była wielką gratką. W lesie, na skraju walijskiego miasteczka znaleziono pokaleczone ciała dwóch zgwałconych, pięcioletnich bliźniaczek. Z doniesień wynikało, że dokonane zostało najbardziej makabryczne zabójstwo na tle seksualnym od trzydziestu lat.

Ben Harris nie wierzył własnym oczom, czytając polecenie, które otrzymał. „Chcę, żeby tę sprawę relacjonowała Julia Hamilton. Zobaczmy, co potrafi. Western”. Ben rzucił ze wściekłością kartkę na biurko i wybuchnął stekiem przekleństw. Nie przejmował się, czy go ktoś usłyszy. Wysłać niedoświadczoną, młodą kobietę, żeby opisywała sprawę tak bestialskiego morderstwa dzieci! Western musiał postradać zmysły!

Otworzył drzwi od swego biura i wrzasnął, przekrzykując wrzawę panującą w redakcji.

- Powiedźcie pannie Jot, żeby tu zaraz przyszła! - po czym trzasnęła drzwiami. Davis, który bardzo się z Julią zaprzyjaźnił, uniósł brwi w komicznym grymasie.

- Kipi na ciebie ze złości. Nie daj mu się zastraszyć, Julio, to jedyny sposób. Jeżeli wyleje cię z pracy, my wszyscy zastrajkujemy!

- O tak, na pewno - udało jej się wykrzesać z siebie uśmiech. - Zupełnie nie wiem, co przeskrobałam...

Gdy weszła do pokoju Harrisa, podniósł głowę i przeszył ją pełnym furii spojrzeniem.

- Właśnie otrzymałem to od samej góry - zaczął - ale, do licha ciężkiego, nigdzie nie pojedziesz.

Julia przebiegła wzrokiem notatkę.

- Muszę pojechać - odrzekła spokojnie. - Nie mam wyboru.

- Usiądź na chwilę - poprosił. - Posłuchaj mnie. Jesteś dobrą dziennikarką. Świetnie sobie radzisz. Podobają mi się twoje artykuły, a mnie jest cholernie trudno zadowolić. Ale to się dla ciebie nie nadaje. Największe morderstwo, z jakim mieliśmy do czynienia od bardzo wielu lat i prawdopodobnie najokrutniejsze. Te dziewczuszki były torturowane i zgwałcone. Ktokolwiek to zrobił, znęcał się nad nimi, kiedy jeszcze żyły. Pod żadnym pozorem nie wyślę kobiety, żeby o tym pisała. A poza tym ty nigdy dotąd nie opisywałaś spraw kryminalnych, prawda?

- Nie chodzi tylko o ogromne zainteresowanie - mówił po chwili dalej - rodzice porażeni bólem, potworny szok dla miejscowej społeczności, lecz o cały ten potworny rytuał związany z prowadzonym śledztwem; policyjne przesłuchania, sekcje zwłok, wszystko! To nie jest zadanie dla ciebie. Gdybyś się na tym potknęła, byłabyś skończona. Stary działa takimi metodami.

- A jeśli odmówię, to już jestem skończona. Dlatego mnie wybrał. Przecież napisał: „Zobaczmy, co potrafi”. Ben, ja muszę tam jechać. W przeciwnym razie równie dobrze mogłabym już składać podanie o zwolnienie.

Podniósł na nią wzrok. Była blada, wiedział, że jest zaszokowana tą perspektywą. Ale miała rację, gdyby odmówiła, Western spisałby ją na straty.

- A wiesz... może byłoby lepiej, żebyś tak właśnie postąpiła. Widziałem już twardzieli, których coś podobnego całkiem wykończyło. Nie bierz tego. Zablefuj i nastrasz tego drania. Ja cię poprę.

- Wiem, że tak byś zrobił, ale nie w tym rzecz. Nie mogę odmówić, gdyż wtedy okazałoby się, że nie nadaję się do tego zawodu. Ben, pojedę i pokażę mu, na co mnie stać. A ty będziesz mnie podtrzymywał na duchu, dobrze?

Wstał.

- Tak, panno Jot - powiedział. Wciąż jeszcze był zły. - Dopóki nie sknocisz sprawy.

- Dzięki. Postaram się nic nie sknocić.

Podwójne morderstwo wywołało sensację. Nagłówki w kolorowych gazetach wręcz ociekały krwią. Znaczące pisma przekazywały wiadomości na ten temat z powściągliwością i rozwagą; „Sunday Herald” zyskał poklask ze wszystkich stron za treściwe, zwięzłe i pozbawione sentymentalizmu relacje, drukowane pod nazwiskiem J. Hamilton. Reportaże zawierały mistrzowską analizę koszmaru, w jakim pogrążona była rodzina i mała purytańska społeczność walijskiego miasteczka.

W tekstach Julii nie było żadnej pogoni za sensacją. Jej relacje wyróżniały się jasną narracją oraz głęboką, rzetelną analizą zarówno indywidualnych, jak i społecznych czynników, które złożyły się na perwersję tej zbrodni.

Nikt nie podejrzewał, że autorką artykułów była kobieta.

Kiedy dokonano aresztowania podejrzanego, Julia została odwołana do Londynu. O podwójne morderstwo oskarżono mieszkańca tamtego miasteczka, człowieka żonatego, ojca dzieciom. Był najbliższym sąsiadem rodziców zabitych bliźniaczek.

Julię powitano uroczysto pierwszego dnia po powrocie do pracy - składano jej gratulacje, rozpromieniony Davis cmoknął ją w policzek, a Western przesłał jej list pochwalny. Tego wieczoru świętowała swój sukces w pubie.

W pewnej chwili podszedł do niej Ben Harris.

- Najwyższy czas, żebym postawił ci drinka - oznajmił. - Zasłużyłaś na to. Chodź, usiądźmy tutaj.

Nieczęsto nawiązywał towarzyskie kontakty ze swym zespołem. Pozostawał na uboczu, całkowicie pochłonięty pracą. Nikt jakoś nie kwapił się, żeby się do nich przysiąść.

- Wyglądasz na całkiem wykończoną - stwierdził. - Weź parę dni wolnych.

- Wolałabym przychodzić do pracy. Lepiej sobie radzę, jak mam stale jakieś zajęcia.

- Mówiłem ci, że tak będzie. Nie chciałaś słuchać. Ta sprawa naznaczyła cię swoim piętnem, to widać. Wypij ten kieliszek i zaraz dostaniesz drugi. Nieczęsto zdarza mi się stawiać drinki, więc wykorzystaj okazję. - Rzadko pojawiający się uśmiech złagodził rysy jego twarzy. Odgarnął do tyłu przyprószone siwizną, gęste włosy. - Diabło dobrze się spisałaś. Zdziwiłaś mnie; szło ci coraz lepiej.

- Dzięki - odwzajemniła uśmiech. - W twoich ustach takie słowa to najwyższy komplement. Dziękuję, Ben.

- Przepraszam, że przeszkadzam...

Ben gwałtownie uniósł głowę. Przy ich stoliku stał młody

mężczyzna.

- Chciałem tylko powiedzieć, że świetnie zrelacjonowałaś sprawę zabójstwa tych dzieci w Walii. Kiedy czytałem twoje artykuły, nie miałem pojęcia, że pisze je kobieta. Jestem Feliks Sutton. - Wyciągnął dużą dłoń, a Julia podała mu swoją. - Pracuję w dziale sprawozdawców parlamentarnych. Chyba nie masz mi za złe, że przerwałem wam rozmowę? Pragnąłem jedynie powiedzieć, że to był kawał dobrej roboty.

Jego uśmiech był przyjacielski, ale jednocześnie wyrażał pewność siebie.

- Mogę się przysiąc?

- Oczywiście - odpowiedziała Julia. Ben Harris wstał z krzesła. Zauważyła, że wrogo patrzy na intruza. Rzucił młodemu człowiekowi swe typowe spojrzenie spode łba.

- To ja już się pożegnaj - oznajmił.

Feliks zaproponował, żeby poszli do restauracji w Covent Garden. Nie sprzeciwił się, gdy zastrzegła, że zapłaci za siebie. Siedząc naprzeciwko niego, Julia uświadomiła sobie, jakim atrakcyjnym mężczyzną jest jej towarzysz. Nie był przystojny w potocznym tego słowa znaczeniu; wyglądał jak bokser - miał złamany nos i postać atlety. Z pewnością był młodszy od niej, lecz nie miało to żadnego znaczenia.

- Zanim coś zamówimy - odezwał się - czy chcesz porozmawiać o tej sprawie, czy masz już dosyć na dzisiaj krwi i bebeczków?

Julia wzdrygnęła się.

- Nie mów tak. To był koszmar. Po prostu musiałam przytłumić w sobie wszelkie uczucia. W przeciwnym razie nie byłabym w stanie przeprowadzać wywiadów i relacjonować czynności śledczych. Mogłam tam wytrzymać tylko dlatego, że chciałam doczekać chwili, w której złapią tego mordercę. Jedynie ta myśl trzymała mnie przy zdrowych zmysłach. Teraz muszę o tym zapomnieć. A przynajmniej próbować. Nie przespałam tam dobrze ani jednej nocy.

- Nic dziwnego. To zacznijmy od butelki wina. W biurze mówi się, że teraz ty będziesz grała pierwsze skrzypce. Już wszyscy starają się ci przypodobać, stawiają drinki, ale są też tacy, którym to się nie będzie podobało. Przede wszystkim Benowi Harrisowi - stwierdził.

- Ale przecież ja dopiero zaczynam - zaprotestowała Julia. - Za milion lat nie byłabym dla niego zagrożeniem.

- On widzi to inaczej - zaprzeczył Feliks. - Założę się, że w czasie swej wspinaczki na górę zdarzało mu się zadać cios w plecy, więc dlaczego ty nie miałabyś tak zrobić? Zwłaszcza że masz za sobą

Starego. Byłaś już u niego w domu?

- Tak, zanim zaczęłam pracować. Chciał mi się przyjrzeć. Mówił, że zwrócił uwagę na moje reportaże w „Yorkshire Post”.

- Słyszałem, że tak się to odbywa. Ale tylko wtedy, gdy Stary ma na kogoś specjalną chrapkę. Żałuję, że nie udało mi się go poznać.

- Może ci się uda. - Nie miała ochoty na dalszą dyskusję o Williamie Westernie. Feliks zaś nie naciskał. Mówił natomiast o sobie; nie puszył się, lecz nie był nadmiernie skromny. Przyszedł do wydawnictwa na stanowisko młodszego reportera prosto z uniwersytetu w Keele. Uzyskał tam stopień magistra na wydziale historii współczesnej. Brał udział w rozgrywkach boksu amatorskiego - dotknął z uśmiechem nosa - doszedł do krajowych półfinałów, lecz traktował to jedynie jako hobby. Dbał o sprawność fizyczną i w czasie weekendów uprawiał gimnastykę.

- Tak naprawdę, to pragnę jednego - wyznał, gdy otwarto już drugą butelkę wina. - Wejść na sam szczyt. Pewnego dnia będę siedział w gabinecie starego Warburtona.

Clive Warburton był szefem sprawozdawców parlamentarnych i niekwestionowanym autorytetem w sprawach politycznej sceny Westminsteru.

- Nie można powiedzieć, że nie jesteś ambitny - zauważyła Julia.

- No, ale masz mnóstwo czasu przed sobą.

- Nie, łaskawa pani, tu się pani myli. - Mówił to poważnym tonem, wesoły uśmiech ustąpił miejsca nieugiętemu zdecydowaniu. - Ktoś, kto sądzi, że ma jeszcze dużo czasu, nigdy tam nie dotrze. Ja jestem takim niezwykłym, młodym człowiekiem, któremu się spieszy. Pragnę mieć wszystko i to na wczoraj.

Nagle się zaśmiał.

- Jak widzisz, jestem bardzo ambitnym draniem. - Zmienił temat.

- Ogromnie mi się podobają twoje włosy. To naturalny kolor?

- Oczywiście - zapewniła żywo.

- Chyba będę musiał uwierzyć ci na słowo... - Przesłał jej uśmiech będący niewątpliwą propozycją.

- Będiesz musiał - odrzekła stanowczo. - Zrobiło się późno, a ja jestem wykończona. Poprośmy o rachunek. - Wziął pieniądze, które położyła jako swój udział.

- Było wspaniale, może to powtórzymy? - zapytał.

Ostatni romans Julii zakończył się z chwilą wyjazdu z Yorkshire. Od tego czasu w jej życiu nie było mężczyzny.

- Czemu nie?

- Możesz mnie podwieźć do Islington? - spytał.

- Tak, oczywiście.

Wcisnął się do małego samochodu. Był zbyt wysoki i potężny, żeby wygodnie usadowić się na przednim siedzeniu.

- Mój samochód został cholernie pokiereszowany - wyjaśnił. - Mieliśmy drobny spór z ciężarówką wjeżdżającą na A 10. Ciężarówka wygrała. O, to tutaj, numer dwadzieścia osiem. Nie jest tak źle, jak wygląda z zewnątrz. Całkiem przyjemnie. Chcesz wstąpić na drinka?

- Nie dzisiaj. Padam z nóg. Mam nadzieję, że zdołam zasnąć.

- Zdołałabyś, gdybyś poszła do mnie - powiedział lekko.

- Bardzo jesteś pewny siebie, prawda? - Poczwała nagle, że ogarniają złość. Również dlatego, że miała na to ochotę.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu, pochylił się i musnął jej policzek wargami.

- Zawsze należy próbować - powiedział. - Mam nadzieję, że następnym razem się zgodzisz. Do widzenia, Julio. - Wysiadł, wbiegł po schodach i zniknął we wnętrzu domu. Nie obejrzał się, kiedy odjeżdżała.

To zdarzyło się pięć lat temu i jego przepowiednia się sprawdziła. Julia stała się najjaśniejszą młodą gwiazdą na firmamencie Fleet Street. W gazecie miała własną rubrykę, a poza tym opublikowała bardzo przez wszystkich chwaloną książkę, analizującą sprawę morderstwa małych bliźniaczek. A ona i Feliks zamieszkali razem.

Feliks wymyślił, że pojedą nad Avon i spędzą weekend w zajęździe. Lubił łowić ryby, a jej zastrzeżenia zbył uwagą, że będzie ją uczył wędkarstwa.

- To miłe miejsce, nie ma luksusów, ale wypożyczają tam sprzęt i łodzie.

Julia cieszyła się na tę wycieczkę. W Londynie było upalnie, a ona właśnie wróciła z męczącej wyprawy do hrabstwa Leicestershire, gdzie wyjechała, żeby napisać artykuł o sławnym przemysłowcu, który popełnił samobójstwo, zanim zdążono go zaaresztować za malwersacje. Jego przedsiębiorstwo znalazło się w stanie upadłości. Wyszedł ze swego siedemnastowiecznego domu położonego w pobliżu Melton Mowbray, zbudowanego w stylu z czasów królowej Anny, i strzelił sobie w głowę z dubeltówki. Kilka próżniaczych dni na rzece i nocy spędzonych z Feliksem pomogłoby jej zapomnieć o żonie przemysłowca i ich dwójce nieletnich jeszcze dzieci.

Lecz w czwartek po południu zadzwonił telefon. Odezwała się osobista sekretarka Westerna. Ten sam energiczny głos, tak dobrze już Julii znany.

- Lord i lady Western pragnęliby, żeby zjadła pani z nimi kolację

w sobotę i została na noc.

- W tę sobotę?

- Tak, to trochę krótki termin, ale są pewni, że będzie pani wyrozumiała.

Po tej pierwszej wizycie, która ją kosztowała tyle nerwów, była zapraszana do domu Westernów kilkakrotnie. Zawsze powtarzał się ten sam rytuał - kolacja na dole, eleganckie przyjęcie dla polityków, dyplomatów, ludzi, których Western chciał wykorzystać albo którzy mieli nadzieję wykorzystać jego. Rano wyjazd zaraz po śniadaniu. On to nazywał „Kolacja i Spać”, wykpiwając królewski protokół obowiązujący na Zamku w Windsorze.

- Miałam inne plany. - Julia usiłowała się wykręcić.

- Wiem, że liczą na panią - rzekł głos. - Z pewnością może pani ułożyć swoje sprawy inaczej, panno Hamilton. Kiedy da mi pani odpowiedź?

To nie było zaproszenie, lecz rozkaz. I głos był tego całkowicie świadomy.

- Zmienię moje plany - ustąpiła Julia. Jednak dla okazania, że takie przymuszanie jej nie odpowiada, dodała: - Ale ma pani rację, to jest rzeczywiście krótki termin. Przypuszczam, że ktoś nie dopisał.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Oczekujemy o osiemnastej trzydzieści, jak zwykle strój wieczorowy. Zawiadomię lady Western.

Julia wykręciła numer Feliksa. Awansował na stanowisko sekretarza Clive'a Warburtona, co w tym wypadku oznaczało w istocie chłopca do wszystkiego, takiego „podaj-przynieś-pozamiataj”. Ale to był przecież początek i Feliks starał się być bardzo użyteczny.

- Kochanie - powiedziała. - Muszę zrezygnować z naszego wspólnego wyjazdu. Stary zaprosił mnie na „K i S” na sobotę. Bardzo mi przykro, ale nie mam wyboru.

- Oczywiście - odrzekł. - Może coś ci zaproponuje.

- Bardzo się cieszyłam na ten wyjazd z tobą - dalej się usprawiedliwiała. - Próbowałam się wyplątać, lecz to się okazało niemożliwe.

- Nie przejmuj się tak bardzo - pocieszał ją pogodnym tonem. - Pojedziemy kiedy indziej. Szefunio wysłała mnie dzisiaj na nocną debatę w Izbie Gmin, więc nie będzie mnie w domu. A on sam idzie sobie na kolację, stary pierdoła. To tymczasem.

Julia odłożyła słuchawkę. Feliks nie zmartwił się, że nie wyjadą na weekend. Oczywiście fakt, że nie był zazdrosny ani zaborczy, miał swe dobre strony.

Brał, co mu dawało życie. Prywatne życie, poprawiała się, gdyż je-

śli chodzi o karierę, to miał dalekosiężną wizję. Od Julii oczekiwał podobnej postawy w ich stosunkach. Dobrze się razem bawili; mieli wspólnych przyjaciół, choć ci ze względu na wiek i zainteresowania bardziej pasowali do Feliksa. Ale mogła na nim polegać, gdy potrzebowała towarzystwa na dużą galę. Potrafił być czarujący i bardzo układny, jeśli tylko chciał. Lubił przytaczać powiedzenie, że więcej much można zwabić do miodu niż do octu.

Jako ludzie o nowoczesnych poglądach nie ukrywali swego związku, który im obojgu odpowiadał. Julia żałowała tylko, że Feliks nie był rozczarowany odwołaniem wyprawy na ryby tak jak ona.

Ich wspólne mieszkanie odbiegało znacznie standardem od sute-reny, którą zajmowała w Pimlico, kiedy po raz pierwszy przyjechała do Londynu; podobnie od nędznego i zabałaganionego mieszkania Feliksa przy Islington. Było duże, mieściło się w eleganckim domu przy Chelsea Square i należało do Julii. Ona też kupiła meble i nowoczesne obrazy w pobliskich galeriach. Feliks określał je jako niezrozumiałą bazgraninę - on sam wniósł jedynie odtwarzacz i bardzo skomplikowane urządzenie stereofoniczne, które kosztowało prawie tyle, co obrazy Julii. To ona była gwiazdą i otrzymywała stosowne do swego statusu wynagrodzenie.

Feliksa nie raziła ta niewspółmierność ich udziałów, nie przejmował się faktem, że Julia pokrywała trzy czwarte kosztów utrzymania. On nadal stosunkowo mało zarabiał, ale miał wszystkie atuty na przyszłość. W polu jego widzenia pozostawał Clive Warburton. Ten typ kiedyś się skończy, mówił Julii, a wtedy on będzie zarabiał krocie i ją utrzymywał. Śmiał się przy tym beztrąsko. Czasami przypominał jej duże, niefrasobliwe dziecko, przekonane, że coś mu się należy od świata i ludzi tylko dlatego, że ono istnieje. Z tym że w stosunku do niej Feliks nie miał żadnych wymagań. Żył swoim życiem i oczekiwał, że i na będzie żyła swoim.

Weszła do bawialni i postawiła na podłodze niewielką torbę podróżną. Była z granatowej skóry, a z boku miała wytłoczone jej inicjały.

- Już muszę wyjeżdżać - powiedziała. - Mam nadzieję, że nie będzie zbyt wielkiego tłoku na szosach. - Kiedy brała prysznic, usłyszała, że wrócił. Zawołał do niej na powitanie i usadowił się przed telewizorem, żeby obejrzeć mecz piłki nożnej Anglia-Niemcy. Miał bzika na punkcie sportu i nie pozwalał, żeby cokolwiek zakłócało mu te lekkoatletyczne czy futbolowe posiedzenia.

Julia mogła go utrzymywać, lecz nigdy nie zamierzała go od siebie uzależniać. On to zresztą postawił jasno od samego początku. W pracy

przezywano go „Pacholę na Swawolę”. Usłyszawszy to, Julia się rozzłościła. A on tylko wzruszył ramionami ze śmiechem: „Zazdroszcza, bo mnie pierwszemu się z tobą udało. Guzik mnie obchodzi, co o mnie mówią”. I rzeczywiście, nie przejmował się.

Oderwał wzrok od telewizora i wstał z sofy.

- Chodź tu i pocałuj mnie, moja śliczna. Właśnie udało się nam zremisować.

Zawsze całował ją namiętnie i językiem, a ona nic nie mogła poradzić na to, że jego dotyk ją podniecał. Wiedział to i wykorzystywał. „Muszę sprostać mojej supergwieździe” - często żartował, gdy ze śmiechem ciągnął ją do łóżka.

Był wspaniałym kochankiem, lecz na własnych warunkach. Nigdy nie powiedział, że ją kocha, nawet w najbardziej intymnych momentach.

- Ciekawe, co ten stary skurczybyk znowu kombinuje - powiedział, wypuszczając ją z objęć. - Nie będziesz miała trudności z dostaniem się na szczyt. Sam chciałbym się tam wcisnąć. Wstaw się za mną, dobrze? - Zawsze tak mówił, niezbyt serio, gdyż niczego się nie spodziewał. Ona się za nim nie wstawiała i nie miała takiego zamiaru. W ich osobistych stosunkach on stawiał swoje warunki, a w sprawach zawodowych ona kierowała się własnymi, uczciwymi zasadami.

- Wrócę w niedzielę około południa. Będziesz w domu?

- Nie wiem, może wpadnę do klubu na partyjkę squasha. Baw się dobrze, kochanie, pojedziemy na ryby kiedy indziej. Do zobaczenia w niedzielę.

Gdy wychodziła z domu, usłyszała jego jęk rozczarowania. Niemcy musieli strzelić kolejną bramkę.

Już dawno przestała jeździć używanym renault. Teraz miała lśniące BMW. Wieczorowa sukienka wisząca z tyłu w oryginalnym opakowaniu pochodziła od Bruce'a Oldfielda. Uszyła ją zawczasu, nie wstydziła się podkreślać swych zawodowych sukcesów za pomocą eleganckiego samochodu i wytwornych strojów. Wygląd ma znaczenie - tego Julia nauczyła się dość wcześnie. Wiele zależało od pozorów. Sukces odnosi się nie tylko dzięki talentowi. Ten niewątpliwie miała i wobec tego wskazane było przyznanie stylowi życia pewnego podrobionego blasku, co z całą świadomością robiła. Już po raz drugi zastosowała się do rady Evelyn Western: „Wydawaj na siebie pieniądze, dobrze się ubieraj i nie bój się wyróżniać. To nie znaczy, że sobie nie radzisz, udowodniłaś to w czasie pierwszej wizyty u nas. Biedne dziecko, wyglądałaś jak uczennica, która właśnie przekroczyła próg

szkoły”. Julia uśmiechnęła się na wspomnienie tych zyczliwych słów. „Teraz już jesteś kimś, ludzie znają twoje nazwisko. Wykorzystaj to. Jeśli chcesz, pomogę ci. Znam się na modzie. Tylko niech się William nie dowie, powiedziała, że jestem apodyktyczna”.

Wprowadziła ją do salonów z odzieżą, taktownie doradzała i Julia uświadomiła sobie, jak bardzo Evelyn Western bawi ta rola. Nie dało się przy tym zauważyć nawet cienia protekcjonalnego tonu. Kiedyś zwróciła na Julię swe piękne niebieskie oczy, jaśniejące zadowoleniem: „Wiesz, to dla mnie taka radość. Nie mieliśmy córki”.

Równie taktownie wycofała się, zostawiając Julii dokonywanie wyborów i rozwijanie własnego stylu.

Julia знаła już na pamięć drogę do Hampshire, jeszcze tylko zjazd z autostrady w wiejskie zacisze. Zwolniła przed bramą alei dojazdowej, a potem wjechała łukowatym podjazdem przed front domu.

Od czasu jej ostatniej wizyty dawny lokaj został zastąpiony innym. Western był wymagającym pracodawcą, a przy tym miał wybuchowy temperament. Zatrudniał i zwalniał służbę w podobny sposób jak to robił z pracownikami w swojej firmie wydawniczej. A właściwie różnych firmach. Miał kontrolny pakiet udziałów w sieci średniej klasy hoteli, był współwłaścicielem jednego z banków w śródmieściu Londynu, prowadził także drobniejsze interesy w Brazylii i zachodniej Afryce. Wreszcie należały do niego trzy komercyjne stacje radiowe i jedna sieć telewizyjna w hrabstwach środkowej Anglii.

Torbę podróżną i suknię zabrała pokojówka, zaś lokaj - Filipińczyk, jak zauważyła Julia - powiedział, że lord Western czeka na nią w gabinecie. Rozczarowana rozglądała się za lady Western. Pan tego domu był pracodawcą Julii i górą lodową w ludzkim wydaniu. Natomiast w Evelyn widziała przyjaciółkę.

Kiedy weszła do gabinetu, Western coś czytał. Uniósł na nią wzrok, obdarzył przelotnym uśmiechem i zwrócił się do lokaja:

- Whisky z wodą sodową, a dla panny Hamilton wódka z lodem. Jak się masz, Julio. Dobrze przeszła podróż? Widziałem, jak się rozpryskuje mój żwir spod kół twego eleganckiego samochodu. Siadaj, tam. Co u ciebie? Ładnie wyglądasz.

Już się do tego przyzwyczaiła - zadawał pytania, nie czekał na odpowiedź. Usiadła naprzeciw niego, on nawet wskazywał gościom, gdzie mają usiąść.

- Słyszałem - powiedział - że miałeś umówione inne spotkanie.
- Tak - odparła. Ta piekielna sekretarka mu wypaplała...
- Cieszę się, że je odwołałeś i przyjechałeś tutaj. Mam dla ciebie pewną propozycję. Chyba ci się spodoba. Gdzież jest ten idiota z

naszymi drinkami? Pracuje tu już od tygodnia, wydawałoby się, że do tego czasu powinien wiedzieć, jak się poruszać po domu. Na czym to ja skończyłem? Mówiliśmy o twoim wyjeździe z Suttonem gdzieś na weekend?

Trzymała nerwy na wodzy, ale widoczne było, że jest zła, co go wyraźnie bawiło.

- Tak. Mieliśmy jechać nad Avon łowić ryby. Feliks chciał mnie uczyć.

- To istotnie jedyna rzecz, której mógłby cię nauczyć - stwierdził. - Przecież to pijawka. Nie marnuj na niego zbyt wiele czasu. A, nareszcie! - Spiorunował Filipińczyka wzrokiem. Lokaj rzucił nerwowe spojrzenie i podsunął mu tacę. - Najpierw pani! - warknął Western. - Boże Wszchemogący... - Mówił tak, jakby lokaj był meblem. - Nie można wierzyć referencjom, chyba sam je musiał napisać.

Scena była żenująca, więc Julia biorąc szklankę powiedziała bardzo głośno „dziękuję”, żeby wynagrodzić Filipińczykowi to przerażające grubiaństwo.

- Nie mogę znieść głupoty - powiedział Western. - Doprowadza mnie do szału.

- Może nie byłby taki głupi, gdyby go pan śmiertelnie nie zastraszał.

Spojrzał na nią ostro.

- Trzymamy stronę przegranych, co? Evelyn jest taka sama, ale ona nie musi płacić pensji. I nie ośmielaj się mnie krytykować, zabraniam ci. No, a teraz pozwól, że powiem, kto przychodzi na kolację. - Zamilkł. Lubił czasami aktorskie efekty. Julia czekała. Był także tchórzem znęcającym się nad słabszymi i tyranem. Nie znosiła go jako człowieka. Nie mogła jednak nie doceniać jego olśniewającego umysłu i rozsadzającej go energii, która wprost jarzyła się wokół niego jak poświata.

Upił duży łyk whisky.

- Nikt - oznajmił. - Ty, Evelyn i ja. Niemal rodzinne spotkanie.

- Lordzie Western - odparła żywo Julia. - Pan mi ogromnie pochlebia.

- Więc nie rób takiej zawiedzionej miny. To ci się opłaci. Pojedziesz łowić ryby ze swym przyjacielem kiedy indziej. Ten wieczór może być najważniejszy w twoim życiu. A teraz - dopił whisky i wstał - czas się przebrać. Evelyn pojechała do Londynu samochodem, lada moment wróci. Siódma trzydzieści. Nie spóźnij się.

- Nigdy się nie spóźniam - nie mogła sobie odmówić tej uwagi - i pan dobrze o tym wie.

- Moja żona jest niepunktualna, wręcz beznadziejnie. Bardzo cię lubi, sama wiesz. Uważa, że jesteś miłą dziewczyną. Ja sądzę, że jesteś inteligentna. To o wiele ważniejsze.

Wyszedł z gabinetu tak szybko, że zamrużyła oczami ze zdumienia. Nigdy na nikogo nie czekał. Nawet jeśli ktoś był w połowie zdania, zostawiał go i koniec. Co za okropny, egoistyczny buldożer, pomyślała. Nie cierpiała go. Zrezygnowała z reszty wódki i pospieszyła za nim. Skoro powiedział, że ten wieczór może być najważniejszy w jej życiu, to mówił poważnie. Tego była pewna.

Rozdział 2

Western przechadzał się po pokoju, wymachując w czasie rozmowy wielkim cygarem dla zaakcentowania swych słów.

Podczas kolacji nastrój był podminowany. Julia czuła, jak atmosfera staje się coraz bardziej napięta i tym razem nie Western wytwarzał to dramatyczne napięcie. Jego żona była urocza i przyjacielska jak zwykle, ale wyczuwało się w niej jakąś rezerwę. Jakby niepokój. Julia nie potrafiła tego rozszyfrować.

Wreszcie znaleźli się w gabinecie pana domu. Western nagle zwrócił się do Julii.

- Czy miałabyś ochotę na kierowanie zespołem redagującym nowy dział? - Widząc wyraz jej twarzy, rzekł ze złością. - Moje drogie dziecko, na miłość boską, chyba nie pomyślałaś, że zaproponowałbym ci tematykę kobiecą?

- No cóż - odparła. - Właściwie, to tak...

- Publicystyką, redagowaną pod nowym kątem widzenia. Nazwałbym ten dział „Pod światło”. „Herald” jest zobowiązany stać na straży uczciwości w życiu publicznym. Takie sumienie narodu. Publicystyka jako efekt prowadzonego we własnym zakresie dziennikarskiego dochodzenia według amerykańskiego modelu. Żadnych hamulców, każdy chwyt dozwolony. „Wygląd” „Sunday Timesa” byłby przy tym jak podglądanie członków rady parafialnej. - Przerwał. - I co ty na to? Podejmiesz się?

Julia pokręciła głową, zauważyła, że Evelyn bacznie się jej przygląda. Widać było, że oczekuje w napięciu odpowiedzi.

Stanąc na czele zespołu, który miałby się podjąć tak kontrowersyjnego zadania....

- Sama nie wiem... - powiedziała.

- To pierwszy raz ci się zdarza, odkąd cię poznałem - dociął jej. - Mam nadzieję, że nie przemawia przez ciebie skromność. Nie zaproponowałbym ci takiego zadania, gdybym nie wiedział, że sobie poradzisz.

- Wiem - odparła Julia. - Znam pana. Czy to naprawdę oznacza, że miałabym kierować zespołem i nikomu bym nie podlegała?

- Tylko mnie - rzekł. - Podlegałabyś bezpośrednio mnie. Jeżeli dobrze sobie poradzisz, za kilka lat mogłabyś zostać w „Heraldzie” pierwszą kobietą szefem działu wiadomości...

- Billy, nie wywieraj na nią w ten sposób nacisku - przerwała mu żona, po czym zwróciła się do Julii. - To wspaniała propozycja.

- Wiem - odpowiedziała Julia. - I przyjmuję ją. Lordzie Western, naprawdę nie umiem wyrazić swej wdzięczności. Słowo „dziękuję” jest niewystarczające... Nie mogę w to uwierzyć... - Zaśmiała się nerwowo. - To wprost niewyobrażalne...

Western obrócił się w stronę żony. Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę. Potem powiedział:

- Zadzwoń na tego półgłówka z Filipin, żeby przyniósł szampana. Mamy co uczcić.

- Za narodziny nowego działu „Pod światło” - uniósł kieliszek.

- I za ciebie, Julio - dodała Evelyn Western. Wstała. Szczupła jak trzcina w prostej, czarnej sukni z krepdeszynu. Dwa rzędy drobnych pereł jaśniały w świetle. Jedyna biżuteria, jaką nosiła, nie licząc małego pierścionka z szafirem okolonego brylancikami na serdecznym palcu. Prezent od Westerna, dał jej go, zanim zarobił pierwsze miliony. Kiedy się pobierali, był księgowym w małym mieście. Miła, sentymentalna pamiątka.

- Rozumiem, że będziesz chciał z Julią omówić szczegóły, więc idę do łóżka i zostawiam ci ją. Spróbuj nie przetrzymać jej tutaj przez całą noc, dobrze? - Evelyn pożegnała męża czułym uśmiechem, który przeniosła na moment na Julię i wyszła.

Julia zawsze się zastanawiała, jak ona może go kochać. Co było do kochania w Williamie Westernie? A przecież Evelyn to taka przemiała osoba w każdym calu. Julia zrezygnowała z dalszych dociekań. Nigdy nie rozwiąże tej zagadki.

Western skończył szampana.

- Tak naprawdę, to wcale go nie lubię - stwierdził - ale podobno trzeba nim uczcić pomyślność nowego przedsięwzięcia. Przerzucam się na brandy. Chcesz trochę? Nie? W porządku, zostań przy swoich bąbelkach. Tylko nie pij za dużo, musisz mieć jasną głowę. Pewno zastanawiasz się, od czego zacząć. No, cóż, mam już dla ciebie

pierwszy temat. A raczej tarczę strzelniczą, to lepiej oddaje istotę rzeczy. Podoba mi się dźwięk tych słów: tarcza strzelnicza. Musimy to określenie jakoś wykorzystać w związku z naszym planem, tak, to nieźle brzmi...

Usidlona energią i szybkością, z jaką myślał ten człowiek, Julia nie była zdolna do obiektywnego osądu. Tarcza strzelnicza, tak, te słowa przykułyby uwagę, zaostrzyłyby apetyt żadnej krwi publiczności. On znał swoich czytelników...

Trzymając w dłoniach pękaty kieliszek napelniony do połowy brandy, pochylił się ku niej. Była całkowicie pod wrażeniem przemożnej siły jego osobowości. Doznała uczucia gorączkowej radości, nie tak odległego od zmysłowego uniesienia, w jakie wprawił ją Feliks.

- Życzę sobie, żebyś się dobrała do Harolda Kinga - oznajmił. - Chcę dostać głowę tego drania na półmisku. Koszty nie grają roli, możesz zatrudnić tylu ludzi, ilu ci będzie potrzeba, możesz jeździć wszędzie, gdzie uznasz za konieczne. Rozpraw się z nim dla mnie. - Rzucił jej twarde spojrzenie. - Zrób to, a będziesz mogła postawić swoje warunki.

Julia wróciła do zajmowanego przez nią pokoju gościnnego. Na skali uznania Western stała teraz wysoko. Ta sypialnia była dwukrotnie większa od tamtej, którą wskazano jej pięć lat temu i roztaczał się z niej malowniczy widok na jezioro.

Myśli wirowały jej w głowie jak oszalałe. Harold King. Najbardziej kontrowersyjna postać na publicznej scenie. Geniusz, miliarder, brutalny przeciwnik. Człowiek posiadający władzę, uwielbiający być w centrum powszechnego zainteresowania.

Krażyły o nim legendy podsycane przez niego samego; innego rodzaju plotki przekazywano sobie szeptem z ust do ust. Handel bronią, łapownictwo i finansowe macki, sięgające głęboko aż do środkowo-wschodniej Europy.

Miał wpływowych przyjaciół na wysokich szczeblach, którzy go chronili.

- „Rozpraw się z nim dla mnie - powiedział Western - a będziesz mogła postawić swoje warunki”.

Tak jak przyrzekł, to był najważniejszy dzień w jej życiu.

- Nic na to nie mogę poradzić, że mam wyrzuty sumienia - odezwiała się Evelyn Western. - Billy, ona jest ciągle taka naiwna. Nikt inny by się tego nie podjął.

- Właśnie dlatego ją wybrałem - odparł Western. Wyszedł ze swej garderoby, usiadł na łóżku żony i wziął ją za rękę. - Evie, ona jest inteligentna, ambitna i zdecydowana. Moja propozycja nie była nierealną obietnicą przekupstwa, mówiłem poważnie. Jeżeli doprowadzi sprawę do pomyślnego końca, mianuję ją szefem działu wiadomości „Heralda”. A właśnie dlatego, że jest kobietą, może dotrzeć do różnych ludzi i miejsc bez wzbudzania podejrzeń.

- Jak długo jej się to będzie udawało? - Evelyn nie kryła swych wątpliwości. - Ile będzie miała czasu, zanim King zorientuje się, że ona go rozpracowuje? I co wtedy się z nią stanie? Żałuję, że ją zachęcałam. Ona mi ufa.

Uścisnął jej rękę i wziął ją w obie dłonie. Nagle wydał się zmęczony, jakby przygasło w nim jakieś światło.

- Postąpiłaś słusznie - zapewnił ją. - Muszę go zniszczyć, zanim on zniszczy mnie. I w tym celu wykorzystalbym każdego, kogokolwiek. A teraz połóż się wygodnie i weź pigułkę na sen. Nie chcę, żebyś się denerwowała i nie mogła zasnąć. Proszę, masz tu wodę, popij...

- Feliksie! - zawołała Julia, zamykając za sobą frontowe drzwi. - Feliksie? - Nie było odpowiedzi. Doznała uczucia przykrego rozczarowania.

Dlaczego go nie ma? Tak pragnęła podzielić się z nim tą ekscytującą nowiną. Dlaczego musiał iść na tego cholernego squasha, skoro wiedział, że ona wraca do domu?

- Egoistyczny smarkacz - mruknęła wściekła. - Jadę do rodziców, nie będę tu siedzieć całe popołudnie i czekać, aż on wróci. Zatelefonuję i dowiem się, czy zastaną ich w czasie lunchu.

Rodzice Julii mieszkali w hrabstwie Surrey. Ojciec był na emeryturze, rodzinną firmę radców prawnych przejął brat Julii. Dobrze mu się powodziło i rozważał sprawę otwarcia biura w Londynie. Wraz z żoną i dwójką dzieci mieszkali na tym samym co rodzice przedmieściu Hampton. Utrzymywali bardzo bliskie stosunki z rodzicami, którzy do szaleństwa kochali swe wnuki. Julia musiała przyznać, że od czasu, gdy wkroczyła na drogę kariery zawodowej, jej związki z rodziną stały się luźniejsze.

Telefon odebrała matka. Była mile zdziwiona, gdy Julia zapytała, czy może ich odwiedzić.'

- Cudownie, pieczeń wołowa niedługo będzie gotowa... Kiedy przyjedziesz? Nie, to nie żaden kłopot, nie jedź za szybko. Tata tak się ucieszy.

Julii potrzeba było właśnie takich serdecznych słów. Na szczęście jej brata Toma i jego dziatwy tam nie będzie, w przeciwnym razie to oni by całkowicie rodziców zaabsorbowali. Będzie im mogła opowiedzieć o nowym zadaniu, którego się podjęła. Co prawda nie potrafili doszukać się dobrych stron w jej wyborze zawodu. Woleliby, żeby wyszła za mąż za odpowiedniego mężczyznę i założyła rodzinę, ale zawsze byli dla niej oparciem.

Dla odmiany niech teraz Feliks wróci do pustego mieszkania. Wsiadła do samochodu i ruszyła w drogę. Przywiozła Feliksa kiedyś do rodziców na niedzielny lunch. Widziała, że nie zdobył ich sympatii. Niewiele więcej sympatii ona sama czuła do niego w tym momencie i ta myśl ją zdziwiła.

Kłopot polegał na tym, że w chwili, gdy ją dotykał, topniała niby świeca pod wpływem płomienia.

Lunch był znakomity. Dobre, proste, angielskie jedzenie, najlepsze na świecie, jak zawsze powtarzał ojciec. Nie znosił mięsa spaskudzonego sosami i startych warzyw, w które nawet nie można wbić zęba. Julia słuchała go z czułością. Nic się nie zmienił - był niewzruszony jak skała w swej prawości, konserwatywnych poglądach politycznych i uczciwości męża, ojca i radcy prawnego. Lata praktyki w zawodzie dały mu możliwość dokładnego poznania ludzkiej natury, nie skazując go cynizmem. Już to samo w sobie było niezwykle. Zwrócił się do niej z serdecznym uśmiechem:

- Wyglądasz na bardzo ożywioną, Juliette. - Tym zdrobnieniem zwracał się do niej w dzieciństwie. - Coś się wydarzyło?

Sprzątnęli ze stołu, Julia pomogła matce włożyć naczynia do zmywarki, a teraz siedzieli w ogrodzie przy kawie. Było piękne, wiosenne popołudnie.

- Właśnie - wtrąciła matka. - Wyglądasz jak kot, który dobrał się do śmietanki...

- Bo tak się stało - odpowiedziała Julia. - Byłam z wizytą u szefa. Wróciłam stamtąd dzisiaj rano. Złożył mi niesłychaną propozycję - będąc prowadziła własny dział publicystyczny.

- Co? - Radosny uśmiech matki nieco przygasł. Julia uświadomiła sobie, że matka miała nadzieję na inny rodzaj śmietanki. Miły mężczyzna, perspektywa małżeństwa. Nie z Feliksem, który zachowywał się jak zarozumiały gbur, kiedy go im przedstawiła. - Jaki rodzaj publicystyki?

- Będzie trochę podobna do „Wglądu”, tylko bardziej bezkompromisowa, agresywna.

Ojciec był zagorzałym czytelnikiem „Sunday Timesa”.

- Dobry Boże - powiedział. - To rzeczywiście ekscytująca nowina. I ty masz tym kierować?

- Tak - skinęła głową. - To będzie moje dziecko. Zostałam szefową. Nikomu nie będę podlegać, poza Westernem. A on chce, żebym dobrała się do wszystkich brudów, które ma na sumieniu Harold King! Czy to nie zdumiewające? Wysokie wynagrodzenie, zwrot wydatków, własny personel, wszystko, co zechcę...

Matka milczała. Grzebanie się w brudach nie przemawiało do niej. Po chwili odezwał się ojciec:

- Harold King... Czy to nie on wykończył jednego z sędziów Sądu Najwyższego w związku z jakimś śledztwem prowadzonym parę lat temu? Tak, to on, przypominam sobie. Na twoim miejscu byłbym raczej ostrożny, bo możesz sobie zrobić z niego wroga. Ma fatalną reputację.

- Znam jego reputację - odparła Julia. - I jest oczywiste, że on sam taką opinię o sobie podtrzymuje, gdyż ma wiele do ukrycia i chce ludzi zastraszyć. Tato, ja się nie boję.

- Tak, znam cię - powiedział ojciec. - Zawsze byłaś odważną dziewczynką. Ale uważaj, dobrze? Nawet tu, na prowincji dochodziły do nas bardzo niepokojące słuchy o tym dżentelmenie, między innymi, jak potrafi obchodzić prawo. - Czując, że przygasił jej entuzjazm, dodał: - Ale gratulujemy ci, kochanie. Jesteśmy bardzo z ciebie dumni, prawda, May?

- O tak, bardzo - odrzekła matka. I to była prawda. Byli bardzo dumni ze swej córki, nawet jeśli znalazła się w środowisku, z którym nie mieli nic wspólnego. O jej karierze zawodowej świadczyły zewnętrzne oznaki - bardzo drogi samochód, wytworne stroje, wspaniałe prezenty, które dawała im na Boże Narodzenie i na urodziny. Lecz ten nowy styl życia był im obcy.

Przyznawali, że są staromodni i starali się jej nie osądzać.

Swobodniej jednak czuli się w towarzystwie syna i synowej, miłej, rozsądnej dziewczyny, no i ukochanych wnuków. Wysoka pozycja społeczna i splendor bardzo się liczą, ale kobieta potrzebuje w końcu stabilizacji. I to nadejście, pocieszali się nawzajem. Naprawdę szcycili się córką, która stała się w swoim zawodzie taką gwiazdą.

Dla Julii to było radosne popołudnie. Bez trudu dała się namówić, żeby została na kolacji. Podano jak zwykle zimną pieczeń wołową, która została z lunchu, do tego sałatę i gorące ziemniaki. Poczula, jak nagle ogarnia ją tęsknota za czasami dzieciństwa. Była wtedy bardzo szczęśliwa. Żadnych urazów, żadnych wstrząsów psychicznych w okresie dojrzewania, życie zawsze stabilne i przewidywalne od

najwcześniejszych wspomnień. Wiele zawdzięczała tym podstarzałym rodzicom zastygłym jak owady zatopione w bursztynie w tradycji swej sfery i wychowania.

Z zadowoleniem myślała, że za pieniądze, która zarobi, kupi ojcu nowy samochód. W drodze powrotnej do Londynu przyrzekła sobie, że będzie musiała wygospodarować więcej czasu, aby ich częściej odwiedzać.

Kiedy weszła do domu, zorientowała się, że Feliks już wrócił - rakietki i pulower leżały rozrzucone w holu. Był bałaganiarzem i Julia zwykle po nim sprzątała, żeby uniknąć kłótni. Twierdził, że jemu nieład nie przeszkadza. Jej tak? - w porządku - jak chce, niech sobie wszystko układa na miejsce, jemu by nie zawadzało, gdyby ona rozrzuciła swoje rzeczy.

Przeszła do salonu. Siedział wyciągnięty na fotelu, przynajmniej raz telewizor był wyłączony. Czytał „Observera”. Uniósł głowę, uśmiechnął się do niej szeroko i odrzucił na bok gazetę.

- Cześć, gdzie byłeś?

- W Hampton. Jadłam lunch z rodzicami.

- Oo, tobie to dobrze. Jakie nowiny, kochanie? Chodź tu i opowiedz...

Gdybyś był, kiedy wróciłam, nie musiałbyś teraz pytać, pomyślała Julia, ale powstrzymała się od złośliwości. W ich związku, za obojorną zgodą, pozostawali niezależni.

- Otrzymałam bardzo ciekawą propozycję. - Usiadła i spytała: - Może podałybyś mi drinka?

Przyniósł jej wódkę z lodem.

- To wspaniale. Jaka?

Powiedziała mu, choć bez poprzedniego entuzjazmu. Wręcz chłodnym tonem. I z jakiejś przyczyny, biorącej się pewno z urazy, nie wspomniała o Haroldzie Kingu, jakby za karę zachowując najlepší kasek w tajemnicy.

Bardzo się ucieszył. Nie był zazdrosny. Czasami myślała, że to dlatego, iż on miał tak dobre mniemanie o własnych zdolnościach. Cienia pretensji do całego świata ze strony Feliksa w związku z tą sytuacją. Chwała Bogu.

Wstał, przeciągnął się i spojrział na nią.

- Już późno i nic nie ma w telewizji. Może poszlibyśmy do łóżka?

Miała ochotę powiedzieć nie, idź sam, jestem zmęczona i w ten sposób nadwerżyć to jego irytujące zarozumiałstwo. Lecz nie powiedziała. Na nic by się to nie zdało.

Kiedyś, po scysji, spróbowała takiej taktyki, a on jedynie wzruszył ramionami i rzekł: „Jak chcesz”. Rano skapitulowała i pierwsza podjęła inicjatywę fizycznego zbliżenia.

- Taka jesteś bystra laseczka, co? - mamrotał, gdy jego język zaczynał już zgłębiać wnętrze jej ucha. W intymnych momentach używał często wobec niej wulgarnych wyrażań, ale ona się tym nie przejmowała. Podciągnął ją i posadził na sobie. Nie, ja tego dłużej nie zniosę, ja muszę to przerwać - przez moment przebiegły jej przez głowę te myśli. A potem płomień przy palił świecę i zaczęła topnieć.

Telefon w biurze Julii zadzwonił tuż przed porą lunchu. Spisała wszystko, co miało być jej potrzebne w związku z nową pracą. Western zaoferował jej kilka biurowych pomieszczeń w mieszkalnej nadbudówce wieżowca. Zgodziła się na nie i poprosiła o prywatną linię telefoniczną, nie połączoną z centralą. Była zadowolona, że w rozmowie z Feliksem nie wspomniała o Haroldzie Kingu. Rano każde z nich poszło w swoją stronę, a ona czuła się poniżona rodzajem ich seksualnego pożycia. Oni już nie kochali się ze sobą. Oni tylko uprawiali seks. Żalotne doznanie. Przestała o tym myśleć i zabrała się do pracy. Doszła do przekonania, że pomyślność nowego zamierzenia zależy od całkowitej dyskrecji. Właśnie w tej sprawie musi zatelefonować do rodziców i prosić ich o zachowanie w sekrecie tego, co im powiedziała. Ale był jeszcze inny problem. Bardzo trudno powstrzymać rozprzestrzenianie się plotek na terenie biura i zapobiec przenikaniu ich do niewielkiego, hermetycznego świata mediów. Jednym z warunków, jakie postawi każdemu z zatrudnionych pracowników, będzie obowiązek zachowania absolutnej tajemnicy, pod groźbą wyrzucenia z pracy bez wypowiedzenia. Podniosła słuchawkę.

- Julia Hamilton.

Usłyszała głos Bena Harrisa.

- Otrzymałem z góry prywatną notatkę. Nie przychodź do mnie do biura. Spotkamy się w pubie za pół godziny.

Kiedy tam weszła, siedział przy stoliku w kącie. Wokół kłębił się tłum chętnych do przekąszenia czegoś w południe.

- Cześć, Ben. Przepraszam, że czekałeś. Zanim wyszłam, akurat ktoś się zjawił.

- Nie ma sprawy. Nie zmarnowałem okazji i wziąłem coś do picia. Dla ciebie to co zwykle?

- Dlaczego ja nie mogę postawić? - zapytała. - Chcesz szkocką? Kiwnął głową.

- Ja stawiam następną kolejkę.

Usiadła koło niego.

- Skąd to zastrzeżenie, żebyś nie przychodziła do ciebie do biura?

- Chciałem z tobą porozmawiać. - Zapalił papierosa. Był nałogowym palaczem. - Mam tu notatkę od Starego o tobie. W związku z twoją nową pracą.

- Tak - powiedziała Julia. - Wiedziałaś, że zamierza sam ci o tym powiedzieć. Ja o nią nie prosiłam. Niczego nie robiłam za twoimi plecami.

- Wiem o tym - odparł burkliwie. - W odróżnieniu od innych ty się tak nie zachowujesz. Mój kontrakt wygasa za pięć lat. Nie miałbym nic przeciwko temu, żebyś przejęła moje stanowisko, Julio. Nigdy nie myślałem, że komuś to powiem, ale to prawda. Stałaś się cholernie dobrym redaktorem.

- W twoich ustach to prawdziwy komplement. Ty jesteś najlepszy.

Zmrużywszy oczy w kłębie dymu, spojrzął na nią badawczym wzrokiem.

- Pamiętaj, jak ci mówiłem, żebyś nie zabierała się do sprawy morderstwa walijskich dzieci? Nie chciałaś słuchać. I miałaś rację. Podołałaś temu zadaniu, napisałaś książkę, wyrobiłaś sobie nazwisko. Zanim powiem więcej, chcę, żebyś wiedziała, że nie zamierzam cię krytykować czy wpływać na twój styl pracy. Jesteś inteligentną dziewczyną i do tego odważną. W tej grze to się liczy. Lubię cię. Więc tym razem mnie posłuchaj. Na miłość boską, nie tykaj tej sprawy. Nie urządzaj polowania na Harolda Kinga!

Julia odstawiła kieliszek.

- Nie wiedziałaś, że zamierza ci to powiedzieć. Mówił, że rzekomo w tym stadium nikt nie ma wiedzieć...

- Miał swoje powody - mruknął. - Wiem sporo o Kingu. Stary zażądał, żebyś mi pomógł. Odmówiłem.

- O Boże! - wykrzyknęła. Nie chodziło jej o nią, zlekła się o Harrisa. - Sprzeciwiłeś mu się, Ben, wiesz jaki on jest, wystarczy mu pretekst i cię wyrzuci.

- Nie zrobi tego - rzekł Harris gorzko. - Pozwól mi powiedzieć sobie parę rzeczy na temat Kinga. Nie, posłuchaj mnie. Nie mówię o tym, co jest publiczną tajemnicą. To mu dobrze służy. Chodzi mi o to, kim on jest naprawdę. Zjawił się znikąd i tak dobrze zatarł swe ślady, że nikt nie jest w stanie dowiedzieć się, skąd on właściwie pochodzi i jaka była jego przeszłość. Poza tym, co sam twierdzi, że jest Pola-

kiem, lecz i to nie jest wcale pewne. Mówi biegle po angielsku, bez żadnego akcentu. Ale także zna niemiecki jak rodowity Niemiec. Mógłby być kimkolwiek. Słyszałaś o jego interesach i balansowaniu na pograniczu prawa. Każdego, kto mu się sprzeciwi, unieszkodliwia, wytaczając proces o zniesławienie. Krążą plotki, że ma powiązania z mafią, jest zamieszany w handel narkotykami i bronią. Unurzany po uszy we wszelkie możliwe brudy, jakie mogą przyjść ci na myśl. Przekupuje ludzi lub ich szantażuje. Albo stosuje obie te metody naraz.

- Skąd to wszystko wiesz? - spytała.

Zgasił w popielniczce dopalonego papierosa i zapalił następnego.

- Ponieważ ja sam zacząłem badać tę sprawę. Dziesięć lat temu. W pewnej chwili Western wycofał się i nakazał mi zaniechać dalszego dochodzenia pod groźbą utraty pracy.

- Jak to możliwe. - Trudno jej było w to uwierzyć. - Mimo tego, co mi powiedział, kazał ci zaprzestać? Dlaczego?

- King ma coś na niego - powiedział prawie szeptem. - Domyślałam się, że teraz King zamierza to ujawnić i Western woli zaryzykować i uderzyć pierwszy. Albo raczej zrobić to na twoje ryzyko. Taki jest jego główny zamysł.

- Co to może być? - zastanawiała się. - Miałby mieć coś na Staroego? To dlaczego nie wykorzystał tego wcześniej? Oni się nienawidzą, o tym wszyscy wiedzą.

Ben Harris nie odpowiedział. Odsunął krzesło i wstał.

- Przyniosę drinki. Może chcesz kanapkę?

- Nie jestem głodna i więcej nie będę pić. Dzisiaj po południu pracuję. Ben, daj spokój z tymi aluzjami. Powiedz mi coś konkretnego.

- A zastosujesz się do mojej rady? - Szedł już w stronę baru.

- Nie - odparła. - Nie mam zamiaru.

- No to możesz wracać do tych swoich eleganckich apartamentów - powiedział opryskliwie. I to był stary Ben Harris, zazdrosny, trudny we współzyciu, człowiek, którego nikt nie lubił.

Julia potrząsnęła głową.

- Nie pozbędziesz się mnie w ten sposób - powiedziała spokojnie. - Dobrze, niech będzie. Wódka z lodem. Mała.

Wrócił i usiadł przy stoliku. Na talerzu miał kanapkę z serem i piškami. Odgryzł kęs.

- Ben - odezwała się Julia. - Spójrz na to inaczej. Jeżeli King jest taki, jak go opisałeś, to ktoś powinien coś z tym zrobić! Za miast mnie powstrzymywać, powinieneś mi pomóc go zdemaskować.

Podniósł na nią wzrok.

- Widzisz Julio, z rozgłosem bywa dziwnie. Kiedy człowiek znajdzie się w centrum uwagi, a przyzna, że ma coś nieczystego na sumieniu, to gdy jest w jakiejś mierze sławny, wtedy wspaniała, angielska publiczność obdarzy go miłością. Powiedzą sobie, no, cóż, był wprawdzie niegrzecznym chłopcem, ale nie jest taki zły. Spójrzcie, co zrobił dla tych małych uciekinierów z Rumunii, no i przecież uratował też Klub Piłki Nożnej z Brighton, gdy chłopcy zwrócili się do niego. W głębi serca jest dobrym człowiekiem. Znasz ten sposób pozyskiwania zaufania, wydaje mi się, że to zawsze odnosi skutek. Osobiście nie rozumiem takiej mentalności, ale nie muszę. Ja jestem Walijszym. King sam stworzył swój wizerunek. Biedny chłopczyzna-uciekiniar, zabrany z obozu dla uchodźców przez urzędniczkę UNRRA o gołęmbim sercu.

- Ludzie poczują do takiego skrywany podziw - mówił dalej.

- Myślą sobie, patrzcie, do czego doszedł. Co za pieniądze, co za rozmach. Może i czasem szedł na skróty, ale kto tego nie robi...?

- Ben - spytała Julia łagodnie. - Dlaczego nie chcesz mi po moc?

Spojrzał na nią. Nigdy dotąd nie zwróciła uwagi na jego oczy. Były czarne jak walijski węgiel.

- Ponieważ się o ciebie boję - odparł. - Było kiedyś dwóch ludzi dostatecznie bogatych, żeby zmusić Kinga do odkrycia kart. Alfred Hayman, szef wytwórni filmowej „Eros” i J.D. Lewis, właściciel międzynarodowej korporacji wydawniczej. Obydwaj dużego formatu przedsiębiorcy i do tego nieustępliwi. King chciał zawładnąć ich rynkami zbytu - kinami, telewizją oraz dużą firmą wydawniczą i siecią periodyków. Zastosował wobec nich swoją zwykłą metodę: wykupywanie udziałów, rozpuszczanie plotek mających na celu obniżenie cen akcji za pomocą chytrze spreparowanych artykułów prasowych, zamieszczanych na finansowych kolumnach w czasopiśmie, a rozważających rzekome przyczyny powodujące przypuszczalny spadek zysków. Hayman i Lewis przezwyciężyli te ataki. Rozgromili drania w jego zapędach do przejścia kontroli nad ich przedsiębiorstwami i każdy z nich zaczął się do niego dobierać. - Harris utkwiał wzrok w oczach Julii. - Obaj nie żyją. Haymana zamordowano na Bahama, a samochód Lewisa został zepchnięty pewnej nocy z szosy przez inny samochód. Wracał właśnie do domu w hrabstwie Kent. Nikt nie został oskarżony o spowodowanie ich śmierci. King nie był w stanie ich powstrzymać, więc według mnie dopuścił się morderstw. Pojechałem na Bahama, żeby rozejrzeć się w sprawie zabójstwa Haymana. Rozmawiałem z policją. Pozwolono mi

nawet obejrzyć ciało. To było morderstwo na zlecenie upozorowane na rabunek. Pamiętam rozmowę przy kieliszku z tamtejszym policjantem, który prowadził dochodzenie. Bardzo bystry człowiek, robił dobre wrażenie. Powiedział mi: „Tego nie zrobił nikt z miejscowych. U nas nie zabija się człowieka, przystawiając mu pistolet do ucha, żeby potem przewrócić do góry nogami jego mieszkanie w poszukiwaniu kosztowności. Nasi użyliby kija albo noża. Morderca był wynajęty i nie pochodził stąd. Według mnie przyjechał ze Stanów”. Hayman walczył z Kingiem jego własną bronią, wykupywał udziały w spółce Kinga „Promocja Mediów” za pośrednictwem podstawionych ludzi i zamierzał w końcu usunąć go z zarządu.

- A ten drugi, Lewis, szef korporacji międzynarodowych wydawców? - spytała Julia. - Badałeś także jego przypadek?

- Tak, na własną rękę. Zakazano mi się tym zajmować po śmierci Haymana, lecz kiedy Lewis został zabity, nie mogłem tego tak zostawić. To mi nie dawało spokoju. Czulem, że King jest w tę sprawę zamieszany. Nie znalazłem niczego, co można by przeciwko niemu wykorzystać. Po prostu wypadek drogowy na mokrej szosie. Sprawca uciekł. Lewis prowadził bentleya. Te samochody są jak czołgi. Musiała go walnąć jakaś diabelnie wielka ciężarówka, bo samochód wyleciał przez barierę i stoczył się z nasypu. Był zgnieciony jak pudełko zapalek. Jeśli się chce zepchnąć taki samochód bez narażenia siebie, trzeba uderzyć z boku z siłą co najmniej trzech ton. Na podstawie śladów opon policja ustaliła, że Lewis jechał z szybkością około stu trzydziestu kilometrów. Już ci mówiłem, że nie odnaleziono ciężarówki ani jej kierowcy. Sprawa zamknięta. Jak Haymana. Czy teraz nadal chcesz prowadzić osobistą kampanię przeciwko Haroldowi Kingowi? Coś ci powiem. Idź i przemysł to. Usiądź w tym swoim sztywnym biurze z pięknym widokiem i wyobraź sobie, jak to będzie, kiedy pewnej nocy obudzisz się i zobaczysz pochylonego nad sobą zamaskowanego mężczyznę z nożem w ręce. Są płatni mordercy, którzy specjalizują się w zabójstwach na tle seksualnym. Jeżeli ofiarą padnie kobieta, policja nabierze się na ten scenariusz.

Julia wstała.

- Nie masz żadnych dowodów, Ben - powiedziała z namysłem. - Po prostu chcesz mnie nastraszyć. A gdybyś rzeczywiście w to wierzył, to powinienes mi pomóc, żeby go powstrzymać. Wracaj do biura i przemysł to. Dzięki za drinki.

Ben Harris obserwował ją, kiedy wychodziła. Kilku mężczyzn obejrzało się za nią. Szczupła, bardzo zgrabna, o wspaniałych nogach.

I ta okalająca głowę strzecha rudych włosów, pulsująca czerwienią jak ostrzegawcza boja świetlna.

Nie posłucha go. Jest uparta i odważna. A Western złowił ją na wędkę. Podobnie jak kiedyś jego, wiele lat temu. Zaś potem - Harris zwierzał się resztce whisky w szklance - nie pozwolił mu dokończyć rozpoczętego dochodzenia i dał mu stanowisko naczelnego redaktora działu wiadomości jako nagrodę pocieszenia. Harris nie bał się Westerna i nie krył się z tym. Przy kilku okazjach Western usiłował manipulować relacjami i Ben mu się postawił, wierny swemu powołaniu. Wprawdzie jego małżeństwo się rozpadło, a dorosłe dzieci ograniczyły rodzinne stosunki do wysyłania mu kart świątecznych, on pozostał wierny swej profesji.

Był zazdrosny i podejrzliwy wobec wszystkich nowych pracowników redakcji, gdyż nie potrafiłby stawić czoła przyszłości bez tej pracy. Był nawet zazdrosny o Julię Hamilton po sukcesie jej książki o morderstwie bliźniaczk.

Zazdrosny, lecz jednocześnie w głębi swego serca profesjonalisty podziwiający ją za talent połączony z odwagą. Była sympatyczną dziewczyną, nie mógł temu zaprzeczyć. Sukces nie przewrócił jej w głowie, próżność nadal była jej obca. Pamiętał, co powiedział jej, gdy wróciła z Walii. Chryste, mruknął, jakby to było wczoraj. Miała poszarzałą twarz, podkrążone oczy. Western rzucił ją na najgłębszą wodę, zlecając opisywanie okoliczności ohydnej zbrodni, popełnionej na dwóch bezbronnych, małych dziewczynkach. „Ta sprawa naznaczyła cię swoim piętnem, to widać”. Był wtedy rozżalony i zły, gdyż zdał sobie z przerażeniem sprawę, ile naprawdę kosztowało ją to doświadczenie.

Sam miał córkę, jeśli nawet jej nigdy nie zależało, żeby się do niego zbliżyć. Julia Hamilton wejrzała w najczarniejsze dno człowieczego zła, a mimo to nie utraciła wiary w ludzi. Kiedy to wszystko dotarło do świadomości Bena Harrisa, postanowił udzielić Julii poparcia. Nie miała zamiaru podstawić mu nogi i zająć jego miejsca; inni może by chcieli, ale to nie było w jej stylu.

Był z nią w przyjacielskich stosunkach - tak je określał - do czasu, gdy zaczęła się zadawać z tym napuszonym gówniarzem Suttonem. Właśnie wtedy stał się drażliwy, czepiał się byle czego i bywał naprawdę przykry. Nigdy nie rozumiał kobiet. Na to użalała się jego żona, a on się z nią nie spierał. Wychodził do pubu albo wracał do pracy.

Julia nie obawiała się podjęcia czekającego ją zadania. Wiedział o tym. Była wstrząśnięta, to widział, lecz nadal zdecydowana działać.

Nie zawaha się i do Kinga dotrą niedługo pogłoski, że ktoś węższy, usiłując odkryć jego przeszłość.

Zamówił jeszcze jedną szkocką. „A gdybyś rzeczywiście w to wierzył, to powinieneś mi pomóc, żeby go powstrzymać. Wracaj do biura i przemysł to...”. Rozmyślał nad tym, kiedy wkraczał do wielkiego, należącego do Westerna wieżowca ze stali i szkła. Wrócił do tego po zakończeniu dnia pracy. Myślał o tym w domu, siedząc przed migoczącym ekranem telewizora.

Nie miał wiele do stracenia. Wycofał się, gdyż takie polecenie otrzymał od Westerna. Czy rzeczywiście mógł pozwolić, żeby ta uparta, młoda kobieta wzięła na siebie dochodzenie w sprawie Harolda Kinga, a on w tym czasie miałby siedzieć z założonymi rękami? Nacisnął guzik pilota. Obraz znikł, na ekranie zostało tylko maleńkie, purpurowe oczko, które także zaraz zbladło i zgasło. Wstał, otworzył szafkę w sypialni i wyjął akta złożone w nie opatrzonej żadnym napisem teczce.

Rozdział 3

- **Z**jedźmy dziś kolację na mieście - zaproponowała Julia.

Feliks spojrział na nią i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Dobry pomysł. Kto płaci? Kupiłem po południu nowy garnitur i parę koszul. Jestem splukany.

- Ja stawiam - odparła Julia. - A ty lepiej włóż ten nowy garnitur. Idziemy do „Mario's”.

- Naprawdę? - wytrzeszczył na nią oczy. - Kochanie, ty masz płacić, a tam za sok pomarańczowy żądają dziesięciu funtów. Czy coś świętujemy?

- Nie - odpowiedziała. - To na koszt firmy. Po prostu chcę tam pójść i obejrzeć sobie ten lokal. Zamówiłam stolik na dziewiątą. Idę się przebrać.

Kierownik sali w „Mario's” był przyjacielem Bena Harrisa. Julia odkryła nieoczekiwany aspekt osobowości Bena. Znał niezliczoną liczbę nieprawdopodobnych ludzi i mógł w razie potrzeby prosić ich o różne informacje. Jak tę, w jaki dzień tygodnia jada w „Mario's” kolację Harold King z rodziną. Regularnie zabierał żonę i córkę na kolację do „Mario's”, to był cotygodniowy rytuał. Miał tam zarezerwowany stolik na wypadek, gdyby zatelefonował w ostatnim momencie. Harris mówił, że zawsze zamawiał te same dania. Na przekąskę pasztet strasburski, potem stek i na deser „bombę-niespodziankę”. Żona i córka zwykle piły bordo po sto dwadzieścia funtów butelka, Ch. Haut Brion z osiemdziesiątego drugiego, a po puddingu Krug, też z jakiegoś dobrego rocznika. King nigdy nie brał do ust alkoholu. Całe życie był abstynentem.

Julia włożyła krótką, czarną spódniczkę i do niej bluzkę na ramiączkach naszywaną cekinami. Wiszące, kołyszące się kolczyki ze

sztucznych brylantów na tle płomiennych włosów wyglądały jak mieniące się kaskady.

Feliks zagwizdał na jej widok i powiedział:

- Świetnie wyglądasz. Powinnaś częściej zabierać mnie do restauracji. Jak ci się podoba moje ubranie? Sympatyczny, konserwatywny uniform z Izby Gmin, prawda?

- Bardzo eleganckie - przyznała. - Ty też dobrze wyglądasz. Chodźmy, będziemy mogli napić się drinka przy barze i poobserwować gości.

Pojechali samochodem Julii. W czasie drogi zapytał ją od niechcienia:

- Co ty właściwie kombinujesz? Nie jedziemy na koszt firmy do najdroższego wodopoju w Londynie, żeby przypatrzeć się wystrojowi wnętrza. Kto cię interesuje?

- Harold King - odpowiedziała z ożywieniem. - Doszły mnie pogłoski, że ubiega się o tytuł lorda. Słyszałeś może coś na ten temat? Byłby ciekawy przyczynek do szkicu biograficznego.

Zmarszczył brwi.

- Nie słyszałem i w to nie wierzę. On jest cholernym kanciarzem i nigdy by mu nie przyznano takiej godności. Może mamy tu głupi, wszawy system, ale nikt by go nie poparł jako przyszłego członka Izby Lordów. Masz zamiar napisać jego szkic biograficzny?

- Nie - odrzekła. - Tak mi to przyszło do głowy przez moment. Być może będziemy chcieli bliżej się przyjrzeć systemowi nadawania godności szlacheckich i odznaczeń.

- A, rozumiem - oparł się wygodniej na siedzeniu. - „Pod światło” na tropie przekupstwa, handlu zaszczytami, no Julio, to wspaniały temat. Dopóki sama nie będziesz startowała do Orderu Imperium Brytyjskiego pewnego dnia... Oni mają długą pamięć.

- Hej - odezwał się Feliks, gdy zajęli miejsca na górnym piętrze restauracji. - To nawet całkiem elegancki lokal. Sądzę, że mógłbym się przyzwyczaić do takiego stylu życia, a ty?

Sala była długa o ścianach wyłożonych osiemnastowieczną sośnową boazerią. Stały tam wygodne, olbrzymie kanapy i gdzieś tam fotele. Wokół wisiały wspaniałe obrazy scen myśliwskich, na głównym stole pośrodku ustawiono świeże kwiaty i ułożono stosy czasopism. Wystrój był pastiszem angielskiej, wiejskiej rezydencji i pozostawał w pomysłowym kontraście z salą na dole, urządzoną w nowoczesnym, włoskim stylu. Nie było baru, przyjmowano zamówienia od gości i przynoszono im napoje.

Julia zobaczyła ich, siedzących w rogu sali. Harold King z żoną i córką. Często pokazywano go w telewizji i prasie, lecz ten człowiek w rzeczywistości wyglądał inaczej. Był wyższy, niż się spodziewała, wianuszek siwych włosów okalał łysą czaszkę. Ponad ciężkimi powiekami jasnoszarych oczu stroszyły się siwe brwi. To była brzydka, mięsista twarz o grubych rysach, fałdy skóry szyi opadały na kołnierzyk koszuli. Miał potężne ciało, barczyste ramiona i kostropatą, prawie brązową cerę - trudno było stwierdzić, czy to naturalna opalenizna czy sztuczna. Siedział na fotelu nieelegancko rozwalony z rozstawionymi nogami. Coś mówił, a jego ręce były w nieustannym ruchu. Po prawej stronie siedziała bardzo szczupła, ciemnowłosa kobieta, słuchała go z uśmiechem i potakiwała głową od czasu do czasu. Była pięknie ubrana, kołnierzyk jej czarnej sukni zdobiła okazałych rozmiarów broszka z brylantów i rubinów. Gdy gestykułowała, brylant wielkości kamyka pobłyskiwał niebieskawym blaskiem. Żona od trzydziestu dwóch lat. Marilyn - eks-modelka, eks-drugorzędna aktorka. I nie do wiary, ale ta drobna i wątła istota z bardzo dyskretnym makijażem była matką niezgrabnej blondyny, siedzącej po drugiej stronie Kinga. Gloria King, okrutnie niewłaściwe imię dla damskiej wersji własnego ojca. Jasne, prawie białe włosy, takie jak jego szare oczy z żółtymi powiekami, grube rysy, ciężka figura. Komplet złotej biżuterii z brylantami krępował jej szyję i nadgarstek jak kajdany. Nie odrywała wzroku od twarzy ojca. Wpatrywała się w niego spojrzeniem pełnym podziwu.

- To King - szepnęła Julia do Feliksa. - Tam, z żoną i córką.

Feliks zaczął się na nich otwarcie gapić.

- Jezu - powiedział z uśmiechem. - Będzie potrzebowała cholernie dużej gotówki, żeby ją ktoś zechciał. Chociaż gdyby się wystarczająco długo myślało o tych pieniądzech, nabrałoby się energii. Mamuśka wygląda z pewnością lepiej. Trochę jak jakieś starocie z muzealnych zbiorów mumii.

- Feliks - syknęła Julia. - Ciszej. - Jej ostrożność była zbyt duża, gdyż właśnie w tej chwili Harold King zaczął wrzeszczeć.

- Gdzie jest, do diabła, karta dań? Gdzie jest Phillipe?

- Zaraz przyjdzie, sir - zapewnił go zdenerwowany kelner, podający wino. King rzucił mu groźne spojrzenie. Jego głos rozniósł się po cichej sali, więc rozmowy ucichły i oczy wszystkich gości zwróciły się na niego.

- Zaraz ma się tu zjawić! Idź i powiedz mu, żeby się pośpieszył!

Kierownik sali już zmierzał szybkim krokiem w jego kierunku. King czekał, aż dojdzie do stolika.

- Chcę jeszcze jedną butelkę Perriera i kartę dań - co tu, do cholery, się dzieje? To nazywacie obsługą?

Phillipe był współwłaścicielem restauracji mającej międzynarodową renomę. Trzymał oprawione w skórę menu.

- Proszę, panie King, oto ona.

- Zabieraj to, wiesz doskonale, co zawsze zamawiamy. - Odprawił kierownika gniewnym gestem dłoni. Phillipe skłonił się lekko i rzekł uprzejmym tonem:

- Oczywiście. Natychmiast podamy Perriera.

- Mój Boże - powiedziała Julia. - Widziałeś coś takiego? Co za świnią!

Feliks wzruszył ramionami.

- On się tak zabawia. Chce ściągnąć na siebie uwagę. To jest część gry. Założę się, że jak wychodzi, daje temu Phillipe, czy jak mu tam, niezły napiwek, a ten służalczy fagas bierze forszę i nisko się kłania.

- Nic cię to nie obchodzi, prawda, Feliksie? - spytała ze złością. - Jak możesz usprawiedliwiać podobne zachowanie?

- Ponieważ ja nie osądzam ludzi, tak jak ty - odparował. - To ty jesteś dziennikarzem prowadzącym krucjatę, nie ja. Poza tym mam zamiar obracać się wśród polityków, nie mogę sobie pozwolić na popieranie przegranego. To się nie oplaca.

- Więc nigdy nie dostaniesz się na szczyt, Feliksie - powiedziała spokojnie. - Żartujesz sobie z Warburtona, ale to on reprezentuje prawdziwe wartości i prawość. Dlatego darzony jest zaufaniem. Chodźmy do naszego stolika. - Wstała, a on podążył za nią wzruszywszy ramionami. Ona była rozdrażniona, a on poirytowany, gdyż chciał przyjemnie spędzić czas. Nie pragnął wykładów o moralności, zdecydowanie wolał pulpety z homara.

Harold King zauważył rudowłosą kobietę, kiedy przechodził obok nich w drodze do specjalnie zarezerwowanego stolika. Ustawiono go w środkowej części sali, co dawało tę korzyść, że King mógł widzieć wszystkich i wszyscy widzieli jego. Zwrócił na nią uwagę, gdyż nie znosił takiego koloru włosów. Zawsze uważał, że kobieta napiętnowana takim znamieniem, nie może być uznana za atrakcyjną. Pewnego dnia spostrzegł w sekretariacie kobietę o rudych włosach, kazał jej je przefarbować, jeżeli nie chce być wylana z pracy.

Ze złością typową dla kobiet o tej kolorystyce powiedziała mu, żeby pilnował swego nosa i wybiegła z pokoju we łzach. Poleciał działowemu kadr, żeby nie dawał jej referencji.

Ale ta tutaj była mu znajoma. Rozpoznał protegowaną gwiazdę

Westerna, dziennikarkę, która relacjonowała sprawę zamordowanych dzieci walijskich, a potem napisała poważne, psychologiczne studium na temat tej zbrodni. Julia Hamilton.

Wczytywał się w każde słowo w gazetach Westerna, londyńskich i prowincjonalnych. Notował sobie nazwiska dziennikarzy, główne źródła reklam, opinie polityczne, poglądy w sprawach socjalnych, ekonomicznych i rozwiązań problemów światowych. King zawsze dogłębnie badał cel, zanim weń uderzył.

Ta dziewczyna rzeczywiście się wybiła, obserwował ją spod zmrużonych powiek, nie zwracając uwagi na jej towarzysza, jakiegoś młodego trutnia. Kiedy nadejdzie czas, mogłaby być niezłą gratką. Wystarczy dostatecznie duża łapówka wypłacana w pieniądzach lub wpływach. Każdy ma swoją cenę. Sprawiłoby mu satysfakcję zatrudnienie u siebie Julii Hamilton, utarłby Westernowi nosa.

Na chwilę ich spojrzenia spotkały się. Ten grubiański i siejący postrach osobnik, jakim ukazywał się światu, miał szczególną zdolność instynktownego rozszyfrowywania psychiki ludzi. To mu dało nad nimi władzę, gdyż wiedział, co jest motorem ich działania.

W ciągu tych paru sekund wzrokowego kontaktu wyczuł jej pogardę i wrogość. Nie uszedł też jego uwagi fakt, iż dopiero po dłuższej chwili odwróciła głowę. I w tym geście również wyrażała się pogarda, nie była to kapitulacja.

Wychylił szklankę Perriera i zatoczył wściekłym spojrzeniem w poszukiwaniu kelnera. Tak, postanowił, ja cię zatrudnię. Dam ci taką propozycję, że jej nie odrzucisz. Nikt by nie odrzucił. A potem cię zniszczę. Tak jak zniszczyłem innych idiotów, którzy występowali przeciwko mnie. Po czym skoncentrował swą uwagę na pierwszym daniu i zapomniał o Julii Hamilton.

Jego żona plotła banały na temat jakiegoś komitetu dobroczynnego. Nie zadawał sobie trudu, żeby jej słuchać. Miała ambicje odgrywania znaczącej roli w działalności charytatywnej. Gardził nią z tego powodu. On wiedział - nawet jeśli ona nie zdawała sobie sprawy - że te wszystkie damy z wyższych sfer oczekują od takich kobiet jak ona jedynie poważnych dotacji z kieszeni ich mężów. W zamian odpłacały się protekcyjnym traktowaniem. Chodziło tylko o pieniądze. Nie przeszkadzało mu, że Marilyn ulega takim idiotycznym zachciankom. Dzięki temu inne głupstwa nie zaprzatają jej głowy. Natomiast nie pozwoliliby, żeby jego córka została wciągnięta w podobną grę. Na szczęście ona, w odróżnieniu od innych kobiet, nie była skłonna marnotrawić w ten sposób czasu. Spojrzał na nią z czułością. Jego nieodrodne dziecko. Podobna do niego, pragnęła tylko

jednego - być taką jak on. Wynagradzała mu brak syna, którego się nie doczekała. A nawet lepiej, że była dziewczyną. Zdawał sobie sprawę, że syn by z nim konkurował. Gloria była czcicielką w jego świątyni.

- Smakuje pasztet? - zapytał.
- Wyborny, tatusiu - odparła z uśmiechem.

Drażniło go, że żona nie czuje się upokorzona okazywanym jej lekceważeniem, więc postanowił jej dokuczyć. Znowu zwrócił się do córki.

- Dobrze się bawisz, córeczko?
- Wspaniale - odpowiedziała. - Uwielbiam przychodzić tu z tobą. Poklepał ją po dłoni.
- Moja dziewczynka. - Spojrzał pytająco na żonę. - Czyż ona nie jest moją dziewczynką?
- Tak, Harry, kochanie. - Kobieta o lalkowatej twarzy posłusznie skinęła głową.

Wiedział, że żona już dawno przestała konkurować z córką. Oraz że ona i Gloria nienawidzą się wzajemnie. A syn, często sobie powtarzał, mógłby trzymać stronę matki.

- Wspaniała kolacja - zauważył Feliks. Julia prawie zupełnie nie odzywała się w czasie posiłku. Jego irytacja wzmagala się. Pyszne jedzenie, nadzwyczajne wino, wybierał drogie, nie zważając na cenę. A czemu nie? Western płacił. Czuł, że to Julię złościło.

Czy, do licha, ona musi być taka skwaszona? Sama doprowadziła się do stanu świętego oburzenia tylko z tego powodu, że Harold King był grubiański wobec płaszczącego się przed nim kelnera... Zawsze wydzierał się publicznie na tych, nad którymi miał przewagę, to była część jego wizerunku. Feliks dziwił się, że Julia nie potrafi na to spojrzeć z dystansem.

- Wypijmy kawę i poprośmy o rachunek - powiedziała.
- Chciałbym jeszcze napić się koniaku - oznajmił Feliks. - A może to wywoła w tobie duchową rozterkę w związku z wysokością kosztów?

- Zamów, co chcesz - odrzekła krótko. Znała ten jego prowokacyjny ton. Potrafił zachowywać się jak rozpieszczone dziecko.

- OK, popatrzmy, Armagnac - przeglądał kartę trunków. - Rocznik sześćdziesiąty ósmy, ten mi odpowiada. - Poproszę - zwrócił się do kelnera.
- A dla pani, madame? - zapytał kelner.
- Nic, dziękuję. - Julia chciała skończyć kawę i wyjść. Ten cały wieczór był okropny i to z powodu Harolda Kinga. Feliks przystąpił

do dalszego ataku.

- Mój staruszek zajmował się handlem winem - oświadczył. - O tym trunku wiedział prawie wszystko, o interesach prawie nic. W rezultacie stary fujara pozostawił mi w spadku zamiłowanie do szampana, a pieniądze wystarczające na piwo. Julio, do diabła, co się z tobą dzieje? - Pochylił się ku niej. - Przez cały wieczór byłaś tak cholernie rozdrażniona. O co chodzi?

Zamieszała kawę łyżeczką i odłożyła ją starannie na spodek. Podniosła na niego wzrok.

- O ciebie, Feliksie. Nie sądzę, żebym cię bardzo lubiła.

Rumieniec wystąpił mu na karku, a potem na twarzy.

- Co to ma znaczyć, czy to jest rodzaj komunikatu?

- Sama nie wiem - przyznała. - Słuchaj, nie dyskutujmy teraz na ten temat. Poproszę o rachunek.

- Nie skończyłem koniaku - powiedział głośno. - A poza tym, wypiłbym jeszcze jeden.

- Rób jak uważasz - odparła spokojnie. - Jeśli jeszcze chcesz się napić, możesz zapłacić za siebie. - Podpisała rachunek i wstała od stolika. - Do zobaczenia - pożegnała go.

- Powodzenia - odrzekł oschle. - Dzięki za koszmarny wieczór.

Do Julii podszedł kierownik sali. Zauważył to małe starcie między nimi i spojrzenie rzucone jej spode łba przez młodego człowieka, kiedy odchodziła.

- Mam nadzieję, że jest pani zadowolona z kolacji.

- Tak, bardzo - odparła.

- Czy przywołać taksówkę?

- Mam samochód. - Przyniesiono jej płaszcz, który zarzuciła na ramiona. Feliks nie ruszył się od stolika. Phillipe odprowadził ją do drzwi.

- Proszę przekazać ode mnie wyrazy szacunku panu Harrisowi - powiedział. - Spodziewam się, że nas niedługo odwiedzi.

- Przekażę - przyrzekła. Nie mogła sobie wyobrazić Bena Harrisa w takiej restauracji. Być może dlatego, że tak mało o nim wiedziała. Nie pojechała prosto do domu. Okrążyła Hyde Park i pod wpływem jakiegoś impulsu skierowała samochód w stronę nabrzeża. Niestety, nie byłoby bezpiecznie zaparkować tu samochód i iść na spacer. Ale nie chciała jeszcze wracać do domu. Potrzeba jej było trochę czasu do pewnych przemyśleń.

Jej związek z Feliksem uległ zmianie. Początkowo byli szczęśliwi, zauroczeni sobą seksualnie, żyli beztrosko, nie narzucając sobie żadnych więzów. Taka pełna namiętności przyjaźń. Kilka lat różnicy

wydawało się bez znaczenia. Nawet niewspółmierność ich finansowego wkładu nie grała roli. To, że przeżywano go w związku z ich stosunkiem „Pacholę na Swawolę”, traktowała jako żart. Gdy tak zastanawiała się nad swoim postępowaniem, doszła do wniosku, że zaczęła pobłażać mu jak rozpieszczonemu dziecku, a miała do niego pretensję o to, że jest, jaki jest. Ale on nie był dzieckiem, lecz ambitnym mężczyzną, egoistą bez skrupułów, utalentowanym w sferze erotyki.

Nagle oczy Julii napełniły się łzami. Ona nie mogła tego tak dalej ciągnąć. To było poniżające dla nich obojga. Nie kochała go, co do tego nie miała wątpliwości. Lecz prawda była jeszcze gorsza. Ona go już wcale nie lubiła. Sprowokował ją, żeby mu to powiedziała tego wieczoru. Nadszedł czas, by położyć temu kres. Wytarła wilgotne policzki i uruchomiła silnik. Kiedy otworzyła frontowe drzwi, mieszkanie pogrążone było w ciemnościach. Gdzieś wyszedł, spędzi noc z jakąś kobietą. Rano wróci i będzie oczekiwał, że ona go weźmie do łóżka, udając, iż nic się nie stało. To nie był pierwszy taki jego wyskok. Ale ostatni.

W salonie zrzuciła z nóg pantofle. Była zadowolona, że Feliksa nie ma w domu. Bez dłuższego zastanowienia po sprawdzeniu godziny nakręciła numer Bena Harrisa.

- To ja - powiedziała. - Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam.
- Nie, oglądałem przeraźliwie nudny program na ITV - usłyszała odpowiedź. - Jak ci poszło?
- Był na kolacji z żoną i córką. Nawet łypnął na mnie wściekłym okiem.
- Założę się, że nie byłeś mu dłużna - rzekł Ben.
- Rzeczywiście, choć to nie takie łatwe. On działa zastraszająco. Przez chwilę nic nie odpowiadał.
- Czy to nie zmieniło twojej decyzji?
- Nie - odparła stanowczo. - Wręcz przeciwnie. Ben, miałeś rację, on jest naprawdę okropny. Podsunąłeś mi dobry pomysł, jestem zadowolona, że go zobaczyłam. Czy nie mogłabym jeszcze dzisiaj przejrzeć tych twoich akt?

Ponownie na moment zaległa cisza.

- Mogę ci je podrzucić za pół godziny. A gdzie kochaś?
- Nie ma go - odparła. - Pokłóciliśmy się - wyznała.
- Miło mi to słyszeć - powiedział bez ogródek. - Posłuchaj mojej rady i pozbądź się tej pyszałkowatej pijawki.
- Taki mam zamiar - powiedziała po namyśle. - Czy naprawdę możesz przywieźć mi akta? Chyba i tak nie będę wiele spała tej nocy.

Chciałabym od razu zacząć.

- Do zobaczenia - odrzekł i odłożył słuchawkę.

Otworzyła mu drzwi.

- Dzięki, że przyjechałeś. Sprawiałam ci kłopot.
- Nie ma sprawy. - Rozejrzał się po salonie. - Miłe mieszkanie.

Kolekcjonujesz obrazy?

- Chciałabym kupić kiedyś jedno lub dwa płótna malarstwa abstrakcyjnego, ale są za drogie. Siadaj, zaparzę świeżej kawy.

- A mógłbym dostać herbaty?
- Oczywiście, zaraz podam. Może być ekspresowa?
- Nigdy innej nie piję - zawołał za nią.

Pokój naprawdę był przyjemny. Podobały mu się obrazy. Ich koloryt i charakter były jakby odbiciem cech właścicielki. Otworzył akta i przekartkował je. Wróciła z dwoma kubkami herbaty dla nich obojga. To było sympatyczne.

- Zanim ci to dam - powiedział - jeszcze raz cię spytam: czy nadal masz zamiar prowadzić to reporterskie dochodzenie?

- A ja jeszcze raz ci odpowiadam: tak - odrzekła. - Ja też chcę cię o coś zapytać. Pomożesz mi?

- Gdybym się na to nie zdecydował, nie dawałbym ci tego - odparł. - Wbrew rozsądkowi i moim przeczuciom, wchodzę w to z tobą. Ale pod jednym warunkiem, co do którego nie może być żadnej dyskusji. - Spojrzał na nią nieugiętym wzrokiem. Znała ten wyraz jego twarzy. Jakikolwiek był ten warunek, on od niego nie odstąpi.

- Mów, proszę.

- Wycofasz się, kiedy ci powiem, i zostawisz mnie tę sprawę - powiedział. - W przeciwnym razie, panno Jot, nie ma akt, nie ma układu. I nie przyrzekaj, jeżeli nie miałabyś dotrzymać obietnicy.

Julia zawahała się.

- Dlaczego miałabym się wycofać?

- Nie będzie takiej potrzeby - odpowiedział - dopóki ja nie uznam, że sytuacja zaczyna być niebezpieczna. A według mnie tak z pewnością się stanie, zwłaszcza jeśli się do czegoś dokopiemy. Chcesz się jeszcze zastanowić? - Zamknął akta i wsunął teczkę pod pachę. Był śmiertelnie poważny.

- Nie. Ty już rozpoczęłeś natarcie. Ben, potrzebne mi są te akta i ty mi jesteś potrzebny. Zawarliśmy porozumienie. Westernowi ono by się nie spodobało, ale on nie musi wiedzieć.

- Od tej chwili im mniej osób wie o sprawie, tym lepiej - rzekł. Skończył pić herbatę. - Pozbędziesz się Suttona? Nie będziesz tego

dalej ciągnąć?

Potrząsnęła głową.

- Nie. Nic by to nie dało ani jemu, ani mnie. Ben, nie oceniaj go zbyt surowo. To naprawdę nie jego wina.

- O wiele go przewyższasz - zauważył. - Pod względem inteligencji, osiągnięć zawodowych i w ogóle we wszystkim. Nic mu nie mówiłaś o tej sprawie, prawda?

- Nie. Powiedziałałam tylko, że być może napiszemy coś na temat nadawania godności szlacheckich. Nic więcej nie wie.

- To dobrze. No, panno Jot, już pójdę. Przeczytaj to, a jutro pogadamy. Po pracy. Nie musisz mnie odprowadzać.

Akta otwierała informacja o uwolnieniu w 1949 roku z ośrodka przystosowawczego UNRRA w Nessenbergu jednego z uchodźców. W obozie tym przebywało dziesięć tysięcy ludzi - mężczyzn, kobiet i dzieci, rozbiteków życiowych, rzuconych tam na skutek wypadków wojennych w związku z przyływem na teren Niemiec wojennej fali. Nie mieli dokumentów tożsamości ani nawet papierów potwierdzających ich narodowość. Młody mężczyzna, który podawał się za Hansa Koeniga, był typową ofiarą panującego chaosu. Nie mógł okazać żadnych dokumentów. Twierdził, że w 1939 roku został wywieziony z przygranicznych terenów polskich do Niemiec na przymusowe roboty. Nie pamiętał swego nazwiska, nie mógł sobie przypomnieć miejsca urodzenia, nie wiedział, co się stało z jego rodziną. Sądził, że wszyscy zginęli. Sam był bity i fizycznie maltretowany. Poza tym nic więcej nie potrafił o sobie powiedzieć. Jego historia była dość typowa. Młodzież, a także dzieci brano w łapankach, wywożono do Niemiec i germanizowano, jeżeli miały aryjski wygląd, albo kierowano jako niewolniczą siłę roboczą do fabryk i gospodarstw rolnych. Dziewczęta sprzedawano jako służące.

Hans Koenig uparcie twierdził, że nie wie, kim jest i skąd pochodzi. Znalazł się w kolumnie uchodźców, uciekających przed zbliżającymi się wojskami alianckimi. W jego dokumentacji medycznej zanotowano, że cierpiał na ostre emocjonalne zaburzenia pourazowe. W obozie przebywał cztery lata.

Hans Koenig był tylko jedną z wielu jednostek statystycznych w rejestrze ludzkiego nieszczęścia, a urzędnicy UNRRA oraz wojskowe i cywilne władze brytyjskiej strefy okupacyjnej usiłowali to wszystko rozeznaczyć i uporządkować.

Wśród niewinnych ukrywali się winni: dezercerzy z armii niemieckiej, esesowcy przebrani za cywilów, pomniejsi zbrodniarze wojenni z Ukrainy i Bałkanów; mieli nadzieję, że ujdą przed karą.

Esesowców było łatwiej zidentyfikować ze względu na numer wytatuowany pod pachą, ale też wielu z nich poparzyło się lub pokaleczyło, żeby nie można ich było rozpoznać. W dokumentacji Koeniga nie było danych wskazujących, że może być jedną z osób poszukiwanych. Był człowiekiem bez narodowości, bez przeszłości i bez przyszłości. Julia wczytywała się w skupieniu w odbitki fotograficzne starych dokumentów. Zdała sobie nagle z całą wyrazistością sprawę z następstw tej strasznej wojny. Przymglone taśmy kronik filmowych z tamtych lat i zwięzłe komentarze nie miały znaczącej wymowy dla kogoś, kto nie przeżył tych czasów. Teraz minione nieszczęścia, rozpacz, a także zło, do jakiego zdolny jest człowiek, przemówiły do niej wyraźnym głosem, kiedy tak dochodziła do jedyne go źródła wiedzy o człowieku, którego widziała tego wieczoru w wytwornej restauracji. Stojąca obok kawa wystygła. Zegarek wskazywał wpół do piątej rano.

„Nikt nie jest w stanie powiedzieć, skąd on właściwie pochodzi... Sam twierdzi, że jest Polakiem... ale zna niemiecki jak rodowity Niemiec... Mógłby być kimkolwiek...”

Pamiętała, jak Ben Harris opisywał Harolda Kinga. Oraz to, że przyjął on angielską wersję nazwiska, pod którym występował w obozie. Koenig. Król. King.

Wystarczyłaby jakaś ledwo uchwytna wskazówka o tym człowieku albo nawet wrażenie, żeby znalazł się punkt zaczepienia do dalszego działania. Zaczęła czytać akta na nowo.

Młody człowiek został zwolniony z obozu za sprawą urzędniczki UNRRA, która za niego poręczyła i uzyskała dla niego komplet dokumentów tożsamości z Brytyjskiej Komisji Kontroli w okręgu Monachium. Na kopii dokumentu widniały wyblakłe podpisy: oficera do spraw uchodźców, niejakiego majora Granfa i pracowniczki UNRRA Phyllis Lowe. To ta kobieta wydostała Hansa Koeniga z obozu. Reszta materiałów była wynikiem szczegółowego i wnikliwego dochodzenia, prowadzonego przez Bena Harrisa, który starał się ustalić, co się stało dalej. Phyllis Lowe pracowała jeszcze dla Urzędu Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych do Spraw Uchodźców przez dalszych sześć miesięcy. Mieszkała w samym Nessenbergu w pomieszczeniach zarekwirowanych na potrzeby tej organizacji, a młody człowiek przebywał tam razem z nią. Zatrudniła jednego z pozbawionych środków do życia mieszkańców miasta, żeby go uczył angielskiego. Nauczyciela, zwolnionego od służby wojskowej we względu na szpotawa stopę.

Po upływie pół roku zrezygnowała z pracy w Niemczech i wróciła

do Anglii, zabierając ze sobą Hansa Koeniga.

I w tym miejscu, jak na to wskazywała kreska narysowana po przekątnej na ostatniej stronie, Ben Harris doszedł do ślepej uliczki. Nie było już więcej żadnych oficjalnych dokumentów. Kompletnie nic. Nikt w Nessenbergu nie znał Phyllis Lowe ani nie przypominał sobie tego młodego człowieka. Nauczyciel angielskiego zmarł w 1953 roku, a jego rodzina wyprowadziła się z tego okręgu. Ludzie związani z UNRRA pracowali tam jeszcze przez wiele lat, aż wreszcie poróżniali się do domów.

Phyllis Lowe pojechała do Anglii ze swym protegowanym. Na tym się wszystko kończyło. To, co wiadomo było o Haroldzie Kingu począwszy od lat pięćdziesiątych, pochodziło z jednego źródła. Od niego samego. Harris włączył do swych akt stosowny rozdział z autobiografii Kinga, opublikowanej przez jedno z jego wydawnictw, traktujący o latach młodości potentata. Wynajęty przez niego murzyn napisał wzruszający tekst o pobycie Kinga w obozie i o angielskiej damie, która go uratowała. Została przedstawiona jako życzliwa stara panna traktująca Kinga jak przybranego syna. Zmarła tragicznie na raka w kilka miesięcy po powrocie do Anglii. Wykupiła przed śmiercią na jego nazwisko bony oszczędnościowe na kilkaset funtów i one właśnie stały się zaczątkiem jego fortuny.

To była wzorcowa opowieść - po części wyciskacz łez, po części panegiryk na własną cześć. Dzięki niewielkiemu spadkowi otrzymanemu od swej dobrodziejki Harold King - jak teraz się nazywał - mógł zakupić na wyprzedaży stopy książek oraz używany furgon. Wyczuł, że ludzie pragną oderwać się od rzeczywistości. Mieli dosyć wojny i byli spragnieni rozrywki.

Wszyscy chcieli czytać książki i King im to umożliwiał. Podróżował po kraju i sprzedawał je z ciężarówki, a inne z kolei skupował, gdzie się dało. Potem wynajął mały sklep, który stał się pierwszym z sieci jego księgarń, następnie kupił drukarnię i na początku lat sześćdziesiątych miał już tyle pieniędzy, że mógł sobie pozwolić na nabycie małego wydawnictwa, które popadło w tarapaty finansowe, gdyż publikowało ambitne książki nieznanymi autorów. King oddał na przemiał całe ich nakłady. Wynajęty pismak przedstawił ten akt wandalizmu jako przejaw geniuszu Kinga. Zwerbował on bowiem innych autorów i tak narodził się Dom Wydawniczy Kinga. „Sprzedawałem ludziom marzenia - brzmiał słynny cytat - gdyż ja sam także je miałem. I potrafiłem je urzeczywistnić”.

Ben Harris dodał do tej opowieści własny komentarz. Pisarze ze stajni Kinga specjalizowali się w powieściach kryminalnych. Tanio

produkowanych, tanio sprzedawanych. Masowy rynek sensacyjnej tandety, która propagowała przemoc i seks w zgodzie z nową modą na permissywizm. King zbił na tych książkach fortunę. Nie krył się z tym, przeciwnie, chełpił się, szydził z tych, którzy go krytykowali i zaczął wydawać czasopisma z zawołowaną pornografią.

To było ogólnie wiadome. Ale Ben Harris wyszperał mniej znane szczegóły o sposobach tworzenia przez Kinga jego imperium. Okazało się, że pożyczył pieniądze owemu kierującemu się filantropią właścicielowi wydawnictwa, dla utrzymania wysokiego literackiego poziomu. Po czym bez ostrzeżenia zażądał zwrotu pożyczki. Właściciel zbankrutował i zmarł w nędzy kilka lat później. Nikt nie potrudził się, żeby zadać pytanie, co właściwie się temu człowiekowi przydało.

To była technika, którą King przez lata udoskonalał. Miał szósty zmysł; potrafił wyczuwać kłopoty finansowe innych jak drapieżnik krew. Wykupywał udziały podupadających wydawnictw, zwykle przez podstawione osoby, po czym przejmował je i tworzył z nich zyskowe firmy, które albo sprzedawał, albo rozwijał dla swych celów. Po dwudziestu pięciu latach był właścicielem potężnego Domu Wydawniczego, dwóch liczących się miesięczników londyńskich i miał zaangażowany pokaźny kapitał w niezależnej telewizji na obszarze hrabstw środkowej Anglii. Poza tym część kapitału ulokował w nieruchomościach, a jego przedsiębiorstwo budowlane prowadziło roboty na Bliskim Wschodzie.

Wszyscy wiedzieli również, bowiem King ogłaszał to wszem i wobec, że jego następnym przedsięwzięciem będzie gazeta o zasięgu ogólnokrajowym.

W wieku czterdziestu lat ożenił się z piękną modelką, której nie powiodła się kariera na deskach scenicznych, i oznajmił światu, że od tej chwili będzie domatorem. Zastępy kochanek, z którymi się wodził wręcz ostentacyjnie, zostały odprawione. Przestały ukazywać się zdjęcia Kinga z różnych uroczystości czy premier teatralnych z przyjaciółkami uwieszonymi u jego ramion.

Od czasu małżeństwa zamilkły plotki na temat innych kobiet. King był przedstawiany jako wierny mąż i oddany ojciec swej małej Glorii.

A wszystko zaczęło się od życzliwej angielskiej damy w obozie dla uchodźców w wyniszczonych po wojnie Niemczech. Hans Koenig, nikomu nie znany, bezradny młody człowiek, boleśnie doświadczony przez los, poruszył jej serce. A kiedy zmarła, pozostawiając go samotnego w Anglii, poprzysiął sobie, że nie zawiedzie jej wiary w niego. Był taki słynny cytat z jego biografii: „Wierzyła we mnie. Nie

mogłem jej zawieść. Musiałem się wybić i osiągnąć sukces. Byłem jej to winien”.

To zupełnie niewiarygodna historia. Przebiegły handlowiec, bezwzględny wobec partnerów w interesach biznesmen, geniusz bez cienia litości dla tych, którzy byli mniej sprytni od niego, pozbawiony skrupułów i moralności, nie dbający o swe dobre imię. Uczuciowy mężczyzna, przepelniony wdzięcznością dla swej dobrodziejki. Wierny mąż i oddany ojciec. Idący za odruchem serca filantrop, który pomógł sierotom z Rumunii i uratował klub piłkarski, gdyż zawodnicy go o to prosili. Jednocześnie człowiek, którego najbardziej niebezpieczni przeciwnicy zginęli gwałtowną śmiercią.

Julia zamknęła akta. Tak, niewiarygodna historia, to było właściwe słowo.

Jadła w kuchni śniadanie, kiedy usłyszała, że do mieszkania wchodzi Feliks. Udało jej się przespać ze trzy godziny, ale sen miała niespokojny, zakłócony dręczącymi ją obrazami związanymi z nocną lekturą. Otworzyły się drzwi kuchni, a ona poczuła, że trochę się boi.

- Cześć - powitał ją. - Wróciłem. - Wszedł do kuchni i zamknął za sobą drzwi. Miał podpuchnięte oczy. Julia spojrzała na niego i pomyślała, że tam, gdzie spędził noc, nie było maszynki do golenia.

- Cześć - odpowiedziała. Smarowała grzanekę marmoladą.

- A dla mnie jest coś na śniadanie?

- Będzie, jak sobie zrobisz - powiedziała.

- Oo, nadal się dąsamy, co? Nie pomogą przeprosiny? Wczoraj wieczorem zachowałem się jak skończony idiota.

Julia jeszcze nigdy nie słyszała, żeby się usprawiedliwiać. Z pewnym bólem pojęła, dlaczego to zrobił tym razem. Był z kobietą. Czuł się winny, gdyż spał z inną. Westchnęła.

- Jest jeszcze sporo kawy. Usiądź Feliksie. Nie obawiaj się, na nikogo się nie dąsam. Uważam natomiast, że nadszedł czas, abyśmy porozmawiali.

- Mówiłem poważnie - stwierdził. - Postąpiłem wobec ciebie cholernie brzydko. Wynagrodzę ci to. - Sięgnął ręką ponad stołem i uchwycił jej nadgarstek. - Buzi i zgoda - zaproponował. Uniósł jej dłoń do ust i zaczął ją pieścić językiem. Gwałtownie wyrwała rękę.

- Feliksie, to się na nic nie zda.

- W porządku - wrzucił ramionami - skoro ciągle jesteś na mnie wściekła... - Nalał sobie kawy z dzbanka. - O czym chcesz rozmawiać? Nie masz aspiryny? Nie powinienem był pić tego drugiego kieliszka koniaku. - Usiłował obrócić wszystko w żart. To zawsze przedtem odnosiło skutek. Najpierw impertynencje, potem kawałek

dobrej roboty w łóżku.

Potrząsnęła głową.

- Wczoraj powiedziałam ci to, co naprawdę myślę. I dlatego nie pójdę teraz z tobą do łóżka. Nie chcę już dłużej żyć z tobą. To nam nic nie daje, prawda? Powiedz szczerze.

- Mnie daje - odparł. - Julio, przecież nie stawiam ci żadnych żądań, ty robisz swoje, ja swoje.

- I robiłeś swoje tej nocy, co? - Postawiła to pytanie zupełnie spokojnie, a on poczerwieniał. - Nie chcę nic o tym słyszeć, to nie ma znaczenia. Tylko dowodzi, że mam rację. Nie kochamy się, a teraz nie jesteśmy nawet przyjaciółmi.

Upił łyk kawy.

- Nigdy nie byliśmy - powiedział ku jej zdziwieniu. - Tak naprawdę łączył nas tylko seks. Uwielbiałem robić to z tobą, a i tobie ze mną nigdy nie było dosyć. Ale nie mieliśmy ze sobą wiele wspólnego. Może ambicję. Zawsze czułem, że ty chcesz czegoś więcej, jakiegoś zaczepienia uczuciowego. Nie byłem na to przygotowany. I nadal nie jestem. Przykro mi.

- Mnie też - odrzekła Julia. - Ale były także szczęśliwe chwile, nie zapominajmy o nich. Ja je będę pamiętała. Znajdziesz sobie kogoś innego. Jeżeli już nie znalazłeś.

Spojrzał na nią ze szczerością.

- Nie. Od czasu do czasu jakiś głupi skok w bok, jak tej nocy, zupełnie nie miał znaczenia. Bardzo cię cenię, Julio, wierz mi. Jesteś wyjątkowo inteligentna. Podziwiam cię za to. Wysoko zajdziesz. A pewnego dnia i ja się tam znajdę. Czego oczekujesz, mam się wyprowadzić?

- Właśnie - odparła. Zła była na siebie, gdyż tak ją wyczerpała ta rozmowa, że czuła się bliska płaczu. Za mało spała, to tylko dlatego. Miała zbyt dużo pracy, żeby odczuwać samotność. - Tak, ale nie chcę cię popędząć. Musisz sobie znaleźć coś odpowiedniego. Do tego czasu możemy... no, trzymać się od siebie z daleka. Feliksie, muszę już iść, bo się spóźnię.

- Wezmę prysznic i ogolę się. - Nie zatrzymywał jej. - Gdyby szefunio ujrzał mnie w takim stanie, dostałby szału. Zobaczą, co uda mi się załatwić z mieszkaniem. I zrób coś dla mnie, dobrze? Nie płacz. Odtąd zostaniemy przyjaciółmi.

Ona pospiesznie wyszła z kuchni, a on usiadł przy stole. Jaka szkoda. Ogarnęło go przygnębienie. Taka świetna dziewczyna. Ale miała rację. Zaczął ją zdradzać w zeszłym roku. Nie zawsze spędzał popołudnia na grze w squasha czy w sali gimnastycznej. Czas się

wyprowadzić. I wyjść z jej cienia. Rozwinąć skrzydła na własny rachunek. Jeden z jego przyjaciół już od pewnego czasu mu to mówił. Ona była trochę dla niego za stara, miała ustaloną pozycję i pieniądze. W głębi duszy czuł się lekceważony i to zaczynało mu doskwierać. Dlatego ją zdradzał. A to nie wpływało korzystnie na jego dobre mniemanie o sobie. Wstał, włożył kubki do zlewozmywaka i wyszedł z kuchni, żeby się odświeżyć przed pracą. Usłyszał odgłos zamykanych drzwi frontowych i już nie miał wątpliwości, że Julia go rzuciła.

- A więc - zapytał Ben Harris - od czego chcesz zacząć?

- Od początku - odparła Julia. - Strona pierwsza, wiersz pierwszy. Skąd wiemy, że Phyllis Lowe nie żyje?

Spojrzał na nią bacznie spod zmarszczonych brwi.

- Co masz na myśli?

- Czy to sprawdzałeś? Czy ktoś widział akt zgonu? Nie. Wszyscy uwierzyli Kingowi na słowo. Dlatego wysłałam kogoś dzisiaj z samego rana do St Catherine House, żeby wyszukał każdą Phyllis Lowe, która zmarła pomiędzy kwietniem i czerwcem 1949 roku. Takie daty podał w tym steoku bzdur zwanym autobiografią. Choroba nowotworowa została stwierdzona w kwietniu, kiedy zakwitają żonkile, a zmarła, gdy róże w ich ogródku na tyłach domu były już w pełnym rozkwicie. Żadna kobieta o nazwisku Phyllis Lowe nie umarła w Londynie w tym czasie. Fakty są takie - położyła przed nim wykaz nazwisk - że kobiety o tym nazwisku, które zmarły na raka w Londynie w 1949 roku, były od niej od piętnastu do dwudziestu lat starsze! Sam popatrz.

Ben rzucił okiem na listę.

- Chryste - mruknął. - Masz rację. Ale powiedzmy, że on podał człowiekowi piszącemu biografię te idiotyzmy o datach i porze roku, żeby to zrobiło wrażenie, co nie znaczy, że ona nie zmarła...

- Tak, ale nie wtedy i nie w tym miejscu, które podał - upierała się Julia. - Ben, może to jest szalone przypuszczenie, ale mam zamiar iść tym tropem.

- Co to za szalone przypuszczenie? - zapytał.

- Sądzę, że ona może jeszcze żyje. A jeśli tak, to chcę z nią porozmawiać. Teraz zastanówmy się, gdzie zaczniemy szukać.

- UNRRA miała akta swoich pracowników. One muszą gdzieś być, a tam znajdują się wszystkie dane osobowe - adres, najbliższa rodzina i tym podobne. Ale, panno Jot, to było czterdzieści lat temu...

- Wiem - zgodziła się. - Ale czy ludzie nie przechowują książeczek aprowizacyjnych, dowodów osobistych? Wiesz, że ostatnio

natrafiono na dokumentację medyczną z czasów pierwszej wojny światowej? Leżała sobie w lokalnych szpitalach i nikomu nie przyszło do głowy, żeby te papiery wyrzucić. A ja mam dobrą drużynę szperaczy.

- A co z okolicą domu, z tymi pieprzonymi różami na tyłach, gdzie według autobiografii Kinga on z nią mieszkał? Powiedz swoim ludziom, żeby spróbowali popytać miejscowych lekarzy. Niektórzy przechowują papiery latami, nawet po śmierci pacjenta.

- A poza tym - przerwała mu - jeżeli się przeprowadzają, przekazują karty pacjentów swoim następcom. Słuchaj - zmieniła nagle temat. - Jak sądzisz, dlaczego King miałby kłamać na jej temat? Chyba nie chodziło o ckliwą, wzruszającą opowieść? Dlaczego wymyślił ten cały scenariusz?

- Widocznie prawda nie jest tak przyjemna jak kłamstwo - odparł Ben Harris.

- Wobec tego musimy ją poznać. - Julia postukała palcem w akta. - Oprócz tego wszystko prowadzi na ślepy tor. Pojechałeś do Niemiec, byłeś w Nessenbergu. Znalazłeś akta Hansa Koeniga pomiędzy tysiącami dotyczącymi innych uchodźców, którzy tam przebywali w czterdziestym dziewiątym. Wiemy, że ta kobieta wydostała go z obozu i z nim zamieszkała. Nagle powiedziała, że wyjeżdża do Anglii i wszelki śluch po niej zaginął. Może on przyjechał do Anglii nielegalnie i zmyślił całą historię?

Twarz Bena rozjaśnił uśmiech - rzadkie zjawisko. Nie przeoczyła tego.

- To mi się podoba - stwierdził. - Wspaniale byłoby udowodnić coś takiego. Na dobry początek. Ile osób możesz w to zaangażować?

- Powiedz, ile według ciebie będzie trzeba.

Zastanowił się.

- Trzy pary. Dwie osoby działają skuteczniej niż jedna przy tego rodzaju pracy, jedna dostrzeże to, co druga przegapiła. Dwoje pojedzie do Hammersmith, popyta w sąsiedztwie domu Phyllis Lowe, o ile miała dom, dwójka powinna się zająć wytropieniem wszystkich byłych pracowników UNRRA, a trzecia para musi pojechać znowu do Nessenbergu i spisać się lepiej niż ja. UNRRA współpracowała nie tylko z okupacyjnymi władzami wojskowymi, ale także z cywilną administracją niemiecką.

Przesunął okulary na czoło i zmrużył oczy w głębokim namyśle.

- Może coś przeoczyłem, ale co?

- Tylko w jeden sposób możemy się dowiedzieć - odparła. - Ben, znasz niemiecki?

Podniósł na nią oczy.

- Całkiem dobrze. Dlaczego pytasz?
- Ponieważ uważam, że sami powinniśmy pojechać do Nessenbergu. Możesz wziąć kilka dni wolnych?
- Nie miałem urlopu. Bóg wie jak dawno. Zostało mi mnóstwo zaległego. Brennan będzie zachwycony, że choć na trochę zagrzeje mój fotel.

Brennan był jednym z jego asystentów, którego podejrzewał, jak wszystkich pozostałych, o czyhanie na jego stanowisko.

- Więc już uzgodniliśmy - powiedziała. - Odpowiada ci środa?
- W zupełności - zgodził się. - Szybko podejmujesz decyzję, panno Jot.
- Nie ma na co czekać, a przy okazji dobrze mi zrobi, jak się wyniosę na parę dni z mieszkania. Feliks szuka sobie nowego lokum. Dałam mu trochę czasu.

- To nie moja sprawa, ale cieszę się, że nie stchórzyłaś. Najwyższy czas, żeby zabrał swój tyłek i się usamodzielniał.

- Nie bądź dla niego taki surowy - odrzekła. - Bardzo dobrze to przyjął. Nie chcę być wobec niego niesprawiedliwa. Przeżyliśmy razem parę szczęśliwych chwil.

- Miło mi to słyszeć - rzekł zgryźliwym tonem. - Lepiej zajmij się teraz rezerwacją biletów lotniczych i miejsc w hotelu. Nessenberghof jest dobry, a przynajmniej był, kiedy tam mieszkałem. Wszystko mogło się zmienić, dziesięć lat to szmat czasu. Będziemy musieli wynająć samochód.

- Zajmę się tym - zapewniła Julia.
 - W porządku. - Wstał. - Jak długo zamierzasz tam zostać?
 - Ile będzie trzeba. Nic nie mogę na to poradzić, Ben. Mam jakieś przeczucie. Wszystko zaczęło się od Phyllis Lowe.
 - I na niej skończyło, w tym cały kłopot - odparł. - No, ja już idę.
- Doszedł do drzwi, gdy Julia zatrzymała go.

- Ja też wychodzę. Czy nie wstąpilibyśmy na drinka w drodze do domu? Miałabym ochotę na jednego.

Ben zdjął okulary i schował je do kieszeni na piersi.

- Cóż, nie mam żadnego pilnego zobowiązania towarzyskiego na dzisiejszy wieczór. To może zjemy razem kolację?

- Zupełnie nie wiem, co oni mają nadzieję znaleźć w Niemczech - stwierdziła Evelyn Western. - Wszystko tam już było tyle razy badane i nikt nic nie wykrył.

Jechała z mężem samochodem do Londynu. Szklane przepierzenie

było zasunięte, więc szofer nie mógł usłyszeć ich rozmowy.

- Dokładnie to samo powiedziałem Julii - odparł Western. - Ale ona ma jakiś pomysł dotyczący owej kobiety, która zabrała ze sobą tego drania do Anglii. Nie ma potwierdzenia okoliczności jej śmierci, które King podał do swej biografii. Więc idzie tym śladem. Nie wierzę, żeby to miało jakieś znaczenie. Tyle nakłamał o sobie, że jedno łgarstwo więcej nie robi różnicy. Dobrze się stało, że wymogła na Harrisie, żeby jej pomagał. Mnie odmówił. Mówiłem ci.

- Nie możesz mieć do niego pretensji po tym, co zaszło.

- Nie miałem wyboru. Znaleźli Richarda Watsona. Musiałem się wycofać.

- Wiem. - Położyła dłoń na jego ręce, jakby go chciała pocieszyć.

- To mógł być błąd, ale nie mogłem ryzykować. Lista godności szlacheckich była przedstawiona do zatwierdzenia, w telewizji wszystko ruszyło pełną parą, musiałem odwołać Harrisa.

- Powinniśmy byli pojechać do Watsona i z nim porozmawiać - powiedziała w zamyśleniu. - Mówiłem ci wtedy. Ale nie chciałeś mnie słuchać, Billy.

- W odróżnieniu od ciebie, ja go znam - odrzekł. - To nie jest człowiek, którego można szantażować. Tego właśnie Kingowi było trzeba - dowodu, że pojechałem zobaczyć się z Watsonem albo że próbowałem go przekupić. Wtedy by mnie wykończył.

- Ma zamiar zrobić to teraz. To jedynie kwestia czasu.

- Czas ma istotne znaczenie. On chce mieć „Heralda” i czeka na właściwy moment, żeby mnie zrujnować. Ale ja zamierzam uderzyć pierwszy, Evie. Pokażę, jakim jest łgarzem i oszustem. Potem już nikt nie zaufa ani jednemu jego słowu.

- Czy naprawdę sądzisz, że Julii się uda?

- Z pomocą Harrisa, tak. Wierzę w to. Muszę.

Evelyn wyjrzała przez okno. Padał deszcz, szyba była zamglona i zapocona w słabnącym świetle.

- Chciałabym, żeby umarł - wyznała.

Western nie odpowiedział. Sam myślał o tym bardzo często. To ostateczna, podyktowana rozpaczą możliwość. Lecz nie przyznał się do tej myśli swej żonie.

Rozdział 4

Harold King obrócił się z fotelem, żeby móc spoglądać przez olbrzymie, panoramiczne okno. Roztaczał się z niego rozległy widok na Londyn, srebrzysty łuk Tamizy płynącej w dole wyglądał jak wstążka. W oddali widział strzeliste wieże Westminsteru i Izbę Gmin. Dawno temu, kiedy zarobił pierwszy milion, wstąpił do Partii Liberalnej. Podobał mu się pomysł przebywania w tym gmachu w roli posła. Kandydował w wyborach uzupełniających i został gładko pokonany przez laburzystę. Odtąd prowadził bezlitosną kampanię przeciwko partii w ogólności i posłom w szczególności. Przegrana zraniła jego dumę, a on nigdy nikomu tego nie wybaczał. Ostatecznym celem Kinga nie była jednak Izba Gmin. Marzyła mu się Izba Lordów.

To była aspiracja na przyszłość. Kolejna, gdy już umocni swą władzę i sfery wpływów przez zdobycie gazety „Sunday Herald”. A wraz z nią specjalizujących się w zagadnieniach politycznych dziennikarzy, którzy uczynili ją sławną, oraz jej dział zajmujący się problematyką finansową, tak poważny, że uzyskiwał poufne informacje z Ministerstwa Skarbu. Sam Western zbudował swoją potęgę na tej gazecie.

Zatrudniał najlepszych ludzi, płacił im najwyższe pensje i uzyskał tytuł lorda. Był przyjacielem ministrów wchodzących w skład gabinetu, poważała go opozycja. Miał wszystko, co Harold King widział jako szczyt swej własnej kariery.

W pewnej chwili jego pogodnie jak aura za oknem myśli powróciły do pewnego pytania, które zadała mu córka w drodze do domu po kolacji w „Mario's”. Słuchał jej uważnie. Gloria, podobnie jak on, dobrze znała się na ludziach, miała jego instynkt drapieżnika.

- Tatusiu, czy ta rudowłosa kobieta to twoja znajoma?

Poczuł wtedy na sobie wzrok żony, wiedział, że w napięciu oczekuje odkrycia jakiegoś nowego romansu. Gloria wydobyłaby go na światło dzienne z całą radością. Sama nie przejmowała się, że ojciec sypia z innymi kobietami. Wiedziała, iż dla niego liczyła się tylko ona.

- Nie, a dlaczego pytasz? Wiem, kim jest, to dziennikarka z „Heralda”. O co chodzi Glorio?

- Bo tak dziwnie patrzyła na ciebie, tatusiu. Nienawistnym spojrzeniem.

Jego żona popełniła błąd, częściowo na skutek doznanej ulgi.

- Nie mów głupstw. Dlaczego jakaś obca osoba miałaby patrzeć na ojca z nienawiścią?

- Zamknij się - warknął. - Gloria ma zmysł obserwacji. Odniosłem identyczne wrażenie. Ciekawe, że tak samo to odebrałaś, kochanie. Może powinienem ją sprawdzić.

Do tej pory niczego jeszcze nie przedsięwziął, dopiero teraz sobie o tym przypomniał, kiedy rozmyślał o „Heraldzie” i zatrudnionych tam ludziach.

Sięgnął do srebrnego pudełka i wyjął zeń cygaro. Palił, a także jadł wszystko, co mu smakowało. Ciśnienie miał jak osiemnastolatek. Bawiło go, że mógł pysznić się wobec lekarzy, dowodząc, iż reguły, których muszą przestrzegać zwykli śmiertelnicy, jego nie dotyczą. Nadal był sprawny seksualnie. Joe troszczył się i o tę dziedzinę jego życia. Joe troszczył się o wiele spraw.

Julia Hamilton. Powinien zaufać wyczuciu Glorii. Joe mógłby powęszyć i ustalić, jakiego haka udałoby się na nią znaleźć. Wykręcił numer telefonu. Odezwała się jakaś kobieta i powiedziała, że Joe jest w saunie.

- Powiedz, że mu jaja powyrywam, jak zaraz nie podejdzie. Natychmiast...

Nie minęły dwie minuty, gdy usłyszał głos:

- Przepraszam, panie King, że musiał pan czekać.

- Powiedz tej głupiej gęsi, żeby mi nie opowiadała dyrdymałek, kiedy dzwonię - rzucił ostrym tonem. - Przyjedź tu do mnie zaraz. Mam coś dla ciebie.

- Proszę o piętnaście minut.

- Dziesięć - odparł King i odłożył słuchawkę.

Na drugim końcu linii telefonicznej mężczyzna ociekający potem, z ręcznikiem zawiniętym wokół bioder zwrócił się do ciemnoskórej dziewczyny.

- Na drugi raz jak zadzwoni szef, masz poprosić, żeby chwilkę poczekał i zawołać mnie, zrozumiałaś?

Miała duże, czarne, przestraszone oczy.

- Przepraszam Joe, przykro mi.

- Następnym razem - powiedział - będzie ci naprawdę przykro. A teraz, do cholery, podaj mi moje ubranie.

Nessenberg okazał się znacznie mniejszym miastem, niż Julia się spodziewała. Usadowione jak zwinięty w kłębek kot, przytulne, czyste i dostatnie. Nie dotknęło go zamieszanie związane ze zjednoczeniem ani z problemami uchodźców uciekających z terenów objętych siejącą spustoszenie wojną w Jugosławii. Hotel Nessenberghof stał nadal. Harris zauważył, że wygląda dokładnie tak samo jak dziesięć lat temu. Był wygodny w tradycyjnym stylu. Dostali przyjemne pokoje z widokiem na ogród za domem.

- Dziwnie się czuję - wyznała Julia. - Nigdy nie byłam w Niemczech i czegoś innego oczekiwałam. Tutaj wszyscy są uśmiechnięci i wydają się bardzo przyjacielscy.

- I tacy są, południe to nie Prusy. Bawarczycy są znani z miłego sposobu bycia, no i z tego, że tu była kolebka tych cholernych nazistów. Mnie było łatwiej porozumiewać się z tymi ze wschodu. A berlińczycy to jeszcze odmienna rasa. Polubiłabyś ich. Potrafią cieszyć się życiem, po wojnie nie poddawali się mimo tego piekielnego muru, który ich przedzielał na połowę. Powinnaś tam kiedyś pojechać.

- Skąd to wszystko tak dobrze wiesz? - spytała.

- Moja żona jest Niemką - odparł. - Zwykle przyjeżdżaliśmy tu na wakacje. Musiałem poznać ten kraj i go polubić.

- Nie wiedziałam, że jesteś żonaty.

- Nie jestem. Rozwiedliśmy się piętnaście lat temu.

- Masz dzieci? - Popijali kawą kanapki w jednej z uroczych kawiarenek przy głównej ulicy.

- Dwoje. Syna i córkę. Rzadko ich widuję. A właściwie wcale - poprawił się. W jego głosie zabrzmiała gorycz.

- Przykro mi - powiedziała zakłopotana. - Musi ci być ciężko.

- Trzymali stronę matki. Stąd się to wzięło. Nie usiłowałem ich przekonywać. Byli wystarczająco dojrzały, żeby mieć własne zdanie.

To musiał być rozwód w nieprzyjemnej atmosferze. Nie zamierzała dalej wścibiać nosa w jego sprawy. Ku jej zdziwieniu sam zaczął mówić. Wypił do końca kawę, oparł się plecami o krzesło i rozpoczął swą opowieść.

- Poznałem Helgę, kiedy przyjechała do moich rodziców w ra-

mach wymiany studentów. Mój młodszy brat wyjechał do jej rodziny do Niemiec, żeby się tam uczyć niemieckiego, a ona u nas miała szlifować angielski. Była bardzo ładna. Blondynka o niebieskich oczach, prawdziwy typ „narodu panów”, *Herrenvolk*. I miła. Dostałem jak przysłowiowym obuchem w łeb i ożeniłem się z nią. Pracowałem wtedy jako reporter dla „Birmingham Advertiser”. Wynajmowaliśmy mieszkanie, ona pracowała jako pomoc do dzieci. Nie mieliśmy pieniędzy, ale byliśmy całkiem szczęśliwi. Szkoda, że to się tak źle potoczyło.

Julia pochyliła się nieco ku niemu. Widziała, że dla niego to nadal bolesny temat. Nic dziwnego, że tak dobrze znał niemiecki.

- Dlaczego się źle potoczyło?

- Przeniosłem się do „Heralda” - mówił bezbarwnym głosem. - W Birmingham mieszkaliśmy dwanaście lat. Przez ten czas dorobiliśmy się niewielkiego, ładnego domu na obrzeżach miasta. Miała tam licznych przyjaciół, chodziła do klubu brydżowego i dwa razy w tygodniu grała w golfa - taki solidny styl życia klas średnich. Dzieci były w szkole i dobrze się uczyły. Ja zostałem naczelnym redaktorem działu wiadomości w „Birmingham Post” i to była intratna posada. Ale, panno Jot, mnie się marzyły większe wyzwania. Nie chciałem stać w miejscu. A praca w „Heraldzie” dawała mi duże możliwości. Więc ją przyjąłem i sprowadziłem rodzinę do Londynu. Krótko mówiąc, Helga nie mogła znieść tej zmiany, dzieci także, a ja chroniłem się w pracy. Klóciliśmy się, coraz częściej pozostawałem poza domem, wiesz, w naszym zawodzie to nietrudne, i w końcu mnie opuściła. Wróciła do Birmingham, znalazła pracę i powtórnie wyszła za mąż. Koniec historii. Napijiesz się jeszcze kawy, czy może spróbujemy zacząć nasze poszukiwania? Powiedział jej wszystko i pragnął zmienić temat.

- Dobrze - odparła. - Chciałam ci tylko podziękować, że mi opowiedziałeś o sobie. Ben, od czego zaczniemy?

- Nie zaszkodziłoby pójść moimi poprzednimi śladami. Najpierw do Bauhausu. To tutejszy magistrat, gdzie są archiwa. Poprzednim razem nie byli bardzo pomocni, ale teraz jesteśmy przecież jedną szczęśliwą, europejską rodziną. Może będzie łatwiej.

- Czy mogę spytać, dlaczego się państwo zwracają do nas w tej sprawie? - Urzędniczka w informacji miała trzydzieści kilka lat, patrzyła na nich pogardliwym i zarazem podejrzliwym wzrokiem, typowym dla pracowników urzędów państwowych na całym świecie. Wyrazał nie wypowiedziane pytanie: „A czegoż ci cudzoziemcy chcą

szukać w starych dokumentach archiwalnych z końca lat czterdziestych...?”

- Oczekujemy, że natrafimy na ślad zaginionego krewnego - odpowiedział Ben.

- To raczej późno się państwo zdecydowali, prawda? Narodowości niemieckiej?

- Nie - włączyła się Julia, gdyż rozmowa toczyła się po angielsku. - Chodzi o mego wujka. Nie miał ustalonej narodowości, był w obozie dla uchodźców.

Urzędniczka uniosła wąskie brwi.

- Nie, takich dokumentów u nas nie ma. I nie wiem, gdzie by mogły być. To było tak dawno. Przykro mi.

Już chciała się odwrócić i pozbyć natrętów, kiedy odezwał się Ben.

- Ale przecież mieli państwo archiwa Brytyjskiej Komisji Kontroli. Widziałem je tutaj parę lat temu. I znalazłem pewne dokumenty. Wujek mojej przyjaciółki został wypuszczony, gdyż poręczyła za niego pewna Angielka pracująca na rzecz uchodźców. Takie rozwiązanie zostało zaaprobowane i usankcjonowane przez władze wojskowe, które pozwoliły mu tu z nią zamieszkać.

Julia ponownie się wtrąciła, gdyż uznała, że Ben zraza sobie kobietę. Spróbowała delikatniejszego podejścia.

- Gdybyśmy tylko mogli rzucić okiem, czy nie ma śladu, który by wskazywał, że ich losy także później były jakoś złączone. Ta sprawa ma wielkie znaczenie dla mojej chorej matki. Może znalazłyby się tam jakieś ślady pozwalające na dalsze poszukiwania. Proszę nam pomóc.

Urzędniczka najpierw zawahała się, potem lekko wzruszyła ramionami z rezygnacją i w końcu spełniła swój codzienny dobry uczynek.

- Mogą państwo przejrzeć to, czym dysponujemy - powiedziała. - Ale nie rozumiem, co państwo spodziewają się znaleźć. Chyba że poprzednim razem coś pan przeoczył - zwróciła się do Bena szorstko.

- Właśnie dlatego musimy jeszcze raz sprawdzić - Julia nie dopuszczała Bena do głosu - żeby się upewnić. Jestem pani ogromnie wdzięczna.

- Proszę podpisać ten formularz. Jeżeli zostanie wyrażona zgoda, ktoś przyjdzie i zaprowadzi państwa na dół, do archiwum. Proszę tam usiąść. Nie wiem, jak długo to potrwa.

Minęło pełne pół godziny, zanim zjawiała się młoda dziewczyna z ich formularzem zaopatrzonego w stosowny podpis i kontrasygnatę. Ben szepnął do Julii.

- Tamta chyba była lesbijką.
- Dla odmiany powinieneś spróbować wdzięku - odpowiedziała równie cicho.

- Niestety, nie mam go ani trochę. - Podążył za nią schodami prowadzącymi do podziemi.

Weszli do pomieszczenia, w którym unosił się zapach stęchlizny. Sztuczne oświetlenie uwydatniało brzydotę tego miejsca wypełnionego jedynie regałami, na których leżały teczki z archiwalnymi aktami. Poza tym w pokoju stał jeszcze metalowy stolik i twarde krzesło.

Dziewczyna mówiła po niemiecku:

- Akta Komisji Kontroli do Spraw Uchodźców z 1949 roku mają numer 17203. Zostawię tu państwa. Za dwie godziny zamykamy. Przy drzwiach jest dzwonek. Proszę zadzwonić, kiedy państwo skończą.

- Oczywiście - powiedział Ben i wyszczerzył zęby w uśmiechu, po czym zwrócił się do Julii. - Czy tak lepiej?

- Nie bardzo. Ona myślała, że chcesz ją ugryźć. Pochlebianie zostaw mnie, Ben. To nie w twoim stylu. No, jestem teraz w twoich rękach.

- Nic! - wykrzyknął Ben Harris. Było zimno, w powietrzu unosił się kurz, a wyznaczony im czas prawie upłynął. - Tylko to, co już widziałem. Żadnego nowego śladu. Phyllis Lowe wydostała go z obozu, wiemy, gdzie mieszkali, próbowałem tam szukać, ale tego domu już nie ma. Jest oficjalne potwierdzenie, że wyjechała do Anglii. Nic - powtórzył. - Chodź, panno Jot, marnujemy tylko czas.

Julię bolały łokcie od opierania się o twardą powierzchnię stołu. Miała pełne gardło pyłu ze starych papierów i brudne ręce.

- Coś tu się nie zgadza. To nie może być wszystko. To się nie układa w całość. Ben, skoro myśmy tu przyszli i zostawiono nas samych, to co stało na przeszkodzie, żeby przyszedł tu ktoś inny i coś stąd wyniósł?

- Co? Sugerujesz, że King tu był?

- Myślę, że ktoś był. Patrz, czy zwróciłeś uwagę, że tu nie ma żadnych referencji udzielonych Phyllis Lowe ani jej adresu, poza samymi danymi o jej stanowisku w UNRRA. Nie przyjęto by jej poręczenia za uchodźcę, gdyby nie wykazała, że jest poważną i odpowiedzialną osobą. Przede wszystkim musiała złożyć oficjalne podanie. Nie ma jego kopii. Nie ma też odpowiedzi władz wojskowych, które je rozpatrywały lub dawały jej swą rekomendację. Jest tylko dokument stwierdzający zwolnienie z obozu. Daj mi jeszcze raz popatrzeć. Sprawdźmy numery stron.

Przerzucił akta jeszcze raz.

- Niestety, strony nie są numerowane. Nie ma śladu, że tu było coś więcej. Ale masz rację. Powinna być korespondencja, referencje i dokumentacja całej tej procedury sprawdzającej. Dlaczego nie zauważyłem tego przedtem?

- Ponieważ tego nie szukałeś - powiedziała. - Widziałeś papiery, które zostawiono po to, żeby każdy je mógł znaleźć. Dowód, że ona wydestała Kinga i zgłosiła, że opuszcza razem z nim Niemcy. Nie zauważyłeś, bo nie chodziło ci wtedy o Phyllis Lowe. Szukałeś czegoś o Kingu. Czeka, czeka, ten podpis - major Grant. - Poderwała się z krzesła. - Ben, jeżeli na niego natrafimy, uzyskamy informacje.

- O ile on żyje - zastanawiał się głośno Harris. - Pod koniec wojny było trochę bardzo młodych majorów w armii. Mógłby mieć teraz przeszło siedemdziesiąt lat. Jesteś bardzo bystra. Major A.B. Grant, oficer łącznikowy UNRRA. O tu, pod podpisem jest pieczętka. Chodźmy, możemy się tu zaraz natknąć na kogoś, kto nadał nad tym czuwa.

Zadrżała. Temperatura spadła i w pokoju pełnym zakurzonych papierów panował teraz przejmujący, wilgotny chłód. Akta zostały spreparowane. Co oznacza, że byli na właściwym tropie. Harold King wymyślił sobie, że przedstawi Phyllis Lowe jako swą przybraną matkę. Nie chciał jednak, żeby świat dowiedział się o niej czegokolwiek więcej.

Harris nacisnął dzwonek i po dłuższej chwili przyszła ta sama dziewczyna. Najwyraźniej pragnęła się ich jak najszybciej pozbyć. Zbliżała się godzina zamknięcia urzędu.

- No i udało się? - spytała.

- Tak, dziękujemy. Uzyskaliśmy pewne użyteczne informacje - odparł Ben.

- Proszę tu podpisać. - Położyła przed nimi formularz stwierdzający, że akta nr 17203 były przeglądane, zwrócone i nic w nich nie zostało zmienione ani z nich usunięte. - Oba podpisy, proszę - powiedziała.

Ben przesunął formularz wraz z piórem w stronę Julii.

- Musicie mieć tego dużo - zauważył. - Wszystkie te formularze przechowujecie?

- Raczej niewiele jak na tak długi okres - odpowiedziała dziewczyna. - Teraz wszystko na bieżąco rejestrujemy w komputerze. A te stare szpargały - uniosła lekko ramiona - pokrywa coraz grubsza warstwa kurzu. Kiedyś to uprzątniemy. Będziemy mogli wykorzystać to pomieszczenie.

- Z pewnością - zgodził się Ben. - Jak długo tu pani pracuje?

- Trzy lata. Dziękuję, *Fräulein* - odebrała od Julii formularz.
- A gdzie będziecie go przechowywać? - zapytał.

Podeszła do drzwi, przynaglając ich do wyjścia.

- Nie będziemy. Wpiszemy tylko do komputera. Proszę wybaczyć, ale musimy się pospieszyć. Zaprowadzę państwa na górę. - Zamknęła za nimi drzwi archiwum. Rozległ się odgłos ich kroków na kamiennej posadzce, a potem na schodach wiodących na parter do głównego biura. Kiedy wyszli z budynku, słońce chyliło się ku zachodowi.

- *Danke schön* - zawołał Ben.
- *Bitte* - odpowiedziała dziewczyna i zatrzasnęła drzwi.

Skierowali się do wynajętego samochodu. Dziewczyna obserwowała ich z okna na parterze. Następnie zajrzała do biura recepcjonistki i zawołała:

- Frau Walter? - Nie było odpowiedzi. Jak zawsze wyszła punktualnie co do minuty. Pozostali urzędnicy jeszcze rozmawiali i wkładali płaszcze, szykując się do wyjścia. Stary portier i jednocześnie dozorca zamknie wszystkie drzwi i sprawdzi okna, zanim sam opuści biuro.

Dziewczyna podniosła słuchawkę telefonu i wystukała numer. Po drugiej stronie linii odezwała się automatyczna sekretarka. Dziewczyna mówiła cicho, lecz wyraźnie.

- Tu Minna. Była u nas para Anglików, grzebali w wymienionych w zleceniu dokumentach archiwalnych z 1949 roku. Zanotowałam ich nazwiska. - Odłożyła słuchawkę i rozejrzała się dookoła, aby się upewnić, czy nikt nie słyszał, że telefonowała. Po czym przyłączyła się do grupy sekretarek i innych urzędników opuszczających Bauhaus.

- Jeden mój przyjaciel - oznajmił Ben Harris - ma znajomości w Ministerstwie Spraw Wojskowych. Może będzie mógł sprawdzić w rejestrach.

- Wszędzie masz przyjaciół - zauważyła Julia.

- Dobre stosunki to osiemdziesiąt procent powodzenia w zawodzie dziennikarskim. Wyświadczyłem facetowi przysługę parę lat temu. Pewien znany generał został przyłapany w jakimś klubie gejów. Zwolniono go z wojska pod zwykłym w takich przypadkach pozorem - zły stan zdrowia. Był dobrym żołnierzem i miał przyjaciół. Nie chcieli, żeby go zaszczuto. Uśmierciłem ten temat. - Spojrzał na nią. ~ Mam staroświeckie zasady, panno Jot. Nie jestem zwolennikiem unicestwiania sławnych postaci ot tak, dla zabawienia publiczności.

Choćby się to dobrze sprzedawało w prasie. Znajdą majora Granta, jeśli jeszcze żyje. - Zerknął na zegarek. - Już za późno, żeby zatelefonować. Złapię go jutro rano. Znam tu małą, miłą restaurację, moglibyśmy tam zjeść kolację, gdybyś miała ochotę. Oczywiście, jeśli nadal jest czynna.

- Czemu nie. Spotkamy się w barze o ósmej.
- O siódmej - skorygował ją. - To są prowincjonalne Niemcy. Tu jada się wcześniej.

Feliks znalazł sobie niewielkie mieszkanie w Pimlico. Dziewczyna, z którą od czasu do czasu sypiał, zauważyła na szybie okna napis „Do wynajęcia” i dała mu znać.

Sama mieszkała niedaleko, ale to nie miało znaczenia. Dziewczyna była zabawna, lecz on nie zamierzał się poważniej angażować.

Przeniósł do nowego lokum swe rzeczy - aparaturę stereofoniczną i płyty kompaktowe. Na szczęście Julii nie było wtedy w domu. Spotkanie w tamtym miejscu, choćby krótkie, mogłoby być dla nich obojga krępujące. Przed jej wyjazdem ostatnie dwie noce spędził gdzie indziej. Nie czuł do niej urazy.

Natomiast zdziwiła go ulga, z jaką przyjął fakt zerwania ich związku. Dotąd nigdy nie przyznawał się przed samym sobą, że pomimo jego stanowczego dążenia do niezależności i chodzenia własnymi drogami, ostatnie lata były dla niego coraz bardziej deprymujące. Był na utrzymaniu Julii i nie czuł się z tym dobrze. Ta psychiczna dolegliwość sprawiała, że stawał się samolubny i nie poczuwał się do zobowiązań wobec niej. Wmawiał w siebie, że jest wolnym człowiekiem, lecz to nie była prawda. „Pacholę na Swawolę” potrafiło ją krzywdzić. I, co typowe, nie poczuwało się do tego. Jednak teraz przyznawał, że wynikało to z jego pyszałkowatości. Drwiny z jego pozycji w tym związku bolały go i karał Julię za to, że to ona jakby grała rolę mężczyzny. Jego przewaga przejawiała się tylko w dziedzinie seksualnej i zwykł ją wykorzystywać, żeby Julię poniżyć, a czasem nawet trochę upokorzyć.

Rozejrzał się po pokoju, w którym wspólnie mieszkali, spojrzął na te jej okropne, ulubione obrazy i westchnął głęboko z ulgą, że to wszystko ma już za sobą. A ponieważ spadł mu ciężar z piersi, zostawił jej kartkę. „Mam nadzieję, że nie zostawiłem wielkiego bałaganu. Dzięki za wspaniałe chwile. Mój numer 832 84 74, gdybyś kiedyś chciała iść na drinka. Feliks”. Poczul się o wiele lepiej, zabrał swój dobytek z lekkim sercem i zostawił klucze w skrzynce na listy.

Wynajęty kapuś, emerytowany śledczy, stojący na czatach na par-

kingu po drugiej stronie ulicy zobaczył wychodzącego z domu Feliksa. Obserwował na zmianę z innymi to miejsce przez czterdzieści osiem godzin od chwili, gdy Joe powiedział, że chce tam przeszukać mieszkanie. Najpierw samochodem odjechała kobieta z torbą podróżną. Teraz wyprowadził się jej przyjaciel. Sytuacja się wyklarowała, droga do mieszkania była wolna.

Joseph Patrick potrafił zjednywać sobie przychylność ludzi mających władzę. Uczył się tego od wczesnego dzieciństwa. Wychował się w dublińskim sierocińcu. Dostał nazwisko Patrick, gdyż znaleziono go na schodach w dniu tego świętego. Mały wychudzony chłopczyna musiał wysilać całą swą inteligencję, żeby przetrzymać okrucieństwo silniejszych chłopców i bezlitosny rygor katolickich zakonników, którzy prowadzili zakład dla takich ludzkich wyrzutek jak on. Nieślubnych dzieci albo pochodzących z najniższych klas społecznych, porzuconych bądź ze wstydu, bądź z okrutnej, ekonomicznej konieczności. A także dla dzieci z dobrych rodzin, lecz rozbitych na skutek śmierci, klęski finansowej czy przekleństwa alkoholizmu. Sierociniec otwierał swe wrota przed wszystkimi. Nielicznym udało się opuścić go po osiągnięciu dojrzałości bez psychicznego okaleczenia. W czasie walki o przetrwanie Joe Patrick nauczył się bardzo szybko dwóch rzeczy. Po pierwsze, trzeba być użytecznym dla ludzi mających władzę, co odnosiło się zarówno do bezwzględnych dziecięcych prowodyrów, ustanawiających reguły życia w salach sypialnych, jak i do personelu, rządzącego całą tą społecznością. Po drugie, nigdy, przenigdy nie stwarzać sobie kłopotów i nie popierać nikogo, kto napyta sobie biedy. Znał tylko jedną lojalność - wobec samego siebie. Dostosował się do sztywnych zasad religijnych, nie przyswajając w najmniejszej mierze ich moralnego sensu. Stał się znany jako ten, kto podejmuje się wykonywania różnych poleceń, szpieguje sprawiających kłopoty kolegów, nie uchyla się od seksualnych posług.

Opuścił sierociniec z dobrymi referencjami od braci zakonnych i listem polecającym do sklepikarza, który przyjmował do pracy młodzież z ich poręki. Po trzech miesiącach Joe otworzył tylne drzwi sklepu członkom gangu rabusiów, którzy pobili właściciela do nieprzytomności i zabrali wszystkie pieniądze z kasy. Przyłożyli przy tym Joe'emu solidnie w głowę, więc pozostał poza podejrzeniem.

Jego wejście w świat przestępczy miasta dokonało się dzięki wzorom sprawdzonym w sierocińcu. Był usłużny i nie wymądrzał się. Wiedział, że jest znacznie bardziej inteligentny od ludzi, którzy da-

wali mu parę funtów za obserwowanie sklepów czy prywatnych mieszkań, do których chcieli się włamać.

Potem zaczął się zajmować wyszukiwaniem dziewcząt, które można byłoby nakłonić do prostytucji. Wałęsał się po barach i pubach w poszukiwaniu uciekinierek z domów lub nastolatek zainteresowanych narkotykami. Dostarczał im prochy. Gdy dziewczyny były już uzależnione, przedstawiał je stręczycielom, ci zaś zmuszali je do nierządu. Sam miał kilka prostytutek i bił je niemilosiernie, podobnie jak jego bito w dzieciństwie, jeśli opuszczały się w pracy albo usiłowały zatrzymać jakieś pieniądze dla siebie. Był wysoki, chudy, miał wygląd przystojnego Irlandczyka i popsute zęby. Starannie układał swe ciemne, kręcone włosy, modnie się ubierał, a policja wykorzystywała go jako informatora. To był niebezpieczny taniec na linie, nawet dla takiego zręcznego człowieka jak Joe Patrick. Miał kumpla od kieliszka, zapijaczonego gliniarza, pasującego raczej do oszustów, z którymi spędzał czas. Aż nadszedł moment, kiedy Joe musiał opuścić Dublin, w porę udzielono mu tej rady - wziąć nogi za pas, dopóki były całe. Miał trochę pieniędzy, dużo ubrań i adres, który dał mu kolega. Pojechał do Londynu i zgłosił się do małej, marnie prosperującej prywatnej agencji detektywistycznej. Zatrudniono go. Tam znalazł go Harold King. Joe pracował dla Kinga już osiemnaście lat. Zaczęło się od tego, że dostał zlecenie inwigilacji dziennikarza piszącego niepochlebne artykuły o wydawnictwie Kinga i jego pornograficznych czasopismach. Miał się dokopać do jego nieczystej sprawy. Niczego nie znalazł, więc ją zaaranżował.

Nadal pozostawały pod jego opieką dwie lub trzy dziewczyny; jedną z nich podsunął dziennikarzowi. Sfotografował ich, kiedy na tylnym siedzeniu samochodu oralnie sprawiała mu przyjemność. Artykuły o pornograficznych magazynach Kinga przestały się ukazywać.

Pod wpływem impulsu, z ciekawości King poprosił go do siebie. To był pomysłowy facet, ten Irlandczyk. Nikt mu nie mówił, żeby tak wpakować ofiarę w kabałę.

King ujrzał przed sobą dwudziestokilkuletniego prostaka, o bystrych oczach, w których malowała się przebiegłość drobnego kryminalisty. Lecz pod tą strzechą kędziorów krył się umysł. King dokonał oceny przybysza i podjął decyzję.

Mógłby mu się przydać ten rynsztokowy kapuś. I zawsze miałby nad nim pełną kontrolę. Zmierzył go wzrokiem od stóp do głów, zaciągnął się wielkim cygarem i spytał:

- Chcesz dla mnie pracować?

Popsute zęby, spadek po marnym odżywianiu i nieprzestrzeganiu zasad higieny, ukazały się w przymilnym uśmiechu.

- Pewnie, że chcę.
- I obojętne ci, co miałbyś robić?

Nadmiernie wywatowane ramiona marynarki uniosły się nieco.

- Nie jestem wybredny. Wezmę robotę, jaka by nie była.

Miał ochrypliły głos z wyraźnym dublińskim akcentem, co Kinga drażniło. Byłoby zabawne zabrać się za ten kawałek ludzkiego śmiecia i na nowo go ukształtować.

- Wobec tego idź do dentysty i zrób coś z zębami. Jeżeli masz dla mnie pracować, musisz wyglądać tak, jak ja sobie tego życzę. Będziesz wymawiał słowa tak, jak wymagam, i ubierał się, jak ci polecę. Rozumiesz?

Ludzie mający nad Joe Patrickiem władzę przemawiali do niego w ten sposób przez całe życie. Nie miał dumy, jedynie cenę. Przeczesał palcami kręconą czuprynę.

- To pan jest szefem, panie King. Mnie to pasuje.

King odprawił go gestem dłoni, lecz zaraz przywołał z powrotem.

- I zetnij to gniazdo gnid.

Od tej chwili Joe Patrick stał się jego człowiekiem. Teraz chodził ostrzyżony i bardzo dobrze ubrany, jego akcent przypominał amerykański. Wracał do swej irlandzkiej angielszczyzny tylko wtedy, gdy wyjeżdżał do Stanów, by coś załatwić dla Kinga. Miał eleganckie mieszkanie nie opodal Hyde Parku i jeździł BMW.

Był biznesmem, co poświadczały jego wizytówki. Joseph G. Patrick, Eksport-Import, i adres biura w Covent Garden. Mieszkał z dwiema ciemnoskórymi dziewczynami. Dostarczał Kingowi kobiety od początku jego małżeństwa, gdyż „gwiazdki filmowe” i „modelki”, z którymi szef lubił się kiedyś pokazywać, poszły w odstawkę. Żadna z dziewcząt obsługujących Kinga nie odważyła się o tym mówić. Jeżeli mu się sprzeciwiały, dostawały od Joego Patricka za swoje - nauczką było oszpecenie twarzy. Natomiast płacił doskonale, gdyż stosował metody Kinga. Kupował ich dyskrecję, a poza tym wisiała nad nimi stale ukryta groźba ze strony Joego, gdyby któraś miała dosyć.

King chciał, żeby poobserwował tę Hamilton. Przez wiele lat Joe wykonywał mnóstwo podobnych prac. To była dla niego bułka z masłem, podobnie jak dostarczanie właściwych dziewczyn. Wykonywał już dla Kinga o wiele bardziej skomplikowane zadania. I o wiele lepiej płatne. Przy okazji Joe zwiedził parę interesujących miejsc. Niezle znał Stany Zjednoczone i częściowo Europę. Dzięki swej pracy

nabrał pewnej ogłady. Stał się pewny siebie i szybko nauczył się dobrych manier. Był jak kameleon, potrafił wtopić się w otoczenie.

Mieszkanie stało puste i nie było sensu dłużej zwlekać. Ta Hamilton mogła wrócić w każdej chwili. Uznał, że zadanie powinno być wykonane tego popołudnia.

Przy frontowych drzwiach znajdował się podwójny zamek, ale to nie sprawiało trudności ekspertowi Joego. Otworzył je i wpuścił Patricka do środka.

- Zostań tutaj. - Joe wydał polecenie tylko ruchami warg. Byli na podeście pierwszego piętra dużego budynku mieszkalnego. Drzwi na piętro otworzyły się, gdyż jedna z mieszkanek z góry włączyła brzęczyk domofonu. Głupia kobieta, nacisnęła guzik, zanim zapytała przybysza o nazwisko. Człowiek Joego miał gotową odpowiedź.

- Interflora - powiedział. - Mam dostarczyć kwiaty do lokalu numer dwa. Hamilton? Nikt nie odpowiada, więc zostawię je pod drzwiami. Dziękuję.

W ten sposób znaleźli się wewnątrz klatki schodowej prowadzącej na pierwsze piętro.

- Zawołaj mnie, gdyby ktoś nadchodził - rzekł Joe i po chwili był już w mieszkaniu Julii.

Umiał tak przeszukiwać mieszkania, żeby nie zostawić żadnych śladów. Otwierał szuflady, podnosił bieliznę i macał dłonią pod spodem; wsunął ręce pod materac podwójnego łóżka, przepatrzył szafki, otworzył pozostawioną w domu walizkę i pudło na kapelusze. Wiedział, gdzie ludzie ukrywają pieniądze, biżuterię i osobiste dokumenty. Niczego nie znalazł poza leżącymi w szufladzie kilkoma złotymi błyskotkami i niewielką ilością drobnych pieniędzy. Nie dotykał ich.

Zwrócił uwagę na automatyczną sekretarkę. Uruchomił ją, przesłuchał taśmę, szybko zrobił notatki i nastawił z powrotem na odbiór. Szukał jakichś urzędowych papierów, czegoś, co by miało związek z jej pracą w „Heraldzie”. Nie przynosiła biurowych materiałów do domu. Przesłuchane wiadomości miały czysto osobisty charakter. Telefon od matki i dwa od przyjaciół zapraszających ją i Feliksa - tego przyjaciela, który się wyprowadził - na kolację.

Zauważył kartkę od Feliksa z numerem telefonu. Przepisał go. Po czym zainteresował się zawartością kosza na śmieci w bawialni. Pomiędzy pustymi kopertami i reklamami znalazł oddarty, zapisany skrawek papieru. Ktoś w pośpiechu notował na nim skrótami rozkład lotów. „8.30 Heathrow. Monachium 12.15. W Ness, ok. 13 czas lok.”. Joe włożył notatkę do kieszeni. Był w mieszkaniu niespełna dziesięć

minut. Wyszedł.

- OK, zamknij drzwi.

Jego towarzysz przekręcił klucz w zamku i po cichu wyślizgnęli się na ulicę.

Joe nie miał pojęcia, co znalazł, ale uznał, że numer telefonu może się przydać. W razie potrzeby, będzie można skontaktować się z jej byłym przyjacielem.

Za Nessenbergiem nie było śladu po obozie. Na zajmowanym kiedyś przez niego terenie wybudowano osiedle mieszkaniowe. Julia i Ben wyjeżdżali z miasta następnego dnia rano.

- To nie do wiary - stwierdziła - że oni tak wszystko odbudowali po wojnie. Nie zdawałam sobie z tego sprawy, dopóki tu nie przyjechałam.

- To zaradni ludzie - odparł Ben. - Zdyscyplinowani i pracowici.

- Chyba nie tylko - zastanawiała się Julia. - Widziałam kroniki filmowe i zdjęcia. Cały kraj był zupełnie zniszczony.

- Są dumni - dodał. - Moja żona powiedziała mi kiedyś: „Zostaliśmy pokonani, ale nie damy się zdeptać”. Jej rodzina zmuszona była uciekać przed bombardowaniami, dwaj wujkowie przepadli gdzieś w Rosji. Pochodziła z Hamburga. To było rzeczywiście trudne do wyobrażenia. Ale kiedy myśmy tu przyjechali, kraj był już odbudowany. Nie sądzę, żeby jej rodzice cieszyli się z naszego małżeństwa, raczej robili dobrą minę do złej gry. W każdym razie byli zwariowani na punkcie wnuków.

- Przykro mi, że nie widzisz dzieci. Może z czasem będziecie potrafili się porozumieć.

- Tylko nie wiem właściwie po co. Nie byłem dobrym ojcem. Oni poszli swoją drogą. Pomówmy o czymś innym.

Ogarnął go ponury nastrój, był wyraźnie rozdrażniony. Zaczynała lepiej go rozumieć. Pod złością skrywał swe prawdziwe uczucia. Ból i autentyczne osamotnienie. Wraz ze zrozumieniem pogłębiała się jej sympatia do niego. Był znakomitym kompanem, o ile humor mu dopisywał. Poprzedni wieczór spędzili wspaniale. Zjedli doskonałą kolację w restauracji, której Harris wcześniej nie znał; w miejscu jego dawnego ulubionego baru był teraz sklep kolonialny.

Ben zamówił miejscowe jedzenie i wino, swobodnie rozmawiali na wiele tematów. Dużo mówił o Niemczech i o odradzaniu się nazizmu, o problemach zjednoczenia kraju podzielonego na dwie części z powodów ideologicznych, w którym całe pokolenia wychowywane były w zupełnie różnej etyce pracy i systemie pomocy socjalnej. Był

niezwykle inteligentny i miał olbrzymią wiedzę. Julia słuchała go zafascynowana. Kiedy wracali samochodem do hotelu, przyznała się do tego.

- Wiesz, Ben, to był wyjątkowo miły wieczór. Wiele się od ciebie nauczyłam. Ta nasza wyprawa okazała się dla mnie naprawdę pouczająca.

- Myślałam, że cię zanudzam na śmierć - wyznał. - Ale w związku z małżeństwem z Helgą, to wszystko stanowiło część mego życia. Nie wiem, dlaczego teraz tyle o tym mówiłem. W każdym razie nasza wycieczka coś nam dała. Majora A.B. Granta.

- Kiedy dostaniesz wiadomość z ministerstwa? - spytała.

- Jeszcze dzisiaj. Muszą tylko sprawdzić archiwa, ustalić, kto z wojskowych tu pracował, no i zwrócić uwagę, czy przy nazwisku nie ma adnotacji „zmarł?”. Wszystko za przyciśnięciem klawisza komputera.

- Jeżeli nie żyje - pokręciła głową - znowu będziemy ciemni jak tabaka w rogu. Ale nie wydaje mi się.

Uśmiechnął się lekko.

- Jesteś optymistką, panno Jot. Ja jestem pesymistą. Takim typem, który mówi, że butelka jest w połowie pusta. Ty mówisz że pełna do połowy.

Właścicielką hotelu była zażywna, energiczna dama o przyjaznym uśmiechu. Powitała ich prawie w progu.

- Dzień dobry! Herr Harris, nadeszła faksem wiadomość dla pana. Mam ją tutaj.

Julia zajrzała mu przez ramię. Przeczytał szybko faks i obrócił się ku niej.

- To więcej niż butelka pełna do połowy - powiedział cicho. - Major Grant ożenił się z miejscową dziewczyną. W siedemdziesiątym czwartym przeszedł w stan spoczynku i osiedlił się tutaj. Mamy nawet jego adres. Pobiera rentę inwalidzką.

Julia impulsywnie ścisnęła jego ramię.

- Ben, to dla nas przełom! Gdzie on mieszka?

Wziął ją za rękę i przez chwilę ścisnął jej dłoń.

- W Hintzbach, około dwudziestu kilometrów stąd. Zatelefonuję do niego.

Właściciel największego domu towarowego w mieście był jednocześnie prezesem miejscowego stowarzyszenia weteranów ostatniej wojny. Miał niewiele ponad dwadzieścia lat, gdy jako sierżant wojsk pancernych został ranny w walkach na Saharze Zachod-

niej. Uchroniło go to przed wysłaniem na front wschodni. Pod koniec wojny został cywilnym administratorem składów zaopatrzeniowych na potrzeby 101 Dywizji walczącej z VI Armią Amerykańską. Widział wrogów dokonujących najazdu na jego kraj, zburzone miasta, szukających schronienia uciekinierów z terenów ogarniętych walkami, swych rodaków zagłodzonych i umierających, a także towarzyszy broni stłoczonych w obozach jenieckich, gdzie racje żywnościowe były tak skąpe, że tysiące przymierało głodem. Jemu udało się uniknąć obozu, gdyż był cywilem z amputowaną do kolana nogą. W głębi serca pozostał jednak żołnierzem i wszystko, czego był świadkiem, utwierdzało go w przekonaniu, że klęska Adolfa Hitlera była największym nieszczęściem w historii jego kraju. Wraz z nadzieją czasów dobrobytu nie zmienił zdania w tej kwestii. Razem z żoną pracowali i oszczędzali. Efektem ich wysiłku był wielki, nowoczesny dom handlowy, zbudowany na należącym do niego gruncie, a ponadto jego pozycja szanowanego powszechnie obywatela. Pełnił także funkcję nieoficjalnego łącznika byłych żołnierzy, którzy potrzebowali pomocy.

Wsparcie przychodziło z wielu nieoczekiwanych stron. Ze Stanów Zjednoczonych, gdzie starzy członkowie ich stowarzyszenia nadal byli lojalni; z południowej i centralnej Ameryki, gdyż i tam emigranci nie zapominali o swej ojczyźnie. Stowarzyszenie weteranów wykorzystywało otrzymane pieniądze na leczenie i rehabilitację zdrowotną tych, którzy jeszcze w kilka lat po wojnie odczuwali jej skutki, na budowę domów opieki nad starszymi i niepełnosprawnymi, a nawet na zapomogi dla wdów uzupełniające państwowe renty. Koło w Nessenbergu w uznaniu jego zasług powołało go na prezesa. Był bardzo dumny z tego stanowiska. Bardziej niż z wielkiego, nowoczesnego domu towarowego, jego pierwszego przedsięwzięcia handlowego, i z pieniędzy, które za tym szły.

Mógł nadal być w służbie, chociaż zachowywał na ten temat milczenie. Trzej synowie, wykształceni, o liberalnych poglądach, bardzo go rozczarowali i byli mu zupełnie obcy. Wstydzili się przeszłości, odrzucali rasizm i ubolewali nad każdym przejawem militarystyki czy nacjonalizmu. Byli obywatelami nowych Niemiec i ojciec nie potrafił ich zrozumieć. W domu nie dyskutowało się o polityce. Miał nadzieję, że napływ kryminalistów i darmozjadów nazywających się uchodźcami, żyjących za państwowe pieniądze albo odbierających innym miejsca pracy, pozwoli zrozumieć synom, jak bardzo się mylili. Sam jednak nic im nie mówił. Miał swoich przyjaciół, utrzymywał stosunki z ludźmi z minionych czasów. Telefon z

automatyczną sekretarką zainstalował w prywatnym gabinecie w biurze, niewielu ludzi znało ten numer. Wysłuchał wiadomości zostawionej przez Minnę.

Minna była córką jego kolegi, który służył w Pancernernej Dywizji SS na Wschodzie. Należał do jednostki bojowej i nie miał nic wspólnego ze służbą obozową czy plutonami egzekucyjnymi, co wyrzucali SS ich wrogowie. W każdym kraju znajdują się niepożądane elementy. Na wojnie zawsze zdarzają się okrucieństwa. On od historii swego kraju oddzielił się psychologiczną barierą. Obozy istniały, ale rozmiary tego zjawiska były wyolbrzymiane przez Żydów. Już teraz kwestionowano liczbę ludzi, którzy tam zginęli. Minna była nieodrodną córką swego ojca, przepojona tą samą co on wiernością i jego ideałami.

Wiele lat temu miał gościa. Towarzysza broni z Sahary Zachodniej, gdzie brytyjski pocisk moździerzowy rozerwał mu nogę. Człowiek ten powiedział, że działa na rzecz innych byłych żołnierzy, którzy zrzucili mundury i zostali przez wrogów zamknięci w obozie dla uchodźców w Nessenbergu. Alternatywą było przymieranie głodem w obozie jenieckim.

W obozie dla uchodźców jedzenia nie brakowało i zapewniano tam opiekę lekarską. W tych strasznych czasach uchodźcy mieli szczęście. Przybysz poprosił go, żeby ochraniał tych, którzy wprowadzili w błąd władze UNRRA i oficerów wojsk okupacyjnych sprawdzających tożsamość uchodźców. Po latach jacyś ludzie zaczęli węszyć, szukając danych o kimś w archiwach. Upewnił się wtedy, zgodnie z poleceniem, czy usunięto wszystko, co mogło być obciążające. W aktach pozostawiono pojedyncze, nieważne dokumenty. Teraz szperacze wrócili. Oglądali te same akta - Komisji Kontroli z 1949 roku. Świetnie pamiętał tych dobrze odżywionych, gładkich brytyjskich oficerów, zakwaterowanych tu, w mieście, jak skrupulatnie badali i wypytywali wszystkich w poszukiwaniu tak zwanych zbrodniarzy wojennych lub dezertków. Do dzisiaj zachował nienawiść do tych Anglików, mimo że dawno już wyjechali, a z nimi ci intryganci z ONZ.

Tych dwoje przyjechało z Anglii. Minna zanotowała ich nazwiska. Zdecydował, że do niej zatelefonuje, żeby dowiedzieć się czegoś więcej, zanim wypełni swe zobowiązanie.

Odwdzięczy się przy tym, w jakiejś małej części za szczodre finansowe wsparcie, które przyjął dla stowarzyszenia weteranów na fundusz pomocy ubogim.

Droga do Hintzbach prowadziła przez ładne bawarskie wioski, zaś

miasteczko, w którym major Grant zamieszkał ze swoją żoną, wyglądało jak z obrazka. Wzdłuż wąskich uliczek stały domy z drewnianymi zdobieniami. Panowała tu czystość i porządek, kafejki i piwiarnie były pełne ludzi. Przyjechali tu w porze obiadowej i sklepy były pozamykane. Dom, którego szukali, mieścił się obok składu win. W oknach skrzynki pełne różnokolorowych kwiatów, a na tabliczce wymalowana jaskrawymi kolorami zupełnie nieodpowiednia angielska nazwa. Gawronie Gniazdo. Zostawili samochód na bocznej ulicy, gdyż na głównej obowiązywał zakaz parkowania, i podeszli do frontowego wejścia.

Z żoną majora rozmawiał przez drzwi Ben. „Major nie czuje się zbyt dobrze, ona zapyta, przeprasza, ale kto się chce z nim widzieć?” Ben wyjaśnił, że pisarka, która pracuje nad książką i prowadzi pewne badania dotyczące działalności Brytyjskiej Komisji Kontroli do Spraw Uchodźców. Obiecali, że nie zajmą dużo czasu, będą wdzięczni za krótką rozmowę.

Otworzyła im drzwi. Julia zobaczyła drobną kobietę o ciemnych włosach, lekko przyprószonych siwizną. Musiała mieć co najmniej siedemdziesiąt lat, lecz mimo swego wieku, nadal była bardzo ładna. Miała na sobie fartuch w kwiaty i bluzkę z falbanką przy szyi.

- Nazywam się Harris - Ben postąpił do przodu, ujmując Julię za ramię - a to jest panna Hamilton.

- Wejdźcie państwo, proszę.

Hol był mały i ciemny. Pachniało pastą do czyszczenia mebli.

- Mąż jest bardzo przejęty państwa wizytą - powiedziała z uroczym uśmiechem. - Ale on tak łatwo się męczy. Jest tam. Czy chcą się państwo napić kawy? A może piwa?

- Poproszę o kawę - odparła Julia. W pokoju na dole została urządzone sypialnia. Major Grant siedział w fotelu z kolanami otulonymi szalem zrobionym na drutach. W kominku palił się ogień.

Podeszli do niego oboje i uścisnęli mu dłoń. Była chłodna i wychudła, niby szpon ptaka. Wyglądał mizernie, miał przerzedzone siwe włosy i zapadłe policzki.

- To bardzo miło z pana strony, że zechciał nas pan przyjąć, sir - zaczął Ben.

- Cała przyjemność po mojej stronie - starszy pan uśmiechnął się do nich. - Ostatnio nie miewam gości z kraju. Usiądźcie, czujcie się jak u siebie w domu. Żona przyniesie nam kawę i tort, który sama upiekła. Robi wspaniały tort czekoladowy.

Rozmawiali o pogodzie, zadał parę pytań na temat Anglii - nie był tam od pięciu lat, bo od czasu gdy miał niewielki wylew, niewiele się

ruszał. Julia czuła, że utracił kontakt ze swą ojczyzną. Kiedy żona wróciła z tacą, spojrział na nią czułym wzrokiem.

- Zostawiam was - powiedziała. - Mam coś do roboty.

- Nie, nie - zaprotestował. - Zostań i porozmawiaj z nami, kochanie. W końcu byłaś tam tak samo długo jak ja. - Zwrócił się do Julii, która siedziała bliżej niego. - Gerda była w tym obozie. Tak się poznaliśmy. Może być bardzo pomocna, zna wszystko z własnego doświadczenia.

Rozmawiali z godzinę, zanim Julia podjęła temat Phyllis Lowe.

- Szczególnie interesuje mnie pewna Angielka, która przyjechała tu pracować dla UNRRA. Rozmawiałam już z wieloma pracownikami tej organizacji, z którymi mogłam nawiązać kontakt - nie powiedziała „którzy jeszcze żyją” - ale nie natrafiłam na ślad Phyllis Lowe. Wiem, że zaprzyjaźniła się z młodym człowiekiem z obozu o nazwisku Koenig. - Julia popatrzyła na nich pytająco. - Oni wyjechali z Anglii w siedemdziesiątym czwartym, King nie był jeszcze wtedy znaną osobistością.

Starszy pan rzucił jej spojrzenie i rzekł ostrym tonem:

- Znałam Phyllis. I znałam Koeniga. Usiłowałam ją przed nim ostrzec, ale w ogóle nie chciała słuchać, prawda, Gerdo?

- Tak - odparła jego żona. - Dała mu się całkowicie omamić. Moją narodowość udało się ustalić i pracowałam wtedy dla Alfreda. W czasie bombardowania miliony dokumentów uległy zniszczeniu. Moje zaginęły we Frankfurcie, ale na podstawie świadectwa ślubu moich rodziców ustalono, kim jestem. Wtedy zwolniono mnie z obozu. Nie znałam Koeniga, przebywało tam tysiące ludzi, ale znałam Phyllis Lowe. Była miłą kobietą...

- Była idiotką - przerwał jej mąż.

Żona zganiła go szeptem i przez chwilę rozmawiali tylko między sobą, przeżywając na nowo wydarzenia ze wspólnej przeszłości.

- Była w nim zakochana - rzekła pani Gerda. - Zakochana do szaleństwa i nikogo nie chciała słuchać.

- Zakochana w Koenigu? - spytała Julia. - Czy oni byli kochankami?

- Oczywiście - powiedział Grant ze złością. - Przede wszystkim ze mnie zrobiła wariata. Ona zbliżała się do czterdziestki, a on mógł mieć około dwudziestu pięciu, dwudziestu sześciu lat. Przekonywała mnie, że był biednym sierotą z tragiczną przeszłością, że został wywleczony z domu, gdzie zastrzelono jego rodziców, potem pracował jako robotnik przymusowy na farmie, a po wejściu Rosjan, razem z innymi takimi jak on biedakami, ścigany jak dzikie zwierzę. Chciała

wydostać go z obozu, wykształcić i dać mu szansę nowego życia. Wielu uchodźców osiedliło się w Europie, jeśli nie udało się im wyjechać gdzieś dalej, na przykład do Stanów. Uwierzyłem jej. Była tak piekielnie przekonująca, a ja znałem opinię o niej jako o osobie oddanej całym sercem pracy na rzecz uchodźców. Bardzo ją lubiono i szanowano. Dlatego pozytywnie zaopiniowałem wniosek, aby zwolniono go z obozu za jej poręką. Nigdy nie sprawiał żadnych kłopotów, wydawało się, że jest skromnym młodzieńcem. Zachowywał się bardzo przyzwoicie, choć raczej nie miał ogłady. Kilka razy przeprowadzałem z nim rozmowy. Opowiedział mi tę samą historię, którą przedstawił Phyllis. „*Fräulein* była taka miła, zupełnie jak matka”. Pamiętam, że ten łajdak wycisnął wtedy nawet parę łez. Uzgodnili taką wersję, tylko wówczas nie zdawałem sobie z tego sprawy. Dopiero jak wyszedł z obozu, przestali się kryć z tym, że żyją ze sobą.

- Czy rzeczywiście pomagała mu zdobyć wykształcenie? Gdzieś czytałam, że nawet zatrudniła kogoś, żeby go uczył angielskiego.

- Ha, rzeczywiście, pomagała. Wydawała na niego mnóstwo pieniędzy, kupowała mu ubrania, zdarzało się jej zwędzić dla niego papierosy albo zdobyć za łapówkę, miała nawet czelność prosić mnie o pleyersy, bo on je lubił! A czy on się nie zmienił, co, Gerdo?

- Tak - stwierdziła żona. - Stał się arogancki, zachłanny, a nawet upokarzał tę biedną kobietę. A jej jakby się to podobało. Włóczył się po kawiarniach, chwalił się swoją bogatą, angielską kochanką i rozpowiadał, jak to ona robi wszystko, czego on chce. Alfred przeprowadził z nią kilka poważnych rozmów, prawda, kochanie? Usiłował ją przekonać, że robi z siebie kompletną idiotkę, że ten człowiek ją wykorzystuje. I co ci na to odpowiedziała?

- Że nigdy w życiu nie była taka szczęśliwa, a ja nie rozumiem jej Hansa, jak go nazywała. „Jest młody i pełen życia. Niezależnie od tego, co mówisz, on mnie kocha. Wiem, że mnie kocha”. I oznajmiła mi, że zamierza wyjść za niego za męża i wrócić z nim do Anglii.

Westchnął, jakby zmęczyły go te przywoływane sceny z przeszłości. Na chwilę zapadła cisza i żona majora skinęła do Julii głową, jakby chciała powiedzieć: „Już wystarczy, proszę”.

Julia wstała.

- Panie majorze, nie możemy dłużej pana męczyć. Tylko jeszcze jedno pytanie. Czy wyszła za niego?

- Tak - odrzekł. - Widzi pani, ona była osobą cywilną i nie podlegała władzom wojskowym. W przeciwnym razie moglibyśmy ją powstrzymać. Wyszła za niego w sześć miesięcy po zwolnieniu go z

obożu, zrezygnowała z pracy w UNRRA i powiedziała, że wyjeżdża do Anglii. Przynajmniej przyszła się ze mną pożegnać. Powiedziała mi: „Czeka nas bardzo szczęśliwa przyszłość, będę z tobą w kontakcie, Alfredzie”. Ale nigdy się nie odezwała. I nigdy więcej o niej nie słyszałem.

- Ogromnie panu dziękujemy, sir. - Harris uściśnął chudą dłoń. - Bardzo nam pan pomógł.

- Razem piszecie tę książkę? - zapytał major.

- Współpracujemy przy zbieraniu materiałów - odparł Ben.

- Do widzenia, panie majorze, proszę dbać o siebie. - Julia nie podała mu ręki, gdyż wyglądał, jakby zasypiał. W holu zwróciła się do jego żony.

- Mam nadzieję, że nie siedzieliśmy za długo. Wyglądał na bardzo zmęczonego.

Gerda Grant potrząsnęła głową.

- Jest stary. Oboje jesteście starzy. Ale mamy dwóch synów i wnuki, i żyliśmy ze sobą bardzo szczęśliwie. Rola męża Niemki dla Alfreda nie była łatwa. Jednak kochaliśmy się i tylko to się liczyło.

- Jaka była ta Phyllis Lowe, to znaczy, jak wyglądała?

- Bardzo przystojna. Bardzo elegancka. Chyba pochodziła z wyższych sfer, wiele takich pań pracowało w UNRRA. Kulturalna osoba, przewyższała go pod każdym względem. Ale była zaślepiona, całkiem zaślepiona. Ciekawa jestem, co się z nią działo po powrocie do Anglii.

- Ja też jestem ciekawa - powiedziała Julia. - Do widzenia i dziękuję pani. Mam nadzieję, że zdrowie będzie mężowi dopisywało.

Szli do samochodu w milczeniu. Ben uruchomił silnik.

- Cóż - odezwał się w końcu. - Nastąpił nieoczekiwany zwrot w sytuacji.

- Nic dziwnego, że nie mogliśmy znaleźć jej świadectwa zgonu - zauważyła Julia. - Zaraz się za to zabierzemy. Nosiła nazwisko Koenig, dlatego się nam nie udało. Ben, przecież wysłaliśmy naszych ludzi, żeby szukali wiadomości o osobie noszącej nazwisko Lowe. Wracajmy zaraz do hotelu, będę mogła zatelefonować do biura.

- Ożenił się z nią - mruczał pod nosem Ben, dodając gazu - żeby wyjechać do Anglii. Dlaczego kłamał? Jak sądzisz, panno Jot, co on ma do ukrycia?

- Coś więcej niż to, że okpił kobietę dostatecznie dojrzałą, żeby mieć więcej rozumu w głowie. Wymyślił sobie bardzo dobrą wersję: zachorowała na raka, zostawiła mu trochę pieniędzy...

- Czy myślisz, że ona umarła?

- Tak, ale byłoby bardzo ciekawe zobaczyć akt zgonu. - Spojrzała na niego i nagle powiedziała. - To urocze, prawda? Takie stare małżeństwo. Już się zapomniało, że bywają tacy ludzie.

Nic nie odpowiedział. Czują, że niechcący dotknęła bolesnego miejsca. Nie okazywał tego, lecz po nieudanym związku pozostała mu blizna.

Dziewczyna o imieniu Minna skinęła głową:

- Tak powiedział. Mówił, że coś znaleźli.

Wrócił do domu w przerwie obiadowej, a ona przyjechała z Bauhausu. Jego żona zostawiła ich samych w bawialni. Nigdy nie obchodziła jej działalność męża w stowarzyszeniu weteranów, a wiedziała, że z ojcem Minny łączyła go znajomość jeszcze z wojska. Miała nadzieję, że rodzina dziewczyny nie znalazła się w kłopotach. Ale gdyby tak się stało, jej mąż coś na to zaradzi.

- Masz te nazwiska?

- Tak, proszę - podała mu kartkę.

- Opisz, jak wyglądali.

- Mężczyzna około czterdziestki, ciemne włosy, w okularach.

Kobieta młodsza od niego. Naturalne rude włosy, ładna, elegancko ubrana.

- Dobrze - powiedział. Spojrzał na kartkę, na której Minna zapisała wszystkie interesujące go szczegóły. - Zatrzymali się w Nessenbergu - mruknął. - Będę mógł się czegoś dowiedzieć. Leni jest przyjaciółką mojej żony, da mi do przejrzania listę gości hotelowych. Dziękuję ci, Minno. Zawsze czujna.

- Zawsze wierna - dokończyła za niego hasło. - Muszę iść, bo się spóźnię.

Patrzyła na niego w milczeniu. Była atrakcyjną młodą kobietą o świeżej twarzy, urodziła się dwadzieścia lat po zakończeniu wojny. Uniosła rękę w geście zakazanego pozdrowienia. Powoli uniosł również swoją. W chwilę później zamknęły się za nią drzwi.

Julia odłożyła słuchawkę.

- Musieli jeszcze raz przetrzeć ten sam szlak. Ale wyszła na jaw pewna rzecz. - Popatrzyła ze zmarszczonymi brwiami na zapisaną stenograficznie kartkę. - Odnaleźli stare małżeństwo. Mieszkali w sąsiedztwie domu, zajmowanego przez Phyllis Lowe i Kinga. Pamiętają młodego człowieka i starszą od niego kobietę, którzy tam się wprowadzili. Moi ludzie nagrali na taśmę rozmowę z nimi. Chyba musimy już wracać do Anglii, tu nie ma my nic więcej do roboty.

Wstała i lekko się przeciągnęła. Zauważył, jak krągłe ma piersi.

- Zostańmy jeszcze na tę noc - powiedział. - Pokażę ci Monachium. Możemy polecieć rannym samolotem.

- Możemy - zgodziła się. - W porządku, niech będzie. Zatelefonuję i zamówię bilety.

- Ja to zrobię - rzekł z ożywieniem. - Panno Jot, czy pijesz piwo?

- Nie, jeżeli mogę tego uniknąć. - Roześmiała się.

- Nie można być w Monachium i nie iść do *bier keller* - stwierdził. - Spotkamy się na dole o szóstej.

Dla Julii stanowiło to zupełnie nowe doświadczenie. Miasto było piękne, odbudowane po zniszczeniach wojennych. W miarę jak zbliżał się wieczór, nastrój stawał się coraz bardziej ożywiony. Jasno oświetlone sklepy przepełnione były towarami. Kawiarnie, bary i piwiarnie obsiedli rozbawieni Bawarczycy. Uderzyło ją, jak wielu z nich miało ciemne włosy i oczy, tak odbiegające od aryjskiego ideału, którego wzorzec powstał właśnie tutaj przeszło pół wieku temu.

Ben zgodnie z obietnicą zabrał ją do *bier keller*. Było tam gorąco, głośno i pełno dymu, lecz dobry humor otaczających ich ludzi i im się udzielił. Grupka przy sąsiednim stoliku zaczęła śpiewać i zaraz do chóru przyłączyli się pozostali. Wszyscy wybijali rytm piosenki kufkami o blaty stołów.

- To szaleństwo - zwróciła się do Bena. - Jak na hollywoodzkim filmie, tylko że tam nie potrafią pokazać takiej zabawy.

- Pewnego roku przyjechaliśmy z dziećmi na *Octoberfest* - powiedział. - Ogromnie im się to podobało. Całe miasto szalało, piło piwo, śpiewało, wszyscy ubrani w narodowe stroje. Nie można zrozumieć, dlaczego właśnie tu narodził się nazizm, prawda?

- Tak, to prawda - odrzekła, ściągnięta nagle na ziemię. - Nie można.

Wstał.

- Chyba masz już dosyć piwa, więc przenieśmy się do jakiegoś bardziej cywilizowanego miejsca.

Gdy wyszli na ulicę, wzięła go pod rękę.

- Bardzo mnie cieszy ta nasza wyprawa. Za żadne skarby świata bym z niej nie zrezygnowała. Gdzie idziemy teraz?

- Do Bernerhof - spojrzał na nią z uśmiechem. - Od śmieszności do wzniosłości, zależy jak na to patrzeć. Najlepsze jedzenie i wina w całej Bawarii.

Nie wysunęła ręki spod jego ramienia.

Usiedli przy barze i popijali wino, studiując menu. Pianista przy

fortepianie grał sentymentalne melodie z lat sześćdziesiątych, światła były przyćmione, panowała atmosfera odprężenia i spokoju.

Panie elegancko ubrane, a panowie też zupełnie niepodobni do tych hałaśliwych piwošy z *bier keller*. Wyciszenie, luksus i klimat ledwie uchwytej zmysłowości zdawały się dawać do zrozumienia: to wszystko jest dla waszej przyjemności. Jakąkolwiek postać ta przyjemność przybierze, naszą przyjemnością będzie ją zaspokoić.

Zjedli kolację w jednej z łóż w restauracji, nastrój był intymny, siedzieli blisko siebie. Wypiła więcej wina, niż zamierzała, i delektowała się smacznymi potrawami.

Kiedy przyniesiono im kawę z kremem, powiedziała do Bena:

- Od dziesięciu lat nie zapaliłam papierosa. Teraz mam ochotę.

- Znam to uczucie - odrzekł. - To miejsce wywiera taki wpływ.

Każdemu tu się wydaje, że jest panem świata, może robić wszystko, co tylko mu się zamarzy i do licha z całą resztą. Ślicznie wyglądasz. - Gdy wypowiadał te słowa, nie patrzył na nią. Czują jego ciało tuż przy swoim na wyściełanym siedzeniu.

Nie dotknął jej, nawet dłoni leżącej na stole. Nie musiał; jego pożądanie nagle ją rozpałiło i powiedziała miękko:

- Nieważne, już nie mam chęci. Może byśmy spędzili tu noc?

Obrócił się ku niej, ujął jej twarz w dłonie i uniół ją ku swojej. Całował ją powoli - nie tak jak Feliks ze swym natarczywym językiem i zachłannością.

Potem zapytał:

- Panno Jot, czy naprawdę tego chcesz? Jesteś pewna?

Położyła mu dwa palce na wargach.

- Po tym, co właśnie zrobiłeś, jestem pewna.

Kiedy ją rozebrał, powiedział po prostu:

- Jesteś piękna. Pragnę na ciebie patrzeć.

Zobaczyła odbicie ich nagich ciał w lustrze zawieszonym na ścianie naprzeciwko łóżka i zaczęła się powoli obracać przed Benem, aż wreszcie pochwycił ją i opadli na łóżko spleceni ze sobą w szaleńczym pożądaniu.

To była długa noc. Kochali się, zasypiali i znowu się kochali. Zanim wyczerpana i zaspokojona zapadła w końcu w głęboki sen, zamajaczyła jej mgliście pewna myśl: Feliks był chłopcem. Teraz jestem z mężczyzną.

Kiedy obudziła się następnego dnia rano, Bena już w łóżku nie było. Słyszała odgłosy dochodzące z łazienki. Wyszedł stamtąd w szlafroku kąpielowym.

- Pozwoliłem ci pospać - powiedział. Usiadł na brzegu łóżka i ujął w ręce jej dłonie. - Jeżeli żałujesz tej nocy, możemy o niej zapomnieć. Żadnych zobowiązań.

- Żadnych zobowiązań - potwierdziła. - Już wczoraj zamówiłeś pokój, prawda?

- Owszem - przyznał. - Tak na wszelki wypadek. Pragnę cię od lat, od chwili gdy zjawiłaś się w redakcji jak przestraszona dziewczynka pierwszego dnia w szkole. Nie przyznawałem się do tego nawet przed samym sobą. Ale tak właśnie było. Wycofam się, jeśli sobie życzysz.

Wysunęła dłonie z jego rąk i ułożyła się z powrotem na poduszkach.

- Och, Ben, ty skończony wariacie. - Z uśmiechem wyciągnęła do niego ramiona. - Mogę się obyć bez śniadania, a ty?

Samolot zaczął schodzić do lądowania na Heathrow. Julia obserwowała Bena. Siedział z zamkniętymi oczami, okulary włożył do kieszeni na piersi. Muszę mu kupić futerał, pomyślała. Już dawno nikt nie troszczył się o takie potrzebne mu drobiazgi.

Uwielbiała latać; pochyliła się, żeby obserwować, jak ziemia zbliża się na ich spotkanie. Z radosnym podnieceniem oczekiwała momentu, kiedy koła dotkną ziemi, a siła hamowania sprawi, że samolot lecący z szybkością kilkuset kilometrów na godzinę, potoczy się łagodnie po pasie startowym.

Trąciła go delikatnie łokciem.

- Ben, obudź się, lądujemy.

Otworzył oczy.

- Nie spałem, tylko drzemałem. Jestem skrajnie wyczerpany i to przez ciebie. - Odpiął jej pas. - Wyglądasz rewelacyjnie - mruknął. - Jak taki stary człowiek jak ja może ci sprostać?

- Nie zauważyłam, żebyś miał jakieś problemy - szepnęła w odpowiedzi. - Chodźmy, chciałabym jak najszybciej przesłuchać tę taśmę.

Kiedy wychodzili z samolotu, Ben trzymał ją za rękę.

- Wiesz, będziemy zgranym tandemem. Ty jesteś profesjonalistką, panno Jot, no i ja także.

Julia usiadła za kierownicą swego samochodu i ruszyli w kierunku biurowca Westerna. Kiedy zatrzymała samochód na zarezerwowanym dla niej miejscu na parkingu, obróciła się do Harrisa.

- Dziękuję, że zabrałeś mnie do Monachium - powiedziała. - Było cudownie.

- Dziękuję, że zechciałaś ze mną pojechać. - Uniósł jej twarz i pocałował mocno w usta. - No, a teraz do roboty.

Western konferował z kierownikiem działu reklam, gdy do gabinetu weszła jego osobista sekretarka. Nigdy mu nie przeszkadzała, chyba że sprawa była ważna. Mimo to rzucił jej groźne spojrzenie. W ostatnim kwartale dochód spadł, więc musiał zganić swych kierowników.

- O co chodzi?

- Telefonowała panna Hamilton, chciałyby się zobaczyć z panem dzisiaj po piątej, o ile to możliwe.

- Czy mam czas?

- Jest pan umówiony na dwa półgodzinne spotkania i od szóstej jest pan wolny, pan Osborne o piątej i Peggy Beaumont z „Osobliwości” o wpół do szóstej. Czy mogę umówić pannę Hamilton na szóstą? Poza tym lady Western oczekuje, że wpadnie pan na Park Lane na spotkanie z księżniczką Małgorzatą w sprawie tego apelu Krajowego Stowarzyszenia na Rzecz Obrony Dzieci przed Okrucieństwem...

Western już podjął decyzję.

- Przesuń Osborne'a na dziewiątą jutro rano. Znajdź dla Peggy jakieś wolne okienko przed południem. Powiedz Julii, żeby tu przyszła o piątej, będę miał dla niej całe półtorej godziny. - Wrócił do besztania kierownika działu reklam.

- Przyniosłam panu taśmę. Chciałabym, żeby pan ją przesłuchał po przejrzaniu naszych materiałów z Nessenbergu. - Położyła przed nim napisane na maszynie sprawozdanie.

Otworzył teczkę, przeczytał pobieżnie kilkustronicowy tekst i podniósł na nią oczy.

- Kłamał drań - stwierdził opanowanym głosem, w którym jednak słychać było nutkę triumfu. - Nieskalana stara panna była lubieżną postarzałą czterdziestolatką, lubiącą jurnych chłopców. - Stukając palcem w teczkę mówił dalej. - Dostał się do Anglii, bo się ożenił z poddaną brytyjską. Ona zmarła, a on położył łapy na jej pieniądzech. A to dobre. Podnieśliśmy kamień, spod którego już wylażą robaki.

- Poszło nam jeszcze lepiej - powiedziała Julia. - Niech pan posłucha taśmy. - Przyniosła ze sobą mały magnetofon. Włożyła taśmę i włączyła go.

- Głośniej - zażądał Western. - Nie słyszę.

Przekręciła bardziej gałkę. To były głosy starych ludzi, chwilami mówili jedno przez drugie.

- Tak - najpierw odezwał się głos kobiety - tak, pamiętam ich. Ona była o wiele starsza, wyglądała na kokotę, paliła na ulicy...

- Wyglądała na bardzo miłą panią - przerwał męski głos. - O wiele za dobrą dla tego faceta. Był jej utrzymankiem. W ogóle nie pracował, tylko włóczył się przez całe dni. Z nikim nie utrzymywali stosunków. Często wychodzili wieczorem.

- I okropnie się kłócili - dodał kobiety głos. - Słysząc było, jak krzyczeli. Kiedyś zatelefonowałam i się poskarżyłam. Bardzo niegrzecznie mi odpowiedziała. Dużo piła.

Głos pytającej:

- Skąd pani wie, widziała ją pani pijaną?

- Nie, ale ty jego słyszałaś, Dick, prawda? Wrzeszczał, kiedy okno było otwarte. Zarzucał jej, że jest pijaczką...

- Jestem pewien, że ją bił - przerwał mężczyzna. - To był taki typ. Cudzoziemiec, wstrętny, zarozumiały brutal. Na pewno ją bił. Skoro z takim żyła, nic dziwnego, że zaglądała do kieliszka. Mówiono, że byli małżeństwem. Nazywali siebie państwem Koenig.

- Mieli dochodzącą - przypomniała mężczyźnie kobieta. - Opowiadała, że po całym domu walają się butelki.

- Dochodzącą? - Pytająca była za młoda, żeby znać to wyrażenie.

- Sprzątaczkę. Dochodzącą posługaczkę. Pracowała też i u nas, i przynosiła plotki mojej żonie.

- Czy to było na długo przed chorobą pani Koenig?

Zapadło milczenie. To samo pytanie zostało powtórzone.

- Chorobą? Ona nie chorowała. Miała wypadek, ale nie chorowała. - Teraz mówili jednocześnie.

- Jaki wypadek?

Julia obserwowała Westerna. Był blady, pochylił się w napięciu nad małym magnetofonem.

- Upadła, prawda, Dick? Upadła w ogrodzie i rozbiła sobie głowę. Pewno była pijana. - Nuta dawnej urazy do nierządnej, lecz atrakcyjnej pani Koenig dała się słyszeć w głosie kobiety.

- Jezu - powiedział Western, lecz powstrzymał się z komentarzem, gdyż rozmowa trwała nadal.

- Zawołał karetkę i zabrali ją do szpitala. Powiedział posługaczce, że parę dni później zmarła. Ona mówiła, że on płakał. A ja uważam, że udawał.

- Trzymałaś jej stronę. - Kobiety głos stał się ostry. Było oczywiste, że nie tylko Koenigowie kłócili się wtedy. - Nie był taki zły jak

mówisz. Nie lubieś go, bo to cudzoziemiec. Był wysiedleńcem z Polski, tak słyszałam.

- I co się później stało? Czy ja się państwu naprawdę nie naprzykrzam?

Ludzie zbierający wywiady wiedzieli, że zbyt długo nie można nękać pytaniami, a na starsze osoby nie należy wywierać presji. A ci dwoje byli bardzo starzy. We wstępnej informacji, rozpoczynającej nagranie, podano ich nazwiska i wiek: osiemdziesiąt pięć i osiemdziesiąt siedem lat. Od trzynastu lat mieszkali w domu starców. Mąż poruszał się na wózku inwalidzkim, żona niedowidziała.

- Nie, nie, miło nam z panią rozmawiać. Nie potrafię sobie przypomnieć, co jadłem na lunch - z nią jest jeszcze gorzej - ale pamiętam, co się zdarzyło czterdzieści lat temu, jakby to było wczoraj. Więc czego chciałaby pani jeszcze się dowiedzieć?

- Czy po śmierci pani Koenig jej mąż nadal tam mieszkał?

- Nie, wyprowadził się, a dom bardzo szybko sprzedano. W tamtych czasach był bardzo duży popyt na domy. Nigdy więcej tego człowieka nie widziałem ani o nim nie słyszałem.

Julia wyłączyła magnetofon.

- Tekst został przepisany, moja dziewczyna tam wróci i da do podpisu im i radcy prawnemu, który był świadkiem rozmowy.

- Co ona im powiedziała? - zapytał Western. - Nie domyślali się, że chodzi o Kinga?

- Że stara się odszukać Koeniga, bo dostał spadek. Musiała jeszcze raz przegrać ich wypowiedzi, bo dużo mówili o całkiem nieważnych dla nas sprawach. Było jej ich żal. Cały dzień zamknęci razem w pokoju, ciągle się sprzecają i dokuczają sobie. To naprawdę ponure miejsce.

Western nie słuchał. Problemy innych ludzi go nie interesowały.

- To się dla niego dobrze złożyło, co? - mruknął. - Ale szczęściarz, tak szybko się jej pozbył. I jeszcze dostał pieniądze. Dobra robota, Julio. Idź dalej tym śladem.

- Pan myśli, że to nie był wypadek?

- Nieważne, co ja myślę. Musimy mieć dowody. Dobrze się wywiązałaś z zadania, ale to nie wystarczy. - Jego głos przybrał ostry ton. - Możemy wykazać, że jest kłamcą, ale to nie przestępstwo. Jak dotąd nie mógłby być oskarżony o złamanie jakiegokolwiek prawa. A mnie właśnie to interesuje. Potrzebne jest potwierdzenie winy, dowody. Coś, co byłoby gwoździem do jego trumny. - Wstał gwałtownie.

Julia odezwała się spokojnym głosem:

- Lordzie Western, jest coś, o co chciałabym zapytać.

Zmrużył podejrzliwie oczy.

- Nie płacę ci za zadawanie mi pytań. Śpieszę się.

Julia nie ruszyła się z miejsca.

- Dlaczego dziesięć lat temu odwołał pan poszukiwania, które prowadził Harris?

Był już przy drzwiach.

- Bo niczego nie ustalił. Marnował mój czas.

- Badał sprawę śmierci, a prawdopodobnie zabójstwa dwóch mężczyzn, którzy stanowili konkurencję dla Kinga w jego interesach. Pan mu kazał od tego odstąpić. Dlaczego?

Western otworzył drzwi i wezwał sekretarkę.

- Chciałabym, żeby mi pan ufał, lordzie Western - powiedziała Julia. - Jeżeli była jakaś konkretna przyczyna, powinnam ją znać. W przeciwnym razie, jak mogę pana przed nim chronić?

Nagle i nieoczekiwanie zamknął drzwi. Obrócił się ku niej i patrzył na nią. Jak na mężczyznę tak małego wzrostu miał niezwykle wyniosłą postawę.

- Miło, że o tym pomyślałaś, moja droga. Znajdź mi właściwego haka na Harolda Kinga, a ja sam się ochronię.

Zapukała sekretarka, a on otworzył drzwi.

- Bridget, wychodzę. Zadzwoń po samochód. - W jednej chwili już go nie było.

- Proszę skorzystać z prywatnej windy, panno Hamilton - powiedziała sekretarka. - Lord Western wyjedzie dopiero za parę minut.

Julia skierowała się do swojego biura, które mieściło się piętro niżej od znajdującego się na samej górze orlego gniazda Westerna. Usiadła przy biurku, żeby przemyśleć tę rozmowę.

Niewidzącymi oczami patrzyła na wspaniały widok rozciągający się z olbrzymiej szklanej płyty okna. Western chciał dobrać się do Kinga z osobistych powodów. To było jedyne wyjaśnienie, skoro na nowo podjął krucjatę po dziesięciu latach zawieszenia broni. Wtedy był zagrożony i uległ. Teraz był zagrożony ponownie i żadne układy z wrogiem nie były już możliwe.

Taka była istota sprawy. Nie chodziło o żadne kwestie moralne. Po prostu dwaj drapieżcy z dżungli krążyli wokół siebie, czekając na stosowny moment, kiedy będą mogli dopaść sobie do gardła.

Nagle poczuła, że jest zmęczona i przygnębiona. Chciała zatelefonować do Bena, lecz zawahała się. Żadnych zobowiązań. Taka była umowa. Byli kochankami i wspólnikami przy wykonywa-

niu pewnego zadania, ale przede wszystkim fachowcami. Ben nie miał pełnić roli strażnika jej sumienia i nie miała prawa obarczać go swymi wątpliwościami. A jednak, gdy początkowo odmówił współpracy z nią, użyła właśnie argumentów natury moralnej: „Jeżeli King jest taki, jak mówisz, powinieneś pomóc mi go powstrzymać”.

Czy to nie jest wystarczający powód, żeby zwrócić się do niego w sytuacji, w jakiej ona sama się znalazła? Ona także nie była strażniczką sumienia Westerna. A było wątpliwe, czy on je w ogóle miał. Jako dziennikarka dążyła do ustalenia prawdy w interesie publicznym. Gdyby z tego zrezygnowała, sprzeniewierzyłaby się swemu zawodowi.

Zadzwoił telefon, podniosła słuchawkę.

- Julia Hamilton.

- No i jak ci poszło? - To był Ben, odetchnęła z ulgą.

- Przyjdź na kolację, wszystko ci opowiem.

- Nie był zadowolony? Czego on, do diabła, oczekiwał?

Uśmiechnęła się na dźwięk znanego, zirytowanego tonu.

- Nie prawil mi komplementów, znasz go. Dobra robota, ale to nie wystarczy. Chce mieć podstawę do oskarżenia go o popełnienie przestępstwa, żeby mieć gwóźdź do jego trumny. Tak to właśnie określił.

- Pewno, że chciałby. Słuchaj, kichaj na gotowanie. Wyjdziemy gdzieś na pizzę albo coś takiego. Będę u ciebie około ósmej. Muszę nadrobić spore zaległości.

- Dziękuję za telefon, Ben - powiedziała. - Fatalnie się czułam...

- Jesteś przemęczona - odparł. - A może poszłabyś wcześniej do domu trochę odpocząć?

Przez lata żyła z Feliksem, który nigdy nie liczył się z faktem, że ona może być zmęczona czy przygnębiona. Zawsze musiała być w dobrej formie, a jeśli nie była, on nie przyjmował tego do wiadomości.

- Dobrze - odrzekła. - Przyjdź po mnie około ósmej.

Pojechała do domu i na schodach spotkała dziewczynę, która mieszkała piętro wyżej. Ze względu na sąsiedztwo kłaniały się sobie, lecz jak to było w zwyczaju większości mieszkańców londyńskich bloków, nie zawarły ze sobą znajomości.

- Dzień dobry. - Dziewczyna zatrzymała się. - Mam nadzieję, że znalazła pani kwiaty.

- Kwiaty? Nie było mnie w domu przez parę dni. - Julia pokręciła przecząco głową. Kwiaty... z pewnością nie od Feliksa. Nigdy jej nie przynosił.

- Zadzwonili, więc ich wpuściłam. Powiedzieli, że zostawią

kwiaty przed drzwiami. Powinam była je dla pani przechować. Do tej pory by zwiędły.

- Pewnie tak - zgodziła się Julia. - Dziękuję za dobre chęci.

Żadnych kwiatów nie było przed jej drzwiami. Ani zawiadomienia o niemożności doręczenia. Przejrzała pocztę, odbierała ją codziennie dozorczyńni i wkładała do jej skrzynki na listy. Trzy ulotki reklamowe i rachunek. Kwiaty od Feliksa? Musiałaby być niespełna rozumu, żeby w ogóle taka myśl mogła zaświtać jej w głowie. Może tej dziewczynie z góry coś się pomyliło. Najprawdopodobniej wcale nie były dla niej i zabrano je z powrotem. Zapomniała o całej sprawie i poszła napuścić gorącej wody do wanny. Cieszyła się na wizytę Bena. Kichaj na gotowanie. Uśmiechnęła się. Nie był także męskim szowinistą.

Nie został na noc. Zjedli kolację w pobliskiej pizzerii, a potem zaszedł do niej na kawę.

- Nie musisz odchodzić - protestowała Julia.

- Muszę. - Objął ją ramionami. - Jesteś wykończona. Zaprosz mnie na jutro. Poza tym muszę iść do domu i nakarmić kotkę.

- Masz kotkę? Nie wiedziałam.

- Od lat. Znalazłem ją na ulicy, biedną, małą hultajkę. Dotrzymuje mi towarzystwa. Kiedy wyjeżdżam, opiekuje się nią moja dochodząca, ale ona nie przychodzi w środy.

To było tak nieoczekiwane i wzruszające. Julia spytała:

- Jak ma na imię?

Uśmiechnął się. Widać było, że przyznanie się do posiadania kota wprawilo go w zakłopotanie.

- Kicia - odrzekł. - Nic innego nie przyszło mi do głowy. Dobranoc, kochana. Śpij smacznie.

- Ty też. - Gdy był już w progu, pocałowała go. Zamykając drzwi przypomniała sobie o kwiatkach. Zupełnie o nich zapomniała. W szufladzie leżała kartka od Feliksa z numerem jego telefonu. Nie było sensu dzwonić do niego. Może kiedyś, tak po przyjacielsku, ale jeszcze nie teraz. Tej nocy spała doskonale, śniło się jej, że dostała kota w prezencie od Bena.

- Tatusiu? - Gloria King podeszła do siedzącego w fotelu ojca, pochyliła się i pocałowała go w policzek. Umknął do biblioteki przed zaproszonymi na weekend gośćmi i rozsiadł się wygodnie z zamkniętymi oczami. Kiedy był na wsi, lubił robić sobie takie relaksujące seanse. Kupił dużą posiadłość wiejską w Gloucestershire. Miał tu farmę, tereny łowieckie, które odpłatnie udostępniał i pole golfowe

położone w znacznej odległości od domu. Uważał, że wszystko musi na siebie zapracować, nie wyłączając czterech tysięcy akrów ziemi. - Nie obudziłam cię?

Spojrzał na nią z czułością, wziął za rękę i przyciągnął na oparcie fotela. Uwielbiał mieć ją blisko siebie. Popielatoblond włosy, niebieskie oczy, budowa ciała, to wszystko przywoływało wspomnienie o jego rodzinie, jego korzeniach. Wywodził się z rodu kobiet i mężczyzn zbudowanych na miarę ich ziemi, którą trzeba było uprawiać. Grube kości, silne mięśnie, szorstkie ręce i stopy zaprawione do ciężkiej pracy na roli; jak wolno poruszające się zwierzęta za pługiem, tak i oni za nim chodzili.

Lecz jego natura obdarzyła niepospolitym umysłem. Bóg jeden wie, jaki genetyczny wybryk był odpowiedzialny za tę niezwykłą inteligencję wiejskiego chłopaka. Był jej świadomy od najmłodszych lat. I krył się z nią. Czytał i uczył się w tajemnicy przed ojcem, bojąc się jego szyderstwa. Kiedy ojciec go złapał z książką w ręku, sprawiał mu tęgie lanie. Wrywał mu podręcznik, nie szczędząc przekleństw - na polu ciężka praca, a on próżnuje. Tylko matka go rozumiała. Była dumna, że syn umie czytać i chętnie chodzi do miejscowej szkoły, choć musiał przejść wiele kilometrów, by do niej dotrzeć. Nie śmiała się za nim wstawiać u męża, ale go zachęcała do nauki i broniła przed starszymi braćmi, kiedy się nad nim znęcali. Kochał matkę. Gloria mu ją przypominała. Gdy zapinał drogi naszyjnik na szyi córki albo dawał jej porsche na urodziny i rozpieszczał ją wszelkimi możliwymi luksusami, wydawało mu się, że matka ma w tym swój udział. Za późno dla niej, dla jego rodziny. Wszyscy już nie żyli. Bracia polegli na Wschodzie, rodzice zginęli w czasie znacznej krwi inwazji. Nic nie zostało z jego przeszłości.

On teraz budował własną przyszłość, niczego nikomu nie zawdzięczał.

- Nie, kochanie - odrzekł. - Tylko sobie leniuchuję.

- Nie powinieneś tak ciężko pracować - powiedziała cicho, pochylając się i obejmując go ramieniem. Miał taki przyjemny zapach: płynu po goleniu zmieszany z wonią cygara. Jako mała dziewczynka uparcie twierdziła, że wyjdzie za niego za męża. Zaśmiewał się z tego. Podnosił ją wtedy do góry i obracając nad głową pytał: „Będziemy musieli pozbyć się mamusi, co?”, na co ona zawsze z wielkim zapałem odpowiadała „tak”.

- Jeśli przestanę pracować, to kto będzie płacił rachunki?

- Nie żartuj sobie. Mówię poważnie. Przeszedłeś się tu przespać, bo jesteś przemęczony. Nie musisz się tak męczyć.

- Przyszedłem tu, żeby się uwolnić od twojej matki i jej przyjaciół o ptasich mózdkach - odparł. - Ileż jest głupich kobiet na świecie. I mężczyzn. Słucham ich, jak przy kolacji plotą duby smalone i czasami wprost nie mogę wyjść ze zdumienia.

- To dlaczego jej na to pozwalasz? - spytała córka gniewnie. - Przyjeżdżasz tu się odprężyć, a ona sprasza gości na obiady, na kolacje i nawet nie możesz odpocząć.

- Ją to bawi - tłumaczył. - Lubi towarzystwo. A czasami to się przydaje. Co sądzisz o tym Leo Derwencie? Czy to interesujący facet? - Obserwował przy kolacji, jak Gloria rozmawia z ministrem stanu w Ministerstwie Przemysłu i Handlu. King mógł spiskować z Głorią przeciwko matce, lecz przekazał żonie swe życzenia, kogo ma włączyć do listy gości. Dobrze zapowiadający się polityk był jedną z tych osób.

Krążyły pogłoski na temat jego zwyczajów seksualnych; krępował swe przyjaciółki i bił je. Mówiono o tym po cichu, a wiadomości te doszły do uszu Kinga za pośrednictwem Joego, który znał „pracowitość” urzędników państwowych od podszewki.

Leo Derwent lubił seks i pieniądze. King polecił więc, żeby Joe przygotował do jego dyspozycji kilka uległych pań. Dwie z nich zostały zaproszone na ten weekend do Kingów. Jedna już wpadła ministrowi stanu w oko i tylko dla zakamuflowania intrygi King poprosił Marilyn, żeby posadziła go przy kolacji obok Glorii. By zaostrzyć mu apetyt, ognistą panią posadzono naprzeciwko niego.

- Bez przerwy głądził o „Sunday Heraldzie” - powiedziała córka. - Twierdził, że Western prowadzi przeciw niemu kampanię, żeby go zdyskredytować, bo on jest przeciwnikiem zjednoczonej Europy. Najwidoczniej ma jakąś obsesję na tym tle, bo opowiadał, że oni szykują cykl artykułów, krytykujących jego posunięcia ujawniające niechęć do Brukseli. Mówił, że teraz będą mieli nowy dział publicystyczny, coś w rodzaju „Wglądu” i powiedział, że zna kobietę, która go będzie prowadziła. Spotkał ją u Westernów pięć lat temu.

Harold King usiadł prosto w fotelu, odsunąwszy obejmujące go ramię córki.

- Tak powiedział?

- Tak, cały czas rozmawiał o tym przy kolacji. Ja, ja, ja - oni wszyscy są tacy sami.

- Przypadłość polityków - zauważył. - Duże głowy, małe rozumy. Co mówił o tym nowym dziale? Nazwali go „Pod światło”. Strasznie się nad tym rozwodzili w „Heraldzie”, ale jeszcze niczego nie opublikowali.

- W każdym razie on sądzi, że zaczną od niego.
- On nie jest taką ważną osobą - mruknął King. - Wspomniał o kobiecie, która będzie szefem tego działu. Do tej pory nie podali żadnych nazwisk.

- Julia Hamilton, jest u nich jedną z najlepszych. Kiedy ją poznał, zrobiła na nim wrażenie bezkompromisowej wiedźmy.

Ojciec wstał z głębokiego fotela.

- Hamilton? Ona jest reporterką z działu wiadomości... Skąd on się o tym dowiedział?

Gloria miała niezawodną pamięć. Gromadziła wszystkie informacje, które mogły przydać się ojcu.

- Spotkał się na drinku w Izbie Gmin z jakimś sprawozdawcą parlamentarnym, pracującym dla Warburtona. Tamten mu opowiadał, że był jej przyjacielem, ale zerwali. Ona dostała to znaczące stanowisko. Według tego bufona były kochaś po paru kieliszkach dał do zrozumienia, że ona namierza jakąś bardzo ważną osobę. Jest pewien, że chodzi o niego! - Zaśmiała się z głupoty i próżności mężczyzny. Podobnie jak jej ojciec nie żywiła zbyt wysokiego szacunku do ludzi w ogólności, a szczególnie ludzkie słabości wzbudzały w niej pogardę.

- Julia Hamilton - powtórzył ojciec. - Widzieliśmy ją w „Mario's”, kiedy byliśmy na kolacji w zeszłym miesiącu. Ruda. - Zmarszczył brwi, jego twarz przybrała zawzięty wyraz.

- Pamiętam. Patrzyła na ciebie z nienawiścią. Zwróciłam ci na to uwagę.

- Zwróciłaś - przyznał - zwróciłaś. Wracaj do gości kochanie. Powiedz, że muszę załatwić parę telefonów. Jak tylko skończę, przyłączę się do was. Bądź miła dla Leo Derwenta. Może być dla mnie użyteczny.

- Zabrał się do tej Fredy, która przyszła z Tedem Ellisem. Nie sądził, żeby chciał ze mną rozmawiać. Ale próbuję.

Freda była przynętą podsuniętą przez Joego. Atrakcyjna, wykształcona dziewczyna na telefon, która wносиła odrobinę talentu do gry seksualnego upokorzenia. Minister stanu złapał się na wędkę. King zapalił cygaro i pociągnął mocno dym, aż rozżarzył się ucięty koniec.

Julia Hamilton. Szefowa drużyny prowadzącej dziennikarskie dochodzenie. Znał hasło reklamowe „Heralda” na pamięć. Strzeż się naszego nowego cyklu. I ty możesz być wzięty „Pod światło”. Będziemy stać na straży porządku publicznego. Joe nie znalazł w jej mieszkaniu nic poza skrawkiem papieru z nabazgranym rozkładem lotów do Niemiec. I zapisał numer telefonu jej chłoptysia. Byłego

chłoptysia, który odbył pogawędkę z Leo Derwentem.

Nadszedł czas, żeby postawić mu kilka dalszych pytań. Połączył się z komórkowym telefonem w samochodzie Joego. Joe słuchał uważnie, bez słowa. W końcu rzekł:

- Tak, proszę się nie martwić i zdać na mnie. Czy to pilne? Potrzeba mi paru dni, żeby to zorganizować. Och, w porządku. A jak sprawują się moje ptaszyny?

Dziewczyny zostały starannie dobrane i otrzymały jednoznaczne instrukcje - celować w jednego faceta i nie zadawać się z nikim więcej.

- Freda zrobiła na nim wrażenie - powiedział King burkliwie. - Chyba wie, że nie może się z nim pieprzyć w moim domu?

- Jezu, nie, nie zrobiłaby czegoś takiego, mówiłem jej... - Joe odpowiedział głosem człowieka zaszokowanego takim podejrzeniem. King sam lubił uprawiać seks w różnych odmianach, lecz dom dla niego był miejscem świętym. Pomyślał, że to pewnie kwestia różnicy pokoleń. I przeszłości zakorzenionej w innym kraju. Szybko zmienił temat.

- Dobiorę się do tego chłoptysia. Na początek wypróbuję prosty sposób. - King wyłączył się.

- Julia Hamilton - wypowiedział na głos te słowa. Coś wisiało w powietrzu, wyczuwał to, jak wdychające wiatr zwierzę. Wyszedł z biblioteki i wmieszał się w grupę gości. Udawał hałaśliwego ważniaka, rzucał na lewo i prawo sławnymi nazwiskami, wypuszczając kłęby dymu z wielkiego cygara. Zgrywał się na nowobogackiego i snoba z wprawą aktora. Przyćmił wszystkich.

Prezes koła stowarzyszenia weteranów siedział w swej skromnej bawialni w Nessenbergu i kończył pisać tajny raport o gościach z Anglii i badaniu przez nich akt Komisji Kontroli z 1949 roku. Raport przeznaczony był dla łącznika w Stuttgarcie. Monachium jako kolebka nazizmu pozostawało pod ścisłą inwigilacją policji. Jego łącznik przeprowadził się do Stuttgartu.

Ponownie przeczytał raport, wszystko sprawdził i zakleił kopertę. Wysłany jako specjalna przesyłka ekspresowa, dojdzie do adresata w poniedziałek rano. Stuttgart wyznaczy jego dalszą trasę. Nie znał ostatecznego miejsca przeznaczenia raportu i nawet nie pozwalał sobie na takie dociekania. On spełniał swój obowiązek wobec ich dobroczyńcy. Na tym kończyła się jego rola.

Rozdział 5

- **N**ie ma świadectwa zgonu. Nikt o nazwisku Koenig nie zmarł w mieście ani tego roku, ani w ciągu następnych dwóch lat. Nawet to sprawdzili dla pewności. - Julia potrząsnęła głową. - Nie wiem, co o tym myśleć.

Harris bawił się okularami, ich soczewki chwytały światło.

- Żadnych dobrych wieści z archiwów medycznych?

- Jak dotąd nic; w jednej z miejscowych przychodni w ogóle nie ma takiego archiwum, wszystko wyrzucili w czasie remontu - to byłby już pech, gdyby tam właśnie się leczyła. Ale moi ludzie pracują w dwóch innych przychodniach, które wówczas działały. Wiemy - ciągnęła dalej - na pewno wiemy, że miała wypadek, bo są świadkowie. Natomiast na dowód, że zaraz potem zmarła, mamy tylko jego słowo. Więc co się z nią stało?

- Poczekaj, aż skończą w przychodniach - zasugerował, lecz nagle zaświtała mu inna myśl. - Ofiary wypadków trafiają do szpitala. Wyślij kogoś do Putney Royal i do Hammersmith. Może wyrzucili papiery sprzed czterdziestu lat, ale warto spróbować.

- Dzięki, Ben. Zaraz tam ktoś pojedzie. Kupiłam ci prezent.

- Prezent? Po co?

- Żebyś nie stłukł okularów - odparła. - Masz, włóż je w to.

- Podała mu etui z ciemnej skóry, widać było, że bardzo kosztowne.

- Nie jestem przyzwyczajony do prezentów. Co mam powiedzieć?

- Nic - uśmiechnęła się. - Nie złość się tylko dlatego, że cię wprawiłam w zakłopotanie.

- Sprawiałaś mi przyjemność. Naprawdę. Dzięki. Muszę wracać

do biura. Zobaczymy się po pracy?

- Może w pubie? - zaproponowała. - A potem mógłbyś zaprosić mnie do siebie i przedstawić swojej kotce.

W windzie spotkała Feliksa, który zjeżdżał na dół. Jeszcze nie naknęli się na siebie od czasu jego wyprowadzki.

- Cześć - powiedział, gdy weszła do windy. - Miło cię widzieć.

Miał taką minę, jakby się nic nie stało, a nawet uśmiechał się przyjaźnie bez cienia zażenowania. Ona zeszywniała na jego widok.

- Co słyhać? - spytała.

- Wszystko dobrze. Właśnie jadę się spotkać z pewnym płatnym informatorem, który twierdzi, że ma dostęp do tajemnic z ław ministerialnych w parlamencie. Znosi się na coś smacznego.

- Wiesz, że Warburton nie wchodzi w takie układy - powiedziała chłodno.

- Bo on jest starym, skostniałym pierdołą. Wpiszę to sobie w koszty. - Wyszedł ze śmiechem z windy, obejrzał się wołając: - Pa, Julio, do zobaczenia.

Szła za nim powoli, obserwując, jak szybkimi krokami zmierza w kierunku parkingu. Nie została nawet iskierka. Stał się dla niej obcym mężczyzną, z którym nie miała nic wspólnego. Jedynie wspomnieniem, to przyznawała, okresu życia, kiedy pozwoliła, żeby seksualne uzależnienie zmąciło jej zdrowy rozsądek.

Nie winiła za to Feliksa. Ona jako starsza powinna była położyć kres temu związkowi, zanim przerodził się w taki nienormalny układ.

Teraz w jej życie wkroczył zupełnie inny człowiek. Stawali się sobie coraz bliżsi dzięki wspólnej pracy i wzajemnemu szacunkowi. Miłość fizyczna była ich wspólnym doświadczeniem, nie wiążącym się z męską dominacją, która zaspokajała niższe skłonności jej natury. Być może potrzeba uległości wobec Feliksa brała się stąd, że ona była starsza i w znacznie lepszej sytuacji finansowej. Zdziwiło ją, że nigdy nie myślała o tym w taki sposób. Pracując nad zagadką, jaką była osoba Harolda Kinga, Julia, wspierana wnikliwym umysłem i doświadczeniem Bena Harrisa, potrafiła teraz lepiej intuicyjnie dochodzić do sedna spraw, nabierała pełniejszej wiedzy o sobie.

Szła do pubu, gdzie zwykle spotykali się po pracy i cieszyła się, że znowu zobaczy Bena. Oczekiwanie na ten moment czyniło ją wręcz szczęśliwą. To było dziwne uczucie, być szczęśliwą tylko dlatego, że ma się spotkać z mężczyzną, którego widziała zaledwie przed kilkoma godzinami. Chcieć poznać jego kotkę, którą przygarnął na ulicy. Pragnąc spędzić z nim nie tylko noc, ale i rano zjeść z nim śniadanie. Przeszła wzdłuż baru. Już na nią czekał.

Feliks pomyślał, że jeszcze nigdy w życiu nie widział takiego wulgarnego typu. Nie zwiodło go drogie ubranie ani sztuczny, ni to irlandzki, ni to amerykański akcent.

Poczuł głęboką odrazę do tego człowieka o przymilnym głosie i zbyt familiarnych manierach.

- Jestem Joe - przedstawił się nieznajomy. - Joe Patrick. Miło mi pana poznać. Czego się pan napije?

- Piwa - odparł Feliks i rozejrzał się wokoło. Nie znał tego pubu w Soho, który zaproponował mu jego rozmówca. Ściany lokalu wytapetowane były starymi plakatami meczów bokserskich i fotografiami pięściarzy pozujących z jakimś małym, baryłkowanym jegomościem, przypuszczalnie właścicielem tego przybytku.

- Był pan już tu kiedyś? - zapytał Joe Patrick.

- Nie - odrzekł Feliks. Popijał piwo małymi łykami. Joe Patrick zamówił sobie czystą whisky bez lodu. - Kto mnie panu polecił?

- Zaprzyjaźniony dziennikarz. Opowiedziałem mu pewną historię i on uznał, że powinienem z panem porozmawiać, więc zadzwoniłem. Sądzę, że ona pana zainteresuje.

- Ile to mnie będzie kosztowało? - Feliks wykończył piwo. - Mój szef nie publikuje tego typu informacji, będę musiał zapłacić z własnej kieszeni.

Akurat, uśmiechnął się w duchu Joe. Miał wyrobione zdanie na temat pana Feliksa bufona Suttona. Był kochasiem tej dziennikarki, dopóki go nie wyrzuciła. Ważniak, pieprzony macho z rozumem w kroczu. Z tym załamanym nosem wyglądał, jakby kiedyś boksował albo grał w rugby. Joe przekrzywił głowę.

- Serio? Miałby pan sam płacić? - Feliks skinął głową. - No, cóż... - Joe udawał, że się waha, po czym uśmiechnął się szeroko, ukazując piękne, białe zęby, wstawione na miejsce własnych, spróchniałych pieńków. - Zawrę z panem umowę na specjalnych warunkach. Możemy się sobie nawzajem przydać. Pięćdziesiąt funtów, gotówką.

- Najpierw ta historia.

Joe wysunął w jego kierunku wymanikiowaną dłoń z dużym, złotym sygnetem na środkowym palcu.

- Pięćdziesiąt funtów zaliczki i pięćset, jeżeli pan wydrukuje. To uczciwe, no nie?

- Tak. - Feliks skinął głową. Ujął wyciągniętą dłoń na dowód zawarcia paktu między solidnymi partnerami. - No więc jakie to świństwa?

- Chodźmy tam - zaproponował Joe, prowadząc go w stronę

małego stolika. - Tu będziemy mogli porozmawiać. Zacznę od nazwiska.

Feliks nastawił ucha. I to nazwisko zaraz padło. Ni mniej, ni więcej, tylko czołowego posta Izby Gmin. Abonującego wysyłane pocztą materiały z dziedziny pedofilii. Taśmy wideo, pornograficzne fotografie; niektóre dzieci nie miały więcej jak trzy albo cztery lata.

- Bardzo, bardzo brzydkie rzeczy - pomrukiwał Joe z udawaną naganą w głosie. - Zaprzyjaźniony dziennikarz, pisujący wyłącznie do sensacyjnych pisemek, słyszał to od swojego człowieka z wydziału kryminalnego policji od tych spraw. Mieli na oku tego miłośnika pornografii, gdy dotarli do jego nazwiska na liście dobrze znanego duńskiego dostawcy. Część z tych świństw skonfiskowano na poczcie. Po czym nadeszła wiadomość - ukręcić temu łeb. Facet otrzymał poufne ostrzeżenie, ale był nacisk, żeby nie wyciągać tej sprawy na światło dzienne, gdyż w przeciwnym razie mogłoby to spowodować kłopoty dla tych z rządu. Zaufany gliniarz uważał, że można na tym zarobić pieniądze, gdyby się znalazło kogoś, kto to wydrukuje.

- Skoro zaprzyjaźniony dziennikarz pracuje dla sensacyjnych pisemek - przerwał Feliks - to dlaczego do nich z tym nie pójdzie? One uwielbiają takie ukrywane przez Scotland Yard historyjki o skandalach na tle seksualnym dotyczące polityków.

- Nie tkną tego - upierał się Joe. - Są jakieś naciski. To dynamit. A te kaktusy mają duże wpływy, więc pomyślałem o panu. To pana gazeta zamierza drukować cykl „Pod światło”, prawda? Czytałem zapowiedzi i według mnie to właśnie taka sprawa, jakiej szukacie. Nie boicie się trudnych tematów... Co pan o tym myśli?

- „Pod światło” tego nie weźmie - powiedział Feliks stanowczo.

- Jest pan pewny? - Niebieskie oczy wpatrywały się w Feliksa z przebiegłością bystrzego nicponia.

- Wiem, kto to będzie redagował - odparł Feliks. - Ona tego nie tknie, nawet się do tego nie zbliży. Wybrał pan nieodpowiedniego człowieka. Ja zajmuję się sprawami politycznymi i nie mam nic wspólnego z tym nowym cyklem publicystycznym.

- Skąd pan może wiedzieć, że się tym nie zainteresują, zanim pan ich spyta? - upierał się Joe. - Dlaczego pan nie zadzwoni i nie dowie się, co ona o tym sądzi? To jest dama, prawda? - Słowo „dama” zabrzmiało drwiąco.

- Bardzo utalentowana dama - odciął się Feliks ostro. - Ma już coś na widoku i chodzi o znacznie grubszą rybę niż o jakiegoś plugawego, starego zbrojeńca.

- Jest pan pewny?

Feliksa zaczęło złościć to powtarzane pytanie.

- Cholernie pewny! Do licha, jestem jej przyjacielem!

Joe zwrócił uwagę na czas terazniejszy. Duma nadal zraniona...

- Cholernie dobrze wiem, jakiego rodzaju jest to osoba - obsta-
wał przy swoim Feliks.

- Może się pan mylić - powątpiewał Joe. - Ten amator dzieci
stara się o stanowisko przy okazji następnych zmian w radzie mini-
strów... - zawiesił znacząco głos.

- Już panu mówiłem, to nie jest zagadnienie polityczne. Ona
zamierza wyświetlić pewne sprawy związane z nadawaniem tytułów
szlacheckich. Taki łobuz jak Harold King miałby otrzymać tytuł
lorda. Jeżeli ten oszust zasiądzie w Izbie Lordów, to ja się wynoszę z
takiego wszawego kraju. Proszę, mam tu ze sobą pieniądze.
Pięćdziesiąt funtów, ale już więcej nie będzie. To materiał nie dla nas.
Przykro mi.

Joe przyjął odliczoną kwotę.

- Szkoda. Może następnym razem. Będę o panu pamiętał.

- Taaa - powiedział Feliks. - Proszę. Dzięki za piwo.

Zaczął przepychać się w stronę wyjścia. Joe z nawyku przeliczył
dziesięciofuntowe banknoty i schował je do wewnętrznej kieszeni.
Wycisnął informację jak mleko z pełnego cycka. Szef miał rację. Joe
nie wiedział, jak to się dzieje, że King potrafi przewidzieć pewne
zdarzenia, to się stało nie po raz pierwszy. Ta małpa Hamilton szykuje
mu kłopoty.

Łącznik w Stuttgarcie nie należał do weteranów. Kiedy skończyła
się wojna, miał dziesięć lat i, na szczęście, jego rodzina ocalała,
podobnie jak dom, w którym mieszkali. Był właścicielem małego,
lecz dobrze prosperującego warsztatu mechanicznego. Jego ojciec stał
się niezdolny do służby w niemieckiej armii po upadku Francji. Po-
cisk cywilnego snajpera unieruchomił go na całe życie na wózku
inwalidzkim.

Wychował trójkę dzieci w przekonaniu, że tylko wskutek
wewnętrznej zdrady Niemcy poniosły klęskę. Najstarszy syn skończył
wyższą uczelnię z tytułem inżyniera; tam związał się z tajnymi
strukturami wyjętego spod prawa ruchu neonazistowskiego. Teraz
zaczęły działać jawnie. Czerpały poparcie z otwartej niechęci, z jaką
odnoszono się do imigracyjnej fali tureckich robotników. Należący do
nich ludzie uczestniczyli w organizowaniu akcji przemocy wobec
uchodźców z Rumunii i byłej Jugosławii, którzy tysiącami przybywali
do Niemiec. Po euforii związanej ze zjednoczeniem dla Niemców

nadeszły trudne czasy, zwłaszcza na rynku pracy. Restrukturyzacja wyniszczonej przez komunistów gospodarki szła kulawo, pomimo siły marki i pracowitości ludzi.

Resentymenty narastały, a ruch zerował na takich uczuciach.

Inżynier ze Stuttgartu był jednym z ogniw łańcucha niemieckich łączników powiązanych z Francją, Włochami i Hiszpanią. Faszyzm nie umarł i miał wielu sympatyków, gotowych przysłużyć się sprawie.

Do ich zadań należała ochrona byłych żołnierzy niemieckich, którzy po klęsce znaleźli szczęśliwą przystań za granicą. Raport nadszedł z Nessenbergu.

Przeczytał go i ze złością pomyślał o ponownym zainteresowaniu się tą sprawą przez dawnych wrogów. Mimo upływu czterdziestu lat nie przestali tropić niemieckich patriotów.

Wiedział, gdzie ma odesłać raport, lecz podobnie jak właściciel domu towarowego w Nessenbergu nie znał ostatecznego przeznaczenia dokumentu. Orientował się jedynie, że chodzi o kogoś, komu ruch zawdzięczał dużą dotację z zagranicy. Raport zostanie ponownie zapakowany i wysłany pocztą lotniczą na adres w Dublinie.

Nadszedł do domu Kinga w Mayfair, przywieziony przez specjalnego posłańca. Na kopercie został oznaczony jako przesyłka prywatna i poufna do rąk własnych. Nikomu, oprócz Kinga, nie wolno było otwierać jakiegokolwiek korespondencji mającej takie oznakowanie.

Gloria schowała go do szuflady w gabinecie. Ojciec przeczytał to dopiero po powrocie z Nowego Jorku.

Omawiał z nią swe plany; znała się na zawiłościach jego finansowych interesów i była dobrą płytą rezonansową. Czasami przenikliwa intuicja podpowiadała jej, że mogłaby uczestniczyć w przedsięwzięciach ojca. Bardzo sobie ceniła tę intymną z nim zażyłość, zwłaszcza że matka była z niej wyłączona. Za głupia na to, myślała Gloria z satysfakcją. A pewnego dnia ojciec z pewnością dopuści ją do udziału w zarządzaniu jego rozlicznymi firmami i wtedy będzie tak, jakby była jego synem. Już od okresu dojrzewania załowała, że nie jest chłopcem. Odrzuciła kobiecość, by bardziej upodobnić się do ojca, nie lubiła mężczyzn. W szkole odkryła przyjemność uprawiania seksu z dziewczętami. Bódcze skłaniające ją do takiego postępowania nie były zbyt silne, jej lesbijskie romanse miały krótki żywot i były starannie ukrywane. Ojciec nic o nich nie wiedział, ponieważ jednocześnie miała kochanków z kręgu znanych mu przyjaciół. Zwykle byli żonaci i nie spełniali jej oczekiwań seksualnych.

Na studia poszła do Oksfordu, gdzie ukończyła dwa fakultety - ekonomię i języki nowożytne. Następnie uczęszczała przez dwa lata

do Szkoły Biznesu przy Uniwersytecie Harvarda, którą ukończyła z najwyższymi ocenami. Wszystko to z myślą o przejęciu w przyszłości interesów ojca. Nie miała błyskotliwej inteligencji, lecz odznaczała się intuicją i z uporem pracowała na sukces. Od pięciu lat zajmowała stanowisko kierownika działu inwestycji w londyńskiej filii amerykańskiego banku handlowego.

Była rozczarowana, że ojciec nie zabrał jej ze sobą do Nowego Jorku. Ostatnio razem wyjeżdżali w podróże służbowe. Teraz nie zgodził się na jej wyjazd, tłumaczył, że będzie brał udział w wielu poufnych spotkaniach z bankierami i maklerami, na których nie mogłaby być obecna. Zanudziłaby się na śmierć, nie mając nic do roboty przez całe dni. W odróżnieniu od matki Gloria nie lubiła chodzić po sklepach.

- Nigdy się z tobą nie nudzę - przypochlebiała mu się, lecz pozostał nieugięty.

- Tym razem tak by było, kochanie. Przywiozę ci coś niezwykłego. Może od Tiffany'ego? Co ty na to?

- Wolałabym pojechać z tobą - nie ustępowała. - Będę za tobą tęskniła. Całe dwa tygodnie. Zatelefonujesz, prawda?

- Jak zawsze - obiecał. Kupi jej coś efektownego u Tiffany'ego i równie kosztowny prezent dla żony, jedynie po to, żeby obie kobiety nie skakały sobie do gardła. Choć teraz, od niedawna, przestał narzekać na Marilyn. Zrobiła sobie małą operację kosmetyczną i wyglądała jeszcze ładniej, a na kolumnach towarzyskich w gazetach często o niej pisano. Wszystko to gówno, ale stanowiło dobry grunt w związku z zabiegami o tak upragniony tytuł lorda.

Poleciał do Nowego Jorku concordem. Plan pobytu miał napięty i trudny. Zamierzał uzyskać poparcie finansowe, mające kluczowe znaczenie przed podjęciem ataku na Williama Westerna.

Cztery dni zabrało drużynie szperaczy Julii przeglądanie archiwów. Wreszcie, w podziemiach szpitala Hammersmith znaleźli to, czego szukali. W kwietniu 1950 roku pani Phyllis Koenig została przyjęta z licznymi urazami głowy, powstałymi na skutek upadku. Była w stanie śpiączki. Według karty choroby po odzyskaniu przytomności i w bardzo ograniczonym zakresie zdolności mowy i ruchu została przeniesiona do prywatnego domu opieki. Konsekwencje obrażeń głowy były trwałe, a rokowania niepomyślne, gdyż odkryto skrzep w mózgu utrudniający dopływ krwi. Ten dom opieki dawno już zlikwidowano, lecz wiadomo było, że znajdował się w hrabstwie Sussex, niedaleko Midhurst.

Zacęli więc szukać świadectwa zgonu w dokumentach z pięcioletniego okresu, licząc od daty wypadku. Znaleźli je, pochodzący z 1954 roku. Nieszczęśliwa kobieta żyła do tego czasu - jeżeli wierzyć diagnozom lekarzy szpitalnych - w stanie tylko nieco lepszym od wegetującej rośliny i zmarła w domu opieki na wylew krwi do mózgu.

Nie wgłębiając się w szczegóły, Julia przekazała telefonicznie wiadomość Benowi. Nie potrafiła powstrzymać wyraźnego podniecenia w głosie.

- Wreszcie coś mamy - zaczęła relacjonować nowiny. - Phyllis Koenig wcale nie zmarła w 1950 roku. Doznała uszkodzenia mózgu i przebywała w domu opieki w Sussex. Umarła cztery lata później.

- Dlaczego w Sussex? - spytał Ben. - Czy King ją tam ukrywał?

- Na to wygląda. Po południu będziemy mieli kopię jej testamentu. Wiesz, naprawdę uwalam, że jesteśmy na właściwym tropie.

- Nareszcie - powiedział. - Posłuchaj mojej rady, panno Jot, nie chodź do szefa z ostatecznymi wnioskami, dopóki nie dowiesz się czegoś więcej. On i tak wymusi na tobie dalsze działanie.

- Tak jak poprzednio - zgodziła się. - Nie zapomniałam lekcji, panie profesorze. Wieczorem w zwykłym miejscu, o której?

Pub za rogiem następnej ulicy w pobliżu biurowca Westerna stał się ich bazą operacyjną. Tam się spotykali, wypijali drinka, po czym szli do domu - do niej albo do Bena. Julia bardzo zaprzyjaźniła się z Kicią. Kotka lubiła siedzieć u niej na kolanach, wpijała pazurki w jej spódnicę i mruczała z zadowolenia.

Julia i Ben nie ukrywali swego romansu. W pubie spotykali się przeważnie ich koledzy z pracy, którzy przywykli do widoku Hamilton i Harrisa siedzących zawsze na osobności w kącie sali. Nikt już tego nie komentował. Stali się stałą pozycją programu tak jak inne pary pracujące w „Heraldzie”.

Ben zaproponował ósmą trzydzieści, a ona obiecała zadzwonić, gdyby się dowiedziała czegoś ważnego z testamentu.

Gdy zobaczył ją przy stoliku, przyspieszył kroku. Znał ten jej wyraz twarzy i wiedział, co oznacza. Błyszczące oczy, lekkie rumieńce, ożywiona, wiele obiecująca mina. Znał jej nastroje i słabostki, rozpoznawał je bezbłędnie. Usiadł koło niej. Zamówiła dla niego whisky.

- No powiedz, co tam masz?

Otworzyła torebkę.

- To - rzekła. Położyła przed nim fotokopię testamentu Phyllis Koenig z domu Lowe, datowany 29 marca 1950 roku. Ben zaczął

czytać i w pewnym momencie szepnął - „Chryste”. Gdy doszedł do końca podniósł na nią wzrok.

- Wydziedziczyła go - powiedział. - Zapisła wszystko swej siostrzenicy. Dom w Fulham, akcje, obligacje, wszystko. Samą nieruchomością wyceniono na ponad sto pięćdziesiąt tysięcy funtów. W latach pięćdziesiątych to była fortuna.

- Natrafiliśmy na ślad tej siostrzenicy - relacjonowała wyniki poszukiwań Julia. - Mieszka w hrabstwie Sussex, zapewne dlatego Phyllis tam została umieszczona w domu opieki. Telefonowałam do niej po południu, zgodziła się spotkać ze mną jutro rano. Ben, wiem na pewno, że natrafiliśmy na coś nowego. Tyle było ślepych uliczek, jałowych działań, ale wreszcie widać światło w tunelu!

- Kiedy Phyllis sporządzała testament, musiała dowiedzieć się o nim czegoś, co ukrywał. Wtedy już rozumiała, że popełniła okropną pomyłkę. Parę tygodni później przydarza się jej upadek, który o mało nie doprowadza do śmierci. Według mnie prawdopodobnie powiedziała Kingowi, że zabezpieczy jego interesy, żeby go ułagodzić. Więc zdecydował się zagarnąć pieniądze, zanim ona zmieni zdanie.

- Nigdy tego nie udowodnimy - rzekła Julia.

- Nie, ale to dla niego charakterystyczne. Nikt nie ustalił, kto zabił Haymana na Wyspach Bahama czy zepchnął z szosy samochód Lewisa. Ale ja wiem, że stał za tym King.

Jadąc z Julią do jej mieszkania, Ben odezwał się nagle:

- Pamiętasz, że zawarliśmy pewien układ?

- Daj spokój, Ben, nie zaczynaj od nowa...

- Po prostu ci przypominam, to wszystko. Jeżeli uznam, że zabrnęliśmy za blisko, ty się wycofasz.

- Kiedy podejdziemy go za blisko - zgodziła się. - Ale jeszcze tak blisko nie jesteśmy.

Następnego dnia rano Julia pojechała do Midhurst. Według podanego adresu siostrzenica Phyllis Lowe mieszkała tuż za miastem, bardzo urokliwym, z wąskimi uliczkami, pełnym sklepów z antykami. Dom w stylu wiktoriańskim stał tuż przy szosie. Umówiona była na jedenastą, a przyjechała dziesięć minut wcześniej.

Nacisnęła dzwonek. Drzwi otworzyła niska, korpulentna pani po sześćdziesiątce.

- Pani Adams?

- Panna Hamilton? Proszę wejść. Przyjechała pani bardzo punktualnie, nie było kłopotów z korkami na drodze? Midhurst potrafi być koszmarem, kiedy te okropne platformy ciężarowe zatkają drogi.

Przygotowałam świeżą kawę.

Była bezpośrednia i pełna werwy. I jak się spodziewała Julia, bardzo czujna. Zaprowadziła gościa do bawialni przyjemnie i wygodnie urządzonej. Palilo się w kominku. Przy nim leżał czarny labrador, który uniósł na chwilę głowę i zaraz z powrotem zasnął.

- Biedna, stara Daisy - powiedziała pani Adams. - Ma już piętnaście lat i jest prawie ślepa. Nie mogę znieść myśli, że ją stracę. Niech pani usiądzie. Mleko, cukier?

- Tylko mleko, jeśli można - odparła Julia.

- Zanim opowiem pani o mojej ciotce, chciałabym się dowiedzieć, jakiego rodzaju publikację ma pani na myśli w związku z tym nikczemnym człowiekiem.

- Sama jeszcze nie wiem dokładnie - przyznała Julia. - Chciałabym dowiedzieć się o nim prawdy. Wymyślił swoją własną legendę, podpierając ją wszelkimi możliwymi pod słońcem kłamstwami. Więc chyba ma coś do ukrycia, pani Adams, dlatego zamierzam dowiedzieć się, co to takiego. Podał do publikacji te wszystkie bzdury, że pani ciotka zmarła na raka, pewno czytała pani jego biografii.

- Tak - odparła. - Stek kłamstw. To było do przewidzenia.

- Ale niczego pani nie zrobiła, żeby je zdementować.

- Niczego - odpowiedź była zdecydowana. - W jakim celu miałabym to robić, panno Hamilton? Żeby ukazać moją ciotkę jako pijaczkę, gdyż stała się ofiarą młodego mężczyzny, który mógłby być jej synem? Że umarła złożona chorobą w związku z uszkodzeniem mózgu? Nie, bardzo dziękuję. A poza tym on jest zbyt potężny, zbyt bogaty, nie mogłabym z nim walczyć. Ciągnąłby nas po sądach i zrujnował, zanim udałoby mi się złożyć zeznania. Pozwoliłam cioci Phyl spoczywać w spokoju. I nadal nie zmieniałam zdania. Dlatego, zanim cokolwiek pani powiem, muszę znać pani plany.

- Mam nadzieję przedstawić Harolda Kinga takim, jaki jest naprawdę. Jego związek z pani ciotką to jedynie wierzchołek góry lodowej. Potwierdza tylko to, o co wielu ludzi go podejrzewa, a nie może udowodnić, że to niegodziwiec, który sięga po coraz większą władzę. Nazwała go pani nikczemnym, prawda?

- Bo taki był - przyznała Jean Adams. - Biedna ciocia. W pewnym momencie dowiedziała się prawdy. I to ją doprowadziło do zguby. Mówiła mi, że był zbrodniarzem wojennym. Jeszcze trochę kawy?

Poszczególne elementy zaczęły układać się w całość.

- Ciotka Phyl miała raczej buntowniczą naturę, wiedziałam o tym już wtedy, gdy byłam jeszcze dzieckiem. Nie przejmowała się

konwenansami, nie wyszła za mąż i nie ustatkowała się. A była bogata. Przypuszczam, że chociaż w tamtych latach nazywano by jej życie rozwiązłym, dzisiaj nie wzbudzałoby niczyjego zdziwienia. Lubiła mężczyzn i miała powodzenie. Była bardzo atrakcyjna i szalenie elegancka. Dobrze się bawiła. Do Czerwonego Krzyża wstąpiła w czasie wojny, pracowała w Londynie pod bombami i tymi przerażającymi pociskami V1. Potem już nie potrafiła prowadzić ustabilizowanego życia. Mówiła, że po tych podniecających przeżyciach byłoby to zbyt nudne. Zatrudniła się w UNRRA i wyjechała do Europy pracować w strukturach tej organizacji zajmujących się uchodźcami. Wie pani, panno Hamilton, ona się tam zmieniła.

- Nie dziwię się - powiedziała Julia. - To musiało być straszliwe doświadczenie.

- I było. Tyle cierpienia, tyle zniszczeń. Przysyłała długie listy, w których opisywała to wszystko. Zawsze byliśmy sobie bliskie. Podziwiałam ją, uważałam, że jest bardzo dzielna i że ma taką fantazję. - Jean Adams uśmiechnęła się smutno. - Żałowałam, że w czasie wojny nie mogłam robić czegoś użytecznego, ale byłam za młoda. To, co ciocia Phyl zobaczyła w obozach, dosłownie nią wstrząsnęło. Całym sercem oddała się pracy dla tych ludzi i usiłowała im pomagać. Przyjechała do Anglii w 1947 roku i zaprosiła mnie na lunch w Londynie. Wtedy pracowałam tam jako sekretarka, właśnie zaręczyłam się z Bobem, moim mężem. Pamiętam jak mówiła: „Jean, po raz pierwszy w życiu czuję, że robię coś, co jest warte trudu. Nie dla zabawy. Pomagam ludziom, którzy wszystko utracili - rodzinę, dom, nadzieję”. Potem się roześmiała, myślę, że z zakłopotania. „Jak nie będę uważać, to stanę się nawróconym grzesznikiem, a to by mi nie odpowiadało”. Była wspaniałą osobą. Czy pani kogoś nienawdziła?

- Nie. Chyba nie.

- Ma pani szczęście. Bo to straszliwe uczucie. Ja nienawidzę Harolda Kinga od czterdziestu lat za to, co zrobił mojej ciotce. Pisała mi o nim. Wychodziłam za mąż, a ona nie mogła dostać urlopu, żeby przyjechać na mój ślub. Napisała, że w obozie natrafiła na cudownego młodego człowieka, wrażliwego i inteligentnego, który został sam na świecie; cała jego rodzina zginęła, a on jako robotnik przymusowy pracował na farmie gdzieś na wschodzie Niemiec. Przeżyte urazy odcisnęły na nim ślady na całe życie. Nawet nie znał swego prawdziwego nazwiska. A później ton jej listów uległ zmianie. - Odwróciła wzrok od Julii, jakby zapatrzona w jakieś ponure obrazy z przeszłości.

- Napisała, że się zakochała - ciągnęła Jean Adams. - Że pokochała naprawdę po raz pierwszy w życiu. Różnica wieku nie grała roli.

Tak bardzo jej potrzebował, tak był jej wdzięczny i kochający - są ze sobą ogromnie szczęśliwi. Pamiętam, jak czytałam ten list i myślałam sobie: „Dobry Boże, to nie jest ciotka Phyl, to brzmi jak kiepskie romansidło”. Ale byłam zbyt pochłonięta przygotowaniem do ślubu, żeby się tym martwić. Moja mama się nie przejęła. „Och, to jeden z tych kaprysów Phyllis. Znudzi się nim jak innymi”. Myślę, że mama była trochę zazdrosna o ciotkę, nie miała takiej urody i osobowości. Wreszcie ciotka wróciła do Anglii i zaprosiła nas do Fulham, żebyśmy go poznały. Nie wiem, czego właściwie oczekiwałam. Jakiegoś romantycznego Słowianina o rozmarzonym spojrzeniu. Chyba coś takiego. Lecz on zupełnie temu wyobrażeniu nie odpowiadał. To był arogant. Tak, człowiek butny i pyszałkowaty. Emanowała z niego zmysłowość. Zastanawiałam się, co ją w nim pociągało. A ona była zupełnie zauroczona, zachowywała się jak dwudziestoletnia dziewczyna. Nie okazał nam sympatii ani mi jemu. Bob powiedział później: „Twoja biedna ciotka wpadła w tarapaty”. Pomyślałam to samo. Później widziałam ją tylko kilka razy i stwierdziłam, że gwałtownie stacza się coraz niżej. Zawsze lubiła wypić parę drinków, lecz to nigdy nie było problemem. Jednak pewnej niedzieli przyjechała do nas w porze obiadowej kompletnie pijana. Przywiozła go oczywiście ze sobą. Atmosfera była okropna. Nigdy tego nie zapomnę. Zachowywał się wobec niej grubiańsko, wręcz wrogo. Wyglądała na nieszczęśliwą. - Pani Adams zamilkła.

Julia czuła, że mimo upływu lat te wspomnienia nadal są dla niej bolesne.

- A kiedy ją pani znowu zobaczyła?

- Jakies dziesięć dni przed wypadkiem. Zatelefonowała i poprosiła, żebym przyjechała do Londynu. Chciała ze mną rozmawiać w bardzo pilnej sprawie. Była ogromnie poruszona. Poszliśmy na lunch i wtedy opowiedziała mi zupełnie niesłychaną historię. - Przerwała na chwilę. - Koenig - powiedziała wreszcie, odchrząknawszy lekko. - Koenig nigdy nie pił alkoholu. Nic, nawet piwa. Nie cierpiał, jak ciocia Phyl zrobiła sobie drinka, nawet wtedy, na samym początku, kiedy jeszcze razem mieszkali w Niemczech. Mówiła mi o tym, ale uważała, że to było raczej miłe z jego strony, chociaż nie bardzo rozumiała, dlaczego by miała sobie odmawiać dzinu z tonikiem pod koniec męczącego dnia... Oczywiście, w miarę, jak stawał się dla niej coraz bardziej przykry, jak molestował ją o pieniądze, zaczęła naprawdę zaglądać do butelki. To go najwyraźniej doprowadzało do szału. Zdarzało się, że ją bił, nigdy w twarz, bo byłoby widać. Kilka razy miała potem siniaki na ciele. Pewnego wieczoru gdzieś wyszedł -

nigdy nie wiedziała, gdzie chodził i jak spędzał czas poza domem - a gdy wrócił, zastał ją pijaną. I wtedy zrobił coś niezwykłego, co było zupełnie do niego niepodobne. Nalał sobie dużą porcję dżinu. Nie wierzyła własnym oczom. Stał nad nią i powiedział: „A teraz, ty stara zapijaczona kutwo, pokażę ci, jaka jesteś. Będę chrapał w łóżku i cuchnął dżinem tak jak ty. Będę cię po pijanemu pieprzył, ty stara wiedźmo, i to ci się raczej nie spodoba”. Najwidoczniej była to najstraszliwsza scena, jaką przeżyła, gdyż popłakała się w restauracji, opowiadając mi to ze szczegółami. Powtórzyła te obelgi, tak osobiste, tak potwornie okrutne. A on zrobił to, co zapowiedział. Tego wieczoru kompletnie się spił. Ciotka mówiła, że z przerażenia całkiem wytrzeźwiała. Zachowywał się jak szaleniec. I powiedział jej całą prawdę o sobie. Nie był Polakiem ani wysiedleńcem. Był niemieckim żołnierzem i walczył na Saharze Zachodniej. Powiedział, że wymordował grupę brytyjskich jeńców wojennych. Chwalił się, że zastrzelił ich z zimną krwią, kiedy się poddali.

Julia odetchnęła głęboko.

- Boże, przyznał się do morderstwa?

- Tak - potwierdziła stanowczo Jean. - To mi właśnie ciotka powiedziała. Chełpił się tym czynem. Myślał, że zabił wszystkich, ale jeden z nich przeżył. Dopiero później się o tym dowiedział. Mówiła, że wrzeszczał do niej: „Spudłowałem!” Bał się, że po wojnie zostanie oskarżony o zbrodnie wojenne. Więc przebrał się w ubranie cywilne, przyłączył do grupy uchodźców i wymyślił cały swój życiorys. Ciocia była zupełnie roztrzęsiona. Bardzo dobrze to pamiętam. Powiedziałam jej, że skoro był taki pijany i nie panował nad sobą, to może zmyślał... ale nie chciała o tym słyszeć. - Zamilkła na chwilę, po czym zniżyła głos i dodała. - Mówiła mi też, że tej nocy ją zgwałcił.

Julia nie odzywała się. Czekwała na dalszy ciąg opowieści Jean.

- Następnego dnia rano oczywiście wszystkiemu zaprzeczył. Twierdził, że alkohol miesza mu w głowie, powoduje jakieś złudy. Błagał ją, żeby mu przebaczyła. Mówiła mi, że płakał. - Podniosła wzrok na Julię. - A ta biedaczka chciała mu uwierzyć. Naprawdę. Ale nie mogła. Była kompletnie załamana. Do dzisiaj ją widzę, jak siedzi i mówi, że wolałaby umrzeć, niż te go doczekać. „Nie dostanie moich pieniędzy - oznajmiła mi. - Widziałam się dzisiaj z adwokatem, który spisał mój nowy testament”. Dziesięć dni później wydarzył się ten wypadek. A ja otrzymałam kopię ostatniej woli ciotki. Byłam zdumiona, że mnie wszystko zostawiła. W ten sposób dała mi możliwość pozbycia się na zawsze tego człowieka. Razem z Bobem stawiliśmy mu czoło, kiedy ciocia musiała opuścić szpital. Jej adwokat nas wspie-

rał. Oznajmiliśmy Koenigowi, że występujemy o przyznanie nad nią prawa opieki i pokazaliśmy kopię testamentu. Powiedzieliśmy, że dostanie pięćset funtów, jeżeli opuści dom i zobowiąże się nigdy nie kontaktować się z nią ani z nami. Nie usiłował się spierać. Wzruszył tylko ramionami. „Nie mogę z wami wygrać - powiedział. - Jestem tylko biednym cudzoziemcem”. Podpisał zobowiązanie i Bob wręczył mu pieniądze. Twierdził, że wraca do Niemiec. Uwierzyliśmy mu. Sprzedaliśmy dom i sprowadziliśmy ciocię do Sussex. Opiekowaliśmy się nią do samej śmierci.

Wstała i zebrała filiżanki po kawie na tacę. W milczeniu skierowała się w stronę drzwi. Dopiero w progu odezwała się znowu.

- Kilka lat później zaczęto pisać o Haroldzie Kingu, ukazywały się w prasie jego fotografie i wtedy uświadomiliśmy sobie, że to ten sam mężczyzna. Ale już było za późno. Przez ten czas stał się milionerem i osobą publiczną. Mieliliśmy rodzinę i wiele do stracenia. Mój mąż był ostrożnym człowiekiem. Uznał, że najlepiej tego nie ruszać. Zgodziłam się z nim ze względu na ciotkę. Lecz żałowałam tej decyzji przez wiele lat. - Podniosła się. - Wyniosę to do kuchni.

Julia podążyła za nią. Z kuchni wyskoczył z powitaniem młody labrador, tak samo czarny jak suczka śpiąca przed kominkiem.

- Wnuczka Daisy - wyjaśniła pani Adams, stanowczo zakazując szczeniakowi dalszych skoków. - Bob zmarł dwa lata temu, a ja nie mogłam znieść myśli, że pozostałabym bez psa z tej rodziny. Mój syn na córkę Daisy i dał mi Poppit w prezencie na Boże Narodzenie. Łatwo się ją układa, chociaż to wielka figlarka. Chciałabym panią poczęstować obiadem, ale jestem umówiona z przyjaciółką. Należymy do klubu brydżowego i zawsze przed grą chodzimy razem na obiad. Ona też jest wdową.

- Wielkie dzięki, pani Adams, ale i tak musiałabym wracać do biura. Czy byłaby pani skłonna podpisać zeznanie złożone pod przysięgą, zawierające to, co mi pani opowiedziała?

Jean Adams zawahała się.

- Musiałabym najpierw porozumieć się z moim adwokatem - powiedziała. - Zawiadomię panią, co on na to.

- Czy ma pani oryginał zobowiązania podpisanego przez Kinga w zamian za pięćset funtów?

- W firmie powinni to mieć. Bob nigdy nie trzymał dokumentów w domu, obawiał się pożaru albo włamania. Z pewnością gdzieś tam jest.

Ostrożny człowiek, jak mówiła. Odprowadziła Julię przed dom.

- Jaki elegancki samochód - zauważyła. - W dzisiejszych czasach

młode kobiety mają tyle możliwości.

- Nie wiem, jak pani dziękować - rzekła Julia cicho. Wyciągnęła rękę, którą starsza pani mocno uścisnęła. - Ogromnie mi przykro, że tyle zła spotkało pani ciotkę. Mam nadzieję, że rozmowa na ten temat zbytnio pani nie zdenerwowała.

- Powrócił tylko dawny gniew - odparła. - Naprawdę chciałabym doczekać chwili, kiedy ta kanalia dostanie za swoje.

- Postaram się, obiecuję pani. Proszę dać mi znać, co powiedział adwokat.

- Dobrze. Do widzenia. - Odwróciła się i zamknęła za sobą drzwi.

Julia przeszła krótką ścieżką do szosy i wsiadła do samochodu. Czowała się przygnębiona, jakby pani Adams nałożyła na nią jakieś brzemie. Brzemie zła, które nie zostało ukarane. Dziwny, niemodny już frazes, wyłowiony gdzieś z zakamarków pamięci, lecz jakże trafny.

Postanowiła, że bez względu na obietnicę daną Benowi Harrisowi, nie wycofa się z tej sprawy.

Przed powrotem szefa z Ameryki Joe nie miał właściwie nic do roboty. Informacje, które uzyskał, nie były pilne. „Herald” nie rozpoczął jeszcze publikacji nowego cyklu. Nadal tylko zapowiadano: „Strzeżcie się naszych rewelacji”. Zabrał więc jedną ze swych ciemnoskórych dziewczyn do Francji na wyścigi konne. Miał mnóstwo pieniędzy; mieszkali w drogich hotelach, dobrze jedli, a na wyścigach sprzyjało im szczęście. W przypiływie wspaniałomyślności dał jej trochę pieniędzy na drobne wydatki. Żałował, że nie wziął ze sobą drugiej; lubił tę robotę w trójkę, ale tam, gdzie się zatrzymywali, mogłoby to uchodzić za niestosowne.

Nieoczekiwanie spotkał na wyścigach kilku Irlandczyków i razem świetnie się zabawili. Joe płacił rachunki, zgrywał się na wielkiego pana i nie pokazywał im dziewczyny. Znał swoich ziomków, umieli dobrze opróżniać kieliszki, ale w głębi duszy byli świętoszkowaci.

Po powrocie do Londynu połączył się telefonicznie z osobistą sekretarką Kinga. Twarz jak donica, płaska jak deska. King nigdy nie łączył interesów z przyjemnością. Miała dla niego niespodziewane wieści.

- Pan King wrócił dwa dni temu - powiedziała. - Usiłował się z panem skontaktować, panie Patrick.

Joe zaklął cicho.

- Miał wrócić dopiero w końcu tygodnia - rzekł. - Czy coś się

stało?

- Nic, o ile mi wiadomo - głos był oziębły. Nie lubiła Joe Patricka. Uważała, że jest bezczelnym prostakiem. Kiedyś usiłował ją przygruchać. Wiedziała, że sobie z niej kpi. - Radzę panu zadzwonić do niego. Jedzie teraz samochodem na lunch.

Joe był przerażony. Nie wiedział, co robić, zastanawiał się, jak najlepiej wytłumaczyć swą nieobecność, no i to, że nie zostawił telefonu, pod którym można go złapać. Duży błąd. King go potrzebował i nie mógł znaleźć. Powtórzył kilka razy „cholera”, po czym zdobył się na odwagę i nakręcił numer telefonu w samochodzie szefa.

King zawsze telefonował do domu ze swych zagranicznych wojaży. Tym razem był w dobrym nastroju, gdyż negocjacje z Bankiem Handlowym szły dobrze i kapitał potrzebny do przeprowadzenia frontalnego ataku na koncern Western International mógł być uruchomiony bez zbytniego zadłużania się. To było wstępne stadium, lecz wiara Kinga w powodzenie tej operacji wzrastała. Czuł zapach krwi, a jego przecucia nigdy nie zawodziły.

Najpierw porozmawiał z żoną, po prostu była bliżej telefonu, gdy zadzwonił. Głędziła o zebraniu komitetu działającego na rzecz budowy hospicjów we wschodnim Londynie i o tym, jak to zwrócili się do biura księżnej Walii z prośbą uzgodnienia terminu wielkiej charytatywnej imprezy. Księżna, zawsze chętnie pomagająca będącym w potrzebie, podała wcześniejszą datę, niż się spodziewali. Jej obecność zapewni znaczny przyrływ funduszy.

King pozwolił się żonie wygadać - był w dobrym humorze - aż wreszcie przerwał ten potok słów i zapytał, czy Gloria jest w domu. Gloria wychodziła właśnie na umówioną kolację, lecz usłyszawszy, że to ojciec, pospieszyła do telefonu. Spóźnienie na spotkanie nie miało znaczenia.

- Dobrze się miewa moja dziewczynka?
- Tęskni za tobą, tatusiu. A jak tobie idzie?
- Świetnie. Trudne rozmowy, ale dobijam targu. Masz dla mnie jakąś wiadomość?

Gloria nie zapomniała o przesyłce doręczonej przez posłańca.

- Jest paczka dla ciebie. Przyszła w zeszłym tygodniu.
- Ooo, jaka paczka?
- Wygląda jak plik dokumentów - odpowiedziała Gloria. - Zaznaczono na kopercie, że jest prywatna i poufna, do rąk własnych. Schowałam ją do twego biurka. Chcesz, żebym ci ją wysłała? A może ją teraz otworzyć?

- Nie, nie! - Zmiana tonu głosu przestraszyła ją. On na nią krzy-
czał. - Leży od zeszłego tygodnia? Na miłość boską, ty głupia, mała...
- Gloria wprost oniemiała, kiedy usłyszała pod swoim adresem ordy-
narne wyzwiśko. - Dlaczego od razu mnie nie zawiadomiłaś?

- Tatusiu, nie wiedziałam... - Łzy zaczęły napływać jej do oczu.

- Wyślij mi ją tutaj lotniczą pocztą kurierską. Dziś wieczorem,
żebym miał ją jutro rano. Masz to zrobić, słyszysz?

- Tak. - Teraz już płakała. - Tak, zaraz to zrobię... Och, tatusiu,
tak mi przykro. To nie moja wina... - Lecz linia już była głucha.

Matka opuściła pokój, gdy Gloria podeszła do telefonu. Nie mogła
znieść tych czułych, telefonicznych pogaduszek między ojcem i
córką. Teraz wróciła i zastała Głorię we łzach.

- Co się stało kochanie? - spytała z uśmiechem. - Kłótnia kochan-
ków?

Gloria obróciła się ku niej gwałtownie. Kiedy King znajdował się
w bezpiecznej odległości, nienawiść między nimi płonęła zupełnie
otwarcie.

- Zamknij się! Zamknij się, ty krowo!

Z ust Marilyn nie schodził złośliwy uśmieszek. Płacząca Gloria
wyglądała tak brzydko, na twarzy wystąpiły jej czerwone plamy,
człapała w stronę drzwi jak zranione zwierzę.

- Spóźnisz się na kolację! - zawołała za nią matka.

- Nie idę na żadną cholerną kolację! - odrzyknęła córka i zatrza-
snęła za sobą drzwi gabinetu ojca. Wyjęła pakunek, przyczynę jego
straszliwego gniewu i tej obelgi. To nie była jej wina. Wiedziała tylko,
że żadnej przesyłki oznaczonej jako prywatna, nie można otwierać.
Taka była niewzruszona zasada. Tak naprawdę, to nie przypominała
sobie, żeby podobną przesyłkę już kiedyś widziała. Wypełniła kartkę
z adresem, a następnie zatelefonowała.

Co tam mogło być, że wpadł w taki szal? Coś związanego z jego
interesami w Nowym Jorku. Zwłoka musiała w jakiś sposób
pokrzyżować mu plany. Ale skąd ona mogła wiedzieć? Popłakiwała,
załatwiając formalności związane z wysyłką paczki, którą - za niebo-
tyczną cenę - pierwszym samolotem do Nowego Jorku, a potem do
hotelu, miał zawieźć specjalny kurier.

Harold King otrzymał przesyłkę tuż przed śniadaniem, na które był
umówiony z dyrektorem finansowym i wiceprezesem Banku
Handlowego. Nie otworzył jej. Czekąło go ważne spotkanie i bał się
ryzykować, że po przeczytaniu dokumentów nie będzie w stanie
skupić myśli na omawianych sprawach. Przeleżała tydzień, przyno-
sząc mu ostrzegawczą wiadomość, może poleżeć jeszcze dwie go-

dziny.

Rozmowy były długie i trudne. Jego amerykańscy kredytodawcy żądali większych gwarancji niż przez niego oferowane. Nie udało mu się ich przekonać, że to nie jest potrzebne. Kiedy się rozstawali z zamiarem spotkania następnego dnia rano, żadne uzgodnienia nie zostały jeszcze podpisane. Brakowało mu zbyt wielu milionów, żeby wygrać tę walkę. Jeżeli nie da gwarancji na niezbędne kredyty, bank nie pożyczy mu pieniędzy.

Zachowywał zimną krew. Na zmianę przechwalał się, przypochlebiał, żartował i próbował ich zastraszyć, bez skutku. Więc zmienił taktykę. Kiedy już mieli wychodzić, z całym spokojem i przekonaniem zapewnił ich, iż ma wystarczające źródło na poręczenie, jeżeli będą się upierać, choć on uważa, że to niepotrzebne. O szczegółach porozmawia z nimi następnego dnia rano.

Źródło było wystarczające, tyle że nie miał prawa oddawać go pod zastaw. To był fundusz emerytalny tysięcy osób zatrudnionych we wszystkich jego przedsiębiorstwach w Anglii i Kanadzie.

Gdy zamknęły się za nim drzwi, był całkiem spokojny. Sytuacje kryzysowe zawsze tak na niego wpływały. Widział rozwiązanie i ocenił ryzyko. Jeżeli mu się uda, te pieniądze nie zostaną naruszone i nikt się o niczym nie dowie. Już poprzednio podobnie ryzykował i wygrywał. Wygra i tę grę, największy hazard, na jaki zdecydował się w swych interesach.

Otworzył pakiet dokumentów i przeczytał je.

Spotkanie z bankowcami odbyło się następnego dnia rano. Przyszedł na nie uśmiechnięty, był w dobrym humorze, zachowywał się niemal jak anioł dobroci. Ponownie przemyślał swą sytuację i choć ubolewał nad ich brakiem zaufania, to rozumiał przyczyny takiej postawy. Sam był człowiekiem odpowiedzialnym i doceniał troskę banku o interesy swoich akcjonariuszy. Dlatego gotów jest dodatkowo dać pod zastaw swoje prywatne zasoby. Szczegóły zostaną im podane podczas spisywania projektu umowy. Zakończył zebranie i z przyjacielską życzliwością uściskał im dłonie. Wszystkie pozostałe spotkania odwołał. Będą mogły się odbyć w późniejszym terminie.

Jego uwagę zaprzętała teraz o wiele pilniejsza sprawa.

Spakował się i wrócił do Anglii prawie na tydzień przed planowaną datą.

W samolocie King nie przestawał pracować. Jego asystent i dwie sekretarki mieli wrócić później. Musieli jeszcze uporządkować pewne sprawy w Nowym Jorku i ustalić nowy termin, mniej więcej za miesiąc, odwołanych spotkań z innymi instytucjami finansowymi. Jeśli

chodzi o obietnicę daną Bankowi Handlowemu, to nie zamierzał się z niej wywiązać, dopóki nie wyczerpie jednej z dwóch innych możliwości, których stawka od strony moralnej nie byłaby tak wysoka.

Wziął ze sobą papierkową robotę i rozłożył się z nią w pierwszej klasie, ze złością odrzucając propozycję wypicia szampana. Jednak w trakcie lotu materiały, nad którymi pracował, zaczęły się jakby zamazywać: na kolumny cyfr i treść finansowych założeń nakładać się zaczął tekst pisanego po niemiecku raportu. On zamierzał dopaść Westerna, ale i Western chciał dopaść jego. Ben Harris i Julia Hamilton podjęli stary trop w Nessenbergu, zatarty od tak wielu lat dzięki jego przyjaźniom i wpływowi. Lecz kilka słów wypowiedzianych do urzędniczki w Bauhausie, kiedy po przejrzaniu pokrytych pyłem akt opuszczali zakurzone piwnice... te słowa rozleżały się przenikliwym odgłosem w jego głowie, jak ostrzegawcza syrena.

„Tak, dziękujemy. Uzyskaliśmy pewne użyteczne informacje”.

Jakie informacje? Co mogli znaleźć, skoro wszystkie niepożądane dokumenty zostały z akt usunięte? King wsunął papiery do teczki i nałożył na oczy zaciemniającą opaskę. Nie spał, lecz ciemność pomagała mu się skupić. Coś skłoniło tych chytrych pismaków z gazety Westerna do wypowiedzenia tych słów. Może ta kobieta zauważyła jakiś szczegół, który tamten przeoczył. Świeże oko - mruknał. Podążyła ścieżką Harrisa i jakoś z niej zoczyła. Opuścili hotel Nessenberghof i pojechali do Monachium.

Dlaczego właśnie tam? Właścicielka hotelu z całą naiwnością odpowiedziała na wszystkie pytania jego łącznika, pokazała mu nawet rejestr gości z ich nazwiskami. Przekazała jeszcze dodatkową informację, że pojechali do Monachium, gdzie zamówili pokoje w Bernerhof, największym hotelu w mieście.

Monachium. To mu nie dawało spokoju. Znaleźli coś, co ich skierowało do Monachium. Ściągnął z oczu opaskę i ponownie sięgnął po raport. Tak starannie zebrano wszelkie materiały - każde wypowiedziane słowo, nawet bez znaczenia, zostało odnotowane. Dzięki ci Boże za teutońską niezawodność i skrupulatność.

Zanim wyprowadzili się z hotelu i pojechali, żeby sobie pobaraszkować - na pewno po to zatrzymali się w Bernerhofie - pytali, jak najlepiej dostać się do Hintzbach. Właścicielkę hotelu uderzył ten dziwny wybór, nie ma tam nic interesującego dla angielskich turystów. Ale oni tam pojechali, a potem wyprowadzili się z Nessenberghofu. Nie wyglądali na kochanków. Mieli oddzielne pokoje. Nie, pomyślał rozwścieczony King, oni nie byli kochankami, lecz dziennikarzami, którym powierzono określone zadanie do wykonania.

A tym zadaniem było rozszyfrowanie osoby Harolda Kinga. Wszystko się zgadzało. Rozkład lotów do Niemiec na skrawku papieru, który Joe Patrick odkrył podczas przeszukiwania jej mieszkania, a teraz to. Dziesięć lat temu Harris podążając tym samym śladem, zatrzymał się. Obecnie sprawa została podjęta na nowo.

Wylądował na Heathrow i pojechał prosto do domu. Nie budził żony, nie szukał Glorii. Poszedł do gabinetu i wykręcił numer Joego Patricka. Poleciał draniowi wykonać robotę, a on się nie odezwał. Żądał odpowiedzi na zadane pytania.

Nie otrzymał ich ani tego wieczoru ani w ciągu kolejnych dwóch dni.

Nikt nie wiedział, dokąd Joe Patrick wyjechał. Nie zostawił nawet numeru telefonu, pod którym byłby uchwytny. A Kingowi potrzebne było potwierdzenie tego, co wynikało z dokumentów nadesłanych z Niemiec. Liczył na to, że ten Irlandczyk zdobędzie mu dowód. Wtedy będzie mógł zdecydować, jak ma postąpić. Stary lewar, uruchomiony kiedyś przez niego wobec Westerna, może tym razem nie zadziałać. Niewykluczone, iż trzeba będzie uciec się do drastycznego rozwiązania. Ostatecznego rozwiązania.

Joe Patrick wiedział, jak odbierać cięgi. Kiedy King zalał go potokiem obelg, nie próbował się tłumaczyć. Skulił się tylko, jakby wściekle inwektywy były gradem ciosów.

Widział już swego szefa w podobnym stanie. Nie było sposobu, żeby go powstrzymać. Należało przeczekać, aż złość sama przejdzie jak huragan. Zdumiewała go rozległa skala wyzwisk; King mógł mieć w napadach gniewu obcy akcent, lecz przekleństwami posługiwał się jak rodowity Anglik. Duma Joego nie została zraniona, gdyż jej nie miał, nie czuł też urazy dzięki mentalności dobrego sługusa. Zabałaganiał sprawę, ponieważ nie był w zasięgu ręki, gdy go potrzebowano.

Kiedy wreszcie King przestał go lżyć, zaryzykował i odezwał się. Wiedział, że usprawiedliwianie się nie ma sensu.

- Przepraszam. Już mi się nie zdarzy takie spieprzenie sprawy.
- A jeżeli ci się zdarzy - wybuchnął King po raz ostatni - wyleję cię! - Zaczął mówić spokojnie. - Znalazłeś przyjaciela tej Hamilton?
- Tak, bez problemu. Trochę się z nim podrażniłem i wygadał się. To głupek. Hamilton szefuje tej nowej, niuchającej rubryce w „Heraldzie” nazwanej „Pod światło” i pana sprawdza. On uważa, że to jest związane z nadawaniem tytułów szlacheckich. Nie sądzę, żeby więcej wiedział.

- „Pod światło” - powtórzył King. - To się zgadza. Oni twierdzą,

że rozpoczną publikację w listopadzie. - Mówił właściwie do siebie. Potem spojrzął na Joego Patricka ostro. Porządnie go ochrzanił. Większość ludzi poczułaby się obrażona takimi wyzwiskami. Ale ten typ potrzebuje od czasu do czasu takiej porcji obelg, bo inaczej by się rozpróżniaczył. - Chcę, żeby ją śledzono - powiedział. - I Harrisa. Chcę o nich wiedzieć wszystko, co robią, gdzie jeżdżą, z kim się widują. Chcę wiedzieć, kiedy srają! Rozumiesz? Raporty masz dostawać codziennie i codziennie przekazywać je mnie. Posłuchaj mojej rady, Joseph - użył z naciskiem pełnego imienia. - Nie wyjeżdżaj na wyścigi, dopóki ta sprawa się nie skończy. - Rzucił mu groźne spojrzenie. - Wynoś się.

- Ona nie chce podpisać tego zeznania pod przysięgą - powiedziała Julia.

- Byłaś u niej znowu? - spytał Ben.

Potrząsnęła głową.

- Nie, ale muszę tam pojechać i jeszcze raz się z nią zobaczyć. Chciałabym, żebyś tym razem mi towarzyszył. Może mężczyzna potrafi lepiej na nią wpłynąć. Ale to jest bardzo stanowcza dama i nie zechce zmienić zdania na poczekaniu.

Ben objął Julię ramieniem. Byli w jej mieszkaniu. Zastanawiała się, kiedy zdoła go przekonać, żeby wprowadził się do niej na stałe.

- Posłuchaj mnie. Wytropiłaś ją, otworzyłaś puszkę z plugawstwem dotyczącym osobistych spraw tego drania. A my powinniśmy drać sprawę zbrodni wojennych. Gdyby to nam się udało, mamy go! Jeśli chcesz, sam do niej pojedę i z nią porozmawiam, przecież nie powinniśmy oboje osaczać naszej wdowy, prawda?

- Oczywiście - przyznała. - Masz rację. Gdyby pani Adams uznała, że wywieramy na nią presję, zacięłaby się i nic nie zdołałoby zmienić jej zdania. Znam ten rodzaj ludzi. Jedź, Ben. Ona postępuje zgodnie z radami swego adwokata, który obawia się, że jeśli podpisze to zeznanie, King się na niej odegra. To mnie doprowadza do szału!

- Ale King właśnie tak by zrobił - sprzeciwił się Ben - gdyby się o tym dowiedział. Jesteś zapalczywą damą, prawda? - Po czym bez zastanowienia dodał słowa, które padły z jego ust po raz pierwszy. - Może właśnie dlatego cię kocham. - Zanim zdołała cokolwiek odpowiedzieć, pochylił się ku niej i pocałował ją w usta. To był długi, czuły i namiętny pocałunek. Potem dodał: - Naprawdę cię kocham. Mam nadzieję, że to niczego nie zepsuje.

Julia dotknęła jego ust koniuszkami palców.

- Myślałam, że już nigdy mi tego nie powiesz - szepnęła i ona

także go pocałowała. Czując, że jego dłonie przesuwają się ku jej piersiom, odsunęła się nieco.

- Nie, Ben, jeszcze nie - poprosiła. - Porozmawiaj ze mną. Pozwól mi rozmawiać z tobą. Ben, ja to właśnie w tobie kocham, że łączy nas tak wiele poza seksem.

- Co, na przykład? - wyszeptał, trzymając ją teraz znieruchomiałymi dłońmi.

- Że mamy ze sobą tyle wspólnych spraw, że je omawiamy. Naszą pracę, nasze głupie żarty, ja nawet kocham twoją kotkę! - Zaśmiała się z siebie. - A może zabrałbyś Kicię i razem byście tu zamieszkali, sądzę, że jej by się to podobało.

- Ja też tak sądzę - odparł. - Ale jeszcze nie, kochanie moje. Złowiłem cię, kiedy dobiegał końca twój poprzedni związek. Muszę mieć pewność, że jesteś gotowa do następnego, tym razem prawdziwego, ze mną. Żadnego wykorzystywania chwil słabości, żadnych wahań, musisz mieć dość czasu na poznanie mnie i podjęcie decyzji. Poza tym jest też różnica wieku.

- Ale tym razem właściwa - stwierdziła. - Ben, ty jesteś niezależnym człowiekiem. Nie ma między nami współzawodnictwa. Już kiedyś powiedziałeś, że stanowimy bardzo dobry tandem.

- Więc tymczasem niech tak zostanie. Bądźmy nadal kochankami, kolegami i przyjaciółmi, aż się przekonamy, czy to się nam powiedzie. A jeśli nam się uda - spojrzał jej głęboko w oczy - to chciałbym, żebyś to ty się do mnie przeprowadziła.

Jean Adams odłożyła słuchawkę. Stała koło telefonu, zagryzając wargę. „Nie tykaj tego” - błagał ją adwokat. Był przyjacielem rodziny od lat i jego obawy jej się udzieliły. „Nie zadawaj się z prasą, moja droga Jean, oni gotowi są wszystko ci obiecać. A potem pozostawią cię własnemu losowi bez chwili wahania. Jeżeli podpiszesz zeznanie, wykorzystają je. Zostaniesz wciągnięta w kampanię przeciwko Haroldowi Kingowi i Bóg jeden wie, jak to się dla ciebie skończy”. Rozumiał ją, lecz był nieugięty. Musiał ją chronić, był to winien Bobowi, który tak by postępował, gdyby żył. Dawno temu jej powiedział, żeby zapomniała o przeszłości i ta rada była nadal aktualna. Teraz bardziej niż kiedykolwiek.

Niech ta dama z gazety sama wykonuje swoją brudną robotę. Ona, rozgrywając swoją walkę, ma za sobą potęgę Westerna. Jean nie ma nikogo. Poszedł nawet dalej. Znalazł w biurowym sejfie pomiędzy papierami Boba zobowiązanie podpisane przez Kinga w zamian za pieniądze. Zasugerował, że je spali. „Powiedz im, że to zrobiłaś -

namawiał ją - a jeżeli będą cię dalej naciskać, wezwij mnie. Już ja się ich pozbędę”.

Jean Adams zgodziła się z nim i zadzwoniła do Julii, żeby przekazać swoją decyzję. Rozmowę, którą właśnie skończyła, prowadziła z mężczyzną, kolegą Julii Hamilton. Był sympatyczny, bardzo rozsądny. Zapytał, czy może wpaść do niej, żeby uzupełnić pewne szczegóły. Przyjął bez sprzeciwu jej decyzję, że niczego nie podpisze i robił wrażenie, iż mówi to szczerze. Byłby jednak bardzo zobowiązany, gdyby się zechciała z nim spotkać. Jean zareagowała raczej ostro: „W obecności mego adwokata, panie Harris?” Powiedziała: „Oczywiście, jeszcze lepiej”. Więc zgodziła się na to spotkanie. Może postąpiła głupio. Tak to z pewnością oceni ich stary przyjaciel, lecz ostatecznie ona ma swój własny rozum. Nie zamierzała wyjść na niezdecydowaną starszą panią, znowu telefonować do Harrisa i zawiadamiać go, że zmieniła zdanie. Niech przyjedzie. Ta rozmowa może być interesująca. Uważała się za osobę stanowczą. Podjęła decyzję, po co marnować czas. Zatelefonowała do biura adwokata i przekazała wiadomość jego sekretarce. Ma spotkać się z dziennikarzem z „Sunday Herald” w środę po południu o drugiej trzydzieści u niej w domu i prosi, żeby przyszedł.

Po czym wyszła do ogrodu przyciąć krzewy róż.

Joe Patrick nie udzielał byle komu zlecenia na wykonanie zadań, które otrzymywał od Harolda Kinga. Nie można polegać na jakiejś hołocie tylko dlatego, że działa legalnie. Zatrudnił renomowaną firmę prywatnych detektywów, mającą swe biura we wszystkich większych miastach. Wachlarz jej usług był bardzo szeroki - od szpiegostwa przemysłowego po zwykłe sprawy rodzinne.

Brali najwyższe stawki, lecz byli całkowicie godni zaufania i uczciwi. Żaden z ich operacyjnych pracowników nigdy nie usiłował wykorzystać uzyskanych wiadomości. Julia Hamilton i Ben Harris mieli być obserwowani przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ben Harris w czasie swej podróży do Midhurst, dokąd jechał na spotkanie z Jean Adams, był już śledzony.

Julia bardzo dobrze ją opisała, pomyślał, wymieniając z nią uścisk dłoni. Przyjął zaproszenie na filiżankę kawy. Szczera i swobodna w sposobie bycia dama, typ kobiety, jakie kiedyś zwykło się określać trzonem Anglii, dopóki kręgosłup tego kraju nie zaczął się wyginać... Odsunął od siebie tę cyniczną myśl. Obecnie rzadko go takie nachodziły. Przy Julii stał się optymistą. Butelka była w połowie pełna, a nie pusta do połowy. Zawsze wracał myślą do Julii, gdy jej przy nim nie

było.

W bawialni zastał już adwokata. Wysoki mężczyzna w okularach i raczej wyszarzałym tweedowym garniturze. Ale ten człowiek nie wyglądał na nedorajdę. Jego oczy rzucały czujne spojrzenie.

- A więc, panie Harris - zaczęła Jean pogodnie - przyjechał pan zapewne, żeby nakłonić mnie do zmiany decyzji.

- Nie, pani Adams - odrzekł Ben spokojnie. - Nie pozwoliłbym sobie na to. Pragnąłbym jedynie uzupełnić pewne szczegóły i zadać pani jedno czy dwa pytania, gdyż pani odpowiedzi mogłyby być nam pomocne. Bez włączania pani osoby do tej sprawy. - Mówiąc to spojrzał na adwokata, który się nie odzywał. Starszy pan był bardzo nieufny. Ben zwrócił się ponownie do Jean:

- Chciałbym podkreślić, że rozumiemy pani decyzję i podziwiamy pani zapatrywanie. Kingowi udało się już wielu ludzi zastraszyć i wielu przysporzył kłopotów. I to mającym wysoką pozycję oraz zaplecze finansowe. Dlatego postanowiliśmy, że nie wykorzystamy tego zeznania, gdyby je pani podpisała.

- W takim razie - przerwał adwokat - po co państwo o nie prosicie, skoro nie miałyby być wykorzystane? To raczej nie ma sensu.

Ben przewidział takie pytanie.

- Dokument mógłby być okazany jedynie członkom palestry, sir, i to w zaufaniu. Byłby czynnikiem wywierającym wpływ na ich osąd i rady, jakich udzielaliby swoim klientom. Tylko taką ewentualność mieliśmy na myśli. Zeznanie byłoby oczywiście zdeponowane u pana. Pani Adams mogłaby się z niego wycofać albo odmówić okazania go, gdyby taka była jej wola.

Jean zareagowała szybko.

- Dick, nie mówiłeś o podobnej możliwości. Takie założenie wydaje się całkiem rozsądne.

- Wydaje się rozsądne - odrzekł - poza tym, że sąd może nakazać ci przedstawienie dokumentu, którego istnienie zostanie ustalone. Panie Harris, poradziłem Jean, żeby nie mieszała się do dochodzenia waszej gazety w sprawie Harolda Kinga. Muszę dopilnować, by nie uległa pańskim perswazjom. - Spojrzał na niego wzrokiem wyrażającym szczerą niechęć.

Ben wahał się; do tej pory niczego nie uzyskał. Nie chciał wyciągać swego jedyne go asa tak szybko, ale nie miał wyboru.

- Pani Adams - rzekł. - Przykro mi to mówić, lecz czy nie przychodziło pani na myśl, że być może King zamordował pani ciotkę?

- O nie, ja muszę zaprotestować!

Ben zignorował sprzeciw adwokata. Obserwował Jean Adams. Najpierw na jej twarz wystąpiły wypieki, potem zbladła jak ściana.

- Nie - odparła. - Proszę, Dick, poczekaj chwilkę. - Uniosła dłoń, żeby powstrzymać adwokata. - Nie, z całą pewnością wydarzył się wypadek. Była kompletnie pijana, gdy ambulansem przewieziono ją do szpitala. Wiem to właśnie stamtąd. Dobry Boże - odsunęła z czoła kosmyk włosów. - Dobry Boże - powtórzyła.

- Nie można by niczego udowodnić, gdyby wtedy zmarła ciągnął Ben. - Fakt, że była pijana, stanowi jego alibi. Ale niech tylko pani pomyśli. Stracił głowę i powiedział jej o sobie prawdę. Miała go w rękach. Powiem coś więcej. Zacząłem przyglądać się osobie Harolda Kinga dziesięć lat temu. Jestem przekonany, że zabójstwo na Bahama jego konkurenta w interesach i to, co uznano za tragiczny wypadek innego rywalizującego z nim biznesmena, były zorganizowane przez Kinga, który nie chciał dopuścić do przejęcia przez tamtych jego przedsiębiorstw. Ciotka mówiła pani, że przyznał się do zamordowania bezbronnych jeńców brytyjskich. Maltretował ją. Nienawidził jej. Czy naprawdę pani uważa, że mógł sobie pozwolić na zdemaskowanie? Proszę zwrócić uwagę na czas zdarzeń: w dziesięć dni po spotkaniu z panią ciotka ulega nieszczęśliwemu wypadkowi, który omal nie kończy się śmiercią. King nie cofnąłby się przed morderstwem. Powiem pani, o co mi chodzi, pani Adams. Nie pragnę wciągać pani rodziny w to bagno. Nie chciałbym przysparzać pani żadnych kłopotów czy zmartwień. Chodzi mi o jedno, o prawdę o tym, co się stało z jeńcami na Saharze Zachodniej. Chcę, żeby to nie uszło mu na sucho. A pani jest jedyną żyjącą osobą, która wie, że on się do tego przyznał. - Wstał. Tamci oboje milczeli. Zobaczył, że adwokat zbliża się do jej krzesła. Była błąda i wyglądała bardzo staro.

- Dziękuję, że zechciała się pani ze mną spotkać - rzekł Ben. - Przykro mi, jeżeli przeze mnie przeżyła pani wstrząs. Proszę mnie nie odprowadzać.

Był już w holu, gdy dogonił go adwokat.

- Zachował się pan niegodziwie - powiedział. - Nie ma pan żadnego dowodu, a nawet gdyby to była prawda, to i tak nie można nic zrobić.

- Dick, proszę. - Do holu weszła pani Adams. - Nie wolno ci obrażać pana Harrisa. - Podeszła i otworzyła przed nim frontowe drzwi. - Przemyślę to sobie. - Ben Harris ujął jej rękę. Nieco drżała. - Jestem to winna mojej ciotce, jeżeli on ją zabił. Ciotka nie miała wątpliwości, że mówił prawdę o jeńcach. Będziemy w kontakcie, panie Harris. Do widzenia.

Ben szedł ścieżką pomiędzy krzewami róż już przyciętymi na zimę, a obserwator siedzący w zaparkowanym po drugiej stronie szosy granatowym volvo opuścił niżej mapę drogową i zakończył nagrywanie na dyktafon relacji o śledzonym obiekcie.

- Ben - odezwała się Julia łagodnym głosem. - Postąpiłeś słusznie. Nam to zeznanie jest potrzebne. Choć może nigdy nie będzie wykorzystane, jak sam powiedziałeś.

- To prawda - przyznał. - Ale ona wyglądała na ogromnie wstrząśniętą. Wiesz, panno Jot, poczułem się jak ostatni łajdak. Tak długo jako dziennikarz nie byłem na tym zapalnym styku z ludźmi, że chyba stałem się nieodporny. Siedzi się za biurkiem i wysyła innych, żeby wysysali krew. Fatalnie się czuję.

- Wiem. - Julia pocałowała go. - Ale mimo to postąpiłeś słusznie. Oboje uważamy, że King usiłował zabić tę biedną kobietę. Jeżeli pójdziemy tym tropem, a do tego dojdzie wymordowanie brytyjskich jeńców, to mamy go, Ben. Zgodnie z nowymi przepisami będzie mógł zostać osądzony.

- Nawet teraz nie ma pewności, czy ona podpisze zeznanie - rzekł z namysłem. - Ten jej adwokat stanie na głowie, żeby do tego nie dopuścić. Chociaż kiedy wychodziłem, wydawało mi się, że ona już podjęła decyzję. Chyba to, co powiedziałem, przeważało. W każdym razie ma do nas zadzwonić, więc pozostaje nam tylko czekać. Zobaczymy. Dzięki, kochana.

- Nie ma za co - powiedziała ciepło. - Koty przybłądy, starsze panie i wielki, twardy Ben Harris - jesteś naprawdę cudownym człowiekiem... Teraz zabieram cię na kolację do restauracji, a jak wrócimy, całkiem cię zdemoralizuję.

- Tatusiu, co się stało? - spytała Gloria King.

Zagłębiony w fotelu siedział w gabinecie przed telewizorem, odłożone cygaro tliło się w popielniczce. Nadawano jakiś nieciekawy serial i normalnie wyłączyłby natychmiast taki program. Wyglądał na zmęczonego i zatroskanego. Podeszła, przysiadła na oparciu fotela i objęła ojca ramieniem.

- Ciągle się gniewasz z powodu tej przesyłki? Tak mi przykro, usiłowałam ci wyjaśnić... - Jej oczy napełniły się łzami. Kiedy się zdarzyło, że odsuwał się od niej, czuła się jak nieszczęśliwe, pełne winy dziecko, rozpaczliwie oczekujące przebaczenia.

Podniósł na nią wzrok. Ujął jej dłoń i przytrzymał.

- Nie bądź głuptasem. Kochana dziewczynka - wymamrotał. -

Do diabła z przesyłką. Do diabła ze wszystkim.

Odetchnęła z ulgą.

- Ale czy coś jest nie w porządku? - nalegała. - Od powrotu z Nowego Jorku nie jesteś sobą. To te sprawy finansowe? Nie ułożyły się dobrze?

- Nie tak, jak się spodziewałem - przyznał. - Muszę znaleźć więcej pieniędzy, niż to wynikało z moich kalkulacji, ale poradzę sobie. Muszę tylko trochę pomyśleć.

Wpatrywał się w migoczące na ekranie sceny, którym towarzyszyły - choć głos był mocno ściszony - jakieś głupie dialogi i zarejestrowane na taśmie wybuchy śmiechu. Joe Patrick wypełnił swoje zadanie. Agencja detektywistyczna przefaksowała raporty jemu, a on je z kolei przekazał na prywatny, zastrzeżony numer Kinga.

Ben Harris pojechał do Midhurst na spotkanie z panią Jean Adams. King poczuł się tak, jakby serce w nim zamarło. Szok był straszliwy, przez parę sekund wydawało mu się, że przestanie bić. Jean Adams. Stał przed oczyma jej obraz sprzed czterdziestu lat. Mała, zjadliwa - wróg. Ulubiona siostrzenica Phyl. To musi być ta sama. Midhurst w Sussex, gdzie Phyl spędziła swe ostatnie lata z jego tajemnicą ukrytą w uszkodzonym mózgu. To musi być ta sama Jean Adams. W ciągu tych paru chwil na nowo przeżył scenę, gdy przyszła się z nim zobaczyć, ze swoim mężem nudziarzem w odwodzie, i spłaciła go kilkoma setkami funtów. Był ubogi, a powinien zdobyć majątek. Ale czuł się bezpieczny i uwolnił się od Phyllis - kuli u nogi. Jean Adams. Nie myślał o niej od lat. Umknęła z jego pamięci, jakby była martwa jak jej ciotka. Ale ona nie umarła. Nadal żyła, a Ben Harris zaraz po powrocie z Niemiec, gdzie był z Julią Hamilton, złożył jej wizytę.

Wrogowie niuchali wokół niego przez lata, usiłując go skompromitować. Nie udało im się. Swoje interesy osłonił powłoką podstępnych oszustw, której nie sposób było przeniknąć. Był geniuszem w zacieraniu śladów dzięki podstawionym ludziom lub fikcyjnym spółkom i zagranicznym operacjom. Jego kryminalną działalność osłaniała sama istota tych machinacji. Pranie brudnych pieniędzy z handlu narkotykami w Stanach, nielegalne dostawy broni do krajów wschodniej Europy... Miał kontakty w mafii, która była tak samo zainteresowana w zachowaniu anonimowości jak on. Od ich strony nie musiał się niczego obawiać. Zbił wielką fortunę, a większość pieniędzy ulokował w bankach i inwestycjach zagranicznych. Uniósł wzrok na córkę.

- Więc o co chodzi? - spytała. - Tatusiu, chyba nie jesteś chory? - Dostrzegł przerażenie w jej oczach. Uśmiechnął się.

- Chory? Nie pleć głupstw. Jestem silny jak wół - dobrze wiesz. Nie, to nic takiego, chwilowy spadek cen papierów wartościowych. Doprowadzę to do porządku. Powiem ci o tym kiedyś. I tak właśnie sobie pomyślałem, może byś zrezygnowała ze swojej posady i zaczęła pracować u mnie?

Oblała się rumieńcem.

- Och, tatusiu, naprawdę?

- Czemu nie. Najwyższy czas. Jesteś już dużą dziewczynką, zrobiłaś doktorat, masz pięcioletnią praktykę, zawsze o tym myślałem, Glorio. Chciałbym, żebyś dla mnie pracowała. Pewnego dnia, kiedy już będę za stary, ty wszystko przejmiesz. Co ty na to? Gotowa jesteś skoczyć na głęboką wodę?

Uściskała go z rozjaśnioną twarzą.

- Będę gotowa, jeśli tak zdecydujesz - powiedziała. - Ale ty nigdy nie będziesz za stary. Nigdy.

- Kochanie - odparł. - Nie jestem nieśmiertelny.

- Dla mnie jesteś - oświadczyła poważnie.

Wyszła, a on został w fotelu. Była tak podniecona, taka szczęśliwa, że jej twarz promieniała. Glorii potrzebny jest mąż - zdecydował. Inteligentny, ale nie za bardzo. Mężczyzna, w którym miałyby oparcie, lecz który by jej nie zdominował. Ojciec jej dzieci. Podobał mu się ten pomysł. Przemawiała do niego zasada ciągłości rodu. Szkoda, że tytuł lorda jest tylko dożywotni, nie będzie mógł go przekazać... ale nie szkodzi. Liczy się władza, tytuły bez władzy i pieniędzy to kpiny. Gloria będzie się uczyła od niego. W odróżnieniu od niezręcznego ciała, miała bystry umysł. Nauczy ją wszystkiego i krok po kroku wprowadzi w swe tajemnice. Jej nie będą męczyły skrupuły. Zawsze ceniła to, że w biznesie nie ma żadnych reguł poza jedną - nie dać się złapać na gorącym uczynku. Rozmarzył się snując plany na przyszłość. Nagle jego serce przyspieszyło bicie, gdyż musiał stawić czoło terażniejszości.

Jedyną jego słabą stroną była przeszłość. Nigdy o tym nie myślał. Nigdy nie wracał myślą do minionych czasów, chyba że była ku temu konkretna przyczyna. Żal, tęsknota za ojczyzną - takimi słabościami gardził. Co było, to było. Musiał przeżyć i podejmował działania, niezbędne do osiągnięcia tego jedyne go wówczas celu. Widział, jak inni umierają i nie było w tym nic heroicznego. Słabsi zawsze odpadają. To racjonalny proces eliminacji naturalnych ofiar. On był silny i zdolny. Wykorzystał Phyllis Lowe - wspominał ją z szyderstwem - sentymentalną, o zbyt wybujałym popędzie seksualnym. Wpadła w sidła namiętności, którą poznała, gdy już dawno miała za sobą pierw-

szą młodość. Urodzona ofiara.

Żaloszna pijaczka, sama sobie winna. Sprowokowała go do szaloznego czynu i poniosła za to karę. Nie w pełni taką, jaką planował. Od początku zamierzał porzucić ją we właściwym czasie. Ale tej nocy, kiedy stracił kontrolę nad sobą, zrozumiał, że utracił władzę nad nią. Musiał działać. Cios nie był dostatecznie silny. Nie zabił jej. Jednak zamknął swą tajemnicę w zamroczonym umyśle tej kobiety, która do śmierci nie zdradziła jego sekretu.

Cały swój majątek pozostawiła siostrzenicy. Jean Adams tak się cieszyła, że może go spłacić, więc z pewnością nie wiedziała o niczym, co stwarzałoby dla niego zagrożenie. I naprawdę zapomniał o jej istnieniu w ciągu tych lat wspinaczki na szczyt, aż stał się symbolem bezwzględnej władzy. Nie obawiał się, że może być zdekonspirowany przez żonę jakiegoś małomiasteczkowego maklera, nawet jeżeli jeszcze żyła. Bał się tylko niemieckich archiwów w Nessenbergu. Dlatego odpowiednio wcześniej tam się wybrał, żeby dotrzeć do właściwych osób i zamienić tę drogę w ślepią uliczkę.

Jego historia przysporzyła mu sympatyków wśród ludzi, z którymi mógł rozmawiać jak z towarzyszami broni, mającymi także własne sekrety. Uważał, że zablokował możliwość jakiegokolwiek dochodzenia. Był również w stanie uciszyć swego wroga i rywala Williama Westerna, kiedy podjął on taką próbę, gdyż Western musiał osłaniać własną tajemnicę.

Lecz bitwa została wydana, Western zdecydował się na ostateczne uderzenie. Harris wrócił z Niemiec razem z Julią Hamilton, tą genialną protegowaną Westerna, i tym razem znaleźli ścieżkę. A ta wiodła do Jean Adams. A od niej do jego zmarłej żony.

Podniósł się z głębokiego fotela. Mogą wykrzyć prawdę o śmierci Phyllis, lecz to im nie wystarczy, żeby mu zaszkodzić. Mógł wytłumaczyć kłamstwa w swej biografii chęcią ochrony reputacji nieszczęsnej alkoholiczki. To nie wystarczy Westernowi do zadania mu decydującego ciosu.

Wykręcił numer telefonu. Odezwał się Joe Patrick.

- Chcę mieć telefon Adams na podsłuchu.
- Będzie założony jutro - odpowiedział Irlandczyk. - Agencja nie chciała się tego podjąć, ale znalazłem kogoś innego. A co z mieszkaniem Hamilton? Harris tam z nią mieszka. Też mogę to załatwić.
- Dobrze - rzekł King. - I jak wpłynie raport, masz mi go przysłać w ciągu godziny. Być może będziesz musiał złożyć wizytę pani Adams.
- Wystarczy jedno pana słowo - powiedział Joe.

King odłożył słuchawkę. Chwilowo nic więcej nie mógł zrobić. Teraz musi się psychicznie odciąć od tej sprawy. Miał inne problemy na głowie. Finansowanie przejęcia koncernu Westerna, plany związane z przyszłością córki.

Świadomość posiadanej władzy pobudziła przyływ pewności siebie. Upewniła go, że jest nietykalny. Nikt, kto by doszedł wystarczająco blisko prawdy, nie dożyje momentu, w którym mógłby ją ujawnić światu. Już on się o to postara.

Rozdział 6

Julia była u siebie w biurze, kiedy zadzwonił Ben z wiadomością, że niespodziewanie zatelefonowała do niego córka, Lucy. Wpadła w jakieś tarapaty. Miał się z nią spotkać w Birmingham i zostać tam do następnego dnia rano.

Od jego wizyty u Jean Adams minęły dwa dni, a ona się nie odezwała. Za oknem gabinetu Julii widać było panoramę londyńskich domów migoczącą w słońcu późnej jesieni.

Byli już coraz bliżej, tu i ówdzie unosiła się dymna zasłona, ukazując ponure sprawy, przerastające wyobraźnię Julii. A w centrum tych spraw skrywał się Harold King. Oszust, kłamca i - zgodnie z tym, co sam wyznał żonie w pijackim szale - morderca, który zastrzelił bezbronnych ludzi i chwalił się swym czynem. Julia zdawała sobie sprawę, że tym razem nie było to zabójstwo na zlecenie jak w przypadku jego konkurentów Haymana i Lewisa, kiedy posłużył się płatnymi mordercami. Własne ręce Kinga splamione były krwią.

Miała go ciągle przed oczami, tam, w tej eleganckiej restauracji. Grubiański tyran, grający rolę, w którą wcielał się na pokaz. Człowieka władczego, wzbogaconego prostaka, a zarazem geniusza, zmiatającego swoich przeciwników niby mordercza bestia rozcierająca na proch wszystko, co stanie jej na drodze.

W ten sposób stworzył swój wizerunek nadczłowieka uwieczniony w legendzie. A za tym krył się ktoś zupełnie inny. Opanowany i przebiegły, z sumieniem odpornym na zbrodnicze czyny. Miał tylko jedną słabą stronę. Nie mógł pić alkoholu, gdyż trunek uwalniał demony i rozwiązywał mu język w taki sposób, że nie był w stanie nad nim zapanować. Wszystkim znana abstynencja Kinga nie pasowała do jego osobowości; sam głosił, że lubi wszelkie uciechy i to w wielkim

stylu. Tę cechę przejął bowiem od Hansa Koeniga, który wiedział, że do końca życia nie może tknąć alkoholu.

W gabinecie działała klimatyzacja, lecz Julię wstrząsnął dreszcz, jakby nagły przeciąg wdarł się w kontrolowaną atmosferę i zmroził ją. Tego wieczoru będzie jej brakowało Bena. W czasie rozmowy telefonicznej robił wrażenie zmartwionego. Jego córka miała jakieś kłopoty. Zwróciła się z nimi do niego, choć przez lata prawie nie utrzymywała z nim kontaktów. Julia oczywiście zgodziła się, że Ben musi do niej pojechać i postarać się jej pomóc. Szczęśliwa dziewczyna, może do niego zadzwonić, a on zaraz do niej biegnie. To nasunęło jej myśl o własnych rodzicach. Nie miała ochoty spędzać wieczoru z przyjaciółmi, choć wystarczyłoby zadzwonić i wielu zaproponowałoby jej wspólną kolację. Miała rozległe znajomości i sama była zwierzęciem towarzyskim.

A Feliks nie stanowił już zawady. Nie był popularny w gronie przyjaciół z nią osób. Nie widywała go ani nie dochodziły do niej wiadomości na jego temat, więc nawet wspomnienie o nim przesunęło się gdzieś na dalszy plan.

Nie miała wątpliwości, że bardzo szybko znalazł kogoś, kto ją zastąpił i zapewne prowadził niezależne życie w swoim stylu.

Zadzwoniła do sekretarki.

- Jenny, połącz mnie z rodzicami. Dzięki.

Telefon odebrał ojciec. Słysząc było po głosie, że jest zachwycony, kiedy spytała, czy może przyjechać i spędzić z nimi wieczór. Nie, zaproponowała Julia, mama nie będzie tkwiła cały czas w kuchni, pójdą do restauracji na kolację. Czy mógłby zamówić stolik w jakimś naprawdę miłym miejscu, ona nie знаła lokali w ich okolicy. Do rozmowy przyłączyła się matka, była bardzo zadowolona, że Julia znalazła dla nich czas, co się nieczęsto zdarzało. Owszem, mogą się gdzieś wybrać na kolację i ona zrezygnuje z gotowania pod warunkiem, że Julia zostanie na noc. Denerwowałyby się, gdyby córka musiała wracać do domu samochodem po nocy. W obecnych czasach kobiety są narażone na tyle różnych niebezpieczeństw. A gdyby zepsuł jej się samochód.

Julia nie sprzeciwiała się jej, ten opiekuńczy i serdeczny ton nie wzbudzał w niej irytacji jak wówczas, gdy była mniej pewna siebie. Spędzenie nocy w swoim starym pokoju będzie prawdziwą frajdą. Jeżeli wyjedzie stamtąd bardzo wcześnie rano, bez problemu zdąży do pracy. Wprawdzie Ben nie zastanie jej w domu, gdy zatelefonuje, ale przecież może zostawić mu na automatycznej sekretarce numer telefonu rodziców w Surrey.

Poczuła się o niebo lepiej, ponury nastrój ustąpił. Nie myślała już o Haroldzie Kingu, kiedy wróciła do mieszkania, by nagrać wiadomość dla Bena, gdyby chciał się z nią skontaktować.

Raport ludzi wynajętych do śledzenia Julii potwierdził jej wyjazd o szóstej, wyruszyli z Londynu w ślad za jej BMW. Dla Joego była to szansa na przejęcie jakichś nowych kontaktów dziennikarki.

Z Jean Adams już go nawiązali.

Telefon zadzwonił bardzo wcześnie rano, jeszcze nie zdążyła wyprowadzić psów na spacer. Technik z centrali zawiadomił ją, że linia jest uszkodzona. Była właśnie w kuchni i jadła skromne śniadanie przy lekturze „Timesa”. „Telegraf był dla niej zbyt prawicowy, przeświadczenie o bezstronności „Timesa” zakorzenione od lat młodzięcych pozostało niezachwiane.

- Nie ma uszkodzeń na linii - usiłowała protestować. - Telefonowałam dziś rano już dwukrotnie.

- Chodzi o telefony do pani - powiedział mężczyzna. - Na tym polega problem. Chciałbym wysłać kogoś, żeby sprawdził połączenia. Czy będzie pani w domu jeszcze mniej więcej pół godziny?

Zdecydowała, że z psami wyjdzie później. I tak nie miała wiele do roboty tego rana. Poza telefonem do adwokata. Chciała przekazać mu swoją decyzję. Zakładała, że spacer z psami trochę ją odpręży. Bardzo źle spała, gdyż dopóki nie powzięła postanowienia, zadreżczała się tym problemem. Niech ten technik przyjdzie i naprawi, co trzeba.

- Dobrze - odparła. - Będę w domu. Muszę przyznać, że usprawniliście obsługę. Zwykle czekałam dwa dni, jak było jakieś uszkodzenie. To pewno zasługa prywatyzacji.

- Cieszę się, że jest pani zadowolona. Nasz technik zjawi się w ciągu pół godziny.

Jaki miły człowiek, pomyślała Jean. Kiedyś byli tacy gburowaci. Przynajmniej rządowi raz udało się zrobić coś sensownego. Zaparzyła świeżą herbatę i skończyła czytać „Timesa”. Technik z centrali zjawił się istotnie przed upływem pół godziny. Sprawdzenie telefonu w bawialni i kontaktu w pokoju sypialnym zajęło mu dziesięć minut. Wybitnie niesympatyczny młody człowiek, jego zachowanie nie zachęcało do rozmowy. Zszedł na dół i powiedział:

- Już naprawione.

- A co to właściwie było? - spytała. Nie podobał się jej sposób bycia młodego człowieka, dającego jakby do zrozumienia, że go niepotrzebnie przysłano.

- Obluzowany drut, żadnego uszkodzenia w kontaktach. Nie bę-

dzie pani miała więcej kłopotów.

- Przede wszystkim w ogóle nie wiedziałam, że je miałam - powiedziała Jean ostro. Nie zamierzała spokojnie znosić jego nieu-przejmych manier. Przeszła do holu i wypuściła go, nie dziękując za przybycie. Podniosła słuchawkę na dole. Telefon działał doskonale. Założona „pluskwa” wzmacniała głos, rozmowy były nagrywane i przekazywane poprzez zewnętrzne urządzenie elektroniczne na określony numer, a tam po ponownym przetworzeniu rejestrowane na taśmie.

Jean Adams wyprowadziła starą Daisy na krótką przechadzkę po ulicy i po paru minutach wróciła z nią do domu. Niesforny szczeniak wymagał dobrej bieżaniny przynajmniej przez godzinę, więc wsiadła z nim do samochodu i wyjechała za miasto.

Wróciła do domu dotleniona i uspokojona. Piętnaście po dwunastej zatelefonowała do adwokata i zawiadomiła go, że następnego dnia przyjedzie do niego podpisać zeznanie. Przez cały czas biedak wzbierał się przed przygotowaniem dokumentu. Błagał i wyklócał się z nią, grał na zwłokę, co kosztowało ją sporo nerwów, ale i tak była przekonana, że go przetrzyma.

W jej wieku przyszłość niewiele może już przynieść, niech przynajmniej tego podłego typu spotka to, co najgorsze i do licha z konsekwencjami!

W ciągu tego dnia rozmawiała jeszcze kilka razy przez telefon. Ze znajomymi, z firmą wystawiającą rachunki za elektryczność oraz z kancelarią adwokacką Barrat i Thompson. Joe Patrick nagrywał te rozmowy dla Kinga na taśmę magnetofonu nie większego od pudełka papierosów.

Siedzieli w biurze Joego. Pokój był bardzo elegancki, umeblowany w modernistycznym, agresywnym stylu, który według mniemania właściciela świadczył o jego zamożności. Na ścianie naprzeciwko biurka ze szklanym blatem wisiał bardzo drogi naturalistyczny akt kobiecy.

King siedział rozparty w wielkim, szwedzkim, skórzanym fotelu. Ciemnoskóra dziewczyna przyniosła na tacy whisky dla Joego i wodę mineralną dla Kinga. Powietrze było gęste od dymu z cygara. Słuchając taśmy King siedział nieruchomo w fotelu z kamienną twarzą. W takich momentach bywał najgroźniejszy.

Głos Jean Adams brzmiał wyraźnie i stanowczo.

- Wiem, Dick, że będziesz temu przeciwny, ale moim zdaniem tak właśnie trzeba postąpić. Zamierzam podpisać to zeznanie. Proszę

cię, żebyś zamieścił w nim wszystko, co ci mówiłam, a ja przyjdę do ciebie jutro i je podpiszę.

Mężczyzna o imieniu Dick zaczął ją gorąco przekonywać:

- Jean, co to da? Nie masz żadnych dowodów, że King usiłował zabić twoją ciotkę, dałaś tej sprawie spokój już w 1950 roku, po co teraz do tego wracać?

Przerwała mu.

- A ci jeńcy, przecież przyznał się do ich zamordowania...

Joe Patrick odważył się rzucić okiem na Harolda Kinga. Jego zazwyczaj rumiana twarz stała się szara, jakby odpłynęła z niej cała krew. Od tej chwili Joe przestał już na niego patrzeć.

- Moja droga, opierasz się tylko na tym, co od niej usłyszałaś... czy nie rozumiesz, że ze względu na alkoholizm twojej ciotki jej oświadczenia są wątpliwe? Tak naprawdę, to sama jej nie wierzyłaś.

- Nie chciałam - w tonie kobiety zabrzmiała nuta samooskarżenia. - To Bob mnie przekabacił. Tak jak ty teraz próbujesz... wam, wszystkim mężczyznom, zależy tylko na świętym spokoju! - Zaśmiała się wesoło. - Dick, mój drogi, nie mówmy już o tym więcej. Kiedyś nie starczyło mi odwagi, żeby dać wyraz moim przekonaniom. Mam możliwość to naprawić. Będę u ciebie w biurze jutro o wpół do trzeciej. A może ty i Betty wpadlibyście do mnie potem na kolację?

- Z przyjemnością - odparł zrezygnowany męski głos. - Niech tak będzie, Jean. Do zobaczenia jutro o drugiej trzydzieści.

Gdy Joe wyłączył magnetofon, zaległa grobowa cisza. Czekał, aż King się odezwie. Wreszcie, odchrząknąwszy nerwowo, powiedział:

- Były jeszcze inne rozmowy, ale sądziłem, że tylko ta pana zainteresuje.

King zaciągnął się dymem. Był w szoku. Czuł to fizycznie. Temperatura ciała spadła, spływał po nim zimny pot. Serce biło mu jak oszalałe. Strząsnął popiół z czubka cygara na dywan w geometryczne wzory. Popielniczkę miał pod ręką, lecz nie widział jej.

- Ona opowiada bzdety - stwierdził. W spojrzeniu, którym patrzył na Joego czaiła się taka groźba, że Patrick zamrugał nerwowo i znowu odchrząknął.

- Absolutne bzdety - powtórzył King z naciskiem na oba słowa. Zabrzmiały jak wydobywające się z gardła warknięcia.

- No - zgodził się Joe szybko. - Bzdety.

King zawsze stosował wobec podwładnych jedną zasadę - nigdy się nie tłumaczyć. Lecz tym razem instynkt podpowiadał mu co innego. Ten Irlandczyk był szczwany jak lis.

- Jej ciotka była pijaczką. - Znowu zaciągnął się dymem, docho-

dząc trochę do siebie. Nie ma potrzeby wyjaśniać, kim była ta ciotka. - Cierpiała na obłąd opilczy, delirium tremens. Miała halucynacje...

- No. - Joe pokiwał głową. - Pewnie. Moja własna babcia była taka, wykrzykiwała głupoty, że jej podiwaniają pieniądze, zatruwają jedzenie... - Podobnie jak Kingowi, Joe'emu w chwilach zdenerwowania uwydatniał się ojczysty akcent.

King uciszył go gestem dłoni.

- To bzdety, co nie znaczy, że „Sunday Herald” nie zrobi z tego użytku. Mam do zrealizowania wielkie zamierzenia. Nie mogę sobie pozwolić na awantury. Załatw to Joe. Żadnego zeznania. - Podźwignął się z fotela, który zakółsał się pod jego cięż kim ciałem.

Joe poderwał się na nogi. Powiedział cichym głosem z typowym irlandzkim akcentem:

- Najlepiej sam się tym zajmę. Proszę mnie to zostawić.

King nie odpowiedział, tylko skinął głową. Dziewczyna Joego pomogła mu włożyć płaszcz i po telefonicznym przywołaniu jego samochodu, otworzyła przed nim drzwi. Ładna, oszacował ją w duchu. Nie lubił kolorowych kobiet, ale ta, na swój sposób, miała niezwykłą urodę.

Odyskiwał równowagę, wróciła normalna temperatura ciała, serce biło równo. Nie miał już wątpliwości, iż Joe się postara, żeby nie zdeponowano żadnego zeznania w miejscu, z którego Julia Hamilton mogłaby je wydostać i wykorzystać w swoich publikacjach w dziale „Pod światło”. Ufał Joe'emu. On miał wyobraźnię. Zrobi tak, aby to wyglądało przekonująco. Usiadł na tylnym siedzeniu samochodu, z wolna zaczął się odprężyć i analizować sytuację. Przeciek nastąpił w Niemczech, mimo wszystkich środków ostrożności. Jeżeli się zniszczy połączenie z Jean Adams, nie zostanie nic, poza pogłoskami z dawno minionej przeszłości. Było takie stare powiedzenie w biznesie, które lubił cytować: „Jak się chce rozbić syndykat, to trzeba odcinać po kolei głowa po głowie”. Głowa Jean Adams poleci pierwsza.

Ben Harris patrzył na swą córkę. Już zapomniał, jaka jest śliczna. Miała niebieskie oczy matki i jej blond włosy. Teraz ta śliczna twarz była ogromnie zatroskana, a oczy podkrążone ciemnymi sińcami.

- Nie mogę powiedzieć mamie - stwierdziła. - Ona by się za bardzo przejęła. - Podniosła filiżankę i popijała kawę drobnymi łykami. Właściwie była dla niego obcą osobą, a jednak pozostały w niej ślady tego dziecka, które kiedyś przed snem bujał na kolanach. Siedziała przed nim dorosła, młoda kobieta, która nie mogła się podzielić swymi kłopotami z matką i ojczymem. Więc po latach

nieutrzymywania kontaktów z ojcem, do niego zwróciła się o pomoc.

- Największy problem jest z ojczymem - dodała. - W tych sprawach jest naprawdę niemożliwy. Uważa, że to hańba dla rodziny.

Ben nic nie odpowiedział. Nigdy nie spotkał mężczyzny, za którego wyszła jego żona, ani z nim nie rozmawiał. Wcale nie był go ciekawy. Zakładał, że on dobrze wypełniał obowiązki ojcowskie wobec pasierbów. Najwidoczniej nie w tym przypadku.

- To nie jego sprawa - rzekł wreszcie. - Do ciebie należy wybór.

- Tak - odparła szybko córka. - Właśnie tak uważam. Tato, ja chcę je zatrzymać. To nie wina Pete'a, to ja popełniłam błąd.

Jak się dowiedział, Pete był przyjacielem córki, żonatym mężczyzną, który nigdy nie zamierzał rozbijać swej rodziny. Miał zresztą troje dzieci.

- Kłopot w tym... - przygryzła wargę i wahała się przez moment.

- Kłopot w tym, że ja nie mam dużo pieniędzy...

Ben pomógł jej wybrnąć z sytuacji. Sprawiało mu ból, gdy widział, że ona się go wstydzi. Ostatecznie był jej ojcem.

- Co oznacza, że w ogóle ich nie masz - skłaniał ją do powiedzenia prawdy.

- Jestem na ostatnim roku studiów - odparła. - Mam dziewięćdziesiąt funtów w banku. Za stypendium opłacam komorne, a mama daje mi kieszonkowe... - Znowu zawiesiła głos, łzy napłynęły jej do oczu. - Fatalnie się czuję, zwracając się z tym do ciebie. Kiedy zerwaliście, trzymałam stronę mamy. Potem to jakoś samo toczyło się dalej.

Ben wyciągnął rękę ponad kawiarnianym stolikiem i nakrył jej dłoń swoją.

- Lucy, kochanie, nie musisz się usprawiedliwiać. Byłem okropnym ojcem. I twoja matka miała prawo zwinąć manatki. A ja pragnąłbym ci to wynagrodzić. Chcesz mieć to dziecko, więc nie przejmuj się, urodź je. Pomogę ci finansowo, z tym nie będzie problemu, ale musisz powiedzieć o tym mamie.

- Wiem - odparła. - Ona okropnie to przeżyje.

- Pogodzi się z tym. Była zwiariowana na punkcie was obojga, pokocha je, zobaczysz.

Odchyliła się do tyłu i westchnęła. Wyciągnęła kawałek różowego papieru higienicznego - jak podejrzewał oderwanego z rolki w ubikacji - i wytarła nos.

- Jesteś naprawdę nadzwyczajny, tato. Skończę college z dobrą oceną i znajdę pracę. Nie będę dla ciebie ciężarem, obiecuję.

- Nie bądź cholernym głuptasem - odrzekł Ben. - To także moje

wnuczę, prawda? A jak ten twój przyjaciel Pete dopasuje się do tej sytuacji? Czy ma zamiar jakoś się w to włączyć?

Pokręciła przecząco głową, a on poczuł, jak przeszywa go ból.

- Nie, wycofał się. Nie winię go. Musi już utrzymywać trójkę dzieci. Będę sama wychowywać moje, naprawdę, tak jest lepiej. Nie boję się, tylko nie bardzo wiedziałam jak sobie poradzę, a chcę skończyć college. Jesteś wspaniały, poważnie.

- Nie ma o czym mówić. - Uśmiechnął się do niej. Była taka niezależna, wolna od konwenansów, typowy produkt swego wieku, lecz jej bezbronność wobec realiów życia wzruszyła go nie mniej niż wykazana odwaga. Żałował, że nie był z nią, kiedy dorastała.

Zaskoczyła go pytaniem:

- A co u ciebie? Jak ci się wiedzie?

- W porządku. W pracy osiągnąłem wszystko, co mogłem, zarabiam dużo forsy. Nie narzekam.

- A masz przyjaciółkę? - spytała. - Myślałam, że do tej pory już się ożeniłeś.

- Moje doświadczenie nie było najlepsze. I nie spotkałem nikogo... - Spojrzał na nią. - Ale to się ostatnio zmieniło. Jest w moim życiu ktoś zupełnie wyjątkowy. Nie wiem, jak to się potoczy, nie zamierzamy działać pochopnie i formalnie się wiązać. Chciałbym, żebyś ją poznała.

- Ja też bym bardzo chciała - odparła. - Przyjedziemy i złożymy wam wizytę, ja z moim nieślubnym dzieckiem.

Dopiero teraz zauważył, jaki ma uroczy uśmiech. Chmury rozproszyły się z szybkością, na jaką stać tylko młodość i optymizm. Dzięki niemu.

Zamierzał zostać w Birmingham na noc i spotkać się z kolegami z redakcji, o ile udałoby mu się z nimi skontaktować. Zmienił te plany.

- Poprośmy o rachunek - powiedział. - Chciałbym iść z tobą i obejrzeć jakies twoje prace. A potem zabrałbym cię na kolację. Co ty na to?

- Mam w domu swoją teczkę z projektami - rzekła z entuzjazmem. Studiowała wzornictwo tkanin. - A kolacja to świetny pomysł. Teraz jem za dwoje - zachichotała.

Wyszli z kawiarni i po przejściu kilkunastu metrów w poszukiwaniu taksówki, córka wzięła Bena pod rękę.

Po wyjściu Kinga Joe Patrick siedział nieruchomo w złym nastroju. Zawsze był zdenerwowany, kiedy szykował się do poważnej roboty. A tym razem miał tak mało czasu na przygotowania. Przekli-

nał w duchu Harolda Kinga i podniósł groźnie pięść na nieszczęsną dziewczynę, gdy go o coś spytała. Przeszkadzała mu myśleć. Czmychnęła z gabinetu, a on pogрузił się w zadumie.

W pewnej chwili wstał i nakręcił numer telefonu Julii Hamilton. Nie mógł zaniedbywać innych zadań tylko dlatego, że King podrzucił mu to gównu. Mieszkanie Hamilton nie było na podsłuchu, agencja detektywistyczna podała wiadomość, że opuściła dom z niewielką torbą podrózną i wyjechała z Londynu. Została zlokalizowana na szosie M 25 o siódmej wieczorem. Uzyskał połączenie i włączyła się nagrana taśma. Słuchał. To nie była zwykła informacja o nieobecności w domu.

„Ben, kochanie, pojechałam na noc do rodziców. Proszę, zadzwoń do mnie”. Numer składał się z kodu miejscowości i czterech cyfr. „Mam nadzieję, że wszystko poszło dobrze. Uściski. Jot”. Mieszkanie było puste. Mógłby wysłać swoich ludzi od elektroniki z wytrychem, który mu posłużył, kiedy się tam poprzednio włamał. Załatwią telefon i jeszcze będą mieli czas na założenie kilku prostych „pluskiew” w pokojach. Jej najmniejsze kichnięcie nie umknie zapisowi na taśmie. Postanowił coś przekazać. Wrzasnął przez drzwi. Zaraz zjawila się przestraszona dziewczyna. Nigdy nie było do przewidzenia, w jakim humorze będzie Joe. Musiały być niebywale ostrożne, w przeciwnym razie jedna albo i obie dostałyby pięścią.

- Daj mi coś do zjedzenia - warknął. Dobrze wiedziały, co najbardziej lubi. Kiedy był sam i nie zadawał szyku w restauracjach, najlepiej smakowały mu najprostsze potrawy - jajka, hamburgery, chipsy - byle jakie jedzenie z czasów młodości, kiedy takie pożywienie było ucztą.

Nalał sobie miarkę whisky. Irlandzkiej whisky, która spłynęła palącą stróżką przelykiem i ogrzała mu żołądek. Nie za dużo. Tyle tylko, żeby rozładować napięcie. „Załatw to Joe. Żadnego zeznania”. Pobicie nie wystarczy. Czytał w myślach Kinga i wiedział, czego on oczekuje. W tak krótkim czasie nie da się wynająć kogoś odpowiedniego. To nie było zajęcie dla chciwego ciemniaka, który mógłby spartolić robotę i dać się złapać. Tu potrzebny był ekspert. On sam, tak jak zaproponował. Zjadł w kuchni, wypił filiżankę mocnej herbaty. Potem popatrzył na dziewczyny. Wyraz strachu na ich ładnych twarzach podniecał go. Lubił wzbudzać strach w kobietach. I to nasunęło mu plan działania. Spojrzał na swój rolex, który sam sobie kupił w prezencie. Była dziewiąta trzydzieści. Zdążyłby do Midhurst przed jedenastą.

- Wychodzę - powiedział. - A wy obie, smoluchy, macie tutaj na

mnie czekać, rozumiano? Jak wrócę, będę gotowy do zabawy... - Wstał, podszedł do nich i uszczyptał każdą w policzek. Nigdy nie słyszały wyrażenia „smoluchy”, dopóki on go nie użył. Tak w dublińskim slangu mówiono na kolorowe dziewczęta, przywożone z południowych stanów Ameryki, gdzie panowało niewolnictwo. Dobrze wiedział, że nienawidziły tego określenia. Zatrzymał się dłużej przy starszej, Tinie. Ona była jego ulubienicą. - Szykuj się na mnie. Dzisiaj wieczorem będę chciał mieć coś specjalnego.

- Będiesz miał Joe, mój milutki - obiecała i wysunęła prowokacyjnie język. Kiedy wyszedł, zacięła wargi i spojrzała na przyjaciółkę. - Pewnego dnia mu go odgryzę - syknęła.

- O tak, jak cholera - wyszeptwała ta druga. - On by cię zabił. Co się dzieje? Gdzie on pojechał?

- Dać nauczkę jakiemuś frajerowi - padła odpowiedź. - Jak po tym wraca, zawsze mu staje. Chodź, obejrzymy telewizję.

Jean Adams siedziała przy kominku i jadła kolację ustawioną na tacy. Pozwoliła szczeniakowi wejść do saloniku i posiedzieć razem ze starą labradorką, która zaspana, uniosła tylko głowę, powęszyła i z powrotem ułożyła się do snu. Było ciepło i spokojnie, a w telewizji nadawano dobry program. Pani Adams uwielbiała seriale policyjne i nigdy nie przepuszczała swego ulubionego. Potem zwykle oglądała wiadomości i jeśli nie była zmęczona, także nocny program publicystyczny. W końcu szła do łóżka w sypialni na górze, gdzie również sypiała stara suczka w swym koszyku przy kaloryferze. Młodzianka jeszcze nie zawsze wytrzymała noc, więc spędzała ją w kuchni; tam, na wszelki wypadek, podłoga wyłożona była gazetami.

Jean była zadowolona. Podjęła decyzję i zrzuciła z serca ciężar zadawnionej winy. Mogła zasnąć z czystym sumieniem. O wpół do dwunastej wyprowadziła psy do ogródka na tyłach domu na ostatnie siusiu, po czym pozamykała drzwi na klucz.

Po przeciwnej stronie ulicy Joe Patrick zagłębiany w fotelu samochodu zobaczył, że kwadrat światła w oknie na piętrze zniknął.

Dziesięć po dwunastej włamał się do domu przez okno w kuchni.

- Wyglądasz na taką pogodną i ożywioną - zauważył ojciec Julii. Wróciła do bawialni po przeprowadzeniu długiej rozmowy telefonicznej. Aparat zabrała ze sobą na górę. On i matka wymienili znaczące spojrzenia. Przywiozła kwiaty dla matki, a dla ojca specjał - malt whisky. Robiła wrażenie bardziej odprężonej i szczęśliwej niż kiedykolwiek dotąd. Oboje czuli, że to nie miało związku z jej nowym

zawodowym sukcesem.

- Kto to jest, kochanie? - Matka nie mogła się oprzeć temu pytaniu.

Julia uśmiechnęła się. Dlaczego właściwie nie miałyby im powiedzieć. Byliby zadowoleni, a szczególnie matka, przekonana, że kobieta znajduje swe spełnienie w dobrym małżeństwie, takim jak jej.

- Nazywa się Ben Harris - wyjaśniła. - Razem pracujemy. Pewno was ucieszy, że zerwałam z Feliksem.

- Chwała Bogu! - wykrzyknął ojciec. - Uważałem, że jest raczej prostacki... i ogromnie zadufany w sobie. Nic wtedy nie mówiłem...

- Tato, kochany, to było wypisane na twojej twarzy. Ale on był w porządku. Sądzę, że jemu jest potrzebny ktoś w jego wieku, z kim nie będzie musiał stale rywalizować.

- I wygrywać - wtrąciła matka. Julia wiedziała, że matka odznacza się przenikliwością. Jej mądrość brała się z długiej znajomości życia i ludzi.

- I wygrywać - przyznała córka. - Ben jest zupełnie inny. Starszy, ma ustaloną wysoką pozycję zawodową i jest nam ze sobą bardzo dobrze. Myślę, że go polubicie. W każdym razie mam taką nadzieję, bo ja go lubię. - Spojrzała na rodziców z uśmiechem.

- Nie jest żonaty, prawda? - spytała matka.

- Nie, mam - odpowiedziała Julia łagodnym głosem. - Rozwiedziony. I to od bardzo wielu lat. Jest teraz w Birmingham, pojechał spotkać się z córką, która musi rozwikłać jakieś problemy. Pewnego dnia go tu przywiozę.

- Koniecznie, bardzo chcemy go poznać.

Na kolację poszli do restauracji hotelowej i wrócili w radosnym nastroju. Rodzice znowu znaleźli z córką płaszczyznę porozumienia utraconą w ciągu paru lat braku kontaktu, a ku jej uldze temat brata, jego żony i dzieci został tylko na krótko podjęty i nie zdominował ich rozmów, jak to bywało poprzednio. Wtedy Julię to irytowało i nawet była zazdrosna; ten zamknięty krąg rodzinny nie zachęcał do zbliżeń. Tymczasem już od niedzielnego obiadu, gdy Julia była wytrącona z równowagi nieobecnością Feliksa, do tego kręgu brama została otwarta i Julia znów znalazła się we własnym rodzinnym kole. Tylko ojciec, matka i ona. Ben ich polubi. Była o tym przekonana.

Przez telefon rozmawiał z nią o swej córce, Lucy; jego nastawienie do niej zaskoczyło Julię. Nie sądziła, że on ma taki instynkt ojcowski. Bardzo dobrze przyjął wiadomość o ciąży, był dumny z decyzji córki o urodzeniu dziecka i odrzuceniu łatwiejszego rozwiązania. Cieszył się, że jest taka zdolna, niektóre z jej prac były bardzo oryginalne.

Zanim Julia miała czas poczuć ukłucie zazdrości, zaczął wypytywać o nią, mówił, jak do niej tęskni. Na koniec raczej szorstkim tonem powiedział, że ją kocha.

Cały Ben. Czułe słowa ciągle przychodziły mu z trudem. Julia poszła wcześniej do łóżka, gdyż ojciec wyglądał na zmęczonego. Zbliżał się do siedemdziesiątki, często o tym zapominała. Miłość, którą spotkała na swej drodze, wyostrzyła jej zdolność postrzegania, teraz zwracała większą uwagę na innych ludzi.

Wstała wcześniej rano, zrobiła sobie śniadanie i wyslizgnęła się po cichu z domu, żeby nie obudzić rodziców. Na stole w kuchni zostawiła im kartkę: „Do zobaczenia wkrótce. Było wspaniale”. I podpisała ją zdrobniałym imieniem z dzieciństwa: Juliette. Jechała pustymi szosami jednym uchem słuchając płynącej z taśmy muzyki. Był piękny dzień, drzewa mieniły się kolorami jesieni w porannej poświacie. Kiedy wjechała do Londynu i natrafiła na poranne korki, nastawiła radio, żeby wysłuchać wiadomości. Wszystko jak zwykle, nieznaczna poprawa sytuacji ekonomicznej. Potem reportaż z Belfastu w związku z eksplozją bomby, palestyńskie rozruchy na izraelskim terytorium Zachodniego Brzegu Jordanu; wypowiedź na temat liczby drobnych przestępstw w Londynie.

I morderstwo jakiejś starszej kobiety, wdowy, w Midhurst.

Ben czekał na Julię w biurze.

- Ben? - Podeszła do niego z uśmiechem zaskoczona, że widzi go tak wcześnie. - Wracałeś nocą? Sądziłam, że zostaniesz...

- Jean Adams nie żyje - oznajmił. Julia patrzyła na niego z przerażeniem. - Było włamanie ubiegłej nocy i została zamordowana. Mam tu najświeższe informacje. Proszę.

Julia usiadła. W miarę czytania jej twarz stawała się coraz bledsza. Jean Adams znaleziono we wczesnych godzinach rannych. Zgwałcono ją i tak pobito pałką, że zmarła. Sąsiedzi zaalarmowani skowytami i szczekaniem psa, wezwali policję. Zastali zwierzę okropnie skopane, trzeba było je uspić. Jako motyw podano rabunek, gdyż zginęła biżuteria i pieniądze, a pokój został splądrowany.

- To nie może być prawda - powiedziała Julia. - Ben, ja w to nie mogę uwierzyć!

Przysunął się z krzesłem bliżej niej. Twarz miała białą jak ściana i dygotała.

- A ja mogę - rzekł.

- Jakież człowiek mógłby coś podobnego zrobić - mówiła zmienionym głosem. - Ona miała prawie siedemdziesiąt lat...

Zapalił papierosa.

- Takie rzeczy już się zdarzały. Włamują się w celach rabunkowych, kobieta budzi się, jest w panicznym strachu, co ich podnieca seksualnie. A potem zabijają, żeby nie mogła ich zidentyfikować. Po czymś takim człowiek zastanawia się nad karą śmierci. Chodź, napijemy się kawy.

- Nie mam ochoty - odparła. - Czy policja natrafiła już na jakiś ślad?

- Badają mieszkanie - rzekł. - Rozmawiałem z chłopcami z kryminalnej stamtąd. To u nich pierwsze tego rodzaju morderstwo i są wstrząśnięci. Powiedziałem, że była moją znajomą, obiecali zadzwonić, jak na coś natrafią. Panno Jot, boję się, że to zabrzmi niedelikatnie, ale chyba nie zdążyła podpisać zeznania.

Podniosła na niego wzrok.

- Tak. Wszystko na to wskazuje. Ale może powinniśmy zadzwonić do jej adwokata, żeby się upewnić. Później. Boże, mam nadzieję, że złapią tę bestię...

- Jeżeli im się uda, to w komisariacie dostanie za swoje - stwierdził. Julia była zdenerwowana, więc nie rozwodził się dalej na temat zeznania. Był pewien, że Jean Adams powiedziała mu, iż podpisze je właśnie dzisiaj. Było mało prawdopodobne, żeby zrobiła to wcześniej. Ale trzeba to sprawdzić. I to on, nie Julia, powinien zatelefonować do kancelarii adwokackiej. On lepiej zniesie przypuszczalną reakcję rozmówcy.

Zszedł na dół i po godzinie zatelefonował. Sekretarka początkowo powiedziała, że szefa nie ma, lecz nagle adwokat podszedł do telefonu. Głos mu drżał ze wściekłości i wzburzenia.

- W takim momencie pan dzwoni w sprawie swego cholernego zeznania? Nie, nie podpisała! Och, wy szumowiny, wy wszyscy dziennikarze jesteście gangreną! - Rzucił słuchawkę.

Ben Harris był bardzo zajęty przez całe przedpołudnie, a po południu w pracy zrobiło się jeszcze bardziej gorączkowo. Odwołał lunch, który miał zjeść z Julią. Morderstwo nie stanowiło najważniejszego tematu. Takie sprawy nie trafiały już na nagłówki gazet. Zbyt często się powtarzały. Kryzys polityczny, klęski żywiołowe, katastrofa samolotu na północy Francji, w której zginęła grupa angielskich studentów - wiadomości płynęły wartkim strumieniem i wzmianka o wdowie leżącej w kostnicy w Midhurst zasługiwała jedynie na kilka wierszy wewnątrz numeru. Kiedy po godzinie względnego spokoju zadzwonił w gabinecie telefon, Harris zaklął. Uwielbiał takie intensywne napięcie - wtedy pracowało mu się najlepiej - lecz jednocześnie

tak szarpało nerwy, że wystarczyła mała iskra, aby nastąpił wybuch gniewu.

Dzwonił nadinspektor policji kryminalnej w Midhurst, prowadzący śledztwo w sprawie zabójstwa Jean Adams. Przez parę minut przekazywał Harrisowi dotychczasowe ustalenia. Ben odpowiedział krótko:

- Dzięki, ogromne dzięki. Nie, niczego nie wydrukujemy. Tak, dopóki nie dostaniemy od was zgody. Informuj mnie na bieżąco.

Jednej z ekip, zbierającej odciski palców, udało się na coś natrafić. Jakieś słabe ślady na telefonie w sypialni na górze. Podobne w saloniku na dole. Rozebrali aparaty i znaleźli w nich urządzenia podsłuchowe.

Ben połączył się z biurem Julii. Była na konferencji. Nie zostawił dla niej wiadomości. Siedział w swym gabinecie przylegającym do pełnej gwaru i krzątaniny redakcji pogrążony w rozmyśleniach. W pewnej chwili nakręcił numer biura Williama Westerna i poprosił o spotkanie z nim w bardzo pilnej sprawie.

- Niech pan ją od tego odsunie - poprosił Harris ponownie.

Western połączył czubki palców obu dłoni.

- Nie - odparł. Siedział za biurkiem, lecz nie zaproponował Harrisowi krzesła, więc ten przez cały czas stał. W tym momencie było to nawet korzystne. Podszedł do skraju biurka, pochylił się ku drobnemu człowiekowi, zagłębionemu w wielkim fotelu i powiedział:

- King wie, co pan robi. Orientuje się, że my go rozpracowujemy. Miał na podsłuchu telefony tej kobiety. Została bestialsko zamordowana, zanim zdążyła podpisać zeznanie. To była akcja Kinga. Niech pan odwoła Julię, a ja poprowadzę tę sprawę do końca.

- Nie - rzekł Western. - Pan nie jest tak dobry jak ona. Próbował pan poprzednio i do niczego nie doszedł.

- Doszukałem się dwóch morderstw, a pan mi kazał przestać nad tym pracować. Trzymajmy się faktów.

- Fakty - przerwał mu Western - są takie, jak je panu przedstawiłem. Pan i Julia tworzycie zespół. Żadne z was nie może wypaść z gry. Jeżeli King stoi za tym morderstwem, a na razie to tylko pana przypuszczenie - niech pan się nie unosi, Harris, tylko słucha - to oznacza dwie rzeczy. Gdzieś, w jakiś sposób ujawniliście się. To przede wszystkim trzeba zbadać. Jeśli ma pan rację i podsłuch wiąże się z morderstwem, to King musi uznać, że jest bezpieczny. Przeciął jedyne ogniwo łączące te dwie historie, które odkryliście - wypadku jego żony i zbrodni wojennych. Więc teraz należy rozpuścić pogłoskę,

że sprawa nie istnieje. Nie ma dowodów. I niech pan sprawdzi swój własny telefon. A może pan na to nie wpadł? - Uniósł brwi, naigrawając się z Harrisa. Ben cofnął się.

- Wpadłem na to - powiedział. - Zawiadamiam pana oficjalnie, że rezygnuję z pracy. Od zaraz.

Western rozłączył palce.

- I zostawi pan swą przyjaciółkę, żeby ciągnęła to sama? Nie sądzę, żeby pan to zrobił.

- Postaram się, żeby zrezygnowała razem ze mną - odwarknął Harris. Zaciśnął pięści, widać było, że wszystko gotuje się w nim z gniewu.

Western rzekł flegmatycznie:

- Również nie sądzę, żeby się to panu udało. Nie przyszedłby pan najpierw do mnie. Proszę nie robić z siebie idioty. Ona nie rezygnuje i pan o tym wie równie dobrze jak ja.

- Zrezygnuje - upierał się Ben. - Przrzekła mi, nie powiedziała panu tego, ale pod takim warunkiem zgodziłem się z nią współpracować.

- To nie dotrzyma obietnicy. Ona się nie wycofa. Jeżeli się pan o nią martwi, to proszę zrobić to, co mówię. Należy rozgłosić, że sprawa jest zakończona. Trzymajcie buzie na kłódkę i dalej róbcie swoje. - Rozsiadł się wygodniej w fotelu. - A ja polecę zamieścić wzmiankę sugerującą, że publikacje z cyklu „Pod światło” będą dotyczyły zupełnie innego tematu.

- Dziękuję. Otrzyma pan moją rezygnację najpóźniej jutro rano.

- Mam nadzieję, że nie - mruknął Western. - Szkoda by mi było pana stracić. Panno Gilbey - powiedział do stojącego na biurku mikrofonu. - Proszę odprowadzić pana Harrisa do wyjścia i zawiadomić pana Parsonsa, że mogę go przyjąć.

- Ben, na miłość boską, o co chodzi?

- Rób, co ci mówię, dobrze? Nie przeprowadzaj żadnych rozmów telefonicznych z mieszkania. Spotkamy się o ósmej w barze w „Mario's”. - Nie czekał na jej ewentualny sprzeciw. Odłożył słuchawkę. Telefon zaraz się odezwał, a on przełączył go do sekretariatu.

Julia musi go posłuchać. Szyderczy ton Westerna jeszcze brzmiał w jego uszach. „I zostawi pan swą przyjaciółkę, żeby ciągnęła to sama? Nie sądzę, żeby pan to zrobił”. Miał rację uznając, że Ben blefuje. Był bezwzględny, pozbawiony skrupułów draniem, dążącym wszelkimi sposobami do zniszczenia swego wroga. Nie mógłby zgodzić się z góry, żeby to się stało kosztem czyjegoś życia,

lecz stałby z boku i pozwolił się narażać komuś innemu. W tym wypadku Julii.

Ben wrócił do domu, sprawdził aparaty telefoniczne, wsłuchując się w najmniejszy szmer, który by wskazywał, że ktoś przy nich manipulował. Niczego nie dosłyszał, co jednak nie dawało żadnej gwarancji. Obecnie urządzenia podsłuchowe były tak udoskonalone, że praktycznie bez rozebrania aparatu nie można było ich wykryć.

Jak King wpadł na Jean Adams? To pytanie nie dawało mu spokoju, kiedy nerwowo przemierzał pokój. I przede wszystkim skąd od razu dowiedział się, że w ogóle jest przedmiotem ich zainteresowania? Czy Julia z kimś na ten temat rozmawiała? On z pewnością nie. To musiało wyjść od kogoś z jej znajomych, na podstawie jakiejś przypadkowo wypowiedzianej uwagi, jakiejś niezamierzonej aluzji.

Wziął prysznic i przebrał się w ciemny garnitur. Wybrał restaurację „Mario's”, gdyż tam nie zbierał się tłum z Fleet Street, tak jak w pobliskim pubie lub w którejkolwiek restauracji, gdzie zwykle bywali z Julią. W lokalu „Mario's” byli bezpieczni ze względu na barierę cen. Nikt ich tam nie podsłucha.

Przyjechał wcześniej i zajął miejsce na jednej z dwuosobowych sof, stojących pod wyłożoną boazerią ścianą. Z zawieszzonego na niej dużego obrazu olejnego pędzla Edwina Douglasa spozierały w dół dobrotliwie dwa spaniele. Nie był w stanie się odprężyć. Pełen niepokoju wypił drinka, ciągle zerkał na zegarek. Julia się spóźniała, to było do niej niepodobne. Ona była fenomenem punktualności, co go bawiło, gdyż on nie przywiązywał do tego nadmiernej wagi. Kiedy pojawiła się w drzwiach, poderwał się szybko. Wyglądała zupełnie inaczej niż zwykle, nigdy nie widział jej tak ubranej. Nie prowadzili wystawnego życia. Gdy szła ku niemu, pobłyskiwały klipsy i cekiny zdobiące jej bluzkę.

- Spóźniłaś się - powiedział. - Już się martwiłem.

Usiadła koło niego i powiedziała spokojnie.

- Przepraszam, ale po twoim telefonie zadzwonił Western i poprosił mnie na rozmowę. Opowiedział mi, co się wydarzyło.

Ben nie spodziewał się, że Western go ubiegnie.

- Powinienem był się domyślić, że będzie usiłował cię skołować. Zamówię ci drinka. To, co zwykle? - Skinął na kelnera. - Rudi, proszę o wódkę z lodem, a dla mnie jeszcze jedną szkocką.

Po czym spojrział na nią i ujął jej dłoń.

- Założyli podsłuch telefoniczny w domu Jean Adams - powiedział cicho. - Musieli usłyszeć jej rozmowę z adwokatem. Morderstwo miało zapobiec podpisaniu zeznania.

- To właśnie powiedział mi Western - odparła. - Mówił też, że przyszedłeś do niego do biura, bo chodziło ci o mnie i zachowywałeś się, jakbyś postradał zmysły. Nie powinienes być tego robić, Ben. Trzeba było najpierw porozmawiać ze mną.

- Dzwoniłem, ale cię nie zastałem - bronił się. - Byłaś na konferencji. Julio, posłuchaj mnie. - Tak rzadko używał jej imienia w pełnym brzmieniu, że poczuła się niepewnie. Powstrzymała się od dalszych wymówek, skoro on traktował to wszystko tak bardzo poważnie. Wyszła z biura Westerna naprawdę zła. Nie była własnością Bena Harrisa, nie miał prawa wtrącać się do jej spraw zawodowych.

- Zachowałem się idiotycznie, przyznaję, nie powinienem. Trzeba było poczekać i najpierw porozmawiać z tobą. Ale to, co się stało z Jean Adams wstrząsnęło mną - ktoś się włamał, zgwałcił ją, żeby ten właśnie czyn uznano za znaczący, a potem tłukł ją po głowie... To mogło spotkać ciebie. To może ciebie spotkać, jeżeli nie dotrzymasz naszej umowy i nie wycofasz się z tego plugawego bagna. Proszę - powstrzymał ją, gdyż chciała coś powiedzieć. - Wysłuchaj mnie. Jesteś świetną dziennikarką, masz talent, cechuje cię wnikliwość i uczciwość. Dojdiesz w tym zawodzie na szczyt bez publikacji w „Pod światło”. To po prostu marchewka, którą cię wabi Western, żebyś robiła za niego brudną robotę. Powiedziałem mu, że rezygnuję z pracy. Chcę, żebyś zrobiła to samo. Przekażę zebrane przez nas wiadomości o Kingu pewnym ludziom. Mam przyjaciół, którzy mogliby je wykorzystać.

- Nie mając żadnych dowodów? - spytała Julia. - To bez sensu i ty o tym wiesz. A jeśli mowa o marchewce, to nie jest nią „Pod światło”. On mi obiecał twoje stanowisko. We właściwym czasie. Wiem, co czujesz, i pamiętam, co ci przyrzekłam, ale nie mogę tego zrobić. Po prostu nie mogę tego rzucić i spokojnie zostawić całej sprawy. - Podniosła szklankę z alkoholem i dodała: - I ty też nie możesz. Zrobiłbyś to tylko dlatego, żeby wymusić na mnie rezygnację, a ja ci na to nie pozwolę. Będę się tym zajmowała tak długo, aż znajdę coś, co zaprowadzi tego człowieka na ławę oskarżonych.

Ben nic nie odpowiedział. Przychodzili nowi goście, bar się zapełniał. Jeden czy dwóch mężczyzn zerkano na Julię.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że Western tobą manipuluje?
- Tak, wiem. Ty też.
- To nie to samo - powiedział z goryczą, twarz mu stężała.
- To także rozumiem - dodała szybko. - Ale Ben, ja nie jestem dzieckiem wymagającym opieki. Potrafię zorientować się w tym, co

się dzieje. I sama podejmować decyzje. Właśnie ją podjęłam. Nie wycofuję się. Po tym, co się stało z Jean Adams, nie mogę! To ja ją w to wciągnęłam. Ja za to odpowiadam. Ty także. Pojechałeś do niej i przekonywałeś ją, żeby zmieniła zdanie. Gdyby nie my, żyłaby do dziś. To trzeba sobie wyraźnie powiedzieć.

- Pytałem o zeznanie - wtrącił Ben. - Nie podpisała go. Starszy pan wyładował na mnie całą swą wściekłość. Powiedział, że tacy ludzie jak my to szumowiny.

- Tacy ludzie jak my - odpowiedziała - i tylko my, możemy uwolnić świat od Harolda Kinga. Chciałabym pewnego dnia udowodnić to temu adwokatowi.

Splotła palce z jego palcami i ścisnęła je.

- Kocham cię, Ben, ale muszę być w zgodzie z samą sobą, a nie byłabym, gdybym się teraz wycofała. Nie usiłuję na ciebie wpływać. Jeżeli z powodu Westerna chcesz rzucić pracę, zrozumiem to. Ale nie rób tego, żeby wywierać na mnie presję. Zaangażowałam się i nic na to nie poradzę. Proszę, nie prowadźmy o to wojny. Róbmy to razem.

- Nawet gdybym cię nie kochał - odrzekł - moje nastawienie do tej sprawy byłoby takie samo. Odłóżmy chwilowo decyzję. Spróbujmy ustalić, jaki popełnił błąd. Skąd on wiedział, że go tropimy. Kto na ten temat mógł mieć wiadomości i komu coś się wymknęło?

Julia w zamyśleniu skubała cekiny przy brzegu bluzki.

- Nigdy nikomu nie powiedziałam nawet słowa. Nasi szperacze znali tylko dwa nazwiska: Phyllis Lowe i Hans Koenig. Nic, co by miało związek z Haroldem Kingiem. O, do licha, patrz co zrobiłam...

Niechący zerwała nitkę i kilka błyszczących cekinów posypało się na siedzenie.

- Bardzo ładna bluzka - stwierdził. - Będziesz umiała to naprawić?

- Tak, oczywiście. Pierwszy raz włożyłam ją wtedy, gdy tu przyszłam, żeby go zobaczyć na własne oczy.

- Czy ty - zaczął Ben powoli - czy ty byłaś tamtego wieczoru z Suttonem?

Spojrzała na niego uważnie.

- Tak, naturalnie. O Boże...

- Coś mu powiedziałaś - podsunął.

- Nie, to on powiedział - zaprzeczyła. - Interesujesz się Haroldem Kingiem albo coś takiego. Wściekłam się, bo King wrzeszczał na kierownika sali.

- I co powiedziałaś Suttonowi?

Przygryzła wargę, usiłując sobie przypomnieć tamtą rozmowę. Feliks zachowywał się napastliwie, prowokował ją.

- O Boże - powtórzyła. - Powiedziałam, że interesuje mnie przyznawanie tytułów szlacheckich, a on może jest kandydatem. Ale Ben, to wszystko, naprawdę wszystko. Feliks nawet nie podjął tego tematu. Pokłóciliśmy się i wyszłam bez niego. Wtedy w nocy ty przyjechałeś ze swymi aktami. To nie mógł być Feliks... prawda?

- Jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć. Będziemy musieli go spytać. Albo ja to zrobię, jeśli chcesz. Musimy wiedzieć. Musimy zatamować przeciek, jeżeli pochodzi od niego.

- My? - spytała cicho.

- Och, na miłość boską, tak, my. - Odstawił swą szklankę na stół z trzaskiem. - A jak inaczej mógłbym ciebie ochraniać?

Barman zobaczył, jak rudowłosa ślicznotka pochyla się do pana Harrisa i całuje go w usta. Pomyślał, że to bardzo dziwne. Nigdy przedtem nie widział Harrisa z tą kobietą, a założyłby się o swe tygodniowe pobory, że żadna kobieta by go publicznie nie pocałowała. Nie mógł się doczekać, kiedy opowie o tym na dole.

- Kicia zadowolona - powiedziała półgłosem Julia. Kotka leżała zwinięta w kłębek między nimi. Julia pogłaskała miękkie futerko. Zwierzątko zaczęło mrużyć z zadowolenia, brzmiało to tak, jak uruchamianie małego motorka.

- Ja też - odezwał się Ben. Nie pozwolił jej pozostać w mieszkaniu dłużej, niż wymagało spakowanie rzeczy. Przywioził ją do swego domu po kolacji. Na następny dzień zamówił specjalistę, żeby sprawdził telefony. Pamiętała posłańca, któremu nie udało się doręczyć kwiatów, ale uważała, że to raczej nie miało żadnego związku z ich sprawą. Jednak Harris doszedł do wniosku, że skoro jacyś ludzie byli wewnątrz budynku, to na pewno otworzyli drzwi wytrychem i założyli podsłuch. I już bardzo dawno, pomyślał, wiedzieli o każdym ich kroku. Zimno mu się robiło na myśl, że Julia miałaby zostać sama.

Tego wieczoru ich miłość wystawiona została na próbę. W pewnym momencie wydawało się wręcz, że zmierzają ku zerwaniu, oboje zdawali sobie z tego sprawę. Duma i niezależność Julii były zagrożone, zaś dla Harrisa powrót do pracy i danie tym satysfakcji Westernowi mogłoby się okazać zbyt gorzką pigułką do przełknięcia.

I nagle, w jakiś cudowny sposób ominęli te rafy. Ben poszedł na kompromis i ona też. Zgodziła się przeprowadzić do niego, nie przebywać w domu sama i w ogóle się nie narażać. Znowu byli tandemem, dzięki temu kryzysowi jeszcze silniej zespolonym. A

kiedy poszli do łóżka, ich doznania były głębsze, jakby ważniejszy był sam akt złączenia niż osiągnięcie rozkoszy. Zrozumieli to oboje bez słów. Obudzili się dopiero wczesnie rano, wciąż jeszcze spleceni ramionami.

Ben Harris z Julią u boku szli na spotkanie z Williamem Westernem. Kiedy ich zobaczył w swym gabinecie, jego oczy zwęziły się na moment. Oboje składają wymówienie? Czyżby ten hazard miał go kosztować utratę dwóch pracowników? Nie przypuszczał.

Odezwął się, zanim oni zaczęli mówić. Należy zawsze panować nad sytuacją, nigdy nie oddawać inicjatywy.

- Oboje składacie rezygnację? Oczywiście, że nie. Mówcie, z czym przyszlście. Jestem dziś rano bardzo zajęty, ale dla mojej gwiazdy i narwanego Walińczyka zawsze znajdę czas. Boże, wspomagaj nas, biednych Anglików, gdy musimy mieć do czynienia z celtyckim temperamentem. - Jak zwykle nie dopuścił do wygłoszenia przez nich przygotowanej przemowy, odpowiadając na własne pytania.

- Nie składamy wymówienia lordzie Western - rzekł Ben. - Julia chce nadal się tym zajmować, a ja jej nie opuszczę. Tak jak pan przewidział. - Rzucił mu piorunujące spojrzenie.

Western w odpowiedzi uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Więc mamy to już za sobą? Dobrze, dobrze. Wprowadzę w sprawie cyklu „Pod światło” mylny trop - Julio, pomyśl, kto by mógł poświęcić kilka nocy, dobrze? Coś o pewnym polityku i je go słodkich tajemnicach. To może być całkiem zabawne. - Lecz zaraz uśmiech zniknął mu z twarzy, a ton głosu stał się ostry. - A wy wyświetlajcie ten bałagan z przeciekiem, a potem róbcie swoje. Oczekuję rezultatów i chcę je mieć szybko. Sami wyjdźcie, panna Gilbey jest mi potrzebna. - Podniósł słuchawkę wewnętrznego telefonu i odprawił ich ruchem ręki.

Za drzwiami Julia zwróciła się do Bena. Sekretarka rzuciła im uśmiech pełen wyższości i pospieszyła do gabinetu szefa.

- Tak samo go nie cierpię jak ty - powiedziała. - Ale nie robimy tego dla niego. Dzięki, że byłeś taki dzielny.

- Dzielny? A co, do licha, jest dzielnego w tym, że się spuszcza z tonu?

- Wszystko - szepnęła. - Dla kogoś takiego jak ty.

- Cześć - rzekł Feliks. - Warburton powiedział, że chciałeś mnie zobaczyć.

Ben spojrział na niego; nie było to przyjazne spojrzenie.

- Siadaj - poprosił. Feliks rozsiadł się na jednym z foteli, skrzyżował nogi i patrzył na niego pytająco. On też nie był przyjazny. Oto mój następca, pomyślał. Drwił w duchu z jego wieku, grubych szkielec w okularach i śladów siwizny we włosach.

- Julia ma pewien problem - oznajmił Ben. - Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać.

- Tak? Dlaczego sama mi nie powie?

- Jest zajęta - warknął. - Więc ja to zrobię za nią - dodał. - Czy mówiła ci o jej nowym cyklu publicystycznym, nazwanym „Pod światło”?

- Tak, coś wspominała. Była w związku z tym bardzo podekscytowana. A co?

- Co ci powiedziała?

Feliks usiadł prosto w fotelu. Postawa obronna, uznał Ben.

- To, co mówiłem, skok w karierze zawodowej, duże pieniądze, ogromne pole do działania. Nie odpowiedziałeś, dlaczego mnie pytasz.

- Ponieważ, jak już mówiłem, powstał pewien problem. Ona może mieć spore kłopoty. Jeżeli sobie przypomnisz i odpowiesz na moje pytanie, będę ci mógł podać szczegóły. Czy wspominała o Haroldzie Kingu?

Feliks zmarszczył brwi.

- Było coś takiego, tak. Bez wątpienia miała go na oku. Nie znosiła go.

- Wiele innych osób podziela to uczucie - rzekł Ben powoli. - To będzie ważne. Czy z kimś rozmawiałeś na ten temat? Czy komukolwiek wspominałeś, że ona się nim interesuje?

- Nie - zaprzeczył Feliks. - Po co miałbym o tym mówić? Zerwaliśmy z powodu tego drania. Byliśmy w restauracji „Mario's”, on się tam rozwrzeszczał. Julia zdenerwowała się i następnego dnia puściła mnie kantem.

- Jeszcze pomyśl - nalegał Ben. - Czy ktoś cię pytał, nad czym ona pracuje?

- Słuchaj - rzekł Feliks. - O co naprawdę chodzi? Wiem, że King jest brutalnym graczem, czy wniósł przeciw niej skargę do sądu?

- Nie - odparł Ben. Uznał, że musi ujawnić część prawdy. W przeciwnym razie Feliks nie zada sobie trudu, żeby odświeżyć swą pamięć. - Ale miała założony podsłuch w telefonach i kilka „pluskiew” w pokojach.

- Jezu. - Feliks wytrzeszczył na niego oczy. - Dlaczego? Kto to

zrobił?

- Sądzimy, że King. Ona prowadzi dochodzenie w związku z jego osobą i to jest poufna sprawa. Nazwałeś go brutalnym graczem, to słabo powiedziane. Był jakiś przeciek i musimy się dowiedzieć skąd, żeby ją chronić. Julia sądzi, że od ciebie, bo tylko z tobą rozmawiała; nikt cię nie oskarża, Sutton, ale pomógłbyś nam, gdybyś sobie przypomniał, czy puściłeś coś w obieg i wobec kogo.

Feliks z zachmurzoną miną myślał w skupieniu.

- Chwileczkę - rzekł. - Zatelefonował do mnie jakiś naganiacz, że ma dla mnie temat... Wcale nie był dla mnie, a kosztowało mnie to pięćdziesiąt funtów... - Zahałał się, po czym szybko dodał: - Tak, to się do niczego nie nadawało, jakieś sprośności. Miał taki smaczny kąsek dotyczący...

Harrisowi oczy rozszerzyły się ze zdumienia, gdy usłyszał nazwisko.

- Pornografia z udziałem dzieci. Cała szajka zajmująca się pedofilią. Powiedziałem mu, że takich rzeczy nie mógłbym wykorzystać, a on zasugerował „Pod światło”... Pamiętam, jak po wiedziałem, że ona tego nie tknie.

Ona. Ben mu nie przerywał.

- Nadal mnie przekonywał; to taki typ, zakichany cwaniaczek, miałem go po dziurki w nosie i chyba powiedziałem, że ona się zajmuje grubszą rybą. - Umilkł.

- Mów dalej - rzekł Ben. - Chciał wyciągnąć od ciebie informacje. Co mu jeszcze powiedziałeś?

- Chyba wymieniłem nazwisko Kinga. Myślę, że tak było. Tak, sprawa przyznawania tytułów szlacheckich. Julia wspominała o tym w „Mario's”. Że mogłaby ten temat wziąć na warsztat i że taki typ jak King się ubiega...

Ben odchylił się do tyłu.

- Według mnie ten facet był wtyczką - stwierdził. - Nie mogłeś wiedzieć. Czy poza nim nikt się nie zgłosił?

Feliks wzruszył ramionami.

- On już nigdy więcej się nie odezwał.

- Czy zostawił ci jakiś numer telefonu? - spytał Ben. - Mógłbyś do niego dotrzeć?

- Można by spróbować w pubie. Byliśmy w takim, który się nazywa „Dzbanek i butelka” na Dean Street. Podał mi swoje nazwisko... Patrick. Joe Patrick.

Już nie było między nimi wrogości.

- Słyszałem, że jesteś teraz z Julią - powiedział Feliks.

- Pracujemy razem i jesteśmy razem - przyznał Ben. - Słuchaj, czy mógłbyś ze względu na nią to odkręcić?

- Pewnie. Co miałbym zrobić?

- Idź do tamtego pubu i zorientuj się, czy możesz nawiązać kontakt z tym Joe Patrickiem.

- A jeśli tak, to co dalej? Powiedzieć mu, że to nie była prawda i w ten sposób go zmylić? Mówiłem ci, on jest bystry. Nie kupiłby tego.

- Mógłby - rzekł Ben z namysłem - jeśli to właściwie rozegrasz. I chyba wiem jak. Musimy przekonać Kinga, że jest bezpieczny. Nie będzie to takie trudne, bo jeden z naszych koronnych świadków został wczoraj zamordowany. Nie muszę ci podawać nazwiska, prawda?

- Nie. - Feliks wstał, jak na takiego potężnie zbudowanego mężczyznę poruszał się niezwykle zwinnie. - Julia jest rzeczywiście w tarapatkach. Ach, kłapnąłem paszczą...

- Spotkajmy się w pubie o siódmej. Nie obwiniaj się, Sutton, tylko postaraj się to naprawić. Wyciągnij ją z opresji.

- Nie martw się, zrobię to - odrzekł Feliks. - To wspaniała dziewczyna - dodał. - Szczęściarz z ciebie.

Joe Patrick był w doskonałym nastroju. King przesłał mu prezent. Potwierdzenie przekazu pięćdziesięciu tysięcy funtów na jego konto w Szwajcarii. Joe był bogaty. Zabezpieczony do końca życia, a dopóki będzie potrzebny Kingowi do takich zadań jak to z Jean Adams, jego majątek ma szansę stale wzrastać. Zabrał ze sobą parę błyskotek starszej pani i gotówkę. Pieniądze niczym nie groziły, ale ta biżuteria nie mogła trafić do pasera. Dwa pierścionki, sznurek pereł i bransoletka z łańcuszka ozdobionego małymi, różnokolorowymi szlachetnymi kamykami. Naprawdę nic wartościowego. Wydłubał mały brylant i szafir z pierścionków, wypróbował perły zębami - za gładkie jak na prawdziwe - i obejrzał bransoletkę. Miała stempel probierczy, ale kamyki były bardzo małe.

Podarował je swej ulubienicy, Tinie.

- Następnym razem będzie coś dla ciebie - powiedział do jej przyjaciółki, Tracey.

Gdy wyszedł, Tina wykrzywiła twarz w złośliwym grymasie.

- Podły skurwysyn - mruknęła. - Bransoletka wygląda jak od Woolwortha. Ciekawe, skąd ją ma.

Jej towarzyszka wzruszyła ramionami. Była bardzo przywiązana do swej przyjaciółki Tiny; razem dorastały w czarnym getcie w Brixton.

- Dostał w prezencie pod choinkę w zeszłym roku - zachichotała.

Obie się roześmiały. Mimo że czasem przeżywały tu ciężkie chwile, żyło im się nieźle. Wiedziały, że od czasu do czasu zostaną pobite, lecz do tego były przyzwyczajone. Już jako nastolatki stały się ofiarami pewnego sutenera, który zajmował się całym zastępem dziewcząt. Joe wyciągnął je ze szmatławego nocnego klubu, funkcjonującego jednocześnie jako dom publiczny. Odkupił dziewczyny od sutenera, należały teraz do niego, dopóki się nimi nie znudzi i nie odsprzeda komuś innemu. W porównaniu z tym, co znały, tu miały luksusowe życie. Tracey nienawidziła go w mniejszym stopniu niż Tina.

- Przymierz - rzekła. - To ładne. Podoba mi się.

Tina włożyła bransoletkę na przegub ręki, usiłując zapiąć zamek.

- Dałabym ci ją, ale wybiłby mi zęby - powiedziała. - Cholera, nie mogę sobie poradzić... - szarpnęła delikatnym łańcuszkiem.

- Ja to zrobię, poczekaj - pospieszyła z pomocą Tracey. - Zerwiesz ją... - Przyjrzała się dokładnie zamkowi. - Zatrzask ma zabezpieczenie - stwierdziła. - Nie ruszaj ręką... to pewno jest ze złota... no, skończone.

Tina uniosła dłoń, małe kamyczki zamigotały.

- Możliwe.

- Sztuczne świecidełka nie mają takich zabezpieczeń - upierała się Tracey. - Może kiedyś udałoby się ją opylić za parę funtów.

- Może - zgodziła się Tina. - Ciekawe, skąd on to wytrzasnął.

Feliks podszedł do baru i zamówił duży kufel lagera. Fotografie bokserów pozujących do zdjęć z przygotowanymi do walki pięściami w rękawicach były wyblakłe i poplamione, podpisy nieczytelne. Nie było między nimi aktualnych mistrzów, tych Feliks znał z czasów, kiedy sam walczył amatorsko na ringu.

- Szukam Joego Patricka - powiedział do barmana.

- Nie ma go. - Odpowiedź była natychmiastowa, a towarzyszące jej spojrzenie czujne.

- Wie pan, jak mógłbym się z nim skontaktować? - spytał Feliks.

- Jak przyjdzie, mogę mu powiedzieć. - Propozycja została złożona niechętnie.

- Spotkałem się tu z nim - ciągnął Feliks - w sprawie pewnego interesu. Może mu pan powtórzyć, żeby do mnie zadzwonił? Do Feliksa Suttona z „Sunday Herald”.

Barman odstawił na blat opłukaną szklankę. Joe Patrick był ważnym facetem. Nie podziękowałby mu, gdyby stracił jakąś okazję.

- Niech pan zaczeka. Spytam szefa.

Szef, ta sama baryłkowata postać o wyglądzie tłustego karła, która pozowała do zdjęć z bokserami, siedział na zapleczu i oglądał telewizję. Podniósł słuchawkę i nakręcił numer Patricka.

Feliks przy barze popijał zimne piwo i czekał. Wydawało mu się, że dość długo. Barman wrócił i zaczął obsługiwać klientów; jakaś dziewczyna, niewątpliwie prostytutka, zerknęła na Feliksa i szykowała się, żeby go zaczepić. Kiedy zjawił się właściciel, barman wskazał na Feliksa i tamten podszedł do niego.

- Joe przyjedzie - rzekł. - Proszę zająć miejsce przy stoliku i zamówić, na co ma pan ochotę. Na koszt firmy.

- Dzięki - odparł Feliks. - Poproszę jeszcze jedno piwo. - Poszedł do stolika i usiadł. Błat był wilgotny i cuchnął rozlanym piwem.

Prostytutka stanęła za jego krzesłem. Była młoda i bardzo ładna, w spódniczce całkiem odkrywającej uda. Właściciel poszukał jej wzrokiem i dał znak kciukiem. Nie powiedziała ani słowa. Wycofała się z zawiedzioną miną. Feliks uśmiechnął się do niej i ona odpowiedziała mu uśmiechem. Pomyślał, że nie miałby nic przeciwko temu, tyle że nie zamierzał za to płacić.

- Cześć. - Patrick wysunął dla siebie krzesło. Miał na sobie marynarkę z kaszmirskiej wełny i pachniał mocną wodą kolońską. Feliks czuł się tak, jakby do stolika przysiadł się szczur.

- Chciał się pan ze mną widzieć? - Błysnęły białe zęby, dzieło nowoczesnej sztuki dentystycznej.

- Tak - rzekł Feliks. - Czego się pan napije?

- Szkockiej - odparł Joe. - Czym mogę służyć?

- Pamięta pan tę historię - Feliks ściszył głos - którą mi pan zaproponował?

Joe odparł równie cicho:

- To porno z dziećmi?

- Właśnie. Może miałbym na nią zbyt.

- Twierdził pan, że nie mógłby jej wykorzystać.

- I nie mogłem. To nie moja działka. Ale rozmawiałem ze swoją przyjaciółką, to znaczy teraz była - wrzucił ramionami. - Okazało się, że mogą być zainteresowani zamieszczeniem tego w cyklu „Pod światło”. Prosiła mnie, żebym się z panem skontaktował. Płacą duże pieniądze.

Joe przełknął połowę swej whisky.

- Mówił pan, że mają już inny temat. Nie chcę, żeby się w związku z tym coś nachrzaniło, to gorący materiał.

- Którego nikt inny nie kupi - stwierdził Feliks.

Joe rzucił spojrzenie na resztę whisky i odstawił szklanekę.

- A co będzie, jak go nie wykorzystają? Ja muszę najpierw dostać pieniądze. Ten mój kumpel z kolorowego pisemka i jego kumpel z policji też chcą ode mnie zapłaty z góry.

- Będą mieli. Mówiłem, to są duże pieniądze.

- A co spowodowało, że pana ptaszyna zmieniła zdanie? - spytał Joe. - Słyszałem, że ona tego nie tknie, nawet się do tego nie zbliży. To pańskie własne słowa.

- Szef na nią naciska. Właścicielem gazety jest Western. To też mój szef. Wymagający facet. Miała temat na otwarcie cyklu na listopad, duży artykuł o Izbie Lordów i Haroldzie Kingu. Dynamit. Ale to już nieaktualne. Mieli jakiegoś świadka, ale im umarł. Więc wspomniałem jej o pana propozycji i ona ją podchwyciła. Teraz, kiedy uśmiercili sprawę Kinga, Western chce wyjść z jakimś wielkim skandalem. Może pan wyznaczyć cenę.

- A co pan będzie z tego miał? - zapytał Joe przyciszonym głosem bez cienia udawanego amerykańskiego akcentu.

- Może ona do mnie wróci - rzekł Feliks. - I chciałbym mieć w tym udział, nic wielkiego, takie fartowne pieniądze, jak mówią Irlandczycy.

Joe wyszczerzył zęby.

- Tak mówią - przyznał. - Więc pan ma być pośrednikiem?

- Nie - odparł Feliks. - Ona sama chce pertraktować. Przyśle kogoś, kto będzie rozmawiał już o konkretnej sumie. Pan wspominał o pięciuset funtach.

- To była cena dla pana - uśmiechnął się Joe. - Dla takiego ważnego wydawnictwa, to już wchodziłyby w grę tysiące. Twierdził pan, że mogę wyznaczyć cenę. Coś panu powiem... - wypił resztę whisky i odsunął szklankę. Feliks już wiedział, że spotkanie jest skończone. - Coś panu powiem - Joe wstał. - Porozmawiam z moimi kumplami. A potem dam panu znać. Wiem, że mieli już kogoś upatrzonego.

Wyciągnął rękę, Feliks zmusił się, żeby ją ująć i tak mocno uściśnął, że Joe skrzywił się z bólu, co Feliksowi sprawiło niekłamano przyjemność.

- Wobec tego będziemy w kontakcie, ale proszę się pospieszyć. Ona mnie naciska w sprawie tej historii...

- Niedługo się odezwę - obiecał Joe.

Feliks wyszedł z pubu. Na dworze było zimno, padała drobna mżawka. Dziewczyna z baru spacerowała powoli po chodniku, wypatrując klientów w samochodach.

Podeszła do niego i uśmiechnęła się.

- Cześć, przystojniaku. Chcesz się zabawić?

- Nie dzisiaj - odparł. - Ale dzięki za dobre chęci. Kup sobie filiżankę kawy. Zimno jak cholera. - Dał jej pięć funtów i ruszył w stronę Tottenham Court Road. Joe Patrick już się nie odezwie. Nie ma żadnej historyjki do sprzedania. Nigdy jej nie było. Ben Harris miał rację.

Harold King poleciał do Nowego Jorku concordem. Zdecydował, że weźmie ze sobą Glorię. Jej wdzięczność i podniecenie wrzuciły go. Kiedy wystartowali - samolot wznosił się bardzo ostro - wyciągnęła do niego rękę, którą on czule uściskał. Lądowania też się bała.

King był w pogodnym nastroju, gdyż chmury się rozproszyły. Zaniechali dochodzenia prowadzonego dla cyklu „Pod światło”, ponieważ, jak mu powtórzył Joe, mieli świadka, ale im umarł... Joe szczyrzył zęby w małym uśmiechu, kiedy zdawał relację ze spotkania z Suttonem. Pozbycie się Jean Adams równało się odcięciu głównej głowy hydrze. Bez tej kobiety nie będą mieli nic, poza pogłoskami. Będzie mógł się pozbyć tej Hamilton i jej przyjaciela Harrisa, jak przejmie „Heralda”. A gdy z nimi skończy, nie dostaną pracy w żadnej gazecie.

Wróciło poczucie pewności siebie, Joe się dobrze spisał. Lecz King nadal w niczym nie zdawał się na przypadek.

- Jak to teraz załatwisz z Suttonem? - spytał Joego, który wyglądał na bardzo zdziwionego tym pytaniem.

- Zatelefonuję i powiem, że nie mam tej opowiadki do sprzedania.

- Ty cholerny idioto. - King był zadowolony, że może się poznać nad Patrickiem. Za dużo pochwał mogłoby mu uderzyć do głowy. - Jeżeli tak to zostawisz, zorientuje się, że to była lipa. Ty jesteś głupi, ale on być może nie. Dasz mu inną historię. Tym razem prawdziwą.

- Jaką historię? - zaprotestował Joe. - Żadnej innej nie mam.

Pod wpływem jakiegoś przewrotnego odruchu King rozwiązał mu ten problem.

- Usadźmy Leo Derwenta. Weź te ciekawostki od Fredy i daj je Suttonowi. Derwent lubi rozgłos. - Roześmiał się, a Joe za wtórował mu lojalnym chichotem. Mieli zdjęcia zrobione ukrytym aparatem i taśmy magnetofonowe rejestrujące seksualne upodobania pana Leo Derwenta. Dostarczyła im je dziewczyna specjalnie w tym celu podstawiona.

Tak więc Harold King wylatywał do Ameryki z lekkim sercem, energia go rozsadzała. Powziął decyzję, że rozwiąże swe trudności

finansowe, wykorzystując fundusz emerytalny jako osobisty majątek na zabezpieczenie kredytu. Nie będzie tracił czasu, zakończy negocjacje z Bankiem Handlowym i wprowadzi Glorię w interesy. Równie dobrze już teraz mogą przyjąć do wiadomości, że od tej chwili ona będzie zawsze u jego boku. Chciał się nią popisać przed nimi, oto ma następczynię, która będzie kontynuowała jego dzieło.

Powiedział jej o wykorzystaniu funduszu emerytalnego. To był test sprawdzający jej etykę zawodową. Córka go nie zawiodła.

- Czemu nie? Potrzebne są ci pieniądze, nikt się o tym nie dowie. Jego dziewczynka. Był z niej dumny.

Podczas czterogodzinnego lotu do Nowego Jorku wspólnie pracowali nad zagadnieniami finansowymi. Cieszyło go, że może ją uczyć, wprowadzać w swoje metody obracania pieniędzmi. Wprawdzie nie miała jego pomysłowości i nie odziedziczyła umiejętności pomnażania dochodów, lecz wystarczy, żeby trzymała się wytyczonej przez niego linii postępowania. Zyski będą płynąć same.

Kiedy znalazł się w hotelu Waldorff Astoria, wysłał kilka teleksów, w tym jeden na numer przedsiębiorstwa Patricka Eksport-Import: „Nie odwoływać Harpera i Drew aż do następnej dyspozycji”. Inwigilacja Julii Hamilton i Bena Harrisa miała być utrzymana.

W niczym nie zdawać się na przypadek. Teraz, kiedy już położył rękę na funduszu emerytalnym, kładł na szalę całe swoje imperium.

To Ben wymyślił, żeby wynajęli mieszkanie. Gdyby usunęli podłuch telefoniczny, zniweczyliby wersję Suttona. I w ogóle to mieszkanie według Bena nie było wystarczająco bezpieczne. Julia nie spierała się z nim. Myśl, że jej dom był przeszukiwany, że jej ruchy mogły być rejestrowane, działała na nią deprymująco. W związku z Jean Adams nie mogła uwolnić się od poczucia winy, co budziło też strach o własne bezpieczeństwo. Musieli znaleźć mieszkanie w bloku odpowiednio chronionym, gdzie nie mógłby się dostać nikt nieupoważniony. Koszt pokryje Western. Ben się przy tym upierał, a Western się nie sprzeciwił. Znaleźli takie na Chelsea Green. Był to cichy zakątek nie opodal King's Road. Wybudowano tam luksusowe czteropiętrowe bloki z mieszkaniami przeznaczonymi na sprzedaż. Płacono za nie wysokie ceny w poufnym trybie, więc nie znajdowały się w publicznej ofercie.

Wprowadzili się tam oboje razem z rudą kotką. Ben wymógł na Westernie jeszcze jedno ustępstwo. Julia dostała do dyspozycji pieniądze na zmianę tapet i umeblowanie według swego gustu. We-

sterna bawiło, że Harris stawia takie wymagania i pozwalał mu na to. Jak się już urządzą w tym bezpiecznym, eleganckim mieszkaniu, przyjdzie kolej na postawienie przez niego o wiele większych wymagań.

Feliks Sutton zjawił się z materiałami dotyczącymi ministra stanu Leo Derwenta. Otrzymał je dzięki człowiekowi, którego, jak podejrzewali, opłacał Harold King. Według Suttona dokumentacja była autentyczna, w związku z czym zaczynał powątpiewać co do przedstawionej mu przez Harrisa teorii spisku. Ben był pewien swego. Joe Patrick to wtyczka, chodziło mu tylko o uwiarygodnienie swych poczynań i utrzymanie kontaktu z jakimś znajomym Julii.

- Masz zamiar opublikować te brudy o Derwencie? - spytał ją Feliks.

- Nie chcę, ale musimy coś dać w listopadzie w „Pod światło”. Porozmawiam o tym z Westernem.

Ben obejrzał fotografie i przesłuchał kilka taśm. Feliks zaśmiewał się z absurdalności dialogów prowadzonych przez uczestników tych ekscentrycznych gier. Harris uznał, iż ich odmienne poczucie humoru bierze się z dwudziestoletniej różnicy wieku. Nie widział nic zabawnego w ponizaniu człowieka. Western nie będzie miał skrupułów; jeżeli są to autentyczne materiały, puści je do druku. Julia umówiła się z nim na spotkanie. Wzięła ze sobą dokumentację dostarczoną przez Suttona.

Western był w bardzo dobrym nastroju, gdy weszła do jego gabinetu.

- Jak tam twoje miłe, nowe mieszkanko? - powitał ją na wstępie.
- Wszystko już urządzone? Dobrze. Chcesz porozmawiać o artykule na listopad? Więc najpierw tym się zajmijmy. Co masz tam w teczkę?
- Słowa płynęły potokiem; to była subtelna forma terroru, gdyż on pozbawiał w ten sposób rozmówcę możliwości wypowiedzenia nawet jednego słowa. Choć bardzo dobrze znała tę technikę, zawsze ją to doprowadzało do szału.

- Wysłałam do pana list z podziękowaniami. Jesteśmy bezpieczni i to jest najważniejsze. Tu właśnie mam te materiały na listopad. Obawiam się, że nie są bardzo przyjemne, więc może pan to przejrzy i zdecyduje, czy mamy je opracować. - Podała mu wyjętą z teczki, zaklejoną kopertę. Otworzył ją i przejrzał pobieżnie fotografie. Jego twarz pozostawała zupełnie bez wyrazu, jakby oglądał czyjeś zdjęcia z wakacji.

- Wstrętne - orzekł podnosząc na nią wzrok. - Nie muszę już słuchać tego... - Włożył plik fotografii i taśmy z powrotem do koperty.

- Derwent był twoim pierwszym przydziałem, pamiętasz? Już wtedy uważałem go za obmierzonego typka. Przed wykorzystaniem tego materiału muszę się porozumieć z prawnikami. Ale wątpię, czy zdecydowałby się zaskarżyć nas do sądu.

- Ja na to patrzę inaczej - stwierdziła Julia. - Chodzi o to, lordzie Western, że publikacja mogłaby być zakwestionowana z moralnego punktu widzenia. To, co robi Leo Derwent w prywatnym zacisku, nie ma związku z wykonywaniem przez niego obowiązków publicznych.

- Chyba że dawałoby podstawę do szantażu - zaproponował. - A tego rodzaju aktywność z pewnością daje.

- Właśnie - przytaknęła Julia. - Więc kto zrobił te fotografie i po co? Kto miał zamiar je wykorzystać do szantażu? Dlaczego nie mielibyśmy pójść tym tropem, przyciągnąć Leo Derwenta do współpracy w zamian za przyrzeczenie, że nie ujawnimy jego nazwiska? Ben uważa, że to jest typowe zastawianie pułapki na polityka przez kogoś, kto chce go mieć w kieszeni. Sądzę, że Harris ma rację. Teraz rzucają Derwenta na pożarcie lwom. Może nie chciał się ugiąć pod szantażem?

- Bardzo sprytne - rozpromienił się Western. - Wydostaniemy go z zasadzki i wtedy my będziemy mieć go w kieszeni. To dobry, ważny temat. Próba szantażu prominentnego polityka et cetera, et cetera. Będzie powód do zapalenia świeczki w Katedrze Westminsterskiej, jak się ustali, kto za tym stoi. Ale to nie należy już do ciebie. Zdobyłaś świetny temat, daj go Johnowi Stevensowi. Ty i Harris macie jeden cel i nie będziecie marnować czasu na nic innego. Harold King. Zbrodniarz wojenny. O tym chcę od was usłyszeć, a nie o jakichś brudach jak te. - Odsunął kopertę na bok. - Jakie będzie wasze następne posunięcie?

Musiła mu stawić czoło.

- Nie wiem - odpowiedziała. - Brak nam dokładnych dat i miejsca poza tym, że to było na Saharze Zachodniej. Nigdy nie odbył się żaden proces sądowy, również w relacjach historyków na temat tej kampanii nie ma wzmianki, że jacyś jeńcy zostali wymordowani. Tam wojna prowadzona była uczciwie.

- Nie istnieje coś takiego - odezwał się ostrym tonem Western. - Okrucieństwa na mniejszą skalę zdarzają się zawsze i po obu stronach. Wiem, bo sam tam walczyłem.

Podniosła na niego oczy.

- Pan? Na Saharze Zachodniej?

- Krótko, zanim dostałem się do niewoli. Byłem ranny i repatriowali mnie. - Zmienił temat. - Nie będę za was wykonywał

pracy. I zmuszony jestem ci przypomnieć, że jeszcze jeden taki przeciek, który kosztował życie tej biednej pani Adams, to w ogóle nie będzie pracy. Ani dla ciebie, ani dla Harrisa. Daję ci miesiąc, Julio. Chcę mieć sprawę Harolda Kinga do „Pod światło” na grudzień. Żegnam cię.

Julia wstała.

- Nie mogę zagwarantować tego do grudnia, lordzie Western - powiedziała. - Ale udowodnię jego winę. Zrobię to dla Jean Adams, a nie z żadnych innych względów. - Z tymi słowami opuściła gabinet.

Western siedział nieruchomo, jak zawsze, gdy rozmyślał. Wiedział, że Harold King był w Ameryce. I wiedział, dlaczego tam pojechał. Zbierał siły do frontalnego ataku na jego koncern prasowy. Western miał kontakty ze światem finansjery Kanady i Stanów Zjednoczonych. Miał tam przyjaciół i odwdzięczał się im za pilnowanie jego interesów. Napływało coraz więcej informacji na temat poczynań Harolda Kinga. Western zdawał sobie sprawę, że jeżeli skalę tych poczynań oceniono prawidłowo, on bitwę przegra. Grudzień. Ten termin nie wziął się z powietrza. Tak wielka finansowa operacja wymagała czasu, mówiło się, że King angażuje swoje prywatne fundusze. Rzucił wszystko na jedną kartę. A pierwszy ruch nastąpi zaraz po Nowym Roku. Nacisnął czerwony przycisk na biurku. To był sygnał dla sekretarki, żeby mu nie przeszkadzano.

Podparł głowę na rękach i dał się ponieść myślami w przeszłość. Z powrotem do spiekoty, burz piaskowych i zagładającej w oczy śmierci na pustyni.

Wojna prowadzona uczciwie, twierdziła ta młoda kobieta z przekonaniem osoby, której wtedy nie było na świecie. Żadnej wzmianki w relacjach historyków ani w pochwalnych biografiiach dwóch wielkich dowódców - Montgomery'ego i Rommła. Wojna dżentelmenów, jak ją określił jakiś idiota.

Były też książki pisane przez ludzi, którzy walczyli na Saharze Zachodniej i wyróżnili się w walce. Oni patrzyli na tę wojnę przez romantyczną mgiełkę. Byli dzielnymi rycerzami pustyni. On do nich nie należał.

Świadczyły o tym blizny na jego ciele. Miał je na plecach.

- Zamierzam sama spotkać się z Leo Derwentem - oznajmiła Julia.
- Dobry pomysł - zgodził się Ben.
- Muszę się upewnić, czy mamy rację, że King jest w to zamieszany. Potem może to przejąć Stevens. Wiesz, o mało nie wyszłam z

gabinetu, kiedy Western wspomniał o Jean Adams.

- Chciał cię zdenerwować - rzekł Ben. - Guzik go obchodzi ona, jak i wszyscy inni poza nim samym. Nie pozwól mu na to. On właśnie na to liczy. Miał czelność cię ponaglać groźbą utraty pracy. Drań. - Nalał im obojgu wina. Po czymś takim zasługiwał, żeby opuściła jego gabinet. Ale ona już nauczyła się, jak należy postępować z Williamem Westernem.

- Czy mamy egzemplarz „Kto jest kim?” - spytała nagle.

Do ich mieszkania wraz z nielicznymi meblami Ben przewiózł książki. Było ich mnóstwo.

- Mamy. Również opracowanie Debretta i inne wydania. Tam, na najwyższej półce - powiedział.

Sięgnęła po książkę.

- Chcę poczytać o Westernie. - Była wykończona, rozmowa z szefem całkiem ją rozstroiła. Tę okrutną wzmiankę o nieszczęsnej Jean Adams odebrała jak świadomy cios. Wiedział, jak bardzo zadęczała się w związku z jej śmiercią.

- O, jest. - Znalazła informację. - Posłuchaj, służył w Pułku Wschodnioangielskim w czasie kampanii w północnej Afryce, w 1942 roku ranny, wzięty do niewoli, repatriowany w 1943.

- No i co? - zapytał. - Do czego zmierzasz?

- Dzisiaj rano powiedział: „Okrucieństwa na mniejszą skalę zdarzają się po obu stronach”. Zastanawiam się, Ben. - Ze zmarszczonymi brwiami zamknęła opasły tom i odłożyła na półkę. - Powiedziałeś mi, że King ma na niego jakiegoś haka i dlatego Western odwołał twoje poszukiwania.

. - Nie mogło być innej przyczyny - rzekł Ben. - Był tak samo żądny krwi jak teraz, a jednak się wycofał. Bez uprzedzenia, bez wyjaśnienia wezwał mnie i oświadczył, że mam to wszystko zostawić i zapomnieć o całej sprawie. I dał mi stanowisko szefa działu wiadomości.

- A może on ma coś na sumieniu jeszcze z czasów wojny? Przypomnij mi, jak to było chronologicznie? Kiedy właściwie postanowił zastopować twoje dochodzenie?

Ben wzruszył ramionami.

- Mniej więcej dziesięć lat temu. Na rok przed otrzymaniem tytułu lordowskiego. Byłem pewny, że to się ze sobą wiąże. To, czym King mu groził, było przyczyną wycofania się Westerna. Dlaczego przyszła ci na myśl wojna? Minęło już tyle lat...

- Wiem, ale tak wiele rzeczy się wtedy zdarzyło, między innymi to, że King zastrzelił bezbronnych jeńców. A sposób, w jaki Western

o tym mówił... nie był wstrząśnięty samym faktem, jemu tylko chodziło o to, żeby zdobyć dowody przeciw Kingowi, które pozwolą mu go wykończyć.

- Panno Jot, kochanie moje, twoje zadanie nie polega na badaniu przeszłości Westerna. To zimny drań, nic nie wstrząśnie jego sumieniem, jeżeli je w ogóle ma. Zdenerwował cię dzisiaj, zapomnij o tej rozmowie na parę dni. Umów się z Leo Derwentem, a ja spróbuję trochę poszperać. Zapytam moich kumpli z Ministerstwa Spraw Wojskowych. Już poprzednio mi pomagali. Taka jesteś podminowana, chodź tutaj do mnie.

Julia spojrzała na niego w skupieniu.

- Co ja bym bez ciebie zrobiła? Nie zasługuję na ciebie, Ben. Przychodzę do domu, przez cały wieczór gadam jak najęta i nawet nie zabrałam się do szykowania kolacji.

- Kolacja - rzekł stanowczo - może poczekać.

Rozdział 7

Leo Derwent był zdenerwowany. Zatelefonowała do niego Julia Hamilton w sprawie osobistej. Kiedy odłożył słuchawkę, poczuł niepokój.

To ona redagowała „Pod światło” i już zaczęły krążyć plotki o temacie, który miał rozpocząć ten cykl publikacji w listopadzie. Tak się chełpił przed Glorią King wtedy, przy kolacji, a teraz nagle te przechwałki stały się przerażającą groźbą.

Julia Hamilton poprosiła go o prywatną rozmowę, kładąc nacisk na słowo „prywatna”. Umówił się z nią w swym biurze w Izbie Gmin.

Gdy przyszła, udawał odprężonego, wypytywał ją o postępy w karierze zawodowej od czasu ich ostatniego spotkania. I choć jako minister stanu cenił sobie wizytę przedstawicielki prasy z tak liczącej się gazety, to jednocześnie w czasie tej grzecznościowej rozmowy poczuł pot pod pachami i na dłoniach.

Sekretarka przyniosła na tacy kawę.

- Cóż - rzekł wreszcie. - Wiem, że jest pani bardzo zapracowaną osobą, a i mój czas jest ograniczony, więc czym mógłbym pani służyć, panno Hamilton?

Julia otworzyła torbę wiszącą na jej ramieniu i wyjęła z niej kopertę.

- Weszliśmy w posiadanie tego - powiedziała spokojnie. - Pomyślałam, że powinien pan to obejrzeć. - Obserwowała go, jak otwiera kopertę i patrzy na pierwsze zdjęcie. Krew uderzyła mu do głowy, a następnie z niej spłynęła, aż twarz zbieleła mu jak płótno. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć. Odłożył fotografie na biurko odbitkami do dołu, po czym spojrzął na Julię.

- Skąd pani to ma? Co to ma znaczyć? - Wyglądał, jakby był w

szoku.

- Sprzedano je mojej gazecie - odrzekła. - Razem z kilkoma taśmami magnetofonowymi nagranyymi w czasie sesji z tą panią.

- Czego pani chce? - Patrzył na nią przerażony. - Chyba nie ma pani zamiaru zamieścić w gazetach tych... Ja panią zaskarżę do sądu, będę z panią walczył, pójdę do najwyższej instancji... - Słowa te brzmiały buńczucznie, ale Derwent był porażony strachem.

- Nikt nie zamieści takich rzeczy w żadnej gazecie - powiedziała Julia. - Panie Derwent, nie przyszedłem po to, żeby pana demaskować czy grozić. Przyszedłem, ponieważ nienawidzę szantażu, a sądzę, że to się właśnie panu przytrafiło. Chcę wykorzystać ten temat do publikacji, ale pana nazwisko nie padnie. Pragnę nastraszyć tych, którzy robili te zdjęcia i chcieli pana od siebie uzależnić. Jestem z panem zupełnie szczerą. Z naszej strony nic panu nie grozi. Chcę panu pomóc.

Potrząsnął głową.

- Jestem skończony - powiedział. - Całkowicie skończony. Jeżeli pani tego nie opublikuje, to pójdą do kogoś innego...

- Wykupiliśmy negatywy - odparła. - Ktoś podsunął je do mojego działu publicystycznego i chcę się dowiedzieć dlaczego. Proszę mi powiedzieć uczciwie, czy ktoś próbował pana szantażować? Dlaczego kazał pan im odkryć karty?

- Że wystąpili z tym? Mój Boże. Oddałbym ostatni grosz, żeby to wykupić. Nie. Po prostu nikt się do mnie nie zgłosił. Och, mój Boże - powtórzył. - Muszę się napić. Pani wybacz.

Wstał i otworzył szafkę. Butelki i szklanki były przygotowane dla gości. Nalał sobie sporą porcję czystej wódki i wrócił do biurka.

- Co za zamieszanie - powiedział. - Co za cholernie potworne zamieszanie.

- Nie domyśla się pan - spytała Julia - kto chciał na pana zastawić sidła? Ma pan jakichś wrogów?

Wypił wódkę.

- Narobiłem sobie wrogów, który z polityków może się przed tym ustrzec?

- Czy ktoś wie o tej pana przygodzie? Czy ta kobieta ma innych klientów? Gdzie pan ją znalazł?

Leo Derwent patrzył na nią spod zmarszczonych brwi.

- Nigdzie jej nie poderwałem, o ile to miała pani na myśli. Poznałem ją na przyjęciu, na kolacji. - Zmarszczki pogłębiły się. - Nie była prostytutką, tylko jedną z zaproszonych osób. Porozumieliśmy się, oboje lubimy ten sam rodzaj zabawy. Nigdy jej nie płaciłem, czasem

jedynie dawałem prezent albo kwiaty.

- Ona nie należała do gości - stwierdziła Julia. - To była przynęta.

Kto wydawał to przyjęcie?

Przez chwilę nie odpowiadał, po czym rzekł:

- Harold King. Pojechałem do jego domu na weekend. A ona przyjechała z jakimś mężczyzną.

- I wysyłała do pana bardzo oczywiste sygnały? - podsunęła Julia.

Skinął głową.

- Niezwykle zachęcające. Chryste. Nawet przez myśl mi nie przeszło...

- Dlaczego miałby pan coś podejrzewać - przerwała mu Julia. - Poznał ją pan w domu przyjaciela. Czy uważa pan Harolda Kinga za swego przyjaciela?

- Raczej za znajomego. Byłem u niego raz czy dwa. Sądziłem, że poluje na mnie dla swojej córki... Zawsze siedziała koło mnie, bawiła mnie rozmową. To mi się wydaje raczej dziwne. Chryste - mruknął znowu. - Myśli pani, że to był King?

- A kto inny? - spytała Julia. - Chciał czegoś od pana i wszystko zaaranżował. Posłużył się tą kobietą. Musiała mieć przygotowany aparat i taśmy, a później wręczyła mu cały materiał.

- Wobec tego dlaczego go nie wykorzystał? - zastanawiał się Derwent. - Po co go przekazał pani? On by Westernowi nie dał guzika z pętelką.

- W grę wchodziło coś znacznie ważniejszego. Więc poświęcił pana.

- Czego pani ode mnie oczekuje?

Odzyskał panowanie nad sobą. Wyglądał na zawstydzonego i wściekłego równocześnie. King ma w nim teraz nieprzejednanego wroga, uznawała Julia. Zapędzony w ciasny kąt lis, który doskoczy do jego gardła, gdy tylko nadarzy się sposobność.

- Niczego - odparła spokojnie. - Niech się pan zachowuje tak, jakby nic się nie stało. Proszę się spotkać z Kingiem, o ile oczywiście potrafi pan to znieść, i odnosić się do niego po przyjacielsku. Niech pan zaprosi jego córkę na lunch.

Spojrzał na nią z zainteresowaniem.

- Po co?

- Ponieważ pracujemy nad czymś, co zaprowadzi Kinga na ławę oskarżonych. Pod bardzo poważnymi zarzutami natury kryminalnej.

Leo Derwent uśmiechnął się.

- To mi się podoba - rzekł. - Co jeszcze miałbym zrobić?

- Powtórzyć mi wszystko, co pan usłyszy, o czym pan się przypadkiem dowie. Dlatego sugerowałam kontakt z córką. Czy pan jej się podoba?

Pokręcił przecząco głową.

- Słyszałem, że jej podobają się dziewczyny. Zresztą to by mnie nie dziwiło. Ale spróbuję. Na Boga, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby pograć tego drania. - Po czym dodał szybko: - A co z tą publikacją o szantażu... czy ma pani zamiar dać do zrozumienia, że chodzi o niego? Co wtedy będzie z moim bezpieczeństwem?

Julia wstała.

- Potraktujemy temat w ogólnych zarysach. Znajdzie się wiele przykładów, na które będzie się można powołać bez wskazywania konkretnych osób, żeby nikt nie został zidentyfikowany. Mój szef chce zapolować za jednym zamachem na kilka zajęcy, nie tylko na jednego. A to jest dowodem wiarygodności jego zamiarów. - Wręczyła mu grubą kopertę. - Tu jest wszystko - powiedziała. - Negatywy i taśmy. Chyba się pan więcej z nią nie spotka.

- Jeślibym się spotkał - odparł z dzikim wyrazem w oczach - to tym razem nie byłaby to zabawa.

- To wyjątkowo odrażający facet - powiedziała Julia do Bena tego wieczoru. - Nie zaufałabym mu nawet na jotę, gdybym nie musiała. Ale po naszej rozmowie on zrobi wszystko, żeby się Kingowi odplacić. A my może czegoś się dowiemy. Obiecał, że porozmawia z jego córką. Powiedział, że to lesbijka, ale to go nie powstrzyma. Mój Boże, my dobieramy sobie prawdziwe perły ludzkości, prawda?

- We wszystkich można znaleźć dobro i zło. My, w naszym zawodzie, też nie jesteśmy niewinni jak lilie. A tu masz coś, co pozwoli ci zapomnieć o niesmaku po rozmowie z Derwentem. Przeczytałem to w godzinę.

Podał jej niewielką książeczkę, wydaną własnym nakładem autora. „Wspomnienia z wojny na pustyni”. Autor był oficerem w Pułku Wschodnioangielskim. Został odznaczony Orderem za Wybitne Zasługi za waleczność w bitwie o Sidi Abbas. Wzięty do niewoli, kiedy usiłował przedostać się do brytyjskich pozycji w Tobruku.

Okładkę zdobiła fotografia przystojnego młodego człowieka w wojskowych szortach i koszuli, w czapce włożonej zawiądką na bakier, pozującego do zdjęcia z trzema innymi mężczyznami.

- Kochanie - zaczęła Julia delikatnie - miałam taki męczący dzień. Chyba nie jestem w nastroju do czytania wojennych historii.

- A ja sądzę - odparł Ben łagodnie - że do tej będziesz miała na-

strój. Wewnątrz jest kilka dobrych fotografii. Uwierz mi...

Spojrzała na niego i spytała:

- Ben, ty coś odkryłeś... dlaczego mi nie powiedziałeś? Pozwalasz mi tracić czas na opowiadanie o tym cholernym Leo Derwencie...

- Bo musiałeś go wydalic ze swego organizmu - odpowiedział. - Dzisiaj ja robie kolacje. A ty mozesz sie w to zagłębic.

Kładł steki na grill, gdy usłyszał jej okrzyk. Zajrzał do pokoju.

- Ben - powiedziała podniecona. - To on! Popatrz na to zdjęcie!

- Mówiłem ci, że cię to zainteresuje. Poczekaj, aż skończysz.

Joe Patrick wertował raporty agencji detektywistycznej. Nie powtórzył już swego poprzedniego błędu; informował Kinga codziennie. Niestety, taśmy z telefonów Harrisa i Hamilton zostały stracone, a nie było szansy dostania się do nowego mieszkania, gdzie się razem wprowadzili. Budynek miał wyjątkowo dobry system bezpieczeństwa, łącznie z wewnętrzną telewizją i stale dyżurującym portierem.

Śledzący Julię donieśli, że pojechała do Izby Gmin i to była jedyna wyrwa w rutynie jej zawodowych, codziennych zajęć. Wiedli z Harrisem spokojne życie domatorów, rzadko gdzieś wychodzili. Kiedy się tak zdarzyło, to z reguły wybierali się do tej samej restauracji i pubu, położonych niedaleko biur „Heralda”. Tak więc King doszedł do wniosku, że właściwie nic się nie działo i to było pocieszające. Najwyraźniej po śmierci Jean Adams znaleźli się w ślepej uliczce.

Pertraktacje w Nowym Jorku zbliżały się do punktu kulminacyjnego. Wraz z Głorią, przed wyjazdem z Anglii, odbyli spotkanie z przedstawicielem kierownictwa zarządu funduszu emerytalnego. Po złożeniu podpisów przez Kinga, Głorię i zastraszonego głównego księgowego, który nawet nie przeczytał tego dokumentu, sto dwadzieścia milionów ulokowanych tam funtów przeszło pod osobistą kontrolę Kinga. Ten kapitał przedstawiony prezesowi zarządu Banku Handlowego robił wrażenie prywatnych aktywów.

Po drodze zatrzymali się w Miami. King nie chciał włączyć Glorii do nowojorskich pertraktacji. W tę część finansowych interesów wprowadzi ją później.

Zgodziła się ze zwykłą uległością. Zwrócił uwagę, że potrafiła terroryzować towarzyszący im z Londynu personel, zaś w hotelach służbę traktowała równie despotycznie jak on. Tylko wobec niego zachowywała się niby pokorny i pełen uwielbienia akolita.

W Miami King też był zajęty, więc Gloria poszła do Klubu Mimi,

żeby poopalać się koło basenu. Dostała się tam dzięki uprzejmości właściciela, który prowadził z Kingiem interesy. Uznała, że jedna z kelnerek roznoszących koktajle jest atrakcyjna. Zapewniła sobie jej usługi, zwracając się do kierownika hotelu z żądaniem przydzielenia tej dziewczyny jako osobistej pokojówki. Kelnerka zrozumiała, że lepiej będzie, jak wygodzi pannie King, niżby miała stracić pracę. Sprawa skończy się sutym napiwkami. Była przyzwyczajona do świadczenia usług mężczyznom. Z kobietą-kochankiem to było jej pierwsze doświadczenie. Zwierzyła się potem swym przyjaciółkom, że faceci tej brzydkiej suki ze względu na jej niepoohamowaną żądzę poprzestawali na starcie. Ale ona sama była niezła. Taka odmiana okazała się nawet miła. Dość jej się to podobało.

King spędził dwa dni na konferowaniu z przedstawicielem lokalnej mafii, będącym właścicielem Klubu Mimi i trzech największych restauracji w Miami. Miał większość udziałów w spółce dysponującej wieloma agencjami ochroniarskimi i salonami masażu. Jego ambicją było przejęcie pozycji „ojca chrzestnego”, który opanował w tym zakresie biznes w całym kraju. Miał zobowiązania wobec Kinga, który prał mu brudne pieniądze za pośrednictwem jednej z uzależnionych od niego firm w Liechtensteinie. Można to było nazwać raczej przysługą towarzyską niż poważnym interesem, lecz King uważał, że trzeba utrzymywać takie kontakty, bo może nadejść czas, gdy poprosi o odwzajemnienie życzliwości. Zbierał sojuszników przed planowanym po Nowym Roku przejęciem koncernu Western International.

Wieczorem, przed powrotem do Anglii, King podejmował go kolacją w jego własnej restauracji i przedstawił Glorii. Świetnie wyglądała, opalona i odprężona po południu spędzonym z kelnerką. King był z niej dumny. Mafios zachowywał się kurtuazyjnie. Kiedy wyszła, a oni jeszcze pozostali, żeby wypalić ostatnie cygaro, powiedział:

- Uroczą dziewczyną. Jeszcze niezamężna?

King wzruszył ramionami i rzekł:

- Jest bardzo wymagająca. Za bardzo kocha tatusia, żeby go opuścić.

- Taak. Moja córka jest taka sama. Ale ma dobrego męża i czworo dzieci. One dodały mi energii życiowej, te dzieciaki. Znajdź dla niej kogoś odpowiedniego. Ja wynalazłem Marii mężczyznę i są bardzo szczęśliwi. Człowiek musi mieć wnuki, jak dochodzi do naszego wieku.

King przyjął to pochlebstwo za dobrą monetę. Był przynajmniej piętnaście lat starszy od Amerykanina.

- Nie ma pośpiechu - odparł. - Znajdzie sobie kogoś.

Jednak myśl o małżeństwie córki zapadła mu głęboko do serca. Gloria była świetną partią. Nie szkodzi, że dotąd nie interesowała się mężczyznami. King nie przywiązywał do tego wagi. Była wysoką, potężnie zbudowaną dziewczyną, a do tego nieśmiałą. Dawno temu ostrzegął ją przed łowcami posagów. Może to ją powstrzymywało.

Wrócił do Londynu w poczuciu wzrastającej pewności siebie. Wszystko układało się po jego myśli. Przeczuwał sukces i ostateczne zwycięstwo. Intuicja nigdy go nie zawiodła. Najbardziej ryzykowne przedsięwzięcie, jakie kiedykolwiek podejmował w interesach, wchodziło w ostatnią fazę i wszystko wskazywało na to, że szczęście mu sprzyja.

- Billy. - Evelyn zwróciła się do męża stanowczym tonem. - Nie wolno ci tak ciężko pracować. Spałeś tylko pół nocy, jesteś taki spięty, że nawet w czasie weekendu nie możesz się odprężyć.

- A mogę? - zapytał. - Skoro nic się nie dzieje? Nic. Mamy tylko ten cholerny temat o podatności polityków na szantaż w związku z ich prywatnym życiem, a jeśli chodzi o Kinga, to nie widać, żeby coś się posuwało naprzód. Mówiłem jej, chcę, aby artykuł o nim ukazał się w grudniu. I jak dotąd nic nie zrobiła - powtórzył uderzając dłonią w stół. Kryształowy kieliszek drgnął. Western wytarł kilka kropli wina z błyszczącego politurą blatu. - Od czasu zabójstwa tej kobiety oni w ogóle utknęli w miejscu.

Przekazał Evelyn nowiny, kiedy przebierali się do kolacji. Był tak zdenerwowany, że zrezygnował z pójścia do teatru z przyjaciółmi i stwierdził, że pragnie spędzić spokojny wieczór w domu tylko z nią. Evelyn bez wahania dostosowała się do jego życzenia, telefonicznie usprawiedliwiła ich zmianę planów swoim przeziębieniem i gorączką. Kiedy zdarzało mu się przeżywać stany takiego napięcia, ona mu ustępowała. Tak, przyznała, usiłując robić wrażenie całkiem spokojnej, wiadomość o sojuszu Kinga z Bankiem Handlowym jest niepokojąca. Ale przecież zdawał sobie sprawę, że King pojechał do Stanów, żeby zaciągnąć pożyczkę.

- Nie wiedziałem, że chodzi o taką sumę - zaprotestował. - Zabezpieczoną olbrzymią kwotą jego własnych aktywów. On zamierza przyspieszyć uderzenie we mnie, a ja nie będę w stanie mu przeszkodzić. Teraz zacznie rozpuszczać pogłoski. Że mamy finansowe kłopoty. Że ja nie panuję nad sytuacją. Dobry Boże, Evie, znam tę taktykę, on już ją stosował wobec innych. Wiem, jak się zaczyna rozkład. On ma w kieszeni dwóch dziennikarzy, specjalistów w

dziedzinie finansów. Napiszą wszystko, co im poleci. Poczekaj tylko i przekonasz się, zaraz po Bożym Narodzeniu, gdy już się oczyści przedpole dla wiadomości gospodarczych, to się zaczniesz. Przepraszam cię, ale nie mam apetytu.

- Chodź - powiedziała łagodnie. - Napijemy się kawy w salonie. Dostaniesz brandy i poczujesz się lepiej. Wpadłam na pewien pomysł i jestem ciekawa, co o nim powiesz.

Evelyn Western nieraz już podsuwała mężowi dobre pomysły. Była bardzo inteligentną kobietą. Nie miała zaprzątniętej uwagi tymi wszystkimi codziennymi, drobnymi problemami zawodowymi. Czasem potrafiła ocenić sytuację bardziej przenikliwie niż on.

- Dobrze - odparł. - Przepraszam, że cię tak zanudzałem przez cały wieczór. Musiałś zrezygnować z teatru. Wiem, że bardzo chciałaś tam iść.

Uśmiechnęła się i na chwilę ujęła jego dłoń w swoją.

- Wolę mieć dobrze przespaną noc, jak się nie będziesz kręcił i wiercił koło mnie. Nie przejmuję się teatrem. Możemy pójść kiedy indziej, po tych recenzjach będą to grały bez końca. Przejmuję się tylko tym, że ty się denerwujesz. To ci szkodzi, sam wiesz.

Poprowadził ją do salonu. Usiedli na sofie. Lokaj przyniósł im kawę, a Evelyn powiedziała do niego:

- Poproszę o dużą porcję brandy dla jego lordowskiej mości, Arturze.

Nieszczęsny Filipińczyk nadal pozostawał na służbie w ich domu w Hampshire. Dalej był nękany przez pracodawcę, lecz tolerowany, gdyż Evelyn Western wiedziała, że zmiana mogła im wyjść na gorsze. W Londynie od dwunastu lat usługiwał im lokaj Anglik. Poprzednio pracował w pałacu królewskim i Western panicznie się go bał. Ale jego obecność dodawała domowi Westernów prestiżu.

Kiedy zostali sami, Evelyn zaproponowała:

- Może ja porozmawiałabym z Julią?

- A co to da? Ja z nią rozmawiałem i to ostro.

- O tak, z pewnością, i być może to nie było najlepsze podejście. Billy, czy pomyślałaś, że ona nie chce już zajmować się tą sprawą? Ta biedna kobieta została zamordowana... Julia nie należy do tych, którzy przyszliby i przyznali się, że jest zbyt przestraszona, aby to dalej prowadzić.

Odpowiedział po pewnej chwili:

- Ale mogłaby przyznać się tobie.

- Właśnie. Ona mi ufa. Uważa, że trzymam jej stronę. I tak jest, o ile oczywiście to nie koliduje z twoim interesem. Pozwól, że zaproszę

ją na lunch i pomówię z nią szczerze. Jeżeli rzeczywiście się boi, to może potrafię ją uspokoić. Takie moralne doładowanie akumulatorów. - Uśmiechnęła się do niego. - Pogrożki nie zawsze odnoszą skutek.

Western podniósł wzrok na żonę. Spokojna i piękna, życzliwy i mądry doradca młodej kobiety, której grozi śmiertelne niebezpieczeństwo.

- Wiesz - stwierdził. - Ty jesteś jeszcze bardziej bezlitosna niż ja.
- Tak, z pewnością, gdy tobie coś zagraża. Zostaw Julię mnie.

- Czy powiedziała, dlaczego chce się z tobą spotkać? - spytał Ben.

- Nie, tylko zaproponowała wspólny lunch i właściwie nie mogłam jej odmówić - odparła Julia. - Zawsze była dla mnie miła, zwłaszcza kiedy zaczynałam pracę w „Heraldzie”. Ben, tak się zastanawiam... czy uważasz, że mogłabym ją zapytać o Westerna? Może mnie zechciałaby się zwierzyć.

- Nie - odrzekł stanowczo. - Mnie się wydaje, że ona spodziewa się zwierzeń z twojej strony. Kochanie, wiem, że to urocza dama, że oprowadzała cię po sklepach i w ogóle była pomocna, ale ona jest jego żoną. Nie mogłaby żyć przez czterdzieści lat z takim bezwzględny typem, jak Western, gdyby coś z niego na nią nie przeszło. Mówiłaś o ich wielkiej zażyłości, więc bądź ostrożna. Nie daj się wywieść w pole i nie opowiadaj jej niczego, czego byś jemu nie powiedziała. Obiecujesz?

- Dobrze - zgodziła się Julia. - Ale mylisz się co do niej. Zawsze odnosiła się do mnie przyjaźnie. Nie bądź taki cyniczny.

- Tylko pamiętaj - nalegał. - Ona jest po stronie Westerna, nie po twojej. Nie bądź zbyt ufna.

Miał nadzieję, że Julia go posłucha, lecz nie był tego pewny.

Spotkały się w hotelu Hyde Park. Julia przyszła wcześniej, a Evelyn jak zwykle się spóźniła.

- Moja droga, tak mi przykro. Mam nadzieję, że długo nie czekałaś. Był okropny korek, nie mogłam się tu dostać. Może się czegoś napijemy, zanim wybierzemy coś z karty?

Była piękna, jej uroda nie poddała się upływowi czasu. I miała dystyngowany wygląd w odróżnieniu od swego pospolitego męża. Gdy prowadziła Julię w stronę restauracji, ściągała na siebie pełne podziwu spojrzenia.

- Zamówiłam stół przy oknie - powiedziała. - Uwielbiam wi-

dok parku, a ty? Wyglądasz ślicznie jak zawsze. Uroczy jest ten ciemnożółty kolor. Fantastycznie dobrany do twych rudych włosów.

Julia na nowo poczuła przyływ sympatii do tej kobiety, nic na to nie mogła poradzić.

- Dzięki, lady Western. Jedna z pierwszych sukienek, którą pani poradziła mi kupić, była właśnie w kolorze jaskrów. Nosiłam ją bardzo długo, dopóki ze mnie nie spadła.

- Wielkie nieba - powiedziała Evelyn. - Rzeczywiście ja ci doradzałam. Kiedy to było? Ile to lat minęło? I popatrz, jak wspaniale ci poszło.

- Dzięki lordowi Westernowi. On mi stworzył możliwości.

- Zawsze popierał młode talenty. Na twoim poznał się od razu. Naprawdę ma o tobie jak najlepsze zdanie.

- Miło to usłyszeć - odparła Julia.

Evelyn rzuciła jej porozumiewawcze spojrzenie i powiedziała:

- Ludzie go oczerniają. Nie zdają sobie sprawy, jakim on jest nadzwyczajnym człowiekiem, w istocie otwartym i szczerym. Często mu wyrzucam, że jego manery nie są na miejscu. Pobrzękuje szabelką. - Uśmiechnęła się pobłaźliwie. - Chyba mężczyźni uważają, że to takie męskie. Gdyby stracił wszystko, co stworzył, to byłaby tragedia. Tę wspaniałą gazetę i jego inne przedsięwzięcia. Daje zatrudnienie tysiącom ludzi. Nie muszę ci mówić, że nasz system emerytalny jest najkorzystniejszy w całym przemyśle związanym z mediami. William bardzo przejmuję się losem ludzi. Nigdy o tym nie mówi i nie okazuje tego, ale oczywiście jest inny w rozmowach ze mną. - Pochyliła się nieco do przodu. - Dlatego, Julio, on potrzebuje twojej pomocy. Ta potworna kreatura, King, chce mego męża zrujnować i wszystko mu odebrać. Zaciągnął ogromne kredyty w Ameryce, grube miliony, żeby zmontować przeciwko nam atak i położyć łapy na „Heraldzie”. Gdyby mu się udało, Williama by to zabiło. A ja także nie potrafiłabym tego przeżyć.

- Lady Western - zaczęła Julia powoli - staram się, naprawę.

- To bardzo dzielnie z twojej strony po tej historii z Jean Adams. Tego się Julia nie spodziewała. Evelyn ciągnęła dalej.

- Rozmawiałam z mężem. Mówił mi, że się martwi, bo może czujesz się zagrożona i tylko nie chcesz się przyznać. Ale jeżeli tak się sprawy mają, to musisz powiedzieć. Ani on nie będzie miał do ciebie pretensji, ani nikt inny. Jestem przekonana, że Ben Harris przejmie tę sprawę od ciebie.

- Ben byłby zachwycony, gdybym z niej zrezygnowała. Próbował mnie przekonać, nawet poszedł do pani męża... ale ja się nie

wycofałam. Chcę zobaczyć Harolda Kinga za kratkami i mam zamiar go tam wsadzić. To morderca. Kiedy pisałam relacje o tym straszliwym zabójstwie dzieci w Walii, stawiałam dopiero pierwsze kroki. Byłam zupełnie zielona, całkiem niedoświadczona. Ale przetrzymałam to, bo pragnęłam, żeby przestępca, który popełnił ten czyn, został złapany i ukarany. To samo czuję do Harolda Kinga. Proszę się o mnie nie martwić, lady Western. Posuwam się do przodu i chyba jestem na dobrym tropie. Czy mogłaby mi pani wyświadczyć przysługę?

- O ile to możliwe - odparła Evelyn. - O co chodzi?

- Chciałabym dostać tygodniowy urlop. Mogłaby pani zasugerować to mężowi? Że powinienam na krótko oderwać się od pracy. Gdybym poprosiła go sama, pomyślałby, że się wycofuję ze strachu, albo chciałby się dowiedzieć, dlaczego wyjeżdżam, gdzie i w jakim celu, a teraz jeszcze nie mogę mu powiedzieć. Czy zrobiłaby to pani dla mnie?

- Chyba tak. Wie, że umówiliśmy się na lunch. Ale myślę, że mnie możesz powiedzieć.

„Nie bądź zbyt ufna” - przekonywał ją Ben. „Ona jest po stronie Westerna, nie po twojej...” Przez moment kusiło ją, żeby się zwierzyć. Popatrzyła w piękne, niebieskie oczy, wpatrujące się w nią z taką intensywnością.

- Wolałabym nie mówić - rzekła.

- Wybacz, że prosiłam - powiedziała Evelyn. - Wiesz, jestem taka zaniepokojona tym, co może się zdarzyć. Czas jest naszym wrogiem, moja droga. Nie zawieź, dobrze?

- Dobrze - odparła Julia. - Przyrzekam.

- Myliłeś się - powiedziała Julia. - Wcale nie starała się mnie wysondować.

Ben wzruszył ramionami. Istotnie Evelyn Western nie usiłowała wyciągnąć od Julii informacji. Nie bacząc na to, że Julii grozi niebezpieczeństwo, przekonywała ją o konieczności dalszego prowadzenia przez nią sprawy. Zastosowała najbardziej skuteczną metodę wywarcia presji, a zarazem bardzo subtelną, polegającą na odwołaniu się do poczucia wdzięczności Julii za pomoc udzieloną na początku jej kariery zawodowej. Western człowiek, który przejmuje się losem swych pracowników. Otwarty i szczerzy.

Trzymał złość na wodzy, kiedy Julia powtarzała mu tę rozmowę. Nie potrafiła przejrzeć tej kobiety. Lubiła Evelyn i ufała jej.

- On da ci ten urlop i będzie udawał, że nie wie, iż chodzi o coś, co może przysporzyć mu kłopotów, a czego ty nie chcesz mu powie-

dzieć. Kochanie, ona powtórzy mu wszystko, co mówiłaś, słowo po słowie. Choć to już nie ma znaczenia.

- Nic nie ma znaczenia - stwierdziła Julia - poza tym, że muszę być na Jersey przed Bożym Narodzeniem. Wszyscy pomyślą, że wyjechałam na urlop.

- Wyglądałoby bardziej przekonująco, gdybym pojechał razem z tobą - zasugerował.

- Nie. Nie mogłabym zamieszkać u moich kuzynów. A to jest częścią planu. Muszę sprawiać wrażenie, że rzeczywiście przyjechałam do nich na urlop. A ty nie możesz stale trzymać mnie za rączkę.

Wyciągnęła rękę i uściśnęła jego dłoń.

- Chociaż ja to lubię - dodała. - Ben, pozwól mi rozegrać to po swojemu. Jeżeli wrócę z czymś konkretnym, znowu będziemy działać razem. I razem latać samolotami.

Zmieniła temat.

- Masz jakieś wiadomości od Lucy? - Ben pozostawał teraz w stałym kontakcie z córką.

- Telefonowała dziś rano. Ma mdłości, ale poza tym czuje się dobrze. Boże, w kwietniu zostanę dziadkiem. Cieszę się bardzo.

Julia się roześmiała.

- Wiem. Opowiadasz, jak to inni potrafią wywodzić ludzi w pole, a sam jesteś największym szalbierzem. Stary malkontent Harris, niezycliwy światu. To było tylko dobre aktorstwo. - Pocałowała go lekko. - Jesteś taki wrażliwy.

- Jeżeli rzeczywiście - odrzekł - to dzięki tobie. Co chcesz dostać pod choinkę?

Julia udawała, że się zastanawia.

- Futro z nerek... nie, to staromodne, jeszcze by mnie opluli na ulicy. Jakiś drobiażdżek z kilkoma brylantami. - Uwielbiała się z nim przekomarzać. Po czym powiedziała już poważnie. - Weekend w Fordingbridge po świętach Bożego Narodzenia. Zadośćuczynienie za ten obiecany mi przez Feliksa. To właśnie chciałabym dostać.

- I będziesz miała - przyrzekł. - Ale ja nie umiem łowić ryb.

- Ja także. Możemy wziąć lekcje. A kto się zajmie biedną Kicią?

- Poproszę portiera. Dam pięćdziesiąt funtów, to będzie ją karcił.

Spędzili spokojny, miły wieczór. Rozmawiali, oglądali telewizję. Zanim zasnęła u jego boku, pomyślała jeszcze: to połączenie namiętności i koleżeństwa przypomina małżeństwo. Nigdy się z nim nie nudziłam od dnia, kiedy weszłam do pubu i wypiliśmy razem pierwszego drinka. Czasami bywałam zirytowana, zbuntowana,

zagubiona, ale nigdy znudzona. Objęła Bena ramieniem, przytuliła się do niego i zasnęła.

- Zaprosił mnie do teatru i na kolację - powiedziała Gloria.

Ojciec spojrzał na nią podejrzliwie.

- Chyba się nie wybierasz? Z tym chłystkiem?

- Zdobył dwa bilety na nową inscenizację Otella w reżyserii Branagha. Chciałabym to zobaczyć. Poza tym, tatusiu, sam mi kazałeś się z nim zaprzyjaźnić.

- To było kiedyś - rzekł King gwałtownie. Pomyślał, że wygląda na rozczarowaną. - Chcesz z nim iść?

Zawahała się.

- Jeżeli ty sobie tego nie życzysz, to nie. Chciałabym zobaczyć sztukę, to wszystko.

King natychmiast złagodniał.

- To idź, kochanie, skoro ma ci to sprawić przyjemność. Przynajmniej nie będziesz musiała uczestniczyć w tym balu dobroczynnym, który mama wydaje.

Roześmieli się oboje.

- I tak bym nie poszła. Takie imprezy nudzą mnie tak samo jak ciebie, tatusiu - powiedziała.

Leo Derwent. Była zaskoczona tym zaproszeniem. I zaintrygowana. Dowiedziała się od ojca, że on ma osobliwe upodobania seksualne. Ciekawa była, jakie.

Włożyła na ten wieczór bardzo kosztowną biżuterię. Leo Derwent wystąpił z bardzo miłym komplementem.

- Wspaniale wyglądasz, Glorio. Suknia jest urocza.

A pomyślał, że przypomina wielką szmacianą lalkę, obwieszoną brylantami. Groteskowy widok. Żałował, że na wieczór po spektaklu zamówił stolik w eleganckiej restauracji. Zwróci na siebie uwagę...

Sztuka pochłonęła Glorię, co Derwent przyjął z ulgą. Nie odzywała się w czasie przedstawienia; w przerwie wypili szampana i Gloria zaskoczyła go swymi inteligentnymi uwagami zarówno o sztuce, jak i jej inscenizacji. Wkrótce zapomniał, że jego towarzyska jest tak nieatrakcyjna. Natomiast rozmowa w czasie kolacji toczyła się z trudem. Po wyczerpaniu tematu przedstawienia Gloria nie miała wiele do powiedzenia. Mając na uwadze cel ich spotkania, Leo szybko zaczął ją wypytywać o podróż do Stanów.

Ożywiła się.

- Była fascynująca. Już przedtem wyjeżdżałam z ojcem, ale ta wyprawa była wyjątkowa. Wiesz, on mnie wszystkiego uczył.

Uśmiechnął się do niej.

- Jak dzierżyć berło?

Odpowiedziała uśmiechem, na jej białe policzki wystąpiły lekkie rumieńce.

- Tak, on chce, żebym pewnego dnia wszystko po nim przejęła.

- Naprawdę? - Leo Derwent nie był już ani trochę znudzony. - Co to za wyzwanie, myślisz, że dasz sobie radę?

Przyjęła postawę obronną.

- Czemu nie. Tatuś uważa, że sobie poradzę. Mówi, że mam zmysł do interesów zupełnie jak on.

- Jesteś zbyt pociągająca, żeby być jednocześnie taką zdolną.

Nie krygowała się. Nie spłonęła rumieńcem. Popatrzyła na niego wyblakłymi oczami Kinga i odrzekła:

- Nie jestem atrakcyjna dla mężczyzn.

To stwierdzenie nie wprawiło go w zakłopotanie. Roześmiał się.

- Daj spokój, Glorio, wiesz, że to nieprawda. Z wielu powodów możesz być ceniona. Dlaczego się przed tym bronisz?

- Jestem ceniona wyłącznie z powodu pieniędzy tatusia, wiem o tym.

- Sądzę, że się mylisz - rzekł. Bawiło go podrywanie tego dziwnego stworzenia jak ryby wędką. Podejrzewał, że raczej jak barakudę.

- Takie pieniądze jak twoje dla większości mężczyzn stanowiłyby prawdziwą przeszkodę. Śmiertelnie by ich wystraszyły. Jak poradzić sobie z dziewczyną, która ma wszystko? Jak dostosować się do takiego teścia jak Harold King. Pomyślałaś kiedyś o tym? Czy miałaś wielu adoratorów? - Po czym dodał miękko: - Gdybyś mnie zechciała... Tylko powiedz...

Zastanawiała się przez chwilę. Umawiała się już z innymi mężczyznami, lecz najczęściej kończyło się to na jednej lub dwóch randkach. Ona była znudzona i oni także. Co manifestacyjnie okazywali. Ten mężczyzna o lisiej twarzy i bystrym umyśle był wyzwaniem. Nie rozmawiał z nią, jakby była tylko bogatą, głupią gęsią.

- Mnie nie pociągają mężczyźni - powiedziała, patrząc mu prosto w oczy. Ciekawa była, jak on to przyjmie. Lekki uśmiezek pojawił się na jego cienkich wargach. Ukazały się wąskie, spiczaste i bardzo białe zęby.

- Według mnie to dlatego, że nigdy nie spotkałaś mężczyzny, który potrafiłby z tobą właściwie postępować - stwierdził. - Jesteś taka jak twój ojciec. Masz silną osobowość, a to dla mężczyzny wyzwanie. Czy lubisz dziewczyny?

- Wszyscy wiedzą, że ty je lubisz - odparła.

Odpłacił się jej zmianą wyrazu twarzy. Dojrzała w niej jakby błysk wrogości. Zastanawiała się nad przyczyną.

- Niektóre dziewczyny - powiedział. Uśmiechnął się do tej suki. Ta uwaga miała być próbną sondą, badającą, czy stwierdzenie dziewczyny zawierało jakąś ukrytą złośliwość. Nie odpowiedziała mu na pytanie o jej upodobania seksualne. Zrobiła unik. Zdecydował, że czas na zmianę tematu. Już zdobył jedną interesującą informację. King przygotowywał ją do objęcia sukcesji po nim. Zabrał ją do Stanów. Wprowadził ją w pewną sferę swej działalności zawodowej. Ciekawe byłoby wiedzieć, jaka to sfera, żeby móc przekazać na ten temat wiadomość.

Skoro King postanowił go zniszczyć, on zamierzał mu się odplacić w taki sposób, żeby odczuł to najboleśniej. Wykorzystując jego córkę z pomocą Julii Hamilton.

Zamówili ostatnie danie, Gloria wybrała najdroższy pudding z karty. On dbał o linię, więc tylko dla dotrzymania jej towarzystwa zadowolił się sorbetem, którego wcale nie lubił. Nic nie mówiła, zajęta jedzeniem. Później spytała:

- Nie lubisz jeść? Ja uwielbiam.

- Jestem żarłokiem jak każdy mężczyzna, ale muszę pilnować wagi. Gruby polityk nie jest dobrym przykładem dla naszego dbającego o zdrowie społeczeństwa.

Spojrzała na niego nieco pogardliwie.

- Przejmujesz się takimi rzeczami? Mnie by to nie obchodziło.

- Zależy mi na sprawianiu dobrego wrażenia. Jestem ambitnym draniem. Wszyscy to wiedzą. Pragnę dostać się na szczyt drabiny. Jeżeli się do tego ma przyczynić mój rozmiar w pasie, to muszę uważać.

Gloria spojrzała na niego z zainteresowaniem.

- Chcesz być premierem?

- A czy do tego nie dążą wszyscy politycy? Oczywiście, że tak. Dopiero wtedy wykazują mniej ambicji, gdy się okaże, że nie mają szans. Wiesz, z większością znanych mi kobiet nie prowadziłbym takich rozmów jak z tobą. Ale ty masz męski umysł. Lubię dziewczyny, ale nie umiem z nimi rozmawiać, są za głupie. Zamówię dla ciebie kawę, a sam wezmę brandy. Chyba że chcesz mi towarzyszyć?

- Tak - odpowiedziała. - Często piję brandy z tatusiem po kolacji. Siedzimy sobie i gawędzimy, kiedy już mama pójdzie spać. - Uśmiechnęła się nagle. - Ona jest potwornie głupia. Tatus nigdy niczego z nią nie omawia.

- Ale jest piękna - zauważył Leo. - Nie można mieć wszystkiego.

- Ona ma ambicje - rzekła Gloria. - I to nawet wielkie. Jest w każdym komitecie dobroczynnym, w fundacjach zabiegających o pieniądze i o członków rodziny królewskiej. Będzie zachwycona, kiedy tatuś dostanie tytuł lorda.

Upił łyk świetnej brandy i odezwał się takim tonem, jakby go to zbytnio nie obchodziło.

- Nie wiedziałem o tym. Czy jest na liście godności i odznaczeń nadawanych z okazji Nowego Roku? - Na myśl o tym czuł, jak żółć podchodzi mu do gardła.

- Nie, być może z okazji urodzin królowej. Dostanie go, on zawsze dostaje to, czego pragnie. Uparł się przy tym. Chyba dlatego, że tacy ludzie jak Western mają ten tytuł, a tatuś jeszcze nie. Nie cierpi, jak ktoś go prześciga. - Zachichotała. - Czasami w związku z tym z niego żartuję.

- A ty będziesz „czcigodna” - zauważył. - Czcigodna Gloria King. Brzmi to imponująco. - Uśmiechnął się. - I pasuje do ciebie. Wiesz, to był naprawdę bardzo miły wieczór. Kocham teatr, a żadna z moich znajomych dziewczyn nie doceniłaby sztuki, którą dzisiaj oglądaliśmy. Wiesz dlaczego cię zaprosiłem?

Gloria potrząsnęła przecząco głową. Brylanty kolczyków błysnęły ogniem.

- Ponieważ wtedy, gdy byłem u was w czasie weekendu, po wiedziałas mi, że lubisz teatr.

Odpowiedziała niby obojętnym tonem.

- Lubię również operę. Jestem bardzo muzykalna.

- A ja nie - przyznał. - Wolę balet. Lubisz balet?

- Nie - odparła stanowczo. - Ci wszyscy harcujący bez składu i ładu homoseksualiści. Uwielbiam włoską operę. W przyszłym tygodniu wystawiają Verdiego w Covent Garden.

- Więc może pójdziemy i przekonamy się, czy uda ci się mnie nawrócić.

- Nie dostalibyśmy biletów, od wielu tygodni są wyprzedane. Śpiewa Pavarotti.

Leo Derwent przywołał kelnera i poprosił o rachunek.

- A gdybym je zdobył, poszłabyś ze mną?

Gloria ukazała swe duże, równe zęby w kpiącym uśmiechu, który jednak nie był nieprzyjazny.

- Jeżeli dostaniesz bilety, to pójde. Nie powiem o tym tatusiowi. - Zachichotała. - Próbował i jemu się nie udało.

- No to jesteśmy umówieni - powiedział.

Odwiózł ją do domu. Nie dotknął jej. Sama myśl o tym wzbudzała

w nim odrazę, a poza tym ona jeszcze na coś takiego nie była gotowa. Jeszcze nie. Odprowadził ją do frontowych drzwi domu przy Green Street i z powagą potrząsnął jej dłonią.

- Dobranoc, Glorio. Bardzo dobrze się bawiłem. Zatelefonuję w sprawie opery.

- Nie dostaniesz biletów.

- Zawsze dostaję to, czego pragnę - odparł. - Jak twój ojciec.

Dobranoc.

Otworzyła drzwi i weszła do domu. Nie podziękowała mu. Niechętnie dziękowała ludziom, jej ojciec nigdy tego nie robił. To była oznaka słabości. On nie zdobędzie biletów na Verdiego, skoro ojcu się nie udało.

- Do licha! - wykrzyknęła Julia. - Nie ma ich. Wyjechali na dziesięć dni do Francji. Rozmawiałam ze sprzątaczką. - Spojrzała na Bena rozczarowana. - Miałam nadzieję, że pojedę tam na początku przyszłego tygodnia. - Jej kuzyni, Petersonowie, stale mieszkali na Jersey i zamierzała się wprosić do nich na tydzień. To miało wyglądać na zwykły urlop. Spodziewała się, że dzięki nim nawiąże kontakt z pewną osobą. Jednak nie było na to rady. Musi poczekać, aż wrócą i wtedy dopiero ustalić datę wizyty.

- Przestań się zamartwiać - poradził Ben. - W ciągu następnych dwóch tygodni nic się nie będzie działo. A poza tym masz na głowie Leo Derwenta i Głorię King.

- Tak - przyznała. - Znowu się z nią spotka w tym tygodniu. Bóg jeden wie, co oni mają ze sobą wspólnego... ale on jest sprytny. Muszę mu to oddać.

- I nienawidzi Kinga - rzekł Ben. - Więc wiemy, że King ubija interes w Stanach, że dopuścił urocą Głorię do swego biznesu i zabiega o tytuł lorda. Co łączy się z zamiarem przejęcia „Heralda”. Byłby jedynym tak potężnym właścicielem mediów w całym Zjednoczonym Królestwie. Żaden z polityków nie chciałby mu się narazić. Nawet członkowie rodziny królewskiej nie byłiby bezpieczni przed zagrożeniem ze strony tego potwornego łajdaka. Skóra mi cierpnie.

- I dlatego każdy dzień zwłoki ma znaczenie - zauważyła Julia. - Dlaczego ci piekielni Petersonowie musieli wyjechać do Francji właśnie teraz?

Wzruszył ramionami. Przemierzała nerwowo pokój. Nie widział jej tak przejętej od dnia zabójstwa Jean Adams. Ta zadra tkwiła w niej i nic, co mógłby powiedzieć, nie uwolniłoby jej od poczucia winy.

- Rozmawiałem dzisiaj z Lucy - oznajmił. W pierwszej chwili nie zorientowała się, o czym on mówi.

- Lucy... tak, oczywiście. Jak ona się miewa?

- Nadal ma nudności - odparł. - Ale powiedziała o ciąży matce, która przyjęła to lepiej, niż Lucy oczekiwała. Nie była tylko zachwycona, że ja pojawiłem się na widnokręgu. Chciałbym, żebyś poznała Lucy. Może byśmy wybrali się do Birmingham na weekend... Ona zawsze o ciebie pyta.

Julia odgarnęła do tyłu włosy; była zmęczona i trochę poirytowana. Bezsilność zawsze działała jej na nerwy. Powinna pojechać na Jersey, zamiast wybierać się na spotkanie z brzemienną córką swego kochanka.

- Ben, kochanie - powiedziała. - Wstrzymajmy się z tym. Mam zaprzątniętą głowę tą moją podróżą. Byłabym wam obojgu kulą u nogi. Dlaczego sam nie możesz pojechać?

- Miałbym zostawić cię w takim stanie? Nie ma mowy. Odłóżmy to na później.

- Moglibyśmy pojechać do moich rodziców na lunch - zaproponowała odruchowo. - Zawsze się o ciebie wypyują. Dość długo ich zaniedbywałam. Byłam tak zaabsorbowana pracą, a oni nie lubili Feliksa. Poza tym świata nie widzieli poza moim bratem i swoimi wnukami... Byłam zazdrosna. Ale teraz staliśmy się sobie bliżsi i chciałabym zobaczyć się z nimi przed Bożym Narodzeniem. Może następnym razem pojechalibyśmy do Lucy?

- Zgoda. Czemu nie. Chciałbym zobaczyć, skąd pochodzą te geny... któreś z nich ma rude włosy?

- Nie - uśmiechnęła się. - Ale miał ojciec taty. Pewno po nim je odziedziczyłam. Nie masz żalu, że pojedziemy do Lucy po moim powrocie z Jersey? - Westchnęła. - Mój wyjazd może mieć w naszej sprawie przełomowe znaczenie. Boże, tak chciałabym pojechać tam już jutro.

- Ale nie możesz, więc się odpręż - poradził. - Zatelefonuj do rodziców i umów się. Sprawdź, czy niedziela będzie im odpowiadała. Nie znoszę spędzać niedziel w Londynie. Wszystko jest takie bez życia. Jakby uśpione.

- Tego nie wiedziałam - stwierdziła. - Dlaczego wcześniej mi nie powiedziałeś? Moglibyśmy robić coś innego.

- Ponieważ uwielbiam być w ciągu dnia z tobą - odrzekł spokojnie. - Nasze poranki w łóżku były czymś niezwykłym.

- Nie są nadal? - spytała.

- O, nie - odrzekł kpiąco. - Ostatnio mnie odprawiłaś. Nie

zwróciłaś na to uwagi?

- Właściwie nie - powiedziała - jeżeli ostatnia noc miałyby o tym świadczyć. Dlaczego tobie zawsze udaje się mnie pobudzić? Dlaczego ja za tym tak przepadam?

- Ponieważ oszalałaś na moim punkcie - rzekł z powagą. - Nie rzucaj we mnie poduszką... Zatelefonuj do mamy.

Obserwując rozmawiającą przez telefon Julię, uświadomił sobie, ile ona zmieniła w jego życiu. Kiedyś niedziele były dla niego najbardziej nieprzyjemnym dniem tygodnia. Nie miał pracy, chyba że wypadło coś niespodziewanego. Często otwierał butelkę whisky, gdyż picie było sposobem na spędzenie czasu, zanim wreszcie poszedł spać. Teraz poranek niedzielny kojarzył mu się z wsią. Jego ojciec kochał ptaki i na pewien czas udało mu się zainteresować Bena ich obserwowaniem. Rodzice byli wieśniakami, wyznawali proste wartości i ich ulubione rozrywki nie wiązały się z posiadaniem pieniędzy. Uszczęśliwiała ich, że mają takiego zdolnego i ambitnego syna. Czasami Ben zastanawiał się, ile naprawdę dał im szczęścia. Żona cudzoziemka, rozbite małżeństwo, wnuki, które rzadko widywali. Oboje już nie żyli i w ciągu tych paru minut rozmowy Julii z matką Ben Harris przyznał się przed sobą, że bardzo żałuje, iż tak mu się w przeszłości potoczyło życie. Dla nich to już za późno, ale on dostał jeszcze jedną szansę. Szansę związaną z kobietą, którą kochał, i z córką, z Lucy. Syn, Frank, przesłał mu przez siostrę list utrzymany w przyjaznym tonie. W czasie rozwodu to on z dwojga jego dzieci był bardziej wrogo do niego nastawiony. Pomyślał, że może jeszcze wszystko da się naprawić.

Julia odłożyła słuchawkę i obróciła się do niego. Widać było, że odzyskała dobry nastrój, nie była już taka spięta.

- Ogromnie się cieszę - powiedziała. - Niedziela bardzo im odpowiada. Mama świetnie gotuje i wyznaje zasadę, że musi wszystkich karmić aż do granic wytrzymałości. Jest jedna sprawa... - zawałała się. - Oni marzą, żebym się ustatkowała. Prawie słyszałam dzwony weselne w jej głosie... nie przeraż się tym, dobrze?

Nie wygłądał na przerażonego.

- Nic się nie martw, panno Jot. Nie ma obaw. A może poszlibyśmy do Odeonu na nowy film z Harrisonem Fordem?

- Niektórzy mężczyźni - odparła Julia pogodnie - nigdy nie stają się dorośli. Harrison Ford... Tylko wezmę płaszcz.

- Gloria znowu idzie gdzieś z tym Leo - oznajmiła Marilyn King. Jej mąż spojrział na nią pochmurnym wzrokiem.

- Cholera, to już zaczyna jej wchodzić w nawyk. Co on sobie wyobraża? Porozmawiam z nią.

- Kochanie, czy musisz się wtrącać? Nigdy nie miała stałego kawalera. Chyba go lubi. - Matce trudno było wyobrazić sobie, że jakiś mężczyzna może zechcieć Glorię, lecz nawet ta wątpliwa szansa na pozbycie się córki z domu spowodowała, że stanęła w jej obronie.

- Bzdury - warknął. - Nie mogłaby lubić takiego gnojka. A skoro mówię, że chcę z nią porozmawiać, to porozmawiam - powiedział. Wrócił do czytania gazety. Po pewnej chwili uniósł wzrok i spytał. - Więc dokąd ona się z nim wybiera?

Marilyn odpowiedziała swym łagodnym głosem:

- Nie wiem. W zeszłym tygodniu byli w operze. Na Pavarottim. Nie mogłeś dostać biletów, pamiętasz?

To go zirytowało. Twarz mu poczerwieniała. Spojrzał na nią ze wściekłością.

- Wcale nie próbowałem - powiedział. - To ty chciałaś go usłyszeć.

Leo Derwent umawia się z jego córką. Od początku nie powinien był na to pozwolić. I zaraz musi położyć temu kres. Odrzucił na bok gazetę.

- Gdzie ona jest? - zapytał złowrogo. Jego żona знаła ten ton głosu.

- Na górze - odparła. - Szykuje się. - Jej nadzieja prysła. King nie pozwolił żadnemu mężczyźnie odebrać sobie córki. Westchnęła z rezygnacją, tak jak to czyniła w ciągu całego swego małżeńskiego życia. Jej wyobrażenie o szczęściu ograniczało się do pieniędzy, strojów i działalności społecznej. W sferze seksualnej dawała Kingowi to, czego od niej oczekiwał, do czasu, kiedy najwyraźniej mu się znudziła. Urodziła jedno dziecko i była zdziwiona, że on nie nalega na drugie w nadziei na syna. Zadowolił się córką, a jej dał wolną rękę. Nigdy nie wykorzystywała sytuacji, żeby brać sobie kochanków. Nie była do tego stopnia zainteresowana seksem; to się dla niej skończyło, gdy poznała rynkową wartość swej urody i kobiecego uroku. Odczuła tylko ogromną ulgę, że nie musi przechodzić przez tę grę udawania, stwarzać wrażenia, że ją to bawi. Te przeżycia wspominała ze wstrętem. Beznadziejne. Teraz życie ułożyło się jej lepiej niż kiedykolwiek - otoczona kręgiem wytwornych przyjaciół, oddawała się działalności dobroczynnej i miała - jak w bajce - styczność z rodziną królewską. Kiedy zostanie lady King, będzie to zwieńczenie jej życiowych ambicji. Przestała myśleć o Glorii i jej przelotnych miłostkach.

Harold King nie zapukał do drzwi sypialni córki. Otworzył je gwałtownie i wszedł do pokoju. Gloria właśnie wkładała elegancki, aksamitny płaszcz, obramowany lisim futrem.

- Chcę z tobą porozmawiać - oznajmił.

Uśmiechnęła się do niego przymilnie.

- Tatusiu, kochany, spóźnię się... Czy to takie pilne?

- Spotykasz się z tym zasańcem, Leo, co?

Jego ton ją zdumiał.

- Tak, to prawda.

King usiadł na jej łóżku. Podniósł na nią wzrok i powiedział:

- Odpraw go.

- Tatusiu, dlaczego? Co się stało?

- Skąd się wzięło to jego nagle zainteresowanie twoją osobą?

Nim kierują jakieś ukryte pobudki.

Lekkie rumieńce wystąpiły jej na twarz.

- Lubi moje towarzystwo, to wszystko. To nic więcej nie oznacza. Interesuje nas teatr i opera. Tatusiu, tu nie wchodzi w grę jakieś skryte zamiary. Ani seks, jeżeli to cię martwi. On mówi, że ja mam męski umysł i dobrze mu się ze mną rozmawia... Jesteśmy po prostu przyjaciółmi...

- Bzdura - rzekł King gniewnie. - W stosunkach z kobietami idzie mu tylko o jedno, związać je, a potem wychłostać po tyłku. On usiłuje cię w coś wciągnąć. - Nie zwrócił uwagi, że twarz córki robi się czerwona. Nie zdarzało się, żeby była na niego zła. - Zadzwoń i powiedz, że nie możesz iść.

- To premiera nowego musicalu Lloyda Webbera - powiedziała. - Nie mogę sprawić zawodu Leo w ostatnim momencie.

- Lloyd Webber? Ale kulturalnie....

Ten drwiący ton ją zranił.

- Proszę cię, tatusiu. - Jej oczy napełniły się łzami. - Proszę. Pójdę jeszcze tylko dzisiaj i więcej się z nim nie spotkam. Powiem mu to, obiecuję. - Po czym zdobywszy się na pierwszy w jej dorosłym życiu akt niezależności, wzięła wieczorową torebkę i przeszła obok niego.

- Powiem mu - powtórzyła wychodząc z pokoju. Zostawiła go samego.

Leo zamówił stół w „Annabel” na kolację po teatrze. Posuwał się ku swej zdobyczy bardzo powoli i ostrożnie. Teraz czuł, że jest na tyle obłaskawiona, aby zabrać ją do najelegantszego nocnego klubu w Londynie. Może nawet zatańczyć... Była dobrym kompanem, z trudem

to przyznawał. Miała bystry umysł i raczej cyniczne spojrzenie na świat, co mu się podobało. Potrafiła nawet być dowcipna w swoim zjadliwym stylu. I pochlebiali jej, że jest przedmiotem jego zainteresowania. A czuła się bezpiecznie, gdyż w ich stosunkach nie pojawił się podtekst erotyczny. Na to, kalkulował zimno, przyjdzie czas później. Mówi się, że lesbijki w łóżku z mężczyznami są lepsze niż ich heteroseksualne siostry. Bardziej doświadczone w technikach podniecania.

Była brzydka i prostacka, ale emanowała z niej władczość ojca. Nie uważał, że ta cecha jest pociągająca, lecz stanowiła wyzwanie. A najważniejszym w jego scenariuszu był zamiar uderzenia Harolda Kinga w najczulsze miejsce. King wiedział wszystko o grach i zabawkach Leo. Miał dowody - widzialne i słyszalne. Nie uznałby ich za tak zabawne, gdyby partnerką w tych komediach była jego własna córka.

Gloria sączyła szampana. Podczas oglądania musicalu nie bawiła się. Nie mogła się skoncentrować i odprężyć w związku z obietnicą daną ojcu. A poza tym czuła się boleśnie dotknięta. Raz czy dwa w czasie przedstawienia z trudem powstrzymywała łzy złości. Ojciec zachował się jak brutal. Nie brał w ogóle pod uwagę, że ona miałaby komuś coś do zaofiarowania. Dał jej to do zrozumienia zupełnie jasno. Nikogo, nawet kogoś, kto wzbudzał w nim taką pogardę jak Leo, ona swoją osobą nie mogła zainteresować.

Lecz była też inna przyczyna. Nigdy nie czuła fizycznego pociągu do Leo Derwenta. Ceniła jego inteligencję, mieli wspólne upodobania artystyczne. Lubiła chodzić do drogich restauracji, bywać na premierach. I to wszystko. Jak dotąd. Zraniona duma wywołała dziecinne pragnienie, żeby postawić na swoim. Poza tym chodziło o coś jeszcze. Ciągle brzmiały jej w uszach wypowiedziane ze złością słowa ojca: „W stosunkach z kobietami idzie mu o jedno, związać je, a potem wychłostać po tyłku”. Ciekawość toczyła ją jak robak. Jakby to było? Robak podrażnił jej zmysły i pod wpływem impulsu w ciemności przycisnęła do jego nogi swoją. Poczuł to i odwzajemnił się tym samym. Chryste, powiedział do siebie w duchu, udając, że z uwagą śledzi przedstawienie, ona startuje przed sygnałem...

W intymnym półmroku nocnego lokalu zwrócił się do niej z pytaniem.

- Glorio, wydaje mi się, że nie jesteś w dobrym nastroju. Czy coś się stało?

Odstawiła kieliszek, który był już pusty, więc dał znak kelnerowi, żeby nalał jej szampana.

- Czy to znaczy, że cię nudzę?

Nie był przygotowany na tak szybką, obronną reakcję.

- Boże, skąd, nie bądź głuptasem. Nigdy się z tobą nie nudzę. Właśnie w twoim towarzystwie dobrze się bawię, przy tobie inne kobiety są nieinteresujące. O co chodzi? Proszę... masz, wypij. Powiedz mi...

W odróżnieniu od Kinga, którego abstynencja była powszechnie znana, Gloria złapała wino podobnie zachłannie jak pochłaniała jedzenie. Spuściła głowę, po czym uniosła na niego wzrok.

- Ojciec życzy sobie, żebym przestała się z tobą spotykać.

Leo nie stracił głowy.

- Przykro mi to słyszeć. Czy powiedział dlaczego?

Nigdy nie wyjawiałyby mu przyczyny. Odpowiedziała zdecydowanym głosem.

- Nie. On nie udziela wyjaśnień. Po prostu oczekuje, że ludzie będą mu posłuszni.

- Nawet ty? - podał w wątpliwość to wyznanie. - Sądziłem, że jesteś jego oczkiem w głowie.

- Och, jestem - przyznała bez wahania. - On mnie uwielbia. A ja jego. Jest cudowny.

- A nie mogłabyś - powiedział łagodnie - na niego wpłynąć, żeby zmienił zdanie? Nie chciałbym przestać się z tobą widywać. Naprawdę.

- Ja też nie chcę. Dobrze się z tobą bawiłam. Mamy podobne upodobania...

- Co on ma przeciwko mnie? Nic ci nie mówić?

Gdy się zastanawiała nad odpowiedzią, jej bladoniebieskie oczy jakby się lekko zaszklily. Przez chwilę poczuł zmieszanie. Już przedtem widział takie spojrzenie w oczach kobiet. Czekaając na odpowiedź, przesunął pod stolikiem kolano i dotknął nim jej kolan. Nie poruszyła się.

- Powiedział, że lubisz zniewalać - powiedziała prawie szeptem.

W tej chwili Leo postawił wszystko na jedną kartę.

- A jeśli tak by było - rzekł równie cichym głosem - czy to by ci przeszkadzało? Nigdy bym nie żądał od ciebie czegokolwiek. Chyba że podobałby ci się taki pomysł...

- Nie wiem - zaczęła. Wpatrywała się przed siebie w przestrzeń, gdzie w przyćmionym świetle obracały się pary w pulsującym rytmie muzyki disco. - Nie wiem - powtórzyła. - Robiłam to tylko z dziewczynami. Może by mi się podobało. Nie wiem.

- No cóż, nie musisz podejmować żadnej decyzji. Mnie jest dobrze z tobą tak jak teraz, jeśli wolisz, żeby tak zostało... - Położył na

moment rękę na jej dłoni. Nie zareagowała i nie wysunęła swojej. - Nie możesz jeszcze porozmawiać z ojcem?

- Chyba nie - odparła. - Jemu przez myśl nie przejdzie, że mogłabym mu się przeciwstawić.

- Właśnie. Rób, co każą i koniec - odpowiedział. - Na tym polega kłopot, on ciągle uważa, że jesteś dzieckiem. Mój staruszek był taki sam. Miałem z nim niezłe awantury, nawet kiedy już wygrałem wybory... ciągle mi mówił, co mam robić. - Zaśmiał się pobłaźliwie na wspomnienie tych ojcowskich przywar. - Nie mam pretensji do twojego ojca, Glorio. Byłbym taki sam, gdybym miał córkę. Jest tylko jedna rzecz... jak będziesz mogła samodzielnie podejmować decyzje w sprawach zawodowych, skoro on ci na nie nie pozwala w prywatnym życiu?

- Mogę podejmować własne decyzje - zaprotestowała. - Jeżeli będą się z tobą spotykać, on nie musi o tym wiedzieć.

- Nie sądzę, żeby to było właściwe - sprzeciwił się. - Nie chciałbym, żebyś z mego powodu oszukiwała swego staruszka. Za bardzo go szanuję. Porozmawiaj z nim, Glory, powiedz mu o nas prawdę, nie okłamuj go. Kłamstwa zawsze wychodzą na jaw. - Zdziwił się, gdyż skwitowała to śmiechem.

- Jeżeli są wystarczająco sprytnie, to nie wychodzą. Leo, nie udawaj takiego moralisty. To do ciebie nie pasuje. Jak do mnie powiedziałaś?

- Glory - odparł. - To takie czułe zdrobnienie. Zawsze je nadaję ludziom, do których mam słabość.

- I nadawałeś je swoim dziewczynom? - spytała.

- Nie. - Uśmiechnął się. - Mówiłem ci, tylko ludziom, do których mam słabość. Zamówmy jeszcze jedną butelkę wina, dobrze? A może zatańczymy?

- Nie znoszę tańczyć - odmówiła stanowczo. - Nie mam poczucia rytmu.

- Ja nie znosiłem opery, ale spróbowałem i przy tobie mi się podobała. No chodź.

Poruszała się niezgrabnie. I rzeczywiście nie miała poczucia rytmu, co było o tyle dziwne, że istotnie była muzykalna. Kłopot polegał na tym, że nie ufała swemu potężnemu ciału. Wyglądała na niezdatną i czuła się zakłopotana.

Przyciągnął ją do siebie. Zesztywniała. Ujął przeguby jej dłoni i trzymał je mocno za jej plecami, prowadząc ją w tańcu. Poczul, że się odprężył i wzmocnił uścisk. Nie opierała się, zaczęła się poruszać jak on. Uśmiechnął się ponad jej ramieniem. Po paru minutach odprowa-

dził ją do stolika.

- No i co, nie było tak źle, prawda? - zapytał. - Masz bardzo dobre wycucie rytmu.

Usiadła i podniosła na niego wzrok.

- Pod koniec było zupełnie dobrze - stwierdziła.

Zawiózł ją do domu i zaparkował samochód przed domem na Green Street.

- Jak my mamy to rozegrać, Glory? Nie mogę telefonować do ciebie do domu.

- Ja mogłabym telefonować do ciebie. Sama nie wiem. Przemyślę to...

- Nie chcę być powodem twoich kłótni z ojcem.

- Nie to mnie martwi - odparła. - To niedobrze, że będziemy działać poza jego plecami. Mnie z jego strony nic nie grozi, ale ty mógłbyś mieć kłopoty.

- To człowiek, któremu lepiej nie wchodzić w drogę, tyle o nim wiem na pewno. Jednak zaryzykuję, jeśli ty się odważysz.

- Przemyślę to - powtórzyła.

Powiedziała to tonem osoby praktycznie myślącej. Otworzyła drzwi i wysiadła z samochodu.

- Moglibyśmy się spotkać w przyszłym tygodniu - zaproponował. - Zadzwoń do mnie.

Skinęła głową i odeszła. On też się nie ościągał. Zdążył już się przyzwyczaić do takich raptownych pożegnań. Te bezceremonialne maniere przejęła od ojca. W drodze powrotnej do domu Leo pomyślał, że idzie o zakład, iż to właśnie King nieświadomie dał mu klucz do zdobycia Glorii. Intrygowała ją perwersja. Uwięzienie jej rąk na parkiecie pobudziło ją seksualnie. Dość dziwne, przyznał przed sobą, lecz i jego także. Poczul wyraźne podniecenie na myśl o tej wielkiej, aroganckiej suce, leżącej bezradnie. Czytał gdzieś, że kobiety, które uwielbiają ojców osiągają satysfakcję seksualną tylko wtedy, gdy są poddawane jakiemuś fizycznemu rodzajowi kary. Ona uwalnia je od winy podświadomego kazirodztwa. Uśmiechnął się i nastawił radio. Czas pokaże.

Matka Julii uwielbiała po przyjęciu omawiać wszystkie szczegóły. Ojciec chciał już spać, lecz jej ustąpił. Poza tym sam był nie mniej zainteresowany sytuacją niż ona.

- Najwyraźniej jest w niej zakochany - odezwała się May Hamilton. - On mi się podoba.

- Ale? - zapytał, gdy zamilkła.

- To rozwodnik, ma dorosłe dzieci no i jest sporo od niej starszy...

- Moja droga, nie można mieć wszystkiego. Obecnie jedno małżeństwo na trzy się rozpada. Mało prawdopodobne, żeby Julia znalazła sobie kawalera, musiałby być zupełnie niewydarzony. Mnie się Harris podoba, jest inteligentny. Czekałem, kiedy Julia zwiąże się z kimś na stałe, i sędzę, że tym kimś może być właśnie on.

- Też tak myślę. Tylko miałam nadzieję, że ślub córki będzie wspaniały, no wiesz, kochanie, taki, jak należy. Jaki my mieliśmy.

- Wiem. - Uśmiechnął się w ciemności. Jego żona była niepoprawną romantyczką. Wyobrażała sobie, jak Julia kroczy do ołtarza w miejscowym kościele w białej sukni z dziewiczym welonem na głowie, a za nią podążają ich wnuki w ślubnym orszaku. Tak to się nie odbędzie. On właściwie też żałował.

- Julia nie ma dwudziestu lat - zauważył łagodnym głosem. - Jest zadowolona ze swego życia, to kobieta niezależna. Zawsze taka była, nawet jako dziecko. Szła swoją drogą, robiła to, co jej odpowiadało. Pamiętasz, jakie w związku z tym toczyliśmy boje. Mówiłaś, że wychowywanie Toma było łatwe, można nim było kierować. Julia nigdy nie dawała sobą rządzić i to się nie zmieni. Jedyna nadzieja w tym, że wyjdzie za mąż za porządne go człowieka. Jej pokolenie w ogóle nie zawraca sobie tym głowy, żyją ze sobą i już.

- To dlatego, że boją się trwałego związku - powiedziała żona. Położyła się koło niego. - My się nie obawialiśmy - dodała.

- Tak, May, my byliśmy chodzącymi ideałami... Daj spokój, miejmy nadzieję, że wszystko ułoży się jak najlepiej. Sędzę, że tak będzie. Przypuszczam, że on sobie z nią poradzi. Niewielu mężczyznom by się to udało. A teraz śpijmy, już późno.

- To był taki miły dzień. - Żona musiała mieć ostatnie słowo. - Byłam taka zadowolona, że nie wyjechali po lunchu i zostali na kolacji. Musiało im być tu dobrze. Dlaczego nie zaprosiliśmy ich na święta Bożego Narodzenia? Kochanie, nie śpij jeszcze... Czy to nie świetny pomysł?

- Wybieramy się do twojej siostry - wymamrotał. - Obiecałaś, nie możesz sprawić jej zawodu.

May nie odpowiedziała. Oczyma duszy widziała wymarzoną scenę. Zebrane razem duże, rodzinne grono, jak wtedy, gdy dzieci były jeszcze małe, zanim komuś przyszłoby do głowy, że odejdą z domu. Mogłaby poprosić siostrę, żeby to ona z mężem do nich przyjechała... Z tą miłą myślą zasnęła.

Rozdział 8

- **J**aney? Witaj... to ja, Julia. Co u was słysząc?

- Julio, jaka miła niespodzianka. U nas wszystko dobrze, a u ciebie? Jak tam praca? May mówiła, że teraz jesteś wielką szyszką w „Heraldzie”.

- Nie bierz tego tak poważnie, mama przesadza. Posłuchaj, mam tydzień urlopu i tak sobie pomyślałam, czy byście mnie ścierpieli, gdybym się u was zatrzymała. Jestem przemęczona, ostatnio okropnie się napracowałam, więc morskie powietrze i parę dni spędzonych z tobą i Davidem byłoby rajem... - Przerwała modląc się w duchu, żeby kuzyni nie mieli w planie kolejnej wycieczki lub przyjazdu do Londynu na przedświąteczne zakupy.

- To wspaniały pomysł. - Głos Janey zabrzmiał radośnie. - Julio, kochanie, będziemy się ogromnie cieszyć z twojej wizyty. Kiedy chcesz przyjechać?

Julia odetchnęła z ulgą; gdy nakręcała numer, miała zupełnie ściśnięty żołądek. Tak jak powiedziała Benowi, ta wyprawa miała mieć przełomowe znaczenie... i wyglądać na zupełnie nie związaną z jej zadaniem. Niewinny urlop u krewnych. Dlatego nie mogła zamieszkać w hotelu. King już poprzednio uciekł się do inwigilacji z tragicznym skutkiem dla Jean Adams.

Julia i Ben byli pewni, że są śledzeni.

- Czy mogłabym przyjechać już w poniedziałek? Marzę, że by się stąd wyrwać.

- Słysząc to po twoim głosie - zauważyła Janey Peterson. - Świetnie, w poniedziałek. Daj mi znać, o której przylatujesz, to po ciebie wyjdziemy. David będzie zachwycony... jesteś jego ulubienicą. Czy chcesz spokojnie wypoczywać w domu, czy mam przygotować

jakieś rozrywki? To zależy od ciebie.

- Mnie jest wszystko jedno, byleby z dala od dziennikarzy!

- Nie ma tu teraz nikogo z twojej branży - zapewniła kuzynka. - Od dawna chwalimy się tobą przed naszymi przyjaciółmi... teraz będę cię mogła przedstawić. Do zobaczenia w poniedziałek. Pa, Julio.

Petersonowie postanowili osiedlić się na Jersey po śmierci matki Davida, która pozostawiła mu w spadku dom. Od przeprowadzki kuzynów minęły dwa lata i Julia spotykała się z nimi w czasie ich wypraw do Londynu. Twierdzili, że są ogromnie szczęśliwi na tej uroczej wyspie. David Peterson był konsultantem w jednym z wielkich, szkolących kadry medyczne szpitali, prowadził też z powodzeniem prywatną praktykę lekarską na Harley Street. Zrezygnował z uczestnictwa w zmaganiach o osiągnięcie lepszej pozycji w państwowej służbie zdrowia, które nazywał zażartym, pozbawionym godności współzawodnictwem, i z prywatnej praktyki w Anglii. Teraz wykonywał swój zawód na Jersey. Piętnaście lat starszy od Julii, był synem siostry May Hamilton. Jego żona, Janey, pełna werwy czterdziestolatka, namiętnie oddawała się grze w tenisa i żeglarstwu. Do siebie odnosili się ciepło i przyjaźnie, Julia doskonale się czuła w ich towarzystwie.

Odgarnęła do tyłu włosy, co jej przypomniało, że przed wyjazdem powinna je podciąć.

Petersonowie znali wszystkich na Jersey. Byli gościnni i lubiani. Krąg ich znajomych nie ograniczał się do multimilionerów, którzy się tam osiedlili z powodu podatków. Matka Davida mieszkała na wyspie wiele lat i w związku z pozostawionym przez nią spadkiem władze nie zastosowały w stosunku do nich, kiedy się przeprowadzali, tak surowych warunków finansowych, jakie obowiązywały superbogaczy.

Mogli przedstawić ją osobie, na której jej tak zależało. Zatelefonowała do Bena.

- Uzgodniłam, że przyjadę w poniedziałek - powiedziała. - Zamierzam spotkać się z Westernem.

- Nie zdziw się, jak cię z miejsca przyjmie. Ona mu już powiedziała, że ty coś chowasz w zanadrzu.

- Chyba nie. - Julia wystąpiła w obronie Evelyn. - Nie sugerowałaby mu czegoś podobnego...

Ben nie przekonywał jej dalej, rzekł jedynie:

- Cieszę się, że ustaliłaś termin wizyty, tylko żałuję, że nie chcesz mnie wziąć ze sobą.

- Nie, kochanie - odparła. - Mama telefonowała dziś rano. Uważa, że jesteś nadzwyczajny. Ja też. - Odłożyła słuchawkę i

nakręciła prywatny numer Westerna. Okazało się, że może się z nim spotkać za godzinę.

- Nie wiem, po co ci potrzebny urlop - stwierdził William Western. - Ostatnio pomogłaś tylko Stevensowi opracować materiał dotyczący szantażowanych członków parlamentu, co każdy mógłby napisać. - Patrzył na nią oskarżycielskim wzrokiem.

- Ten artykuł to mocne uderzenie - zaprotestowała. - Wszyscy tak uważają.

- Tylko moja opinia się liczy, a ja nie podzielam tego poglądu - rzekł ostro. - Nie udało ci się przycisnąć Leo Derwenta i to trudno uznać za sukces.

- On już nam przekazał wiele cennych informacji - odparła.

- Żadnych, które nie byłyby mi znane - zauważył Western. - Wiedziałem, że King w Stanach dogaduje się w sprawach finansowych. To, czy zabrał ze sobą tę okropną córkę, nic mnie nie obchodzi. Podobnie sprawa ubiegania się o tytuł lorda. Nie mogę mu podstawić nogi, żeby to zablokować, bo to ode mnie nie zależy. A teraz przychodzisz i prosisz o urlop... Żona mi mówiła, że jesteś zmęczona i potrzebny ci wypoczynek. Powiedziałem jej, że to cholerny nonsens.

Czekał. Evelyn dokładnie pouczyła go, jak się ma zachowywać. „Billy, udawaj, że jej wierzysz. Przyrzekłam przekonać cię, że jej potrzebny jest urlop. Nie daj poznać po sobie, że podejrzewasz jakiś podstęp. Bądź niemiły. Ona właśnie tego się spodziewa”. Pomyślał, że Evelyn jest jego prawą ręką. Inteligentna, niezastąpiona w sytuacjach, gdy jej kobieca intuicja przewyższała jego możliwość oceny. I bezlitosna, jak sam jej powiedział. Naprawdę lubiła Julię. Ale dla niego poświęciłaby ją bez wyrzutów sumienia.

A więc Evelyn Western nie zawiodła jej zaufania, pomyślała Julia. Wbrew temu, o co podejrzewał ją Ben, zachowała dla siebie to, czego dowiedziała się od Julii.

- Lordzie Western - powiedziała. - Po prostu muszę mieć parę wolnych dni, żeby mi się w głowie dobrze poukładały pewne sprawy. A potem, przyrzekam - podkreśliła z naciskiem to słowo - przyrzekam panu przełom przed świętami Bożego Narodzenia. Jeżeli mi się nie uda - spokojnie patrzyła mu w oczy - złożę rezygnację z pracy na pana biurko w dniu pierwszego stycznia.

- A ja ją przyjmę - odrzekł z miejsca. - No, niech będzie, masz ten tydzień, skoro ci na tym tak zależy. Gdybym ci odmówił, miałbym do czynienia z żoną. Szkoda, że czuje do ciebie taką sympatię. Kiedy chcesz zacząć urlop?

- Mogę od poniedziałku?

Nie zwierzyła się Evelyn ze wszystkiego, więc zaczął na własną rękę.

- Gdzie się wybierasz? Pewno gdzieś w poszukiwaniu słońca?

- Nie, jadę po prostu do moich krewnych. Dziękuję panu, lordzie Western.

- Mnie nie dziękuj - burknął - tylko Evelyn. Ale trzymam cię za słowo. Przed świętami.

- Tak. I dotrzymam obietnicy.

Zjechała na swoje piętro jego prywatną windą. Gdy znalazła się u siebie w gabinecie, opadła na jeden z wielkich foteli.

- Co za drań - powiedziała głośno. - Jak się okaże, że mam rację, będzie musiał odwołać to, co powiedział. Taka przynajmniej czeka mnie pociecha. Przyrzekł, że będę mogła postawić swoje warunki i, na Boga, zamierzam mu je podać. Swoje i Bena także...

Harold King zwołał w swoim prywatnym apartamencie na najwyższym piętrze biurowca specjalne zebranie zarządu. Przy takich okazjach jak ta, zwykł korzystać z własnego salonu zamiast z olbrzymiej sali konferencyjnej piętro niżej. Prywatny apartament wybierał zawsze na spotkania wtedy, gdy chciał przeprowadzić jakąś sprawę wątpliwą z prawnego punktu widzenia. Chodziło o zastraszenie sekretarza zarządu jego firmy i dyrektora finansowego. Mieli płynąć z nim, lub z nim tonąć i nie sprzeciwiać się niczemu, co zaproponował. Gloria również była obecna. Została dokooptowana do zarządu funduszu emerytalnego. Kiedy załatwi już wszystkie formalności, przystąpią do realizacji zamierzenia Kinga. Nastąpi transfer akcji i obligacji zabezpieczających świadczenia dla tysięcy zatrudnionych przez niego pracowników na rzecz firmy Kinga jako jej kapitał, nad którym podwójną kontrolę będzie sprawował on sam i jego córka.

Wtedy będzie mógł polecieć do Nowego Roku i zawrzeć umowę kredytową z Bankiem Handlowym. A na święta do Gstaad, jak zwykle. Miał tam willę. Gloria i Marilyn jeździły na nartach; córka wykazywała przy tym na stokach odwagę i nieoczekiwaną sprawność fizyczną. On zrezygnował z nart już przed laty. Jeden upadek; który przyplacił naciągnięciem mięśnia udowego i wyłączeniem na kilka tygodni z działalności zawodowej, nauczył go liczyć się z własnym wiekiem. Czytał wtedy na słońcu biografie i książki podróżnicze oraz układał plany na następny rok. Uwielbiał Szwajcarię.

To wspomnienie skierowało jego myśli do spraw domowych. Tego rana Gloria była jakaś cicha. Spytał ją krótko, czy przekazała Leo

Derwentowi jego polecenie wydane w dniu, kiedy się pokłócili. Ski-
nęła głową raczej potulnie i potwierdziła, że już się z nim więcej nie
zobaczy.

Przestał o tym myśleć. Nigdy go nie oszukiwała i nie przeciwsta-
wiała się jego życzeniom. Pomyślał, że wyglądała rano na zniechę-
coną, choć powinna być podekscytowana, więc gdy czekali na
sekretarza i dyrektora, King spytał nagle:

- Co ci jest, kochanie? Jesteś jakaś nieswoja. Masz miesiączkę?

Gloria nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie tylko nie czuła
satisfakcji, lecz wręcz ogarnęło ją przygnębienie. Okłamała go i czuła
się fatalnie. Była rozdarta między poczuciem winy, a narastającą
fascynacją. Uwielbiała ojca, był jej całym światem. Ale przecież
spotkania z Leo nie oznaczały nielojalności wobec niego. Były
zupełnie niewinne. Nic się między nimi nie wydarzyło. Spotykali się
raz albo dwa razy w tygodniu, szli do kina lub do teatru. Czasami na
kolację do jakiejś ustronnej restauracji, gdzie nie mógłby ich zobaczyć
nikt ze znajomych. To było całkiem niegroźne, gdyż Leo nie czynił
żadnych kroków w celu ich fizycznego zbliżenia. Myśl o seksualnych
stosunkach z mężczyznami zawsze wzbudzała w niej odrazę. Lecz
kiedy wyobraziła sobie, jakby to mogło być z nim, początkowe
przerażenie przerodziło się w obsesję. I to opętanie zatruło jej miłosne
stosunki z pewną starszą od niej kobietą, z którą się spotykała.

Stała się niecierpliwa i nie doznawała satisfakcji, więc jej part-
nerka szybko poszukała sobie innej kochanki.

- Tatusiu - zaczęła. - Tatusiu, nie gniewaj się, ale chciała bym ci
coś powiedzieć.

Lecz King sam odpowiedział na własne pytanie. Kobiety często
zachowują się dziwnie w okresie menstruacji.

- Zadłużyłaś się? - spytał żartobliwym głosem. - Matka skarżyła
się na to wczoraj. „Ona ciągle kupuje nowe stroje”. A czemu nie,
powiedziałem. Dlaczego nie miałyby kupować. Mo że mieć wszystko,
co chce, i jeszcze więcej.

Odezwał się brzęczyk interkomu i sekretarka zawiadomiła, że obaj
panowie czekają w holu.

- A, są. Pamiętaj, masz zawsze wymagać od swoich pracowni-
ków punktualności co do sekundy. To im dobrze robi. I niech zawsze
czekają. To też robi im dobrze.

- Wpuść ich, wpuść - powiedział. Na moment objął córkę
ramieniem. - Niegrzeczna dziewczynka - rzekł. - Tyle pieniędzy
wydaje. Ale teraz zaczniesz je zarabiać...

Gloria nie odezwała się. Właściwa chwila minęła. Nie zdobyłaby

się na odwagę, żeby spróbować jeszcze raz.

W czasie lotu na Jersey trochę bujało, ale Julia nigdy nie chorowała w powietrzu. Uwielbiała latać.

Dzień był wietrzny, deszczowe chmury zbierały się nad wyspą, lecz, jak zwykle tam, powietrze było łagodne. Janey przyjechała, żeby ją powitać na lotnisku.

- Julio, kochanie! - wykrzyknęła. - Miło cię znowu widzieć. David nie mógł przyjść, bo ma dyżur w szpitalu. Jak lot?

- Trochę pobujało, ale dla mnie to nic takiego. Świetnie wyglądasz, Janey. Nie mam dużego bagażu. Zwykle, jak wyjeżdżam, wiozę ze sobą tyle, jakbym miała przed sobą roczny pobyt. Tym razem próbowałam się ograniczyć.

- Możesz zostać tak długo, jak ci się podoba - powiedziała Janey z zapalem. - Nasi przyjaciele umierają z niecierpliwości, żeby cię poznać. - Przez cały czas w drodze do Trinity paplała z szybkością karabinu maszynowego.

Życie tu toczyło się spokojnie, jak zwykle urządzano spotkania w gronie przyjaciół w związku ze świętami Bożego Narodzenia, wycieczka do Francji znakomicie się udała, choć ona pod koniec dostała rozstroju żołądka i to jej zepsuło ostatnie dni... David nigdy nie czuł się tak szczęśliwy, jest zadowolony z pracy i jeszcze znajduje czas na golfa i żeglowanie. Życie w Anglii było taką uciążliwą szarpaniną, za nic w świecie by tam nie wrócili.

Julia tylko od czasu do czasu wtrącała jakąś stosowną uwagę. Petersonowie mieli uroczy dom, spadek po matce Davida, z przepięknym ogrodem, słynnym na całą Jersey.

- Do licha - złościła się Janey. - Wczoraj była taka wspaniała pogoda, słonecznie i całkiem ciepło. Miałam nadzieję, że utrzyma się przez cały czas twojej wizyty.

- Nie zależy mi - powiedziała Julia. - Sam przyjazd tu jest już prawdziwą rozkoszą.

Siedziały w przyjemnie urządzonej salonie, popijając drinki przed lunchem. Za oszklonymi drzwiami roztaczał się widok pięknego ogrodu, przesłonięty nieco zacinającym deszczem.

- Wyglądasz na trochę zmęczoną - zauważyła Janey. - Musisz tutaj dobrze wypocząć. Ale nic złego się nie dzieje, prawda?

- Nie - uśmiechnęła się Julia. - Po prostu dużo pracy i napięcia. Nic mi tak dobrze nie robi jak parę dni spędzonych z wami. A jak tam chłopcy?

Mieli dwóch dorastających synów, jeden był już w Cambridge,

drugi podróżował po Australii przed podjęciem studiów medycznych. Julia nie widziała ich od ponad roku. Ten młodszy chodził wtedy jeszcze do szkoły i był dość miły, ale starszy, student, zachowywał się raczej arogancko i niezbyt grzecznie. Przypominał jej Feliksa. Feliks. Nie myślała o nim od czasu, kiedy Ben opowiedział jej, jak chętnie zgodził się im pomóc w nawiązaniu kontaktu z Joe Patrickiem. Była zdziwiona, że Ben, który zawsze był na niego cięty, tak dobrze się o nim wyrażał. To dlatego, że przestał być zazdrosny. Teraz Feliks stał się tylko częścią jej przeszłości. Podniosła żywo wzrok na kuzynkę, gdy usłyszała jej pytanie:

- A jak się miewa twój przyjaciel?

- Który?

- O nieba... to już jest aż tak? Szczęściara - zaśmiała się Janey. - Feliks. Poznałam go u ciebie, kiedy byliśmy ostatnim razem w Anglii. A jako jeszcze masz w odwodzie?

- Feliks i ja zerwaliśmy ze sobą jakiś czas temu - wyjaśniła. - Poznałam kogoś innego. Jest zupełnie wyjątkowy.

- Cieszę się - stwierdziła Janey. - Feliks do ciebie nie pasował. David go nie znosił, teraz mogę to powiedzieć. Uważam, że był atrakcyjny, ale trochę impertynencki. A jaki jest ten nowy?

- Tym razem ode mnie starszy - odrzekła Julia. - Naprawdę bardzo inteligentny. Żyjemy ze sobą, żeby sprawdzić, czy nam to wychodzi. Jest rozwiedziony, ale już bardzo dawno. To było dla niego przykre doświadczenie. Nie zamierzamy działać zbyt pochopnie. Ale jest kochany. Podobałby ci się. I Davidowi także.

- Powinnaś była zabrać go ze sobą - powiedziała Janey. - Czym on się zajmuje?

- Pracuje w „Heraldzie” - odparła Julia. - Był moim szefem, dopóki nie objęłam nowej rubryki w dziale publicystyki. Moja kolumna będzie się nazywała „Pod światło”. Jak przyjedziecie do Londynu, pójdziemy razem na kolację.

Po lunchu Julia się rozpakowała i powiedziała Janey, że chętnie wybrałyby się na spacer. Duży, rudy seter zamachał na to słowo ogonem, więc Julia zaproponowała, że weźmie go ze sobą. Przestało padać. Słońce już przedzierało się między rozpierzchającymi się chmurami, powietrze było ciepłe i nasycone słodkim zapachem po deszczu. Janey nie zaproponowała swego towarzystwa. Musiała coś przygotować do jedzenia, gdyż znajoma para miała przyjść na kolację. Żadne tam przyjęcie, zapewniła Julię, tylko dwoje bardzo bliskich przyjaciół...

Julia wyszła prowadząc psa na smyczy. Ruszyła ścieżką ku

kamienistej plaży. Po zejściu z szosy spuściła psa, który uszczęśliwiony rozpoczął harce.

Ten człowiek był na wyspie. Jego fotografia wryła się jej w pamięć jak wywołany negatyw. Sprzed prawie pięćdziesięciu lat, kiedy młody, uśmiechnięty trwał w przekonaniu, że jego życie upłynie poza konfliktem, który pochłonął tyle istnień ludzkich. A razem z nim inna postać, o wiele mniej wyeksponowana, lecz wystarczająco dobrze widoczna. Zatrzymała się i rzuciła psu kawałek drewna wyrzuconego przez morze. Popędził za nim do wody, żeby przynieść jej swą zdobycz.

Jeżeli psy gończe wytropiły, że ona jest na wyspie, to niewiele jej zostało czasu, zanim na nią natrafia.

Jutro, zdecydowała. Teraz powinna wrócić, pomóc Janey w kuchni i coś jej zasugerować.

Janey była zaskoczona.

- Richard Watson? Tak, znamy go. Bardzo miły, mieszka tu od lat. Był przyjacielem matki Davida. Dlaczego właśnie jego chcesz poznać?

- Czytałam książkę, którą napisał - odparła Julia. - Właściwie to mój przyjaciel ją czytał i mi polecił. Powiedział, że jest bardzo interesująca i dobrze napisana. Wspomnienia z czasów jego walk na wojnie, a potem w obozie jenieckim. Chyba wydana własnym nakładem... w stopce napisano, że przeszedł na emeryturę i tutaj się przeniósł. Bardzo chciałabym go poznać, jeżeli byś mogła się o to postarać.

- W ogóle nie wiedziałam, że on cokolwiek napisał - rzekła Janey. - Był dość dobrze prosperującym biznesmenem. Chyba w ICI, tak mi się zdaje. Zaproszę go na kolację. To świetny pomysł. Poczuj się pochlebiony, że chcesz go poznać. Wszystko mu o tobie opowiedzieliśmy.

- Mam nadzieję - powiedziała Julia ze śmiechem - że nie będzie zawiedziony.

- Nie ma mowy - zaprzeczyła kuzynka. - Uwielbia atrakcyjne kobiety. Zaraz do niego zadzwonię.

Julia kończyła nakrywać do stołu. Usłyszała głos Janey i jej wesoły śmiech. Kiedy wróciła, oznajmiła:

- Wszystko załatwione. On nas zaprosił na kolację. Na jutro. Wydaje małe przyjęcie i jest zachwycony, że cię pozna. Mówił, że czytał wszystkie twoje artykuły. Na twoją cześć stroje mają być wieczorowe!

- To miło z jego strony. Dzięki, Janey - rzekła Julia. - Wzięłam ze

sobą jedwabną bluzkę i długą, czarną spódnicę, chyba to wystarczy?

- Oczywiście... my tutaj nie jesteśmy tacy wytworni. Będziesz wygładała znakomicie. Jak zawsze.

Wieczór przebiegał w swobodnej i pogodnej atmosferze. David robił wiele szumu wokół osoby Julii, otworzył butelkę szampana, żeby uczcić jej przyjazd. Gości przyjęto kolacją w przestronnej kuchni. On, urodzony na Jersey, był emerytowanym dyplomatą, jego żona pochodziła z Anglii. Opowiadali mnóstwo zabawnych historii w związku z jego pracą na ostatniej placówce w Rio de Janeiro. Janey wspomniała im o zaproszeniu do Richarda Watsona. Zapewnili Julię, że go polubi, to taki interesujący mężczyzna o dużym uroku osobistym.

- Taki właśnie jest - potwierdził David. - Zawsze sądziłem, że on i moja matka mogliby się ze sobą związać. Ale do tego nie doszło. Ona bardzo go lubiła.

- Od wielu lat jest wdowcem - wyjaśniła żona dyplomaty. - Ludzie układają sobie życie po swojemu. Sporo pań miało oko na Richarda, ale on żadnej nie uległ. Chyba te lata w obozie jenieckim tak na niego wpłynęły. To doświadczenie, które nazaczyło wielu ludzi. Między innymi mego brata. Był u tych diabelsko okrutnych Japończyków. Wrócił do domu i przyjął święcenia kapłańskie. Jest pastorem w Norfolk. Należy do Kościoła anglikańskiego, nigdy się nie ożenił. Całkowicie oddał się temu powołaniu. Kocha dzwonnice i chrzcielnice. Zadziwiające... ale wydaje się, że jest całkiem szczęśliwy.

- I to się przede wszystkim liczy - rzekł David, jak zauważyła Julia, raczej cierpkim tonem. Przypomniła sobie, że w odróżnieniu od reszty rodziny, był człowiekiem religijnym i praktykującym. Im dłużej rozmawiali o Richardzie Watsonie, tym bardziej była zaintrygowana. Z cienkiej książeczki zawierającej wspomnienia wojenne nie wynikało, że jego przeżycia jakoś go wyróżniały spośród tysięcy innych młodych ludzi, wywodzących się z klasy średniej, którzy na początku lat czterdziestych zostali oficerami. Lecz ostrzeżony - uzbrojony, Watson najwidoczniej nie był podstarzałym gadułą, który chętnie dzieli się swymi wspomnieniami. Będzie musiała ostrożnie naprowadzić go na interesujący ją temat.

Zanim poszli spać, zadzwonił Ben. Telefon odebrała Janey i z szelmowskim uśmieszkiem zwróciła się do Julii.

- Kochanie, to chyba twój przyjaciel. Jak chcesz, to porozmawiaj z nim na gorze.

- Dzięki - odparła Julia. - Pójdę tam.

Jego głos dodał jej otuchy. Poczowała wyrzuty sumienia, że zostawiła

go samego.

- Jak się miewasz? Co słychać?

- Wszystko dobrze. Nawet lepiej niż się spodziewałam. Jutro wieczorem poznam naszego człowieka. Janey to dla mnie załatwiła. Oni oboje są tacy serdeczni i okropnie mi nieprzyjemnie, że ich tak wykorzystuję. Tęsknię za tobą, Ben. Naprawdę.

- Ja też - powiedział. - Sam w tym mieszkaniu czuję się jak w cholernej kostnicy. Kicia również nie może sobie znaleźć miejsca. Po prostu bardzo nam ciebie brak. Przeprowadź tę rozmowę i wracaj jak najszybciej. Nie lubię, jak się wypuszczasz w daleki świat beze mnie. Nie zauważyłaś jakiejś świty na lotnisku?

- Nie, ale przecież i tak bym ich nie rozpoznała - zauważyła. - Jeżeli King nadal nas pilnuje, to pewno już ktoś na wyspie mnie szuka. Byleby na mnie nie natrafili przed rozmową z Watsonem. Potem wymyślę jakąś wymówkę i wracam do domu. Nie martw się o mnie, kochany. I uważaj na siebie, dobrze?

- I ty także. Kocham cię. Zatelefonuj jutro wieczorem. Bez względu na godzinę.

Ben odłożył słuchawkę i wziął kotkę na kolana. Przeglądając książkę z fotografią uśmiechniętego oficera na okładce, zatrzymał się przy serii zdjęć zamieszczonych w środku. Niewiele osobistych wspomnień wojennych wydrukowano własnym nakładem. Najwyżej kilkanaście. Świat chciał zapomnieć o przeżyciach ludzi walczących w czasie wojny, którzy albo byli starzy, albo już nie żyli. Jeżeli jednak on, dzięki przyjacielowi z Ministerstwa Spraw Wojskowych natrafił na tę książkę, dlaczego nie mógł trafić na nią ktoś inny, również zainteresowany tym tematem? Ktoś wpływowi, kto wpadł w panikę, gdyż wiedział, czego oni szukają... Nie powinien był pozwolić Julii jechać tam samej. Instynkt tak mu podpowiadał, nie wolno mu było tego zlekceważyć. Przeklinał się za to, że jej uległ. Jeszcze tylko dwadzieścia cztery godziny. Będzie nalegał, żeby wróciła albo sam tam poleciał, nie zważając na jej sprzeciw. Powziąwszy to postanowienie, zdołał zasnąć.

Joe Patrick obrzucił przekleństwami przedstawiciela wynajętej agencji detektywistycznej. Spotkali się w pubie w śródmieściu i przy ustronnym stoliku w rogu Joe syczał pod jego adresem bardzo obelżywe słowa. Mężczyzna siedział na pozór niewzruszony, nie odpowiadał, nie okazywał żadnych emocji, chociaż szyja na jego karku stawała się coraz bardziej czerwona.

Patrick, pochylony ku niemu, z groźną miną i obnażonymi zębami

jak osaczony szczur, wprost zapluwał się ze wściekłości.

- Jersey! - fuknął. - Zapierdala na Jersey, a wy ją gubicie na lotnisku! Cholera jasna!

- Wysłaliśmy naszego człowieka zaraz następnym lotem - bronił się przedstawiciel agencji. - Sprawdzał wszystkie hotele, ale nigdzie się nie zameldowała. Nikt odpowiadający naszemu opisowi nigdzie się nie zatrzymał. On nawet obszedł prywatne kwatery, a wie pan, ile ich tam jest...

- Nic, psia krew, nie wiem i mnie to nie obchodzi - pienił się Joe. - Gdzie jeszcze sprawdzaliście?

- W jej biurze. Prosiłiśmy o umówienie spotkania. Powiedziano nam, że Hamilton wyjechała na tygodniowy urlop. Nie zostawiła żadnego numeru telefonu. Sekretarka warunkowo umówiła nas na rozmowę za dziesięć dni, ale ma potwierdzić ten termin dopiero po powrocie szefowej. Proszę, niech pan przestanie mnie obrażać, dobrze? Może rzeczywiście wyjechała na urlop. Może mieszka u przyjaciół...

- To odszukajcie tych przyjaciół - przerwał Joe. - Waszym zadaniem jest wiedzieć, gdzie ona przebywa i co, cholera, robi przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, aż wam powiem, że sprawa jest skończona. Albo nie zobaczycie ani grosza. Mój szef płaci za wyniki, a nie za jakiegoś dupka, co nie potrafi ruszyć głową i wykonać roboty, bo ona wsiadła do samolotu! - Wstał i zapiął długi płaszcz z kaszmirskiej wełny. Był błydy ze wściekłości i strachu przed reakcją Kinga. - Może pan wliczyć tę gorzałę w koszty - rzekł. - I żyć nadzieją, że dostaniecie zapłatę...

Po tych słowach zaczął przepychać się przez tłum stałych bywalców. Był w podłym nastroju. Strach powodował, że ział złością. Musiał się na kimś wyładować. Wsiadł do samochodu i ruszył w stronę domu, kipiąc wściekłością na agencję, Kinga i tego śmierdziela, który zgubił Hamilton na wyspie. Bał się o tym powiedzieć Kingowi. Ale też nie ośmieliłby się utrzymywać go w nieświadomości. To byłoby bardziej niebezpieczne. King żądał codziennych raportów. Wprawdzie twierdził, że bezpośrednie zagrożenie ze strony Hamilton nie istnieje, lecz nigdy nie rezygnował ze środków ostrożności. Wszystko zapiąć na ostatni guzik - to było jego motto. Ta suka wzięła sobie urlop. Akurat tuż przed pierwszą publikacją tego nowego cyklu „Pod światło” w listopadzie. Bardzo odpowiedni moment - rzucił na głos z furią, przedzierając się przez gąszcz pojazdów na jezdni. Zostawiła kochasia samego.

Nadal go śledzili, ale rutyna jego codziennego dnia nie uległa

żadnej zmianie; albo był w pracy, albo w domu. Może to oznacza, że ona rzeczywiście wzięła urlop... Joe zagryzł wargę, usiłując się pocieszyć. Gdyby Harris wyjechał razem z nią, to być może chodziliby o jakieś spotkanie. Tak to spróbuje przedstawić Kingowi. Może próbować wszystkiego, ale to go i tak nie uchroni przed jego wściekłością. A wściekłość nie ograniczy się do potoku wyzwisk i przekleństw. Nie miał co do tego wątpliwości. I nie nimi się przejmował. Słowa go nie raniły, co innego utrata forsy. To by mu dopiekło. Kiedy coś spaskudził, King odbierał mu dużą część zaliczki i Joe musiał bulić.

Zaparkował samochód w podziemnym garażu i pojechał windą na trzecie piętro. Bezgłośnie otworzył drzwi mieszkania. Skradał się bardzo cicho, jak polujące na ofiarę zwierzę. Przyłapie te dwie suki, cokolwiek robią. Nie spodziewają się go tak wcześnie. Pewnie siedzą na swych czarnych dupach i wypoczywają.

Sprawi im niezłą niespodziankę.

- W tym cudownym miejscu naprawdę się można odprężyć - powiedziała Julia. - Świetnie mi się spało.

Janey pomyślała, że kuzynka nie wygląda na szczególnie wypoczętą, lecz tego nie powiedziała. Julia żyła na wysokich obrotach w związku z tą odpowiedzialną pracą. Potrzeba więcej niż jednej doby dobrotczynnego powietrza Jersey i zwolnionego tempa, żeby to wywarło jakiś wpływ.

- Cieszę się. Lejeunesowie uznali, że jesteś niezwykłą osobą. Magde telefonowała dziś rano. Powiedziała, że musisz przyjść do nich na lunch, jeżeli zostaniesz trochę dłużej.

- To miło z ich strony - rzekła Julia. Ciągle czuła się winna, że wszystkich wprowadza w błąd. - Bardzo bym chciała, ale wątpię, czy uda mi się tu pozostać dłużej niż tydzień.

Oni byli takimi miłymi, prostolinijnymi ludźmi. Spacerując po plaży z Janey, Davidem i harcującym radośnie seterem, pomyślała nagle, że już zapomniała, jak wygląda normalna para małżeńska. Wyspa i Petersonowie byli oddaleni o lata świetlne od tego środowiska, w którym się tak długo obracała, ludzi niecierpliwie żądnych władzy.

A przy tym wcale nie byli nudni; prowadzili aktywne życie, mieli szerokie zainteresowania. Podróżowali, zachłannie czytali książki, nie było jednej nowo wydanej powieści, o której nie można by było z nimi podyskutować. Zamierzali przyjechać do Londynu zaraz po Nowym Roku, żeby obejrzeć najnowsze przedstawienia i iść na jakiś balet.

David był fanatycznym wielbicielem baletu. Prowadzili spokojne, sensowne życie, oparte na prostych wartościach, które w świecie mediów od tak dawna były wyszydzane, iż Julia obawiała się, że o nich zapomni. Jak się to wszystko skończy - przyrzekła sobie na spacerze - zacznę myśleć o zmianach. Porozmawiam z Benem, ciekawe, co on o tym sądzi. Lecz ubierając się na tę superważną kolację, kpiła już z samej siebie. Nie, ta recepta się dla niej nie nadaje. To były takie zachcianki, fantazja zrodzona z zazdrości o styl życia kuzynów. Umarłaby z nudów po paru miesiącach. Podobnie Ben Harris. Taka przytulna, domowa atmosfera, to nie dla nich. Dzieci w wózkach i praca w ogródku w weekendy. To śmieszne, żeby wyobrażnia ją tak poniosła.

Wyglądała bardzo szykownie w długiej, wąskiej, aksamitnej spódnicy. Kremowa jedwabna bluzka też była prosta, lecz ową prostotą *haute couture*. Rude włosy migotały jak płomień wokół jej głowy. Richard Watson lubił atrakcyjne kobiety. Miała nadzieję, że go nie rozczaruje. Spojrzała na zegarek. Siódma trzydzieści. Była gotowa. Zeszła do holu i czekała na Janey i Davida. Spóźniali się, a ona zaczęła się denerwować. Bardzo zły początek, może zapowiadać jakieś dalsze kłopoty. A ona nie powinna być spięta. Może byłoby lepiej, gdyby pojechała pierwsza.

Znała drogę do domu Watsona. Wybrali się na zakupy, przy okazji zrobili krajoznawczą wycieczkę wzdłuż wyspy i przejeżdżali tamtędy po drodze na lunch w Longueville Manor. Mogłaby pojechać samochodem Janey. Weszła na podest schodów i zawołała:

- Janey? Czy by to nie wyglądało źle, gdybym pojechała przed wami? Wolałabym być punktualna, a nie chcę was ponaglać. Mogłabym pożyczyć twój samochód?

Dobiegł ją zza drzwi głos kuzynki.

- Poczekaj chwilkę. - Po czym drzwi się otworzyły i Janey poszukała jej wzrokiem. Jeszcze nie skończyła się malować. Zawsze się spóźniała, a David nie był wiele lepszy pod tym względem. Sądząc po odgłosach dochodzących z łazienki, musiał być pod prysznicem.

- Będziemy gotowi za dziesięć minut... Nie chcesz jechać z nami?

- Wolałabym się nie spóźnić - wyjaśniła Julia. - Boję się, że to jest jakaś obsesja. Naprawdę chciałabym już wyruszyć... nie masz nic przeciwko temu?

- Nie, oczywiście, że nie. Trafisz, prawda? - Janey uniosła brwi, zdziwiona tym dziwactwem swego gościa, lecz nie sprzeciwiała się. - Kluczyki leżą na stoliku w holu. Nie weź przez pomyłkę wozu

David, dobrze...? On dostaje kompletnego fioła, kiedy ktoś rusza jego bezcenne volvo. Więc do zobaczenia.

Schodząc po schodach Julia słyszała, jak Janey woła do męża.

- David, pospiesz się, kochanie, Julia już pojechała. Bała się, że się spóźni. Musi prowadzić zwariowane życie...

A potem, gdy Julia była już na dole, doszedł ją przytłumiony głos kuzynki.

- Nie, nie wzięła twego samochodu...

Był piękny wieczór. Rześkie powietrze, gwiazdziste, bezchmurne niebo i chłodny wiatr od morza. Nawet skuliła się z zimna pod aksamitnym płaszczem, gdy jechała dziedzińcem w kierunku garażu. Podróż zajęła jej dwadzieścia minut, nie mogła jechać szybko po wijących się, wąskich drogach. Mieszkańcy wyspy naśmiewali się z rollerów i bentleyów bogatych imigrantów. Niewiele tu było szos szerokich na tyle, by mogły wyminąć się dwa pojazdy.

Dom stał na skalnym cyplu, wznoszącym się ponad plażą i morzem. Oświetlony, wyglądał w ciemnościach jak latarnia morska. Gdy wjechała na podjazd, zapaliły się automatycznie światła na zewnątrz. Zaparkowała samochód i wysiadła. Powiew ostrego, słonego powietrza uderzył ją w twarz. Dwa stopnie prowadziły do szerokich, pomalowanych na białą, frontowych drzwi.

Nacisnęła dzwonek. Po chwili, która wydawała się jej dość długa, zadzwoniła ponownie i tym razem drzwi otworzyły się niezwłocznie. Zobaczyła na tle światła z holu sylwetkę wysokiego mężczyzny.

- Pan Watson? - spytała.

- Tak, jestem Richard Watson. A pani musi być Julią Hamilton, kuzynką Davida i Janey. Proszę wejść z tego chłodu. Niezły zerwał się wiatr wieczorem. - Przepuścił ją i zamknął drzwi.

- Przyjechałam przed nimi - powiedziała. - Mam nadzieję, że panu to nie przeszkadza, że zjawiłam się tu pierwsza.

Uśmiechnął się i wyciągnął do niej rękę.

- Tak, jest pani pierwsza. To świetnie, będę miał okazję porozmawiać z panią, zanim zejdą się pozostali goście. Proszę dać mi płaszcz. Wie pani, panno Hamilton, że rozpoznałem panią z fotografii w „Heraldzie”. Ale w naturze jest pani o wiele ładniejsza. - Ujął ją delikatnie pod ramię i poprowadził przez hol, a potem po kilku stopniach w górę. W domu było bardzo ciepło.

Julia rozejrzała się i zwróciła do niego:

- Ależ fantastyczny pokój! Och, i co za widok! - Podeszła do okna. Sięgało do podłogi i było tak szerokie, że zajmowało pra wie

całą ścianę. Stał koło niej. Smuga światła z domu dochodziła do urwiska skalnej ściany, poniżej widać było zbiorowisko domów, w tym wyróżniał się jeden, wyższy, wzniesiony prawie przy samym brzegu morza, wszystkie iskrzące się i migoczące światłami. A w oddali, po granatowym niebie przesuwiał się pro mień latarni morskiej ostrzegający przed skałami.

Kiedy się obróciła ku niemu, patrzył na nią z uśmiechem. Był przystojnym mężczyzną o ciemnoniebieskich oczach. Miał gęste, siwe włosy i krótko przystrzyżone wąsy, jakby pamiątka z bardzo dawnych, żołnierskich czasów.

- To wygląda jeszcze bardziej malowniczo pod wieczór - po wiedział. - Zachody słońca są tu wprost niewiarygodne... zorza mieni się wszystkimi kolorami tęczy. Szkoda, że już jest tak ciemno... ale mimo to, nadal pięknie. Tam poniżej to St Brelades i hotel Cour Rouge. Kiedyś był znakomity, teraz zawsze pełno tam turystów. Co mogę podać pani do picia? Dżin, whisky, wódkę, a może białe wino?

- Poproszę o wódkę - odparła. - Z lodem i tonikiem, jeśli można.

Przyrządził jej drinka, a sobie nalał whisky.

- Mam nadzieję, że nie sprawiłam kłopotu, zjawiając się punkt ósma. Kochani Petersonowie pomyśleli, że zwariowałam, ale nienawidzę się spóźniać.

- Jestem zachwycony - odrzekł Richard. - To niezwykła cecha, prawda? Panie z niej raczej nie słyną. Nigdy nie była mocną stroną mojej zmarłej żony. Co za uroczy strój. Ogromnie się cieszę, że mogłem panią poznać, panno Hamilton. A może mógłbym mówić do pani Julio?

- Właśnie miałam to zaproponować - zapewniła pośpiesznie. Uległa jego urokowi, kojącemu i kuszącemu zarazem. Jeszcze parę lat temu swym wdziękiem musiał zniewalać wiele kobiet.

W tym momencie zabrzmiał dzwonek u drzwi i Richard wyszedł z pokoju. Julia ponownie obróciła się ku oknu. Miał rację, ten widok wyglądałby najpiękniej o zachodzie słońca, lub brzasku. Ale przecież nie mogłaby zostać.

Do pokoju weszła para w średnim wieku, gospodarz prowadził ich w kierunku Julii.

- Julia Hamilton, Bob i Fiona Thomasowie.

Mężczyzna ścisnął bardzo mocno jej dłoń i odezwał się tubalnym głosem:

- A więc to pani jest ową sławną kuzynką Janey i Davida? Wszystko o pani wiemy, prawda Fi? - Słowem tym towarzyszył gromki śmiech. Żona, bardzo drobna i szczupła, mówiła bardzo cicho.

- Tak, to prawda. Nie ma ich jeszcze? - spytała rozglądając się.
- Przyjechałam wcześniej - wyjaśniła Julia. Zauważyła, że kobieta szybko otaksowała jej strój. Zaspokoiwszy swą ciekawość, uśmiechnęła się do Julii.

- David tak ciężko pracuje, na pewno został zatrzymany w szpitalu. Wszystkim opowiadali o pani wizycie. Zanim jeszcze zdążyliśmy panią poznać, już uchodziła tu pani za znakomitą osobistość.

Ta niska, szczupła osoba o szemrzącym głosie, była raczej zmijowata, uznała Julia. Z taką można sobie poradzić tylko w jeden sposób. Uśmiechnęła się do niej słodko, po czym zwróciła do jej męża:

- To mój pierwszy pobyt tutaj. Cudowna jest ta wyspa. Zdecydowałam, że wrócę tu na wiosnę. - Swe słowa poparła promiennym uśmiechem.

- Dobrze by było. Proszę nas odwiedzić następnym razem. Czy wie pani, że dzisiejsza uroczystość jest na pani cześć? Dick zaprosił nas tylko na brydża i na kolację, ale wtedy jeszcze nie wiedział, że pani przyjechała.

- Jak mówiłam - wyszeptala jego żona - jest pani znakomitą osobistością... O, to Janey... zawsze ją rozpoznam, choćby była o milę. Tak się niesie ten cudowny głos...

- No, o twoim nikt by nie mógł tego powiedzieć, Fi... Połowy z tego, co do mnie mówi, w ogóle nie słyszę - parsknął rubasznym śmiechem. Julia też się zaśmiała, po czym zwróciła się do jego żony:

- Jeśli chodzi o Janey, to jedno na pewno można powiedzieć, ona nigdy nie mówi nic niemilego o bliźnich, więc jest obojętne, czy ją dobrze słyszą czy nie.

Watson był dobrym gospodarzem i wiedział, jak bawić gości. Wkrótce wszyscy się przemieszali, choć Julia, jako jedyna obca osoba, wzbudzała szczególne zainteresowanie. Nawet zjadliwa Fiona podeszła do niej i starała się zrehabilitować.

- To prawda, co powiedziała pani o Janey - wyszemrała. - Dla wszystkich jest miła. Nie chciałam powiedzieć, że ma donośny głos. Tylko Bob tak się stale wydziera i mnie się zdaje, że nikt nie słucha tego, co ja mówię.

Julia zmięknęła.

- Na pewno tak nie jest.

Podszedł Richard i odciągnął Julię na bok.

- Mam nadzieję, że Fiona nie zachowała się niegrzecznie - powiedział cicho. - Widziałem, że byłaś dla niej miła. Może ma trochę ostry język, ale życie jej nie rozpieszczało. Bob był swego czasu świetnym szermierzem i ona wiele musiała znieść z powodu różnych

ślicznotek. Kolacja gotowa, Maria daje mi już znaki. Co ja bym bez niej zrobił. Portugalczycy to tacy mili ludzie. Idziemy?

Kolację podano w pokoju, którego czołowa ściana była cała przesklona; robiło to wrażenie, jakby był zawieszony nad skałą. Watson posadził Julię po swej prawej stronie. Stół pięknie nakryto, były srebra i świece, a potrawy wytrzymałyby konkurencję z podawanymi w najlepszych restauracjach Londynu.

Julia dobrze się bawiła; atmosfera była pogodna i serdeczna, a jej bezwzględny świat współzawodnictwa zdawał się być gdzieś na księżycu. Ten nastrój ją wciągał, lecz mu się nie poddała. Nie przyszła tu z towarzyską wizytą. To miał być punkt kulminacyjny starannie obmyślonego planu, ona poniosłaby całe ryzyko, gdyby spalił na panewce.

- Istotę starości można by sprowadzić do tego, że coraz częściej rozmawia się o dawno minionych czasach - mówił Richard. - Coraz częściej zauważam u siebie takie skłonności. Spędziłem kilka wieczorów w Londynie z moim siostrzeńcem, radcą prawnym, poznałeś go Janey, przyjechał tu w zeszłym roku pożeglować...

- Tak, pamiętam, uroczy młody człowiek - żywo przytaknęła Janey.

- Nie za bardzo - uśmiechnął się Watson. - Jest raczej nadęty i dość zarozumiały. No, ale to krewny, więc utrzymuję z nim kontakty. Zabrał mnie na kolację do swego wytwornego klubu - wspaniałe jedzenie, o wiele lepsze niż w restauracjach - a ja mu opowiadałem o latach spędzonych w obozie jenieckim. A przecież nie myślałem o tym, a tym bardziej nie mówiłem od wielu lat. Tymczasem zalałem go wprost potokiem opowieści o tym, jak dostałem się do niewoli i o trzech latach spędzonych w obozie jenieckim w Niemczech. Nagle zauważyłem, że śmiertelnie zanudzam tego biedaka. Wtedy szybko zmieniłem temat.

- Młodzi myślą, że zjedli wszystkie rozumy - zareagował dość gwałtownie Bob.

- A czy my tak nie uważaliśmy? - spytał Richard łagodnym tonem. - Odkąd ukończyłem osiemnaście lat, nie wysłuchałem uważnie jednego słowa, które ojciec do mnie mówił. I wiecie, smutne było to, że kiedy wróciłem do domu z obozu jenieckiego, w ogóle nie potrafiłem się z nim porozumieć. Oczywiście, rodzi ce byli uszczęśliwieni, że znowu jestem z nimi, matka się popłakała i pobiegła parzyć herbatę, a ojciec objął mnie ramieniem i czym prędzej pognął na górę z moim wojskowym workiem. Po prostu nie wiedział, co powiedzieć.

Julia uznała, że nadszedł właściwy moment.

- Czy przykro to odczułeś? Próby dostosowania się na nowo do dawnego życia musiały być niezmiernie trudne.

- Nie było mi łatwo - przyznał. - Wróciłem do domu jako obcy człowiek. I ja to czułem, i oni. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo wpłynęła na mnie utrata wolności. Nie potrafiłem rozstrzygnąć żadnej kwestii. Odzwyczałem się od podejmowania decyzji. Jeśli ktoś mi powiedział, jakie mam rano włożyć skarpetki, uległem to robiłem.

- Jak długo trwał taki stan? - spytała Julia w obawie, że mógłby zmienić temat.

- Parę lat. Imałem się różnych zajęć, ale nigdzie nie mogłem zagrzeć miejsca. To się nagminnie przydarzało byłym jeńcom wojennym. Wreszcie podjąłem praktykę w koncernie chemicznym ICI i ta praca mnie zainteresowała. A właściwie zaabsorbowała. Od tego czasu wszystko poszło już dobrze.

Julia zaczerpnęła głęboko powietrza. Teraz.

- Czytałam twoją książkę - zaczęła. - Dał mi ją przyjaciel, zupełnie zwariowany na punkcie drugiej wojny światowej. Uważam, że jest bardzo ciekawa. Czy pisałeś ją w obozie jenieckim?

- Tak - odparł Watson. - Było tam tak przeraźliwie nudno, panowała deprymująca atmosfera, diabelnie marzliśmy w zimie... A poza tym stale doskwierał nam głód. Większość jeńców spędzała czas na planowaniu ucieczki lub na grze w szachy czy w brydża. Ja spisywałem swe błahе wspomnienia. Trudno mi uwierzyć, że uznałaś je za ciekawe, lecz przyznaję, to mi pochlebia. - Uśmiechnął się do niej.

- Książka? - ryknął Bob. - Co to znaczy, Dick, trzymałeś ją przed nami w tajemnicy?

- Napisałem ją wiele lat temu; na długo przed przybyciem tu, na wyspę - usprawiedliwiał się Richard Watson. - Wydałem własnym sumptem w bardzo małym nakładzie. Nie wiedziałem, że jakieś egzemplarze jeszcze gdzieś krążą. Chyba chodziło mi tylko o to, żeby całą tę historię zrzucić z serca.

- Ukryty talent. - Bob ponownie włączył się do rozmowy. - Niech pani, Julio, lepiej się strzeże, bo może mieć w Dicku rywala. Chciałbym tę książkę kiedyś przeczytać. Założę się, że zamelinowałaś gdzieś egzemplarz tego wiekopomnego dzieła. Ja spędziłem w wojsku najlepsze chwile mego życia. Często żałowałem, że nie poświęciłem się wojskowej karierze zawodowej. Byłem za młody, żeby wziąć udział w ostatniej wojnie, ale służba zasadnicza dała mi wiele satysfakcji. - Rozejrzał się w oczekiwaniu na wyrazy uznania.

- A ty, Richardzie - spytała Julia cichym głosem - czy masz podobne zdanie o armii? Nie wynikało to z twojej książki.

Spojrzał na nią, po czym raptownie odwrócił wzrok.

- Nienawidziłem wojska - odparł. - Nienawidziłem wszystkiego, co się z nim wiązało. I nie byłem dobrym żołnierzem. Myśl, że mógłbym kogoś zabić, wprost mnie przerażała. Nie miałem w sobie żądzy krwi.

- A zabiłeś kogoś?

Zawahał się na moment, po czym odpowiedział:

- Nie. Ale uratowałem pewnemu człowiekowi życie.

- Jednemu z naszych? - zapytał David.

- Nie. To był Niemiec.

- Jak to się stało? - szybko podjęła temat Julia. - W jaki sposób go uratowałeś?

- Nie pozwoliłem memu sierżantowi go zamordować.

- Dobry Boże. - Bob pochylił się nad stołem do przodu. - Dalej, powiedz nam o tym.

- Jakie to frapujące - dodała jego żona, ale nikt na nią nie zwrócił uwagi.

- To było na Saharze Zachodniej. Wycofywaliśmy się przed Korpusem Afrykańskim Rommla, zanim jeszcze dowództwo nad naszą armią objął Monty. Zostaliśmy odcięci od naszej jednostki. Usiłowaliśmy przedostać się do naszego garnizonu w Tobruku. Było nas siedmiu. Kapitan Tim Phillips, ja, sierżant i czterech szeregowców. Na pustyni było pełno patroli uprzętających teren po bitwie. Po drodze natknęliśmy się na tego Niemca. Był lekko ranny w nogę i nie miał przy sobie broni. Twierdził, że zdezerterował. Wzięliśmy go jako jeńca, gdyż tak było bezpieczniej; gdybyśmy go zostawili, mógłby ostrzec któryś z niemieckich patroli, że jesteśmy w tej okolicy... Wiedziałem, że sierżant chce go zabić. To był tego rodzaju człowiek. Szliśmy z trudem w nadziei, że przed zapadnięciem nocy zdołamy się stamtąd wydostać, ale Niemiec opóźniał marsz, włókł się w tyle za nami. Stracił sporo krwi, w ogóle było to takie chodzące nieszczęście, mógł mieć z osiemnaście lat, najwyżej... Sierżant zaczął poganiać go bagnetem, ale tamten nie był w stanie dotrzymać nam kroku. Naraz zobaczyliśmy chmurę pustynnego piachu. To oznaczało, że zbliża się do nas pancerny patrol niemiecki. Wgramoliliśmy się do dołu po wyschniętym korycie rzeki i przyciągnęliśmy tego chłopaka do nas. Kapitan wyciągnął rewolwer i przyłożył mu do skroni. Powiedział, że palnie mu w łeb, jak piśnie choćby słowo.

Richard dolał sobie wina.

- Tak naprawdę nie miał zamiaru tego zrobić. Ręka mu drżała jak liść i sam był przerażony. Obserwowałem naszego sierżanta. Trzymał

bagnet w pogotowiu. Powiedział: „Nie możemy ryzykować strzału, sir. A przez niego posuwamy się powoli. Proszę to odłożyć, ja z nim skończę”.

- To znaczy - spytała Julia - że on chciał go zakłuć bagnetem?

- O, tak. Nie zawahałby się. Nikt z pozostałych się nie odezwał.

On od początku zdominował Tima Phillipsa. Kapitan już zamierzał schować rewolwer do kabury, więc musiałem coś zrobić, zanim doszłoby do zabójstwa chłopaka.

- I co zrobiłeś? Wzruszył ramionami.

- Nic heroicznego. Oznajmiłem głośno i wyraźnie, że nie będę brał udziału w morderstwie. A to oznaczało, że jeżeli mieli nie dopuścić, abym złożył raport o tym, co zaszło, to i mnie także powinni zabić.

- Boże - rzekł David. - To była odwaga.

- Nie - zaprzeczył Richard. - Ale to ich powstrzymało. Więc poszliśmy dalej i zostawiliśmy tego nieszczęsnego Niemca. - Watson zaproponował Julii, że doleje jej wina, lecz podziękowała.

- Czy on rozumiał? Czy wiedział, co się dzieje?

- O tak, dobrze zdawał sobie sprawę, o co chodzi. Trząśnięcie się przerażenia. Jestem pewien, że znał lepiej angielski, niż się do tego przyznawał. Nic nie powiedział. Ale patrzył na mnie, kiedy odchodziliśmy. To było dziwne spojrzenie. Nie umiałem go rozszyfrować. Sierżant podszedł do mnie i powiedział: „Popelnił pan błąd, sir. - Watson naśladował sarkastyczną wymowę ostatniego słowa. - Powinien pan być pozwolnić mi zabić tego małego drania. Wspomni pan moje słowo, wyśle za nami niemiecki patrol”. I rzeczywiście - dodał w zamyśleniu - tak się też stało. W ciągu godziny zostaliśmy schwytani.

- Co za niezwykła historia - odezwał się Bob Thomas.

Richard Watson popatrzył na zebranych. Westchnął.

- Ale niestety, to nie koniec na tym. Phillipsa i mnie zabrano do ciężarówki i przewieziono do obozu jenieckiego, założonego przy ich bazie. Takie szczególne względy dla oficerów. Niemcy byli tacy. Pozostała piątka wymaszerowała, żeby dołączyć do posuwającej się z tyłu kolumny jeńców brytyjskich. Za nim tam dotarli, znaleźli się w ogniu krzyżowym staczających ze sobą potyczkę patroli; tylko sierżant, mimo ran, przeżył. Pozo stali czterej chłopcy polegli. Dowiedziałem się o tym dopiero po wojnie, ponieważ Phillips, z którym miałem po wojnie kontakt, starał się dowiedzieć czegoś o tych ludziach.

Przerwał na chwilę i Julia spostrzegła, jak zaciskają mu się

szczęki.

- Miał taką zwariowaną teorię, że oni zostali zastrzeleni z premedytacją. Wersja o ogniu krzyżowym pochodziła od sierżanta. Phillips nigdzie nie znalazł żadnego oficjalnego potwierdzenia, jakoby w tej okolicy doszło do potyczki między naszymi i niemieckimi patrolami. Naprawdę dostał obsesji na tym punkcie, ale do niczego nie doszedł. Wiecie, często się zastanawiałem, że ci biedacy może nadal by żyli, gdybym się nie wtrącił.

- Nie możesz siebie winić - stwierdził stanowczo Bob. - Bezwzględnie postąpiłeś słusznie. Wątpię, czy któryś z tych oficerów Hunów zrobiłby coś takiego dla jednego z naszych. Chociaż tam wojna prowadzona była całkiem uczciwie...

- Wobec tego, kto mógłby ich zastrzelić? - spytała Julia. - Czy sierżant nie zameldowałby o takim okrutnym czynie? - Musiała odchrząknąć i przełknąć ślinę, gdyż nagle poczuła, że ma zupełnie sucho w gardle.

- Cóż, nie zameldował - odparł Watson. - To były tylko przypuszczenia, więc Phillips go wytropił, ale on trwał przy swoim... Masz rację Bob, tam, na Saharze Zachodniej to była całkiem uczciwa wojna. Nie popełniono większych zbrodni wojennych... co w przeważającej mierze było zasługą Rommla. To był dowódca ze starej, pruskiej szkoły. Cóż - uśmiechnął się do nich. - Przepraszam, że was tak zanudzałem. Starzeję się, niestety. No, to teraz napijemy się kawy. Janey, zabaw Julię i Fionę za mnie, a my obiecujemy, że nie będziemy tu siedzieć za długo.

Janey prowadziła obie panie na górę.

- To było niesamowite - powiedziała. - Co za straszliwa historia. Ale postąpił słusznie, że ocalił tego Niemca. Co mógł na to poradzić, że tamci potem zostali zabici w czasie potyczki.

- Nic - potwierdziła Fiona cichym głosem. - Ale chyba on się o to obwinia.

Było już dawno po północy, gdy wreszcie Julia mogła wyjść z przyjęcia. I dostać się do telefonu. Ben, myślała, och, Ben, nie uwierzysz w to. Mój Boże, ja sama ledwo mogę dać temu wiarę...

Kiedy zebrali się przed frontowymi drzwiami przy pożegnaniu, udało się jej odciągnąć na bok Watsona.

- Co się stało z kapitanem Phillipsem? Czy on jeszcze żyje?

- Nie, zmarł w osiemdziesiątym pierwszym, na raka. Jego żona mnie zawiadomiła.

- A ten sierżant. To ten, który jest z tobą na fotografii, prawda?

- Tak, to on. Kiedy ludzie opowiadają o okrucieństwach Niem-

ców, myślę wtedy o nim. Zakłułby tego chłopaka bagnetem na śmierć i zrobiłby to z przyjemnością.

- A on jeszcze żyje? - Usiłowała nadać temu pytaniu obojętny ton.

- Nie mam pojęcia. - Jego głos stał się nagle oschły. Odwrócił się i ucałował Fionę na pożegnanie. To była oczywista odmowa kontynuowania tematu. Kiedy jednak żegnał się z Julią, był znowu uśmiechnięty i czarujący.

- Dziękuję za wspamiętanie przyjęcie - powiedziała. - I naprawdę bardzo mi się podobała twoja książka.

- Jestem zaszczycony - odrzekł, lecz wbrew towarzyszącemu tym słowom uśmiechowi, jego oczy pozostały czujne. - To był tylko taki przejaw pobłażliwości wobec własnej osoby.

Julia nie dała się tym zbyć.

- Ale nie wspomniałeś o tym zdumiewającym incydencie...

- Zapewne uznałem, że nikomu nie przyniesie to korzyści - rzekł chłodno. - Phillips jeszcze wtedy żył. Widzisz, ja nie jestem prowadzącym dochodzenie dziennikarzem. Nie chciałem zadawać bólu. Cieszę się, że cię poznałem. Spodziewam się, że jeszcze nas odwiedzisz.

- Mam taką nadzieję - odpowiedziała i uścisnęła mu dłoń. - Jeszcze raz dziękuję.

Tak jak się umówili, następnego dnia rano o wpół do jedenastej zadzwonił Ben. Ze względu na Janey Julia nadal podtrzymywała ukartowaną grę.

- Dzwonili z pracy - powiedziała strapionym głosem. - Muszę wcześniej wracać. Ogromnie mi przykro, było mi u was bardzo dobrze.

- O, do licha! - wykrzyknęła Janey. - Chciałam wydać wielkie przyjęcie, żeby wszyscy nasi przyjaciele mogli cię poznać. To miała być niespodzianka przed twoim wyjazdem. O, do licha... - powtórzyła. - David będzie żałował, że spędził z tobą tak mało czasu. - Lecz jako osoba dobroduszna, widząc zakłopotanie Julii, zaraz dodała. - Och, trudno, po prostu jestem egoistką. Oczywiście, że musisz jechać. Przepraszam, że robię tyle szumu. Przyjedź na wiosnę i wtedy to odrobimy. Tylko na przyszłość nie mów w tym cholernym biurze, dokąd się wybierasz!

- Janey. - Julia objęła ją czule. - Dzięki, że ze mną wytrzymałaś, przepraszam za to zamieszanie. Przyjadę na wiosnę, ale ty z Davidem obiecałście przedtem być w Londynie. Zorganizuję uroczysty wie-

czór z rodzicami i z moim nowym ukochanym mężczyzną. Obiecuję. A teraz powinnam już zatelefonować na lotnisko. Naprawdę bardzo mi przykro.

I mówiła prawdę. Lecz gdyby miała skrzydła, w jednej chwili pofrunęłaby do domu, do Bena Harrisa.

Rozdział 9

- **N**o, proszę cię - powiedziała policjantka. - Powiedz mi, co się stało? Kto ją tak urządził?

Dziewczyna płakała z twarzą ukrytą w dłoniach. Mandy Kent pracowała w policji od dziesięciu lat. Była przyzwyczajona do tego, że stykała się z przemocą, w tym również z fatalnymi skutkami domowych awantur. Była dumna ze swego pozbawionego emocji podejścia do takich zdarzeń. W jej zawodzie miało to zasadnicze znaczenie.

- Jak ci się udało wsadzić ją w tym stanie do taksówki? Balaś się wezwać pogotowie, tak?

Większość maltretowanych kobiet rezygnowała ze składania skarg i tym draniom uchodziło to na sucho. Ciężko pobita prostytutka nie była wyjątkiem.

Nigdy jeszcze nie widziała dziewczyny tak zmasakrowanej, jak ta Tracey, leżąca nieprzytomna w separacie obok. Znała ją i obecną tu jej przyjaciółkę Tinę. Mandy pracowała w obyczajówce i w obrębie mili kwadratowej w miejscach, gdzie sprzedawano narkotyki oraz różnego rodzaju karalne usługi seksualne, znała wszystkie uliczne dziewczyny i sutenerów. Ale Tiny i jej przyjaciółki nie widywała już od dłuższego czasu.

Mówiła dalej spokojnym tonem:

- Ma połamane żebra, złamaną szczękę, zmiażdżone prawe ramię; chciała się osłonić, prawda? Doktor uważa, że ten, co to zrobił, musiał ją okropnie skopać, bo pękła jej śledziona. Tino, ona może umrzeć. Więc kto to zrobił?

Tina ostrożnie dotykała własnej potłuczonej twarzy i opuchniętych warg.

- Nie może umrzeć... nie może... - mamrotała. - Od dziecka

byliśmy razem. W tym samym pieprzonym czynszowym domu...

- Skoro ma pękniętą śledzionę, to może - powiedziała Mandy Kent stanowczym tonem. - A następnym razem tobie grozi, że będziesz leżeć jak ona.

Zamilkła czując instynktownie, że w płaczącej dziewczynie zachodzi jakaś zmiana.

- Joe Patrick - powiedziała bardzo cicho Tina. - Joe Patrick ją pobił.

Mandy Kent wstała.

- Przyniosę ci kawy - rzekła. Wróciła z dwoma plastikowymi kubkami z automatu na korytarzu i jeden podała Tinie.

- Osłodziłam - powiedziała. - Jesteś w szoku. Cukier dobrze ci zrobi. Opowiedz mi o Joe Patricku. Czy to wasz stręczyciel?

- Nie - potrząsnęła głową Tina. Słodka, gorąca kawa piekła jej poobcierane wargi. - On nie utrzymuje się z dziewczyn. Nie musi. Jest biznesmenem. Poderwałyśmy go rok temu w klubie „Caribbean”. Lubi kolorowe. Ma na tym punkcie bzika. Mieszkamy z nim. Czasami tam robię za sekretarkę. Nie pierwszy raz nam sprawił lanie. Trzeba się z tym liczyć. Ale teraz przyszedł, żeby się na kimś wyładować. Chciał po prostu jedną z nas skatować.

Skończyła kawę krzywiąc się z bólu.

- Dlaczego wybrał Tracey, a nie ciebie? Odpowiedziała mu impertynencko?

- Chryste, nie. Tracey nigdy się tak nie odzywa, za bardzo się go boi. Nosila bransoletkę, którą on dał mnie. Cholerna bransoletka, pożyczyłam, bo się jej podobała... dostał szału. Jakby zwariował, wrzeszczał, kłął. I rzucił się na nią. Próbowалаm go powstrzymać, ale walnął mnie na odlew i zaczął ją kopać, a ja tam leżałam i patrzyłam... Myślałam, że ją zabił. Potem wyszedł. Trzasnął drzwiami i wyszedł.

- A ty wyprowadziłaś ją na ulicę i wsadziłaś do taksówki - odpowiedziała Mandy Kent.

- Wytlumaczyłam, że została poturbowana przez samochód, który się nie zatrzymał - wymamrotała Tina. - Musiałam zawieźć ją do szpitala.

- Zrobił to tylko z tego powodu, że nosila twoją bransoletkę - powtórzyła Mandy. - Tino, dlaczego? Czy była cenna?

- Nie, nigdy nie dawał nam dobrych rzeczy. Taki rupieć.

Otarła twarz wierzchem dłoni.

- Powiedziałam pani, ale już nic więcej nie będę mówił. Nie będę zeznawał. Jak go oskarżycie, wyprę się wszystkiego. Gdybym go zakablowała, toby mnie zabił. Albo kazał komu innemu.

Mandy Kent nie oczekiwała niczego więcej. Takie dziewczyny jak Tina i bezradna ofiara napaści Tracey zawsze będą poza ochroną prawa. Żyły według reguł świata przestępczego, gdzie donosicielstwo poczytywano za gorsze od morderstwa, a jedynym prawem, które się liczyło, było prawo przetrwania.

- Może Tracey złoży na niego skargę? - zasugerowała. - Jeśli odzyska przytomność. Jak umrze, to będzie morderstwo. Nie uda ci się z tego wywinąć, Tino.

- Ona też na niego nie doniesie - powiedziała po zastanowieniu. - Chcę teraz iść do domu. Odwiedzę ją jutro.

- Chyba do niego nie wracasz, prawda? Nie robiłabym tego na twoim miejscu.

- Pójdę do przyjaciółki - odparła Tina. - Na dzień, czy dwa. Dam draniowi czas, żeby się uspokoił. I przyjdę się dowiedzieć, jak tam Tracey... Dzięki za kawę.

- Jeżeli cię kopał, to powinnaś iść na oddział pomocy doraźnej, żeby cię obejrzał lekarz.

- Nic mi nie jest. To tylko takie obtarcia. Nie pierwszy raz mi to zrobił.

- Poproszę, żeby zawieźli cię policyjnym samochodem tam, gdzie chcesz. Tino, bądź ze mną w kontakcie. Jestem po twojej stronie.

- Jak cholera - powiedziała bez urazy. - Nikt nie jest po mojej stronie, poza mną.

Mandy Kent odprowadziła ją do policyjnego samochodu. Nagle poczuła się zmęczona i zła. Przekazała nazwisko Joego Patrica do sprawdzenia w centralnym komputerze. Może on i jest biznesmenem, ale zachował się typowo dla drobnego rzeźmieszka i byłego alfonsa.

Co nie oznaczało, że miała nadzieję na postawienie go przed sądem. Żadna z dziewcząt nie złoży skargi i nie będzie składać zeznań w obawie przed zemstą. Nie mogła mieć do nich o to pretensji, lecz na myśl, że taki łobuz uniknie kary, ogarniała ją frustracja i wściekłość. Wróciła do szpitala. Na spotkanie jej wyszedł lekarz dyżurny.

- Nic nie lepiej? - spytała.

- Nie, nadal nie odzyskała przytomności. Na szczęście śledzona jest w porządku. Ale i tak dziewczyna jest w strasznym stanie. Zdrutowaliśmy szczękę, lecz będzie konieczna operacja plastyczna. Udało się wydobyć coś z jej przyjaciółki?

- Powiedziała, kto to zrobił, ale nie pójdzie do sądu i nie złoży zeznań. Więc jesteśmy bezradni. To mnie naprawdę gnębi.

- Powiedziała, kto to zrobił? I z jakiego powodu ta biedaczka tak

oberwała?

- Pożyczyła od tej drugiej bransoletkę. Może pan w to uwierzyć? Ten bandyta szukał tylko pretekstu, żeby się wyładować. Znam ten rodzaj łobuzów. Czy mogłabym przejrzeć jej rzeczy? Zobaczyłabym chociaż, za co jej omal nie zabił.

- Proszę iść do siostry przełożonej - powiedział. - Tam jest jej pokój. Ona trzyma rzeczy, dopóki nie zostaną opisane i złożone do depozytu. Dobranoc.

- Dobranoc - odpowiedziała Mandy.

- Proszę bardzo. - Dyżurująca siostra była przyzwyczajona, że w tego typu sprawach policja chce przejrzeć rzeczy pacjentki. - Tak, mam tutaj wszystko, w szufladzie biurka. Trzeba być bardzo ostrożnym, bo potem niektóre się skarżą, że je okradziono. Zaraz to wyjmę.

Nie było tego wiele. Łańcuszek z jakimś talizmanem, trzy bezwartościowe pierścionki w jarmarczonym stylu z zaschniętą na nich krwią, jakby pokryte ciemnobrązową błoną. I bransoletka. Cienki łańcuszek ozdobiony małymi kamykami, które połyskiwały w świetle stojącej na biurku lampy. Mandy wzięła bransoletkę do ręki.

- Od lat już takiej nie widziałam - odezwała się siostra.

- Oo, a co w niej jest szczególnego?

- To „droga” bransoletka - wyjaśniła - bo dawało się ją drogiej osobie. Moja matka dostała taką od ojca w prezencie na srebrne wesele. Może nie tak ładną jak ta. Ta ma śliczne, małe kamienie. Nazwa wzięła się od ich pierwszych liter: diament, rubin, opal, granat i ten... no, ametyst. Swego czasu takie bransoletki były bardzo modne. Ta jest piękna, choć kamienie są niewielkie. - Wzięła ją od Mandy i ważyła w dłoni. - Właściwie tamta mojej mamy jest teraz moja. Matka zmarła w zeszłym roku.

- Przykro mi - powiedziała Mandy. - Jeżeli to nie jest sztuczna biżuteria, to może warto byłoby dać to na komputer i sprawdzić, czy nie została skradziona. A nuż tego drania przyłapiemy na paserstwie. Nie sądzę, żeby to należało do jego matki. Podpiszę odbiór, dobrze?

- Oby ten brutal stanął przed sądem. Mam nadzieję, że coś znajdziecie.

Mandy uniosła na nią wzrok. Wsunęła zalepioną kopertę z bransoletką do kieszeni. Włożyła kapelusz i odparła:

- Ja także.

Ben Harris czekał na lotnisku. Zobaczyła go stojącego przed halą przylotów i pomachała mu ręką. Pospieszył na jej spotkanie i po chwili on, zwykle zachowujący się z taką rezerwą w miejscach

publicznych, wzięł ją w ramiona i długo tulił.

- Dobrze, że jesteś, kochana - powiedział. - Boże, jak mi się dłużyło tych parę dni.

- Mnie też - zapewniła go. - Nie było minuty, żebym nie tęskniła za tobą. Ale - przeciągnęła to słowo dla większego efektu i spojrzała na niego z triumfem - rozsypaliśmy to. Mamy Westerna w kieszeni i będziemy mieli Harolda Kinga w związku z jego zbrodnią wojenną.

Objęci ramionami poszli w stronę parkingu. Ledwie zdążyli wyjechać na autostradę prowadząca do centrum Londynu, gdy Joe Patrick otrzymał telefoniczną wiadomość, że Julia została przejęta na lotnisku po powrocie z Jersey i dalej jest śledzona.

Wreszcie mógł stawić czoło Haroldowi Kingowi. Nie musiał się przyznawać, że zgubili ją na wyspie. Jego ożywienie przygasło, gdy wróciwszy do domu stwierdził, że ptaszki wyfrunęły. Poczul się niepewnie. W mieszkaniu był bałagan, dywan zabrudzony wymiocinami i krwią, i nikogo, kto by to posprzątał.

Posunął się za daleko z tą czarną krową. Widok na jej ręce bransoletki, którą podarował Tinie, wywołał w nim wybuch ślepej furii, było mu to potrzebne, żeby się wyładować, gdyż nieprzytomnie bał się Kinga. Przedobrzył, a Tinę wyrznął pięścią, bo chciała się wtrącać.

One wróć. Nie ma zmartwienia. Dobrze wiedziały, co by je czekało, gdyby się na niego komuś poskarżyły albo poszły na policję. Nie przejąłby się, gdyby miały oszpecone twarze. Tam, skąd pochodziły, jest mnóstwo innych dziewczyn. Może zmiana nawet dobrze by mu zrobiła. Zapowiedział się u Kinga i ruszył do niego swym mercedesem złożyć starannie przygotowany raport.

- Była na urlopie - zaczął. - Spędziła parę dni na Jersey i wróciła dzisiaj rano.

Harold King patrzył mu prosto w oczy. Patrickowi wydawało się, że szef zbladł, lecz uznał to za przywidzenie. Wszystko przez ten strach, nerwy go jeszcze zawodziły.

- Jersey - powtórzył King. - Rozumiem. A co tam robiła?

- Odpoczywała - przedstawił swoją wersję Joe. Postanowił coś zmyślić. - Mieszkała u przyjaciół. Sama. Harris został w Londynie.

- U przyjaciół - powtórzył znowu King. Wstał. Podszedł do okna i stojąc tyłem do Joego wpatrywał się w panoramę miasta. - Jersey. Mieszkała u przyjaciół.

- Taak - usłyszał niefrasobliwy głos Irlandczyka. - Jak pan powiedział, ona to już zgrana karta. No i wykorzystują to, cośmy im podsunęli, w listopadowym wydaniu nowego cyklu publikacji. -

Zaśmiał się. - Na pewno. Dali mi za to sporo forsy.

King nadal stał tyłem do niego.

- Z kim ona widziała się na Jersey?

- Z nikim - odpowiedział Joe. - Miała po prostu parę dni wolnego.

- Nigdy nie wychodziła z domu i z nikim się nie spotykała?

Głos był podejrzenie spokojny.

- Nie. Potem wsiadła do samolotu i wróciła. Pojechała do biura ze swym kochasiem. Wyszedł po nią na lotnisko.

King obrócił się gwałtownie.

- Te kretyńskie kutasy zgubiły ją, tak? Wymknęła się im, poleciała na wyspę i nikt nie wie, co tam robiła i z kim się spotykała. Przejęli ją dopiero dzisiaj rano na Heathrow. Czy tak było, Joe? Oni ją zgubili!

Joe zaczął blefować.

- Jezu, nic mi nie powiedzieli. - Podniósł głos, usiłując się bronić.

- Przekazali mi informację taką, jaką ja przekazuję panu, szefie. Patrz pan - w podnieceniu przeszedł na dubliński slang. - Patrz pan, jeżeli oni skrewili i próbują łączyć, żeby z tego wyjść...

- Wynos się - warknął nagle King. - Wynos się. Jesteś skończony.

Joe podniósł się z krzesła. Zaczął się usprawiedliwiać jękliwie.

- To nie moja wina... robiłem dla pana wszystko, czego pan zażądał... Wszystko. Nadstawiałem dla pana karku. Pan nie mówi poważnie. Pan mnie nie wyleje.

- Nie zrobiłeś dla mnie niczego, żebym się nie mógł ciebie pozbyć na resztę twego zakichanego życia, jeżeli to masz na myśli. A może usiłujesz mi grozić, Joe? Szantażować mnie?

Ku przerażeniu Joego ryknął śmiechem.

- Ty nędzny skurwielu, spróbuj czegoś takiego ze mną, a będą cię zeszkrobywać z chodnika. Mam przyjaciół, którzy chętnie oddadzą mi przysługę. Znasz ich, Joe. Jedno moje słowo i wiesz, jak długo pociągniesz, co?

Joe Patrick przygryzł wargę. Czuł się tak jak kiedyś, gdy jako dziecko miał dostać pasem od kierownika sierocińca.

- Wyjdę - powiedział. - I nie przysporzę panu żadnego kłopotu. Żadnego. Może pan zmieni zdanie. Może będę jeszcze panu potrzebny. Nie mam żalu. Pan postępował ze mną uczciwie.

- Wynos się - powtórzył King. - I trzymaj gębę na kłódkę, jeśli ci życie miłe. - Po czym obrócił się gwałtownie do okna. Nie słyszał, jak Joe zamykał drzwi.

Ludzie wynajęci przez Joego do śledzenia Julii Hamilton zgubili ją, gdy poleciała na Jersey. Ale wyspy to takie niewielkie obszary, gdzie plotki roznoszą się szybciej niż pożar buszu. Podczas gdy kapusie z Londynu tracili czas w hotelach i innych miejscach publicznych, wiadomość, że u znanego chirurga, Davida Petersona, zatrzymała się sławna dziennikarka z Fleet Street, obiegała wyspę w ciągu paru godzin. A goście obecni na przyjęciu u Richarda Watsona raczyli swych przyjaciół opowieściami o Julii Hamilton.

King miał własną łączność z wyspą za pośrednictwem reportera pracującego w lokalnej stacji radiowej. Do jego zadań należało zbieranie wiadomości o wszelkich aktualnych wydarzeniach, a również i plotek, choćby nieważnych. Od dziesięciu lat zbierał informacje dla wydawnictw Harolda Kinga, ze szczególnym uwzględnieniem emerytowanego pracownika koncernu ICI - Richarda Watsona.

King był przygotowany na kłamstwa Joego. Wiedział, co robiła Julia Hamilton. Poszła spotkać się z człowiekiem, który uratował życie osiemnastoletniemu niemieckiemu żołnierzowi na Saharze Zachodniej pięćdziesiąt lat temu. Jakimś nieszczęśliwym trafem odnalazła Watsona, ponieważ nie zaprzestała prowadzić tego dziennikarskiego dochodzenia. Joe Patrick został celowo wprowadzony w błąd. I zmylił z kolei Kinga.

To nie był problem, którego rozwiązanie można by powierzyć takiemu marnemu zabójcy, jak ten Irlandczyk, gwałciciel i morderca starej kobiety w pustym domu. Tu potrzebny jest plan pomysłowy, wyrafinowany. Wróciwszy myślą do Patricka, zaczął się zastanawiać. Irlandczyk był z natury skłonny do zdrady i mściwy. Nie wolno go tak zostawić, to grożący wybuchem niewypał. Wszystko musi być związane na ostatni guzik, zdecydował.

Patrick będzie musiał zniknąć. Załatwi się z nim później. Pod koniec tygodnia leci do Nowego Jorku. Z Gloria. Tam ustalą, co zrobić z tą rudą żmiją. A wtedy zada Williamowi Westernowi śmiertelny cios. I wyrówna dług, o którym jeszcze dziesięć lat temu myślał, że jest w całości spłacony.

Siedząca przy nim na łóżku Gloria poruszyła się niespokojnie. Usnęła wyczerpani, a kiedy się obudził, wysłał ją do kuchni, żeby zrobiła kawę. Posłuchała ulegle. Podobało się jej, że musi słuchać jego rozkazów, usługiwanie mu było częścią ich wstępnej gry.

- Leo - spytała. - Co ja mam im powiedzieć?
- Nie wiem. A co przedtem mówiłaś, kiedy nie było cię przez całą noc w domu?

- Nigdy nie wychodziłam na całą noc. Zawsze wracałam do domu. - Spojrzała na niego znad filizanki. - Nigdy nie wiedzieli, że z kimś jestem. Po prostu mówiłam, że wychodzę z przyjaciółmi.

Dał jej prztyczka w nos.

- Z przyjaciółkami - zaśmiał się. - Ale ze mną jest lepiej, prawda?

- Sam wiesz, że tak. - Oparła się na skłębionych poduszkach. - Brzydziłam się myśli, że mogę to robić z mężczyzną. Ale nie z tobą. Z tobą to uwielbiam. Tatuś mnie zabije...

- A mama?

- Ona by się nie przejęła - powiedziała Gloria. - Nie może się doczekać, żeby się mnie pozbyć, wtedy będzie miała tatusia dla siebie. Byłaby zachwycona, gdyby się dowiedziała, że mam przyjaciela... albo gdybym wyszła za mąż i zeszła jej z drogi. Ale do tego nigdy nie dojdzie - dodała.

Leo nic nie odpowiedział. Małżeństwo. Ta myśl w ogóle nie przyszła mu do głowy. Te wszystkie pieniądze, ta cała władza do jego dyspozycji. Czasami lubiła mówić jak mała dziewczynka. Wdzięczyła się do niego.

- Czy mam jeszcze przynieść kawy? Chcesz czegoś jeszcze?

- Chcę ciebie - odparł. - Chodź tutaj...

- Kochanie - rzekł Ben Harris. - Nie możemy udowodnić, że to był King.

- Western może - upierała się Julia. - Mam zamiar przedstawić mu to, co wiemy.

- Teraz? - zapytał.

Podniosła na niego wzrok.

- Teraz - odparła. - Ben, idziesz ze mną? Nie rozumiem, nad czym się zastanawiasz. Myślałam, że będziesz podekscytowany... O co chodzi? Co ci się nie podoba?

- Usiądź na chwilę - poprosił. - Oczywiście, jestem przejęty. Udało ci się, wspaniale się spisałaś. Intuicja cię nie zawiodła. Ale - nie mamy dowodu.

Spojrzała na niego zdumiona.

- Ależ mamy! - wykrzyknęła. - Jest na najwyższym piętrze budynku, właśnie tam się wybieram, żeby z nim porozmawiać.

- Jeśli to zrobisz - odpowiedział Ben spokojnie - on cię odsunie od tego zadania. Tak jak kiedyś mnie. I z tych samych powodów.

- Nie może - sprzeciwiła się. - Ty wtedy nie znałeś prawdy. Ja znam. Nie może mnie teraz powstrzymać.

- Może i zrobi to. Ujawnić Kinga, to oznacza ujawnić siebie...

Nigdy na to nie pozwoli. Nie przemyślałaś tego - ciągnął dalej. - Nie oszukuj się. Western nie jest typem baranka prowadzonego na rzeź. Będzie się bronił za wszelką cenę. Pomyśl tylko, jeżeli masz rację, to znaczy, że on wiedział o tym, że King zamordował tych jeńców. Dlaczego nic nie mówił, kiedy mu o tym powiedziałaś? Dlaczego skłamał i pozwolił ci zbierać dowody, skoro to on był tym dowodem... jedynym świadkiem? Panno Jot, na miłość boską, czegoś brakuje w tym całym scenariuszu. Nie wiem czego, ale ty także nie wiesz. W tej sytuacji nie możesz bez zastanowienia nacierać na niego. Western był gotów zabić bagnetem bezbronny jeńca. Na to się możesz powołać. Zgoda. Ale on wiedział, co się stało, kiedy wraz z innymi został oddzielony od oficerów. Twierdził, że znaleźli się w krzyżowym ogniu i tylko on szczęśliwie ocalał. Więc miałyby kryć tę krwawą masakrę? Po co?

- Właśnie o to chcę go zapytać - rzekła Julia gniewnie.

- Zaraz, zaraz. Przemyślimy wszystko po kolei. Przypuszczamy, że King natrafił na Richarda Watsona, podobnie jak my, kiedy usiłował znaleźć coś kompromitującego Westerna. Usłyszał tę samą historię i go szantażował. Więc co się zmieniło? - zapytał. - Coś musiało się zmienić, bo w przeciwnym wypadku Western nie wystąpiłby teraz na nowo przeciwko Haroldowi Kingowi. Siedziałby cicho, pozwoliliby mu wygrać walkowerem, wszystko zagarnąć. A jednak zdecydował się podjąć ponownie walkę. Wciągnął w to ciebie i mnie. Zachęcał nas i popierał nasze działania na każdym kroku. Czy ci nie powiedział, że wyrzuci cię z pracy, jak do grudniowego wydania „Pod światło” nie dostarczysz materiałów na Kinga?

- Zaryzykował - rzekła Julia. - Zaryzykował w nadziei, że uda mi się ustalić odpowiedzialność Kinga za zbrodnię wojenną bez wzmieszania jego osoby. To proste. Może wszystko stracić i nie zamierza do tego dopuścić.

- A czy King go zdemaskował? Nie, więc coś tu się nie zgadza.

- No, cóż - Julia wstała. - Jest tylko jeden sposób wyjaśnienia. Trzeba go zapytać. I mam zamiar to zrobić. Natychmiast.

- Lord Western wyjechał do Rio de Janeiro w interesach - oznajmiła sekretarka, dając do zrozumienia tonem głosu, że nie pochwala wkroczenia przez Julię do jej gabinetu bez uprzedniej zapowiedzi. - Codziennie jestem z nim w kontakcie, więc może chce pani przekazać jakąś wiadomość?

- Nie, nie, dziękuję. A kiedy ma wrócić?

- Nie umiem powiedzieć. Nie podał daty. Spodziewam się, że

przed świętami Bożego Narodzenia. - Obdarzyła Julię protekcyjnym uśmiechem.

- Ja też się tego spodziewam - burknęła Julia i opuściła pokój.

Rio de Janeiro. Nie wiadomo, kiedy wróci. Chciało się jej płakać. Nie zdawała sobie sprawy, w jakim napięciu ostatnio żyła i jaka była podenerwowana. Spory z Benem też na to wpłynęły. A na koniec taki zawód, takie rozczarowanie, kiedy już ułożyła ostatni kawałek tej układanki... Tylko że według Bena ona jej jeszcze nie ułożyła...

Poszła do swego biura, poleciała, żeby nie łączyć żadnych rozmów telefonicznych i usiłowała się uspokoić. Musi wszystko przemyśleć. Ale, na Boga, ona przecież wreszcie znalazła odpowiedź. Harold King zamordował brytyjskich jeńców w odwecie za zamiar zabicia go przez Westerna. Westernowi w jakiś sposób udało się wyjść z tego cało, był ranny, ale żył. Kłamał, żeby zataić swój własny postępек. Odkrył to i szantażował go tym Niemiec, który zabił jego towarzyszy. Uniosła raptownie głowę. Zaraz, zaraz, to nie tak... Wstała zza biurka i zaczęła przemierzać pokój. Nie mógłby się obawiać zdemaskowania przez człowieka, który miałby być oskarżony o morderstwo z zimną krwią... Ani tamten nie ryzykowałby konfliktu z nim, gdyby taki był scenariusz wydarzeń.

- O Boże - powiedziała na głos. - Boże! Ben miał rację. Czegoś tu brakuje... Ale gdzie mam tego szukać? Od czego zacząć?

- Nie okłamuj mnie, Glorio. Nawet nie próbuj.

Nie krzychał na nią. Był tak spokojny, że ją zaskoczył i zaczęła się płatać w wyjaśnieniach.

- Wróciłaś do domu o szóstej rano - powiedział King. - Byłem na górze i słyszałem. Widziałem, jak się skradałaś schodami do swego pokoju. Byłaś z tym nędznym gnojkiem, prawda? - Podeszedł do niej bliżej, a ona się cofnęła. Chwycił ją za ramię i mocno ścisnął. Krzyknęła.

- Nie rób tego, tatusiu. To boli...

- Powiedz mi. - Ścisnął ją mocniej. - Spędziłaś noc z Leo Derwentem, tak?

Wybuchnęła płaczem z bólu.

- Tak... Tak, byłem z nim.

Puścił jej ramię.

- Sypiasz z tym gnojkiem? - spytał. Nadal nie podnosił głosu. Gloria płacząc pocierała ramię.

- A dlaczego nie mogę? Ty masz kobiety...

Wymierzył jej policzek.

- Siadaj - rozkazał. Opadła na łóżko. Patrzył na nią przez chwilę w milczeniu. Kochał ją: była jedyną osobą na świecie, na której mu zależało, a ona go zdradziła i okłamała. Usłyszała, że westchnął ciężko i odważyła się na niego spojrzeć.

- On jest pierwszym... - wymamrotała. - Pierwszym mężczyzną...
Podoba mi się. I ja mu się podobam.

King podszedł do łóżka i usiadł przy niej. Skuliła się, lecz objął ją ramieniem.

- Nie płacz - powiedział. - Nie powinienem być cię uderzyć.

Gloria odtajała; ból, jaki mu zadała, zespolił się z jej własnym cierpieniem.

- Zasłużyłam na to. Nie powinnam była kłamać.

- On cię wykorzystuje - rzekł.

Zesztywniała.

- Nie mów tak! Nie mów tak do mnie. Uważasz, że jestem brzydka i nikt nigdy mnie nie zapragnie... tylko dlatego, że nie jestem taka jak mama. A kim ona jest? Kim ona jest dla ciebie, tatusiu? Tylko ciałem, bez mózgu. Dlatego tak się wyrażasz o kobietach, słyszałam...
Leo naprawdę mnie lubi i jest nam dobrze ze sobą.

Była pewna, że ojciec myli się w ocenie jej związku z Leo. Być może po raz pierwszy w życiu, ale źle oceniał Leo. Położyła głowę na ramieniu Kinga i powiedziała bardzo cicho.

- Tatusiu, nie zniszcz mi tego. Zawsze ciebie będę kochać najbardziej. Ale nie zniszcz mi tego, dobrze? Proszę.

King nadal ją obejmował i milczał. Leo Derwent. Gloria go pożądała. Dzielila jego upodobania seksualne... Odpędził tę myśl. Nie był w stanie się nad tym zastanawiać. Zawiesił zasłonę nad tym, co jego córka robiła z takim człowiekiem.

- Nie jesteś brzydka, kochanie - rzekł. - Jesteś moją dziewczynką. Razem pracujemy. Teraz jedziemy do Nowego Jorku. On nie jest dla ciebie odpowiednim człowiekiem... to zero. Na miłość boską, Glorio, jesteś moją córką. Możesz mieć każdego mężczyznę, jakiego zapagniesz!

- Chcę pojechać z tobą do Stanów, tatusiu, wiesz o tym. Jak długo nas tu nie będzie?

Był zbyt przenikliwy, by nie wyczuć prawdziwego znaczenia tego pytania. Nigdy przedtem nie wypytywała go, na jak długo wyjeżdżają.

- Około dziesięciu dni - odrzekł. - Potem pojedziemy do Gstaad na święta. - Wstał. Widok jej opuchniętej twarzy ze śladami łez wzbudził w nim wyrzuty sumienia.

- Chodź tu i pocałuj mnie - poprosił. - Nigdy ze sobą nie

walczyliśmy i teraz też nie będziemy. Odłóżmy tę sprawę na później, dobrze? Widuj się z nim, skoro chcesz.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i mocno uściskała.

- Och, tatusiu, dziękuję. On dla mnie tak naprawdę nic nie znaczy... Nie mogłam znieść, że cię oszukuję... Nie cierpię ukrywać czegoś przed tobą...

Ale ukrywałaś, pomyślał obejmując ją. A on znaczy dla ciebie bardzo wiele. Znowu wyobraźnia podsunęła mu to, co było wprost nie do pomyślenia. Podobni w upodobaniach. Na myśl o tym żółć podchodziła mu do gardła.

- Umyj sobie twarz - powiedział łagodnie. - I zjedz dzisiaj ze starym ojcem lunch na dowód, że mu przebaczyłaś.

- Z przyjemnością - odparła Gloria i wycisnęła na jego policzku gorący pocałunek.

King wrócił do sypialni. Przed toaletką siedziała żona, która właśnie rozpoczęła długotrwały obrzęd malowania twarzy przed czekającymi ją w tym dniu umówionymi spotkaniami. Spojrzała na niego przelotnie. Wychodził z pokoju na konfrontację z córką wściekły. Wydawało się jej, że słyszała płacz Glorii.

- Dobrze się czuje?

- Tak. Rozmawiałem z nią. Trochę byłem za surowy, ale już wszystko jest w porządku.

- Powiedziała, gdzie była?

Spojrzał na nią groźnie.

- Daj temu spokój, Marilyn. Załatwiliśmy to między sobą. Załagodźliśmy nieporozumienie. - Poszedł do łazienki. On załagodził nieporozumienie. Nie zamierzał pozwolić Glorii wyjść za mąż za takiego trzeciorzędnego wazeliniarza jak Leo Derwent.

Jeżeli ona lubi ten rodzaj seksu, to może go mieć z kimś z lepszej ligi. Pochylając się nad parującą wanną, uświadomił sobie, iż jego córka jest kobietą mającą określone potrzeby seksualne. Jego dziewczynka dorosła. Derwenta nietrudno będzie przegonić. Byle tylko Gloria nie dowiedziała się, że to za jego sprawą.

- Wyjechali do Stanów - oznajmił Leo. Spotkał się z Julią w swym biurze w Izbie Gmin.

- Na jak długo?

- Na dziesięć dni. Potem mają polecieć do Gstaad na Boże Narodzenie. - Zerknął na Julię. - Chce, żebym też tam przyjechał, moglibyśmy się spotkać.

- Zrobił pan na niej dobre wrażenie, prawda? - Julia tak go nie

cierpiała, że z trudem przychodziło jej patrzeć mu w oczy.

Był tego świadomy i nie przejmował się.

- Tak, to prawda - przyznał. - Staliśmy się sobie bardzo bliscy. - Uśmiechnął się. - Tatuś nie był zbyt ucieszony, ale go przekabaciła.

Julia go bacznie obserwowała. Coś kombinował, czuła, że jest bardzo z siebie zadowolony, co ją zaniepokoiło.

- A po co pojechali do Stanów? - przypomniała mu o celu ich spotkania. Nie przyszła tu, żeby wysłuchiwać jego przechwałek, jakiego to podboju udało mu się dokonać przy okazji zdobywania względów córki Kinga. Niewątpliwie stanowili uroczą parę.

- Żeby doprowadzić do końca wielką transakcję finansową. Kiedy wróci do Anglii w styczniu, przypuści pierwszy szturm na koncern prasowy Western International. Była tym bardzo podekscytowana. Mówi mi o wszystkim. Wcale nie muszę pytać.

- Czy podała panu jakieś szczegóły?

- O, tak. Najpierw w prasie zajmującej się zagadnieniami finansowymi pojawią się pewne artykuły. Na temat Westerna i jakiegoś oczekiwanego kryzysu finansowego, związanego z nadmiernym zaangażowaniem się w Ameryce Południowej. On tam prowadzi rozległe interesy, prawda? Że wykupił portugalskojęzyczne wydawnictwo, drukujące dwie gazety w Brazylii. To będzie oczywiście prawda. Ale już nie będą prawdziwe sugestie, że musiał zastawić swe aktywa w Zjednoczonym Królestwie, żeby wesprzeć to nowe przedsięwzięcie. A gdy już jeden czy drugi przekupny dziennikarz potwierdzi tę wersję, zacznie się gremialne pozbywanie akcji. Ludzie łatwo wpadają w panikę, podobnie zresztą jak organizacje gospodarcze. Już Maxwell puścił ich w skarpetkach i teraz boją się wszelkiego ryzyka. Więc King zacznie masowy wykup. Z pieniędzmi, którymi dysponuje, Western nie będzie w stanie mu się oprzeć. Zatem - obdarzył Julię swym chytrym uśmiechem - zostanie pani bez pracy. Chyba że się pani dokopie do tej brudnej sprawy, o której mi wspominała i powstrzyma go, kiedy to jeszcze będzie możliwe. Doprowadzi to pani do końca?

- Jesteśmy już bardzo blisko - przyznała.

Oczy mu rozbłyły.

- To kawał drania - powiedział cicho. - Ależ chciał mnie usadzić. Czy mogę służyć jeszcze jakąś pomocą?

- W zasadzie nie, chyba, że potrafi go pan upić - powiedziała z goryczą.

- On przez całe życie był abstynentem, wszyscy o tym wiedzą - stwierdził Leo. - A co pani miała na myśli?

- Jednak jeden raz się upił - odparła Julia. - Wszyscy, którzy wiedzieli, z czym on się wtedy wygadał, już nie żyją. Z wyjątkiem mnie.

Popatrzył na nią zdziwiony.

- Mówi pani poważnie?

- Jak najbardziej. Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, wspominałam panu o możliwości oskarżenia go o przestępstwo, prawda?

Skinął głową.

- Chodzi o morderstwo - wyjaśniła spokojnym głosem. - Morderstwo dokonane na bezbronnych jeńcach brytyjskich w 1942 roku na Saharze Zachodniej. Więc widzi pan, z czym tu mamy do czynienia. Na pana miejscu byłabym nieco ostrożniejsza w stosunkach z jego córką. Powinien być pan w każdej chwili gotów do odwrotu. Przede wszystkim dlatego, że jeśli on nie jest zadowolony z waszej znajomości, to nie zmieni zdania, bez względu na to, co jej teraz mówi.

- Dzięki - rzekł krótko. - Nie musiała mi pani dawać tej rady.

- Mam wystarczająco dużo na swoim sumieniu. Dla pana już nie ma miejsca. - Wstała. - Chyba pójdę. Zobaczysz się pan z nią po jej powrocie ze Stanów?

- Tego samego dnia wieczorem - odpowiedział Leo. - Planowałem czułe powitanie. Ale jeśli to prawda... co pani mówiła... Nie powinna mieć pani jakiejś ochrony?

- On sądzi, że ja zrezygnowałam - odparła. - A moje mieszkanie jest zabezpieczone jak fort Knox. Niech się pan o mnie nie martwi.

- Skomunikuję się z panią zaraz po spotkaniu z Glorią.

- Wobec tego, do zobaczenia - pożegnała się Julia.

Odruchowo skierowała się w stronę St James Park. Było chłodne, zimowe popołudnie, czuło się przedświąteczny nastrój. Do udekorowanych sklepów ludzie już chodzili po gwiazdkowe zakupy. Matka chciała, żeby przyjechała do nich z Benem. Julia jednak nie poddawała się atmosferze świąt Bożego Narodzenia. Nie mogła myśleć o prezentach, indyku i rodzinnym zgromadzeniu, kiedy Harold King stąpał po ziemi jako wolny człowiek. William Western był w Brazylii. Oczekiwał, że ona zaatakuje Kinga w grudniu. Miała już cały materiał do publikacji w głowie. Każdy nagłówek i podtytuły były wpisane w jej pamięci i płonęły w umyśle. Lecz nic nie mogła zrobić bez jednego, kluczowego dowodu - że to Harold King był owym niemieckim jeńcem, któremu Richard Watson uratował życie. I kto właściwie dokonał aktu zemsty na ludziach, którzy go przedtem

schwytali. Jedynym człowiekiem, który mógłby dostarczyć takiego dowodu, był William Western. Było za zimno, żeby usiąść na ławce nad jeziorem, więc Julia poszła w kierunku budynków rządowych na Whitehall. Dachy i centralna wieżyczka starego pałacu iskrzyły się w mroźnym powietrzu jak jakaś orientalna dekoracja.

W kronikach dotyczących wojny na Saharze Zachodniej nie było wzmianki o żadnej masakrze jeńców dokonanej przez Niemców. Istniało jedynie wyznaczenie pijanego Hansa Koeniga uczynione żonie oraz podejrzenia nieżyjącego już oficera brytyjskiego o nazwisku Phillips, który nie mógł przeboleć losu, jaki spotkał jego żołnierzy. William Western, jedyny ocalały, ranny i repatriowany, obstawał przy wersji, że dostali się w krzyżowy ogień w czasie potyczki między patrolami brytyjskim i niemieckim. Zatrzymała się przy monumentalnym pomniku Gwardii. Po drugiej stronie zegar z wieży na Horseguards wybił godzinę. Trzecia. W nieruchomym powietrzu dźwięk zegara zabrzmiał melodyjnie, ale dla niej ponuro. Gdy tam stała, odgłos pojazdów sunących Birdcage w kierunku Parlament Square docierał do niej jakby przytłumiony. Spojrzała na masywne figury z brązu na kamiennym cokole. Nieżyjący mężczyźni z obu wojen. Nieżyjący mężczyźni na piaskach pustyni. Nieżyjąca kobieta, zgwałcona w łóżku i bestialsko pobita. Harold King chroniony neonazistowskimi powiazaniami, we władaniu imperium obejmującego media jego własne i Westerna, zasiadający w purpurze i gronostajach w Izbie Lordów.

- Nie będę się słuchać Bena - powiedziała na głos. - Pojadę do Hollowood zobaczyć się z Evelyn Western. Dziś wieczorem.

- Miło cię widzieć, Harry. Świetnie wyglądasz. Jak interesy?

- Nie narzekam - rzekł Harold King. Zawinął spaghetti na łyżkę i mruczał pomiędzy łykami. - Mario, to jest pycha... Mmm. Co za sos...

Nowojorski producent odzieży przyjął z uśmiechem zadowolenia ten komplement.

- To moja ulubiona restauracja. Tak dobra, że zostałem współwłaścicielem. Szkoda, że nie pijesz wina, Harry. Omija cię okazja wypicia wspaniałego chianti.

- Moja strata. Nie wychodzi mi na zdrowie. Korzystam ze wszystkich innych uciech, więc po co być zachłannym.

Spojrzał na siedzącego naprzeciwko mężczyznę z rogiem serwetki wetkniętym za kołnierzyk koszuli, popijającego czerwonym winem treściwą włoską potrawę i wycierającego gęsty sos kawalkami chleba. Był bardzo gruby, miał wydatny brzuch i tłuste podbródki. Tego

wieczoru King zostawił Glorii wolną rękę w wyborze rozrywek, a sam poprosił swego łącznika z mafią o wspólną kolację. Być może zwróci się również z prośbą o rozwiązanie pewnych problemów.

Zaczęli o nich rozmawiać dopiero po skończeniu posiłku, przy kawie z ekspresu podanej w małych filiżankach. Gospodarz uzbroidł się ponadto w kieliszek oleistego likieru i zapytał Harolda Kinga, co go martwi.

- Mam kłopoty z prasą - rzekł King. Kawa była tak mocna, że serce zaczęło mu szybciej bić.

- Media to gówno - stwierdził Włoch. - Miałem ich na karku w zeszłym roku, więc wiem jak to jest. W czym kłopot?

- Jest taka cwana baba - powiedział King. - Wyrobiła sobie nazwisko. Kopie pode mną dołki, Mario. I jest w tym dobra. Nie wiem, jak to się może skończyć. - Wniosek miał sobie dośpiewać sam mafios. Płynęła między nimi rzeka pieniędzy z Kolumbii przez Kajmany aż do miejsca przeznaczenia - na konto w banku szwajcarskim. Pieniądze z handlu narkotykami wraz z niezłymi procentami od nowojorskich dealerów.

- W Londynie? - zapytał Mario.

- Tak - potwierdził King. - Jest mi potrzebny ktoś z zewnątrz.

- A co się stało z tym Mickiem, który dla ciebie pracował? Nie może kogoś wynaleźć?

- To nie będzie takie zwykłe stuknięcie, ona to szycha. Nie mogę powierzyć tego komuś miejscowemu. Chcę to zlecić człowiekowi, który zrobi swoje i w ciągu paru godzin zniknie z Anglii. Ta zmija jest dobrze chroniona i sama ma rozum. Jak się ją zlikwiduje, dziennikarze narobią wrzasku. Możesz mi pomóc i znaleźć odpowiedniego człowieka?

- Będziesz musiał zapłacić - rzekł Mario. Dłubał w zębach wykałaczką z gęsiego pióra. - I jeżeli chcesz najlepszego, cena będzie wysoka. Jak szybko?

- Szybciej niż szybko. Zaraz.

- Czy to ma wyglądać na wypadek, napaść na tle seksualnym, czy chodzi po prostu o likwidację?

- Nic mnie to nie obchodzi, byleby był skutek. Niech sobie twój człowiek wybiera. Nie chcę znać żadnych szczegółów. I nie martw się o pieniądze, zapłacę każdą cenę.

Włoch pochylił się ku niemu i położył mu tłustą, upierścienioną dłoń na ramieniu.

- Podaj mi tylko nazwisko i adres, Harry. I możesz o tym zapomnieć. OK? Zostaw to mnie. Jeszcze kawy?

- Będę już wracał. Córka została w hotelu. Jestem ci wdzięczny, przyjacielu. I dzięki za kolację.

- Następnym razem - Włoch uniósł rękę i w mgnieniu oka zjawił się kelner - przyprowadź swoją małą dziewczynkę. Urządzimy rodzinne przyjęcie.

- Jak minął wieczór? - spytał King.

- Świetnie - odpowiedziała z uśmiechem. - Przeczytałam ten projekt preliminarza kosztów i tak, jak mówiłeś, jest doskonały. Jesteś taki mądry, tatusiu. To genialne, gdy ty kalkulujesz, cyfry układają się tak, jak ty tego chcesz.

- To nietrudne, to taka sztuczka, kochanie. Nauczysz się tego. Nigdy nie bój się cyfr, poznawaj je i kochaj, a one staną się twymi przyjaciółkami.

Roześmiał się. Był w dobrym nastroju, podochocony i pokrzepiony. Mario rozwiąże ten problem, zanim stanie się także jego problemem. Wszystko było uruchomione, pozostały do załatwienia tylko ostatnie formalności, takie jak na przykład kolacja wydana przez Bank Handlowy na jego cześć. Pomyślał, że zabierze następnego dnia Głorię do Tiffany'ego. Kupi jej coś na pamiątkę. Żeby się mogła w tym pokazać w czasie kolacji. Spojrzał na nią czule.

Może mu się tak zdawało, ale chyba wyglądała teraz bardziej atrakcyjnie. Staranniej dbała o makijaż, uczesanie, stroje. Emanowało z niej poczucie zaspokojenia i dzięki temu wydawała się dojrzała, jak gdyby wyrosnięta ponad wiek dziewczynka rozwinęła się w pewną siebie kobietę. O przyczynach tej zmiany wołał nie myśleć.

- Chciałabyś dostać piękny naszyjnik? - spytał. - Żeby wszystkim z dyrekcji Banku Handlowego oczy na wierzch wyszły. Żeby wiedzieli, kim jesteś i że pewnego dnia będą prowadzić interesy z tobą. Pójdziemy jutro razem do Tiffany'ego?

Gloria spędziła pół godziny na telefonicznej rozmowie z Leo Derwentem. Załatwiła w recepcji, że sama za nią zapłaci. Nie było sensu irytować ojca. Drażniło go wydawanie pieniędzy na prywatne rozmowy.

- Byłoby wspaniale, tatusiu. Ale nic mi nie musisz kupować. Wzięłam ze sobą masę biżuterii. Sam mi poleciłeś, pamiętasz? - Po czym dodała, nie mogąc powstrzymać się od uszczypliwości pod adresem odwiecznej przeciwniczki. - Musiałbyś kupić tak że coś dla mamy, bo będzie zazdrosna.

- Nie tym razem - rzekł. - Idź spać. Dobranoc, kochanie.

Podeszła i pocałowała go.

- Dobranoc, śpij smacznie.

Przez jakiś czas nie kładła się do łóżka. Siedziała ciągle jeszcze ubrana i myślała o Leo Derwencie. Rozmawiali o tym, co ona porabia w Nowym Jorku; zawsze interesował się jej sprawami zawodowymi i tak ją wspierał. Po prostu jak mężczyzna mężczyznę. Ona także chciała się dowiedzieć, co u niego słychać, jak idą sprawy w ministerstwie, w Izbie Gmin. Większą część tej długiej pogawędki poświęcili na wzajemną wymianę informacji o problemach zawodowych.

Lecz w pewnej chwili on skierował rozmowę na inne tory. Nie padły żadne drastyczne sformułowania, jedynie zawołowane sugestie i zakodowane napomnienia na temat łączących ich stosunków. Aluzje do czekających ją po powrocie uniesień. Kiedyś zaczęła mówić o ich przeżyciach bez osłonek i wtedy przerwał jej gwałtownie, ostrzegając, że telefon może być na podsłuchu. Ten kamuflaż dodawał pikanterii ukrytym znaczeniom, które musieli ubierać w słowa niezrozumiałe dla postronnych osób. To ich oboje jeszcze bardziej podniecało.

Te rozmyślania tak ją rozemocjonowały, że wzięła kąpiel, aby ugasić pożądanie. Jeszcze tylko pięć dni; wróci do domu i będzie się mogła z nim spotkać. Nie jestem zakochana, mówiła sobie. Nie kocham go, kocham tatusia. On tylko sprawia, że jest mi dobrze. On wie, co ja czuję i co lubię. Nigdy nie myślałam, że mężczyzna może dać mi tyle co on. A ja też umiem doprowadzić go do szaleństwa. Tworzymy zgrany tandem. A teraz tatuś odnosi się do tego tak miło...

Zasypiała szczęśliwa.

- Tak - powiedział Ben. - Córkę możesz łączyć. - I gdy tylko usłyszał głos Lucy, już wiedział, że coś się stało. Mówiła z płaczem.

- Ja je stracę... tato, krwawię od dziesiątej rano...

- Jesteś w szpitalu? - przerwał jej Ben. - Lucy, na miłość boską, gdzie ty jesteś?

- W domu - łkała. - Byłam w izbie przyjęć i tam mi powiedzieli, żebym poszła do łóżka i odpoczywała, to prawdopodobnie ustanie. Ale nie ustało... jest coraz gorzej, mam bóle. Zatelefonowałam do nich i powiedzieli, że mój lekarz jest na ostrym dyżurze, ale jakiś inny przyjedzie, jak tylko będzie mógł. O Boże, tak się boję.

- Telefonowałaś do matki?

- Wyjechała. - Lucy nie przestawała płakać. - Pojechali do jego matki, to gdzieś w Szkocji. Tato, nie wiem, co robić... Jeżeli stracę moje dziecko... - Wybuchnęła histerycznym szlochem.

Ben Harris z trudem zachował spokój.

- Lucy, kochanie, posłuchaj. Uspokój się, proszę. Musisz się opanować. Słuchaj, niedługo u ciebie będę. Daj mi telefon tego lekarza. Jeżeli cię zabiorą do szpitala, to pojedę wprost tam. I nie martw się, spróbuj... Takie rzeczy się zdarzają, wszystko będzie dobrze, obiecuję ci.

- Nawet czuję ruchy. - Płakała dalej. - Pospiesz się, dobrze? Proszę, pospiesz się.

- Zaraz jadę na lotnisko. Jeżeli będzie trzeba, wynajmę samolot. Trzymaj się. Wiem, że wszystko będzie w porządku.

Z trzaskiem rzucił słuchawkę, ale zaraz ją podniósł i połączył się bezpośrednią linią z gabinetem Julii. Nikt nie odpowiadał. Został automatycznie przełączony do sekretariatu.

- Panna Hamilton pojechała do domu - powiedziała dyżurująca dziewczyna. - Dzwoniła z telefonu komórkowego i powiedziała, że będzie dopiero jutro rano. Czy mam jej coś przekazać, panie Harris?

Spojrzał na zegarek. Dochodziła piąta. Musi dostać się na Heathrow. Jeżeli samolot będzie dopiero późnym wieczorem, załatwi czarter... Nie ma chwili do stracenia.

- Proszę do niej zatelefonować i powiedzieć, że musiałem wyjechać, moja córka zachorowała. Nie wiem, kiedy wrócę. Skontaktuję się z nią. Dzięki, Jenny.

Zadzwoił na krajowe lotnisko i dowiedział się, że do Birmingham jest lot o siódmej. Miał szczęście, było jedno miejsce wolne. Dziesięć minut później pędził z Londynu autostradą M4.

- Moja droga Julio - mówiła Evelyn Western stanowczym głosem. - Nie mogę się spotkać z tobą dziś wieczorem. Jem kolację poza domem.

- Więc będę czekała, aż pani wróci - odparła Julia. - Już tam jadę.

- Chcę, żebyś mi powiedziała, dlaczego to jest takie pilne. Jestem pewna, że gdyby William tu był, nie wymuszałaś na mnie tej wizyty w taki sposób.

- Nie - przyznała Julia. - Nie musiałabym. Lady Western, mnie samej to się nie podoba, ale nie mam wyboru. Prosiła mnie pani, żebym pomogła pani mężowi. Właśnie dlatego muszę się z panią zobaczyć i porozmawiać. Będę u pani w ciągu godziny. - Rozłączyła się.

Evelyn początkowo usiłowała użyć swego czaru, a gdy to nie podziałało, potraktowała ją chłodno, z wyraźnym niezadowoleniem. Jeżeli zatrząśnie jej drzwi przed nosem, to ona usiądzie przed progiem

i w ten sposób zmusi ją do rozmowy. Ale do tego nie dojdzie. Evelyn Western była silną i zdecydowaną kobietą, która z miłości do męża zrobi wszystko, żeby go ochronić. William Western skróci swą południowoamerykańską podróż. Julia jechała z większą szybkością niż zwykle. Perspektywa batalii, której w napięciu oczekiwała, i w konsekwencji ujawnienie prawdy, dodawały jej bodźca. Stare kłamstwa, okrutne czyny sprzed lat oplatały ją jak pajęczyna. Czas rozetrwać te więzy i wyzwolić się. Zwolniła przed zakrętem do Hollowood i wjechała na długi, żwirowy podjazd wiodący do wejścia. Poprzez drzewa przeświecały światła we frontowych oknach budynku.

Ben Harris zdążył na samolot do Birmingham. W ostatniej chwili dzięki telefonowi komórkowemu ustalił, że Lucy została zabrana przez lekarza z pogotowia do szpitala Reidhaven. Na lotnisku roiło się od podróżnych. Biznesmeni, rodziny z dziećmi, turyści z nartami wybierający się w góry, pasażerowie ze wszystkich stron świata przejeżdżający tranzytem, wylatujący, przylatujący. Bary, kawiarnie i sklepy wolnocłowe były przepełnione, w poczekalniach jak zwykle komplet ludzi zmęczonych, skulonych w fotelach i pogrążonych we śnie. Dzieci płakały, małe berbecie płały się pod nogami, uczestnicy wycieczek oblegali swoich przewodników. Miejsce tętniące życiem. Morderca przybył z Nowego Jorku linią Pan Am o szóstej czterdzieści osiem do terminalu numer 3.

Uzbierał na swym koncie szesnaście zabójstw. Miał trzydzieści trzy lata, żonę i dwoje małych dzieci. Mieszkał w nowojorskiej dzielnicy Queens z żoną i teściową inwalidką. Był poważnym biznesmenem, podróżującym z ramienia firmy wytwarzającej oprogramowanie do komputerów. Żył skromnie, nigdy nie był notowany przez policję. Swego rzemiosła nauczył się od pewnego weterana wojny wietnamskiej, kiedy był jeszcze bardzo młody. Jego własny wujek namówił go do rozwinięcia sekretnego biznesu tego typu usług. Pierwsze zlecenie dotyczyło niesolidnego dłużnika z New Jersey, strzelił mu prosto w głowę, gdy ten wsiadał do samochodu, którym miał jechać do pracy. To morderstwo na zlecenie utorowało drogę do dalszych zamówień. Nazywano go Mike, gdyż jego matka była Irlandką. Dobry syn, unikający kłopotów, mimo dorastania w trudnym środowisku, pilny uczeń, stał się również dobrym mężem i ojcem. A także życzliwym zięciem dla swej schorowanej teściowej. Zabijanie nie robiło na nim żadnego wrażenia. Nie denerwował się, kiedy miał odebrać komuś życie, a po fakcie już więcej nie zwracał sobie tym głowy. To była jego praca i do tego bardzo dobrze płaćna, w zależności od zawilóści zadania z

uwagi na osobę ofiary i związane z tym ryzyko. Najwyższej ceny zażądał za zdetonowanie bomby w samochodzie pułapce, która zabiła szefa mafii w Los Angeles. Tuż koło jego niesamowicie strzeżonego domu. Mike był bogatym człowiekiem z perspektywą długiego zawodowego życia przed sobą. Nie pił, nie palił i trzy razy w tygodniu uprawiał gimnastykę, żeby utrzymać się w jak najlepszej kondycji.

Przyjął tę robotę w Londynie. Płec ofiary nie odgrywała dla niego żadnej roli. Ani rodzaj metody, którą wybierał - szczegóły pozostawiano jego uznaniu, chyba że były zastrzeżone w zleceniu. Niektórzy zleciodawcy chcieli, aby śmierć wyglądała na wypadek, inni woleli brutalny atak bądź morderstwo na tle rabunkowym lub seksualnym. Albo jak w przypadku ofiary w Los Angeles oczywista egzekucja, mająca na celu zastraszenie przeciwników. Cokolwiek robił, nie stracił z tego powodu ani jednej godziny snu.

Dostał nazwisko, adres - prywatny i biurowy - oraz rysopis kobiety, którą miał zamordować. Pozostawiono mu wolną rękę, jak to robi. Wolał stosować własne metody. Nie czuł się wtedy niczym skrupowany. Lubił polegać na własnym sędzie i pomysłowości. Szczycił się swym profesjonalizmem. Na lotnisku wsiadł do metra, potem wynajął pokój w małym hotelu na Bayswater Road. W Londynie był już kilka razy. Lubił to miasto, zamierzał przywieźć tu kiedyś swoją rodzinę na wakacje. Obaj jego chłopcy będą zachwyceni zmianą warty przed Pałacem Buckingham.

Nie wziął żadnych nazwisk ewentualnych pomocników. Zawsze pracował sam. Wyszedł z hotelu, żeby coś zjeść. Następnie znowu metrem pojechał na Sloane Square, a dalej poszedł pieszo w kierunku bloku mieszkalnego przy Chelsea Green.

Tak jak się spodziewał, budynek był dobrze zabezpieczony, lecz dla kogoś przyzwyczajonego do mentalności bogatych Amerykanów, zmieniających swe domostwa w warownie z wewnętrzną telewizją, uzbrojonymi strażnikami i wytresowanymi psami, to nie było wielkim problemem. Obszedł budynek dookoła, zwrócił uwagę na usytuowane z tyłu zewnętrzne schody przeciwpożarowe. Blok miał cztery piętra. Numer jej mieszkania wskazywał na najwyższe. To także nie był problem. Wywiązał się już z zadania na dwudziestym drugim piętrze i wyszedł z budynku przez nikogo nie nagabywany.

Sprawdził system wpuszczania do wnętrza, naciskając guzik domofonu na chybił trafił. Muszą mieć monitory telewizyjne, pokazujące wchodzących z przodu; zawsze nosił miękki, filcowy kapelusz z dużym rondem, które opuszczał, żeby osłonić twarz.

- Słucham - odezwał się męski głos.

Mike uwydatnił swój środkowozachodni akcent.

- Sam? To ja...Pete.

Ktoś odpowiedział ostrym tonem:

- Tu nie ma żadnego Sama. Pomylił pan mieszkania.

- Przepraszam, cholera, nacisnąłem zły guzik. Przepraszam - powtórzył raz jeszcze, ale zirytowany mężczyzna już się nie odezwał. Następnie zadzwonił pod numer mieszkania Julii Hamilton. Cisza. Zadzwonił ponownie. Nic. Wyszła. Sprawdził godzinę. Wpół do dziesiątej. Za późno, żeby była w pracy. Pewnie jest w kinie z tym przyjacielem, z którym mieszka. Miał polecenie zabić jedną osobę, nie dwie. Będzie musiał poczekać, aż przyłapie ją samą. Wrócił do hotelu i przez parę godzin oglądał telewizję. Zanim poszedł spać, zatelefonował do żony. Powiedział, że miał dobry lot i już tęskni za nią i dziećmi, ale przywiezie jej coś z angielskiej kaszmirskiej wełny i prezenty dla chłopców.

- Kocham cię - zakończył rozmowę. - Jeżeli załatwię szybko sprawę, będę w domu za dwa dni.

Potem zasnął i nawet nic mu się nie śniło.

Evelyn Western stała przy oknie i patrzyła, jak reflektory samochodu Julii rozświetlają podjazd. Odwołała umówioną kolację u sąsiadów. Gdy tylko Julia odłożyła słuchawkę, zatelefonowała do męża, do Rio de Janeiro. Był na konferencji w centrum miasta. Zostawiła mu pilną wiadomość, że ma do niej niezwłocznie zadzwonić, w hotelu obiecali się z nim skontaktować.

Julia Hamilton nie wybrała się tu z towarzyską wizytą. Była taka kategoryczna, zachowywała się wręcz napastliwie i Evelyn natychmiast stała się czujna. Cokolwiek Julia odkryła, to miało Billy'emu zaszkodzić. Nie tylko nie przejawiała życzliwości, lecz nawet okazywanego jej zwykle szacunku, należnego osobie o wiele starszej, żonie swego pracodawcy. Ku jej uldze mąż zadzwonił z Brazylii. Dobrze się stało, że go zawiadomiła.

- Telefonowała Julia - powiedziała. - Ona się czegoś doszukała. Obawiam się, że to nic przyjemnego. Uparła się, że tu przy jedzie, nie mogłam jej powstrzymać. Kochanie, ja nie wpadam w panikę. Ale jeśli jej chodzi o to, czego się domyślam, to lepiej zaraz wracaj. Tak, tak, oczywiście, zadzwonię, jak tylko wyjedzie. W porządku. Nie martw się. Poradzę sobie. Uważaj na siebie... - Ta obietnica wypowiedziana tak pewnie, zabrzmiała dla niej ironicznie.

Zawsze dawała sobie radę, odkąd się pobrali i żyli z jej skromnej pensji bibliotekarki, a William stawiał pierwsze kroki w zawodowej

karierze. Kiedy borykał się z trudnościami, zmagał z przeciwnościami losu i gdy odnosił sukcesy. Była jego opoką, jego najbliższym sprzymierzeńcem, a także kochanką. I w ciągu tych wszystkich spędzonych razem lat nic się nie zmieniło. Byli nierozdzielni. Ta dziewczyna przyjechała z jakimś odkryciem, które może zaszkodzić Williamowi. Tak, pomyślała Evelyn, przywołując całą swą odwagę i determinację, dam sobie radę. Światła samochodu omiały już front domu, więc odeszła od okna i zadzwoniła na Filipińczyka.

- Właśnie przyjechała panna Hamilton - powiedziała. - Wprowadź ją, proszę, prosto tutaj. Nie musisz się zajmować po daniu drinków, same się obsłużymy. Nie chcę, żeby nam przeszkadzano. Dziękuję, Felipe. Nie - dodała w odpowiedzi na jego pytanie. - Nie sądzę, by miała zostać na noc.

Usadowiła się ze względów strategicznych w wielkim fotelu, rezerwowanym zawsze dla Williama. Padające z tyłu światło sprawiało, że jej miękkie, siwe włosy wyglądały jak srebrzysta aureola. Podniosła się powoli i szła w stronę Julii. Wyglądała na jeszcze wyższą niż zwykle.

- Chodź Julio i siadaj tutaj - powiedziała spokojnie. - Gdy rozmawialiśmy przez telefon, byłaś taka podniecona, że mnie trochę zatrwożyłaś. Zapewne chcesz się napić... sherry?

- Nie, dziękuję, lady Western. - Julia usiadła na sofie naprzeciwko niej. Wyczuwała jej chłód i wrogość, i to ją niepokoiło. Lubiła i podziwiała starszą panią i ufała jej, mimo zastrzeżeń Bena. Kiedy na krótko wstąpiła do mieszkania, wysłuchiwała z automatycznej sekretarki wiadomości od niego o jego córce. Biedny Ben. Nie dam się zbyć, przyrzekała sobie obserwując, jak Evelyn ponownie siada w fotelu i starannie układa długą spódnicę, jakby przygotowywała się do znoszenia nudnego i natrętnego towarzystwa. Jean Adams umarła dlatego, że daliście mi to zadanie. Nie zamierzam was oszczędzać.

- Odwołałam kolację, na którą byłam zaproszona - odezwała się chłodno. - Postawiłaś mnie w bardzo niezręcznej sytuacji. Musiałam coś zmyślić. Nie znoszę kłamać i sprawiać ludziom zawodu.

- Przykro mi - odpowiedziała Julia. - Ale to nie mogło czekać.

- Co nie mogło czekać? Powiedziałaś, że to dotyczy mego męża. Chyba nie nastąpiłoby trzęsienie ziemi, gdybyś się z tym wstrzymała do jutra?

Ten sarkazm wywołał w Julii wściekłość. Zacerwieniła się ze złości.

- Lady Western. - Starła się mówić opanowanym głosem. - Na początku roku przyjechałam tu na zaproszenie pani męża, który

zapropował mi stanowisko redaktora nowego, mojego własnego działu publicystycznego „Pod światło”. To był dla mnie szczyt marzeń, życiowa szansa dostania się do czołówki w moim zawodzie. Była pani przy tym, razem piliśmy szampana. Jestem pewna, że pani to pamięta.

Evelyn Western skinęła głową.

- Oczywiście. Bardzo dobrze.

- Ale najważniejszą przyczyną, dla której otrzymałam tę propozycję i wiążące się z nią stanowisko - on nawet to jasno postawił - miało być zdemaskowanie Harolda Kinga i zniszczenie go.

- Tak. - Głos Evelyn był spokojny. - Masz całkowitą słuszość.

- Podjęłam się tego zadania - mówiła dalej Julia. - Namówiłam Bena Harrisa, żeby ze mną współpracował i zaczęliśmy razem prowadzić dochodzenie. To, co odkryliśmy spowodowało, że pewna kobieta, Jean Adams, została zamordowana.

- Przypominam sobie. William mi mówił. - Wpatrzono w Julię piękne, błękitne oczy były zimne i obojętne.

- Czy powiedział pani, co się z nią stało i dlaczego? - Julia wymawiała te słowa powoli. - To była starsza pani, wdowa, mieszkała sama. Była także siostrzenicą pierwszej żony Harolda Kinga. King przyznał się do zastrzelenia brytyjskich jeńców wojennych; powiedział o tym żonie, kiedy był pijany, a potem usiłował ją zamordować. Ale ona już zdążyła to powtórzyć Jean Adams. Może pani tego wszystkiego nie wie? Być może lord Western nie zanudzał pani szczegółami?

Evelyn Western milczała. Siedziała całkiem nieruchomo ze splecionymi dłońmi. Julia ciągnęła dalej swą opowieść. Teraz wstała, niwecząc spokój tego pokoju, gdzie z wielkiego fotela obserwowała ją milcząca kobieta.

- Odnaleźliśmy Jean Adams i nakłoniliśmy ją, żeby złożyła piśmienne zeznanie pod przysięgą. Nie zdawaliśmy sobie wtedy sprawy, że nas śledzono i w jej telefonie założono podsłuch. W nocy poprzedzającej dzień, kiedy miała podpisać dokument, ktoś włamał się do jej domu. Zgwałcił ją, lady Western... ona musiała mieć około siedemdziesięciu lat, a potem pobił ją tak, że zmarła. Ukradł kilka drobiazgów, żeby to wyglądało na rabunek.

- To straszne - wyszeptła Evelyn Western. - Nie wiedziałam.

- Cóż, pani mąż wiedział. Zaprosiła mnie pani na lunch i powiedziała, że mnie całkiem rozumie, jeżeli się wycofam po tym, co się stało z tą biedną kobietą. To pani słowa, prawda?

- Skoro tak mówisz. Rzeczywiście, tak powiedziałam. Nie

chciałam wywierać na ciebie nacisku.

- Och, proszę. - Julia zbyła to zapewnienie niecierpliwym ruchem dłoni. - Proszę, niech pani nie usiłuje robić ze mnie idiotki. Pani mnie błagała, żebym ratowała koncert prasowy Western International i nie rezygnowała z dochodzenia w sprawie Harolda Kinga. Ironia polegała na tym, że pani wcale nie musiała się tak wysilać. Musiałam żyć z tym, co się przydarzyło Jean Adams, i jedyne, co mogłam zrobić, to doprowadzić Kinga na ławę oskarżonych. Właśnie wróciłam z Jersey. Pojechałam tam zobaczyć się z Richardem Watsonem.

Evelyn Western nie poruszyła się i niczym nie zdradziła, tylko jej dłonie mocniej się zacisnęły.

- Watson opowiedział mi historię o młodym Niemcu, którego pani mąż chciał zabić bagnetem z zimną krwią. To właśnie od krył King i tym szantażował pani męża dziesięć lat temu... wtedy, gdy pani mąż starał się o uzyskanie tytułu lorda. To by go zgubiło. Więc się wycofał. Polecił Benowi Harrisowi zaprzestać prowadzenia dochodzenia, gdyż nie mógł sobie pozwolić, by cały świat dowiedział się, że sam nie jest lepszy od mordercy.

Evelyn Western nagle poderwała się z fotela.

- Jak śmiesz mówić coś podobnego! Masz czelność oskarżać mego męża!

- Tym Niemcem był Harold King - kontynuowała Julia. - Wpadł w szal i zastrzelił tych biedaków, gdyż wiedział, że pani mąż wcześniej chciał go zamordować... Jean Adams zginęła tylko dlatego, że pani mąż był tam wtedy... wiedział, co się stało. Miał nadzieję, że ja udowodnię winę Kinga bez wciągania go do tej sprawy. Powinniście byli przekupić Richarda Watsona. Założę się, że próbowaliście... - zamilkła, uświadomiła sobie, że cała drży. - To jemu, a nie pani powinnam to powiedzieć. Ale on jest w Brazylii, gdzie umacnia swe imperium.

Evelyn Western powoli podeszła do stolika z napojami po drugiej stronie pokoju. Nalała sobie niewielką ilość brandy. Wróciła, upiła trunku i spojrzała na Julię niebieskimi oczami.

- Ty idiotko - powiedziała. - Rościsz sobie prawo do roli sędziego i ławy przysięgłych, wydałaś werdykt, że William jest winny. A teraz ty mnie posłuchaj. Z szantażem miałaś rację. King rozmawiał z Watsonem... tym nieszczęsnym człowiekiem... Bóg wie, jak do niego dotarł, ale mu się udało. Miał nagrany na taśmę opowieść Watsona. Wersję Watsona, według której on okazał się takim bohaterem. Nawet wysłałam kogoś, żeby się z nim spotkał, ale to nic nie dało. On jest człowiekiem twardych zasad, wiesz. Gdyby w prasie ukazała się

ta historia, uznałby za swój obowiązek ją potwierdzić i zniszczyć mego męża. Więc King nam się wymknął i rósł w siłę, aż doszedł do obecnej pozycji, kiedy może nam zagrozić i wszystko przejąć. Bardzo sprytnie do tego doszłaś, Julio, i jak dotąd miałaś rację. Z jednym wyjątkiem. Tym Niemcem wziętym do niewoli nie był Harold King. Tamten był mechanikiem samochodowym i mieszkał w Strasburgu. Zmarł w zeszłym roku na atak serca. Wypiła resztę brandy.

- Tak bardzo paliłaś się, żeby oskarżyć mego męża, prawda? Gdyby wiedział, że King ponosi winę za zastrzelenie jeńców, zniszczyłby go bez twojej pomocy! To tyle na temat twojej teorii. - Ponownie usiadła i założywszy nogę na nogę, przyglądała się swemu czarnemu lakierkowi. - Oczywiście mamy dowody potwierdzające tożsamość tego mechanika i jego podpisane zeznanie, że był owym żołnierzem wziętym do niewoli w tym miejscu i czasie. Zaprzeczył jakimkolwiek sugestiom, jakoby William był gotów go zabić. Z pewnością mój mąż pozwoli ci zapoznać się z tym dokumentem.

- Ja wierzę Richardowi Watsonowi - mówiła Julia powoli. - Przykro mi, ale tak jest. Pani mąż naraża życie innych ludzi i zataja istotne fakty, żeby chronić swoją reputację. Nic tego nie zmieni. Ten drugi oficer, będący wówczas z Watsonem był przekonany, że tam doszło do zbrodniczego aktu. Ale on też nie żyje. Jak pani mechanik.

- Możesz wierzyć, w co ci się podoba - odparła Evelyn Western. - Stoisz tu i ferujesz wyroki. Co ty wiesz o wojnie? Jak możesz ośmiać się osądzać... ciebie nawet nie było wtedy na świecie! William miał rację. Kapitan Phillips miał rację. Ich pierwszym obowiązkiem była odpowiedzialność za swoich żołnierzy. Mieli przeprowadzić ich po tej krwawej bitwie do własnych pozycji. Szczytne zasady Watsona kosztowały życie czterech żołnierzy właśnie dlatego, że pozostawili tego Niemca żywego. Zrobił dokładnie to, co przewidzieli. Zawiadomił niemiecki patrol. Nikt nie wymordował jeńców. Znaleźli się w krzyżowym ogniu, kiedy brytyjski wóz pancerny rozpoczął ostrzał kolumny wroga. William został ciężko ranny - dostał trzy strzały w plecy. Repatriowali go, bo zachodziła obawa paraliżu. - Spojrzała na Julię. - Zaufałam ci - rzekła. - I William także. A teraz proszę, idź już. Po prostu stąd wyjdź. - Odwróciła głowę.

- Wyjdę - powiedziała Julia spokojnie. - Ale nie zamierzam dać za wygraną. Od tej chwili pracuję na własną rękę. Dobra noc, lady Western.

Policjantka Mandy Kent kończyła dyżur. Zaprosili z mężem zaprzyjaźnioną parę na kolację, potem wszyscy wybierali się do pubu

na karaoke. Jej mąż miał ładny głos i zupełnie bez tremy występował przed publicznością. Mandy by się spaliła ze wstydu, ale popisów męża słuchała z dumą.

- Mandy? - Obróciła się i zobaczyła zbliżającego się do niej sierżanta.

- Już wychodzę - stwierdziła stanowczo.

- Inspektor z wydziału kryminalnego chce cię widzieć. Tylko na chwilę.

- O, cholera - powiedziała nie całkiem szeptem. To może oznaczać kłopoty. Nie przychodziło jej na myśl żadne potknięcie.

- Nie martw się. Czeka cię pochwała.

Spojrzała na niego zdumiona.

- Żartujesz?

Sierżant wyszczerzył zęby w uśmiechu. Była lubiana przez kolegów. Dobra policjantka, nie korzystająca z przywilejów płci ani nie usiłująca w pracy wyrzekać się naturalnych cech swej kobiecości.

Weszła do gabinetu inspektora.

- Chciał się pan ze mną widzieć, sir?

- Tak. Proszę, niech pani siada. - Spojrzał na jakieś papiery leżące na biurku. - Parę tygodni temu zajmowała się pani sprawą pobicia dziewczyny o nazwisku Tracey Mervyn. Była w szpitalu. Ani ona, ani jej przyjaciółka nie chciały złożyć skargi. Tak to zwykle bywa. Pobił ją kochanek.

- Tak, sir - powiedziała Mandy. - Pamiętam. To było bardzo brutalne pobicie. Chodziło o dwie prostytutki, kolorowe, dobrze znane w naszym rejonie. Próbowałam nakłonić je do złożenia zeznań, ale nic z tego nie wyszło. Coś się wydarzyło? - Pomyślała, że może ten drań je odnalazł, lub, co gorsza, ta głupia gęś do niego wróciła i on znowu jej przyłożył. Tak często bywało.

- Wysłała pani bransoletkę na wszelki wypadek do sprawdzenia, czy nie znajduje się w wykazie rzeczy skradzionych, prawda?

Skinęła głową, przypominając sobie dziwną nazwę, nadaną tej ozdobie przez szpitalną siostrę.

- Tak, sir. Z pierwszych liter nazw kamieni układało się słowo „droga”. Dawano taką biżuterię z okazji rocznic komuś drogiemu sercu.

- No, cóż, musi pani wiedzieć, że nam się ułożyło słowo „morderstwo” - rzekł. - Identyczna bransoletka jest w spisie rzeczy skradzionych pewnej kobiecie w Midhurst, która została przez włamywacza zgwałcona i pobita ze skutkiem śmiertelnym. Bransoletkę zidentyfikował miejscowy jubiler, gdyż wykonywał ją na

zamówienie. To było zręczne posunięcie z pani strony. Zwrócę na to uwagę pani przełożonym.

- Dziękuję, sir. Gdybym jeszcze coś mogła...

Pokręcił przecząco głową.

- Ta sprawa już jest w naszych rękach. Teraz to kłopot służb śledczych.

Evelyn Western siedziała wyprostowana w oczekiwaniu na telefon z Rio de Janeiro. Jej mąż był w trakcie przeprowadzania negocjacji w delikatnej materii z brazylijskim bankiem. Zdecydował, że aby oprzeć się atakowi Kinga, musi uzyskać odpowiednie finanse, a najlepszym sposobem ich zdobycia była emisja akcji nowego brazylijskiego wydawnictwa i zrzeszenia wydawców gazet, które ostatnio nabył. Mógłby zaciągnąć pożyczkę i właśnie ona będzie mu potrzebna, gdy dojdzie do frontalnego natarcia na Western International. Evelyn czekała. Czuła ogromne zmęczenie. Ta angażująca ją emocjonalnie awantura całkiem ją wyczerpała; zniecierpliwiła Julię za jej słowa i zachowanie. Przytłoczyło ją brzemień lat, a nie mogła sobie pozwolić na słabość, gdy William był zagrożony i jej potrzebował. Rozważyła sytuację i uznała, że on nie może przerwać prowadzonych negocjacji. Stawiła czoło tej przekłętej dziewczynie i następny ruch będzie należał do Julii. Była pewna, że ona złoży rezygnację z pracy. Takie były jej ostatnie słowa: „Nie zamierzam dać za wygraną. Od tej chwili pracuję na własną rękę...” Nie będzie to łatwe bez pensji z „Heralda”. Może się jeszcze zastanowi nad tą groźbą i zrozumie, że to niemożliwe... Ale ona była harda i uparta. Te cechy, które oboje, ona i William, w niej podziwiali, powodowały, że na nic nie zważała w tej pogoni za tym, co w jej mniemaniu było prawdą i sprawiedliwością. I mogła wyrządzić wiele szkód.

Wzdrygnęła się, kiedy zadzwonił telefon. Musiała się zdrzemnąć w tym wygodnym fotelu. Usłyszała jego głos i szybko powiedziała:

- Wszystko w porządku, Billy. Widziałam się z nią. Tak, miałam rację, przysłała tu z tą historią Watsona... To było bardzo nieprzyjemne, ale niczego nie osiągnęła... Wpadła na idiotyczny pomysł, że tym niemieckim jeńcem był King, a ty wiedziałeś, że on zamordował naszych żołnierzy... Kochanie, proszę... Powiedziałam jej prawdę i co o niej myślę przy okazji. Nie ma potrzeby, żebyś wracał do domu. Nie, naprawdę nie. Tak mnie zezłościła, byłam po prostu wściekła. Nie, nie denerwuję się, czuję się o wiele lepiej, bo jej wszystko wygarnęłam. A jak twoje sprawy? Och, to dobrze, dobrze, tak, to ważne... Tak, tak, zaraz się kładę spać. Nie przejmuj się mną tak strasznie, nic

mi nie jest, Billy. Jestem twardą sztuką. Jak będą jakieś nowiny, zatelefonuję jutro. Ale, niezależnie od wszystkiego, chyba nadszedł czas, żebyśmy stanowczo i raz na zawsze zabronili temu Watsonowi rozprowadzania kłamstw o tobie... Tak, kochanie, dobranoc.

William Western usłyszał, że odłożyła słuchawkę. Wyszedł z konferencji i telefonował ze swego prywatnego gabinetu. Nie wracaj do domu, nalegała żona. Znał jej nieustępliwość i odwagę; ale również zdawał sobie sprawę, że jest za stara, aby pozwalać sobie na nie przespane noce i takie emocjonalne napięcia. Wrócił myślą do Julii Hamilton i nagle zawrzał wściekłością. To żmija - warknął. - Znęca się nad Evelyn... Znał jej domowy numer telefonu; miał fotograficzną pamięć do cyfr i nigdy nie korzystał z notesu. Poprosił centralę o połączenie i powiedział, że zaczeka. Chwycił słuchawkę przy pierwszym dzwonku. Usłyszał zaspany głos Julii, tam był środek nocy; powiedziała: „Halo, to ty, Ben?”

- Tu Western! - wrzasnął. - Właśnie rozmawiałem z żoną. Zwalniam cię z pracy, Hamilton, i możesz powiedzieć Benowi Harrisowi, że on też już nie pracuje. Oddaj klucze i samochód jutro z samego rana. Żeby cię po dziesiątej nie było w biurze.

- Nie będzie mnie - odparła. - Tylko niech pan sobie nie wyobraża, że mnie tym powstrzyma i zmusi do milczenia. - Odłożyła słuchawkę.

Ben Harris siedział przy łóżku córki i trzymał ją za rękę. Tak młodo wyglądała i była tak bardzo bezbronna wobec przeciwnostw losu; twarz miała bladą i mizerną, podkrążone oczy. Zanim wszedł do niej, pielęgniarka powiedziała mu, jaki jest jej stan.

- Niestety, straciła dziecko - oznajmiła. - W tym stadium ciąży to bardzo ciężkie przeżycie dla matki. Dostała środki uspokajające, ale jeszcze nie usnęła. Ucieszy się, że pan przyjechał.

Ben podeszedł do łóżka i odezwał się cicho:

- Lucy? Lucy, to ja, tata...

Otworzyła oczy i usiłowała się do niego uśmiechnąć. Wyciągnęła rękę, pochwycił ją szybko. Łzy płynęły jej po twarzy.

- Straciłam go - wyszeptała.

Go - Ben czuł się tak, jakby ktoś zadał mu cios.

- To był chłopczyk. Nie mieli zamiaru mi mówić, ale ja musiałam wiedzieć. Och, tato...

Nic nie mógł jej powiedzieć na pocieszenie. Instynkt ostrzegł go, że teraz nie czas na zachowywanie męskiej powściągliwości. Objął ją, płaczącą, ramionami i ucałował.

- Wyżał się, kochanie - powiedział. - Wyplacz... Jestem tu z tobą. I zostanę przy tobie.

W końcu leki podziałały i wyczerpana usnęła. Siedział nadal z jej dłonią w swej ręce. W pewnej chwili weszła siostra oddziałowa i ruchem głowy pokazała, żeby z nią wyszedł.

- Lepiej niech ją pan teraz zostawi, żeby pospała, panie Harris - powiedziała. - I sam niech się pan trochę prześpi. Zajmiemy się likwidacją płodu, proszę się tym nie martwić.

- Likwidacją? - Ben o mało nie rzucił się na nią z pięściami. - A co to w ogóle miało znaczyć?

- Pan się tym nie musi interesować - odparła uspokajająco. - Mamy tu odpowiednie warunki. To dla matki mniej stresujące.

- Moja córka wie, że to był chłopiec - rzekł. - Przecież nie rozmawiamy o martwo urodzonym psiaku, to jej syn, a mój wnuk. Siostró, proszę mnie dobrze zrozumieć. Dziecko będzie w należyty sposób pochowane. Wiem, że Lucy by tego chciała. Ja się tym zajmę. Dziękuję.

Odwrócił się od niej gwałtownie i poszedł w kierunku windy. Przeszywał go żal, trudno mu było pogodzić się ze stratą dziecka, a do tego na myśl, co mogło się stać, ogarnęło go oburzenie. Lucy potrzebne będzie konkretne miejsce, do którego będzie mogła odnieść swą żalobę, a nie kupka popiołu w szpitalnym krematorium. Pięć miesięcy oczekiwań, nadziei i radości zakończonych nocnymi bólami i rozczarowaniem, po którym pozostała tylko straszliwa pustka.

Potrzeba będzie czasu, żeby wróciła do zdrowia i przyszła do siebie. Czasu na uświadomienie sobie, że życie toczy się nadal i że młodość jest jej siłą. On zrobi wszystko, żeby tak się stało. Wynajął pokój w hotelu niedaleko szpitala. Czuł się wyczerpany, było mu niedobrze i rozpaczliwie tęsknił za Julią. Mimo późnej pory - było już po północy - nakręcił jej numer.

Nie było jej w domu. Musiała gdzieś wyjść ze znajomymi. Odłożył to do rana. Następnego dnia obudził się bardzo wcześnie, najpierw zadzwonił do szpitala. Tak, jego córka śpi, noc przeszła spokojnie. Nie ma komplikacji, ale lekarz niedługo ją zbada.

- Będę tam - powiedział Ben.

Do Julii zadzwonił w porze, kiedy zwykle jedli śniadanie przed pójściem do pracy. Odebrała telefon tak szybko, iż nie miał wątpliwości, że czekała na niego.

- Ben...? Och, Ben, co się stało?

- Straciła dziecko - powiedział.

- Och, kochany, tak bardzo mi przykro... Czy ona dobrze się

czuje?

- Tak - odparł. - Fizycznie. Ale najgorsze jeszcze przed nią. To był chłopiec.

- Ogromnie mi przykro - powtórzyła. - Gdzie jesteś? Czy mogłabym przysłać jej kwiaty?

- Nie, raczej nie. Chcę ją zabrać ze szpitala możliwie jak najszybciej. Kochanie, pewno będę musiał z nią zostać przez parę dni, przekonąć się, jak sobie daje radę. Jej matka wyjechała, a nie chcę, żeby po tym wszystkim była sama. Może ją ze sobą przywiozę. Zawiadomię biuro.

- Tym się nie martw. - Julia szybko podjęła decyzję. Słysząc było po głosie, że był bardzo przygnębiony. To nie był odpowiedni moment na przekazywanie mu złych nowin. - Ja to zrobię za ciebie. Zatelefonuję wieczorem. O której najlepiej?

- Myślę, że około ósmej. Może nawet dzisiaj będzie wypisana ze szpitala, nie wiem. Ale spróbuj o ósmej. Dzięki, kochanie. Żałuję, że ciebie ze mną nie ma... Nie, nie o to chodzi, wiesz, co mam na myśli... A jak u ciebie?

- Tęsknię za tobą. - Julia postanowiła unikać jakiegokolwiek wzmianki o ich ostatnim nieporozumieniu.

- Nie pojechałaś na spotkanie z Westernem, prawda?

- Nie - odparła. - On jest w Brazylii.

- To dobrze. Nic nie rób do mojego powrotu. Kocham cię.

- Ja ciebie też kocham - odpowiedziała czule. - Zadzwoń wieczorem.

Kiedy wyszła z domu, przed budynkiem stał Mike. Z otwartym planem miasta, który studiował, obserwując jednocześnie frontowe drzwi. Opis był dokładny, nawet bez fotokopii zdjęcia umieszczanego w gazecie pod jej artykułami. Rude włosy, naturalny, płomienny kolor, średniego wzrostu, dobra figura, zgrabne nogi, ładna. Na twarzy wyraz napięcia, zdecydowany krok. Czarne BMW na parkingu dla mieszkańców. Zapamiętał numer rejestracyjny samochodu i pospiesznie zanotował na planie miasta. Otworzyła drzwi wozu, wsiadła i odjechała. Sprawdził godzinę. Włożył mapę do kieszeni i wyruszył na poszukiwanie taksówki, żeby rzucić okiem na jej biuro. Musiał sprawdzić wszelkie możliwe miejsca, gdzie bywała, i rozważyć, w którym z nich najlepiej będzie ją zaatakować. Nie zdecydował się jeszcze, chociaż najbardziej odpowiedni wydawał się dom ze względu na zewnętrzne schody przeciwpożarowe jako drogę ucieczki. Ale podziemny parking pod biurowcem może byłby lepszy. Wiele razy wykonywał swe zadania w takiej lokalizacji. Odprawił taksówkę,

ponownie wyjął plan miasta, obserwując wejście do wielkiego biurowca z aluminium i szkła. Zewnętrzna winda, to była przykrość. Patrzył na podobne do mrówek ludzkie figurki wznoszące się w górę przy ścianie budynku. Podeszedł do wejścia. Drzwi otworzyły się automatycznie. Zbliżył się do niego strażnik.

- Szukam parkingu - wyjaśnił mu.
- W lewo i za rogiem zobaczy pan znak. Czy mogę czymś służyć?

W odpowiedzi na podejrzliwe spojrzenie Mike uśmiechnął się rozbrajająco. Znał takie typy. Były gliniarz, były wojskowy, umundurowani frajerzy.

- Nie, dzięki - odparł i odszedł bez żadnych wyjaśnień.

Parking obejmował dwa podziemne poziomy. Za automatyczną barierką w kabinie siedział mężczyzna. Mike stanął po przeciwnej stronie ulicy i czekał znowu z mapą w rękach. Podjechały dwa samochody, zatrzymały się, kierowcy włożyli karty do automatu stojącego obok kabiny i szlaban się podniósł. Zauważył, że mężczyzna z kabiny, także w mundurze, wychylał się i badawczo przyglądał kierowcom, po czym salutował im, gdy koło niego przejeżdżali. Pomyśl z garażem nie był dobry. Nie sposób byłoby się tam wślizgnąć z ulicy i choć musiało stamtąd prowadzić wejście do wnętrza budynku, to strażnik nie przepuściłby nieznanym osobie bez jakiegoś dowodu identyfikacyjnego. W jego zawodzie nie mógł być przez nikogo rozpoznany. Zrezygnował z biurowca. Zatrzymał znowu taksówkę - nigdy nie wynajmował samochodu w czasie pracy, gdyż prawo jazdy, dowód ubezpieczenia pozostawiłyby po sobie pewne ślady, fałszywe, czy nie, dla pewności zawsze unikał papierków.

Resztę dnia spędził na robieniu zakupów, żonie kupił kaszmirowy sweter, a nawet wziął dwa, gdyż kurs wymiany dolara był bardzo korzystny i sporo czasu spędził w dziale zabawek u Harrodsa, wybierając prezenty dla synów. O piątej zatelefonował do Julii z budki telefonicznej. Nikt się nie zgłosił. Telefonował jeszcze raz o szóstej. Nic. Telefonował co godzinę aż do jedenastej, bez skutku. W tym dniu już nic nie działo. Nie było jej w domu, a im było później, jego szanse dostania się do budynku zmniejszały się. Jutro podjęcie na nowo swe rutynowe czynności.

- Przepraszam, że tak wpadam do was znienacka - powiedziała Julia. - Ale musiałam przyjechać, żeby z wami porozmawiać

- My się tylko możemy z tego cieszyć - odparł ojciec. - No bo w końcu od czego jest rodzina, prawda?

- Nie każda - rzekła Julia. - Ja mam szczęście.
- Ale dlaczego - dopytywała się May Hamilton. - Dlaczego on cię zwolnił z pracy? I co to za zwyczaj, żeby pracownik miał opróżnić biurko i oddać samochód w ciągu jednego rana.
- W ciągu jednej godziny - poprawiła ją Julia. - Oczywiście jeszcze wrócę do sprawy rozwiązania umowy o pracę... Będą musieli mi zapłacić odszkodowanie, bo nie dałam im żadnego powodu do zwolnienia. Ale to jest jakieś doświadczenie/ Mój zespół był kompletnie wstrząśnięty. Jenny, sekretarka, zaniósła się płaczem. Byłam bardzo wzruszona.
- Sądziłam, że tak postępują tylko w Ameryce - powiedziała matka gniewnie.
- Niestety, nie - stwierdził Hugh Hamilton. - To jeszcze jeden ich obyczaj, który sobie przyswoiliśmy. Oburzający sposób traktowania ludzi. Możesz domagać się niezłych pieniędzy, Juliette. Jeśli potrzebujesz dobrego adwokata, to się rozejrzę.
- Tato, nie martw się - odparła Julia uspokajająco. - Znam paru adwokatów, gdyby to okazało się konieczne.
- Mogłabyś wystąpić przeciwko nim do sądu - zasugerowała matka. W związku ze zwolnieniem córki z pracy wstąpił w nią duch bojowy. Zawsze bardzo przeżywała każdą niesprawiedliwość; Julia nie zdawała sobie sprawy, w jak dużej mierze zawdzięcza matce tak głęboko zakorzenione zasady uczciwości.
- Mamo, nie dojdzie do takiej drastycznej sytuacji. Western nie będzie się uchylał od wypłacenia mi należności. Zapłaci mi stosowną odprawę i na tym się skończy. A teraz może napilibyśmy się herbaty? Zostawmy już ten temat, chciałabym się dowiedzieć, co u was słychać.

Nie podała im prawdziwej przyczyny odejścia z pracy. To było zbyt skomplikowane. Powiedziała, że chodziło o różnicę zdań w kwestiach związanych z formułą publikacji. Wyglądało, że się tym wyjaśnieniem zadowolili. Żadne z nich nie знаło ani stosunków panujących w opiniotwórczych gazetach, ani despotyzmu magnatów prasowych. Na szczęście dla nich, myślała Julia. Muszę powiedzieć Benowi. Może dziś wieczorem, jeśli jego córka wyjdzie ze szpitala. Nie musi się spieszyć z powrotem. Mogą sami opróżnić jego biurko i przesłać należące do niego rzeczy do domu... typowe dla Westerna, że i Bena ukarał. Tylko niech nie myśli, że może spać spokojnie, bo się mnie pozbył. Nie odwołuję ani jednego mego słowa. Wykażę światu, kim naprawdę jest Harold King, teraz nie muszę już ochraniać Williama Westerna i ze względu na niego czegokolwiek ukrywać.

- Chcą, żebyś pierwsza do nich poszła i przygotowała grunt. Dziewczyny cię znają, więc szefowie uznali, że dasz sobie radę.

Mandy potwierdziła, że one ją znają, lecz nie miała wielkiej nadziei na pozyskanie ich współpracy. Poszła do nich na pół godziny przed planowanym przybyciem oficera śledczego i zastała je w domu. Mieszkały u pewnej dziewczyny i jej przyjaciela na Brixton Road. To była okolica zdominowana przez kolorowych mieszkańców i tam się czuły bezpieczniej. Mandy nie włożyła munduru, żeby wyglądać mniej groźnie. Tracey, ta ze złamaną szczęką i licznymi obrażeniami po pobiciu, oraz jej przyjaciółka Tina były jedynymi świadkami, mogącymi połączyć ich byłego przyjaciela z bransoletką.

Mandy znalazła miejsce, w którym zamieszkały na tłocznej Brixton Road. Był to popadający w ruinę stary wiktoriański dom. Okna na parterze pozabijane deskami, na pierwszym piętrze przesłonięte byle jak zasłonami. Nie było dzwonka, tylko staromodna kołatka z lanego żelaza. Mandy zastukała i dopiero po kilku kołataniach i długiej chwili drzwi otworzyła młoda kobieta z dzieckiem posadzonym na biodrze.

Mandy odezwała się przyjaznym tonem:

- Przyszłam zobaczyć się z Tiną i Tracey. Są w domu, kochanie?

- Tak, moja droga, na górze - odpowiedziała dziewczyna.

Dziecko uśmiechnęło się uroczo do Mandy, więc i ona odpowiedziała uśmiechem, dotykając jego gładkiego, pulchnego policzka.

- Słodki dzieciak - powiedziała. - Ma około roku?

- Rok i dwa miesiące. Zawsze się śmieje... nigdy nie płacze. - W głosie dziewczyny słychać było zaśpiew wskazujący na jej pochodzenie z Karaibów. - Pierwsze piętro - objaśniła i usunęła się z drogi, żeby przepuścić Mandy.

Siniaki i opuchlizna zniknęły już z twarzy Tracey. Szczęką była zestawiona, ale ciągle bolesna. Dziewczyna wyglądała mizernie i robiła wrażenie bardzo przygnębionej. Z nich dwóch Tina miała silniejszą osobowość i więcej pewności siebie.

- Pomyślałam, że wpadnę i dowiem się, co się z wami dzieje - powiedziała Mandy. Twarze obu dziewczyn pozostały bez wyrazu.

- Przerzuciła się pani na opiekę społeczną? - spytała Tina.

Mandy przyjęła to pytanie spokojnie.

- Nie. To takie rutynowe działanie. Robię to po godzinach. Jak się czujesz, Tracey?

- Dobrze - wymamrotała. - Dochodzę do siebie.

- Czy ten łobuz wie, gdzie jesteście?

- Nie - odparła Tina. - I nas nie znajdzie. Jak tylko doktor Tracey

pozwole, wyjedziemy do Liverpoolu. Moja przyjaciółka ma tam przyjaciółkę. - Spojrzała na policjantkę podejrzliwie. - Czego pani chce? Tylko niech mi pani nie wyjeżdża z jakimiś „przyjacielskimi” bzdurami. Pani jest gliną. Więc po co się pani nas czepia? - Stała z rękami na biodrach. Nie bała się tej krowy.

Ona i Tracey były czyste. Od tego wydarzenia żadnych mężczyzn, żadnych narkotyków. Patrzyła złym wzrokiem na przedstawicielkę władzy. Tacy ludzie jak ona ciągle się do niej wtrącali. Już wtedy, kiedy była wynędzniałą nastolatką, wzięli ją pod nadzór, bo musiała zarobić parę funtów w pubach na jedzenie i ubranie. Rodzice nie wiadomo gdzie wyjechali i zabrali ze sobą jej młodszego brata, a ją zostawili.

Mandy nie odpowiedziała i w ogóle nie zareagowała. Otworzyła torebkę i wyjęła paczkę papierosów.

- Mogę zapalić? A ty chcesz? - podsunęła jej pudełko.

- Nie - burknęła Tina. - Dlaczego nie zostawi nas pani w spokoju?

Mandy uznała, że musi powrócić do roli policjantki. Uprzejmości na nic się nie zdały. Do żadnej z nich nie dotrze za pomocą serca ani duszy.

- Niestety nie mogę - odpowiedziała. - Mają się tu zjawić inni oficerowie policji. Chcą wam zadać parę pytań. Tino, nie powinnyście im impertynencko odpowiadać. Bo możecie znaleźć się w komisariacie i mieć poważne kłopoty.

Dziesięć lat pracy w policji w środowisku przestępczym sprawiło, że Mandy stała się bardziej surowa i stanowcza. Kiedy trzeba było się z tego typu ludźmi zmierzyć, potrafiła być tak twarda jak oni. Natrafiali na równego sobie. Ciemna skóra Tyny zbladła. Tracey wydała cichy okrzyk przerażenia.

- Jakie kłopoty? - Tina jeszcze się nie poddawała. - Nic nie zrobiłyśmy, nie mamy żadnych kłopotów.

- Ta bransoletka - powiedziała Mandy Kent. - Ta, która była przyczyną kłótni, a potem pobicia was obu... została skradziona. Wiedziałyście o tym?

- Nie. - Tina nagle usiadła. Kradzież. Mogą się przyczepić do wszystkiego, jak im się będzie podobało. Nie wiedziała, skąd jest ta bransoletka. Po prostu Joe ją jej dał.

- To był prezent. Dostałam od niego. Już pani mówiłam.

- Tak, mówiłaś - przyznała Mandy. - Przekazaliśmy jej opis do komputera i na coś natrafiliśmy. Została skradziona. To część rzeczy zrabowanych w Midhurst. Nie wiedziałyście o tym?

Zobaczyła, jak Tracey odwraca umęczoną twarz. Tina wstała i objęła ją opiekuńczym gestem. Mandy już przedtem podejrzewała, a teraz była pewna, że dziewczęta żyły ze sobą, gdy były same.

- Nic nie wiemy - odpowiedziała Tina gwałtownie. Chodziło jej o Tracey, nie o nią samą. - Po prostu pewnego dnia dał mi ją. Powiedział: „To prezent dla ciebie”. Poprzedniej nocy miał ze mną uciechę. Z nami obiema. Chciał się odwdziżyć... Nigdy niczego nie ukradłyśmy.

- A jeśli nie wy, to może on? - podesunęła Mandy.

- On? - Szyderstwo Tyny nie było udawane. - Miałby ukraść takie byle co jak to? On siedzi na forsie... wielkiej forsie. Nie musiałby kraść.

- No cóż, gdzieś to zdobył, prawda?

Tina wzruszyła ramionami, nie przestawała obejmować przyjaciółki.

- No, musiał. Zaraz, o co tu w ogóle chodzi? Usiłuje pani nas zastraszyć...

- Nie - padła bardzo spokojna odpowiedź, jednak spojrzenie Mandy było surowe. Tina widziała już przedtem taki wyraz oczu. Choć chciała się odezwać ordynarnie, ugryzła się w język.

- Nie chcecie złożyć zeznań przeciwko temu mężczyźnie, Joemu Patrickowi, prawda? Na twoich oczach omal nie zabił twojej przyjaciółki, ale ty się za bardzo boisz, żeby go oskarżyć. Nie chodzi o to, że mam do ciebie pretensje. Masz prawo być przestraszona, Tino. Potwornie przestraszona tym, co mógłby ci zrobić. Ale jeśli ty i Tracey chcecie mu się odplacić i same uniknąć podejrzeń, to teraz macie szansę.

- W związku z kradzieżą bransoletki? - zadrwiła Tina.

- W związku z kradzieżą bransoletki - potwierdziła Mandy. - Bransoletka należała do sześćdziesięcioosmioletniej wdowy; włamano się do niej, zgwałcono ją i bito tak długo, aż zmarła. - Odsunęła rękaw i spojrzała na zegarek. - To morderstwo, Tino. Oficerowie śledczy będą tu lada chwila. Mam nadzieję, że obu wam pamięć dopisuje. Zadadzą wam mnóstwo pytań.

Wstała i podeszła do okna. Obrócona do nich tyłem odsunęła brudną zasłonę umocowaną na powyginanym drucie i spojrzała w dół na ulicę. Właśnie pojawił się policyjny samochód migający niebieskimi światłami, cienki jęk syren doszedł poprzez źle uszczelnioną ramę okienną. Joe Patrick. Od czasu pierwszej rozmowy z dziewczynami wiele się o nim dowiedzieli. Dawniej stręczyciel, drobny oszust, który w świecie przestępczym czynił coraz większe postępy, udając

biznesmena. Potrafił wykręcać się jak piskorz, nigdy nie został skazany wobec braku dowodów. Będzie musiał ogromnie żałować, że go tak poniosło z tą dziewczyną. No, ja już odegrałam swoją rolę, reszta należy do wydziału zabójstw - zakończyła swe rozmyślenia Mandy. Obróciła się do nich. Dziewczyny siedziały koło siebie z utkwionym w nią wzrokiem. Słyszała głośnie kołatanie do drzwi dochodzące z dołu.

- Ja już idę - powiedziała. Kiedy wychodziła z pokoju, dały się słyszeć pierwsze kroki na schodach prowadzących na piętro.

- Nie możesz być całkiem sama - upierał się Ben. Córka podniosła na niego wzrok. Miała jeszcze bladą cerę i podkrążone oczy, ale była spokojna.

- Biddy ze mną mieszka - powiedziała. - Ona się mną zaopiekuje. - Współlokatorka, też studentka, była bardzo życzliwa i skora do pomocy, lecz ze względu na wykłady nie mogła cały czas dotrzymać Lucy towarzystwa.

- Wiem - przyznał łagodnym głosem Ben. - To ogromnie miła dziewczyna, ale nie może z tobą przebywać w ciągu dnia. Słuchaj Lucy, jeszcze parę dni będziesz osłabiona i wytrącona z równowagi. Przeżyłaś wstrząs. Ciągłe jesteś w szoku. Pozwól mi zająć się tobą. Tylko na jakiś czas. Proszę.

Dochodziła do zdrowia i lekarze uważali, że korzystna dla niej byłaby czasowa zmiana otoczenia. Smutny pochówek małej trumienki już się odbył, lecz Ben nie chciał wracać do Londynu i zostawiać jej w żalu i samotności. Rozmawiał telefonicznie z matką Lucy. Czuł, że w skrytości ducha z ulgą przyjęła takie rozwiązanie problemu córki, z czym oczywiście się nie zdradziła. Natomiast już wyraźną ulgę przyniosło jej zapewnienie, że nie musi przerywać swej wizyty u teściów. On zostanie i zaopiekuje się Lucy.

Po raz pierwszy rozmawiał z mężem eks-żony. Jego matka ma przeszło siedemdziesiąt lat i nie czuje się za dobrze... Jeżeli Ben daje sobie radę, to on nie sądzi, żeby musieli specjalnie spieszyć się z powrotem... Oczywiście bardzo mu przykro z powodu tego wydarzenia i prosi, żeby Lucy od niego pozdrowić. Dzięki Bogu, że jej nic się nie stało, a to najważniejsze...

Opieka nad dzieckiem należy do moich obowiązków, zdecydował Ben i rozpoczął przygotowania taktyczne do bitwy z córką dla jej własnego dobra. Zaniedbywał te obowiązki przez wiele lat, kiedy stawiał karierę zawodową na pierwszym miejscu. Nie zamierzał zawieść swego dziecka po raz drugi.

Julia wzięła parę dni wolnych, żeby pobyc z rodzicami w Surrey. Lżej mu było na myśl, że jest z nimi. Nie musiał się o nią martwić. Nie wydawało się, by brakowało jej biura, to go dziwiło, ale o nic nie pytał. Wiedziała, co robi, nigdy nie próbował sterować jej życiem, poza sytuacjami, kiedy czuł, że zagraża jej niebezpieczeństwo, a i wtedy odnosiło to odwrotny skutek. Był spokojniejszy, gdyż nie została sama. Nie odczuwał moralnej presji. Nie musiał przynaglać Lucy, żeby pojechała razem z nim do Londynu. W rozmowie z Julią przyznał się do obaw o córkę, a nawet do bólu, z jakim on sam przyjął fakt utraty przez nią dziecka. Julia nie obciążała go wiadomością, że oboje pozostali bez pracy. To mogło poczekać. Musiał mieć czas na uporanie się z własnymi kłopotami i - z czego zdawała sobie sprawę - z uwolnieniem się od gnębiącego go przez te wszystkie lata poczucia winy za rozbitcie małżeństwa. Uświadomiła sobie, że za to kocha go jeszcze mocniej.

- Kochany - powiedziała mu. - Lucy może zatrzymać się u nas. Mamy przecież drugą sypialnię, moglibyśmy nawet gdzieś razem na parę dni wyjechać. Tobie też by to dobrze zrobiło.

A na jego zastrzeżenia, że po takiej długiej przerwie powinien wreszcie wrócić do pracy, odparła rozbrajająco, że tym będzie się martwił po powrocie do Londynu.

- Dobrze, tato. - Lucy zaskoczyła go, gdyż uległa namowom prędzej, niż się spodziewał. - Dobrze, pojedę z tobą. Już nie mogę patrzeć, jak gotujesz i ciągle zmywasz... - Mówiąc te słowa, wykrzesła z siebie uśmiech. - Jeżeli na pewno macie wolny pokój... i twoja przyjaciółka nie będzie miała nic przeciwko temu. Nie chciałabym wam wchodzić w drogę...

- Ona chce, żebyś przyjechała - rzekł stanowczo. - Już od Bóg wie jak dawna prosiła, żebyś was poznał. Polubicie się. Jestem pewny. Wyjedziemy jutro?

- Może pojutrze? - poprosiła. - Chciałabym uporządkować pewne sprawy i wszystko uładzić. Powinam iść do dziekana i upewnić się, że nikt nie zajmie mojego miejsca.

- Świetnie, zatem pojutrze - rzekł Ben. - Zatelefonuję dziś wieczorem do Julii i jej powiem. Dzięki, kochanie. Okrutnie tęskniłbym za tobą.

- Muszę wracać do domu - powiedziała Julia. - Już dostatecznie długo uchylałam się od rozwiązania mojej sprawy. To było cudowne móc się wam zwierzyć, ale naprawdę czas doprowadzić to do końca. Powinam zobaczyć się z adwokatem, zanim zacznę rozmawiać z

działem personalnym mego byłego pracodawcy.

- Zrób to, kochanie, koniecznie - namawiała ją May Hamilton. - Nie daj się oszukać nawet na jednego pensa, który ci się należy.

Julia zaśmiała się.

- Nie martw się, mamó. Nie na darmo jestem twoją córką. Nie dam się. I dzięki za podtrzymanie na duchu. Oboje z tatą byliście aniołami.

- Bzdura - stwierdzili zgodnie. A matka dodała: - I pamiętaj, że masz z Benem przyjechać na święta. A jeżeli jego córka jeszcze nie wyjedzie, też ją przywieźcie ze sobą. Będzie nam bardzo miło!

Julia wracała do Londynu z poczuciem wdzięczności dla nich obaj.

O szóstej zadzwonił telefon. Poderwała się, żeby go odebrać, musiała zdjąć z kolan rudą kotkę, która się tam umościła, zachwycona, że znowu ma towarzystwo. To mógł być Ben...

- Julia Hamilton, słucham... - usłyszała sygnał, zanim ktoś się odezwał. Nakręcił zły numer, albo jakaś inna pomyłka, pomyślała i podniosła Kicię z ziemi, nadąsaną, że przerwała jej drzemkę. Portier wprawdzie karmił ją codziennie, jak uzgodniono, ale tęskniła za swymi przyjaciółmi i dawała upust tym uczuciom, ostrząc pazurki o wyściełaną sofę.

Położyła ją z powrotem na kolanach i gładziła jedwabiste futerko. Ciekawe, że tak przywiązała się do kotki Bena. Obecność tego zwierzęcia dawała jej poczucie spokoju i potęgowała miłą, domową atmosferę. Rodzice uwielbiali psy, ale oni mieszkali na prowincji. Londyńskie mieszkania nie były odpowiednim miejscem dla psów. Ale może pewnego dnia, kiedy ona i Ben przeprowadzą się...

Samą ją zdumiała ta myśl. Łowienie ryb przed niewodem, jak mawiał jej ojciec. Zbyt daleko wybiegała w przyszłość. To do niej niepodobne, zawsze była trzeźwo myślącą osobą. Trzy dni spędzone w sennym Surrey, z dala od głównego nurtu i już stała się idiotycznie sentymentalna. Uśmiechnęła się. Takie marzenia trzeba odłożyć na później. Kiedy zakończy to, co zaczęła. Sprawę Harolda Kinga.

Evelyn Western niewątpliwie nie kłamała. Było zeznanie podpisane przez nieżyjącego już niemieckiego mechanika, oczyszczające Williama Westerna z zarzutu zamiaru zamordowania bezbronnego jeńca... Czy potwierdzało prawdziwy przebieg wypadków, to już inna sprawa. Ale kto mógłby je podważyć? Bardzo sprytnie, myślała z goryczą. Zdobyli list żelazny przez przekupstwo, lub Bóg wie jak. Więc dlaczego nie czuli się wystarczająco bezpieczni, żeby

przeciwstawić się szantażowi Kinga i zamknąć usta Richardowi Watsonowi? Nagle ją olśniło.

Oczywiście nie mogli, gdyż wtedy ten pionek ze Strasburga jeszcze żył! Western nie mógł zaryzykować konfrontacji lub wezwać go na świadka do sądu. A teraz to złożone pod przysięgą pisemne zeznanie człowieka, którego już nie można przesłuchać i wziąć w krzyżowy ogień pytań, będzie stanowić niepodważalny dowód w sądzie. Harold King podkładał się Williamowi Westernowi do gardła, więc ten rozważył ryzyko i postanowił uderzyć pierwszy. Wyrzucił ją z pracy w ataku furii, bo odkryła jego tajemnicę i nie udało się jej zdobyć dowodów obciążających Kinga. Może już teraz tego żałował. Ona nie. Roztropnie rozporządzała swymi dochodami, ma wystarczające oszczędności, żeby dalej prowadzić tę sprawę na własną rękę.

I pomoc Benowi, gdyby on okazał się mniej przezorny. Zresztą oboje dostaną mnóstwo propozycji pracy i wszędzie w świecie mediów będą mogli postawić własne warunki. To nie było zmartwienie.

Ponownie odezwał się przenikliwy dzwonek telefonu.

- Julia? Cześć, to ja, Feliks.

- Feliks? Oo, jak się masz. - Tak długo o nim nie myślała, że jego głos był wręcz szokiem. Wzbierały w niej złe uczucia, już sam ten ton człowieka pewnego siebie i lekkomyślnego działał jej na nerwy, przypominał o ich związku, który napawał ją wstydem i złością.

- Dobrze. Przez parę dni próbowałem cię złapać, ale zapomniałaś włączyć automatyczną sekretarkę.

- Nie zapomniałam - nie omieszkała sprostować. - Jak się wyjeżdża, to jest zaproszenie do włamania. Byłam u rodziców.

- To ładnie z twojej strony - zachichotał. - Kiedyś nie byłaś taką kochającą córką.

- Czego chcesz? - spytała. Był gruboskórny jak nosorożec.

- Doszło do mnie w biurze pantoflową pocztą, że cię wylali - rzekł. - Przykro mi było to słyszeć.

- Dzięki - odparła. - Ja się nie martwię. Mnie ulżyło.

- Taka gruba forsa...

Wyobraziła go sobie, jak się uśmiecha z niedowierzaniem i musiała powstrzymać się od odłożenia słuchawki.

- Co się stało? - pytał dalej. - Byłaś taką pieszczoszką Starego... Pokłóciłaś się z nim?

- Feliks, dlaczego mnie wypytujesz? Co cię to obchodzi? To nie była twoja dziedzina. Ty na tym nie skorzystasz.

- Boże, uważasz mnie za takiego sukinsyna? - zaprotestował. -

Po prostu było mi przykro, to wszystko. Chciałem zapytać, czy ty i Ben nie wybralibyście się ze mną na drinka.

- Bena nie ma - powiedziała. Zrobiło się jej głupio, że go tak wrogo potraktowała. Był obcesowy i nietaktowny, ale ona przesa-
dziła. - Pojechał do Birmingham, w sprawach rodzinnych.

- Nie wiedziałem, że ma rodzinę - stwierdził Feliks. - To może ty dasz się zaprosić?

- Chyba nie - odparła. - Mam mnóstwo spraw na głowie...

- Och, daj spokój - nalegał Feliks. - Jak za dawnych czasów. Mógłbym nawet postawić ci kolację, jak przestaniesz być taka opry-
skliwa. Słuchaj, przyjadę po ciebie za pół godziny. Jestem teraz z
pubie. To ten wodopój uroczego chłoptysia Joego Patricka. Pełen
wspaniałych dziwek. Do zobaczenia. Cześć.

Nie miała ochoty z nim iść. To typowe dla Feliksa, jak czegoś
chciał, nie ustępował. Nic się takiego nie stanie, jeśli pójdzie z nim na
drinka. Joe Patrick. Wtyczka Kinga.

Przyniósł fotografie i taśmy, żeby pograć z Leo Derwenta. Tak,
spotka się z Feliksem. Może rozmowa z kimś, kto nie był tak
zaangażowany, rozjaśni jej w głowie. Przekupiła kotkę miseczką
mleka, zdjęła leginsy i luźny sweter, przebrała się w spodnie i bluzkę,
po czym jeszcze energicznie wyszczotkowała niesforne, płomienne
włosy. Nagrała na automatyczną sekretarkę wiadomość dla Bena na
wypadek, gdyby zatelefonował pod jej nieobecność. „Poszłam na
drinka z Feliksem. Mam nadzieję, że jesteś zazdrosny. Wrócę około
dziewiątej. Wtedy zadzwonię. Kocham”.

Feliks, co było do przewidzenia, spóźnił się dwadzieścia minut.
Kiedy nacisnął dzwonek domofonu, odpowiedziała: „Już schodzę” i
wyszła z mieszkania, zamykając drzwi na dwa zamki. Mężczyzna,
który stał beczynnym z mapą w rękach za rogiem ulicy, obserwował
ją, jak wychodziła z domu.

Rozdział 10

- **P**owiedział tylko, że wychodzi? - Nadinspektor Roy Bingham wykazywał opanowanie i cierpliwość. Dziewczyna, która została pobita, była przerażona i uległa. Za to ta druga lesbijka, grająca rolę mężczyzny, stanowiła ciężki orzech do zgryzienia. Inteligentna i ostrożna, nadal usiłowała chronić siebie i przyjaciółkę przed skutkami narażenia mordercy na odpowiedzialność karną. Roy Bingham wiedział, że obie wywodziły się z marginesu społecznego. Stawiał im pytania delikatnie, naprowadzał je i nie onieśmiał. Wszystko było nagrywane na taśmę w obecności sierżanta i posterunkowego - kobiety. Poczęstowali obie dziewczyny kawą i kanapkami.

Inspektor kontynuował przesłuchanie.

- Powiedział, że wychodzi. I nic więcej?

- Zgadza się - potwierdziła Tina ponurym głosem. - „Wychodzę”.

Pamiętała też obelżywe następne zdania, które wypowiedział: „A wy obie, smoluchy, macie tutaj na mnie czekać...”, a potem i to jeszcze: „Dzisiaj wieczorem będę chciał mieć coś specjalnego...”, stworzony szept Tracey po jego wyjściu: „Co się dzieje? Gdzie on pojechał.?” I jej własną odpowiedź: „Dać nauczkę jakiemuś biednemu frajerowi. Jak po tym wraca, zawsze mu staje...” Wdowa z Midhurst dostała dobrą nauczkę, raz na zawsze. I została zgwałcona.

- A kiedy wrócił - skłaniał ją dalej do zeznań Roy Bingham - co się wydarzyło?

Tina spojrzała na niego z nienawiścią.

- Już panu mówiłam. We dwie go zabawiałyśmy. Chce pan usłyszeć sprośne szczegóły?

- Nie - odrzekł. - To mnie nie interesuje. Pytam, czy powiedział,

gdzie był, czy napomknął o czymś, co tam robił?

- Niczego nie mówił - wymamrotała Tracey. - Nigdy nic nie mówił.

- A wy nigdy nie pytałyście? - Teraz sierżant przejął chwilowo przesłuchiwanie.

Spojrzała na niego.

- Pan sobie żartuje. Zbilby nas na kwaśne jabłko. Nie lubił pytań.

- Więc często was bił? - Zajął się tą słabszą psychicznie, zostawiając Tinę szefowi.

- Nie tak często - stwierdziła Tracey. - Jak mu się zachciało.

- Nie miałyście o to do niego urazy?

Wzruszyła nieznacznie ramionami.

- Poza tym bywał dla nas dobry. Bardziej lubił Tinę niż mnie. Dlatego tak się wściekł, że pożyczyła mi bransoletkę.

- A kiedy on ci dał tę bransoletkę? - Teraz szef zajął się Tiną.

- Już mówiłam. Następnego dnia. Po tym, jak miał z nami uciechę.

- Czy jak byłaś z nim poprzedniej nocy, zauważyłaś jakieś ślady na jego ciele...? Jakieś zadrapania, otarty naskórek na dłoniach... czy coś takiego?

- Nie. - Tracey spojrzała na niego. - W robocie zawsze nosił rękawiczki. Nigdy nie miał śladów.

Tina rzuciła jej groźne, ostrzegawcze spojrzenie, ale już było za późno.

- Co masz na myśli, mówiąc o robocie?

Roy Bingham wyczuł, że nastąpił przełom. Zostawił Tinę i przysunął krzesło bliżej Tracey. A jej wydało się, że wszyscy się do niej przysunęli, że się koło niej stłoczyli. Spojrzała przerażonym wzrokiem raz na jednego, raz na drugiego mężczyznę, a potem na siedzącą w milczeniu policjantkę, świadka tej sceny.

- Kiedy komuś dawał nauczkę. Dziewczyny kaleczył nożem. Nas nigdy. Nas tylko bił pięściami.

- I kopał was - przypomniał jej Roy. - Skopał ciebie, prawda? Tak cię kopnął w żebra, że miałaś trzy złamane. Kopał cię w plecy. Starsza pani, właścicielka tej bransoletki też była skopana. I bita pięściami. Mam tu zdjęcia. Chciałbym wam pokazać, co jej zrobiono.

- Nie chcę tego oglądać - powiedziała Tracey i zaczęła płakać.

Tina wstała i podeszła do niej.

- Ty draniu! - warknęła. - Zostaw ją w spokoju...

- Jeżeli podpiszecie zeznanie, obie będziecie mogły iść do domu - obiecał.

- Taak? - Tina zwróciła się ku niemu. - I czekać na wizytę jego kamratów... jak on się dowie, cośmy tu powiedziały. I już po nas. Niczego nie podpiszemy.

Nadinspektor podniósł się z krzesła. Zbliżył się do mikrofonu i powiedział: „Przesłuchanie zakończone, godzina siedemnasta dwadzieścia, czwartek, dziewiątego grudnia”. Wyłączył nagranie. Teraz zmienił ton.

- Dobrze - rzekł. - Rozdzielimy je. Joan, weź Osborne do innego pokoju przesłuchań. Mervyn zostaje tutaj. - Warknął w kierunku Tyny: - No, dalej, Osborne. Ruszaj swój tyłek.

- Nigdzie nie idę! - krzyknęła. - Nie zostawię Tracey. Nie pójdę i nie zmusicie mnie!

Coraz bardziej podnosiła głos. Usłyszał w nim nutę paniki i zaczął z niej kpić.

- Chcesz się założyć? Joan, zatelefonuj po jakąś koleżankę i zabierzcie ją stąd. Chcę zamienić spokojnie parę słów z jej przyjaciółką.

Tina stała skamieniała. Słyszała, jak policjantka mówi cicho do swego mikrofonu:

- Przyślijcie kogoś do pokoju przesłuchań numer pięć, dobrze? Tutaj jedna stawia opór.

Siłą ją wyprowadzą i Tracey będzie musiała sama sobie dawać radę z tym wstrętnym, białym draniem. Ona jest jeszcze ciągle osłabiona i roztrzęsiona po tym ciężkim doświadczeniu. Miała złożoną szczękę, ale wszystko nie jest jak trzeba, będą musieli ją na nowo łamać i jeszcze raz składać. A potem ma mieć operację nosa i kości policzkowych. Nie mogła spać i wpadała w przerażenie, kiedy Tina wychodziła na dłużej. Będzie się bała zostać tu sama. Joe Patrick jej nie zabił, ale pozostawił blizny fizyczne i psychiczne na całe życie. Tracey rozstrzygnęła sprawę.

- Tina - zaczęła zawodzić. - Tina... nie zostawiaj mnie...

Roy Bingham już wiedział, że wygrał, gdyż powiedziało mu to ciało Tyny. Osunęła się na krzesło, opuścił ją zupełnie duch walki.

- No już, niech będzie - powiedziała. - Złożę zeznanie. Tylko mnie stąd nie zabierajcie, dobrze?

Bingham dał znak głową policjantce, która odwołała polecenie. Włączył magnetofon i rozpoczął dalszy ciąg przesłuchania.

- Przesłuchanie wznowione o siedemnastej dwadzieścia osiem, dziewiąty grudnia. Obecni sierżant policji Fitch i posterunkowy Joan Lewis, przesłuchiwane Tina Osborne i Tracey Mervyn, przesłuchanie prowadzi nadinspektor policji wydziału śledczego Roy Bingham. A

teraz Tino, rozpoczniemy wszystko od samego początku, zgoda? Bransoletka została rozpoznana ja ko własność pani Jean Adams zamordowanej w czasie napadu rabunkowego w jej własnym domu...

Monotonnym głosem przedstawiał stan sprawy, powtarzając ustalone szczegóły. Po czym padły najważniejsze pytania.

- Czy możesz z całą stanowczością stwierdzić, że okazana ci bransoletka jest identyczna z tą, którą dostałaś od Joego Patricka dwudziestego siódmego września?

- Tak - odpowiedziała Tina.

- O której w przybliżeniu zostawił was Joe Patrick w swym mieszkaniu poprzedniego wieczoru?

- Około dziesiątej - odparła Tina. Nie było już odwrotu.

- Czy powiedział, gdzie idzie?

Zawahała się. Potem odetchnęła głęboko i powiedziała:

- Powiedział, że idzie na robotę.

Bingham spojrział na nią zdziwiony.

- Tak powiedział? Że idzie na robotę?

Kłamała, był tego pewny. Zwrócił się do drugiej dziewczyny.

- Do ciebie też to powiedział?

- Nie...

Przerwała jej Tina.

- Do mnie to mówił. Ona tego nie słyszała.

Bingham pokiwał głową.

- Rozumiem. - Wyłączył magnetofon. - Postanowiłaś go przygwoździć, tak?

Tina podniosła na niego wzrok.

- Przecież o to panu chodzi, no nie?

Przez chwilę nic nie mówił. Wyjął paczkę papierosów i jednego zapalił. Próbował rzucić palenie, lecz mu się nie udało. Przy tej pracy nie mógł sobie pozwolić na okazanie zdenerwowania.

- W porządku - rzekł tylko. - Napijmy się jeszcze kawy i zabieramy do pracy.

Odwieźli z powrotem Tinę i Tracey do domu nie oznakowanym policyjnym samochodem. Mieszkanie było puste. Ich koleżanka ze swym przyjacielem spędzali wiele czasu na zbieraniu zakładów na wyścigi konne i sprzedawaniu narkotyków.

Tracey spojrziała na przyjaciółkę.

- A jednak to zrobiłaś - wymamrotała.

- Nic nam się nie stanie - odpowiedziała Tina. - Jutro się wyprowadzimy i będziemy miały ochronę. Jestem zadowolona, że tak się stało, Trace. Po tym, co ten gnój z tobą zrobił. Naprawdę się cie-

szę. Zawsze mówiłam, że pewnego dnia mu odpłacę. Chodź, pójdziemy do łóżka. Będzie nam dobrze. Dopóki mamy siebie.

Feliks zabrał Julię do baru na Jermyn Street. Lokal był zaciszny i luksusowy. Usiedli przy stoliku w rogu sali.

- Jak za dawnych lat - powiedział.

- Poza tym, że wtedy ja płaciłam. - Z miejsca odcięła się od próby zbliżenia. - Musi ci się dobrze powodzić, skoro bywasz w takich lokalach.

Uśmiechnął się szeroko, jej uwaga wcale go nie speszyła.

- Mówiłem ci, lubię życie na odpowiednim poziomie. I tak się zdarzyło, że dobrze mi się powodzi. Jestem teraz asystentem szefunia. Nie masz pojęcia, ilu wybitnych polityków poznałem.

- O, opowiadaj, zadziw mnie - powiedziała. Właściwie to było głupie tak go celowo prowokować, on się nigdy nie zmieni. Kiedyś ona była obiektem jego złośliwości. Powinna raczej odprężyć się przy drinku. Wymienił kilku posłów do parlamentu, w tym jednego ambitnego członka rządu.

- Zostałem przez niego zaproszony na lunch, a później tylko we dwóch gawędziliśmy o różnych zakulisowych sprawach... To było fascynujące. Na ogół plotą takie bzdury, bez względu na przynależność partyjną. - Wypił swój dzin z tonikiem i poprosił o następny. - I co teraz będziesz robiła? - Z czystej złośliwości dodał: - Niektórzy zmieniają sprzymierzeńców. Popędź do Kinga i zaproponuj, że będziesz dla niego pracowała. Przynies mu parę rodzynków na temat szlchetnego lorda...

- Przestań się tak idiotycznie wygłupiać, Feliksie - odparła gniewnie. - Jak możesz.

- Powiedziałem tylko niektórym, nie ty - zauważył. - Kłopot w tym, że ty masz za dużo zasad.

- A ty żadnej - odcięła się.

- Nigdy nie udawałem, że jest inaczej. Wypij jeszcze jedną wódkę i zostawmy te wzajemne uszczypliwości. Więc teraz poważnie, co masz zamiar robić? Przede wszystkim będziesz musiała zrezygnować z dochodzenia w sprawie Kinga.

- Ani mi się śni - odrzekła.

Spojrzał na nią spod oka.

- To trochę nierozważne - stwierdził. - Bez poparcia. Co Harris o tym myśli?

- Jeszcze mu nie mówiłam, musiał wyjechać i zaopiekować się córką. Ma dosyć zmartwień. Ale on się ze mną zgodzi. Feliksie,

chciałabym, żebyś sprawdził, czy ja dobrze rozumię. Pozwolisz? To by mi pomogło pewne sprawy widzieć jaśniej.

- Czy pozwolę? Jestem zaszczycony. No, dalej, mów.

Nie zdawała sobie nawet sprawy, ile jej to zajęło czasu. Kiedy skończyła, Feliks powiedział:

- To rzeczywiście niezwykła historia. Zagadka w nie rozwikłanych okolicznościach. Jeżeli żona Westerna mówiła prawdę, to wróciłaś do punktu wyjścia. Masz nie poparte dowodami zarzuty, jakoby King zastrzelił brytyjskich jeńców gdzieś na Saharze Zachodniej. Uwierzyłaś jej?

- Jej uwierzyłam, ale nie wierzę w tę wersję, którą mi opowiedziała - mówiła Julia z namysłem. - Wiem, że czterech żołnierze zostali zabici, że Western był ranny i wiem, że za to odpowiedzialny jest King. Ale w jaki sposób mam to udowodnić? Co przeoczyłam?

- Bóg jeden wie. - Wzruszył ramionami. - Chyba że uda ci się spić Kinga.

- Feliksie... Feliksie - powiedziała po chwili. - Czy mógłbyś mnie podrzucić do domu?

- Chciałbym ci postawić kolację - zaproponował. - W hotelu „Park” podają wyśmienitą pizzę... Co się stało? Dziwnie wyglądasz.

- Nic się nie stało - powiedziała sięgając po torebkę. - Nie będę jadła, dziękuję za zaproszenie. Możesz mnie podwieźć?

- Taak. Niczego innego nie robię. Wezmę rachunek. Aha, przy okazji, wyznajesz zasady liberalno-demokratyczne. To pójdzie w koszty.

Wyszli na mroźne powietrze zimowego wieczoru i Julia zdrząła. Nie za przyczyną chłodu, lecz w poczuciu narastającego rozgorączkowania. Feliks, nonszalancki jak zwykle, powiedział coś o wiele ważniejszego, niż mógłby się domyślać. Zobaczyła zbliżającą się taksówkę z błyskającymi pomarańczowymi światłami z przodu i pod wpływem impulsu zwróciła się do Feliksa.

- Nie przejmuj się. Wezmę taksówkę. Dzięki za drinki. I za to, że mnie wysłuchałeś.

- OK. - Feliksowi znowu tak bardzo nie zależało, żeby zbaczać z drogi i odwozić ją na Chelsea Green. W ulubionym pubie Joego Patricka była taka jedna mała, atrakcyjna ruda, która już przedtem na niego spoglądała. Może nadal się tam kręci.

Obecność Julii naprowadziła jego myśli na coś więcej niż na pizzę.

- Żałuję, że nie mogłem ci pomóc - powiedział.

- Chyba mi pomogłeś. - Ku jego zdumieniu pocałowała go lekko w policzek. Potem wsiadła do taksówki, która zatrzymała się przy

krawężniku. Patrzył przez chwilę na odjeżdżający samochód. A teraz ta mała ruda - zdecydował stanowczo. To nie będzie Julia, ale musi wystarczyć.

Mike zadzwonił z budki telefonicznej. Wysłuchał wiadomości zostawionej przez Julię dla Harrisa:

„Poszłam na drinka z Feliksem. Mam nadzieję, że jesteś zazdrosny. Wrócę około dziewiątej. Wtedy zadzwonię. Kocham”.

Było po siódmej. Poszedł do pobliskiej kawiarni w centrum handlowym i zjadł dwa ciastka, popijając je dwiema filiżankami kawy. Kiedy miał wykonać zadanie, nigdy nie pił alkoholu, ale uwielbiał słodkie ciastka. Wrócił na Chelsea Green i przycupnął na stopniu w cieniu wejścia do jakiegoś domu. Po drugiej stronie ulicy, dokładnie naprzeciwko frontowych drzwi budynku, w którym mieszkała Julia. Były jasno oświetlone, częściowo ze względów bezpieczeństwa. Bardzo mu to odpowiadało. Przeszło koło niego kilku pieszych, lecz nikt nie zwracał uwagi na postać skuloną przy progu domu, chroniącą się w osłoniętym miejscu. W Londynie było pełno bezdomnych, żebrzących za dnia i śpiących w nocy byle gdzie. Sam ich widział mnóstwo. Miał na sobie ciemne rzeczy i treningowe buty, porządny płaszcz i futrzaną czapkę z opuszczonymi nausznikami, więc jego wygląd nie wzbudzał podejrzeń. Obuwie było lekkie, wygodne do biegania. Gdyby musiał biec. Nie przewidywał tego; zakładał, że po wykonaniu roboty spokojnie odejdzie i po prostu zniknie w ciemnościach miasta. A następnie pierwszym porannym samolotem wróci do domu. Miał bilet lotniczy z nie potwierdzonym terminem odlotu. Mord zostanie odkryty dopiero wtedy, gdy on już będzie w drodze przez przestworza.

Do budynku naprzeciwko wszedł najpierw mężczyzna, potem jakaś para i później jeszcze jedna, lecz on się nie ruszył.

I nagle zobaczył to, na co czekał. Trójkę nastolatków podchodzących do frontowych drzwi. Kiedy w ciągu dnia stał tam na czatach, widział dziewczynki i chłopców wchodzących i wychodzących z budynku. Zerwał się szybko, przebiegł przez jezdnię i znalazł się przy nich właśnie w chwili, gdy otwierali drzwi. Jedna z dziewczynek miała klucz; gdy wyjmowała go z zamka, przepchnął się koło niej. Rzucił przez ramię „dzięki” i jak już szli tuż za nim, przeszedł koło kamery. Rozmawiali i śmiali się, a on przemknął w kierunku schodów i zaczął nimi wbiegać w górę po dwa stopnie. Byli zbyt zajęci sobą, żeby zwracać na niego uwagę. Na to liczył. Ach, te dzieciaki, pomyślał trzeźwo, jego też mogły być takie nieostrożne.

Mieszkanie Hamilton było na czwartym piętrze. Na samej górze. Szedł teraz wolniej i nasłuchiwał odgłosów z wyższych pięter. Przystanął wpatrzony w czerwone światelko windy. Zatrzymała się na trzecim piętrze. Usłyszał głosy dzieciarni rozlegające się na klatce schodowej, przesunął się tak, żeby go nie zobaczyli. Potem przebył ostatnie dwa piętra. Strzałka w prawo wskazywała numery dwóch mieszkań. Druga kierowała w lewo, w stronę jednego tylko mieszkania, to był numer Hamilton. Przez szklane drzwi i za zakrętem. Tworzyła się tam jakby ślepa uliczka. Solidne, mahoniowe drzwi mieszkania, opatrzone numerem 403 z połączanych cyfr z brązu, znajdowały się na końcu małego korytarza. Poruszał się bezszelestnie po grubym dywanie ze strzyżonej wełny. Zauważył obiektyw kamery zatopiony w ścianie ponad jego głową. Każdy, kto naciskał dzwonek, mógł być dostrzeżony w tej samej chwili na którymś z dwóch monitorów na dole. Jeden był nastawiony na drzwi wejściowe, drugi na przejścia wewnętrzne. Stał i nadśluchiwał. Powiedziała, że będzie mniej więcej o tej porze. Właśnie dochodziła dziewiąta. Zawrócił. Jak wynikało z jego obserwacji poczynionych za dnia z zewnątrz, schody przeciwpożarowe musiały być gdzieś blisko. I były. Wyraźnie oznakowane czerwoną strzałką i ostrzeżeniem: „Wyjście awaryjne, nie tarasować drogi”. Drzwi zamknięto na prostą zasuwę, którą każdy, młody czy stary, kto by musiał wydostawać się na zewnątrz, z łatwością mógł otworzyć.

Odsunął ją jedną ręką i stał przez chwilę na wąskiej, zewnętrznej platformie. Wysokość nie stanowiła dla niego problemu. Wiatr zawiewał mocno, więc szczelniej owinął się płaszczem. Następnie wrócił do środka. Popchnął szklane drzwi i puścił je. Gdy wracały na miejsce, wydawały charakterystyczny odgłos. Będzie go słyszał. I będzie mógł obserwować korytarz przez uchylone drzwi od przeciwpożarowych schodów, widzieć, kiedy ta Hamilton wróci. Jeżeli będzie sama, wykona zadanie. Gdyby ktoś jej towarzyszył... Nigdy nie brał na raz dwóch zleceń. Nie był zwolennikiem załatwiania dwóch osób za jedno wynagrodzenie. Widział, że spotkała się na dole z mężczyzną. Jeżeli przyprowadzi go do mieszkania, on prześlizgnie się na dół i spróbuje następnego dnia. Nie denerwował się. Taka zwłoka jest bez znaczenia. Miał nerwy jak postronki, nie lubił jedynie wystawiać się na niepotrzebne ryzyko, nawet minimalne. Wrócił na wąską platformę schodów przeciwpożarowych, zostawił leciutko uchylone drzwi i podniósł wzrok na rozgwieżdżone, czyste wieczorne niebo. Czekał.

Julia zapłaciła taksówkarzowi, otworzyła frontowe drzwi budynku i wjechała windą na czwarte piętro. Wróciła później, niż zamierzała, było już sporo po dziewiątej. Odchyliła szklane drzwi, które się za nią zamknęły i szybkim krokiem skierowała się do swego mieszkania. Nawet nie rzuciła okiem w kierunku wyjścia awaryjnego. W domu powitała ją miauczeniem Kicia. Julia pogłaskała kotkę i podeszła zaraz do telefonu, żeby sprawdzić, czy nie zatelefonował do niej Ben znudzony czekaniem. Światelko automatycznej sekretarki mrugało. Nacisnęła guzik odtwarzacza i usłyszała głos Harrisa. „Zabrałem Lucy na kolację, żeby się trochę rozerwała. Zadzwoń, jeśli wrócimy nie za późno. Koniec z chodzeniem na drinki z innymi mężczyznami... Pa, kochana”.

- Do licha - zaklęła na głos. Do licha... właśnie kiedy tak bardzo chciała z nim porozmawiać. Nie była głodna, żołądek miała ściśnięty od napięcia. Nalała sobie drinka i puściła wodę do wanny. Otworzyła nową puszkę z kocim jedzeniem i dała Kici dodatkową porcję, żeby jej wynagrodzić swą nieobecność. Ben twierdził, że kotka tyje. Julia zawsze podsuwała jej różne smaczne kąski. Powiedział do niej kiedyś na poły żartobliwie: „Bóg raczy wiedzieć, co by było, gdybyś miała własne dziecko... kompletnie byś je rozpuściła”. Rozebrała się, wzięła ze sobą drinka do łazienki i zanurzyła się w gorącej wodzie. Zagadka w nie rozwikłanych okolicznościach. I wygląda na to, że jest tylko jeden sposób na rozwikłanie tych okoliczności i rozwiązanie zagadki. King po alkoholu nie panował nad sobą.

To właśnie dlatego, po owej fatalnej dla niego nocnej scenie z żoną Phyllis Lowe, w ciągu czterdziestu lat nie tknął nawet kieliszka wina. Upić go. Feliks tylko tak sobie zażartował, jak to on, niefrasobliwie. Teraz, sięgając myślą wstecz, wszystko sobie przypominała. Nie zauważyła, że woda ostygła, z boku stał nie dopity alkohol w szklance.

Powiedział Phyllis, że zabił jeńców. To wyznanie, które mu się wyrwało pod wpływem alkoholu, spowodowało, że został wydany na jej łaskę i niełaskę. Są tacy ludzie, którzy nie tolerują nawet jednego kieliszka alkoholu, tracą nad sobą całkowicie panowanie. To nie alkoholicy, tylko cierpiący na coś w rodzaju psychicznej alergii. Hamulce psychiczne, właściwe normalnemu zachowaniu, przestają działać. Tacy ludzie dostają się we władanie alkoholu, który pozbawia ich własnej woli. To rzadkie przypadki, bardzo rzadkie, ale się zdarzają. Harold King do nich należał. Tkwiło w nim zło, a alkohol powodował, że je obwieszczał bez obawy przed konsekwencjami.

Wyszła z wanny, wytarła się ręcznikiem i włożyła piżamę. Wylała

resztę wódki do umywalki i zagrzała sobie mleka. Może łatwiej zaśnie. Ben nie zatelefonował. Była już północ, więc nie zadzwoni. Położyła się do łóżka z kotką, która zwinęła się w kłębek przy jej stopach. Sen nie nadchodził, a Julia rozmyślała. Jak to zrobić? Jakiego użyć podstęp, żeby King złamał ten nałożony na siebie dobrowolnie zakaz... I nagle znalazła odpowiedź na to pytanie.

Mike wszedł na korytarz, gdyż na zewnątrz zrobiło się za zimno. Spojrzał na zegarek. Za dziesięć dwunasta. Przeszedł za róg do szklanych drzwi i otworzył je, obserwując pilnie, czy ktoś nie nadjeżdża windą. Zielone oczko nie zmieniło się w czerwone. W budynku panowała kompletna cisza. Podszedł do szczytu schodów i nachylony nad poręczą słuchał. Dźwięki niosą się w górę. Nic. Żadnego ruchu, żadnych głosów. Stał tam dalej, aby się upewnić, że nikt się nie zjawi. Nikt nie wchodził do budynku.

Dwadzieścia pięć po dwunastej wszedł na korytarz przez szklane drzwi, minął zakręt i zbliżył się do mieszkania numer 403. Miał na dłoniach obcisłe, skórzane rękawiczki. Lewą ręką zakrył usta, a drugą mocno uderzył w mahoniowe drzwi. Raz, drugi, trzeci.

Zaczął krzyczeć:

- Pożar! Pożar! Dom się pali! Wszyscy opuszczają mieszkania!

Julia już prawie zasypiała, gdy usłyszała walenie do drzwi. Całkowicie rozbudzona, zerwała się z łóżka. Słyszała głos wołający: „Pożar... pożar...”

Pożar! Ogarnął ją paniczny strach. Jest na czwartym piętrze... O Boże... Chwyciła płaszcz, który leżał na krześle. Kotka... Gdzie jest kotka? Nie może jej zostawić. Nadal leżała w nogach łóżka. Pochwyciła ją i przerażona, bez tchu pobiegła boso do frontowych drzwi. Gwałtownie wyszarpała łańcuch i drżącymi dłońmi zaczęła otwierać zamek.

Usłyszał ruch w mieszkaniu i przygotował się, w prawej ręce trzymał nóż z cienkim ostrzem. Gdy Julia otworzyła drzwi, zamierzył się na nią.

Zobaczyła jakąś męską postać i wystarczyła sekunda, żeby uświadomiła sobie, że on chce ją zaatakować. Krzyknęła przeraźliwie z przerażenia i na osłep, bez zastanowienia rzuciła na niego kotkę. Kotka była oszalała ze strachu, udzieliła się jej panika Julii, która ją znienacka porwała z bezpiecznego miejsca. Instynktownie wyprężyła się i sycząc, z obnażonymi zębami i rozczapierzonymi pazurami rzuciła się na niego i wczepiła w jego twarz. Upuścił nóż, a Julia w tej samej chwili zatrzaskała drzwi.

Nie mogła zebrać myśli, była w takim szoku, że ledwo oddychała. Osunęła się na kolana. Zdołała doczołgać się do drzwi i z powrotem założyć łańcuch. Zaczęła dygotać i czuła, że za chwilę zwymiotuje. On tam był. Czekał za drzwiami. Nie może się tu dostać. Nie może... Niczego nie słyszała. Nie dochodził do niej żaden dźwięk. Tylko ta straszliwie złowróżbna cisza, gdyż ten człowiek, który podstępem ją wywabił, jeszcze tam był...

Znalazła klucze na stole w holu i trzęsącymi się rękami dopasowała je jakoś do wewnętrznych zamków i przekręciła. Zamki i łańcuch. Nikt nie mógłby wyłamać tych drzwi bez młota kowalskiego. Potykając się dotarła do salonu. Nogi się pod nią uginały. Oprzytomniała lub przynajmniej tak jej się wydawało. Nie było żadnego pożaru. W całym budynku był zainstalowany system alarmowy, wykrywacze dymu, sygnały przekazywane do każdego mieszkania... Nie było żadnego niebezpieczeństwa, poza tym, które czaiło się w korytarzu za drzwiami. Policja... Podniosła słuchawkę i wykręciła numer.

Miał zakrwawioną twarz. Głębokie zadrapania piekły, pokłute wargi krwawiły. Nie tracił czasu. Podniósł nóż. Nie udało mu się i nie zamierzał przeciągać struny. Przebiegł błyskawicznie korytarz, minął szklane drzwi, zbiegł po schodach do holu i wypadł na ulicę.

Kiedy Julia kończyła zabezpieczanie drzwi od wewnątrz, już go nie było w budynku. Otarł twarz chusteczką, cała była zaplamiona krwią.

Jezu Chryste. Kot... Do hotelu pojechał metrem, choć ulicą przejeżdżało kilka taksówek; któryś z taksówkarzy mógłby przypomnieć sobie zabranego w tej okolicy mężczyznę w czasie, gdy miał miejsce napad. Poprosił o klucz, wyjaśniając, że później odbierze swój bagaż. Zapłacił rachunek i zostawił podręczną torbę podróżną, którą recepcjonista postawił za kontuarem.

Zatrzymywał się w tym hotelu także w czasie swych poprzednich wypraw do Londynu, również związanych z jego handlowymi interesami, więc był tu znany i właściciel miał do niego zaufanie. Miły, spokojny, amerykański biznesmen, nie zalegający z rachunkami i nie przysparzający kłopotów. Wielu cudzoziemców usiłowało przemycać do pokoju kobiety, on na nic takiego sobie nie pozwalał.

Przejrzał się w lustrze na korytarzu. Nos miał spuchnięty i krwawiący od ukąszeń kota. Policzki rozorane pazurami. Przez tę pokiereszowaną twarz mógł być łatwo rozpoznany...

Otworzył neseser i wyjął saszetkę z przyborami toaletowymi. Zawsze miał przy sobie małą paczuszkę środków pierwszej pomocy.

Plastry, maść antyseptyczną, paracetamol. Zalepił głębokie szramy zadrapań i ślady ukąszeń na nosie plastrami, postawił kołnierz płaszczu i nasunął nauszники aż na płonące policzki.

Teraz był na tyle bezpieczny, że mógł zatrzymać taksówkę. Po chwili zobaczył jedną na Bayswater Road. Z torbą podrózną w rękę, ukrywając w cieniu twarzy, rzucił tylko: „Heathrow” i wskoczył do środka... Wcisnął kierowcy dwukrotną należność i pospieszył do terminalu numer 3. Spędził noc w poczekalni hali odlotów z czapką nasuniętą na twarz. Wyleciał samolotem o ósmej rano, nie zjadł śniadania, wyjaśniając, że chce się przespać. Zagłębił głowę w swój jasiek i zapadł w drzemkę.

Było około dziesiątej czasu nowojorskiego, kiedy wylądował. Poszedł do samochodu pozostawionego na parkingu lotniska i pojechał do domu. Kot. Nikt by mu nie uwierzył. On sam ledwie mógł w to uwierzyć. Ale dowód był nie do odparcia, w parę godzin później na twarzy wywiązał się stan zapalny.

- A czy jest ktoś - spytała policjantka - kto mógłby zostać z panią na noc?

Julia piła gorącą herbatę. Złożyła już zeznanie policji, która przybyła na jej wezwanie. Przeszukano cały budynek, ściągnięto z łóżka dozorcę i zbudzono najbliższych sąsiadów. Policja pytała, czy coś widzieli lub słyszeli. Nic. Policjanci sugerowali, że to najpewniej włamywacz przygotowany do rozprawienia się z domownikiem i Julia - wbrew swemu przekonaniu - zgodziła się z nimi. Gdyby próbowała ich przekonywać, że powody napadu miały o wiele bardziej groźne motywy, uznaliby to za histerię z jej strony. Była teraz znacznie spokojniejsza. Policjantka w randze oficera знаła się na swojej robocie, pomogła jej przyjść do siebie i rozproszyła obawy.

- Nie powinna być pani tutaj sama - powiedziała. - Przeszła pani przez bardzo przykre doświadczenie. I jak się zastanowić, to miała pani wiele szczęścia. My już na dziś kończymy, budynek został przeszukany. Jutro przyjedzie zobaczyć się z panią inspektor z wydziału śledczego i zbadamy odciski palców. Nie ma pani jakiejś przyjaciółki, do której mogłaby zadzwonić? Zawieziemy panią, gdzie tylko pani zechce, proszę się nie krępować.

- Nic mi nie jest - odparła stanowczo Julia. Nie zatelefonuje do Bena. Nie może go tak przerazić w środku nocy. I nie będzie w ogóle do nikogo dzwoniła. Lepiej nie nadawać temu wydarzeniu rozgłosu.

- Mogłabym spróbować skontaktować się z przyjacielem - powiedziała. - Właściwie z kolegą, bo właśnie wczoraj wieczorem

byliśmy razem na drinku. Może zgodzi się przyjechać.

- Dobry pomysł. Proszę podać mi numer, połączę panią.

Kiedy zjawił się Feliks, Julia, nieoczekiwanie dla siebie, wybuchnęła płaczem. Przyjechał w ciągu dwudziestu minut. Był potargany i w ogóle rozchełstany. Za ledwie godzinę przed telefonem od Julii odesłał do domu taksówką tę rudą. Po jej wyjściu poszedł się przebrać. Zaraz po tym, jak się przespał... Taki sobie wymyślił słowny żarcik.

Policja już pojechała. Julia siedziała we łzach i usiłowała mu opowiedzieć, co się stało. Braterskim gestem objął ją ramieniem, nie przerywając jej ani słowem, kiedy po raz któryś wracała do tych kilku koszmarnych sekund - widoku mężczyzny z uniesionym ramieniem.

- Miał nóż, jestem tego pewna - szepnęła. - Z pewnością widziałam, że coś trzymał w ręku...

- Powiedziałaś o tym policji?

- Próbowałam, ale zorientowałam się, że oni kładą to na karb mojej wyobraźni. Och, Boże, to było straszliwe... A co gorsza, nie mogę znaleźć Kici!

- To akurat - rzekł Feliks - twoje najmniejsze zmartwienie. Pewnie śmiertelnie przestraszona gdzieś się schowała. Czy naprawdę uważasz, że on chciał cię zabić?

- Tak - odpowiedziała w zamyśleniu. - Jestem pewna. To nie był włamywacz. Wszystko to zaplanował, odczekał do północy, wołał „Pożar!”, żeby wpadła w panikę i otworzyła drzwi. To się powtarza, tak jak z Jean Adams. - Zadrzała. - To mógł być ten sam człowiek...

- Słuchaj - rzekł. - Daj sobie z tym spokój na tę noc. Masz pigułki na sen? Nie? OK. Więc idź do łóżka i spróbuj zasnąć. Ja się położę tu na sofie, a jutro zaraz z samego rana zatelefonujemy do Harrisa. Według mnie on będzie chciał, żebyś się stąd wyprowadziła. Mogłaś być zamieszkać u mnie, ale tam nie ma miejsca. To tylko kawalerka.

Julia podniosła na niego wzrok.

- Dzięki - powiedziała. - Dziękuję, że przyjechałeś. Nie wiedziałam, co mam robić, do kogo się zwrócić...

- Nie ma sprawy - uśmiechnął się. - A kiedy miałby się przydać były przyjaciel, jak nie w takiej sytuacji, przecież o mało cię nie zamordowano. No, a teraz do łóżka. I nie martw się o kotkę, to typowa niemądra kobieta, jutro się znajdzie.

Jego Patricka nie zdołano odszukać. Jego biuro było zamknięte, a luksusowe mieszkanie puste. Nikt go nie widział od mniej więcej dwóch tygodni. Nikt nie wiedział, gdzie się podziewa. Policja zasię-

gała informacji u podejrzanych typów z półświatka, z którymi kiedyś miał styczność. Puszczono w obieg wiadomość, że za znalezienie Joego Patricka zostanie wypłacona pieniężna nagroda. Nie wydano żadnego oficjalnego komunikatu; sprawa zabójstwa Jean Adams była nadal nie rozwiązana i szybko przestała budzić zainteresowanie. Morderstwo, nawet tak okrutne, było zjawiskiem zbyt powszednim. W okresie przedświątecznym na pierwszych stronach popularnej prasy i ekranach telewizyjnych ukazała się wiadomość o porwaniu dziecka. Poszukiwania Joego Patricka prowadzono po cichu, w obawie, żeby go nie spłoszyć. Tina i Tracey mieszkały w bezpiecznym miejscu pod stałą ochroną policji. Jak dotąd nikt się nie zgłosił z żadną informacją.

- Nigdy sobie tego nie wybaczę - powtarzał Ben Harris. - Nie powinienem był zostawiać cię samej.

- Kochany, nie bądź głuptasem, nie pozwoliłabym ci wrócić do domu. Musiałeś opiekować się Lucy... Przeżyłam po prostu wstrząs. Teraz już wszystko jest w porządku.

- Nie, nie jest - rzekł. - Wyglądasz jak cień. Pakujemy się. Zamieszkamy razem z Lucy w hotelu. Koniec dyskusji. Poza tym, to mieszkanie należy do tego drania, Westerna. Niech je sobie weźmie z powrotem. Telefonowałem do biura. Jutro wraca. Zamówiłem się do niego na rozmowę. Nie będzie mu się podobało to, co mam mu do powiedzenia.

Nie mogła opierać się jego serdecznej troskliwości. To nie był czas na sprzeczkę. On się tak bardzo zdenerwował tym, co się jej przydarzyło. Czuł się winny, że go przy niej nie było. Nawet na moment nie przejął się wiadomością o zwolnieniu z pracy. Myślał tylko o niej. Wiedziała, że będzie nalegał, aby zrezygnowała. Żeby publicznie ogłosiła o wycofaniu się z kampanii przeciwko Haroldowi Kingowi. Żeby zesza z linii ognia. A ona, choć omal nie utraciła życia, nie zamierzała tego zrobić. Ale nie mogła mu o tym powiedzieć. Jeszcze nie teraz. Taktownie zmieniła temat.

- Dzięki Bogu znaleźliśmy Kicię. Wiesz, kochany, tak strasznie się martwiłam, że może zginąć.

Następnego dnia natrafiono na nią w składziku na miotły dozorczy, gdzie przycupnęła za odkurzaczem i przyborami do czyszczenia. Nie wiadomo, jak się tam dostała, prawdopodobnie musiała się wyślizgnąć z domu, kiedy w czasie policyjnych poszukiwań drzwi były otwarte.

- Ona uratowała ci życie - powiedział Ben. - To mnie jeszcze bar-

dziej przygnębia.

Nie, zdecydowała Julia - teraz role się odmięły i ona dla odmiany usiłowała podnieść go na duchu. To nie był właściwy moment na roztrząsanie sprawy Harolda Kinga. Postanowiła już, co ma zrobić i musi zrobić to sama. Później się będzie tłumaczyć przed Benem Harrisem i przekonywać go, że nie miała wyboru.

- To fatalna historia, Harry. Naprawdę fatalna. On do tej pory nigdy nie zawiódł. Bardzo mi przykro - usprawiedliwiał się Mario. Zatelefonował do wiejskiej rezydencji Kinga w czasie weekendu, kilka dni po jego powrocie do Anglii ze Stanów.

- Takie rzeczy się zdarzają - powiedział King zdawkowo. - Mogę to zrozumieć.

- Ale ja nie mogę! - Głos rozmówcy był gniewny. - Po prostu w to nie uwierzyłem. Wysłałem człowieka, żeby ustalił, czy to prawda. I potwierdził. Kot go zaatakował; facet dopiero co wyszedł ze szpitala. Taak, zakażenie krwi. Niewiarygodne, co? Nigdy nie trzymaj kota... - Po chwili dodał. - Jeżeli chcesz, możemy wysłać jeszcze innego specja, żeby się zorientował w tym problemie i zastanowił nad zasadniczym rozwiązaniem.

- Nie ma potrzeby - rzekł King. - Problem sam się rozwiązał. Ale dzięki za propozycję. Wobec tego twój spec nie otrzymuje należności. - To nie było pytanie.

- Płacimy za rezultat - padła odpowiedź. - Żadnej zapłaty. Jak tam rodzina? Już wszystko przygotowane na święta? U nas jest moja teściowa, siostra z dziećmi, wujek i ich dzieci. Ale to Boże Narodzenie. Dobrze być wtedy razem z całą rodziną. A ty?

- Wyjeżdżamy do Szwajcarii, do mojego domu w Gstaad. Tylko Marilyn, Gloria i ja.

I Leo Derwent, pomyślał, lecz tego nie powiedział. Gloria zamówiła dla niego pokoje w hotelu Regent. Nie zdziwiłby się, gdyby też za nie zapłaciła. Ministra stanu nie byłoby stać na spędzenie tygodnia w takim hotelu w okresie świątecznym. Gdyby nawet udało mu się znaleźć miejsce na poddaszu. Nazwisko Kinga zapewniało tam wolny apartament nawet w tym sezonie.

- Jeździsz na nartach? - Mario stał się rozmowny. King zdawał sobie sprawę, jak bardzo jego rozmówca był zakłopotany tym nieudanym przedsięwzięciem z Julią. Teraz to nie miało znaczenia. Wiadomość o jej odejściu z redakcji „Sunday Herald” była w każdej gazecie, nawet wspomniano o tym w serwisie BBC i w wiadomościach ITV. Western wylał z pracy także Harrisa. To miało wyglądać

na przyjacielskie rozstanie, Western nie szczędził wielu obłudnych klitów bajduś, jak to on żałuje, że traci taką utalentowaną, młodą dziennikarkę. „Pod światło” będzie redagowane przez nową gwiazdę z jego dziennikarskiej stajni... W grudniowym wydaniu zostanie ujawniony pewien skandal na skalę krajową, itd., itd. Westernowi nerwy odmówiły posłuszeństwa. I Harold King był tego świadomy. Hamilton pojechała na Jersey w poszukiwaniu czegoś, co miałoby obciążyć Kinga, a wróciła z ciekawą opowieścią Richarda Watsona o sierżancie Williamie Westernie. I z niczym więcej.

Odpowiedział na pytanie o narty.

- Ja nie. Kiedyś dobrze jeździłem, ale miałem wypadek i to mi wystarczyło. Nie mam czasu na leżenie ze złamaną nogą. - Roześmiał się. - Podobnie jak ty, jestem zapracowanym człowiekiem. Wesołych świąt. Przekaż moje życzenia rodzinie.

Odłożył słuchawkę. Był zimny, szary dzień. Publikacja z nowego cyklu w „Sunday Heraldzie” ma się ukazać w tę sobotę. Niczego się nie obawiał. Hamilton dostanie inną pracę, ale nie mogłaby zabrać ze sobą żadnego tematu, nad którym poprzednio pracowała. Kiedy on już utopi Westerna, wywrze niewielki nacisk na jej nowego pracodawcę. Nie utrzyma się w żadnej pracy na dłużej. Najwyżej będzie mogła napisać nową książkę... o ile znajdzie wydawcę, który zechce mieć wroga w osobie Harolda Kinga. Zachichotał.

Podszedł do okna i popatrzył na szary krajobraz, bezlistne drzewa i mgłę unoszącą się nad połyskującego z dala jeziora. Wszystko było posępne, przygnębiające. Pomyślał o Szwajcarii - biały, chrześzczący pod nogami śnieg, słońce i barwny tłum narciarzy. Górskie powietrze, szczyty majestatycznych Alp tonące w chmurach... sceneria przemawiająca do niego przez wzgląd na pochodzenie. Nigdy już nie pojedzie do Niemiec. Szwajcaria była jedynym miejscem, gdzie mógł pojechać, położonym najbliżej ziemi, skąd brały się jego korzenie. Nie, on nie miał korzeni, sam się upomniał zirytowany tym przytłumieniem nostalgii. Nostalgia jest dobra dla starca. On miał jeszcze wiele lat przed sobą.

Wrócił myślą do córki i jej zaślepienia. Pozwoli jeszcze na to chwilowo. Nie mógłby spłacić Leo Derwenta pieniędzmi. Ceną Leo było ministerstwo. Niedługo, gdy jego władza będzie dostatecznie potężna, on mu to załatwi. Pod warunkiem, że Leo zrezygnuje z Glorii. Ona go przerasta. Powinna się związać z kimś lepszym, z człowiekiem, który zasługiwałby na taką żonę.

Był zadowolony, niemal szczęśliwy. Odwrócił się od grudniowego, ponurego pejzażu angielskiego. Pojadą do Gstaad wcześniej,

postanowił nagle. Marilyn może wydawać pieniądze na świąteczne zakupy równie dobrze tam, jak w Londynie.

- Williamie - odezwała się żona. - Nie odniesiesz zwycięstwa w tej batalii.

Nigdy by się nie spodziewał, że ona coś takiego powie. Zawsze, kiedy się zdarzało, że podupadał na duchu, Evelyn wspierała go swą odwagą. Wyszli na spacer w zimne, wilgotne popołudnie, opatuleni w tweedy i ciepłe szaliki, starsi państwo odważnie stawiający czoło fatalnej pogodzie, żeby zażyć ruchu na świeżym powietrzu w należą-cym do ich rezydencji parku. Przed nimi biegły dwa złote labradory. Western nie lubił psów, ale stanowiły one część wyposażenia angielskiego dżentelmena mieszkającego na wsi, jak strzelby myśliwskie i zarządca majątku. Evelyn je rozpieściła i nie nadawały się do polowań. Nie przejmował się tym. Polowania go nie bawiły, urządzał je tylko po to, by zrobić wrażenie na gościach.

- Mogę próbować - rzekł. - Mam dużo pieniędzy. Mogę mu się oprzeć.

- Nie potrafisz walczyć jego metodami - stwierdziła. - Rozpuszczanie fałszywych pogłosek, wykupywanie udziałów, przekupywanie dziennikarzy z finansowych gazet. Nie uda ci się wygrać bez pomocy Julii Hamilton.

- Z nią nie uda mi się wygrać - odpowiedział. - Po tym, co się stało w jej mieszkaniu, muszę zgodzić się na publiczne oświadczenie, którego żąda Harris, i zapłacenie dużego odszkodowania za natychmiastowe zwolnienie z pracy. To mógł być włamywacz, ale również mogło być coś innego. Harris jest przekonany, że został nasłany płatny morderca. Jak na Jean Adams. Sytuacja nie jest dobra, Evie. Usiłowałem ujawnić, kim naprawdę jest Harold King, bo kim jest, to wiemy. Oszustem i prawdopodobnie mordercą. Ale mi się nie udało, więc teraz mogę tylko walczyć z nim jawnie i liczyć na szczęście. Robi się bardzo zimno. Chyba powinniśmy wracać do domu.

Zawrócili, przywołując psy, które posłusznie do nich przybiegły. Szli w milczeniu, dopiero gdy znaleźli się w pobliżu domu, odezwała się Evelyn.

- To, co mówiła Julia, nie było prawdą? Odpowiedz mi, Billy.

Nie był przygotowany na takie pytanie.

- Jaką prawdą? Co masz na myśli?

- Że ci żołnierze zostali zamordowani. Tak nie było? Znaleźli się pod ostrzałem?

Zatrzymał się i obrócił ku niej. Pasma siwych włosów wysunęło

się jej spod kapelusza i muskało policzek. Ten widok przepelnił go czułością. Była tak piękna, że często zapominał, ile naprawdę ma lat.

- Nigdy cię nie okłamałem, Evie. Nigdy.

- Wiem - powiedziała łagodnym głosem. - Nie powinnam była pytać. Przepraszam.

Wziął ją pod rękę i poprowadził w stronę domu.

- Wypijemy sobie herbatkę przy kominku. Spędzimy miły wieczór, tylko my we dwoje.

Chyba nie zwróciła uwagi, że nie odpowiedział na jej pytanie. Miał taką nadzieję.

- Kiedy pan wyjeżdża? - spytała Julia.

- We wtorek po świętach - odparł Leo. - Ona chce, żebym został dziesięć dni. To ma być od niej prezent na Boże Narodzenie. - Zauważył, że Julia schudła i była bardzo blada. - Zdaje sobie pani sprawę z tego, że to szalony pomysł?

- Nie musi pan tego robić - powiedziała. - Jeżeli pan chce flirtować z jego córką i pozwolić mu dalej próbować pana niszczyć, to zależy od pana.

- Nigdy nie zapominam o podłości.

- A o przysłudze?

Spojrzał na nią bacznie.

- Przekonywałam Westerna, żeby nie dawał do publikacji tych materiałów - przypomniała mu. - Nie oczekuję, że pan okaże wdzięczność, Leo. To chyba nie w pana stylu. Ale teraz ma pan jedyną szansę zrewanżować się Kingowi. Niech pan nie myśli, że on pozwoli panu na znajomość z córką; znajdzie sposób, aby i z tym skończyć. To rzeczywiście będzie hazard, ale jeśli się uda, to jemu pozostanie tylko Old Bailey.

- W przeciwnym razie - zastanawiał się - niczego nie tracimy.

Nie, tylko my z Benem pracę, a ja niemalże życie... Nie powiedziała tego, nikomu nie mówiła o tym straszliwym incydencie. Spytała tylko:

- Decyduje się pan?

Bawił się dewizką zegarka.

- Tak - odparł. - Zabiorę się do tego. Jak się będę mógł z panią porozumieć?

- Mniej więcej za dwie godziny wyjeżdżam do rodziców. Zostaję tam na święta. Zatelefonuję do pana do hotelu Regent, kiedy już się pan tam zjawi.

- Wesołych świąt - powiedział.

- Dzięki, nawzajem.

Julia zaparkowała samochód przy parkometrze. Kontroler parkingu krążył nie opodal w nadziei przyłapania robiących zakupy na przekroczeniu limitu. Julia sprawdziła godzinę. Razem z Benem i Lucy po południu wyjeżdżali do Surrey. Z kotką w koszyku.

Zachowała wszelkie pozory, kupiła dla każdego prezenty, opakowała je, ozdobnie związała i ułożyła cały stos w bagażniku samochodu. Żal jej było Lucy; ciągle przygaszona, a wobec Julii nieśmiała, trochę za bardzo kurczowo trzymała się Bena. Wiedziała tylko to, że do ich mieszkania ktoś usiłował się włamać i z tego powodu przeprowadzili się do hotelu. A na święta jadą do rodziców Julii. Nie wyrażała ochoty powrotu do domu i spędzenia świąt z matką i ojczymem. Któregoś dnia zeszła na śniadanie z zaczerwienionymi oczami, wyraźnie przybita.

Julia starała się do niej zbliżyć, lecz spotkała się z rezerwą, której nie potrafiła przełamać. Tłumaczyła sobie, że Lucy nadal nosi w sercu żalobę po swym utraconym dziecku, że dopiero usiłuje przyjść do siebie pod względem fizycznym i emocjonalnym. Julia jej współczuła i podchodziła do tej kwestii racjonalnie. Bywały jednak chwile, kiedy czuła się odtrącona.

Ben był opiekuńczy, obdzielając swą troską obie potrzebujące go kobiety. Zapłacił za ich pobyt w hotelu i kiedy Julia zaproponowała swój udział, zdumiał ją manifestacją męskiej dumy.

W drodze do Surrey kotka zaczęła głośno protestować miauczeniem przeciwko zamknięciu jej w koszyku i w końcu Lucy wzięła ją na kolana.

- Jest taka puszysta - powiedziała. - Żałuję, że nie mam kota.

Ben zareagował natychmiast.

- Znajdę ci jakiegoś. Koty, w odróżnieniu od psów, są w mieszkaniach całkiem szczęśliwe. Jutro poszukamy.

Później, gdy oboje z Julią po kolacji zmywali naczynia w kuchni, powiedział:

- To dobry pomysł. Ona potrzebuje istoty, którą by się mogła opiekować. Biedne dziecko. Byłaś cudowna, kochanie. Ona wyraża się o tobie z ogromnym uznaniem... A twoi rodzice tak nas serdecznie przyjęli. - Przyciągnął Julię do siebie i pocałował. - Panno Jot, tak bardzo cię kocham. Tak bym chciał, żebyśmy już to wszystko zostawili za sobą, żebyśmy rozpoczęli nowe życie. Cieszę się, że wreszcie wydostaliśmy się z tego całego cholernego paskudztwa. Tutaj, ta normalna rodzina uświadomiła mi, o co chodzi w życiu. Idź do nich, pooglądaj telewizję. Ja sam skończę.

- Wolę być z tobą - powiedziała. - Kochany, ściereczka wpadła ci do zlewozmywaka... Pozwól, ja to zrobię. Ja też cię kocham, ale ty nie jesteś typem domatora...

- Mógłbym być - zaproponował. - Nowy Ben Harris. Czy podobałbym ci się w roli mężczyzny New Age, zajmującego się pracami domowymi?

Roześmiała się.

- Nie. Nawet nie chcę o tym słyszeć. Wolę stary model. Zręczącego, upartego jak muł i najlepszego redaktora pod słońcem.

Zajęli wspólnie duży, gościnny pokój. Kochali się tej nocy. Gdy odpoczywali objęci ramionami, Ben nagle zapytał:

- Panno Jot, wyjdiesz za mnie za męża?

Spojrzała na niego.

- Chcesz się ożenić? Nie musimy.

- Wiem - odparł. - Ale to by cię powstrzymało od chodzenia na drinki z Feliksem. Nie mogę tego znieść, wiesz sama. Wszystko się we mnie gotuje na myśl, że ty jesteś z kimś innym. Nawet z nim. Wtedy sobie uświadamiam, że pragnę trwałego związku. Ja jestem gotowy, nie popełnię takiego błędu jak poprzednio. Co ty na to?

Julia nie odpowiedziała, tylko na moment mocniej go przytuliła. To nie była właściwa chwila. Nie mogła mu dać odpowiedzi, a następnie przystąpić do wykonania swego planu. Za dwa dni Boże Narodzenie. Dom był świątecznie ustrojony, stała choinka, a pod nią leżały prezenty. Nawet dla Kici było kilka paczuszek. Rodzice byli tacy szczęśliwi, chcieli im dać wszystko, co możliwe. Brat z żoną i dziećmi przyjadą w drugi dzień świąt. Wszystko zostało zaplanowane, prawdziwa idylla. Atmosfera sprzyjająca gojeniu ran Lucy. Zgromadzenie rodzinne obchodzące rodzinne święta. Bardzo żałowała, że nie poczekał ze swą propozycją, aż będzie po wszystkim.

Dotknął ją z czułością.

- I co ty na to? Przyjmujesz moje oświadczenie?

- Ben - zaczęła tkliwym głosem. - Dopiero co się kochaliśmy i pragnęłabym ci powiedzieć „tak” i tego nie rozważać... ale to nie byłoby w porządku ani wobec ciebie, ani wobec mnie. Dasz mi trochę czasu?

- Ile chcesz - odrzekł. - Nie mam zamiaru nikogo innego prosić o rękę. Dobranoc, kochana.

Zasnął głębokim snem. W odróżnieniu od Julii. Jeszcze nie spała, kiedy świt zaczął się wkradać przez szczeliny w zasłonach. W jej portfelu leżał bilet lotniczy. Z datą 28 grudnia, linie szwajcarskie, odlot z lotniska Gatwick o jedenastej rano.

Joe Patrick był w Dublinie. Stracił swą synekurę u Harolda Kinga, lecz miał mnóstwo dobrze ulokowanych pieniędzy i żadnych długów, poza jednym, u bukmachera. A i ten był niewielki. Postanowił zająć się innego rodzaju interesami. Kierował już własnymi prostytutkami, wymuszał ochronę, załatwił osobiście parę brzydkich spraw, jak z tym starym pudłem w Midhurst, podróżował w celu rozwiązywania kłopotów Kinga po Stanach i Karaibach. Miał do czynienia z narkotykami. Umiał robić pieniądze i kochał je. A w tym nowym interesie pieniądze nie będą mniejsze niż te, które mógł zarobić u Kinga.

W swym rodzinnym mieście ostrożnie badał grunt, napomykał tylko znanym mu sympatykom IRA o swych możliwościach. Założył przynętę i ryba połknęła haczyk.

IRA mogłoby wykorzystać w Londynie człowieka działającego pod płaszczykiem legalności, który eksportował wyroby skórzane do Europy. Wypralby pieniądze przeznaczone dla ośrodków w Amsterdamie i Brugii, gdzie mieli swe jednostki bojowe, których zadaniem było atakowanie personelu wojskowego w Niemczech i bazach NATO. Dzięki znajomościom w świecie przestępczym w Londynie można było pomóc w znalezieniu bezpiecznych pomieszczeń dla bojowników i zorganizować obserwację celów. Joe Patrick miał wiele do zaoferowania, a ponieważ był człowiekiem zamożnym, nie obawiał się, że zbiednieje. Zawarł odpowiedni układ z człowiekiem w Dublinie, którego nazwiska nie znał i o które nie pytał. Wracał do domu z zadatkiem w gotówce w kieszeni.

Jego domem teraz był Londyn. Uznał Irlandię za zbyt prowincjonalną, a tamtejsze gangsterskie towarzystwo za szmatławę. Lubił życie wśród wyższych sfer. Nienawidził Bożego Narodzenia. Przypominało mu uroczystości w sierocińcu, niezmiennie ponure przez te wszystkie lata.

Wrócił do swego eleganckiego mieszkania. Nie było dziewczyn, które by go powitały i zmyły z niego kurz wędrowca w jacuzzi. Znajdzie inne. Leżała jakaś korespondencja... kilka rachunków... świąteczne karty. Wyrzucił je. Wziął prysznic, przebrał się i pierwsze kroki skierował do ulubionego pubu. Jeśli tam znajdzie jakieś dziewczyny, które mu się spodobają, zabierze je do ulubionej restauracji w Soho, a potem do domu. Nigdy nie chodził do miejsc, gdzie przyjmowały prostytutki. Miał pewne wymagania - czyste prześcieradła i w ogóle higiena.

Popił trochę tego wieczoru i kiedy się rano obudził, musiał dziew-

czynę wyrzucać siłą... Zwykle odsyłał je do domu taksówką bez względu na porę nocy, doliczając do kosztu usługi cenę przejazdu. Ale był w dobrym nastroju. Zabawił się, kumple przyjęły go z powrotem do swego grona, skorzy do wyświadczenia mu przysług. Bóg nigdy nie zatrzaskuje jednych drzwi, jeżeli nie odmyka drugich. Zaśmiał się. Pomyślał, że życie jest piękne... Był pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia i z tej okazji kupił sobie prezent. Ze szklanką szkockiej w ręce oglądał właśnie serial o trzech dziewczynach zajmujących wspólnie mieszkanie, kiedy odezwał się dzwonek przy drzwiach. Joe nikogo nie oczekiwał. Wyciszył głos i poszedł do holu. Ze względów bezpieczeństwa miał zainstalowany monitor. Na ekranie zobaczył dwóch mężczyzn. Dzwonek zabrzmiał ponownie, po czym rozległo się głośne pukanie.

- Panie Patrick! Otwierać! Policja!

- Uroczę były te święta - powiedziała May Hamilton do męża z promiennym uśmiechem. - Wszystko doskonale się udało, a ile było zabawy, jak dzieci otwierały prezenty... Patsy powiedziała: „Babciu, to jakby Boże Narodzenie było dwa razy!”

- Rzeczywiście - potwierdził Hugh. - Ta malutka jest kochana. A zauważyłaś, że Julia i Tom ani razu się nie pokłócili?

- Bo ona jest taka szczęśliwa - odparła żona. - Ben to bardzo miły człowiek i ogromnie w niej zakochany... A to biedne dziecko, Lucy... Z jakim przejęciem zajmowała się kociakiem. Wzruszający widok.

- To było sprytnie posunięcie - zgodził się Hugh. - Jest młoda, przeboleje. W każdym razie wszystko wypadło znakomicie. Dzięki tobie, kochanie. Ciężko pracowałaś, żeby wszyscy spędzili ten czas pogodnie. Dziękuję. - Ucisnął jej rękę.

Hugh zawahał się, lecz jedynie na moment, gdyż nigdy swych przemyśleń w ważnych kwestiach nie ukrywał przed żoną.

- Może to tylko moja wybujała wyobraźnia - rzekł - ale czułem, że Julia jest jakaś nieswoja. Bardzo się starała niczego po sobie nie pokazywać, jednak robiła wrażenie takiej napiętej... nie była całkiem sobą...

May pokiwała głową.

- Też coś takiego zauważyłam - przyznała. - Również myślałam, że mi się zdaje, ale skoro ty także spostrzegłeś, to chyba ona rzeczywiście nie była odprężona. Zastanawiam się, czy nie czas, żeby ta dziewczyna wróciła do domu, do swojej matki?

- Myślisz, że Julia jest zazdrosna?

- Sądzę, że one obie są trochę o siebie zazdrosne, tylko nie mogą

się do tego przyznać. Ben oczywiście tego nie widzi, mężczyźni nigdy nie zauważają takich rzeczy.

- A po co by mieli zauważać. Pragną jedynie spokojnego życia i żeby wszyscy byli ze sobą w przyjaźni.

- Pewno masz rację. A jej chyba to nie wychodzi... Zdaje się, że Ben i Lucy nadchodzą. Zaraz przygotuję lunch.

- O której Julia ma wrócić? - zapytał.

- Około piątej. Poszła kupić buty i do fryzjera. O, Ben, jesteście. Udał się spacer? - zwróciła się do niego z uśmiechem. - Niedługo będzie lunch. Z pewnością umieracie z głodu... - Pospieszyła do kuchni. List od Julii Ben znalazł dopiero późnym popołudniem, kiedy poszedł na górę do ich sypialni.

Julia wynajęła pokój w małym pensjonacie na peryferiach Gstaad. Był skromny, lecz utrzymany w pedantycznej czystości. Sypialnię z niewielką ilością mebli można było określić jako funkcjonalną.

- Nie przyjechała pani na narty? - spytała właścicielka, pomagając jej wnieść na górę jedyną torbę podróżną.

- Nie - odparła Julia. - Nie jeżdżę na nartach. Mam tu się spotkać ze znajomym.

Zamknęła drzwi i rozejrzała się po pokoju. Nie wyglądał zbyt przytulnie. Wypakowała rzeczy. To może się zdarzyć w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. Albo za tydzień. Była na to przygotowana. Lot przebiegł spokojnie. Mimo zmęczenia odczuwała zbyt wielkie napięcie, żeby się położyć i odpocząć, więc poszła na spacer. Włożyła ciepły płaszcz i nasunęła na uszy futrzaną czapkę mającą chronić przed mroźnym wiatrem i śnieżną zadymką. Harold King był właścicielem luksusowej willi w najelegantszej, reprezentacyjnej dzielnicy. Hotel Regent znajdował się w pobliżu górskich stoków, ekskluzywny i drogi, miejsce rozrywki bogaczy i pasożytów obu płci, którzy żyli na ich koszt. Myślała o Leo Derwencie i córce Kinga. Gloria była nim tak zafascynowana, że zapłaciła za jego pobyt, byleby mieć go blisko w czasie urlopu. A Harold King prawdopodobnie opracowywał ostatnie szczegóły planu objęcia w posiadanie sieci mediów Westerna. Stanie się wtedy najpotężniejszą osobistością w świecie środków upowszechniania informacji w kraju. Władza była motorem jego życia.

Ona straciła pracę i tym samym podstawę działania przeciw niemu. King wiedział, że jest bezpieczny, skoro Western jej się pozbył. Nie będzie już więcej zawracał sobie głowy nasyłaniem na nią nocnych posłańców uzbrojonych w nóż. Wkrótce King stanie się tak

potężny, że zniszczy ją jako dziennikarkę za pomocą jednego, wypowiedzianego mimochodem słowa. Jej kariera była skończona, zrujnował też życie zawodowe Bena. Przyjechała tu stawić mu czoło i nie czuła strachu. Ryzykowała wszystko w tym ostatnim starciu. Swoją przeszłość, a co najważniejsze, przyszłość z Benem Harrisem. Musiał przeczytać list, który mu zostawiła, wyjaśniający, co zrobiła i dlaczego. Zapewne czytał go właśnie wtedy, gdy po spacerze wstąpiła na kawę, żeby się rozgrzać.

On uzna to za zdradę, zdawała sobie z tego sprawę. Będzie boleśnie zraniony jej podstępem i bardzo zły. Był człowiekiem, który potrafił długo się gniewać, zwłaszcza gdy sam nie miał całkowitej pewności co do swoich racji. Mógłby jej nigdy nie wybaczyć, bez względu na wyniki jej przedsięwzięcia. Tego się bała, nie Kinga.

Siedziała w kawiarni jakiś czas, aż zapaliły się uliczne światła, miasto zaczęło pulsować rytmem muzyki disco, a hurmy złotej młodości oraz ulubieńców gazetowych rubryk towarzyskich szykowały się do zabawy po dniu spędzonym na nartach. Julia stołowała się w pensjonacie; jedzenie było ciężkostrawne i zbyt kaloryczne. To otoczenie ją przygnębiało. Zatelefonowała do hotelu i zostawiła wiadomość dla Leo. Już wiedział, jak się z nią skontaktować. Jednak, mimo że czekała prawie do północy, telefon nie zadzwonił.

Odezwał się rano, kiedy jadła śniadanie. Oprócz niej w pensjonacie mieszkały jeszcze dwie pary i jakaś pani dobrze w średnim wieku, która wychodziła na narty, zanim reszta zeszła na dół. Niemieckie małżeństwo, zapaleni narciarze, przestali się interesować Julią, gdy się okazało, że nie jest entuzjastką białego szaleństwa, zaś młody Francuz i jego dziewczyna albo się kłócili, albo czulili, nie zwracając na nikogo uwagi. Julia popędziła z jadalni do holu.

- Przekazano mi wiadomość od pani - odezwał się Leo nosowym głosem. Kiedy rozmawiał przez telefon, tracił nieco swój akcent rodem z Cambridge i Oksfordu razem wziętych. - Mam zamiar spróbować i załatwić to jutro. Dzisiaj byłem z nimi na lunchu.

- Myśli pan, że on da się podejść?

Usłyszała chichot.

- Tak, jeśli poprosi go o to jego złota dziewczynka, a ona zrobi wszystko, co jej powiem. Ona uwielbia być taką uległą.

- Kiedy pan będzie wiedział? - przerwała mu.

- Proszę dać mi czas do wieczora. Jeszcze dzisiaj się z nią spotkam, potem może wrócić do domu i nad tym popracować. Jestem przekonany, że on się zgodzi. A wtedy sprawdzimy naszą teorię eksperymentalnie. - Zniżył nieco głos. - A co zrobimy, jak on wpadnie

w furie?

- Jestem pewna, że pan sobie z nim poradzi. W końcu jest pan przecież mężczyzną. Więc kiedy pan będzie wiedział?

- Wieczorem. Oni wszyscy wybierają się gdzieś na kolację, nie zostałem zaproszony. Przyjdę do pani.

- Dobrze - zgodziła się Julia. - Czekam na pana. - Odłożyła słuchawkę. Nie cierpiała go, lecz musiała mu zaufać. Nie liczyła ani na jego lojalność, ani na poczucie wdzięczności, jedynie na urazę do Kinga i pragnienie odwetu. Niezależnie od tego, co do niego czuła, on był jej jedynym sprzymierzeńcem.

Gloria poszła na narty. Marilyn z nich zrezygnowała, gdyż postanowiła w tym czasie odwiedzić salon piękności i poddać się wszystkim możliwym zabiegom. Wróciła przed lunchem bardzo zadowolona z efektu. Nie wyglądała na więcej jak na trzydzieści osiem lat... no, może na czterdzieści, i postanowiła być miłą dla męża. Podarował jej zestaw przyborów podróżnych z krokodylej skóry i kilka kompletów bielizny Janet Reger, wręcz zachwycających.

Pracował jak zwykle i gdy weszła do pokoju, powitał ją niewyraźnym pomrukiem. Pocałowała go.

- Ładnie pachniesz - zauważył.

- Powinnam, sto osiemdziesiąt franków za uncję - zachichotała cicho. - Byłam bardzo niegrzeczna. Przesiedziałam całe przedpołudnie w gabinecie kosmetycznym. Dobrze wyglądam? - Cofnęła się o krok i upozowała przed nim z ręką na biodrze. Była piękna. King skinął głową. Napawał się dumą, gdy nawet królujące w uzdrowisku zachwycające kobiety wybałuszały na nią oczy. Nie mówiąc już o ich mężach. Ale nie wzbudzała w nim podniecenia. Patrzył na nią z przyjemnością jak na figurkę z saskiej porcelany.

- Bardzo ładnie - odrzekł. - Ten gnojek Leo zaprosił mnie dzisiaj na wieczór.

- Oo? - Marilyn była powściągliwa w komentowaniu tej nowiny. Wiedziała, jak bardzo mąż nienawidzi kochanka córki. A że był jej kochankiem, to nie ulegało wątpliwości. W jego obecności Gloria emanowała taką zmysłowością, że Marilyn wprost nie mogła na to patrzeć. Leo rozgrywał swą partię bardzo inteligentnie. Obojętny wobec Kinga, czarujący dla niej, nadskakujący Glorii. Marilyn nie udawała, że jest inteligentna. To, do czego doszła, osiągnęła bez inteligencji, lecz dobrze znała się na ludziach. Leo Derwent grał w tej grze o dużą stawkę. A Harold King o tym wiedział.

- Nie zaprosił nas obojga? To zadziwiające. Tyle razy go

gościliśmy. Byłby czas na rewanż. - Usiadła i założywszy swe zgrabne nogi jedna na drugą, zaczęła kołysać stopą. Zwyczaj, którego nie znosił.

- Na miłość boską, przestań - burknął opryskliwie. - Mówiłem ci, on chce się ze mną spotkać. Telefonował, kiedy Gloria była w domu. - Zachmurzył się. - Molestowała mnie, żebym poszedł.

- I ostatecznie się zgodziłeś - odpowiedziała. - Zawsze tak się kończy. Wiesz, że ona jest w nim zakochana do szaleństwa. - Nie mogła sobie odmówić tej drobnej złośliwości.

- Nie wie, co robi - popatrzył na nią groźnie. - To jej pierwszy mężczyzna... czego się spodziewałaś?

- No i co on powiedział? Mówił, dlaczego chce się z tobą zobaczyć?

- Twierdził, że pragnie ze mną coś przedyskutować. Proponowałem, żeby on tu przyszedł, ale nie chciał. A Gloria stała koło mnie i powtarzała: „Och, tatusiu, proszę; tatusiu, zgódź się, on tak bardzo chce z tobą porozmawiać”. Więc powiedziałem, dobrze, pójdę. Jeśli on sądzi, że może się o moją córkę oświadczyć, to cholera, niech lepiej to jeszcze raz przemyśli.

Żona popatrzyła na niego uważnie. On był zazdrosny o Leo Derwenta. Nie mógł znieść myśli, że jego córka mogłaby zamieszkać z kimkolwiek. Osobiście nie bardzo sobie wyobrażała, że ktoś mógłby się na to zdecydować, wziąć sobie za żonę taką potężnie zbudowaną kobietę, taką okrutną, niezgrabną, o męskim sposobie bycia. Śliniąc się na widok tego godnego pogardy, przebiegłego człowieka, jak usychające z nie odwzajemnionej miłości dziewczę.

Powiedziała łagodnym tonem:

- Nie bądź dla nich zbyt surowy. Mogłbyś przez to stracić Glorię. Jeżeli ona go naprawdę kocha, nigdy by ci nie wybaczyła, gdybyś go wypłoszył.

King popatrzył na nią z pogardą. Rozumiał, jakimi motywami się kierowała; matczyzna troska nie była jednym z nich.

- Masz mnie za idiotę? Nie zamierzam być surowy. Nie chcę zrazić do siebie własnej córki. Ja go przekupię. I on da się przekupić.

- Pójdę powiedzieć Monique, że może podać lunch - oznajmiła. Kiedy nie mógł już jej usłyszeć, zaklęła pod nosem, co jej się rzadko zdarzało. Była rozczarowana.

- Nic nie rozumiem - rzekł Hugh Hamilton. - Co to znaczy wyjechała?

Sytuacja była kłopotliwa, a stała się wręcz przykra, gdy matka Julii

wybuchnęła płaczem. Ben zszedł na dół z listem w ręce i rzekł bez ogródek:

- Nie musicie czekać na Julię z kolacją. Ani w ogóle. Wyjechała do Szwajcarii. - Rozdarty między gniewem i bólem, nie był w stanie wysilać się na towarzyskie subtelności. Oszukała ich wszystkich, zaplanowała to sobie już dawno i po prostu wyjechała. Okłamała rodziców, a jemu zostawiła ten list. Nie rozczuliła go zapewnieniami o miłości. Prośbę o zrozumienie, dlaczego musiała wyjechać w sekrecie przed nim, też z miejsca odrzucił...

Próbowałbyś mnie zatrzymać albo chciałbyś mi towarzyszyć, a ja nie mogłabym ustąpić. I tak musiałam uzbroić się w całą swoją odwagę...

Odwaga. Gniew go porwał, gdy przeczytał te słowa. To upór, szaleńcza nieroztropność. A nade wszystko całkowite pomylenie priorytetów. Nieważna była rodzina, on był nieważny. Musiała rozpracowywać to dalej, nie chciała dać za wygraną...

Widok May Hamilton we łzach ostudził go. Musiał się usprawiedliwić. Nie było sensu straszyć jej rodziców. To nie byłoby w porządku. Przecież nie wiedzieli, co się wydarzyło w mieszkaniu na Chelsea Green. To nie był odpowiedni moment, żeby im teraz o tym opowiadać.

Więc musiał skłamać. Powiedział, że chodzi o propozycję pewnej pracy. Wiedziała, że on jest temu przeciwny, więc wyjechała nic mu nie mówiąc. Zrobiła mu przykrość, a nawet był zły, lecz nie miał prawa im tego okazywać. Byli bardzo mili dla niego i Lucy. Może byłoby lepiej, gdyby się spakowali i wrócili do Londynu. Hamiltonowie nie chcieli nawet o tym słyszeć. May szybko się pozbierała, zbagatelizowała swą reakcję mówiąc, że jest po prostu starą, głupią kobietą. Zapytała, czy on wie, kiedy Julia wróci. Nie potrafił jej odpowiedzieć.

Nie wiem, jak dużo czasu to zabierze, ale chcę być świadkiem tego do samego końca. Przykro mi, że nie mogłam ci o tym powiedzieć, ale zrobię to po powrocie. Przynajmniej, że mnie wysłuchasz.

- Nie wiem - powiedział. - Nic konkretnego nie napisała. Jeżeli naprawdę uważacie... oczywiście zostaniemy. Pobyt tutaj tak dobrze wpłynął na Lucy. Dziękuję.

Reszta dnia i wieczór upłynęły w napięciu, którego Lucy nie była świadoma, choć wszyscy czynili wysiłki, żeby było miło, właśnie ze względu na nią. Ben przeprosił ich i z ulgą wrócił wcześniej do swego pokoju. Miał ochotę się upić. Ale nie mógł. Chciał być sam, jednak gdy znalazł się w łóżku, gdzie się kochali, a ona nie dała mu odpowie-

dzi na jego propozycję małżeństwa, zupełnie nie mógł zasnąć. Małżeństwo, trwały związek - to nie było dla niej. A on tworzył dla nich świat z fantazji. Nic z marzeń o przytulnym, domowym ognisku z ich własnym dzieckiem zamiast kota... dla niej liczyła się przede wszystkim kariera. I zawsze tak było, choć on nie przyjmował tego do wiadomości. Pojechała na konfrontację z Haroldem Kingiem. To były jej własne słowa, przy czym dodała jeszcze coś, co mu skrzyło żołądek z zazdrości. *Nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Ktoś będzie ze mną.* Ktoś. Nie on. Kto? Kogo mogła poprosić, żeby pojechał z nią w takim celu? Feliks Sutton. To Suttona poprosiła, żeby do niej przyjechał po próbie zamachu na jej życie. Tamtego wieczoru poszła też z nim na drinka. Sutton, były bokser, musiał być tym kimś, kogo zabrała ze sobą. On, Ben, był zbyt ostrożny, zbyt zajęty Lucy... Nie nadawał się do takiej próby sił. Był za stary.

O świcie zszedł po cichu na dół i nalał sobie porcję whisky z kafełki Hugh'a Hamiltona, a następnie wykręcił numer domowy Feliksa Suttona. Oficjalnie ferie świąteczne się skończyły, we wszystkich redakcjach pracowano, choć niekoniecznie sprawozdawcy parlamentarni. Izba Gmin miała świąteczną przerwę. Przełknął łyk trunku i nalał sobie następną miarkę, czekając na odebranie telefonu. Chciało mu się krzyczeć. Odbierz... Odbierz, ty draniu... Nikt nie podnosił słuchawki, nie odezwała się automatyczna sekretarka. Suttona nie było w domu.

Poszedł z powrotem na górę i położył się na łóżku. Wkrótce zasnął. Kiedy się rano obudził, uświadomił sobie, że w tym domu nie mógłby spędzić już ani jednej nocy więcej. Powiedział do Hugh'a:

- Niestety, muszę się przyznać, że ostatniej nocy podkradłem ci szkockiej. Nie mogłem spać. Muszę ci odkupić butelkę.

- Nie mów głupstw. Sam się do niej podkradłem. - Ściszył głos, żeby żona w kuchni nie słyszała. - To wszystko jest trochę denerwujące i rozstroiło May. Przykro mi to mówić, ale Julia zachowała się bardzo egoistycznie. Wydawało się nam, że się zmieniła w ciągu kilku ostatnich miesięcy. Bardzo długo nic jej nie obchodziło poza karierą zawodową, pięła się coraz wyżej. Prawie jej nie widywaliśmy... Jak wróci, mam zamiar powiedzieć jej parę słów prawdy... Jak mogła kłamać i tak sobie wyjechać. To nie w porządku. Szczególnie wobec ciebie. Mam nadzieję, że ta cholerna praca jest tego warta.

- O ile się jej powiedzie - powiedział Ben gorzko. - Nie sądzę, żeby się przejęła twoimi wymówkami. W każdym razie to chyba oznacza koniec naszej wspólnej drogi. Lepiej będzie, jak wrócę do Londynu. Ja też straciłem pracę. Z chwilą gdy wypadasz z zawodu,

ludzie o tobie zapominają. Pójdę na górę do Lucy i przygotuję nas do wyjazdu. Zobaczymy się później.

Kiedy odjechali, Hugh objął żonę ramieniem.

- Był tak dotknięty - powiedziała. - Wyglądał okropnie, jakby w ogóle nie spał. Nie potrafię zrozumieć własnej córki.

- Nie będziemy się starać - odrzekł stanowczo. - Jedno jest według mnie pewne, pożałuje tego. To dobry człowiek i była z nim szczęśliwa. Nie, kochanie, daj sobie spokój z lunchem. Zatelefonuję do Toma, to nas zaproszą do siebie. Spędzimy dzień z wnukami. One nas rozweselą.

- Ale ponuro - zauważył Leo Derwent, rozglądając się po niewielkim pokoju wypoczynkowym, przeznaczonym dla mieszkańców pensjonatu. - Sama pani tu mieszka?

- Nie - odparła Julia. - Są jeszcze dwie pary i jedna samotna pani. Angielka, przez cały dzień jest na nartach i wcześniej chodzi spać; chyba tylko raz rano kłaniałyśmy się sobie. Ale ja tu przecież nie przyjechałam się bawić.

Złościł ją jego protekcyjny ton. Uznała, że to wyraz nerwowego napięcia. Kiedy ona była podminowana, warczała z byle powodu. Ben żartował, że to typowy temperament rudowłosych. Nie miała odwagi myśleć o Benie. Leo poprosił o whisky z wodą sodową, dla siebie wzięła kieliszek wina.

- Nie chciał przyjść do mnie - mówił Leo. - Próbował ściągnąć mnie do siebie. Ale Gloria go namówiła. Myśli, że będę prosił o jej rękę.

Jego szyderczy śmiech zrobił na Julii przykre wrażenie. Spojrzała na niego uważnie.

- Nie oświadczył się jej pan?

- Nie, ale mógłbym. To zależy od rozwoju sytuacji. Pokazała mi, jak przygotować jego ulubiony napój. Sam go sobie przyrządza w domu. Musi być bez zarzutu. - Patrzył na Julię swymi zimnymi, szarymi oczami. - Grenadyna, perrier i świeży sok cytrynowy.

- Nie wyczuje niczego innego? - spytała jakby z ociąganiem.

- Nie - pokręcił przecząco głową. - Sam wypróbowałem. Z alkoholem i bez. On lubi dużo soku cytrynowego, a cytryna jest na tyle esencjonalna, że zabija smak wódki. Przyjdzie około wpół do siódmej. Więc pani niech się zjawi przed siódmą. Będę go zabawiał rozmową i podam mu dwie porcje. On to pije jak wodę. Zauważyłem, jak byłem u nich w ich willi. Muszę przyznać - dodał nagle - że to będzie bardzo interesujące, kiedy pani pojawi się w drzwiach. Nie jest

pani przypadkiem troszkę zdenerwowana?

- Nie, nie jestem zdenerwowana. Ja się potwornie boję - odparła Julia. - I pan także. Przyniosłam magnetofon. Proszę.

Był tak mały, że mieścił się w jej torebce; wąskie, prostokątne pudełko długości nie przekraczającej piętnastu centymetrów.

- To proste. Nastawia go pan i sam głos go uruchamia. Ma zasięg minimum dziesięciu metrów. Proszę go położyć na stole gdzieś na niewidocznym miejscu. Nagrywa do dwóch godzin.

Ważył w rękę urządzenie.

- Bardzo mały.

- Robią o wiele mniejsze - zauważyła Julia. - Ale tamte są mniej czułe i mają mniejszy zasięg. My musimy mieć wyraźne każde słowo.

- Co za obrzydliwy zawód to dziennikarstwo - stwierdził. - Prawie tak jak polityka.

- Cieszę się, że to pan powiedział, nie ja. Będę u pana przed siódmą. Ale co się stanie, jeżeli on przypadkiem tego nie wypije?

- Kiedy pani przyjdzie, zadzwonią do mnie z recepcji - odparł. - Gdyby coś źle poszło, powiem im, że jestem zajęty i że spotkamy się w barze. Proszę się nie martwić, o wszystkim pomyślałem. Niech pani nie zapomina, że i moja głowa leży na pieńku pod toporem.

Julia wstała. Wyciągnęła do niego rękę.

- Warto podjąć to ryzyko. To nikczemny człowiek, Leo. Czas, żeby ktoś położył kres jego wyczynom. Powodzenia.

Uścisk jego dłoni był krótki. I tak samo miękki, jak wtedy, gdy przedstawiał się jej u Williama Westerna lata temu. Gdzieś, w jakimś pudle z aktami, leżał opracowany przez nią, nigdy nie opublikowany jego szkic biograficzny. Ironią losu było, że mieli teraz podjąć razem wspólne działanie.

- Tobie też tego życzę. Obojgu nam będzie potrzebne.

Gdy wychodził, dwójka młodych Francuzów zajrzała do pokoju. Zobaczyli, że siedzi sama, uśmiechnęli się i wycofali.

Pomyślała, że nie chciałyby już więcej spędzić żadnego wieczoru samotnie.

Rozdział 11

- **T**atusiu - powiedziała Gloria - będziesz dla niego miły, prawda?

Harold King był w złym nastroju. Nie miał ochoty opuszczać domu i jechać do hotelu Regent. To mu rozbijało cały wieczór. Spotkanie z Leo Derwentem wisiało nad nim w ciągu dnia jak chmura. Prośby Glorii irytowały go. „Ona jest w nim zakochana do szaleństwa” - powiedziała Marilyn. Teraz tak właśnie się zachowywała i to go doprowadzało do wściekłości. Nie złagodniał nawet wtedy, gdy Gloria uczepiła się jego ramienia i uśmiechnęła do niego.

- To zależy, czego on chce - odparł burkliwie. - Jeżeli mu chodzi po głowie jakiś awans w polityce i sądzi, że będzie mnie mógł wykorzystać... to nie będę miły.

Odwróciła wzrok.

- Jestem pewna, że nic takiego nie ma na myśli - stanęła w jego obronie. - On nigdy nie próbował korzystać z twojej protekcji...

- Bo wiedział, że nic by mu z tego nie przyszło.

Gloria odsunęła się od niego.

- Przypuśćmy, że on chce porozmawiać o mnie.

Przeszył ją gniewnym wzrokiem.

- A dlaczego? O czym?

- O naszym związku - powiedziała. Była bliska łez. Ojciec w taki przykry sposób traktował tylko innych ludzi; ona do tego nie była przyzwyczajona i bardzo ją to zabolowało.

- Stosunki między wami to nie moja sprawa. Kim ty jesteś, na miły Bóg, dzieckiem? Sypiasz z nim i nic mi do tego. Wiesz, co o nim sądzę i nie zmienię zdania. Pójdę i lepiej, żeby się okazało, że to coś ważnego, bo jak nie, to ten gnojek pożałuje.

Gloria powstrzymywała szklące jej oczy łzy. Zaczynała ogarniać

ją złość. Ojciec celowo zachowywał się grubiańsko i nie ułatwiał jej rozmowy. Nie była pewna, dlaczego Leo chciał się z nim zobaczyć w cztery oczy, ale padły przecież pewne aluzje... Pewnego dnia zastanawiał się na głos: „Gdybyś się kiedyś zdecydowała wyjść za mąż, najpierw musiałby się na to zgodzić twój ojciec”.

Dopuszczała do siebie myśl o bardziej trwałym związku niż łączące ich teraz stosunki, polegające na sporadycznych intymnych spotkaniach, wieczorach spędzanych w teatrach i operze oraz dniach, które ich rozdzielały. Kiedy zdarzało się, nader rzadko, gdyż to się ojcu nie podobało, że spędzała z nim całą noc, sprawiało jej radość szykowanie mu śniadania i zaspokajanie jego małych fantazji. Wolała uczucie zniewolenia od poczucia winy.

Matkę zastała na oglądaniu telewizji. King miał anteny satelitarne i mógł odbierać wszystkie stacje. Marilyn uwielbiała kanał Sky. Gloria pomyślała, że matka tak właściwie nie interesowała się jej życiem.

- Ojciec wyszedł? - spytała Marilyn. Podniosła wzrok na córkę. - Wyglądasz na zdenerwowaną, czy coś się stało?

Gloria nigdy nie zwierzała się matce. Nie miała z nią nic wspólnego. Od samego początku nie zgadzały się ze sobą. Ani razu nie powiedziała matce złego słowa na ojca.

- Nie, nic. Czy musimy oglądać takie gówno?

Marilyn była przyzwyczajona do jej ordynarnego słownictwa.

- Ty nie musisz. Jest telewizor w bibliotece i inne, w całym domu. A ja oglądałam ten program. Nie zmienię kanału.

Usłyszała, że córka wychodzi, trzaskając za sobą drzwiami.

Leo nie był tak bardzo zdenerwowany od czasu swego pierwszego przemówienia w Izbie Gmin. Ścisnęło go w żołądku, a gdy zatelefonowano z recepcji, że pan King czeka w holu, zrobiło mu się niedobrze.

- Proszę go wprowadzić na górę - powiedział.

Dobre maniery wymagały, żeby zszedł i powitał ojca Glorii, ale nie miał odwagi podjąć ryzyka. To mogłoby sugerować, że pójdą do baru... Stał w korytarzu, gdy King wysiadł z windy w towarzystwie boya hotelowego.

- Dobry wieczór, Haroldzie - podszedł do niego i wsunawszy młodzieńcowi kilka franków napiwku, poprowadził Kinga do swego pokoju. - Przepraszam, że nie mogłem zejść po ciebie, ale właśnie miałem rozmowę z Londynem. Sprawy zawodowe. Nigdy nie mogą zostawić człowieka w spokoju...

King coś mruknął. Telefon z Londynu... Ten zarozumiały nędzny

zbocheniec usiłuje mu zaimponować. Obrzucił pokój złym spojrzeniem.

- Ładnie tu - stwierdził. - Gloria musiała na to wydać grubą forszę.

- Siadaj, proszę. - Szyderstwo Kinga wywołało na piegowatej twarzy Leo lekki rumieniec, ale tylko się uśmiechnął i dodał. - To miło z twojej strony, że zechciałeś przyjść, naprawdę to doceniam. Mam tu dla ciebie przygotowany twój specjał. - Podszedł do stołu, gdzie stał dzbanek z różowym sokiem z granatów zmieszany z cytrynowym. Kostki lodu unosiły się na powierzchni. Wlał do dzbanka pół butelki osiemdziesięcioprocentowej wódki i energicznie wymieszał miksturę, żeby spirytus dobrze połączył się z resztą. Spróbował. Nie wyczuł żadnego innego smaku poza gorzko-słodkim cytryny i grenadyny, to właśnie była korzyść z wódki, alkoholu bez smaku i zapachu. Kiedy wlewał napój do szklanki, którą uzupełnił perrierem, ręka lekko mu drżała. Wymieszał jeszcze raz zawartość długą, koktajlową łyżeczką i wręczył szklankę Kingowi.

- Gloria mnie nauczyła - oznajmił. - Mam nadzieję, że jest taki, jak lubisz.

King wziął od niego szklankę i postawił koło siebie.

- O co chodzi, Leo? Dlaczego chciałeś się ze mną spotkać?

Leo wciągnął głęboki wdech.

- Przyniosę sobie kieliszek wina - powiedział. Nalał trochę chablis, wrócił do Kinga i usiadł naprzeciwko niego. Nie mógł oderwać oczu od nie tkniętego napoju. King w domu wypijał go łączywie kilkoma wielkimi łykami. Lecz nie tym razem. Siedział i wpatrywał się w Leo wściekłym wzrokiem, wrogość wprost emanowała z całej jego postaci.

- No więc? - odniósł głos. Leo podniósł kieliszek.

- Twoje zdrowie, najlepszego - rzekł i czekał.

King nie odpowiedział mu toastem.

- Poprosiłem cię o spotkanie w cztery oczy, gdyż mam coś raczej... no, chciałbym omówić z tobą pewną osobistą sprawę. Dowiedzieć się, co o tym myślisz. Dobre jest to picie?

- Skąd mam wiedzieć, skoro nawet nie spróbowałem? - zawarczał gniewnie. - Zmierzaj do sedna, dobrze? Przestań głądzić.

Jemu chodzi o Glorię, teraz był już pewny. Ten nędzny chłystek ma zamiar go wysondować na temat Glorii. Zalała go fala złości. Puls zaczął mu bić szybciej.

- Spotykamy się z Glorią od pewnego czasu - zaczął Leo. Miał tak sucho w gardle, że musiał popić wina, żeby móc mówić dalej. W napoju stojącym przy łokciu Kinga lód zaczynał się roztopiać.

- Wiem o tym - przerwał mu King. - Nie mogę powiedzieć, że bym był zachwycony wyborem mojej córki, ale to jej sprawa.

- Nie oczekiwałem, że będziesz zadowolony. - Leo zaczął tracić nadzieję. King był już dość długo i nie tknął swego drinka. Nic z tego nie wyjdzie. Pomyślał, że jeśli nie rozegra tego dobrze, King może lada moment stracić cierpliwość i wyjść. Julia nie powinna się zjawić. Cały cholerny plan diabli biorą. - Powiedziała mi, jakie jest twoje nastawienie do mnie. Nie mam o to pretensji. Gdybym miał taką córkę, też bym starał się ją ochraniać. Dlatego chciałem cię zapewnić...

King spojrzał na niego ostro.

- Nie potrzeba mi żadnych zapewnień z twojej strony. Nie wiem, do cholery, o czym mówisz. - Poruszył się w fotelu, jakby miał zamiar wstać.

- Jaja kocham - rzekł Leo. - Nigdy przedtem nie byłem zakochany. Nigdy nie spotkałem kobiety takiej jak ona. Ona ma wszystko - inteligencję, pewność siebie, osobowość...

King usiadł wygodniej w fotelu. Odezwał się bezbarwnym głosem.

- Jest brzydka. - Po czym sięgnął po szklankę i pił napój, jakby chciał ugasić pragnienie.

- Nie dla mnie - powiedział Leo. Starał się nie obserwować Kinga, lecz gdy rzucił okiem, stwierdził, że wypił połowę szklanki jednym haustem. - Nie jest brzydka. Jest inna. To nie manekin z wystawy. - Wstał. Był podniecony. Całkowicie ochłonął ze zdenerwowania. - Pozwól, że ci doleję. - Zabrał szklankę z rąk Kinga i napenił ją po brzegi.

- Jest bogata - odezwał się King. - Mogłaby ci dać wszystko, czego zapragniesz. I o to ci właśnie chodzi. Jest moją córką i mógłbyś się wdrapać na sam szczyt, mając mnie za sobą. Więc czy o to ci chodzi, ty nędzny draniu?

Leo nie był pewien, czy zaszła jakaś zmiana w zachowaniu Kinga. Ciągnął dalej.

- Jak ci mówiłem, kocham Glorię. I ona mnie kocha. Nie rozmawiałem z nią o małżeństwie. Nie mógłbym tego zrobić, dopóki nie będę miał możliwości przedyskutowania tej sprawy z tobą.

King wychylił się do przodu.

- No i dobrze, dyskutujmy o tym - rzekł. - Moja odpowiedź brzmi „nie”. Za milion lat nie pozwolę mojej córce wyjść za takiego łajdaka jak ty. - Jego głos brzmiał coraz głośniejszy, niemiecki akcent był teraz wyraźniejszy.

Leo nie stracił panowania nad sobą. Odezwał się grzecznie.

- Nie musisz mnie obrażać, Haroldzie. Już ci mówiłem, wiem, co o mnie myślisz, rozumiem cię. Ona jest twoją jedyną córką i jesteście pod każdym względem bardzo sobie bliscy. Nie chcesz jej stracić. Ale z mojej strony nic ci nie grozi. Nie jestem zachłannym człowiekiem.

Znowu wstał. Kiedy przechodził koło stołu, stojącego po drugiej stronie fotela Kinga, włączył mały magnetofon, ukryty za stosem ilustrowanych czasopism. Nalał sobie wina i wrócił do swego gościa.

- Cieszę się, że ci napój smakuje - rzekł. - Można ci jeszcze dołać? - Wtedy zabrzmiał dzwonek telefonu. Leo podniósł słuchawkę i odpowiedział z uśmiechem:

- Tak, proszę, tu, do mojego pokoju.

Tym razem podszedł z dzbankiem. Szklanka była pusta. King wypił wszystko do dna, kiedy Leo rozmawiał przez telefon. Leo uświadomił sobie, że w wyglądzie Kinga zaszła teraz zmiana - na policzki wystąpiły rumieńce, nos jakby spuchł, wargi obwisły.

Błyszczące oczy pałały demoniczną furią. Na moment podniecenie Leo przygasło. Złakł się. Lecz wtedy rozległo się pukanie do drzwi. King jakby tego nie usłyszał.

- Jeszcze - warknął do Leo, wyciągając szklankę. - Nalej mi ty, *dummkopf!* Ożenić się z moją córką... - Zaczął się śmiać. - Ona lubi, jak jej chłuszczesz tyłek, to wszystko, tyle dla niej znaczysz!

Leo poszedł otworzyć drzwi. Powiedział cicho:

- Wejdz, Julio. - Rzucił okiem na Kinga i skinął głową. - Jest zalany - szepnął i przepuścił ją, żeby przeszła.

Julia nie widziała Harolda Kinga od owego wieczoru w restauracji, kiedy urządził widowisko z besztaniem kierownika. Wtedy wyglądał tak władczo, niemal jak dzika bestia. Teraz rozciągnięty na fotelu, przechylony na jedną stronę z opasłą, zaczerwioną twarzą i rozbieganymi oczami, nie był tą samą osobą.

Utkwiła w nim wzrok. Serce jej tak waliło, że aż podchodziło do gardła. Leo miał rację. King był pijany. Pijany i niebezpieczny, jego oczy prześlizgnęły się po niej i zatrzymały na twarzy.

- Dobry wieczór, panie King. Jestem Julia Hamilton.

- Znam cię - rzekł. - Pamiętam te wstrętne, rude włosy. Nikt z takimi włosami nie będzie u mnie pracował. Cuchniesz jak sfera lisów. Jesteś *bint* Westerna, co?

- Nie, nie jestem niczyją *bint*. Nie sypiam z moim pracodawcą.

- Tym gorzej dla tego cholernego idioty - szydził King. - Jakbyś pracowała dla mnie, musiałabyś przefarbować te kudły.

- Nie pracowałabym dla pana - odparła Julia.

- Julio, może usiądziesz - poprosił Leo. - Kieliszek wina?

- Spróbuj mojej specjalnej mikstury. - King dźwignął się z fotela.
- No, spróbuj. Przygotował mi ją ten dupek żołądny, co pieprzy moją córkę. Chciałeś mi się przypochlebić, co? Myślisz, że może wystrychnąć mnie na dudka... Wiesz, że nie dam się okpić, co? Nikt nie może mnie okpić.

- Z pewnością - powiedziała Julia. - Poproszę o trochę wina, Leo. Dzięki. - Kiedy brała od niego kieliszek, zauważył, że jej ręka się trzęsie; ale wyglądała na bardzo opanowaną, podziwiał, jak daje sobie radę z tym bydłakiem.

- Zawsze pan wzbudzał moją ciekawość, panie King. Chciałam przeprowadzić z panem wywiad. Ale pan nie udziela wywiadów dziennikarzom pracującym dla Westerna, prawda?

- Tylko jednego mogą oczekiwać ode mnie ci, co pracują dla tego gnojka, kopa w tyłek - powiedział gburowato, ton jego głosu stał się napastliwy. Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów i zatrzymał spojrzenie na jej skrzyżowanych nogach. Wyprostowała je i obciągnęła spódnicę, zakrywając kolana. - Western cię wylał, prawda? Dlaczego nie przyjdiesz pracować do mnie? Nie brak ci rozumu, chociaż nie masz cycków. Dlaczego nie przyjdiesz pracować dla mnie, ee? Dlaczego? Ile ten zasraniec ci płacił? Dam ci dwa razy tyle!

Chwiał się na nogach.

- Może pan usiądzie, panie King - powiedziała - to porozmawiamy na ten temat.

Wzruszył swymi potężnymi ramionami, jego nastrój uległ naglej zmianie.

- Czemu nie? - Siadając na fotelu powtórzył. - Czemu nie?

- Chciałby pan opowiedzieć mi o sobie? - spytała Julia. - Skoro tu jestem, a wielu rzeczy pragnęłabym się dowiedzieć o panu.

King odchylił do tyłu głowę.

- Jakich na przykład? Poznać historię mego życia i mych osiągnięć? Prześlę ci książkę... jest bardzo wzruszająca. - Wybuchnął rubasznym i ochryłym śmiechem. - Ale ciebie to nie interesuje, prawda? Przysporzyłaś mi wiele kłopotu tym wtykaniem nosa w nie swoje sprawy... Potrafisz to robić, wiesz? Lepiej niż inni pismacy. Byłaś już blisko, prawda? Ale wszystko potoczyło się nie tak. Dowiedziałas się o tym gnojku, Westernie. Więc cię wyrzucił. Uświadamiasz sobie, że to uratowało ci życie?

Leo z trudem stłumił okrzyk przerażenia. Julia była bardzo blada.

- Tak - powiedziała. - Przyznaję, że widziałam się z panem Richardem Watsonem na Jersey. Zadałam mu pytanie. Rozmawialiśmy o ostatniej wojnie. Spytałam go, czy kiedyś kogoś zabił.

Harold King odchrząknął. Przez moment wydawało się jej, że splunie na dywan.

- On? Nie... - zadrwił. - Prawdziwy angielski dżentelmen, człowiek z zasadami... idiota w mojej książce.

Julia czekała. Nadchodził decydujący moment. King był pijany. Ale czy w wystarczającym stopniu?

- Więc w pana książce - mówiła spokojnie - była mowa o zabijaniu ludzi. A gdybym panu zadała takie samo pytanie jak jemu, co by pan odpowiedział?

- O, jesteś bardzo sprytna, co? To ja ci zadam pytanie... Co jest takiego nadzwyczajnego w śmierci? Wszyscy w końcu umierają. Jakie ma znaczenie, kiedy...

Podciągnął się w fotelu, obrócił i spojrzał na Leo.

- Coś dodałeś do tego napoju, prawda?

Leo milczał. King zgarbił się w ramionach, jakby zbierając siły, żeby wyrwać swe ciało z fotela i rzucić się na niego. Teraz, zdecydowała Julia, zanim alkohol przestanie działać... Jej głos rozładował napięcie.

- Nazwał mnie pan „bint”, panie King. To wyrażenie z czasów wojny. Arabskie, prawda? Poznał je pan na Saharze Zachodniej, czy tak? Był pan w Afrykańskim Korpusie Rommla. Jakiego pan tam dokonał wyczynu, panie King, że zadał pan sobie tyle trudu i poświęcił tyle czasu, aby go ukryć przez te wszystkie lata? Zamordował pan bezbronnych jeńców brytyjskich?

Najpierw zaczął się śmiać. A potem mówił i mówił, słowa prawdy płynęły strumieniem, którego ani Julia, ani Leo nie zdołałyby zatamować. Okrutnej, brutalnej prawdy o tym, czego się dopuścił. Nagle zamilkł. Patrzył na nich spojrzeniem pełnym nienawiści. Ruszył chwiejnym krokiem w kierunku Leo ze wzniesionymi do góry pięściami jak młoty, żeby mu zadać cios.

Krzyczał:

- Jestem pijany. Jestem pijany przez ciebie... Czym przyprawiles moje picie... Zabiję cię...

Leo zerwał się błyskawicznie, uskoczył w bok, a King siłą bezwładności swego potężnego ciała runął na ścianę tak, że omal nie upadł.

Leo wycofał się na bezpieczną odległość, na tyle bezpieczną, by móc upajać się tym widokiem i również odpowiedzieć wrzaskiem:

- Zrobiłbyś to, na pewno. Wypiłeś pół butelki wódki w tym swoim ohydny, różowym paskudztwie, jesteś zalany w sztok! I rozpuściłeś swoją jadaczkę...

Uderzenie o ścianę spowodowało, że odzyskał równowagę. Wyprostował się i oparł o drzwi. Wszystko jej powiedział. Mówił i nie potrafił się powstrzymać. Nie panował nad sobą, tak samo jak tamtej nocy, kiedy przyznał się do tego swej żonie, Phyllis Lowe, a potem gonił ją po schodach, żeby ją zgwałcić i zbić w napadzie dzikiej furii za to, że sam się zdradził.

To samo powtórzyło się z tą kobietą, której nie mógł dosięgnąć, stojącą za sofą z tymi szkaradnymi włosami, płonącymi w świetle lampy. Nie był w stanie powstrzymać potoku słów, natłoku wspomnień. Wciągnął ją wraz ze sobą w przeszłość, z powrotem do spiekoty i tumanów piasku północnoafrykańskiej pustyni, jakby była żyjącym świadkiem tamtych wydarzeń.

Głos Leo naigrawał się z niego.

- Chciałeś mnie zniszczyć, ty podły draniu. Napuściłeś na mnie tę opłaconą przez siebie dziwkę i sprzedałeś dowody Westernowi... ale ja to samo robiłem z twoją córką i teraz sam mam kilka bardzo ładnych zdjęć!

- Zapłacisz mi za to! - odskrzyknął King. - Zmuszę cię, żebyś mi zapłacił...

- Grozisz mi? - zadrwił Leo. - Tylko spróbuj, a każę służbie hotelowej cię wyrzucić. Jesteś skończony, ty życiowy bankrucie... mamy wszystko nagrane na taśmie!

Gdy to mówił, Julia sięgnęła po mały magnetofon i wsunęła go do torebki. King szedł ku niej na oślep jak oszalały niedźwiedź; usłyszała jak Leo woła:

- Julio, uważaj! - Odskoczyła na bok.

I nagle jego siła jakby zaczęła się wyczerpywać. Ciężko dyszał, rzucając nienawistne spojrzenia na przemian na każde z nich. Zatrzymał się przy drzwiach.

- Nie możecie mnie tknąć - rzekł i wydawało się, że nieco wytrzeźwiał. - Nie możecie mi zagrozić, żadne z was. Zmyśliłem całą tę historię. Nic mi nie możecie zrobić... jestem zbyt potężny, jestem potężniejszy od Boga! - Wyprostował się, szarpnął gwałtownym ruchem drzwi i potykając się wyszedł na korytarz.

- O mój Boże - powiedziała Julia. Opadła na sofę. - Mój Boże - powtórzyła. - Jestem zupełnie wykończona. Cała się trzęsę.

- A ja nie - rzekł Leo z triumfem. - Mamy go. Wspólnymi siłami udało nam się dobrać do tego drania. No, uspokój się. On jest skończony. Zaniósę tę taśmę właściwym służbom i zostanie aresztowany jako zbrodniarz wojenny. Chryste, zaraz zamówię butelkę szampana...

- Ja nie będę piła - rzekła Julia. - Po tym widowisku nie jestem w

stanie niczego świętować.

Leo wytrzeszczył na nią oczy.

- Co się z tobą dzieje? Do licha, powinnaś tańczyć na tym stole. Masz dowód... dokładne zeznanie. Wszystko, czego chciałaś. Włączmy magnetofon i przesłuchajmy taśmę. Zaraz, gdzie on się podział? - Zaczął szukać pomiędzy czasopismami, zajrzał pod stół, czy nie spadł na podłogę.

- Gdzie on jest? - rozglądał się przerażony.

- U mnie - odrzekła. - Leo, przepraszam. Chcę to przesłuchać sama. Potem dam ci tę taśmę. Musimy jak najszybciej zrobić kopię. I mieć pewność, że oryginał trafi do właściwych ludzi. Musimy złożyć pisemne zeznanie pod przysięgą, że taśma jest autentyczna, a my byliśmy świadkami tego, co się tu działo. Jeszcze nie wygraliśmy. Jak wytrzeźwieje, zacznie walczyć.

- Jesteś realistycznie myślącą damą, prawda? - powiedział kpiąco. - Ale chłodna głowa. Co płynie w twoich żyłach - jakaś substancja zapobiegająca zamrożeniu? Mniejsza z tym, jedź do domu, przesłuchaj taśmę, a ja wpadnę później i ją wezmę. A tymczasem mam zamiar to uczcić. Właśnie przyszło mi coś do głowy... - Urwał, po czym dodał. - Zastanawiam się, czy przyjechał tu z kierowcą. Drogi prowadzące do jego willi są raczej zdradliwe.... No i to jest myśl. - Roześmiał się.

Julia wstała.

- Wolałabym, żeby stanął przed sądem - powiedziała cicho. - To by się należało tym wszystkim ludziom.

Wyszła bez pożegnania.

- Jestem pijany. - King mówił do siebie na głos. - Jestem pijany. Nie powinienem prowadzić.

Przyprowadzono mu samochód przed główne wejście hotelu. Udało mu się wyprowadzić go z podjazdu i wjechać na szosę. Zdolność widzenia miał zakłóconą, reakcje zwolnione. Zahamował. Może przeczekać, nawet się przespać, aż wódka przestanie działać. Mówił sam do siebie. Nie potrafił się opanować. Lecz jego wyobrażenie o sobie jako o człowieku o nadludzkiej, boskiej mocy było silniejsze. Zdoła zetrzeć na proch pigmejów jednym ruchem ręki. Wyłączył silnik i usadowił się wygodniej. Myśli chaotyczne i szalone tańczyły mu w głowie jak chochliki, kiedy zamknął oczy. Uznał, że nie uśnie. Wypocznie, da swemu żelaznemu organizmowi czas na wchłonięcie trucizny i zneutralizowanie jej. Potem pojedzie do domu. Nastawił radio, ludowa muzyka szwajcarska poraziła jego uszy. Zaczął wciskać

na chybił trafił guziki, aż znalazł światowy serwis BBC. To lepsze. Wysłucha ważnych wiadomości, wydarzeń z ostatniej chwili. To był jego świat, jego *metier*, co w porównaniu z tym znaczą te nieistotne bzdury z czasów dawnej wojny, która już nikogo nie obchodzi. On nie ma sobie równych, żadne prawo go nie osiągnie. Może sobie kupić nietykalność, bez względu na to, co zrobił. Jego domeną jest rozwiązywanie zagadnień globalnych, światowych. Uchylił okno, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza. Zaczął słuchać wiadomości. Trzeźwiało.

Julia poszła prosto do swego pokoju. Postawiła magnetofon na stole. Głosy były bardzo wyraźne. Otwierający grę gambit, jej konfrontacja z nim. „Jakiego pan tam dokonał wyczynu, panie King... Zamordował pan bezbronnych jeńców brytyjskich....?” Z taką pewnością siebie zadała to pytanie, tak spokojnie. Nikt by się nie domyślił, że jej serce waliło jak młot, że się bała.

„Co płynie w twoich żyłach - jakaś substancja zapobiegająca zamrożeniu?” - drwił z niej Leo Derwent. Chciał święcić osobisty triumf. A Julia pod koniec tego spotkania była zupełnie odrętwiała.

King mówiący coraz bardziej podniesionym i ochryplym głosem, szydząc z nich i ich obrażając, wpadał w zastawioną na niego pułapkę.

„Jakiego pan tam dokonał wyczynu, panie King, że zadał pan sobie tyle trudu i poświęcił tyle czasu, aby go ukryć przez te wszystkie lata?” I on jej powiedział. Głos Kinga ani na chwilę nie stał się mniej wyraźny, a jego wypowiedzi nieskładne. To był głos mocny, pełen zadufania i pogardy.

- Byliśmy na patrolu... Wozy opancerzone... Natrafiliśmy na jednego z naszych ludzi, był wzięty do niewoli, ale go zostawili...

Przerwał mu jej głos.

- Co pan mówi, to przecież pan dostał się do niewoli!

Zaprzeczył gwałtownie.

- Ja? Nie, nigdy bym się nie poddał. Na Boga, byłem niemieckim żołnierzem! Nie pozwoliłbym wrogom na taką zniewagę! To był młody chłopak... ranny w nogę, bez broni... Nie podobało mi się, że podniósł do góry ręce. Powiedział nam, gdzie możemy znaleźć Anglików. Zbliżyliśmy się do nich, było dwóch oficerów, podoficer i czterech żołnierzy. Nawet nie usiłowali walczyć, tchórzliwe skurwysyny. Oficerów zabraliśmy do ciężarówki, a ja dałem manto temu chłopakowi na oczach pozostałych. Skopałem mu tyłek i powiedziałem, że przyniósł wstyd Korpusowi. Nikt nie próbował mnie powstrzymać. Byłem twardy. Bali się mnie. Odwracali głowy.

Wściekałem się na tego chłopaka... ale wtedy on mi to powiedział. Powiedział, że Anglicy chcieli go zabić. Znał trochę angielski i słyszał, co mówią. Mieli zakłuć go bagnetem. Jak jakąś śmierdzącą świnię. - Gniewny głos wypełnił pokój. Miała wrażenie, że patrzy na niego i widzi go stojącego przed nią. Potem odezwał się jej głos, zwodniczo spokojny, pozbawiony emocji:

- I co pan wtedy zrobił, panie King?

- Powiedziałem do chłopaka: zapomnij, że cię trochę poturbowałem, zrobię z nimi porządek za ciebie i pamiętaj, co to znaczy być niemieckim żołnierzem! A jak nie będziesz pamiętał, to sam cię zabiję... Było piekielnie gorąco. Swędzące pęcherze od potu w kroczu i pod pachami doprowadzały mnie do szaleństwa. Mieliliśmy trochę brandy w zwiadowczym samochodzie pancernym, któryś z nas buchnął ją poległemu oficerowi... Kazaliśmy Anglikom ustawić się w czwórkę i maszerować w kierunku naszej bazy. My jechaliśmy z przodu z wycelowanym w nich karabinem maszynowym. Jeden niewłaściwy ruch i po nich... Ich prowadził sierżant. I wiesz, kto to był, prawda? Dowiedziałaś się, jak pojechałaś na Jersey, ee? William Western. Lord Western z Bradenham. - Zagrzmał jego jadowity śmiech. - Członek Izby Lordów, podpora moralności publicznej... chciał mojej skóry, żeby uratować swoją... Słyszałaś tę historię, prawda?

- Tak - odparła Julia. - Słyszałam ją. Ale myślałam, że to pan był tym jeńcem, którego chcieli zabić.

Nie słuchał jej, nie mógł powstrzymać powodzi wylewających się z niego słów.

- Patrzyłem, jak człapią po piasku, wszyscy idą do wygodnego obozu jenieckiego, założonego przy naszej bazie, skąd ich odesłają do Niemiec i wyłączą z działań wojennych, podczas gdy my tutaj będziemy musieli dalej walczyć i może zginąć. - Zamilkł. Napiętą ciszę przerwał Leo Derwent:

- Więc powiedz nam Haroldzie, jaki w tej sytuacji powziąłeś zamiar?

- Zamiar? - To zabrzmiało jak ryk lwa. - Zamiar? - Po tym ryku padło krótkie, niemieckie przekleństwo. - *Scheisse!* Powiem ci, co zrobiłem. Przejąłem karabin maszynowy i zacząłem się nim bawić, obracałem go po kolei w stronę każdego z nich, żeby się bali. Jak dziecko, które wie, że dostanie lanie... Bardzo mnie to bawiło, naprawdę... - Słuchając tego bezosobowego głosu, Julia zadrżała. - Zawołałem naszego chłopaka. Przyszedł i usiadł koło mnie w zwiadowczym samochodzie. Znasz angielski? To powiedz im... po-

wiedz im, że zamierzam ich nauczyć respektowania zasad obowiązujących na wojnie... Powiedz im to... I powiedział. Dałem mu pociągnąć parę łyków z butelki i zaczął na nich wrzeszczeć. Wiesz, co się stało? Western zawrócił i zaczął biec jak zafajdany tchórz, zostawił swoich ludzi i uciekał, żeby uratować własną skórę. Więc dałem mu pierwszą serię, która go powaliła. Nie ubiegł daleko. A potem... - Celowo zawiesił głos dla spotęgowania dramatycznego efektu. - Potem zastrzeliłem pozostałych. Po prostu trzymałem palec na spuście i prućem w nich, aż ich ciała podskakiwały na ziemi... Uniósł się taki cholerny kurz, że drapało mnie w gardle... Wtedy ten głupi chłopak zaczął wymiotować. Albo przez tę brandy, albo z powodu tych trupów. Nie wiem, ale wychylił się z boku samochodu i okropnie rzygał. - Można było usłyszeć stłumiony okrzyk Leo Derwenta: „Jezu!”

King nie zwrócił na to uwagi. Mówił dalej.

- Ale popełniłem błąd. Nie zatrzymałem wozu i nie sprawdziłem. Ten zasraniec dostał, ale żył. Później przejeżdżał tam tędy jeden z naszych patroli, wzięli go i zawieźli do szpitala. Myślałem, że jestem bezpieczny. Myślałem, że wszystkich ich zabiłem. Dowiedziałem się o tym, jak już wróciliśmy do bazy, ktoś mówił o Anglikach, którzy zginęli, bo znaleźli się w krzyżowym ogniu w czasie potyczki i że tylko jeden przeżył. W tym samym miejscu, tego samego dnia... Wtedy zrozumiałem, że z tego mogą wynikać dla mnie kłopoty. Kiedy przegraliśmy wojnę, to oznaczało bardzo duże kłopoty. Więc zdezerterowałem i dostałem się do obozu jako uchodźca... Sfałszowałem życiorys... sprytnie, co? Biedna ofiara wojny, bez ojczyzny, bez domu... byłem tak chudy, że nawet wyglądałem na uchodźcę. Pod koniec całymi dniami nic nie jedliśmy, grzebaliśmy w ziemi w poszukiwaniu czegoś do jedzenia, żywiłiśmy się jagodami jak zwierzęta... Później ulitowała się nade mną pewna miła dama z UNRRA. Chciała tylko jednego, żebym jej trzymał rękę pod spódnicą. - Śmiech zazgrzytał w uszach Julii. - Ogień krzyżowy - mówił dalej. - Myślał, że w ten sposób zdoła ukryć własne śmierdzące tchórzostwo. Uciec, zostawić własnych żołnierzy... Ogień krzyżowy to byłem ja!

Miała go przed oczami, jak wstał, gdyż doszedł do szczytowego punktu tego odgrywanego przez siebie, samochwalczego przedstawienia. Jego ochryply głos wykrzykiwał z uniesieniem:

- Wszystkich ich zabiłem! I wiecie co? Jestem z tego dumny... Dumny... Gdyby mi się nadarzyła okazja, zrobiłbym to po raz drugi!

Przerwał mu jej własny głos, krzyk pełen obrzydzenia:

- Ty krwawy morderco! Ty plugawy, cholerny morderco! Bę-

dziesz siedział w więzieniu do końca życia... Kazałeś zabić Jean Adams... - Nie mogła powiedzieć nic więcej, gdyż wybuchnęła płaczem. Odpowiedział zadziwiająco spokojnie, wręcz obojętnym tonem.

- Sama się o to prosiła. Była głupia. Stara, wścibska żmija...

Następnym odgłosem był łoskot przewróconego przez niego podręcznego stolika i brzęk tłuczonego szkła, gdy szklanka spadła na ziemię. Usłyszała swój stłumiony okrzyk i ostrzeżenie Leo: „Julio, uważaj!” - kiedy sam uskoczył na bok. Wtedy niespodziewanie Harold King wpadł w szal. Wymachując na oślep pięściami rzucił się w kierunku Leo Derwenta i runął na ścianę. Taśma odtwarzała wszystko, jego krzyk, pełen napięcia głos Leo i ostatnie słowa Kinga, kiedy już wychodził, jego megalomańskie chełpienie się:

- Nic mi nie możecie zrobić... Jestem zbyt potężny... Jestem potężniejszy od Boga...

Julia wyłączyła magnetofon. Ostatni kawałek układanki znalazł się na swoim miejscu, odrażająca historia tchórzostwa, zdrady i zła została zamknięta. A więc William Western ją oszukał. Był tchórzem, który porzucił swych towarzyszy broni i skłamał, nie ujawniając dokonanego na nich morderstwa, żeby ochronić siebie. Żył z tą zdradą bezpiecznie pogrzebaną wraz z kośćmi jego własnych żołnierzy do czasu, gdy jego wróg i rywal, Harold King, nie dotarł do pewnego byłego oficera o wrażliwym sumieniu, który po przejściu na emeryturę osiedlił się na Jersey.

I King, i Western byli osobistościami życia publicznego, ale żaden z nich nie rozpoznał drugiego po trzydziestu latach. To była ironia losu. Jak King mógłby połączyć osobę brytyjskiego sierżanta piechoty z magnatem prasowym lordem Westernem? Jak Western mógłby zidentyfikować superbogacza Kinga w osobie podpitego Niemca, siedzącego za karabinem maszynowym? Kiedy King będzie sądzony, to wszystko wyjdzie na światło dzienne. Każdy z nich stanie się dla drugiego jego Nemezis.

Leo mógł pić sobie szampana, świętując swój triumf, lecz dla Julii to nie była okazja do świętowania - w tej grze zbyt wielu było przegranych. Obrazy z opowieści Kinga będą ją jeszcze długo prześladować. Być może nigdy się od nich nie uwolni. „Trzymałem palec na spuście i prulem do nich, aż ciała podskakiwały na ziemi... Uniósł się taki cholerny kurz...” Jean Adams i ta jego obojętna odpowiedź: „Sama się o to prosiła... Stara, wścibska żmija”. Zadano jej taką straszliwą śmierć.

Biedna, okłamywana Phyllis Lowe, zakochana po raz pierwszy.

Kończyła życie w pomroce i prawie uśpieniu. Nie, pomyślała Julia, nie ma czego świętować, poza jednym, że wreszcie zostanie wymierzona im wszystkim sprawiedliwość. Aż drgnęła, gdy rozległ się ostry dzwonek telefonu. Odezwał się Leo Derwent. Sądząc po głosie, był w bardzo dobrym nastroju i z lekka pijany.

- Julia? Przesłuchałaś już taśmę?

- Tak - powiedziała. - Teraz możesz ją zabrać, kiedy zechcesz. Idę spać. Zostawię ją dla ciebie na dole.

- Nie trzeba - rzekł. - Wszystko skończone. Ten drań nie żyje.

Gloria czekała na ojca. Unikała zaglądania do salonu, gdzie matka oglądała jakiś idiotyczny kwiz, całkowicie nim pochłonięta. Pustka i banalność jej umysłu zdumiewały Glorię, a nawet wywoływały w niej pogardę i wściekłość. Ona sama studiowała w gabinecie dokumenty finansowe i usiłowała nie spoglądać na zegarek i nie zastanawiać się, co się dzieje u Leo.

Był bardzo tajemniczy i żartował z niej, kiedy bezskutecznie próbowała z niego coś wyciągnąć na temat jego spotkania z ojcem. Czy to ma związek z nią...? W pewnym sensie, tak... Ale dlaczego, dlaczego nie chciał jej powiedzieć nic bliższego? A później te aluzje, figlarne spojrzenia i w końcu bardzo głęboki pocałunek, poprzedzony poleceniem, żeby rozwarła usta i przestała mówić. Nastawiła wielki telewizor, przeskoczyła przez kilka kanałów i nie znalazła niczego, co by ją zainteresowało lub rozerwało. Jeżeli on myśli o jej poślubieniu, to czy ona chciałaby zrobić taki zasadniczy życiowy krok? Opuścić dom, a przede wszystkim ojca, i związać się trwale z innym mężczyzną, zostawić tej głupiej kobiecie nieograniczone wpływy...? Czuła się rozdarta - powiązana tak mocną więzią z ojcem, jednocześnie tęskniła do Leo. Jak ojciec się spóźniał! Rozważania jej własnych dylematów tak ją zaabsorbowały, że nie zauważyła, kiedy minęła godzina, o której normalnie jadali wspólnie kolację.

Dziewiąta. O czym oni tak dyskutują? Co się dzieje? Sięgnęła po słuchawkę, żeby zatelefonować do hotelu Regent, gdy usłyszała odgłos otwieranych frontowych drzwi. Zerwała się natychmiast i zbiegła do holu.

Stał tam, ciągle jeszcze w płaszczu; miał czerwoną twarz, wyglądał tak dziwnie i niepodobnie do siebie, że podbiegła do niego i chwyciła go za ramię.

- Tatusiu? Tatusiu, co się stało? Jesteś chory?

Nie odpowiedział, tylko spojrział na nią przekrwionymi oczami, objął i mocno przyciągnął do siebie.

- Co się dzieje? Tatusiu, na miłość boską...

- Nic mi nie jest. - Wypowiadał te słowa, jakby był zdyszany. - Nie wypytuj mnie teraz. Nie przejmuj się mną. Odlóżmy wszystko do jutra rana. Jesteś moją dziewczynką i kocham cię. - Uniósł jej twarz i pocałował ją w czoło. Glorii wydawało się, że ojciec nie jest w stanie się ruszać. Nigdy w życiu tak się nie bała. Nie jego, o niego. Ten strach nieoczekiwanie dodał jej sił.

- O nic nie będę pytać - powiedziała. - Tylko chodź ze mną, usiądziesz sobie. Potrzebny ci lekarz... Nie wyglądasz za dobrze. Wcale nie wyglądasz dobrze.

Dał się jej poprowadzić do gabinetu, pozwolił zdjąć płaszcz i zajmować się nim, jakby był wielkim, bezradnym dzieckiem. Wreszcie zagłębił się w swym ulubionym fotelu.

- Wezwę doktora Halperina - powiedziała idąc do telefonu. To musiał być atak serca. Chyba nic innego nie mogło się stać. Ten straszliwy, czerwonawosiny kolor skóry, z trudem chwytny oddech...

- Nie! - Zatrzymał ją jego głośny, ochryply głos. - Nie! Nie potrzeba lekarza. Daj temu spokój.

Odłożyła słuchawkę. Zaczął mówić jakby z trudem.

- Moja kochana dziewczynko, nie zamierzałem na ciebie krzywdzić. Nie jestem chory, wierz mi. Daj mi tylko szklankę wody, dobrze? Wody z lodem, to wystarczy.

Otworzyła szafkę, gdzie stały zapasy lodu, wody Perrier i soków owocowych, zawsze dla niego przygotowane. Nalała szklankę i w pośpiechu podeszła z nią do ojca.

- Proszę. Czy chciałbyś czegoś jeszcze... czegoś do zjedzenia? Zrobiło się tak późno... - Zapomniała o Leo Derwencie. Myślała wyłącznie o ojcu, przerażona, że coś się stało, a on nie chce się przyznać.

- Nie, nic. - Znowu robił wrażenie, jakby mu brakowało tchu. - Nic do jedzenia. Nie ma się czym martwić, ty głuptasku. Nie jestem chory. Nigdy nie choruję, wiesz o tym doskonale. Zrób, co ci powiem. Nastaw mi telewizor na wiadomości, dobrze? A potem idź i zostaw mnie na chwilę. Zostaw mnie samego, dopóki cię nie zawołam. A teraz daj mi buziaka. Jestem z ciebie dumny. Zawsze o tym pamiętaj. Idź już i nie martw się o mnie...

Zrobiła, o co prosił. Nastawiła telewizor i podała mu pilota. Pochyliła się nad nim, pocałowała go, po czym wyszła, cicho zamykając drzwi. Na korytarzu spotkała matkę.

- Wrócił? Co się stało? Jak tam było?

- Nie powiedział - ucięła krótko Gloria. - Chyba nie czuje się

dobrze, ale nie pozwolił mi wezwać doktora Halperina. Prosił, żeby go na trochę zostawić samego. Nie wchodź tam. On cię nie potrzebuje!

Marilyn wzruszyła ramionami.

- Nie musisz krzyczeć. Znam jego nastroje lepiej niż ktokolwiek. Słuchaj, powiedziałam Monique, żeby podawała kolację. Nie może czekać całą noc. Rozumiem, że on z nami nie usiadzie?

- Nie - warknęła Gloria. - Pytałam.

Spojrzała za siebie na zamknięte drzwi gabinetu. Słychać było tylko cicho nastawiony program wiadomości angielskiej telewizji. U Glorii niepokój przejawiał się wzmożonym apetytem. Pochłonęła ziemniaki, dwa omlety, a następnie opychała się jeszcze świeżymi, ciepłymi bułkami z masłem. W końcu odezwała się matka.

- Jesteś takim obzartuchem, Glorio. Nie powinnaś tyle jeść. - Rzuciła córce złośliwe spojrzenie. - Może ojciec i Leo się pokłócili. Mogłabyś pójść i zobaczyć, jak on się czuje.

- Powiedział, że mnie zawoła. Dlaczego ty nie pójdziesz? Nigdy się o niego nie troszczyłaś. Myślałaś wyłącznie o sobie.

Marilyn pominęła te uwagi milczeniem.

- Chyba zjem trochę świeżych owoców. O, Monique, podaj mi winogrona i nektarynki... są przygotowane, prawda? Dobrze. A ty chcesz jeszcze czegoś, Glorio... tort czekoladowy, lody?

- Nienawidzę cię, mam - powiedziała Gloria, gdy za pokojówką zamknęły się drzwi.

- Wiem. - Piękna twarz o gładkiej cerze była całkiem bez wyrazu. - Tylko nigdy przedtem mi tego nie powiedziałaś. A teraz, nagle, dlaczego?

- Idę zobaczyć, co z ojcem. - Gloria wstała od stołu.

Drzwi gabinetu były otwarte. Pokój pusty. Ogień na kominku przygasiał. Telewizor bez obrazu, tylko pod ekranem świeciło się jedno czerwone światelko. A na wierzchu podparta koperta z imieniem Glorii, żeby nie mogła jej przeoczyć. Chwyciła kopertę; ogarnęła ją panika, gdy tak stała w pustym pokoju i otwierała list pisany do niej przez ojca. Miał bardzo ładny charakter pisma, spuścizna po nauczycielu, który wymagał pięknego, niemieckiego *Schrift* i egzekwował to za pomocą linijki spadającej na palce uczniów. Stronica była zapełniona jego pismem, ale jakimś rozciągniętym, jakby pisał trzęsącą się dłonią, a pióro wyslizgiwało mu się z palców.

Czytała, poruszając bezgłośnie wargami.

Moja kochana Córko.

Coś się wydarzyło i musisz być bardzo dzielna. Pracował dla mnie

człowiek o nazwisku Joe Patrick. Może go kiedyś widziałas, był raz czy dwa w naszym domu. Zajmował się pewnymi sprawami. Kiedy jest się Haroldem Kingiem, tacy ludzie są niezbędni. Został aresztowany i oskarżony o morderstwo. Tę wiadomość podawali dziś wieczorem w radiu. A dopiero co w wiadomościach telewizyjnych. Powierzyłem mu specjalne zadanie do wykonania, a on je spartaczył. On mnie za sobą pociągnie. Nie mam zamiaru stawać przed sądem i dawać obrzucać się błotem. Moi wrogowie byliby zachwyceni. Wielu ludzi pragnęłoby wiedzieć mnie upokorzonego. Nie dam im tej satysfakcji. I ty też byś sobie tego nie życzyła. Wiem o tym. Dlatego piszę do ciebie list, gdyż gdy go skończę, wyjadę i nigdy nie wrócę. Wszystkie sprawy są uporządkowane; niczego ci nie zabraknie, matka też jest zabezpieczona.

Widziałem się z Leo wieczorem. Usiłował mnie szantażować zdjęciami, na których było to, co robiliście oboje. Teraz już wiesz, ile on jest wart i potrafisz zachować się odpowiednio, kiedy spróbuje ponownie nawiązać z tobą kontakt.

A robi to, jak mnie już nie będzie. Zostawiam ci wielką władzę i ilość pieniędzy, przekraczającą twoje wyobrażenie. Wykorzystaj je tak, jak ja bym to zrobił. Jesteś częścią mnie, dzięki tobie będę żył nadal. Poza tobą nikomu nie wolno przeczytać tego listu. Zniszcz go. Zawsze pamiętaj o dwóch rzeczach: jesteś moją córką, a ja do końca kochającym cię tatusiem.

Gloria przyklekła przy kominku, pogrzebała w palenisku, aż tłące się drewno znowu objął mały płomień i położyła nań list. Palił się krótko i rozsypał w popiół. Pozostała w tej pozycji nieruchoma, niezdolna nawet do płaczu. Jej świat się zawałił. Ojciec odszedł i nigdy nie wróci. Była tak zlodowaciała i odrętwiała, jakby umarła razem z nim. Nie poruszyła się aż do chwili, gdy usłyszała dzwonek przy drzwiach, męskie głosy i krzyk matki. Wstała powoli, wygładziła sukienkę, uniosła głowę i wyszła, żeby zapanować nad sytuacją.

Wysłała matkę do łóżka i wezwała lekarza, który dał jej zastrzyk. W salonie odpowiadała na pytanie policji. Okazali jej dużo współczucia i byli bardzo taktowni. Strzaskany samochód Harolda Kinga został znaleziony na drodze prowadzącej do pobliskiej doliny. King wjechał prosto na drzewo i poniósł śmierć natychmiast. Po formalnym przesłuchaniu powiedzieli coś na temat jej niezwykłego opanowania. Nie uroniła jednej łzy. Zwróciła na nich swe bładoniebieskie oczy, skinęła głową i powiedziała:

- To był z pewnością atak serca.

Niech oni udowadniają, że był inny powód.

Wyjaśnili, że zostanie przeprowadzone dochodzenie w sprawie przyczyny zgonu, z pewnością ogromnie bolesne i przygnębiające dla niej i jej matki, lecz, oczywiście, władze szwajcarskie zrobią wszystko, co w ich mocy, aby oszczędzić im przykrości.

Podziękowała im z powagą, po czym, uznając rozmowę za zakończoną, wstała i odprowadziła ich do drzwi. Następnie wezwała służbę. Zebrali się wokół niej w holu na czele z gospodynią. Była to prosto trzymająca się niemieckojęzyczna Szwajcarka, pracująca u Kinga od dziesięciu lat. Gloria przemówiła do nich.

Wyglądali na wstrząśniętych i zdeorientowanych. Pod władzą swego pana, choć był tyranem, czuli się bezpieczni, bez niego - zagrożeni.

- Już z pewnością wiecie - powiedziała Gloria - że mój ojciec zginął dziś wieczorem w wypadku samochodowym. Kiedy ta wiadomość się rozniesie, zjawią się tu dziennikarze, będą was oblegać. Ze śmierci mego ojca zrobią cyrk. Jeżeli oni nakłonią kogokolwiek z was lub z waszych rodzin do zabierania głosu w tej sprawie, to będziecie niezwłocznie zwolnieni z pracy bez referencji. I możecie być pewni, że nikt w Gstaad was nie zatrudni. Moja matka jest w szoku, nie będę odbierała żadnych telefonów ani nikogo przyjmowała. Bez wyjątku. Nikogo nie należy wpuszczać. Czy to jasne?

Gospodyni wystąpiła krok do przodu.

- Całkiem jasne, *Fräulein* Gloria. Może pani być pewna naszej lojalności wobec pani i *Frau* King. Wszyscy jesteśmy wstrząśnięci tym, co się stało.

- Dziękuję - powiedziała Gloria. - Może was pocieszy, że śmierć była natychmiastowa. Ojciec nie cierpiał. Dobranoc.

Po kolei przechodzili koło niej, kierując się w stronę drzwi dla służby i ich pomieszczeń. Gloria sama pogasiła światła i pozamykała drzwi. Potem poszła na górę do swego pokoju. Została sama. Odtąd już zawsze będzie sama. Łzy zaczęły płynąć jej po twarzy.

Ben zawiózł Lucy na dworzec kolejowy Euston. Objęła go na peronie.

- Dzięki za wszystko, byłeś dla mnie nadzwyczajny. I wszyscy inni także. Przyjedziesz do mnie, prawda?

- Nie ma obaw - odpowiedział. - Nie mam zamiaru stracić ciebie po raz drugi. Pozdrów ode mnie mamę. Zadzwoń do mnie zaraz po powrocie. Będę mieszkał w hotelu, dopóki nie wynajmę mieszkania.

Lucy nie wypuszczała go z objęć.

- Tato... nie zaprzepaść swej szansy z Julią. To zupełnie wyjąt-

kowa osoba. Nie popełnij znowu tego samego błędu. Takiego jak z mamą.

Zdumiały go jej słowa.

- Co masz na myśli?

- Byłeś zbyt dumny, żeby się z nią pogodzić. Mama by wróciła, gdybyś tylko się odezwał. Teraz jest całkiem szczęśliwa, ale przez długi czas boleśnie przeżywała wasze rozstanie. Nie masz mi za złe, że to mówię, prawda?

Ben także otoczył ją ramionami.

- Nie. Jest mi tylko przykro, że wszystko wam spartaczyłem. Lepiej już wsiadaj, kochanie, znajdź sobie jakieś wygodne miejsce. I nie zapomnij zatelefonować.

- Zadzwoń na pewno. - Z uśmiechem zatrzymała się na stopniu, żeby jeszcze pomachać mu ręką. - Pa, tato, nie spartacz po raz drugi!

Poszedł peronem w kierunku hali dworcowej. Z głośników rozległ się głos zapowiadający odjazd pociągu. Komunikat brzmiał tak niewyraźnie, że równie dobrze mógł być nadany w języku Suahili. Po wyjściu na ulicę rzucił mu się w oczy wielkimi literami wydrukowany tytuł na reklamowym posterze „Evening Standard” - HAROLD KING NIE ŻYJE. Zatrzymał się, wytrzeszczając oczy ze zdumienia i pognął kupić gazetę. Na pierwszej stronie widniały bardziej sensacyjne nagłówki. **TAJEMNICZA ŚMIERĆ POTENTATA. TRAGICZNA KATASTROFA SAMOCHODOWA W SZWAJCARSKIM UZDROWISKU.** Ben szybko przebiegł oczami treść relacji z wprawą zawodowca. To było nieprawdopodobne. King zginął w wypadku samochodowym w czasie podjętej z niewiadomych przyczyn podróży własnym samochodem ze swej willi ku dolinie po krętych drogach. Informacje ciągle były skąpe, więc w relacjach snuto rozmaite domysły. Prawdopodobnie atak serca. Żona z córką wracają do Anglii. Odmówiły złożenia jakiegokolwiek oświadczenia. Ben wsiadł do samochodu i słuchał wiadomości przez radio. Te były bardziej szczegółowe od informacji z gazet.

Podano, że finansistę i magnata prasowego widziano opuszczającego hotel Regent na krótko przed ósmą wieczorem. Wyglądał na przygnębionego. Harold King przygnębiony? To było takie dziennikarskie ubarwienie okoliczności. Ben nie wyobrażał sobie, jaki mógłby być powód owego przygnębienia. Wrócił do hotelu, a tam czekała na niego wiadomość. Dzwoniła panna Julia Hamilton ze Szwajcarii, zostawiła swój numer telefonu. Co ona tam załatwiała...? Ona i Feliks... jaką rolę odegrali w tym niewiarygodnym rozwoju wypadków? A może to ślepy los się wmieszał i zlikwidował sprawę za

nich? Był zazdrosny aż do bólu i tak wściekły, że nie zamierzał słuchać pożegnalnej przestrogi Lucy. Julia nie dotrzymała danego słowa, zwróciła się o pomoc do innego mężczyzny, przełożyła swoją krucjatę ponad ich związek... Nie zadzwoni na ten numer. Ani nie odbierze jej telefonu, gdyby jeszcze raz próbowała. Połączył się z centralą w recepcji.

- Proszę nie łączyć do mnie żadnych telefonów ze Szwajcarii.

- Właśnie jest na linii telefon do pana, panie Harris - powiedziała telefonistka. - Niejaki pan Sutton... Mam przełączyć?

- Tak - rzekł bez wahania Ben. - Z nim się rozmówię...

Usłyszał wesoły głos Feliksa.

- Obalasz butelkę?

- A ty? - zapytał Ben napastliwym tonem.

- Niesamowita historia, prawda? - Głos Feliksa brzmiał po godnie. - Julia na pewno jest uszczęśliwiona.

- Ty chyba wiesz najlepiej - odburknął Ben.

Zapadła chwila ciszy.

- Co to niby ma znaczyć? - spytał wreszcie Feliks. - O co chodzi? Dzwonię, żeby się podzielić dobrą nowiną...

- Ona wyjechała do Gstaad - zaczął Ben powoli. - Myślałem, że byłeś tam razem z nią...

- Ja? Jestem w tym cholernym Londynie, w pracy... Czy ty masz źle w głowie?

Ben odetchnął głęboko.

- Już nie, ale miałem... Przepraszam, Feliksie. Co się mówi w redakcji? Czy to był wypadek? A co miało znaczyć, że po wyjściu z hotelu wyglądał na przygnębionego?

- Był mniej więcej tak przygnębiony jak słoń. Krążą plotki, że się zalał... zataczał się.

- On był abstynentem, nigdy nie pił alkoholu...

- Cóż, wygląda, że złamał tę świętą zasadę zeszłego wieczoru - odparł Feliks. - Może to ma jakiś związek z aresztowaniem tego nędznego kryminalisty, Joego Patricka. Został oskarżony o zabójstwo starej wdowy, którą Julia rozpracowywała. Wszystko się stało w ciągu kilku godzin, jego pomagiera zabrali do paki, on się upił i rąbnął w drzewo. Dlaczego ciebie nie ma na miejscu wydarzeń? Co Julia robi tam sama? I skąd ci, do licha, przyszło do głowy, że ja tam z nią jestem?

- Słuchaj - powiedział Ben. - A może byśmy tak razem obalili butelkę? Jeżeli zechcesz się napić ze skończonym idiotą.

Feliks roześmiał się.

- Piję z każdym, kto stawia. Do zobaczenia o siódmej. - Odłożył słuchawkę.

Joe Patrick został aresztowany pod zarzutem zabójstwa Jean Adams. Ben w ostatni wieczór spędzony z Lucy był bardzo zajęty; zabrał ją do kina i na kolację. Rano nie nastawiał telewizora ani nie czytał gazet, ponieważ odwoził ją wcześniej na pociąg. Niczego nie wiedział do chwili, gdy zobaczył te krzyczące nagłówki przed dworcem.

Zdażył włączyć telewizor na wiadomości o dwunastej trzydzieści nadawane na ITV. To był główny temat. Filmowe migawki z Haroldem Kingiem, komentarze ekspertów i w końcu wpatrzony w niego z ekranu William Western.

- Wybitna postać świata mediów - starannie cyzelował słowa, przybierając odpowiednio poważną minę. - Różniliśmy się w poglądach na wiele spraw, lecz on dzięki swej energii i umiejętnościom zasłużył na szacunek wszystkich ludzi związanych z pracą w srodkaach upowszechniania informacji. Jego wkład w tej dziedzinie będzie trudny do zastąpienia.

- Boże Wszchemogący! - wykrzyknął Ben. Z furią przycisnął wyłącznik telewizora, żeby ciemność pochłonęła ten z premedytacją zakłamany obraz.

Podniósł słuchawkę i poprosił centralę o połączenie ze Szwajcarią.

- Myślałam, że mi nie przebaczysz - powiedziała Julia. - Nie sądziłam, że mi darujesz...

- Ja też nie sądziłem. O której ląduje twój samolot?

- O szóstej naszego czasu. Ben, nie mogę się doczekać wyjazdu i powrotu do domu. Jesteś pewny, że masz ochotę po mnie wyjść? Mam ci tyle do powiedzenia... Wszystko zostało nagrane na taśmę. Chciałabym się cieszyć, ale czuję taki okropny niesmak... Musiałam to zrobić. Musiałam to rozgryźć. Spróbuj mnie zrozumieć... Usiłowałam ci to wyjaśnić w liście.

- Wiem - odparł. - Porozmawiamy o tym później. Z jednego się cieszę: z zakończenia sprawy Jean Adams.

- To rzeczywiście najlepsze, co się wydarzyło - powiedziała Julia w zamyśleniu. - Pomaga dostrzec sens w tym całym koszmarze. Och, Ben, tak bardzo pragnę z tobą porozmawiać, opowiedzieć ci...

- Mamy wiele do omówienia - rzekł. - Do zobaczenia o szóstej.

- Wspaniale z tego wybrnąłeś, Billy - powiedziała Evelyn Western. - Twoje wystąpienie było takie wyważone. Zachowałeś właściwe proporcje. Byłeś pełen godności, a jednocześnie okazałeś

wielkodusznosc... Och, co za ulga!

Ujął jej dłoń. Poszli na lunch do „Connaught”; ożywiona wyglądała tak pięknie, był dumny, że się może z nią pokazać. On sam poczuł się o dwadzieścia lat młodziej. Przez cały czas uśmiech nie schodził mu z twarzy.

- Mówi się - powiedział - że popełnił samobójstwo. Krąży na ten temat mnóstwo plotek... podobno był pijany, kiedy wychodził z hotelu. Nie wiadomo, co się działo od jego powrotu do domu do ponownego wyjazdu. I ten Irlandczyk tego samego wieczoru oskarżony o zabójstwo Jean Adams... Chyba King uświadomił sobie, że gra skończona i odebrał sobie życie. Cóż, kochanie, wypijmy za to. Mam nadzieję, że w piekle jest dostatecznie gorąco.

Unieśli kieliszki i spełnili toast. Evelyn odezwała się miękkim głosem:

- Nie masz już powodów do zmartwień. Wszystko się skończyło.

William spojrział na żonę.

- Jeśli pragnęłaś spokojnego życia, Evie, nie powinnaś była wychodzić za mnie za męża. Czy nie przyszło ci na myśl, że właściwie nie ma nikogo, kto by to wszystko po nim przejął? Zostawił tylko córkę. Całość będzie do wzięcia. I ja mam zamiar zaczerpnąć pierwszą garść.

- Znając ciebie - odpowiedziała żona spokojnie - weźmiesz wszystko.

- To ty, Julio? Myślałem, że jesteś w Szwajcarii.

- O, Feliks, jak się masz.

- Zostałem wystrychnięty na dudka. Harris zaprosił mnie do hotelu na drinka i nie przyszedł. Sam musiałem zapłacić. Co mu się, u licha, przydarzyło?

- Przyjechał po mnie na lotnisko i zapomniał - odparła. - O, właśnie wchodzi. Chcesz z nim porozmawiać?

- Nie, nie mam zamiaru przeszkadzać ponownie połączonej parze gołąbków. Powiedz mu tylko, że ma wobec mnie dług.

- Powiem - obiecała. - I, Feliksie... My się pobieramy. Musisz przyjść na ślub. - Spojrzała w kierunku Bena Harrisa. - On twierdzi, że oświadczył mi się dlatego, że po moim wyjeździe kotka ogłosiła strajk głodowy.

Feliks roześmiał się.

- Ubiegłaś mnie. Ale życzę szczęścia. Będziesz się starała o powrót do starej pracy?

- Zrezygnowałam z dziennikarstwa. Mam do napisania książkę i

pod opieką pewnego pana z kotką. Zawiadomię cię o miejscu i czasie.

Ben podszedł do niej i odstawił telefon, przy którym siedziała. Wyciągnęła do niego rękę i powiedziała:

- Jestem taka szczęśliwa.

A on, zanim ją pocałował, odparł:

- Ja też.

To było dziwne, lecz musieli przyznać, że bardzo pasowało do niej owo miejsce na krześle u szczytu stołu konferencyjnego. Niczego nie zmieniono w biurze Kinga, poza tym, że jego portret wiszący dotąd w tej samej sali konferencyjnej, został przewieszony na ścianę naprzeciwko jego biurka, skąd Gloria mogła na niego patrzeć. Z drugiego końca stołu siedziało zgrupowanych sześciu mężczyzn. Dyrektor finansowy firmy, wiceprezes poważnego londyńskiego Banku Handlowego, dyrektor Domu Wydawniczego Fielda, który przyleciał z Nowego Jorku, a także sekretarz pracujący dla Kinga od dwudziestu lat. King miał do niego zaufanie i zapewnił sobie jego lojalność udziałami w zyskach. Było również dwóch innych dyrektorów, od lat wprowadzonych w interesy Kinga. Zebranie całego zarządu miało się odbyć za tydzień, a po nim nadzwyczajne zgromadzenie akcjonariuszy. Zebrania te zostały przesunięte w związku z pogrzebem Kinga jako wyraz oddania uszanowania zmarłemu.

Śledztwo wykazało, że u Kinga stwierdzono we krwi dużą zawartość alkoholu, według policji przyczyną śmierci był nieszczęśliwy wypadek. Zostało zgłoszone roszczenie o wypłatę dwóch milionów funtów z ubezpieczenia na życie.

Gloria, popijając wodę z lodem nalaną z tej samej karafki, której i on używał, zwróciła się do zebranych.

- Jestem wdzięczna wszystkim panom za ich poparcie - oświadczyła. - To były smutne i trudne dni dla mojej matki i dla mnie. Lecz już minęły, a mój ojciec odszedł na wieczny spoczynek. Pozostawił mi zatrwajająco ogromną spuściznę, wszystko, co stworzył, czego dokonał, a także swe plany na przyszłość związane z utworzeniem najpotężniejszej sieci mediów w Europie. Już przed jego śmiercią uczestniczyłam w tworzeniu tych planów. Chcę, abyście panowie wiedzieli, że jako córka Harolda Kinga będę robiła wszystko, co on by robił, gdyby żył. Mamy ku temu środki i pieniądze. Będziemy nadal dążyli do przejęcia koncernu Western International oraz „Sunday Herald”. Zostanie to ogłoszone na nadzwyczajnym zgromadzeniu akcjonariuszy. Dziękuję, panowie.

Wstała, a oni po kolei zegnali się z nią uściskiem dłoni i opuszczali

pokój. Gloria zwróciła się cicho do sekretarza.

- Ken, proszę cię na słowo.

Zatrzymał się.

- Postaraj się, żeby Joe Patrick miał jak najlepszego adwokata. Jestem mu to winna za pracę, jaką wykonywał dla mego ojca. Pod warunkiem, że nazwisko ojca nie będzie wymienione w trakcie procesu i że odwoła wszystko, co w związku z ojcem mógł zeznać na policji.

- To da się załatwić, panno King. Znam wybitnego adwokata, doradcę królewskiego, który się tym zajmie.

- Dobrze - powiedziała posepnym tonem. - I jeszcze jedno. W Ministerstwie Przemysłu i Handlu jest minister stanu, Leo Derwent. Mój ojciec mu nie ufał. Musimy mieć to na uwadze w naszych redakcyjnych komentarzach politycznych.

Odparł przymilnie.

- Dopilnuję, żeby ta wiadomość dotarła, gdzie trzeba. Czy coś jeszcze?

- Nie - odrzekła. - Nic więcej. Możesz odejść.

- Do widzenia, panno King.

Czekał chwilę, lecz mu nie odpowiedziała. Harold King nigdy nie zawracał sobie głowy takimi grzecznościowymi formułkami.